

# DZIKI ŁUBIN



CHARLOTTE  
LINK

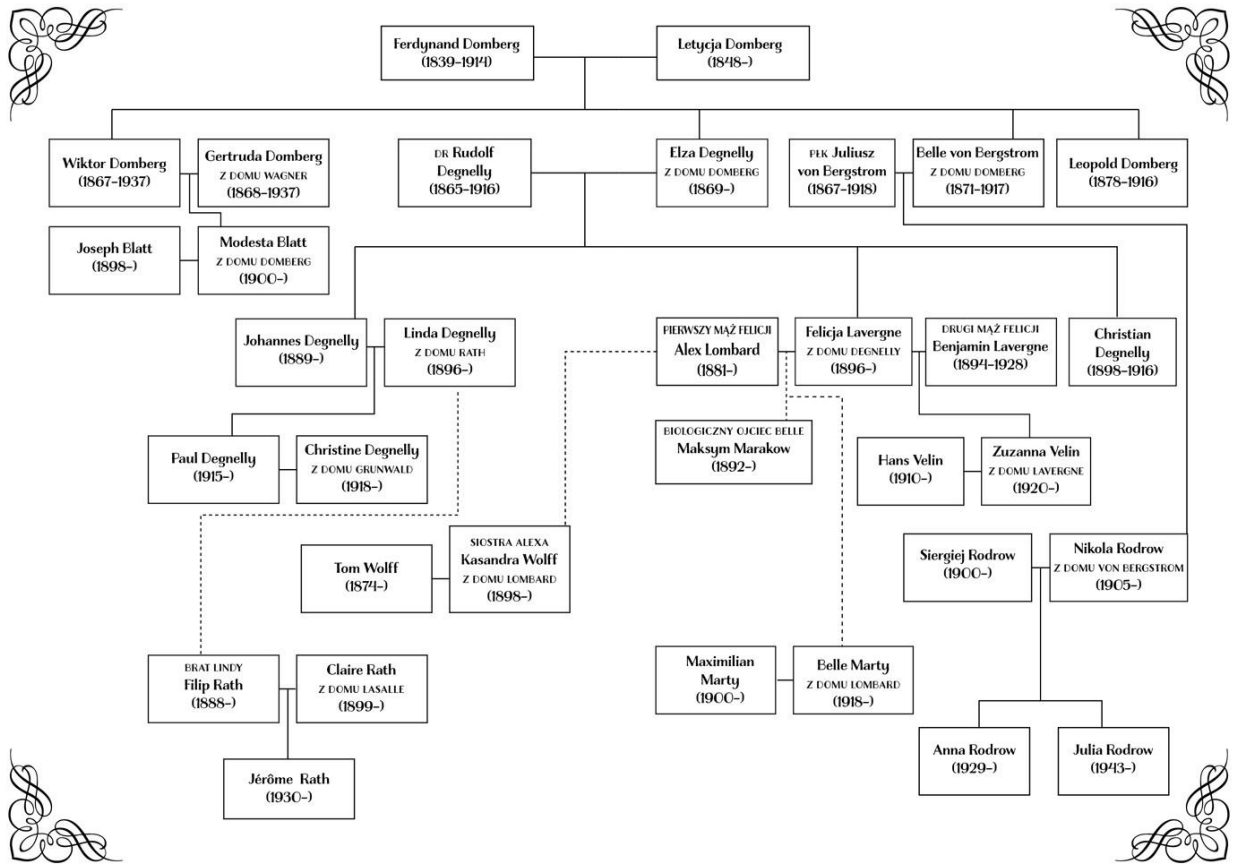
TOM II

CHARLOTTE  
LINK  
DZIKI ŁUBIN

PRZEKŁAD ANNA MAKOWIECKA-SIUDUT

ZNAK HORYZONT  
KRAKÓW 2020

— Część I —



## 1.

Był maj i na polach zakwitł już rzepak. Jasnozielone liście drzew lśniły w słońcu. Na łąkach bujnie rozrastały się koniczyna i mniszek, a wiatr niósł delikatną woń soli. Tego wczesnoletniego wieczoru migoczące promienie słoneczne prześwitywały przez gałęzie dębów rosnących wzdłuż podjazdu do Lulinna. Aleja prowadziła do starego, obrośniętego bluszczem dworu. Po obu stronach drogi pasły się trakeny, dwa z nich galopowały właśnie po ogrodzonym wybiegu, trzeci zaś stanął na tylnych nogach i unosząc głowę, zarżał głośno.

Choć Belle Lombard prawie przez cały rok mieszkała w Berlinie, to nigdy nie przyszłoby jej do głowy nazwać Lulinn inaczej niż swoją ojczyznę.

„Pochodzę z Prus Wschodnich”, zwykła mawiać, kiedy ktoś pytał o jej dom, po czym dodawała: „Z Lulinna. To majątek, który już od trzystu lat jest w posiadaniu mojej rodziny. Znajduje się koło Insterburga\*... czyli niedaleko litewskiej granicy”.

I wystarczało, aby wymówiła słowa: „Lulinn” i „Insterburg”, a ogarniała ją ogromna tęsknota. Wydawało jej się wtedy, że nie zniesie Berlina ani sekundy dłużej. Była oczywiście związana z tym miastem, mieszkała w nim, pracowała, miała tam mnóstwo przyjaciół, ale Lulinn... to coś zupełnie innego. Lulinn to latem pola zbóż sięgające widnokręgu, zimą grube śniegowe poduchy na wierzbowych płotach, jesienią krzewy czarnych jagód w lasach i zapach grzybów oraz klucze dzikich gęsi na niebie, zwiastujące rychłą wiosnę. Lulinn to potężne dęby i dziki łubin, szaroniebieskie cienie lasu na horyzoncie, ciężka woń jaśminu i zapach świeżego chleba z kminkiem, docierający z kuchni w suterenie. To także wspaniały, barwny ogród różany przed wejściem oraz stukot drewnianych chodaków, kiedy dziewczki oraz parobcy wczesnym świtem przychodzili do pracy we dworze, to szum liści drzew owocowych w ogrodzie i wspaniałe, białe jak śnieg pierzyny, które zawsze tak cudownie pachniały, bo Jadzia, polska gospodyni, suszyła lnianą pościel na zewnątrz i dlatego nabierała ona zapachu kwiatów i ziół.

W Lulinnie czas się kiedyś zatrzymał, a potem już płynął wolniej i inaczej niż gdziekolwiek indziej. Belle przychodziło do głowy, że było to wynikiem niezmiennej harmonii rzeczy, dzięki której posiadłość zyskała swoisty czar. Gdzieś poza nią istniał świat na przemian obojętny, zły lub nawet okrutny, ale Lulinn oznaczał trwałość i jeśli ktoś opuszczał jego mury nawet po kilku dniach, czuł się gotowy do walki z wszelkimi cieniami i smutkami życia.

„Wszystko będzie dobrze”, myślała Belle także i tym razem, kiedy należący do jej ciotki wypucowany do połysku samochód marki Armstrong Siddeley w czekoladowym kolorze jechał dębową aleją. Jakże ciężka była woń kwitnących bzów! Belle odwróciła głowę i popatrzyła na siedzącą za kierownicą kobietę. Ciotka Modesta przyjechała po nią na dworzec w Insterburgu i od tamtej chwili bezustannie narzekała i wypominała jej, ile czasu kosztowało ją to przedsięwzięcie.

– Jakbym nie miała nic lepszego do roboty – burczała.

„Jak można być stale tak niezadowoloną, kiedy ma się szczęście mieszkać przez cały rok w Lulinnie”, zastanawiała się Belle. Ona i Modesta od zawsze się nie znosiły. Modesta była zdania, że Belle jest przemądrzała, bezczelna i zachowuje się niestosownie w każdej sytuacji. Belle zaś uważała Modestę za fałszywą, złośliwą i nieznośnie upartą. Ciotka przed ośmioma laty wyszła za drobnego i niepozornego mężczyznę, syna kupca z Insterburga, który już od tamtej chwili był jej całkowicie podporządkowany, a w dodatku uważał się za kogoś w rodzaju misjonarza – w denerwująco sztywny i natrętny sposób wypytywał ciągle wszystkich mieszkańców Lulinna o ich problemy, przy czym nie cofał się przed zadawaniem najbardziej

intymnych pytań. A później opowiadał, także w licznym towarzystwie, o wszystkim, czego się dowiedział. Ale bądź co bądź w ciągu ośmiu lat małżeństwa spłodził już czworo dzieci, czego się po nim nie spodziewano, jeśli wziąć pod uwagę jego szczupłą sylwetkę. Modesta była właśnie w ciąży z czwartym dzieckiem i robiła wokół tego faktu wiele hałasu, stale sapiąc i uskarżając się. Ale Belle w nagłym przypływie litości pomyślała, że jej ciotka rzeczywiście nie ma lekko. Wyglądała przecież jak kluska!

– Jest już tak gorąco jak w lecie – stęknęła Modesta i wytarła sobie pot z zaczerwienionej twarzy. – Ledwo można wytrzymać, a już szczególnie w moim stanie.

– To dlaczego nosisz stale czarną suknię, ciociu? To jeszcze pogarsza sprawę!

Modesta oburzyła się natychmiast.

– Zapominasz, że jestem w żałobie! Ale ty oczywiście nigdy nie znosiłaś moich rodziców!

Rodzice Modesty zmarli niedawno jedno po drugim, ale Belle rzeczywiście nie mogła przyznać, że bardzo ją to dotknęło, choć każdego przeraża śmierć osoby, którą się dobrze znało. I to nawet kogoś tak stetryczalego i niechętnie usposobionego do świata jak stara ciotka Gertruda czy jej mąż Wiktor, zagorzały nazista. Jednak Modesta przeżyła to bardzo boleśnie i teraz nie omieszkała dodać:

– Ty mojej biednej matce skutecznie utrudniałaś życie! Ciągłe się z nią nie zgadzałaś...

– Ach, Modesto! Akurat wtedy jako dziecko przechodziłam fazę buntu wobec całego świata! Nie należało przecież brać tego poważnie!

Modesta popatrzyła niemal z nienawiścią na twarz młodej kobiety. „Jaką ona ma czystą i śliczną cerę”, pomyślała. „I dlaczego jej włosy tak lśnią? Jaka ona jest piękna i młoda!”

– Wszystko było na głowie mojej matki – zrzędziła dalej. – Bo twoja prawie nigdy się tu nie pokazywała. Łaskawa pani chodzi tylko swoimi drogami i każe pracować innym! Piękna moralność!

Oczy Belle się zwęziły.

– Nie mieszaj w to mamy! Nikt nie robi dla nas wszystkich tyle, co ona!

– Taaa... – wymamrotała Modesta. Podjechała już pod bramę i wcisnęła hamulec, po czym od razu zaczęła stękać, bo wiedziała, jak ciężko będzie jej wydostać się z auta. – Wkrótce sama się przekonasz, jak to jest – wieszczyła ponuro, wskazując swój brzuch.

– Możliwe – odparła spokojnie Belle, ponieważ postanowiła nie denerwować się z powodu ciotki.

Dziewczyna była szczęśliwa. Tego dnia, 20 maja 1938 roku, Belle Lombard dotarła do Lulinna, aby poślubić swojego ukochanego Maxa.

Joseph Blatt, mążnek Modesty, wyszedł obu kobietom naprzeciw. Sprawiał wrażenie jeszcze chudsze i bledsze niż dotychczas. Jak zwykle nie potrafił też zapanować nad swoją osobliwie długą szyją i przy każdym kroku kiwał głową jak kura.

– Moja kochana Belle! – zawołał jowialnie i przycisnął młodą kobietę do siebie. Po chwili przyjrzał jej się uważnie i mrugnął poufale. – No i jak też czuje się panna młoda? Troszkę zdenerwowana, prawda? Wszystko w porządku? A może chciałabyś się wygadać?

Najwyraźniej aż palił się do tego, aby przed krokiem w nieznaną udzielić Belle paru wskazówek, ona jednak w żadnym wypadku nie miała zamiaru do tego dopuścić.

– Czuję się znakomicie, wuju Josephie – odrzekła ze spokojem.

Joseph, usłyszawszy to, poczuł się rozczarowany.

– Tak? Aha... A poza tym widziałem cię w *Nieśmiertelnym sercu*. Akurat wyświetlali w kinie w Insterburgu. Ślicznie wyglądałaś.

– Ja nie mogłam cię rozpoznać – odezwała się natychmiast Modesta. – Chyba dostałaś

jakąś niewielką rolę! Za to Kristina Söderbaum była wspaniałą!

Belle w odpowiedzi wzruszyła ramionami. Od dwóch lat pracowała w wytwórni filmowej UFA i na razie otrzymywała wyłącznie role statystek, ale liczyła się z tym od chwili, kiedy postanowiła zostać aktorką. Puściła więc mimo uszu złośliwość Modesty i spytała:

– Kto już przyjechał?

– Prawie wszyscy! – Joseph uśmiechnął się radośnie. Uwielbiał odgrywać rolę gospodarza, który witał licznych krewnych z otwartymi ramionami. – Twój wujek Jo przyjechał już wczoraj, wraz z Lindą i Paulem. Siergiej i Nikola też już są i przywieźli ze sobą Anastazję.

Jo, czyli Johannes Degnelly, był bratem matki Belle. Mieszkał w Berlinie i pracował tam jako adwokat, zawsze starał się traktować Belle jak córkę, ona zaś czuła się bardzo związana z tym siwowłosym panem o melancholijnych oczach i refleksyjnej naturze. Lubiła też jego żonę Lindę, choć ta mimo swoich czterdziestu dwóch lat ciągle jeszcze przypominała lalkę o okrągłych oczach, tak jak za młodu. Jednak Belle najbardziej lubiła ich dwudziestodwuletniego syna Paula. Starszy od niej o trzy lata młodzieniec był spokojny i nieco rozmarzony i zdradzał zaskakującą pasję do samochodów i motorów. W Belle budził macierzyńskie uczucia i instynkty opiekuńcze. Kiedy oboje byli dziećmi, postanowili w przyszłości wziąć ślub, ale potem oczywiście zostali tylko dobrymi przyjaciółmi.

W drzwiach dworu Belle spotkała swoją piękną kuzynkę Nikolę, której twarz zwykle wyrażała zniechęcenie. Nikola jako dziecko uciekła z ogarniętego rewolucją Piotrogradu, wtedy też straciła rodziców, a później jako młoda kobieta przez wiele lat uparcie kochała się w szarmanckim i lekkomyślnym rosyjskim emigrancie Siergieju Rodrowie, z którym w końcu stanęła przed ołtarzem. Zaraz po ślubie okazało się jednak, że w gruncie rzeczy gardził Nikolą za jej uzależnienie się od niego, a on nie był już w stanie osiągnąć jakichkolwiek sukcesów zawodowych. Co prawda zarobił swego czasu mnóstwo pieniędzy, handlując nieruchomościami w Berlinie, ale kiedy jego pracodawca spektakularnie splajtował po krachu w czarny czwartek 1929 roku, Siergiej także poniósł klęskę. I wraz ze swoją rodziną ostatecznie wylądował w Breslau\*\*, gdzie pracował w pewnej firmie budowlanej i miał romans z sekretarką. A po Nikoli widać już było nieprzespane noce, w czasie których czekała na męża. Jej córka Anastazja, zwana przez wszystkich w rodzinie Anną, ośmioletnia dziewczynka o długich, czarnych włosach, była typowym przykładem dziecka z rozbitej rodziny – ciągle ssała kciuk, obgryzała paznokcie, krzyczała we śnie i zachowywała się agresywnie w szkole. I nienawidziła swego ojca za to, że nie zwracał na nią uwagi.

– Ach, Belle – powiedziała z roztargnieniem Nikola. Wyglądała, jakby przed chwilą płakała. – A gdzie twój narzeczony? – spytała.

– Przyjedzie dopiero za dwa dni, dziś i jutro występuje jeszcze w teatrze w Berlinie. A co u ciebie, Nikolo?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Ale dobrze jest być znowu tutaj.

Obie kobiety popatrzyły na siebie uważnie – sfrustrowana, zgnębiona Nikola i radosna Belle, teraz pełna ufności i bez troski. „Też się wkrótce dowie, jakie jest życie”, pomyślała Nikola, „i jacy są mężczyźni...”.

Znienacka, zupełnie jak duch, z mroku chłodnego korytarza wynurzyła się Jadzia, polska gospodyni, która trzymała w rękach dwa kamionkowe dzbanki z maślanką.

– Jedzenie zaraz gotowe. Nie będzie lepsze, kiedy stać na stole. Będzie zimne, bo damy mówią i mówią!

Jadzia, stara, drobna i przebiegła kobieta, nie považała nikogo. Jej słowo znaczyło w Lulinie więcej niż słowo Modesty, która bądź co bądź była przecież oficjalną panią domu.

– Zaraz idziemy, Jadzia. Muszę tylko szybko umyć ręce. – Belle pobiegła po schodach na górę.

Jej dawny, wytapetowany w kwiatki pokój znajdował się w małym wykuszu, przed którym rosła stara jabłoń. Jej gałęzie sięgały niemal do okna pokoju, w którym na drewnianej podłodze promienie słońca malowały jasne plamy. Intensywnie pachniały sosny i świeża trawa. Belle odetchnęła głęboko. Zdjęła kapelusz i popatrzyła uważnie w lustro, myjąc ręce. Max powiedział, że ma najpiękniejsze oczy na świecie i że jeszcze nigdy takich nie widział. „One są zupełnie szare, Belle, jak morze w czasie deszczu, ale jednocześnie chłodne, nieruchome i zamyślane. Nie ma w nich ani śladu ciepła i to właśnie jednocześnie mnie fascynuje i przeraża”.

Typowe dla Belle było także to, że przyjmowała do wiadomości tylko te słowa Maxa, które jej się podobały. A rzeczy, które mówił o braku ciepła w jej oczach, już jej nie irytowały, bo z doświadczenia wiedziała, że zakochani mężczyźni w różny sposób interpretowali to, co dostrzegali w oczach kobiety, i przeważnie połowę błędnie. Ale skoro Max uważał ją za piękną, to dobrze – i to było najważniejsze.

Max Marty miał trzydzieści osiem lat i tym samym był prawie dwadzieścia lat starszy od Belle. Dzieciństwo spędził w Rzymie – jako syn znanego aktora Massima Marty’ego i jego kapryśnej niemieckiej żony, której szalone pomysły kazały wstrzymywać oddech całej rodzinie. Max z ojcem nigdy się nie rozumieli, dlatego syn uciekł zaraz po ukończeniu szkoły i wyjechał do Niemiec, gdzie pobierał lekcje aktorstwa u Maxa Reinhardta. To, że pisał swoje nazwisko przez „i”, a nie „y”, wynikało z dwóch powodów: po pierwsze, egzaltowanemu młodemu mężczyźnie, którym wówczas był, wydawało się to bardziej interesujące, a po drugie, taka zmiana oznaczała dla niego odseparowanie się od ojca. Max chciał, aby między nim a Massimem zaistniała wyraźna różnica, nawet jeśli chodzi o nazwisko.

„Właściwie mogłabym szybko zadzwonić do Maxa”, pomyślała Belle. „I jeśli będę miała szczęście, złapię go jeszcze przed wyjściem do teatru”.

Telefon stał w salonie, gdzie o tej porze nikogo nie było. Belle, czekając na połączenie, rozejrzała się i coraz wyraźniej czuła ogarniający ją spokój. Rokokowy sekretarzyk, niebieskie, jedwabne zasłony w oknach, kosztowny dywan perski. Dobrobyt, osiągnany i utrzymywany przez setki lat, z którego wszyscy czerpali pewność siebie i poczucie własnej wartości.

– Tak? – Zabrział głos Maxa w telefonie.

Jak zwykle poczuła osobliwe napięcie, które zawsze między nimi istniało.

– Max? To ja, Belle. Jestem w Lulinnie!

Mężczyzna roześmiał się cicho w odpowiedzi.

– Lulinn! Czarodziejskie słowo. I jak się czujesz?

– Cudownie! Ale brakuje mi ciebie. Biada ci, jeśli się rozmyślisz i nie wsiądziesz pojutrze do pociągu do Insterburga!

– Nie odważę się. Ścigałabyś mnie przez pół świata.

– Nie bądź tego taki pewny. Może złapię tu naprędce jakiegoś innego męża i będę żyła z nim w szczęściu i spokoju!

Często żartowali w ten sposób, ale mimo śmiechu oboje czuli przy tym jakieś skrepowanie, dziwne napięcie i Belle czasem odnosiła wrażenie, że nie wszystko jest w porządku. Jakoś udało jej się przekonać go do małżeństwa, ale w rzeczywistości on wcale nie pragnął tego tak bardzo jak ona. Coś tu było nie tak, ale dziewczyna nie potrafiła zrozumieć co. Przypomniała jej się ich kłótnia sprzed kilku dni. Siedzieli z przyjaciółmi w kawiarni i wszyscy zapalczywie dyskutowali o przyłączeniu Austrii do Niemiec w marcu i o zbrojeniu na wielką skalę Wehrmachtu, czego rząd nie ukrywał. Jedynie Belle ta rozmowa nudziła i w drodze do domu robiła Maxowi wyrzuty.



– Kiedy rozmawiasz ze swoimi przyjaciółmi, w ogóle nie zauważasz, że ja też tam jestem. I jest ci zupełnie obojętne, że zasypiam przy waszych wielce interesujących dyskusjach!

Max zareagował bardzo gwałtownie.

– Zasypiać! Zasypiać! Czy ty wiesz, co w tej chwili dzieje się w Niemczech? Czy w ogóle rozumiesz, że...

– Może zacznij mówić nieco ciszej – prychnęła Belle. – Bądź co bądź jesteśmy na ulicy.

Max zniżył głos.

– Tobie jest zupełnie wszystko jedno, co robią naziści. Jest ci obojętne, co robi Adolf Hitler, o ile tylko nie wchodzi ci w drogę. I w żadnym wypadku nie jesteś aż tak głupia, żeby tego wszystkiego nie rozumieć, po prostu gównu cię to obchodzi. Jedyne, co cię dręczy, to czy będziesz w stanie zostać wielką gwiazdą filmową. Nic innego!

– Tak – odpowiedziała z rozbijającą szczerością.

Max wsadził ręce do kieszeni marynarki.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że... Ach, do cholery, to i tak nieważne.

W końcu zdołali się jednak pogodzić. A Belle pomyślała potem tylko: „Ach, on po prostu był w złym humorze”.

– Kochanie, spiesz się. – Usłyszała Maxa w telefonie. – Przedstawienie zaczyna się za godzinę. Będziesz trzymać za mnie kciuki, prawda?

– Jasne. Max, kocham cię.

Nasłuchiwała przez chwilę brzmienia własnego głosu w głowie, kiedy już odłożyła słuchawkę. A potem się skrzywiła i między jej brwiami powstała mała gniewna zmarszczka. Dlaczego on nigdy nie potrafił okazać jej swoich uczuć?

Na korytarzu usłyszała już głosy dobiegające z jadalni i brzęk talerzy oraz sztućców. Modesta mówiła na tyle donośnie, że rozumiała jej słowa.

– Jestem naprawdę ciekawa, czy Felicja przyjedzie na wesele Belle. Pierwszy raz od wielu lat uznałaby za konieczne wziąć udział w uroczystości rodzinnej.

– Nie bądź niesprawiedliwa, Modesto – odpowiedziała Nikola. – Felicja ma po prostu mało czasu. Ale przyjedzie na pewno, jest bardzo związana z córką.

Modesta prychnęła pogardliwie, po czym powiedziała o matce Belle dokładnie to samo, co Max mawiał o Belle:

– Felicja związana jest tylko ze sobą, droga Nikolo. Z nikim więcej.

\* Obecnie Czerniachowsk (od 1946 roku), miasto w obwodzie kaliningradzkim (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\* Obecnie Wrocław (od 1946 roku).

## 2.

Felicja Lavergne miała czterdzieści dwa lata i była piękną, wysoką i szczupłą kobietą. Bardzo ciemne, gęste włosy do ramion nosiła rozpuszczone. Potrafiła się radośnie śmiać, jednak jej oczy pozostawały przy tym nieruchome. Jej serdeczność była też ściśle wykalkulowana. Do większości ludzi odnosiła się bez odrobiny ciepła i spontaniczności. Mężczyźni się nią fascynowali, ale jednocześnie głowili, dlaczego czują instynktowną obawę przed ewentualnym uwikłaniem się w bliższą relację. W monachijskich kręgach towarzyskich mawiano: „Ta kobieta ma tylko dwie pasje – pieniądze i rodzina. Nic innego nie poruszy jej serca”.

Felicja Lavergne miała dwóch mężów. Z pierwszym – Alexem Lombardem – się rozwiodła, a drugi zmarł w 1928 roku. Z ostatniego małżeństwa pochodziła jej młodsza córka Zuzanna, która teraz mieszkała z matką w Monachium. Tego majowego dnia, kiedy Belle przybyła do słonecznego Lulinna w Prusach Wschodnich, w Monachium padał deszcz. Intensywny, wilgotny zapach kwitnących bzów wdierał się przez otwarte okno do pracowni wielkiego domu przy Prinzregentenstrasse. Felicja przez chwilę wyglądała przez okno i w zamyśleniu wpatrywała się w ciemny pień kasztanowca na podwórzu oraz białe, połyskliwe kwiaty na jego gałęziach. Odwróciła się, skontrolowała szybko zawartość swojej torebki, po czym sięgnęła po żakiet wiszący na krześle.

– Wychodzę teraz, Zuzanno – powiedziała, zwracając się do córki, która z podwinętymi nogami siedziała na kanapie.

– Nie rozumiem, dlaczego jeszcze dziś wieczór musisz gdzieś iść! – odpowiedziała agresywnie dziewczyna. W jakiś niepozorny sposób wyglądała ślicznie – miała jasne włosy i niebieskie oczy, jak jej zmarły ojciec, była też blada i bardzo szczupła, w efekcie czego ciągle sprawiała wrażenie trochę chorej. Przygotowywała się właśnie do matury, była zdenerwowana, niewyspana i rozdrażniona, jeszcze bardziej niż zwykle.

Felicja westchnęła.

– Bo jutro wyruszamy do Lulinna. Muszę po prostu omówić z Peterem parę spraw.

– Ciągle ten Peter i Peter! – syknęła jadowicie Zuzanna. – Wystarczy, że zagwizdże, a ty już biegniesz! Jakby nie dało się inaczej!

– Peter jest moim partnerem w interesach. Prowadzimy razem fabrykę i jeśli jedno z nas wyjeżdża na dwa tygodnie, to musimy ustalić pewne sprawy. Dobry Boże, Zuzanno, nie krzyw się! I tak powinnaś wcześniej iść spać, źle wyglądasz. Czy Jolanta ma ci przygotować coś do jedzenia...?

– Nie. Nie jestem głodna.

„Kilka gramów więcej na żebrach dobrze by ci zrobiło”, pomyślała Felicja.

– Zuzanno, zrozum przecież, że...

– On nie jest twoim partnerem. On jest twoim szefem! Do niego należy wszystko. A może nie?

Felicja drgnęła, a Zuzanna dostrzegła to i nie skrywała zadowolenia.

– Ale ty wcale nie masz złych kart w ręku, mamu. Peter Liliencron jest Żydem – no, przynajmniej pół-Żydem. Prędzej czy później go wywłaszczą i może wtedy będziesz mogła wszystko przejąć. W gruncie rzeczy nie mogło ci się przytrafić nic lepszego niż naziści!

Felicja popatrzyła na córkę chłodno.

– Zdaje mi się, że rzeczywiście jesteś przemęczona, Zuzanno, inaczej nie opowiadałabyś tylu głupstw. Teraz idę i mam nadzieję, że jutro zasiądziesz do śniadania w nieco lepszym

nastroju.

Powiedziawszy to, wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Peter Liliencron mieszkał w starej, ozdobionej sztukaterią willi w Bogenhausen, której od niedawna pilnowały dwa wielkie owczarki alzackie. Wydawało mu się to konieczne po tym, jak dziewięć miesięcy wcześniej do jego ogrodu wdarł się oddział SA i wszystko kompletnie spustoszył. Na miejscu nie pozostało ani jedno źdźbło trawy. Peter chciał zgłosić sprawę na policji, ale usłyszał jedynie kilka szorstkich słów, po czym odesłano go do domu.

– Co pan sobie wyobraża? Że będziemy się zajmowali sprawami jakiegoś Żyda?

– Dom należy do mojej matki, a ona w żadnym wypadku nie jest Żydówką. Proszę więc o przyjęcie zgłoszenia!

Policjanci, śmiejąc się szyderczo, podali mu formularz, którego Peter jednak nie wypełnił.

Kiedy Felicja zadzwoniła, psy nie czekały, a w domu, mimo deszczowego i ciemnego wieczoru, nie paliło się światło. Zdziwiona ruszyła ścieżką ogrodową. Peter sam otworzył jej drzwi.

– Miło, że jesteś. Wejdz szybko do środka, zanim całkiem przemokniesz. Że też akurat teraz musi tak lać!

Felicja zrobiła duży krok, przestępując próg, i znalazła się w domu.

– Co za paskudna pogoda! Czy Kati ma dziś wychodne?

Zwykle drzwi otwierała pokojówka.

– Taak... To jej wolny wieczór... – Peter sprawiał wrażenie zdenerwowanego, a Felicja dostrzegła bladość jego twarzy i niepokój w oczach.

– Czy coś się stało? Gdzie w ogóle są psy?

– U mojej matki w Grünwaldzie. I tam już zostaną.

– Dlaczego? Już ich nie potrzebujesz? Co się dzieje?

Zaprosił ją do salonu. Tam zobaczyła dwie spakowane walizki.

– Muszę jeszcze dziś wieczór wyruszyć do Szwajcarii.

Felicja nic nie rozumiała.

– Mówiłam ci, że jadę na dwa tygodnie do Lulinna. Nie możesz teraz wyjechać!

– Nie wyjeżdżam. Opuszczam ten kraj na zawsze. I już tu nie wrócę.

– Co takiego?

Podszedł do kominka i przez krótką chwilę wpatrywał się w migocące resztki czerwonego żaru, po czym się odwrócił.

– Czy przewieziesz mnie dziś w nocy przez granicę?

– Peter... Na miłość boską... Dlaczego?

– Mam kłopoty.

– Z powodu... swojego żydowskiego pochodzenia?

Roześmiał się gorzko.

– Ten fakt z pewnością nie poprawia mojej sytuacji. Ale nie to jest zasadniczym problemem.

– Co więc nim jest?

– Czy muszę ci o tym mówić?

Patrzyła na niego uważnie.

– Jeśli mam cię jeszcze dziś w nocy zawieźć do Szwajcarii, to tak!

Peter nalał wódki do dwóch kieliszków i podał jeden Felicji.

– Dobrze. Krótko mówiąc, od dwóch lat działam przeciwko nazistom. Pomagam ludziom, którzy muszą opuścić Niemcy. Żydom, komunistom, socjaldemokratom i wszystkim prześladowanym. Załatwiam im dokumenty, kryjówki, dbam o to, aby bezpiecznie przekroczyli

granicę.

Felicja potrzebowała paru dłuższych chwil, aby to pojąć.

– Jesteś szalony, kompletnie szalony – powiedziała.

Popatrzył na nią dziwnie.

– Tak? W każdym razie nie robiłem tego wszystkiego sam. Jesteśmy małą organizacją, takich teraz prawdopodobnie powstaje w Rzeszy wiele. Byliśmy bardzo ostrożni, stale zmienialiśmy miejsca spotkań, na kilka tygodni zawieszaliśmy działalność i nie ujawnialiśmy naszych tożsamości. Ale wczoraj gestapo schwytało jednego z nas. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. I obawiamy się, że on będzie mówił, bo do mówienia gestapo każdego potrafi skłonić. I lepiej będzie... – Peter wykonał bezradny ruch ręką, wskazując przytulny pokój, dywany, obrazy i miękkie poduszki na kanapie – ...lepiej będzie zostawić to wszystko mojej matce i zniknąć.

Felicja ciągle stała bez ruchu, osłupiała. Pomyślała, że jej słowa zabrzmiały naiwnie, ale w tym momencie nic lepszego nie przyszło jej do głowy:

– To niemożliwe. Ja muszę jechać do Lulinna!

Peter się uśmiechnął.

– Cała Felicja, typowe! W każdej sytuacji myśli tylko o sobie. Czy zdajesz sobie sprawę, co się ze mną stanie, jeśli mnie aresztują?

– Tak...

Do cholery, dlaczego coś takiego musiało im pokrzyżować wszystkie plany? Interesy szły znakomicie, stanowili zgrany tandem. Gospodarka w Niemczech miała już za sobą trudne czasy, wszystko kwitło, a ich fabryka prosperowała doskonale. I w tym momencie Peter dał się wciągnąć w przygodę zagrażającą jego życiu.

– Cóż więc mam robić, kiedy ciebie już tu nie będzie? – spytała.

– Poprowadzisz fabrykę sama. Przekonasz się, że potrafisz to bardzo dobrze. W głębi duszy pragnęłaś przecież, żeby to była tylko twoja własność!

– Bzdura! – odpowiedziała Felicja gwałtownie, ale unikała jego wzroku.

Kiedyś fabryka należała do niej prawie w całości, a potem większość udziałów przejął jej ówczesny partner, przebiegły Tom Wolff, ale te prędzej czy później by od niego wyłudziła... Jedno i drugie, Lulinn i fabrykę, Felicja straciła w czasie osławionego czarnego czwartku, bo spekulowała na giełdzie ze zbyt wielkim rozmachem, aby wyjść cało z opresji. Fabryka przeszła w ręce bogatego Petera Liliencrona, który nie wahał się ani sekundy i od razu uczynił Felicję swoją partnerką. Lulinn zaś kupił jej były mąż Alex, który prowadził w Nowym Jorku wydawnictwo. I to była dla niej najgorsza hańba. Bo w gruncie rzeczy Felicja od 1929 roku miała przed sobą dwa cele: odzyskać fabrykę w Monachium i Lulinn w Prusach Wschodnich.

– Wiesz, że nie potrafię prowadzić samochodu – odezwał się znów Peter. – Mojego szofera nie mogę we wszystko wtajemniczyć. Jeśli ty mnie nie zawieszysz, będę musiał jechać pociągiem, ale obawiam się, że mnie nie przepuszczą. Rozumiesz chyba, że w drogim samochodzie u boku nie-Żydówki mogę mówić, że jadę na krótko do Zurychu w interesach i niedługo wrócę? – Przerwał na chwilę. – Felicjo, zawieszysz mnie?

Zapadła niemal całkowita cisza. Słychać było tylko szum deszczu i bulgotanie wody w rynnach dachowych. Felicja czuła się zmęczona i rozdrażniona. Jeden Bóg wiedział, jak bardzo nie miała ochoty dać się wplątać w kłopoty, w których z własnej winy znalazł się Peter. Ale, do diabła, nie mogła go przecież zostawić w potrzebie! Skinęła głową.

– W porządku. Pojedziemy.

– W tej sytuacji nie pojawię się na weselu mojej córki w Lulinnie – powiedziała Felicja. – Co tylko jeszcze potwierdzi moją opinię wyrodnej matki.

Peter nie odpowiedział. Wpatrywał się kamiennym wzrokiem w ciemność za szybą. Padało jeszcze bardziej, wycieraczki miarowo przesuwają się po przedniej szybie. Wiejska droga była nocą niemal pusta, z rzadka tylko z naprzeciwka nadjeżdżał jakiś samochód. Potężny admirał szybko pokonywał kolejne kilometry.

Felicja zdążyła jeszcze zadzwonić do domu i ku jej wielkiej uldze telefon odebrała gospodyni Jolanta, a nie Zuzanna.

– Niestety muszę wyjechać. Prawdopodobnie wrócę dopiero jutro wieczorem.

Ograniczyła się do tych kilku słów. Jej córka na pewno pienia się z wściekłości, ale z tym Felicja postanowiła uporać się później. Musiała też wymyślić przekonujące wyjaśnienie dla Belle – i to bardzo przekonujące. W końcu jej wesele nie było tylko kolejną zwykłą uroczystością rodzinną.

Tuż przed Kaufbeuren Peter nagle przerwał milczenie.

– Radziłbym ci stopniowo zacząć przestawiać produkcję na mundury. Myślę, że one będą wkrótce schodzić jak ciepłe bułeczki.

– Chyba nie sądzisz, że...

– Owszem, tak. Sądzę, że wojna wybuchnie prędzej, niż się spodziewamy. Bezkrwawa aneksja Austrii to początek, ale Hitler się tym nie zadowoli. Gdańsk kusi go cholernie, coraz bardziej dręczy go sprawa korytarza. Moim zdaniem on ostrzy sobie zęby na Polskę. I na połowę Europy.

– Nie może sobie pozwolić na rozpętanie wojny.

Peter odpowiedział tonem głębokiego przekonania:

– On może sobie pozwolić na wszystko. I to dzięki wyborom wygranym w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku przez nazistów, którzy natychmiast zaczęli rozprawiać się z wszelką opozycją w Rzeszy. Dziś nie ma już nikogo, kto mógłby mu w czymkolwiek przeszkodzić.

– Hitler na pewno nie rozpocznie wojny. Przekonał do siebie naród, obiecując rozkwit gospodarki, i tej obietnicy dotrzymał. Dlaczego miałby teraz postawić wszystko na jedną kartę i zaryzykować, wszczynając wojnę?

– Coś takiego robili jeszcze na długo przed nim inni rządzący, a naród zawsze chętnie słuchał ich wezwań. Hitler przecież z całą otwartością zbroi Wehrmacht i nikt się temu nie sprzeciwił. Także za granicą.

Jechali dalej w milczeniu. Około piątej nad ranem znajdowali się już blisko granicy. Felicja rzadko kiedy czuła się tak zmęczona i rozbita.

Peter w miarę zbliżania się do przejścia robił się coraz bardziej niespokojny i nerwowy.

– Powiemy, że jedziemy do Zurychu w interesach – powtórzył chyba już po raz setny – i że dziś wieczorem wracamy. Spróbuj sprawiać wrażenie kobiety opanowanej i spokojnej i...

– Peter, to ty jesteś zdenerwowany! Nie obawiaj się tak bardzo!

– Szwajcarzy odsyłali już ludzi z granicy – odrzekł.

W bladym świetle poranka Felicja dostrzegła krople potu na jego czole.

– Mam na nazwisko Liliencron! Kiedy zobaczą mój paszport, natychmiast się zorientują, że jestem Żydem!

– Musisz zachować spokój. Uda się nam.

Jechali dalej w nieustającym deszczu. Z daleka dostrzegli oświetlone przejście graniczne. Kiedy podjechali bliżej, na drodze pojawił się umundurowany urzędnik. Felicja opuściła szybę od swojej strony.

– Paszporty proszę – powiedział mężczyzna.

Podali mu dokumenty. Urzędnik zajrzał do paszportu Felicji, po czym go oddał.

– W porządku – rzekł. Zmarszczył czoło, otworzywszy paszport Petera. – Żyd? – spytał.

– Pół-Żyd. Moja matka jest Aryjką.

Urzędnik podał mu paszport bez słowa i machnął ręką.

– Teraz kolej na Szwajcarów – powiedział Peter.

Celnik szwajcarski był bardziej dociekliwy.

– Jak długo zamierzają państwo zostać w Szwajcarii? – dopytywał się.

– Tylko do jutrzejszego wieczoru. Jedziemy na spotkanie w Zurychu.

– W jakiej sprawie?

– Mamy fabrykę odzieży w Monachium i szukamy możliwości eksportu naszych towarów.

Fabryka odzieży stanowiła najwyraźniej wystarczający argument dla umundurowanego urzędnika. W swojej naiwności wierzył zapewne, że jeśli ktoś ma fabrykę w Monachium, to raczej jej nie zostawi i nie zniknie za granicą. Z pewnym wahaniem pozwolił im w końcu przejechać.

Kiedy już znaleźli się poza zasięgiem jego wzroku, Peter poprosił Felicję, aby zjechała na pobocze. Otworzył drzwi samochodu, wychylił się i odetchnął głęboko.

– Udało się. Felicjo, nigdy ci tego nie zapomnę.

– Już dobrze, dobrze. Mam tylko nadzieję, że ta ucieczka była rzeczywiście konieczna i że jesteś tego pewien. Jeszcze mógłbyś ze mną wrócić...

Popatrzył na nią niemal z gniewem.

– O Boże, kiedy wy wszyscy wreszcie pojmiecie, co się stało? Jeśli nawet taka kobieta jak ty jest aż tak ślepa! W Niemczech będą się działy straszne rzeczy, a kiedy wszystko się skończy, będziecie tylko patrzyli bezmyślnie przed siebie, nie rozumiejąc, jak coś takiego mogło się zdarzyć na waszych oczach!

– Masz na myśli wojnę?

– Wojnę i wiele więcej. Więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Ale nie będziemy teraz o tym mówić!

Jechali dalej w milczeniu. Zrobiło się już zupełnie jasno, deszcz przestał padać, przez nisko wiszące chmury prześwitywało blade słońce. Mokra trawa kołysała się lekko na wietrze. Felicja spojrzała na Petera. Sprawiał wrażenie niesłuchanie zmęczonego i wykończonego nerwowo. Jego mocno zaciśnięte wargi tworzyły tylko białą, cienką linię, a ciemne oczy patrzyły bezradnie i z wyraźną obawą.

W Zurychu zatrzymali się w leżącym nieco powyżej miasta hotelu Dolder, skąd roztaczał się wspaniały widok na jezioro. Eleganccy goście w foyer, równie elegancki i dyskretny personel. Petera powitano z uniżoną uprzejmością, wyrażając żal, że tylko jeden pojedynczy pokój jest wolny, on jednak oświadczył, że towarzysząca mu dama i tak za kilka godzin wyjedzie.

– Myślę – powiedział, zwracając się do Felicji – że najpierw powinniśmy zjeść śniadanie.

W restauracji obrzucono ich zaciekawionymi spojrzeniami. Felicja już to знаła; gdziekolwiek się pojawiała z Peterem, wzbudzała zainteresowanie wszystkich. Stanowili świetną parę, oboje wysocy, ciemnowłosi, o regularnych, zdradzających inteligencję rysach twarzy. Kobieta lubiła się malować, choć w nazistowskich Niemczech uważano to za naganne. Jednak ona nic sobie z tego nie robiła i z satysfakcją podkreślała różnicę między sobą a stereotypową niemiecką matką – kobietą prostą, schludnie ubraną, o ciasno upiętych blond włosach. Felicja wiedziała, że Peter chciałby się z nią ożenić. Ale nigdy nie pozwoliła sobie na żadną czułość między nimi, co doprowadziło do kilku nieprzyjemnych scen, podczas których zarzucił jej, że go odtrąca z powodu jego żydowskiego pochodzenia.

– Pewnie, aryjska kobieta musi myśleć o czystości swojej krwi!

– Bzdura! Wiesz doskonale, że te sprawy nie grają dla mnie żadnej roli!

I mówiła prawdę, także Peter w głębi duszy zdawał sobie z tego sprawę. Felicja po prostu nie odwzajemniała jego uczuć i to wszystko. Niełatwo przychodziło mu to przyjąć do wiadomości i zaakceptować, zwłaszcza że w jej życiu nie było żadnego innego mężczyzny. Ciągle miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach jakiś smutek, niejasną melancholię czy też tęsknotę za czymś nieokreślonym i nieosiągalnym. Za byłym mężem? Za kimś innym? Tego Peter nie wiedział. Tylko aż za często przyłapywał się na myśli, że chciałby ją spotkać przed wieloma laty, kiedy była młodą dziewczyną, wolną od rozczarowań, gorzkich doświadczeń i smutnych wspomnień. Może z nim byłaby szczęśliwsza – szczęśliwsza niż teraz.

Zjedli obfite śniadanie: kawa, croissantsy, masło, dżem, jaja i szynka, po czym poszli do pokoju Petera, gdzie Felicja, tak jak stała, położyła się na łóżku i natychmiast zasnęła. Mężczyzna spojrział na jej rozsypane na poduszce włosy, zmięty lniany kostium, rozmazany makijaż i poczuł wzruszenie. Przeprowadził po cichu kilka rozmów telefonicznych, usiadł w fotelu koło okna i patrzył na śpiącą kobietę, nasłuchując szumu deszczu, który znów nagle zaczął padać i jednostajnie bębnił w szyby.

Koło południa postanowił obudzić Felicję, bo powinna zajechać jak najdalej, kiedy jeszcze będzie widno. Usiadł na brzegu łóżka i łagodnie dotknął ręką jej ramienia.

– Felicjo! Obudź się! Powinnas niedługo wyjechać.

Kobieta ocknęła się z głębokiego snu i popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Co się dzieje? – spytała.

Peter poczuł tak gwałtowną tęsknotę, że nie mógł się powstrzymać i odpowiedział:

– Albo śpij dalej i zostań tutaj. Wyemigrujmy gdzieś razem. Bo choć to dla mnie takie gorzkie, z tobą byłby to najlepszy czas mego życia.

Wahała się przez krótką chwilę i omal nie uległa pokusie, aby położyć głowę na jego piersi i znaleźć schronienie w jego objęciach. To byłoby tak cudowne... Niemal cała wieczność upłynęła, odkąd dotykał ją mężczyzna. I ten deszcz za oknem, a tu przytulny, ciepły pokój niczym wyspa otoczona przez obcy, wrogi świat.

Wstała jednak i energicznie wygładziła zmiętą spódnice.

– Ktoś z nas musi przecież zatroszczyć się o firmę, kiedy ciebie nie będzie, Peter, nie zapominaj o tym.

On podniósł się także i przez chwilę, stojąc przed nią, sprawiał wrażenie kogoś kompletnie bezradnego.

– Tak... masz rację. Lepiej, abyś pojechała do domu. Tam przecież jest twoja rodzina i twoje dzieci, twoi przyjaciele. Dlaczego miałabyś ich wszystkich porzucić dla mnie? – zapytał.

– Ja... – Felicja nie wiedziała, jak ma na to zareagować. – Jeśli pozwolisz, pójdę najpierw do toalety. Kiedy wróciła, miała już wyszczołkowane włosy i poprawiony makijaż, ale ciągle jeszcze sprawiała wrażenie wyczerpanej. – Co masz zamiar robić? – spytała rzeczowo.

– Mam przyjaciół w Zurychu. Zatelefonowałem do nich, kiedy spałaś. Na jakiś czas zatrzymam się u nich.

– A potem?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem jeszcze. Może pojedę do Francji. Zobaczymy.

– Dasz jakiś znak życia od czasu do czasu?

– Nie chcę, abyś miała przeze mnie kłopoty.

– Ach, nonsens... Chciałabym, abyś dzwonił. Albo pisał. Nie wiem, doprawdy... Dobry Boże, obawiam się, że będę stale potrzebowała twojej rady!

– Poradzisz sobie doskonale sama, Felicjo. Jesteś świetną kobietą interesu. I przemyśl to

z tymi mundurami. To będzie intratne przedsięwzięcie, przysięgam.

– Tak, pomyślę. – Felicja kurczowo zacisnęła palce na swojej torebce. – Muszę już iść.

– Tak. Dziękuję ci za wszystko.

Nagle hotelowy pokój nie sprawiał już wrażenia bezpiecznej przystani. Teraz wydawał się im się tak przytłaczający i smutny, jak dworcowa poczekalnia, gdzie każdy żegnał się pośpiesznie, poganiany dobiegającymi z głośników zapowiedziami o odjeździe pociągów. Objęli się nieporadnie, najpierw w pokoju, a potem na dole, na zalanej deszczem ulicy. Peter długo machał za odjeżdżającym autem, aż wreszcie znikło mu z oczu.

Po przybyciu do domu Felicja znalazła na biurku dwa listy. W pierwszym Zuzanna zawiadamała, że wyjeżdża sama do Lulinna, bo zależy jej, by być na weselu Belle. I że jest jej obojętne, czy matka zamierza tam dotrzeć, czy nie.

Drugi list napisał Peter Liliencron. Musiał go wysłać dzień przed swoją ucieczką. Było to liczące kilka stron i uwierzytelnione przez notariusza pismo, w którym oświadczał, że Felicja jest teraz jedyną właścicielką fabryki.



### 3.

Od roku 1933 Max Reinhardt, szef słynnego teatru w Berlinie, nie mieszkał już w Niemczech. Z Oksfordu przysłał list do przewodniczącego Izby Kultury Rzeszy, w którym oznajmiał, że przekazuje mu zarówno Teatr Niemiecki, jak i Teatr Sztuk Kameralnych. I odtąd reżyserią zajmowali się naziści, którzy podporządkowali teatr organizacji Kraft durch Freude („Siła przez radość”). Ta miała dbać o to, aby liczba widzów rosła, a wystawiane sztuki cieszyły się popularnością. Tylko nielicznym małym teatrom udało się przetrwać, większość padła ofiarą nużącej i wyniszczającej walki o istnienie.

Max Marty nienawidził nazistów – i to od samego początku. Nie znosił ich pełnych arogancji roszczeń do kontrolowania wszystkiego i wszystkich i do drastycznego ograniczania wolności osobistej każdego obywatela, a także ich bezwzględności, z jaką we wszystkich możliwych zakątkach kraju zatrudniali szpicli, którzy stawali się małymi tyranami, skutecznie utrudniającymi życie codzienne zwykłych ludzi.

Maxowi jakimś cudem udało się zdobyć angaż w Operze Komicznej, prywatnym teatrze, który wystawiał sztuki krytyczne i w którym nie dbano o przepisy Goebbelsa.

W Teatrze Niemieckim Marty miał już ugruntowaną pozycję, tu jednak musiał zaczynać swoją karierę od początku. Dostawał tylko niewielkie role i miał wrażenie, że nikt nie wierzy w jego zdolności. Ale jakoś przedzierał się przez codzienność, choć nie widział żadnych perspektyw na przyszłość. Ten mężczyzna, dawniej pełen radości życia i temperamentu, teraz często był cyniczny i zgorzkniały. Czasami przesiadywał godzinami w jakimś kącie, pogrążony w smutnych myślach.

Belle i on rzeczywiście pobrali się w Lulinnie, choć bez osobistego błogosławieństwa Felicji, jak nieco ironicznie ujął to Max. W czasie długiej i bardzo nerwowej rozmowy telefonicznej Felicja próbowała wyjaśnić córce, że Peter Liliencron musiał niespodziewanie wyjechać i że w fabryce wszystko waliło się na łeb na szyję.

– Rozumiesz coś z tego? – spytała Maxa Belle. – Co tam mogło się stać?

Mężczyzna popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Liliencron musiał nagle wyjechać? No, no...

Nie dodał nic więcej, ale wiedział, co o tym myśleć.

Najbardziej zasmuciło to wuja Johannes, brata Felicji. Nie widział siostry od lat, a była mu bardzo bliska. Modesta oczywiście nie powstrzymała się przed wygłoszeniem kilku jadowitych uwag, Joseph denerwował Belle ciągłymi próbami pocieszenia jej, a niezrównoważony Siergiej upił się, bo zamierzał wyciągnąć od Felicji pieniądze i jego nadzieje niespodziewanie legły w gruzach. Zuzanna i kuzyn Paul zostali świadkami na ślubie.

Był to ciepły, letni dzień i wesele wypadło wspaniale. Nawet stara prababcia Letycja, która bardzo rzadko opuszczała łóżko, wzięła udział w uroczystości. Belle, ubrana w biały kostium, była rozpromieniona i nie dostrzegła, że jej narzeczonego sprawiał wrażenie nieobecnego myślami.

Nowożeńcy nie chcieli spędzać nocy w małym pokoiku Belle w wykuszu, wybrali więc jeden z wielkich pokoi gościnnych. Jadzia powlekała kołdry i poduszki bladożółtymi poszwami z jedwabiu, pościeliła łóżko i ustawiła na komodzie wielki bukiet kolorowych tulipanów. A poza tym wszystko czymś spryskała, bo w powietrzu unosiła się ciężka, słodkawa woń, niczym na orientalnym bazarze albo w namiocie sułtana.

– O Boże – powiedział Max, kiedy tylko wszedł do pokoju – otwórz szybko okno. To

może człowieka powalić na ziemię.

Belle gwałtownie otworzyła okno i do pokoju wpłynęło łagodne nocne powietrze. Czarne niebo było wprost nabite gwiazdami. Dziewczyna odetchnęła głęboko.

– Jak tu jest pięknie! Jak cudownie! Życie w ogóle jest tak cudowne!

Max osunął się na fotel i rozluźnił krawat. Sprawiał wrażenie spiętego.

– Wiejska idylla – wymamrotał.

Belle zdążyła już zauważyć, że nie był tak oczarowany Lulinnem jak ona. Nie zwracał uwagi na pola kwitnącego rzepaku, na dęby, konie czy niebo. Krewni go irytowali i wydawało się, że szacunkiem darzy jedynie prababcie Letycję, a w miarę dobrze rozumie się tylko z wujem Johannesem. Pozostali goście go drażnili i nawet nie zadawał sobie trudu, aby to ukryć. Z Modestą omal się nie pokłócił, kiedy zaczęła głośno wychwalać nazistów.

– Czy mamy jeszcze bezrobotnych? Czy nasza gospodarka nadal jest na dnie? Dzięki Hitlerowi wszystko się poprawiło i nie mamy powodu na cokolwiek się uskarżać!

Max, słysząc to, zmrużył oczy.

– Czy zdaje pani sobie sprawę, że chodzi o człowieka, który bezlitośnie zwalcza w tym kraju wszelką opozycję, który zmusza najznamienitszych intelektualistów do emigracji, który... – Przerwał, bo wiedział, że takie słowa mogą zostać uznane za niebezpieczne. – Ale po co miałbym to pani wyliczać? – spytał. – Czytała pani *Mein Kampf*?

W salonie na regale z książkami oczywiście znajdowała się i ta, jak w wielu niemieckich domach w tamtym okresie, ale Modesta nie przeczytała ani linijki, bo w ogóle unikała brania do ręki grubych książek.

– Wiem, co tam napisano – odpowiedziała wymijająco.

– Najwyraźniej nie – odrzekł Max.

Modesta w odpowiedzi nastroszyła się jak kura.

– Wypraszam sobie! Nie będzie pan rozmawiał ze mną takim tonem! I proszę sobie darować pańskie nienawistne przemowy. Jakby pan nie wiedział, że to Führer podźwignął naszą gospodarkę po haniebnym traktacie wersalskim!

Max uśmiechnął się złośliwie.

– To nie polityka stanowi o naszym losie, tylko gospodarka. Tak powiedział nasz były minister spraw zagranicznych Walther Rathenau. I miał rację. To sytuacja gospodarcza Niemiec wywindowała Hitlera na szczyt władzy.

– To nie ulega wątpliwości – wymamrotał wujek Jo, po czym na kilka minut zapanowała niezręczna cisza.

– Nadchodzą dla nas ciężkie czasy – odezwał się Max. Siedział w fotelu w sypialni i patrzył nieruchomo przez okno, najwyraźniej jednak nie dostrzegał uroku wschodniopruskiej nocy. – Gdybyśmy przynajmniej mieli więcej pieniędzy!

Belle westchnęła cicho. „Dlaczego on akurat teraz znowu zaczyna?” Byli małżeństwem od kilku godzin, a on znów wpadł w ten ponury nastrój, którego obawiała się od dawna. Teraz lękiem napelniało ją to, co skłoniło ją do małżeństwa z nim, coś dziwnie skomplikowanego, trudnego do zrozumienia i ciężkiego. Max wydał jej się teraz bardziej daleki niż księżyc na niebie, stała więc przed nim bezradnie i czuła się wykluczona i odrzucona. Delikatnie dotknęła jego policzka.

– Max! Nie zaczynaj rozmyślać! Jutro, dobrze? Jutro o wszystkim porozmawiamy.

– Jutro! Jutro wcale nie będzie lepsze niż dzisiaj! Zastanawiam się, z czego będziemy żyli. Co się z nami wszystkimi stanie? Jak my oboje sobie poradzimy?!

„Teoretyczna gadanina, tak typowa dla niego!”

– Przecież oboje zarabiamy pieniądze. Wiem, niewiele, ale...

– Ale ty wkrótce zostaniesz gwiazdą i kupisz sobie willę na Schwanenwerder, wiem.

– Ach, nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek zostanę gwiazdą – odpowiedziała niecierpliwie Belle. – W każdym razie moja berlińska babcia zaproponowała, abyśmy zamieszkali w jej mieszkaniu przy Schlosstrasse. To jest tak duże mieszkanie, że na pewno nie będziemy sobie przeszkadzać. Nikola i Siergiej mieszkali tam przez rok przed jego wyjazdem do Breslau i było im tam dobrze.

– Nikola i Siergiej! Że też musiałaś teraz wymienić akurat tych dwoje! Siergiej to lekkomyślny, arogancki salonowiec, który myśli jedynie o nowej wodzie po goleniu i eleganckim krawacie. A Nikola...

– Tak? – spytała Belle agresywnie. Na temat Siergieja Max mógł mówić, co chciał, Siergiej wzenił się w rodzinę, to była obca krew w rodzie, za którą Belle nie czuła się odpowiedzialna. Ale Nikola... Kuzynka jej matki... Niech Max nie waży się powiedzieć o niej niczego złego! – O co chodzi z Nikolą? – spytała.

– Wybacz, ale ona naprawdę jest bardzo płytka. Śliczna laleczka, która wie, jak należy się szykownie ubrać i uczesać, ale niewiele więcej...

– Jeśli nie odpowiada ci moja rodzina – przerwała mu Belle lodowato – możesz oczywiście koczować dalej w swojej izdebce w Prenzlauer Berg. Ale ja tam mieszkać nie będę. Zostanę u mojej babci w Charlottenburgu.

– Ależ oczywiście! Prenzlauer Berg to nie jest właściwe miejsce dla takiej damy jak ty!

– Dobrze, że to rozumiesz!

– A więc w tej chwili wszelka dyskusja jest bezsensowna. – Max się podniósł.

Stali oboje naprzeciwko siebie w ciemnym pokoju, którego mrok rozjaśniała jedynie malutka lampka w rogu. W powietrzu ciągle jeszcze unosiła się ciężka, słodkawa woń, która przyprawiała Belle o ból głowy.

– Myślę, że pójdę na krótki spacer – oświadczył Max i otworzył drzwi. – Nie czekaj na mnie.

– O, nie, nie będę, tego możesz być absolutnie pewien! – syknęła dziewczyna.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i nagle została sama, z tymi kwiatami koło łóżka z żółtą, jedwabną pościelą. Przez chwilę kusiło ją, aby cisnąć czymś z całej siły o ścianę, może porcelanową miską do mycia, ale się opanowała. Niech Max idzie, gdzie go oczy poniosą!

Wybiegła z pokoju i weszła po schodach do swojego dawnego pokoiku z jabłonią za oknem. Na szczęście nikt jej nie widział. Gdyby wuj Joseph przyłapał młodą żonę na ucieczce z sypialni w noc poślubną, byłaby to dla niego znakomita sposobność do złośliwości i kpin. Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Kręciła obrączkę na palcu i zaczęła się zastanawiać, czy wychodząc za Maxa, nie popełniła błędu.

Tom Wolff całe życie obawiał się starości. Myśl o tym, że będzie słaby i chorowity, spędzała sen z powiek tego postawnego, zwykle pełnego werwy, choć nieco prostackiego i budzącego onieśmienie mężczyzny. Co miał więc robić? Dysponował wprawdzie sporą dozą chłopskiej przebiegłości, ale brakowało mu dobrego wykształcenia i obycia, dlatego jego pojawieniu się nigdy nie towarzyszyła choćby odrobina pikanterii. Inni mężczyźni potrafili niejako wywieść w pole swój wiek, grając siwowłosych, eleganckich i życiowo mądrych dżentelmenów, za którymi uganiały się zwłaszcza młode kobiety cierpiące z powodu zakompleksionych ojców. Tom Wolff, syn ubogiego chłopca z Lasu Bawarskiego, nie był jednak ani dżentelmenem, ani eleganckim mężczyzną, a jeśli chodziło o jego życiową mądrość, to dotyczyła ona jedynie zarabiania pieniędzy. A posiadanie siwych włosów już nie wystarczało. Dlatego też w 1932 roku postanowił się wzbogacić i mieć tyle pieniędzy, aby jego podwójny podbródek, worki pod oczami, obwisłe policzki i pomarszczona skóra nie miały znaczenia.

Wydawało mu się, że to jedyna szansa, aby w miarę godnie przetrwać zbliżające się sześćdziesiąte urodziny.

Wolff do chwili wielkiego krachu na giełdzie razem z Felicją prowadził fabrykę odzieży i właśnie wtedy stracił wszystko, co posiadał. Załamał się. Wydawało mu się, że bez swoich ziemskich dóbr jest nikim. I to Kat, jego piękna żona, siostra byłego męża Felicji, kobieta bardzo nieprzystępna i zarozumiąta, pomogła mu stanąć na nogi.

– Nie kochasz mnie! – krzyczał wtedy do niej z płaczem, a ona odpowiedziała chłodno:

– Nie. Ale ciągle w ciebie wierzę.

To nim wstrząsnęło. Do diabła, ona miała rację! Był przecież Tomem Wolffem! Chłopem z opuszczonego przez Boga i ludzi gospodarstwa tuż pod czeską granicą, człowiekiem nieokrzesanym i prostackim, ale jednocześnie przebiegłym i sprytnym, który zawsze pierwszy potrafił zwietrzyć dobry interes i wyprzedzał wszystkich o krok. Teraz miał blisko sześćdziesiąt lat, opasły brzuch i krótki oddech – jego serce buntowało się od czasu do czasu przeciwko zbyt obfitym i tłustym posiłkom, zbyt dużej ilości alkoholu i papierosów. Ale przecież nie był za stary, aby spróbować wszystkiego jeszcze raz. Zgodnie z jego doświadczeniem ambicja, odwaga i dobre pomysły zawsze zostają nagradzane, a te trzy cnoty były mu bliskie. Jeśli więc tylko chciał, mógł coś osiągnąć.

I rzeczywiście tak się stało. W 1938 roku znów zaliczał się do najbogatszych obywateli Monachium, mieszkał w przepięknym domu w pobliżu pałacu Nymphenburg i pysnił się nowiutkim kabrioletem marki Daimler-Benz. Za to wszystko zapłacił sporą cenę.

Był początek października, na ulicach leżały już pierwsze tej jesieni liście, a chłodny wiatr szarpał okiennymi szybami. Z nisko wiszących chmur co rusz padał deszcz. Tom Wolff podniósł się w łóżku i popatrzył na śpiącą obok kobietę. Poczul rosnącą niechęć, co często miało miejsce w takich sytuacjach. Lulu tak naprawdę nazywała się Edith Müller, ale ponieważ lubiła wszystko, co egzotyczne, uparła się, aby nazywać ją „Lulu”, i w efekcie większość ludzi była przekonana, że ona rzeczywiście tak ma na imię. Oczywiście ukrywała swój wiek, ale musiała mieć między sześćdziesiąt a siedemdziesiąt lat. W dodatku lubiła ostry makijaż, farbowała włosy na czerwono, nosiła rzucające się w oczy młodzieżowe suknie i obwieszała się od stóp do głów ciężką złotą biżuterią. Sądziła, że sprawia wrażenie młodej, ale faktycznie wyglądała niesłychanie staro. Tom, który właśnie popatrzył na jej pokryte niebieskim cieniem powieki, pomyślał ze wstrętem: „Wiedźma! Stara, odpicowana wiedźma!”.

Lulu była wdową po fabrykancie zabawek, kobietą niesłychanie bogatą, która w życiu głównie się nudziła. Bez przerwy kupowała nowe suknie i nową biżuterię i kazała szoferowi codziennie wozić się do fryzjera. Spotykała się na herbacie z tak zwanymi przyjaciółkami, plotkowała na różne tematy i czuła się potem tak samo niezadowolona jak przedtem. W którymś momencie doszła do wniosku, że wie, czego szuka, a mianowicie kochanka. Koniecznie potrzebowała kochanka.

Toma poznała w 1932 roku na przyjęciu u wspólnych przyjaciół. Skończył wtedy pięćdziesiąt osiem lat, miotał się jak zranione zwierzę i chciał koniecznie odzyskać poczucie własnej wartości. W pewnej chwili zaczęli ze sobą rozmawiać, siedząc na kanapie i jedząc kanapki z łososiem. Lulu trzymała swoją w tłustej dłoni o perfekcyjnym manicurze. Odchyliła dystygowanie mały palec, a zafascynowany Tom patrzył na jej ogromne złote pierścionki. Opowiadała o fabryce zabawek i skarżyła się na spadające obroty.

– Zawsze wszystko szło znakomicie. Ale nagle przyszła stagnacja.

– Co się dokładnie nie sprzedaje? – spytał Tom.

Spojrzała na niego zatroskanymi oczami spod długich sztucznych rzęs.

– Traperzy. Indianie. Konie, krowy, owce. Widzi pan, produkujemy miniaturowe figurki

z Dzikiego Zachodu i z chłopskiego gospodarstwa. Ale z jakiegoś powodu nikt ich już nie chce.

Po tych słowach wyciągnęła rękę po następną kanapkę.

– Taaak – odpowiedział Tom i w następnej sekundzie przyszedł mu do głowy jeden z tych pomysłów, dzięki którym nieraz w życiu osiągnął sukces.

– SA – powiedział.

Lulu popatrzyła na niego, wyraźnie skonsternowana.

– Słucham?

Tom chusteczką starł sobie krople z czoła; wystarczyła odrobina ekscytacji i natychmiast występował na nie pot. Wysokie ciśnienie krwi.

– Naziści! Musimy produkować figurki w brunatnych koszulach! Na przykład Adolf Hitler z podniesionym...

– My? – przerwała mu kpiąco Lulu.

Tom popatrzył na nią.

– Mógłbym doprowadzić pani fabrykę do rozkwitu.

– Ale dlaczego naziści?

– Naziści wygrażą wybory.

– A skąd pan o tym wie?

– Wiem. Powiedzmy, że jestem prawie pewien. A jeśli okaże się to prawdą, to dzień później rzucimy na rynek nasze figurki i to będzie wspaniały interes. Każdy chłopiec w Niemczech będzie za nimi szalał. I moglibyśmy... moglibyśmy wyprodukować figurki innych mężów stanu. Także całe wydarzenia historyczne. Lulu, możemy dzięki tym cholernym zabawkom zbić majątek!

– A jeśli naziści jednak nie...

– Wygrażą, proszę zdać się na mnie. Traperzy! Indianie! Ha, tym nie zainteresuje się już nawet pies z kulawą nogą!

Lulu uśmiechnęła się złośliwie.

– Mógłbym teraz powiedzieć, że dziękuję za podpowiedź, jak to wcielić w życie.

Tom popatrzył na nią chłodno.

– Sądzę, że nie należy pani do zbyt kreatywnych osób w pani firmie. Raczej zmarnowałyby pani znakomity pomysł.

– Jeśli zrobię z pana partnera, czego będzie pan chciał w zamian?

– Bardzo wysokiego udziału w zyskach. I mam być drugim szefem, zaraz po pani.

Lulu podniosła kieliszek z szampanem.

– Pomyślę o tym.

Byli partnerami już od sześciu lat. Kalkulacja Wolffa okazała się bardzo trafna. Produkowali figurki przedstawiające członków SA, SS, Hitlerjugend, Jungvolk, a także Hitlera, Göringa i Goebbelsa w różnych sytuacjach życiowych, wiwatujący tłum, flagi, trybuny, pochody ludzi z pochodniami... Wszystkie zabawki sprzedawały się świetnie. Najnowszym pomysłem Toma była produkcja figurek żołnierzy, armat, koni kawaleryjskich i ciężarówek wojskowych. W trakcie powszechnej militaryzacji w Niemczech wszystko to schodziło jak ciepłe bułeczki.

A poza tym Tom, od dawna oczywiście członek partii, dzięki temu otrzymał Odznakę Pomocy Zimowej. Dostarczał też drewniane figurki bożonarodzeniowe, postaci z bajek i wiele innych. Był bogatym człowiekiem. I kochankiem Lulu.

Uczyniła go drugim szefem firmy Müllers Spielwaren, ale przy każdej okazji dawała mu do zrozumienia, że tylko od niej zależy, czy utrzyma swą pozycję. Jednocześnie cały czas mówiła, że wkrótce przejdzie na emeryturę – a przecież nigdy nie pracowała – i że potrzebuje następcy.

– Kogo mam zrobić szefem, Tom?

– Mnie!

– Jeśli będziesz grzeczny...

To, że z nią sypiał, z początku nie miało dla niego żadnego znaczenia. Ponieważ Kat od lat go odtrącała, romans stanowił całkiem miłą odmianę. Ale ta zabawa coraz częściej wydawała mu się odstręczająca. Miał wrażenie, że Lulu traktuje go jak konia, który w razie oporu dostaje kostkę cukru pod nos. Rolę cukru grała fabryka. Wolff chciał ją mieć za wszelką cenę, nawet jeśli miał zostać kochankiem tej okropnej kobiety. To budziło w nim wstręt, ale cel ciągle był tego wart. Jeśli tylko zostanie szefem, będzie mógł ją wykiwać. A przynajmniej będzie mógł próbować to zrobić i być może... być może któregoś dnia wszystko będzie należało do niego. Do diabła, przecież na to zasłużył! To on rozkręcił to wszystko, on sam. Znał już treść wszystkich ksiąg rachunkowych, wiedział, że kiedyś przedsiębiorstwo miało poważne problemy, większe, niż sądziła Lulu. A teraz interesy kwitły – a ona zawdzięczała to wyłącznie jemu!

Odsunął się od śpiącej Lulu, wstał i włączył odbiornik ludowy. Na wszystkich kanałach donoszono z entuzjazmem, że Niemcy weszli do Kraju Sudetów. „Hitler zabiera Niemców do Rzeszy. Nasze oddziały powitano z wielką radością!”

Wolff wysłuchał tego z zadowoleniem. Na konferencji w Monachium kwestię Kraju Sudetów rozstrzygnięto na korzyść Niemiec, a w fabryce Lulu już produkowano jej uczestników w małym formacie. W półokręgu stały figurki Hitlera, Chamberlaina, Mussoliniego i Daladiera. Z pewnością będzie to kolejny sukces.

Lulu się obudziła.

– Już idziesz, Tom? – spytała.

Akurat wciągał spodnie.

– Muszę, niestety. Chcę zajrzeć do fabryki i sprawdzić, jak idzie praca przy układzie monachijskim. Wiesz przecież, że jeśli się wszystkiego ciągle nie kontroluje...

– Doprawdy, ty rzeczywiście poświęcasz się dla mojej firmy – powiedziała rozleniwiona Lulu.

Tom nie odpowiedział. Ona używała tego sformułowania umyślnie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. „Moja firma”. Wiedziała, że nienawidził, kiedy to podkreślała. Ale bardzo chętnie demonstrowała swoją władzę.

– Tom, kiedy znów przyjdiesz?

Wstała także i włożyła zielony, jedwabny szlafrok. Jej makijaż był rozmazany, wyglądała groteskowo i bardzo staro. Tom, jak zawsze po wspólnej nocy, był przekonany, że nigdy więcej nie będzie w stanie tego zrobić.

– Nie wiem jeszcze, Lulu. Moja żona nie powinna się o niczym dowiedzieć.

– Myślisz, że ją to obchodzi?

Lulu wyłączyła radio. Polityka nigdy jej nie interesowała.

– Chciałabym cię widzieć pojutrze wieczór, Tom.

– Pojutrze? O Boże, już pojutrze?

– Tak. Każę przygotować dobrą kolację, usiądziemy sobie przed kominkiem, wypijemy jakiegoś wina z piwnicy mojego zmarłego męża...

– Nie wiem, czy to uchodzi...

Lulu wzruszyła ramionami.

– Jeśli chociaż w połowie będziesz interesował się mną tak jak zabawkami...

– Jeśli chodzi o zabawki, to robię to dla ciebie!

Lulu uśmiechnęła się kpiąco.

– Kłamca! Ty robisz to dla siebie, wyłącznie dla siebie. Doskonale wiem, czego chcesz:

chcesz mieć moją fabrykę! Byłbyś skłonny za to umrzeć! No... Ale może jesteś bliżej celu, niż myślisz. A więc pojutrze?

Tom z trudem zdusił w sobie gniew i obrzydzenie.

– W porządku, Lulu, kochanie. Będę pojutrze.

Kiedy znalazł się na ulicy, owinął się ciaśniej płaszczem. Wiatr unosił liście z ulicy. Początek października i już tak zimno? Zadygotał, próbując odepchnąć od siebie dręczące myśli. To wrażenie, że siedzi w jakimś zamknięciu, z którego nie ma wyjścia... Poddać się teraz? Żyć z tych pieniędzy, które zarobił? Nie! Nie, jeśli można było zawalczyć o sumę dziesięć razy większą!

Wsiadł do samochodu i ruszył. Na ulicach rozdawano dodatki specjalne, informujące o wejściu Niemców do Kraju Sudetów. Roznoszący je chłopcy przekrzykiwali się wzajemnie. Tom uśmiechnął się szeroko. Uważał nazistów za głupich i zarozumiałych, a to ich gadanie o rasie aryjskiej, o powiększeniu „życiowej przestrzeni”, o tysiuletniej Rzeszy... To głupkowate *Heil Hitler* z prawą ręką wyciągniętą do góry i tyle wrzawy o byle głupstwo. Naziści gdakali głośno po każdym sukcesie, zupełnie jak kura, która właśnie zniosła jajko. Austria, Kraj Sudetów. „Teraz przyszła kolej na Gdańsk”, pomyślał Tom.

Mimo że Wolff tak nisko cenił Hitlera, uważał, że lepiej pozostawać w dobrych stosunkach z siepaczami w brązowych koszulach. Oni mieli władzę, a więc należało im schlebiać. Tom nigdy nie uważał oportunisty za błąd, lecz za prostą życiową konieczność. Jeśli ktoś był na to zbyt delikatny i wrażliwy, to był też głupi.

Jego wzrok padł na kobietę, która właśnie szła przez Karlsplatz. Elegancki płaszcz z ciemnobrązowej wełny, jedwabny szal w stonowanej zieleni, ciemne, błyszczące włosy... I ta zamknięta twarz...

Przycisnął hamulec, ignorując klakson kierowcy jadącego tuż za nim, i opuścił szybę.

– Co za radość! Felicja Lavergne!

Felicja podeszła bliżej.

– Tom Wolff! Dawno niewidziany Tom Wolff!

– W rzeczy samej. Dokąd idziesz?

– Muszę kogoś odwiedzić.

– Och, randka?

– Nie bądź głupi, Tom.

– Zawiozę cię, dokąd tylko zechcesz! – Tom wykonał ręką zamaszty ruch, wskazując swój samochód i zapraszając Felicję, aby wsiadła. – I tym sposobem będziesz pierwszą osobą, która przejedzie się moim nowym samochodem. Sprzedałem bugatti. Jak ci się podoba mój kabriolet?

– Całkiem niezły – stwierdziła Felicja i wsiadła.

– Dwadzieścia dwa tysiące marek – wyjaśnił niedbale Tom. – Sto koni. Wiesz, jak szybko mogę tym jechać?

– Nie mam pojęcia.

– Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niestety nie mogę ci tego tutaj zademonstrować.

– I tak ci wierzę. – Felicja nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo Tom ciągle był tym samym beznadziejnym chwalipiętą co dawniej. Rozsiadła się wygodnie na miękkim siedzeniu. – Chciałabym dostać się na Hohenzollernstrasse.

– Hohenzollernstrasse. Jasne!

Samochód ruszył.

Tom popatrzył na Felicję, a ona odwzajemniła jego spojrzenie i pomyślała: „Jak on się

zestarzał!”.

Tom natomiast pomyślał: „Ona ciągle jeszcze wygląda cholernie dobrze”.

Byli partnerami w interesach aż do osławionego czarnego czwartku i znali się doskonale. Nie potrzebowali przed sobą niczego udawać. Wiedzieli, że oboje są tak samo zachłanni, a czasami nie mają skrupułów. Każde z nich miało jakąś słabość, którą za wszelką cenę starało się ukryć, i potrafili się do siebie świetnie dopasować, nie odstępując od tego, co uważali za słuszne. Tom czasami mawiał do Felicji: „Kochana, jesteś dokładnie taka sama jak ja. Wcale, ale to wcale nie lepsza”. Ona protestowała, ale wiedziała, że Tom ma rację. Była do niego fatalnie podobna.

– Sądzę, że muszę ci pogratulować, Felicjo – zaczął Tom. – Słyszałem, że wiosną udał ci się strzał w dziesiątkę. Peter Liliencron przepisał na ciebie swoją firmę. Jak to zrobiłaś?

– W ogóle nic nie robiłam!

– No, no! A więc po prostu los cię wynagrodził? A za co, jeśli wolno spytać?

– Otóż nie wolno pytać, Tom. Wyjątkowo cała ta historia nie powinna cię obchodzić.

– Hmm... To gdzie znikł Liliencron?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Tom roześmiał się cicho.

– Zakład, że wiesz lepiej niż ktokolwiek! Ale nie będę cię wypytywał. Nieważne, gdzie jest Liliencron. Ty w każdym razie osiągnęłaś swój cel. Kolejny raz. I wiesz, że za to cię podziwiam!

– Dzięki. Miło jest mieć wielbiciela. A nawiasem mówiąc, co porabiają twoje milutkie drewniane figurki?

– Interes kwitnie – odpowiedział Tom, nie kryjąc zadowolenia. – I powtarzam: naziści w pokoju dziecięcym to jeden z najlepszych pomysłów w moim życiu!

– Tu rzeczywiście podziwia cię każdy, Tom, nie tylko ja. Tak czy owak, do szczęścia brakuje podstawowego elementu, prawda? Zarabiasz mnóstwo pieniędzy w imperium pani Müller, ale nie posiadasz choćby jednej jego cząstki!

Tom popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

– Tak, jeśli o to chodzi, to jesteś lepsza o ten jeden decydujący element. Ale całkiem możliwe, że nadrobię tę zaległość!

– O tym jestem przekonana – odparła uprzejmie Felicja.

Całe Monachium wiedziało, że Tom sypiał z koszmarną Lulu i dlatego to robił. A że Lulu była równie przebiegła co on, nikt nie miał wątpliwości, że ta pokerowa rozgrywka stanie się jeszcze bardziej ekscytująca.

Tom i Felicja milczeli, aż wreszcie dotarli na Hohenzollernstrasse. I dopiero wtedy Wolff zapytał:

– A więc do kogo właściwie teraz idziesz?

– Chcę odwiedzić przyjaciół. Powinieneś ich też znać. Sara i Martin Eliasowie.

– Martin Elias, syn tego znanego bankiera?

– Tak. Tyle że ten bank nie należy już do starego Eliasa. Pewnie się domyślasz, dlaczego...

– No tak. Żydzi.

– Martin jest pisarzem, ale nie może już nic publikować. Pracuje teraz w redakcji małej gazety za głodową stawkę. A Sara znalazła posadę w żydowskim przedszkolu. Obojgu z trudem udaje się przetrwać.

– Wierzę. Żydom utrudnia się życie na każdym kroku.

– Zobaczę, czy będę mogła coś dla nich zrobić. Do widzenia, Tom. Dzięki za



podwieszenie.

Patrzył za nią, kiedy szła w stronę kamienicy. Od ponad dwudziestu lat robił wszystko, aby jej dorównać, ale dzieliły ich niewidoczne bariery wynikające z pochodzenia. On był synem chłopca spod czeskiej granicy, a ona pochodziła z berlińskiej rodziny o kilkusetletniej tradycji, do której należał też majątek w Prusach Wschodnich. I nawet gdyby Tom posiadał wszystkie pieniądze tego świata, to i tak nie dorówna Felicji. Nigdy.

Odepchnął od siebie te myśli i opanował się. Dzisiaj wieczór miał gości. Przyjaciół gauleitera. Musiał być w znakomitej formie.

#### 4.

Belle i Max zawarli kompromis. Nie wprowadzili się do babci Belle mieszkającej przy Schlossstrasse, ale też nie zamieszkali w smutnym, skromnie urządzonej sypialni w Prenzlauer Berg. Max znalazł mieszkanie przy Alexanderplatz, na które mogli sobie pozwolić. Składało się z trzech pokoi, kuchni i łazienki. Belle uznała okolicę za opustoszałą i nieładną, nie podobał jej się również budynek – szara czynszowa kamienica bez śladu zieleni przed wejściem. Jednak ze względu na to, że Max poszedł jej na rękę i zrezygnował ze swojego dotychczasowego mieszkania, nie chciała być małostkowa. Jej matka przysłała pieniądze na urządzenie lokalu, toteż Belle spędzała całe popołudnia w sklepach z meblami i wyszukiwała odpowiednie szafy, fotele, dywany i materiały na zasłony. Felicję ciągle jeszcze dręczyły wyrzuty sumienia z powodu nieobecności na weselu córki, dlatego też była bardzo wielkoduszna, gdy wypisywała czek. Belle zamieniła więc mieszkanie w mały apartament pełen luster, poduszek i pięknych obrazów. Wszystko musiało być luksusowe, nowe i eleganckie. Dziewczyna upajała się swoimi osiągnięciami w urządzeniu mieszkania i z niepozobawioną wściekłością przekorą oddawała się zakupowemu szaleństwu, ponieważ Maxa to irytowało. Co prawda przeważnie nic nie mówił, ale ona dostrzegała, że się na to nie godzi. Pogardzał luksusem, uważał go za zbędny i dekadentki.

– Po co nam wiaderko do szampana? – spytał, nie kryjąc już przerażenia, kiedy Belle postawiła na stole najnowszą zdobycz.

Ale ona, zupełnie niezrażona, uniosła w górę butelkę.

– Po to. Dziś wieczorem będziemy pili szampana!

Max w czasie popołudniowej próby doznał sporo przykrości. Był zmęczony i rozdrażniony.

– Rozumiem. Ledwo możemy zapłacić czynsz, ale szampan musi być.

Belle zapaliła świecę, starając się za wszelką cenę zachować spokój i uratować wieczór.

– To babcia zafundowała nam tego szampana. A wiaderko kupiłam za pieniądze od mojej matki. Jak więc widzisz, nie musisz się martwić.

– Gdyby nie twoja rodzina – odpowiedział złośliwie Max – idę o zakład, że poślubiłabyś nie mnie, ale jakiegoś bogacza. Bo przecież ty nie możesz się obyć bez luksusu!

– Po prostu mam odrobinę wyczucia estetycznego, to wszystko!

Max patrzył na jej delikatną twarz, długie, mocno wytuszone rzęsy i pomalowane na czerwono usta.

– Tak... Prawdopodobnie masz rację. Tobie potrzebne jest piękne, eleganckie otoczenie i takie samo towarzystwo. Ale ja do tego nie pasuję.

– Max, proszę, nie zaczynaj znowu! – powiedziała z rozpaczą Belle.

Jeden wieczór pragnęła spędzić bez tych nużących dyskusji. Chciała, aby to było małe święto, bo po wielomiesięcznych występach w głupawych filmach reklamowych wreszcie dostała rolę w prawdziwym filmie fabularnym. Herbert Selpin przydzielił jej epizodyczną rolę w produkcji zatytułowanej *Kocham cię*, ale bądź co bądź miała grać u boku Luise Ullrich i Viktora de Kowy. Belle cieszyła się bardzo i wprost paliła się, aby opowiedzieć o wszystkim Maxowi, nagle jednak przeszła jej ochota i nie wspomniała o tym ani słowem. Zjedli w milczeniu kolację, potem zmyli naczynia, także nic nie mówiąc. Max umówił się z kilkorgiem przyjaciół w jakiejś knajpie, bo tego wieczoru nie występował w żadnym przedstawieniu.

– Może chciałabyś pójść ze mną? – spytał uprzejmie.

Belle popatrzyła na niego chłodno.

– Dziękuję bardzo, ale ponieważ nie jestem na tyle błyskotliwa, aby wnieść coś do waszych wzniosłych dyskusji, wolę zostać w domu i położyć się do łóżka. Ale życzę ci miłej zabawy.

Przez chwilę miała wrażenie, że Max po prostu odwróci się i wyjdzie z mieszkania, ale on po chwili zastanowienia podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie jednym z tych rzadkich, pełnych tkliwości ruchów, dzięki którym Belle bez żadnych oporów chroniła się w jego ramionach.

– Jesteś mądrą młodą kobietą, Belle – rzekł cicho. – A ja tak bardzo chciałbym, abyś dzieliła się ze mną swoimi myślami, gdyby sięgały dalej niż czubek twojego nosa!

Belle czuła jego ciepły oddech na swoich włosach. Kusilo ją, aby mu powiedzieć, że go kocha, bo mimo wszystko była przekonana, że tak jest, ale on zepsuł jej całą radość tego wieczoru.

Odepchnęła go lekko.

– Miłe, że jednak przypisujesz mi posiadanie odrobiny rozumu. Ale ponieważ mimo wszystko moje horyzonty myślowe są dość ograniczone, nie obarczaj się moim towarzystwem.

Po tych słowach odwróciła się i znikła w sypialni. Przez zamknięte drzwi słyszała, że Max wyszedł z mieszkania. Łzy napłynęły jej do oczu. Czuła żal i złość. Do diabła, była przecież młoda, chciała się bawić, miała do tego prawo. Chciała wychodzić wieczorami, ale nie spotykać się z tymi naprawiaczami świata, którzy szeptem pomstowali na Hitlera i marzyli o Berlinie lat dwudziestych. Ona chciała tańczyć i poznawać wesołych ludzi. Niewiele myśląc, pozbiierała trochę pieniędzy, które znalazła w domu. Postanowiła pójść do dozorczyńni i poprosić o możliwość zatelefonowania. Do kuzyna Paula. Może będzie mogła się z nim umówić. On przynajmniej jej stale nie pouczał.

Paul Degnelly był rozmarzonym, młodym mężczyzną. Wysokim, inteligentnym, delikatnym i powściągliwym blondynem. Urodził się w 1915 roku, w samym środku wojny, a jego patriotyczna matka wybrała dla niego imię na cześć Paula von Hindenburga, dowódcy zwycięskiej armii w bitwie pod Tannenbergiem. W skrytości ducha marzyła, że dzięki temu jej syn także kiedyś zostanie kimś równie wielkim. Jednak bardzo szybko okazało się, że Paul nie miał żadnych skłonności ani upodobań, aby podążać w tym kierunku. W tym bardzo przypominał ojca, który nigdy nie mógł się uporać z przerażającymi wspomnieniami z ostatniej wojny. Kancelaria Johanna Degnelly'ego cieszyła się w Berlinie znakomitą opinią, zarówno dzięki fachowości adwokata, jak i jego osobistym przymiotom. „To prawdziwy pan”, mawiali o nim ludzie. Paul był zdecydowany iść w ślady ojca, ale te plany odwlekły się w czasie z powodu ponownego wprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej w 1935 roku. Paul musiał więc iść do wojska, a ponieważ zawsze interesował się samochodami, zgłosił się do jednostki zmechanizowanej.

– Będę tam mógł od razu zrobić prawo jazdy – wyjaśnił ojcu.

Szybko się jednak okazało, że „pojazdy zmechanizowane” to kryptonim niedawno wyprodukowanych niemieckich czołgów. Paul został zatem czołgistą. I prześladowała go w tym czasie tylko jedna myśl: „Mam nadzieję, że nigdy nie będzie wojny!”

Teraz studiował już prawo, marzył, że któregoś dnia zacznie pracę w kancelarii ojca, i uważał, że wszystkie czołgi mogłyby pochłonąć piekło. Ucieszył się, kiedy zupełnie niespodziewanie zadzwoniła do niego kuzynka, i natychmiast umówił się z nią na kolację. Belle zabrała ze sobą przyjaciółkę, Christine, bo uznała, że we troje będzie weselej. Paula zaś tak zafascynowała ta młoda dziewczyna, że od pierwszej chwili nie spuszczał z niej wzroku.

Poszli na kolację do Horchera. Belle kupiła sobie nową suknię z ciemnozielonej wełny przepasaną w talii szerokim, czarnym pasem. Intensywna zieleń sprawiła, że jej ciemne włosy

nabierały lekko czerwonego odcienia. W uszach błyskały kolczyki ze sztucznych diamentów. Dziewczyna pomalowała oczy tak, że sprawiały wrażenie lekko skośnych, i w efekcie przypominała kota, który wybrał się na nocne polowanie. A ponieważ Paul i Christine zajmowali się tylko sobą, wodziła wzrokiem po sali, aż w końcu natrafiła na spojrzenie jakiegoś mężczyzny. Siedział kilka stolików dalej ze starszą blondynką w wyraźnie za ciasnej, różowej, jedwabnej sukni z bufiastymi rękawami. Nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany swoją towarzyszką.

Belle opuściła wzrok, wpatrywała się w niego już o wiele za długo. Ale po chwili jak zahipnotyzowana popatrzyła znów w tym kierunku i stwierdziła, że on nadal się w nią wpatruje. I uśmiechał się do niej.

„Trochę zarozumiały”, pomyślała, grzebiąc widelcem w sałatce.

– Możemy jutro zjeść obiad w stołówce studenckiej – powiedział Paul do Christine.

– Będę tam o trzynastej – odparła dziewczyna.

Oboje sprawiali wrażenie tak pochłoniętych sobą, że aż nieobecnych.

Po kolacji Belle zaproponowała, aby pójść jeszcze do baru, ale ani Paula, ani Christine nie zachwylił ten pomysł.

– Ja mam jutro kolokwium – oświadczyła Christine. – Właściwie nie chciałabym zbyt późno wrócić do domu.

– Odprowadzę panią – zaoferował natychmiast Paul i dodał: – Ciebie oczywiście też, Belle.

– Nie kłopot się mną. Może pójde jeszcze do kina, zobaczę. W każdym razie nie jestem wcale zmęczona.

– Nie możesz przecież iść sama do kina – zaprotestował momentalnie Paul. – Co by na to powiedział Max?

I tak irytował go fakt, że Belle wyszła z domu bez męża i że nie uważała tego za niestosowne.

– Max nic nie powie, bo i tak niespecjalnie interesuje go to, co robię. – Belle westchnęła. – Słuchajcie, wracajcie do domu, a ja obejrzę jakiś film i też wrócę. Przysięgam, że będę grzeczna!

Paul szybko zrozumiał, że ona i tak robi to, co zechce, wszyscy pożegnali się więc przed restauracją. Belle musiała wysłuchać jeszcze tysiąca upomnień, po czym Christine i Paul wsiedli do taksówki i odjechali.

Dziewczyna otuliła się ciasniej płaszczem, po czym zrobiła kilka niezdecydowanych kroków. W ogóle nie zaskoczyło jej, że w tym momencie pojawił się obok niej mężczyzna z restauracji. Jego odziana w różową suknię towarzyszką gdzieś znikła.

– Czy chciałaby pani pójść do baru? – zapytał.

Belle miała na końcu języka złośliwą odpowiedź, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Coś osobliwego było w jego głosie... Nie, nie w jego głosie, tylko w sposobie, w jaki mówił. Nie był to dialekt, ale ta intonacja... Belle mogłaby przysiąc, że pochodził z Prus Wschodnich. I gdyby się do niej zalecał, to tylko dzięki temu miałby większe szanse. Wszystko, co w choćby najbardziej odległy sposób przypominało jej Lulinn, czyniło ją bezbronną.

– Nazywam się Andreas Rathenberg. Ma pani teraz dwa wyjścia: albo pójdzie się pani ze mną napić, albo powie mi, abym zostawił ją w spokoju. Ale wówczas nigdy mnie już pani nie zobaczy.

Uśmiechnęła się.

– Nie odważy się pan spróbować po raz drugi?

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Taka okazja raczej się nie powtórzy.

Belle w pierwszym odruchu chciała go po prostu zostawić na ulicy, ale ku swojemu zaskoczeniu nie zrobiła tego. Prawdopodobnie dlatego, że w jego głosie usłyszała Lulinn. Ale kiedy on przywołał taksówkę i ujął ją pod ramię, cofnęła się o krok.

– A gdzież owa dama, z którą pan właśnie jadł kolację? – spytała.

Andreas zrobił zabawny grymas.

– Proszę mi o niej nie przypominać! To żona jednego z przyjaciół, z którym robię interesy, a więc obowiązek. Na szczęście nie czuła się zbyt dobrze i kazała swojemu szoferowi odwieźć się do domu. – Otworzył drzwi taksówki. – A więc jak? Pojedzie pani ze mną?

Czysta przekora w stosunku do Maxa skłoniła Belle, aby wsiąść do taksówki. Od razu też zganiła się i uznała swoje zachowanie za dziecinne i głupie. „Oczywiście nie dopuszczę, aby z tego wynikła jakaś historia”, przykazała sobie surowo.

W samochodzie Andreas spytał:

– Jak pani się nazywa?

– Belle Lombard.

– Belle... To idealnie pasuje do sytuacji!

I w tym samym momencie zauważyła własny błąd.

– Ach, nonsens. Nie nazywam się już Lombard, lecz Marty. Belle Marty. Jestem mężatką od maja.

Była zła na siebie za tak idiotyczny błąd. Zareagował od razu.

– Czy często pani o tym zapomina? – dopytywał.

Uniosła brwi.

– Bardzo rzadko – odpowiedziała.

Przez kilka chwil oboje milczeli, a potem Belle nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Königsberga\*. Ale od wielu lat mieszkam w Berlinie.

– Och – wiedziałam! Usłyszałam to. Pan musi pochodzić z Prus Wschodnich!

– Pani też jest stamtąd?

– Tak, z Insterburga. Moja rodzina ma tam majątek. Jeżdżę tam tak często, jak tylko mogę.

Popatrzył na nią przeciągle i tym razem w jego wzroku nie dostrzegła pozerstwa zarozumiałego światowca, a trochę ciepła i zrozumienia.

– Pani kocha tę posiadłość.

– Tak – odparła wprost.

– Ludzie z tamtych stron tak naprawdę nigdy od nich nie uciekną – oświadczył Andreas, po czym wyciągnął portfel, zawachłował banknotem i dał taksówkarzowi zbyt wysoki napiwek. Chętnie się trochę i wyraźnie go to bawiło. Zaprowadził Belle do rosyjskiego lokalu tanecznego i zamówił butelkę krymskiego szampana. Wysłuchał spokojnie jej opowieści o pracy w UFA, po czym z mieszaniną kpiny i podziwu nazwał ją Gretą Garbo. Około drugiej w nocy oboje wzniesli toast wódką.

– Nie nazywaj mnie tak, Andreasie – powiedziała nieco bełkotliwie.

– To znaczy jak?

– Nie nazywaj mnie Gretą Garbo!

Andreas przechylił się przez stół i pocałował ją w policzek.

– Ale jesteś tak piękna jak ona. I tak zimna jak ona. Tak wyniosła i drażliwa jak ona. Zakocham się w tobie, Belle.

Belle się uśmiechnęła.

– To nic nie da. W ogóle nic. Dopóki ja się w tobie nie zakocham.  
Zakochała się w nim w chwili, kiedy wypowiadała te słowa.  
\* Królewiec (od 1946 roku Kaliningrad).

## 5.

Im bliżej był swego mieszkania, tym wolniej szedł. Tak działo się każdego dnia. Nie dlatego, że nie chciał widzieć swojej żony, bo się pokłócili czy też nudzili ze sobą. Nie, on nigdy nie nudziłby się z Sarą i w gruncie rzeczy jeszcze nigdy tak naprawdę się nie pokłócili. Owszem, dyskutowali, to tak. Mogli dyskutować całymi nocami o Bogu, świecie, w ogóle o wszystkim, co tylko przychodziło im na myśl, i w którymś momencie jedno z nich stwierdzało, że minęła północ i że dobrze byłoby powoli zbierać się do spania. Ale w ostatnim czasie – właściwie od jakichś dwóch lat – ich rozmowy dotyczyły tylko jednego: wyjedziemy z Niemiec czy zostaniemy tutaj? I nie były już gorące, lecz pełne rozpaczy i niepokoju. Sara często wybuchła płaczem. Czuła głęboki lęk przed nazistami i bardzo cierpiała z powodu szykan, na które narażeni byli teraz Żydzi. On oddałby wszystko, by widzieć ją znów roześmianą, i to przez jej smutną, bladą twarz każdy wieczór po powrocie do domu wydawał mu się ciężki i nieznośny.

Martin Elias był synem monachijskiego bankiera, jednak bardzo wcześnie opuścił dom rodzinny i przez długi czas aktywnie działał w ruchu socjalistycznym. Po ślubie z berlińską Żydówką Sarą napisał powieść, która spotkała się z dużym uznaniem, a którą w maju 1933 roku naziści demonstracyjnie spalili wraz z innymi książkami. Nadzorowana przez Josepha Goebbelsa Izba Kultury Rzeszy, surowo kontrolująca artystów i twórców, już wiosną 1934 roku zakazała Eliasowi prowadzenia dalszej działalności pisarskiej. Martin znalazł więc pracę w redakcji mało ambitnej gazetki, donoszącej głównie o wydarzeniach ze świata sportu, na której okładkach umieszczano germańskich umiędzionych bohaterów o jasnych włosach. Martin uważał teksty, które musiał pisać, za głupie, ale tylko w ten sposób mógł zarobić jakieś pieniądze. A tych bardzo potrzebowali, aby zapłacić czynsz. Sara pracowała w żydowskim przedszkolu, które nie otrzymywało żadnych dotacji od państwa, toteż jej pensja była bardzo niska.

„Oni będą zapędzać nas w ślepy zaułek, aż w końcu opuścimy ten gościnny kraj”, pomyślał ogromnie zmęczony Martin.

Otworzył drzwi wejściowe i włożył kapcie. Był zimny i wietrzny dzień – 9 listopada. Hitler jak zwykle świętował rocznicę swojego nieudanego puczu i bitwy pod Portykiem Marszałków w 1923 roku. W Monachium niemal wszędzie wywieszono flagi. Tego przynajmniej nie musieli robić Sara i Martin, nawet nie było im wolno. Ustawy norymberskie zabraniały Żydom wywieszania flag ze swastyką.

Sara wróciła już do domu bardzo zmęczona i zniechęcona. Była to niepozorna, nieśmiała kobieta i tylko osoba, którą obdarzyła wielkim zaufaniem, miała szansę dostrzec jej poczucie humoru, wnikliwość w rozumieniu świata i zdecydowanie. Ludzie jednak przestawali interesować się nią zbyt szybko, aby móc to zauważyć.

Z kuchni dobiegała woń smacznego obiadu, Sara coś smażyła, z brzękiem przesuwając garnki i talerze. Były to przyjemne odgłosy domowej krzątania. „Nasze życie mogłoby być takie dobre!”, pomyślał z gniewem Martin. „Kochamy się, mamy śliczne mieszkanie, bezwarunkowo sobie ufamy. Gdyby nie naziści, pisałbym dalej powieści, a Sara zarabiałaby lepiej. Kiedyś urodziłaby dziecko”.

Oboje tak bardzo chcieli mieć dzieci. Gdy jego książka się ukazała i znakomicie się sprzedawała, Martin, nie kryjąc radości, powiedział: „Zarobię tyle pieniędzy, że któregoś dnia wynajmiemy mały domek z ogródkiem. I wówczas będziemy mieć dziecko. Albo dwoje dzieci. Albo troje”. Piękne marzenie.

– Witaj, Saro! – Pocałował żonę, a ona objęła go w milczeniu. Lubił jej tkiwość, tak

łagodną i uspokajającą. Wtedy wydawało mu się, że życie i świat nie mogą być aż tak złe.

– Możemy zaraz jeść – powiedziała.

Nakryła już do stołu, zapaliła świecę i, zamiast wina, na które nie mogli sobie pozwolić, postawiła na stole butelkę soku jabłkowego. Na pierwsze danie podała zupę, a potem ziemniaki z ugotowanymi jarzynami.

– Wzruszasz mnie, Saro – przyznał Martin. – Po tak ciężkim dniu stoisz jeszcze w kuchni i przygotowujesz tak pyszne jedzenie. – Obserwował, jak nabiła na widelec ostatnie ziarnko grochu i niechętnie wsadziła do ust. – Znów nie masz apetytu, prawda? – spytał.

– Martwię się. Dziś w przedszkolu znowu brakowało dwojga dzieci. A to oznacza, że z rodzicami wyjechały za granicę. Do Holandii. Martinie...

Westchnął głośno. Znów wracali do tego samego tematu. Sara chciała wyjechać. Chciała za wszelką cenę stąd zniknąć.

– Martinie, dostałam list od mojej matki. Ona jest zdecydowana wyjechać do Ameryki. Mamy w Oklahomie dalekiego krewnego i on ją przyjmie do siebie. Nas też na pewno nie zostawiłby w potrzebie. O ile zdecydujemy się zrobić ten krok!

Martin odsunął od siebie pusty talerz.

– To jest właśnie to, czego oni chcą. Tak nas prześladować i niszczyć, aż w końcu dobrowolnie stąd wyjedziemy. Saro, naprawdę chciałabyś wyświadczyć im tę przysługę?

– Nie rozumiem, jak to może być dla ciebie kwestią dumy! A niech sobie triumfują. Skoro chcą wypędzić nas z naszej ojczyzny, to na Boga, pozwól im na to! Jeszcze możemy wyjechać. To może być nasza ostatnia szansa. Boję się.

– Nie musisz się obawiać.

– Ale ja się naprawdę boję. Widzę przerażające rzeczy... Nocami, w moich snach... i za dnia, kiedy idę ulicami...

Martin się nie śmiał. Sara posiadała osobliwy dar jasnowidzenia i to od zawsze. Nie potrafiła podać jakiejś dokładnej prognozy, ale odczuwała dziwne wahania, które stanowiły jednocześnie ostrzeżenia. Nagle przechodziła bez potrzeby, ale i zastanowienia na drugą stronę ulicy, a kilka sekund później, dokładnie na to miejsce, gdzie przed chwilą stała, z dachu spadała cegła. Jakiś czas temu, tuż przed wyjściem z domu z Martinem, oświadczyła, że ma „dziwne przeczucie”, które każe jej zostać. Zamierzali udać się do restauracji, w której podawano koszerne potrawy i gdzie zawsze spotykali się z przyjaciółmi. Później okazało się, że właśnie w tym lokalu gestapo urządziło łapankę i wielu gości aresztowano. Kiedy przed laty oboje wprowadzili się do tego mieszkania, Sara zauważyła, że są tu tylko jedne drzwi, prowadzące na ulicę, i że brakuje tylnego wyjścia na podwórze.

– Ten dom ma tylko jedno wyjście, Martinie. Bardzo mnie to niepokoi.

Mimo wszystko wprowadzili się tam, ale po dziś dzień, mimo że nigdy nic się nie stało, kobieta wciąż odczuwała nieokreślony lęk.

– Saro, oni tak naprawdę nie mogą nam nic zrobić – powiedział Martin. – Mogą nas szykanować i utrudniać nam życie, ale przetrwamy to i któregoś dnia ten koszmar się skończy.

– Może jednak tego nie przetrwamy – odparła Sara i nagle zbladła jak ściana.

Martin patrzył na nią z niepokojem.

– Co się dzieje?

Ale ona wstała nagle i cofnęła się o krok. W następnej sekundzie z trzaskiem pękła szyba w oknie. Do pokoju wleciała cegła i spadła dokładnie na krzesło, na którym dopiero co siedziała Sara. Usłyszeli okrzyki:

– Żydzi, świnie! Wychodźcie, wy, Żydzi, świnie! Pokażcie się!

Sara cofnęła się jeszcze bardziej i znalazła się w cieniu. Martin także wstał i chwycił ją za



rękę.

– Spokojnie, Saro. Oni są pijani.

– Skąd wiesz? – W głosie Sary słyhać było narastającą panikę. – Oni nie są pijani. Oni to robią świadomie. Zabijają nas, Martinie, zabijają nas!

– Brudni Żydzi! – dobiegł okrzyk z zewnątrz.

Martin objął mocno Sarę ramionami.

– Nie bój się. Jestem z tobą.

Sara zaczęła szlochać, wprawdzie zupełnie bezgłośnie, ale tak gwałtownie, że dygotała całym ciałem. Na zewnątrz zapadła cisza. Typy z ulicy gdzieś odeszły. Może rzeczywiście była to grupka pijaków?

Następnego ranka wiedzieli więcej. Pewien młody Żyd Herszel Grynszpan zastrzelił w ambasadzie niemieckiej w Paryżu sekretarza Ernsta von Ratha, biorąc go za niemieckiego ambasadora. To wydarzenie było punktem zapalnym. W całej Rzeszy zapłonęły synagogi, ulicami ciągnęły oddziały SA, które rozbijały szyby wystawowe w żydowskich sklepach, po czym demolowały je i plądrowały. Zaatakowano i aresztowano też wielu obywateli narodowości żydowskiej. Takim akcjom towarzyszyły nienawistne przemowy w radiu. 9 na 10 listopada 1938 roku przeszedł do historii jako tak zwana noc kryształowa i stał się początkiem końca.

Kiedy następnego dnia Martin zjawił się w redakcji, na jego biurku leżała kartka z wiadomością, że szef chce z nim porozmawiać, więc udał się do niego natychmiast. Jego stosunki ze starym Heinzem Sturmem układały się dobrze, ale tym razem Martin przeczuwał, że stanie się coś złego.

– Wie pan, co stało się ostatniej nocy, panie Elias? Tak, oczywiście, wie pan...

– Tak. Na szczęście kosztowało nas to tylko jedną szybę w oknie. Ale moja żona bardzo się tym przejęła.

– Tak... mogę sobie wyobrazić... To wszystko jest bardzo nieprzyjemne... – Sturm nie miał nic przeciwko Żydom. Nie rozumiał, co nagle zaczęło się dziać w Niemczech. Nie chciał tylko, aby wciągnięto go w wir wydarzeń, był za stary i nie miał już nerwów. Wstał. – Pan... pan wie, że uważam pana za bardzo dobrego pracownika. Naprawdę dobrego i godnego zaufania. Ja... bardzo mi przykro, ale... – Zamachał bezradnie rękami.

– Wypowiada mi pan pracę – powiedział Martin. Poczul, że nagle zrobiło mu się zimno.

Sturm unikał jego wzroku.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie pozostaje mi nic innego. Ja... gdybym tylko mógł inaczej...

– Czy wywierano na pana presję?

– Dziś w nocy odebrałem kilka anonimowych telefonów. A poza tym znalazłem w skrzynce anonimowy list. Ktoś napisał, że hańbą jest zatrudnianie Żydów w gazecie, która propaguje aryjskie podejście do koleżeństwa i takiego samego sportowego ducha. Zagrożono mi sankcjami...

Martin dostrzegł wyraźne cienie pod jego oczami. Pomyślał ze współczuciem, że prawdopodobnie Sturm miał za sobą ciężką noc.

– Rozumiem.

– Nie uważam tego za słuszne, panie Elias, naprawdę. Ale jestem starym człowiekiem, nie mogę nic zrobić. Ta gazeta to wszystko, co mam... A zagrożono mi, że zmuszą moich abonentów, by przestali zamawiać pismo. Nie mogę sobie na to pozwolić, proszę mnie zrozumieć...

– Tak, rozumiem – powtórzył Martin. – Zapewne należy obawiać się nazistów – powiedział i odwrócił się do wyjścia.

Kiedy był już przy drzwiach, Sturm dodał:

– Niech pan opuści Niemcy, panie Elias. Niech pan stąd wyjeżdża, póki nie jest za późno.

Martin zamknął drzwi i wyszedł na ulicę. Szedł przed siebie na ślepo. Czuł się zmęczony. Z nieba leciała lodowata mżawka, wokół było pełno ludzi i pędzących samochodów. Zwykły czwartek, każdy szedł do pracy. Tylko nie on, Martin. Był teraz bezrobotny. Co robi bezrobotny w czwartkowy poranek? Spaceruje po mieście, ogląda wystawy? Marzy na ławce w parku? Pogoda nie była zbyt zachęcająca. Martin szedł bez celu ulicą z nisko opuszczoną głową, kryjąc twarz w postawionym wysoko kołnierzu płaszcza. Wszędzie było widać ślady nocnych zamieszek. Tu i ówdzie leżały rozbite szyby, na ścianach wypisano nienawistne hasła i obelgi: „Nie kupujcie u Żydów!”, „Żydzi, wynoście się z Niemiec!”. Młoda, wynędzniała kobieta próbowała zmyć wielką gwiazdę Dawida, którą ktoś wymalował na ścianie jej domu. Dwóch chłopców wykrzykiwało w jej stronę obsceniczne uwagi.

„Niech pan opuści Niemcy, panie Elias. Niech pan stąd wyjeżdża, póki nie jest za późno”. Tak powiedział Sturm. Martin ciągle jeszcze słyszał te słowa. Także głos Sary: „Oni nas zabijają, Martin, oni nas zabijają!”.

Wszedł do małej kawiarni, zamówił herbatę. Udało im się. Zniszczyli jego karierę pisarską i przyszłość. Odebrali mu pracę. Został bez środków do życia, żona będzie go utrzymywać. Ale, do cholery, nie zmuszą go do opuszczenia ojczyzny. Nie upadnie przed nimi na kolana.

Nie będą w stanie posunąć się dalej w swoich represjach.

W tym samym czasie Andreas Rathenberg otworzył drzwi swojego berlińskiego apartamentu i wpuścił do środka Belle.

– Wejdz, proszę. Rozejrzyj się i poczuć się jak u siebie.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze pięknej willi w dzielnicy Charlottenburg przy Berliner Strasse. Na pierwszy rzut oka wydawało się gustownie urządzone – i drogo. Delikatne, miękkie dywany na podłogach, stare obrazy na ścianach, lśniące zasłony w oknach, dzbanki i rzeźby. Nonszalancki nieporządek, świadczący o wyrafinowanym życiu, jakie tu prowadzono: tu i ówdzie leżały czasopisma, książki, krawaty, na stoliku koło kanapy popielniczka pełna niedopałków, obok dwa kieliszki i butelka po szampanie.

– Chaos i trochę bałaganu – stwierdził Andreas. – Przepraszam. Moja sprzątaczką przychodzi dopiero w poniedziałek.

– Mnie się tu podoba – odpowiedziała Belle.

Podeszła do okna w salonie i wyjrzała. Za domem znajdował się niewielki ogród, w którym rosły wysokie, stare kasztanowce, teraz oczywiście bezlistne, ale latem zapewne tworzyły coś na kształt zielonej ściany. Po murach piął się bluszcz obrastający szczelnie okna. Wydawało się, że gdyby nie szyby, wdarłby się i do pokoju.

– Naprawdę – powtórzyła dziewczyna – podoba mi się tu bardzo.

Zauważyła niepokój w swoim głosie i chrząknęła.

Andreas się uśmiechnął.

– Usiądź, proszę. – Wskazał kanapę.

Belle ostrożnie zajęła miejsce. Żałowała już, że tu z nim przyszła. Ale z drugiej strony było to dopiero przedpołudnie i chyba nie należało dopatrywać się w tym czegoś niestosownego. Max sądził, że poszła na zdjęcia do filmu reklamowego. Nie powinna go okłamywać, ale czy miała przyznać: „Poznałam nocą na ulicy pewnego mężczyznę, który dziś chce mi pokazać swoje mieszkanie”?

– Baw się dobrze – powiedział do niej mąż rankiem, kiedy wychodziła.

Miał wolne przedpołudnie i siedział w kuchni, czytając gazetę. Nie zastanowiły go jej

szykowny strój i mocny makijaż. Miała na sobie ciemnozieloną, robioną na drutach suknię, buty na wysokich obcasach i drogie pończochy. Zwykle nie wychodziła do studia ubrana tak elegancko, bo i tak musiała się tam przebrać i poddać zabiegom charakteryzatorki.

„On prawie na mnie nie patrzy”, pomyślała ze złością. Gniew, który rankiem stanowił impuls do wyjścia, teraz wyraźnie opadł. Jakież to idiotyczne, siedzieć tutaj i czekać na to, co się stanie! W rezultacie Andreas uzna ją za głupią gęś, którą prawdopodobnie była. Lecz to osobliwe mrowienie w brzuchu, trochę nerwowe, trochę niepokojące, ale i trochę przyjemne... Jak to często miało miejsce, Belle opanowały sprzeczne, typowe dla niej uczucia: pragnęła czegoś, ale jednocześnie znalazła się jakby poza własnym ciałem i patrzyła na siebie, unosząc brwi w kpiącym geście. „Siedzisz tu, Belle Marty, masz na sobie piękną suknię, pachniesz dobrymi perfumami i wydaje ci się, że jesteś światową kobietą. Ty głupia, mała dziewczynko!”

– Chcesz się czegoś napić? – spytał Andreas.

– Tak, poproszę.

Właściwie nie czuła pragnienia, ale pomyślała, że jeśli dostanie kieliszek, to przynajmniej będzie wiedziała, co robić z rękami.

Andreas znikł w kuchni. „Właściwie niewiele o nim wiem”, pomyślała.

Miał trzydzieści dwa lata, był więc młodszy od Maxa, pracował na kierowniczym stanowisku w zakładzie produkującym stal szlachetną, będącym bezpośrednim dostawcą dla przemysłu zbrojeniowego. Mężczyzna zarabiał krocie.

– Tak naprawdę pojawienie się nazistów to najlepsze, co mogło mi się przytrafić – powiedział kiedyś. – Zbrojenia to źródło ogromnych pieniędzy.

Belle lubiła jego sposób bycia. Także jego sposób myślenia, który nie był jej obcy, tak jak Maxa. Andreas jako człowiek interesu dbał jedynie o zyski. Max zapewne odmówiłby dostarczania stali do produkcji broni, podobnie jak odmówił występowania w teatrze podlegającym Goebbelsowi. Wolałby zacisnąć pasa, a nawet głodować, niż złamać swoje zasady. Belle wiedziała, że powinna uważać taką postawę za bardzo szlachetną, ale jakoś jej się to nie udawało. Większym szacunkiem darzyła pragmatycznego Andreasa, ale, jak to często bywało, pogardzała za to samą sobą.

Rathenberg wrócił do pokoju z butelką i dwoma kieliszkami, po czym nalał jej wina. Czerwonego wina. Belle popatrzyła na płyn i pomyślała z irytacją: „Rankiem, o dziesiątej czerwone wino! Jakie to głupie i prostackie!”

Ale właśnie bezpośredniość w zachowaniu Andreasa rozbijała ludzi, a jego szczerość i otwartość zaskakiwała. Belle jednak uważała takie cechy za niezbyt godne podziwu, choć mimo wszystko fascynujące. Ktoś inny starałby się stworzyć ukradkiem romantyczny nastrój, a Andreas postawił przed nią kieliszek, nalał po brzegi ciężkiego, czerwonego wina i wznosił toast:

– Za twoją karierę, Belle!

Wypiła ostrożnie jeden łyk i odpowiedziała, nie kryjąc lekkiego poirytowania:

– Nie powinieneś się ciągle z tego śmiać, Andreasie. Dla mnie to naprawdę poważna sprawa. Chciałabym któregoś dnia być wielką aktorką.

– Podchodzę do tego poważnie. W ogóle traktuję cię poważnie, Belle, ale jednocześnie martwię się o ciebie. Jesteś bardzo ambitna, uzdolniona i niezwykle piękna. Jednak jeśli chodzi o twoje usposobienie, to ciągle jesteś dzieckiem. Traktujesz życie jak teatr, zamiast stąpać mocno po ziemi. Fruwasz. Dziś grasz w jakiejś reklamie, jutro masz rolę trzeciorzędnej statystki i ciągle marzysz o wielkiej sławie. Myślę, że...

– Andreasie! – Belle odstawiła kieliszek tak gwałtownie, że szkło zadzwięczało, ale on nie przejął się jej rosnącą irytacją.

– Wiem, Belle, wszyscy zaczynają na dole. Ale jeśli dla ciebie życie ciągle będzie wesołym, lekkim spektaklem, to nigdy nie dotrzesz tam, gdzie chcesz. Żaden reżyser nie da ci naprawdę przełomowej roli, jeśli nie będziesz mieć osobowości, aby ją wypełnić. Jesteś...

Chciała wstać bez słowa, ale on szybko chwycił ją za rękę i zmusił, aby pozostała na swoim miejscu.

– Jesteś małą dziewczynką, Belle, mimo morderczego wzroku i niesłychanej pewności siebie. Rozpieszczone dziecko ze wschodniopruskiego majątku, gdzie czas stoi w miejscu, a zło jest daleko, prawda?

„Skąd on to wszystko wie?”

– Pielęgnowały cię tam i strzegły całe stada ciotek, wujów i kochanych babć, zakład, że tak było. A czy ty kiedykolwiek w życiu czułaś rozpacz? Prawdziwą rozpacz, a nie tylko złość, bo coś poszło inaczej, niż sobie tego życzyłaś? Czy byłaś kiedyś samotna? Czy czułaś beznadziejną pustkę w sobie albo piłaś całą noc, by zapomnieć, jaki ból może czasem sprawić życie? Nie, jestem pewien, że każdą noc spałaś słodko w swoim łóżku, a rankiem zasiadałaś przy nakrytym stole w otoczeniu ludzi, którzy zawsze byli ci życzliwi... Zapewne jestem pierwszą przygodą w twoim życiu, której i tak nie traktujesz poważnie, podobnie jak wszystkiego!

– Nie przeceniaj siebie, Andreasie! Nie jesteś żadną przygodą. Ciągle tylko gadasz i nudzisz mnie śmiertelnie. Może lepiej już sobie pójdę?

Po raz drugi spróbowała wstać, ale on znów ją przytrzymał.

– Zawsze dostawałaś to, czego chciałaś, prawda? To widać po tobie. W twoim rajku koło Insterburga miałaś wszystko: konie i dorożki, piękne suknie i bale, a także mnóstwo wielbicieli. Belle Lombard musiała tylko nadstawić rękę i dostawała wszystko, czego pragnęła. W końcu również eleganckiego Maxa Marty’ego! – Andreas się roześmiał. – To nie jest ktoś zupełnie nieznany w świecie teatru. A mawiają, że nie za bardzo do siebie pasujecie! Mogę sobie nawet wyobrazić, jak stoicie naprzeciw siebie i nie rozumiecie wypowiedzianych przez siebie słów!

– Przestań obrażać Maxa!

Andreas spowaźniał.

– Nie obrażam Maxa Marty’ego. Nigdy bym tego nie zrobił. Mam o nim bardzo dobre zdanie.

– Dobrze, a więc obrażasz mnie. Bo o mnie nie masz dobrego zdania! – Tym razem Belle udało się wyszarpnąć rękę z jego uścisku. Wstała. – Nie chcę cię nigdy więcej widzieć, Andreasie!

On także wstał.

– Przykro mi, jeśli cię uraziłem, Belle – powiedział.

– W ogóle nie jest ci przykro, powiedziałaś dokładnie to, co chciałaś! A w ogóle, to wszystko należało pewnie do stałego programu! Czerwone wino! Wczesnym rankiem! Spodziewałam się po tobie więcej wyczucia i taktu, Andreasie Rathenbergu! – Popatrzyła na niego tak pogardliwie, jak tylko była w stanie. – Pewnie potem zaciągnąłbyś zasłony i może nastawił płytę Zarah Leander! I uznałbyś się za wielkiego uwodziciela. Może masz rację, jestem małą, głupią dziewczynką bez żadnego doświadczenia, ale to ciągle lepiej, niż być wystrojonym światowcem, który uważa się za wyjątkowo urokliwego!

– Belle...

Teraz ona nie dopuściła go do głosu.

– I to zapewne świetnie sprawdzało się w przypadku licznych tanich kobiet! Niektóre ponoć nawet lubią, kiedy je się poniża, bo chcą wtedy udowodnić, jakie są fantastyczne... Ale mówię ci, Andreasie, usiłując mnie nabrać na takie coś, popełniasz wielki błąd! – powiedziała głośno.

Stała teraz przed Andreasem i oddychała gwałtownie. Patrzyli na siebie, oboje zdenerwowani i oburzeni, i nagle napięcie między nimi zamieniło się w tęsknotę. „On mnie rozumie”, pomyślała Belle, „on rozumie mnie doskonale!”.

Nie protestowała, kiedy podszedł do niej i objął ją ramionami. Długą chwilę chroniła się w jego objęciach, tuląc się do niego. I bez wahania poszła za nim do sypialni. Tu zasłony były zaciągnięte i w pomieszczeniu panował półmrok. Dostrzegła tylko parę podkolanówek, sweter leżący na krześle i dwie otwarte książki obok łóżka.

Łóżko... Musiała użyć całej swojej siły woli, aby odepchnąć od siebie myśl o mężu. Poza nim nie spała jeszcze z żadnym innym mężczyzną i nawet za pierwszym razem nie była tak zdenerwowana jak teraz. Max nie przywiązywał aż tak wielkiej wagi do miłości fizycznej, ale noce z nim wspominała dobrze. Umiał się zdobyć na czułość i tkliwość. Mniej więcej pół roku przed ślubem poszli ze sobą do łóżka w ubogim pokoiku Maxa w Prenzlauer Berg. I musieli uważać, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku, bo przez cienkie ściany dzielące poszczególne mieszkania wszystko było słyhać. Belle drżała z zimna w czasie tej śnieżnej, grudniowej nocy, a pokoju Maxa nie dało się ogrzać. Potem nie mogła opanować szczękania zębami, aż w końcu mężczyzna udał się do pobliskiej knajpy i przyniósł jej gorący poncz. Belle wstydziła się, że tak strasznie marznie, wydawało jej się to banalne. Sądziła, że dzięki wzniosłym i romantycznym uczuciom zapomni o zimnie. I czuła się trochę rozczarowana, ale raz jeszcze zdała sobie sprawę, że kocha Maxa, kiedy znów położył się koło niej i trzymał ją w ramionach tak długo, aż zasnęła.

Łóżko Andreeasa pachniało mieszanką proszku do prania i wody po goleniu, a jedwabna pościel była przyjemnie chłodna. Belle męczyło wspomnienie takiej samej pościeli łóżka w Lulinnie. Ona i Max w nim nie spali. A teraz leżała w jedwabiach, ale z obcym mężczyzną.

„Przestań myśleć! Przestań, do cholery, myśleć! Dlaczego nie wypiąs tego wina, ty głupia krowo, wówczas wszystko łatwiej byś zniosła. A teraz się rozluźnij, za chwilę po raz pierwszy zdradzisz swojego męża!”

Potem pomyślała, że Andreas ma rację, bo rzeczywiście o niczym nie miała pojęcia.

## 6.

W maju 1939 roku Felicja pojechała do Lulinna, prawie rok po weselu swojej córki. W fabryce nie było żadnych problemów, mogła więc pozwolić sobie zniknąć na całe dwa tygodnie. I podobnie jak Belle jeździła do Lulinna, aby nabrać sił, także teraz czar starego domu nie zawiódł. Przpracowana i blada Felicja przesiadywała godzinami na ławce w sadzie, oparta plecami o pień starej wiśni, i patrzyła sennym wzrokiem na niebieskie niebo. Czuła się osłabiona i wyczerpana, a jednocześnie była czujna i spięta. Joseph, który jak zwykle czyhał na kolejną ofiarę, od razu się nią zainteresował.

– Spędzasz zbyt wiele czasu sama, Felicjo. A to nie jest dobre dla kobiety. Jesteś jeszcze młoda. Czy nie ma żadnego mężczyzny, który zabiega o twoje względy? – Zachichotał głupkowato. – A, tak, pewnie kręci się wokół ciebie mnóstwo zalotników, prawda?

– Tysiące, Josephie, tysiące – warknęła Felicja. – I to ich liczba właśnie utrudnia mi podjęcie jakiegokolwiek decyzji, rozumiesz?

Powiedziawszy to, zostawiła go w sadzie i odeszła.

– Samotna, niespełniona kobieta, pochłonięta swoją pracą – oświadczył potem Joseph Modeście, która nie ukrywała zadowolenia, gdy usłyszała tę wiadomość.

Felicja rozmyślała nad słowami Josepha. Czy rzeczywiście była sama? Przyznawała, że brakowało jej Petera Liliencrona. Nie odwzajemniała jego uczuć, ale był jej bliskim przyjacielem, a takich spotyka się rzadko. Mogła zdać się na niego w stu procentach i zawsze wiedziała, że będzie stał za nią murem. Nigdy nie potrafiła go docenić, kiedy był w pobliżu, i dopiero gdy opuścił kraj, odczuła jego nieobecność bardzo boleśnie. Może powinna spełnić jego prośbę. Zostawić po prostu wszystko i zacząć gdzieś z nim nowe życie. Ale na to zabrakło jej odwagi. Za bardzo też czuła się związana z tym, co do niej należało i co było bliskie tylko jej: z Lulinem, fabryką, dziećmi i innymi członkami rodziny.

A teraz rozkoszowała się dniami spędzonymi w Insterburgu. Przyjechał także Paul z Christine, którą przedstawił jako swoją narzeczoną. Oboje byli bardzo szczęśliwi i bardzo zakochani, ale to nie powstrzymało Josepha przed wypytywaniem o ich najbardziej skryte problemy, czym znów się naraził.

Modesta wydała na świat czwarte dziecko, córkę, i dzięki temu została kandydatką do odznaczenia Krzyża Honorowego Niemieckiej Matki ustanowionego jeszcze ostatniej zimy i przyznawanego kobietom z przynajmniej czworgiem dzieci. Modesta gorączkowo wyczekiwała na to wydarzenie, ale uprawnionych i ubiegających się o odznaczenie było za dużo i w rezultacie zabrakło już przygotowanych orderów. Postanowiono więc uczcić nim tylko kobiety po sześćdziesiątce, a pozostałym kazano czekać do świąt Bożego Narodzenia. Modesta niemal wychodziła z siebie z oburzenia, bo zamierzała z tej okazji przygotować uroczystość rodzinną, na której miała być najważniejszą osobą. A teraz musiała poczekać na to jeszcze pół roku.

– To może tylko wyjść ci na dobre – powiedziała Felicja. – Do Bożego Narodzenia urodzisz piąte dziecko i będziesz miała większe szanse niż teraz!

Był to strzał na chybił trafił, ale Modesta popatrzyła na kuzynkę ze zdumieniem.

– A czy to już widać? – spytała.

Teraz z kolei Felicja wlepiła w nią zdumione oczy.

– Co takiego? Naprawdę jesteś znowu w ciąży?

– Co to znaczy znowu? Führer powiedział...

– Tak, wiem, Führer chce mieć naród, który rozmnaża się jak króliki. Doprawdy, jesteś

bardzo lojalną poddaną.

W oczach Modesty zamigotały iskierki złości.

– Ja wiem, dlaczego ty tak mówisz, Felicjo! Bo jesteś biedną, samotną kobietą, która zazdrości szczęścia innym. Twój pierwszy mąż się z tobą rozwiódł, a drugi nie żyje. Twoje życie jest pozbawione sensu. Joseph też tak mówi!

– No, skoro Joseph tak mówi, to z pewnością jest to prawda – odparła Felicja. – Ale wiesz, Modesto, moja zazdrość o twoje macierzyństwo byłaby bez wątpienia jeszcze większa, gdybyś między porodami od czasu do czasu odzyskiwała w miarę normalny obwód talii. Muszę powiedzieć, że płacisz dość wysoką cenę za miłość do Führera!

Po tych słowach odwróciła się i odeszła czym prędzej, a Modesta patrzyła za nią z wściekłością.

Wieczorem Felicja odwiedziła swą babkę Letycję w jej pokoju i opowiedziała jej o Modeście.

– Nie masz pojęcia, babciu, jak ona działa mi na nerwy! A ten jej okropny mąż, który gdzieś coś przeczytał na temat psychologii i sądzi, że może chwalić się swoją wiedzą przed innymi. I stosować ją! Rzeczywiście, wkrótce nam wszystkim zacznie się wydawać, że mamy zaburzenia psychiczne!

Letycja się uśmiechnęła. Była kiedyś piękną, postawną kobietą, ale teraz, tuż przed dziewięćdziesiątymi drugimi urodzinami, prawie całkiem straciła swoje niespożyte niegdyś siły. Wraz z upływem lat stawała się coraz mniejsza, szczuplejsza i bardziej pomarszczona, jedynie jej srebrnosiwe, mocno kręcone włosy pozostały gęste i wydawało się, że jej ciąży. Letycja trzy czwarte stulecia spędziła w Lulinnie. Tu pogrzebała swojego męża w trakcie ofensywy rosyjskiej latem 1914 roku, a dwa lata temu, w czasie lodowatej zimy, także swojego najstarszego syna Wiktora. Jej najmłodszy syn został rozstrzelany we Francji w roku 1916 za próbę dezercji, a córka zmarła po ucieczce z Piotrogradu w czasie rewolucji. Ze wszystkich dzieci dziś żyła jedynie mieszkająca w Berlinie Elza, matka Felicji. Elza nigdy nie potrafiła porozumieć się z matką i rzadko przyjeżdżała do Lulinna. A ponieważ Letycja prawie nie opuszczała już swojego pokoju, to oczywiście nie brała udziału w życiu dworu, ale mimo że jej ciało było tak kruche i słabe, umysł pozostawał jasny i sprawny. W jakiś tajemniczy sposób Letycja dowiadywała się o wszystkim, co działo się we dworze i w rozproszonej teraz rodzinie.

– Ty nie jesteś chora, Felicjo – powiedziała. – Ale niezbyt szczęśliwa, prawda? Nie ma człowieka, z którym mogłabyś dzielić życie, troski, radości i wydarzenia codziennego dnia!

Wobec babki Felicja nie musiała niczego udawać.

– Tak – odparła. – Nie ma takiego człowieka. Ale – odetchnęła głęboko – mam fabrykę. I ona przynosi olbrzymie zyski, oznaczające niezależność i sukces, babciu, a to jest właśnie coś, czego pragnęłam przede wszystkim, bardziej niż szczęścia z mężczyzną. O to walczyłam ze wszystkich sił i to zawsze będzie dla mnie najważniejsze!

– Tak, tak – odpowiedziała Letycja. Patrzyła uważnie na szczupłą twarz wnuczki, na jej jasnoszare oczy, na wyraźnie zaznaczone kości policzkowe.

Felicja sprawiała wrażenie bardzo zabieganej i znerwicowanej.

– Ale nie byłoby źle, gdyby od czasu do czasu pojawiał się jakiś mężczyzna, prawda? A co porabia twój były mąż, atrakcyjny Alex Lombard? Chyba daje od czasu do czasu jakiś znak życia?

– Pewnie. – Felicja zapaliła papierosa. – Wzenił się w wielkie wydawnictwo, zarabia mnóstwo pieniędzy i siedzi w Nowym Jorku. Pisze od czasu do czasu i pyta, co słychać w Lulinnie. – Felicja z wściekłością wydmuchnęła dym z płuc. – Przecież Lulinn ciągle jeszcze należy do niego!

– Jestem jednak pewna, że zrobisz wszystko, aby ten stan nie trwał wiecznie! – Stara dama zachichotała i poruszyła się, a leżący w jej łóżku termofor zabulgotał. – Tak, tak... Alex Lombard...

Popatrzyła przenikliwie na wnuczkę, ale twarz Felicji była nieruchoma i niczego nie zdradzała.

– Wydaje mi się, że w małżeństwie Belle też nie wszystko jest tak, jak powinno – dodała Letycja, zmieniając temat.

– Nie? – spytała Felicja, nie kryjąc poczucia winy. Przyjechała do Lulinna przez Berlin i odwiedziła córkę i jej męża. Zauważyła jedynie, że Belle bardzo zeszczuplała i za dużo piła. Ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Max wydawał jej się sympatyczny, choć nieco zbyt poważny i skupiony na samym sobie. – A co jest w nim nie tak?

– No, znasz przecież naszą słodką, śliczną i radosną Belle – odparła Letycja i wyciągnęła rękę. – Daj mi papierosa, Felicjo.

– Ale twoja astma, babciu...

– Ach, nonsens. Poradzę sobie z tym. Przez całe życie paliłam, to dlaczego tuż przed jego końcem miałabym przestać robić coś, co sprawia mi przyjemność? – Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko z wyraźną rozkoszą. – Max Marty jest idealistą i wielkim artystą. A Belle jest taka jak ty! – powiedziała.

– Belle też jest wielką artystką – odparła Felicja, nieco urażona.

Letycja znów zachichotała.

– Matczyzna duma. Felicjo, mówiąc między nami: może Belle będzie kiedyś wielką artystką, ale teraz jeszcze nią nie jest. Ona nie ma pojęcia, czego pragnie, może poza tym, że chce być sławna i bogata. Marty gra w teatrze i robi to z wielkim oddaniem, ale za głodowe stawki. Belle za to prezentuje przed kamerą piękną twarz, a potrafi wykonywać tylko parę dramatycznych gestów. Jest bez wątpienia zdolna, ale brakuje jej dojrzałości i doświadczenia. I nie nauczyła się wcielać w rolę. Ona próbuje jedynie pokazać się w najlepszym świetle, a nie odtwarzać jakąś postać.

– Hmm... – odpowiedziała przeciągle Felicja. – A co niedobrego dzieje się w jej małżeństwie?

– Ona i Max się mijają, żyją obok siebie. A Belle chodzi własnymi drogami.

– Własnymi drogami?

Letycja bezwiednie strząsnęła na dywan popiół z papierosa.

– Zawsze widziałam coś takiego u ciebie, kiedy byłaś zakochana, i to samo widzę u Belle. Ona się dobrze maskuje, ale ten zdradziecki błysk w oczach... I wcale nie dotyczy on poczciwego Maxa!

– O Boże – jęknęła Felicja. Przeczynała już cały szereg różnych komplikacji. – Sądziś, że powinnam...

– Nie. Nic nie powinnaś. Belle musi przejść przez to sama. Zajmij się własnymi problemami.

– Problemami? Ale w moim życiu właściwie panuje spokój i obawiam się, że to się nie zmieni.

Mówiąc to, Felicja jeszcze nie wiedziała, jak bardzo się myli.

Po powrocie do Monachium Felicję zaskoczyła wiadomość o zaręczynach córki. Zuzanna pracowała w Służbie Pracy Rzeszy, jednak zgłosiła się dobrowolnie i nieco przed czasem. Wraz z całą gromadą dziewcząt wyjechała na rok do wiejskiego gospodarstwa koło Regensburga i bardzo jej się tam spodobało. Pobyt i praca na wsi dobrze jej zrobiły, bo naprawdę rozkwitła i sprawiała wrażenie pełnej życia i radości. A poza tym poznała mężczyznę i zakochała się w nim



po uszy. Nazywał się Hans Velin.

– A co on robi zawodowo? – dopytywała się Felicja. Była właśnie w swoim biurze i trzymała w ręku list bez nadawcy, ale wysłany z Paryża, czyli najpewniej od Petera Liliencrona. Chciała go koniecznie przeczytać, ale wolała to zrobić, kiedy będzie sama, a Zuzanna jak na złość stała obok niej.

– On jest w SS – wyjaśniła Zuzanna. – To Obersturmführer.

– Co takiego?

– Oddziały Trupiej Głównki. Standarte Oberbayern. Stacjonowany w Dachau.

– Tego tylko brakowało!

Zuzanna popatrzyła na nią napastliwie.

– Podejrzewałam, że będziesz temu przeciwna. Ty przecież zawsze potępiasz ludzi, jeszcze zanim ich poznasz!

– Ale dlaczego on musi być akurat w SS? I jeszcze w dodatku w Oddziałach Trupiej Głównki! To są ludzie, którzy kontrolują obozy!

– Ty w ogóle nie wiesz, co się dzieje, mamo!

„Ale za to ty wiesz”, miała zamiar zakpić Felicja, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie chciała jeszcze bardziej pogarszać stosunków z młodszą córką. „Cholerny rok na wsi”, pomyślała, „i to właśnie popchnęło ją w złym kierunku”.

Zuzanna zmieniła się także zewnętrznie. Praca na świeżym powietrzu dodała jej sił i dziewczyna nie wyglądała już na chorowitą. Nie była też blada, opaliła się niemal na brąz. Sprawiała wrażenie zdrowej i silnej. Jej niebieskie oczy błyszczały, a długie blond włosy, splecione w gruby warkocz miała przerzucone przez ramię. Mogłaby teraz uchodzić za podręcznikowy przykład niemieckiej dziewczyny.

Zuzanna nigdy nie chodziła na spotkania Związku Niemieckich Dziewcząt, bo Felicja nie lubiła tej organizacji i dlatego jej córka nie wiedziała, czym jest przynależność do grupy. Przebywanie z rówieśniczkami o podobnych zapatrywaniach i świadomość ich akceptacji dodały dziewczynie pewności siebie. Zuzanna nadaremnie starała się zwrócić na siebie większą uwagę matki, a jednocześnie żyła w cieniu swej pięknej siostry Belle. Teraz nagle otoczyła ją grupa przyjaciółek, które ją lubiły i rozmawiały z nią o ideach czasów, w jakich przyszło im żyć. I te idee niemal uskrzydlały Zuzannę. Rozpoczęła się przecież nowa epoka, w której ludziom miało się powodzić lepiej i w której miały zniknąć ostre kontrasty między skrajnie biednymi a skrajnie bogatymi. A ona należała do tych młodych ludzi, którzy pomagali kształtować tę epokę, i to napełniało ją dumą. I w dodatku coraz częściej słyszała szarmanckie uwagi Obersturmführera Velina, które dotyczyły wyłącznie jej osoby. Zuzanna uznała, że w jej życiu dokonał się wreszcie wielki przełom.

– Zaproś więc pana Velina w przyszłym tygodniu do nas – zaproponowała pojednawczo Felicja. – Chciałabym poznać twojego narzeczonego.

Zuzanna obrzuciła ją dziwnie długim i zimnym spojrzeniem, które często irytowało innych ludzi.

– Nie będziesz się z nim dobrze rozumieć – odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Felicja natychmiast rozerwała trzymaną w ręku kopertę i od razu rozpoznała charakter pisma Petera. Jej dawny partner donosił, że przebywa w Paryżu, ma się dobrze i że to cudowne miasto. Ale mimo to oczywiście tęskni za domem, Monachium i Felicją. Na koniec napisał: „Nadchodzą coraz gorsze i niebezpieczne czasy. I na dłuższą metę trudno będzie trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Nie będzie łatwo znaleźć w sobie dość odwagi i jej dowieść, ale każdy będzie musiał podjąć jakąś decyzję i potem konsekwentnie się tego trzymać...”.

– Dobry Boże, dlaczego on mi to pisze? – spytała głośno Felicja. Schowała list w biurku,

głęboko pod notatkami i kartkami. Poprawiła stojącą na gzymsie kominka fotografię Petera w ramce. – Szkoda, że wyjechałeś – wymamrotała.

Czerwiec był ciepły i suchy, ale wielu ludzi nie odczuwało letniej atmosfery. Coraz częściej mówiono o wojnie i jeśli tylko gdzieś zebrała się grupka ludzi, natychmiast poruszano ten temat. Sprawa miasta Gdańsk i polskiego korytarza, który łączył Prusy Wschodnie z Rzeszą, z dnia na dzień stawała się coraz bardziej paląca. W cotygodniowych wiadomościach mówiono o zbrodniach popełnianych przez Polaków na mieszkających tam Niemcach. Coraz częściej słyhać było głosy, które domagały się stanowczych interwencji. „Führer musi działać!”

Ale Führer dokonywał inspekcji Linii Zygfrйда, systemu umocnień wzdłuż granicy z Francją od Aachen\* aż po Lörrach, a Niemcy i Włochy podpisały wojskową umowę sojuszniczą, zwaną paktem stalowym.

11 czerwca wydano dekret o obronie przeciwlotniczej; każdy dom w Rzeszy, każda wspólnota przeciwlotnicza, która powstała, miała obowiązek wyposażenia się w narzędzia samoobrony, czyli wiadra z wodą lub z piaskiem, ręczne pompy pożarnicze, łopaty i szpadle. To wszystko miało być dostępne od ręki. Poza tym wprowadzono obowiązek zamontowania we wszystkich oknach rolet zaciemniających. Jolanta, gospodyni domu przy Prinzregentenstrasse, złościła się i narzekała.

– Jak one wyglądają, te rolety! Mieszkanie jest elegancko urządzone, w oknach wiszą piękne firanki i ni stąd, ni zowąd mają tu zawisnąć te czarne paskudztwa! Coś tak głupiego! I te wiadra z piaskiem na górnej klatce schodowej, czy to wygląda ładnie? A któregoś dnia potknę się jeszcze o nie i połamię sobie wszystkie kości! – Zamilkła, patrząc przez okno, po czym dodała triumfalnie: – A poza tym i tak nie będzie żadnej wojny!

– W tysiąc dziewięćset czteremset roku też tak wszyscy mówili – odparła Felicja. Jej fabryka pracowała na najwyższych obrotach, produkując mundury, a mimo to nie była na tyle spokojna, aby już niczego nie pragnąć. – A teraz przestań narzekać, Jolanto. Lepiej zajmij się kolacją. Wiesz przecież, że przychodzi do nas narzeczony Zuzanny.

– Oczywiście, że wiem. Pan Obersturmführer.

Jolanta wypowiedziała te słowa z nabożną czcią. Imponowało jej, że w rodzinie znajduje się wysoki oficer SS.

W mieszkaniu przy Hohenzollernstrasse kolację szykował Martin. Teraz przeważnie on gotował, bo przecież nie miał co robić, a Sara cieszyła się, kiedy po powrocie z przedszkola mogła od razu zasiąść do nakrytego stołu. Choć coraz trudniej było dostać coś, co można było włożyć do garnka. Ponieważ oboje żyli tylko z pensji Sary, a większą jej część pochłaniał czynsz, mogli sobie pozwolić wyłącznie na najtańsze produkty żywnościowe. Dziś Martin przygotował gołąbki wypełnione bardziej tartą bułką niż mięsem. Do tego kilka starych ziemniaków. Dostał je u handlarza warzywami gorszej jakości sprzedającego je za parę groszy ludziom, których na nic innego nie było stać. Byli to przeważnie Żydzi, którzy stracili pracę i z trudem wiązali koniec z końcem. Kupiec traktował ich z upokarzającą pogardą, ale Martin i tak do niego chodził. Coś przecież musieli jeść.

Kiedy Sara weszła do kuchni, Martin zauważył od razu, że coś się stało. Wydawała się dziś jeszcze bledsza i jeszcze bardziej zgnębiona.

– Martinie – powiedziała. – Ja nie wiem, co będzie dalej.

– Co takiego? – Mężczyzna odstawił talerz, który właśnie wyjął z szafki, i podszedł do żony. – Saro, jesteś blada jak ściana!

– Zamknęli przedszkole. Żydowskim dzieciom nie wolno już chodzić do przedszkola. – Dziewczyna usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach. – Od jutra nie mam pracy.

Martin milczał i nawet nie próbował jej pocieszyć. Także usiadł przy stole i wpatrzył się

w biały lniany obrus w zielone kwiatki.

Niczego nie było słychać, oprócz tykania zegara. W końcu ciszę przerwała Sara.

– Oni chcą nas zniszczyć i uda im się to. Martinie, proszę cię, wyjedźmy z Niemiec!

Nie patrzył na nią.

– I co wtedy? Znajdziemy gdzie indziej pracę? Co będzie z tymi książkami, które chcę napisać? Mogę to przecież robić tylko po niemiecku.

– Moglibyśmy wyjechać do Szwajcarii.

– Ale Szwajcarzy już nikogo nie wpuszczają.

– Niektórym jednak udaje się tam wjechać. A poza tym z pewnością kiedyś wrócimy.

Sam przecież mówiłeś, że naziści kopią sobie grób, a wtedy...

– Do diabła, ale może wtedy będziemy już całkiem starzy – odpowiedział gwałtownie Martin.

Sara popatrzyła na niego uważnie. On nie wyjedzie. On nigdy stąd nie wyjedzie. Będzie chciał wytrzymać do końca, bez względu na to, jak bardzo naziści będą utrudniać im życie.

– Pójdę do Felicji – powiedziała. – Może ona da nam pracę w fabryce.

– Mamy teraz zbierać u naszych przyjaciół? Ja nie jestem w stanie. Felicja prawdopodobnie będzie mogła dla nas coś zrobić, ale to jest tak okropnie upokarzające! – odparł Martin.

– W innym wypadku umrzemy z głodu.

– Tak, ale...

Sara wstała. Pierwszy raz popatrzyła na Martina z gniewem i podniosła głos.

– Ty i twoja święta duma, która zmusza nas, żeby tu mimo wszystko wytrzymać! Ta duma zmusza nas, żeby z fałszywą godnością trzymać głowę uniesioną wysoko do góry, kiedy musimy znosić jedną szykanę za drugą. I przez tę dumę umrzemy z głodu, bo oczywiście nie wolno nam prosić naszych przyjaciół o pomoc! Doprawdy, mamy w efekcie wspaniałe perspektywy na przyszłość! – Za chwilę zrobiło jej się przykro, że go tak zaatakowała. Podbiegła do niego i go objęła. – Wybacz mi. Nie chciałam rozmawiać z tobą w taki sposób. Rozumiem przecież twoje powody. – Kołysała go łagodnie w ramionach. – Ale porozmawiam z Felicją. Nie musisz tego robić, nie musisz też dla niej pracować. Jednak musimy opłacić czynsz, rachunek za prąd, kupić jedzenie... – Urwała nagle. – Właśnie, jedzenie! Przygotowałeś taką pyszną kolację, a teraz wszystko będzie zimne. Chodź. My...

– Nie jestem głodny.

– Przetrwaliśmy do tej pory, to dalej też nam się to uda. – Trzymała go ciągle w objęciach, ale czuła na swojej ręce, że miał twarz mokrą od łez.

Płakał zupełnie bezgłośnie.

– Kochanie, nie płacz...

– Jestem pisarzem. Niemieckim pisarzem. A to jest mój kraj, rozumiesz, to ciągle jest mój kraj. To jest mój język. Nikt nie ma prawa mnie stąd wypędzać. Nie zrobiliśmy niczego, za co musielibyśmy się wstydić i potajemnie emigrować stąd nocą!

– Oczywiście, że nie, kochanie.

„Oni nie będą potem pytać, czy coś zrobiliśmy!”

Oboje nagle się wystraszyli, gdy usłyszeli dzwonek u drzwi. To mieszkanie, w którym dawniej czuli się tak bezpiecznie, nie było już schronieniem i mogło w każdej chwili stać się pułapką. Wiedzieli już o ludziach, których gestapo zabrało z mieszkań w środku nocy.

– Ale nas nie zabiorą – powtarzał w kółko Martin. – My się dla nich nie liczymy.

Zawahał się przez moment, zanim podszedł do drzwi. Sara usłyszała okrzyk zdziwienia.

– To ty, tato?

Za chwilę bankier Elias wszedł do kuchni. Miał już ponad siedemdziesiąt lat, ale ciągle trzymał się prosto i nie stracił charakterystycznej dla siebie żołnierskiej postury. Naziści praktycznie odebrali mu wszystko, co posiadał, bank, dom, niewiarygodnie cenne antyki, ale, co osobliwe, mężczyzna ciągle sprawiał wrażenie człowieka bogatego i dysponującego ogromną władzą. Nosił ubranie z najlepszego sukna, wypucowane do połysku buty, a srebrnisiwe włosy miał starannie zaczesane do tyłu. Zupełnie nie pasował do ubożego wnętrza, w którym się znalazł.

Ich stosunki zawsze były trudne. Martin zdecydowanie odrzucał materialistyczny sposób myślenia ojca i od lat gwałtownie oponował przeciwko temu. Przez długi czas obaj mężczyźni schodzili sobie z drogi, a więc powód, dla którego bankier tak nagle zjawił się u syna, musiał być naprawdę ważny.

Elias przywitał Sarę, która z zakłopotaniem wskazała mu krzesło.

– Usiądź, proszę. Wybacz, że tak tu wygląda... Właśnie chcieliśmy coś zjeść... – Szybko zabrała ze stołu przygotowane talerze.

– Ależ wręcz przeciwnie, to ja muszę was przeprosić – powiedział uprzejmie Elias. – Skoro zjawiam się u was tak nieoczekiwanie i bez zapowiedzi. Ale sprawa jest nagła. – Powiedziawszy to, bankier usiadł na drewnianym krześle i wyciągnął ze swojej teczki kartkę. – To przyszło dzisiaj pocztą. Jutro wieczorem mam być gotów, bo po mnie przyjadą i zawiozą mnie do Buchenwaldu.

– Nie! – zawołał Martin.

Sara popatrzyła na teścia szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

– Do obozu koncentracyjnego?

Elias skinął głową.

– Tak.

– To nie może być prawda! – rzekł Martin, nic nie rozumiejąc.

Jego ojciec zachowywał całkowity spokój.

– Buchenwald leży w pobliżu Weimaru. Mówią, że nie jest tam tak źle. Jest co jeść, jest praca, przyzwoite traktowanie. Może nawet nie trzeba tam znosić tylu szykan, co tutaj.

– Tato, nie wierz w to – powiedział Martin błagalnie. – Te obozy są straszne. Więźniowie traktowani są tam z niesłychanym okrucieństwem. Carl von Ossietzky, wielki pacyfista i laureat Pokojowej Nagrody Nobla, zmarł przed rokiem w więzieniu po torturach w obozie, ale oczywiście władze się do tego nie przyznały. A prawda jest taka, że zniszczyli go fizycznie i psychicznie!

Sara popatrzyła na niego uważnie. „Nagle stało się to dla ciebie jasne”, pomyślała.

– Ossietzky jako pacyfista był solą w oku władz partii – odparł Elias. – Ale dlaczego mieliby niszczyć mnie?

– Jesteś Żydem.

Po tych słowach zapadło milczenie.

– Nie mogę nic zrobić – oświadczył Elias po dłuższej chwili.

– Możesz się ukryć. Musisz zniknąć!

– Mam siedemdziesiąt pięć lat, Martinie. To nie dla mnie. Nie wytrzymam tego ani fizycznie, ani psychicznie. Nie mogę spędzić w ukryciu ostatnich lat życia. Jestem na to za stary.

– Tato, umrzesz, kiedy cię zabiorą do Buchenwaldu!

Elias się wyprostował.

– Nie mogą mi nic zrobić. Walczyłem w czasie wojny i zostałem odznaczony Krzyżem Żelaznym. Za dużo zrobiłem dla tego kraju, żeby można mnie było tak po prostu zamordować.

„Ich w ogóle nie interesuje to, co zrobiłeś dla tego kraju”, pomyślała Sara.

– Ojczy, bądź rozsądny...  
– Jestem rozsądny, Martinie. Na tyle rozsądny, aby nie barykadować się na kilka lat w jakiejś wilgotnej piwnicy czy na strychu. Sam sobie wydawałbym się odarty z godności, a to dla mnie najgorsze.

– Ale zachowanie godności w obozie nie przyjdzie ci łatwo – odparł Martin.

Znowu zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na leżącą na stole kartkę z tą straszną informacją.

– Tak – powiedział w końcu Elias. – Właściwie przyszedłem tylko po to, aby was o tym zawiadomić. Będę próbował do was pisać. – Popatrzył raz jeszcze na syna. – Teraz żał mi, że przez te wszystkie lata tak rzadko się ze sobą kontaktowaliśmy. Człowiekowi zawsze się wydaje, że ma dość czasu, aby uporządkować swoje sprawy, ale nagle okazuje się, że wszystko minęło i że straciło się tyle ważnych chwil. Martinie, zawsze chciałem ci powiedzieć... no, sądzę, że nigdy nie czuleś się przeze mnie rozumiany i akceptowany, ale powinieneś wiedzieć, że zawsze cię kochałem. Nawet w czasach twoich studiów, kiedy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Jesteś moim jedynym dzieckiem i jestem z ciebie bardzo dumny.

Takie sceny na filmach doprowadzały Sarę do łez, ale teraz, kiedy działy się na jej oczach, była dziwnie spokojna. W obecności starego Eliasa każdy wstydziłby się łez. Sara patrzyła, jak obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a potem teść pochylał się nad nią i pocałował ją delikatnie w policzek.

– Niech Bóg ma cię w swej opiece, Saro.

– I ciebie także, ojczy.

Felicja miała nadzieję, że Obersturmführer Velin będzie mały, tłusty i brzydki i że nie będzie potrafił się zachować. Wówczas byłaby szansa wyperswadowania Zuzannie tego związku. Ale niestety spotkało ją rozczarowanie. Velin okazał się wysoki, szczupły i bardzo dobrze wyglądał w czarnym mundurze SS. Ciemnoblond włosy miał krótko ścięte, na co mógł sobie pozwolić przy bardzo szczupłej twarzy. Jego niebieskie oczy nie sugerowały brutalności czy agresji, ale próżno było szukać w nich choćby śladu ciepła czy poczucia humoru. Okazały się pozbawione wszelkiego wyrazu.

Oczywiście Felicja nie mogła też zakwestionować jego nienaganych manier. Narzeczony córki wręczył jej bukiet kwiatów i z galanterią pocałował ją w rękę.

– *Heil Hitler* – powiedział.

– Dobry wieczór – odparła Felicja i już wiedziała, że nie będzie w stanie znieść tego człowieka.

Był 19 czerwca, Goebbels dwa dni wcześniej w czasie regionalnego tygodnia kultury w Wolnym Mieście Gdańsku wygłosił przemówienie, którego fragmenty powtarzano tego wieczoru w radiu. Zuzanna włączyła więc odbiornik, chyba po to, aby przypodobać się narzeczonemu, i w salonie rozległ się demoniczny głos Goebbelsa: „Gdańszczanie! Przywożę wam pozdrowienia od Führera i narodu niemieckiego! Stoję tutaj, na ziemi niemieckiego miasta, i mam przed sobą dziesiątki tysięcy Niemców... Wy wszyscy jesteście tej samej rasy, jesteście dziećmi tego samego ludu... dlatego chcecie wrócić do domu, do Rzeszy...”.

– Czy mogę już podawać? – spytała stojąca w drzwiach Jolanta. – Bo wszystko będzie zimne.

– Nie wiem... – Felicja spojrzała na Zuzannę i Velina. – Możemy już siąść do stołu czy też musimy wysłuchać do końca pana ministra propagandy i oświecenia publicznego?

– Mamo! – syknęła Zuzanna.

– Oczywiście, możemy już jeść – odpowiedział uprzejmie Velin.

Jolanta przeszła dziś samą siebie i Hans, który lubił dobrze zjeść, sprawiał wrażenie nadzwyczaj zadowolonego. Opowiadał o tym i owym, niewiele jednak mówił o samym sobie.

Tylko raz wspomniał, że jego rodzice nie żyją od dawna, czego on bardzo żałuje, bo nie może przedstawić ich Felicji.

– Z pewnością dobrze by się pani z nimi rozumiała, łaskawa pani. Mój ojciec był zastępcą dyrektora szkoły średniej w Regensburgu\*\*. Rodzice lubili podróżować i zawsze mieli coś ciekawego do powiedzenia.

– Tak, z pewnością byłoby miło ich poznać – odparła uprzejmie Felicja i pomyślała: „Oczywiście musiał wspomnieć o dobrej mieszczańskiej rodzinie. Zakład, że teraz nastąpi zasadniczy atak”.

I nie pomyliła się.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pani moją bezpośredniość – powiedział Velin – ale pani córka z pewnością się pani zwierzyła i tym samym wie pani, że chciałbym się z nią ożenić. Oczywiście jeszcze za mało mnie pani zna, ale może zaaprobuje pani moje zamiary?

– Jeśli moja córka będzie szczęśliwa, to oczywiście, że tak – odpowiedziała Felicja i przyszło jej na myśl, że zasłużyła na order za dyplomację.

A Zuzanna rzeczywiście sprawiała wrażenie szczęśliwej, w dodatku była niesłychanie dumna z przystojnego Hansa i robiła, co mogła, aby mu się przypodobać. Miała na sobie ludową suknię w kwiatki, a zaplecione w warkocze włosy upięła nad uszami w kształt ślimaka. Felicja z rezygnacją przyjęła, że mają z córką różne gusta.

– A czym dokładnie się pan zajmuje? – zapytała przyszłego zięcia.

– Należę do SS, dokładnie do Oddziałów Trupiej Głównki. Jest to pierwsza jednostka, którą w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku Standartenführer Eicke zmobilizował w Dachau. Może pani wie, że nie podlegamy ogólnej kontroli SS i że dzielimy się na cztery jednostki; pierwotnie było ich trzy, ale po aneksji Austrii dołączyła do nich jednostka Ostmark. Ja jestem Obersturmführerem w jednostce Górna Bawaria.

– Pierwsza jednostka z Dachau – powtórzyła w zamyśleniu Felicja. – Czy to nie z niej rekrutowały się oddziały egzekucyjne biorące udział w tak zwanej czystce wśród członków SA w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku?

– Tak jest – odparł Velin. – Ta czystka była absolutnie konieczna.

– Rozumiem. A co dokładnie robi pan teraz? Pracuje pan w obozie w Dachau?

Hans odpowiedział z uprzejmym uśmiechem:

– Także. Ale poza tym koordynuję przebieg pewnych spraw dotyczących przeludnienia Rzeszy.

– Mówiąc dokładnie, ma pan na myśli to, że pańskie działania skierowane są przeciwko Żydom?

– Patrzy pani na to zbyt jednostronnie, droga pani Lavergne. Ta sprawa jest bardzo złożona. Na przykład teraz będę musiał wyjechać na kilka tygodni do Protektoratu Czech i Moraw, aby zobaczyć... jakie środki należałoby tam zastosować.

– Hans jest bardzo ważny dla partii – wyjaśniła Zuzanna.

– To już zauważyłam – odpowiedziała chłodno Felicja.

Przez kilka chwil w salonie słychać było tylko dźwięczenie sztućców, a potem narzeczeni wrócili do tematu przemówienia Goebbelsa, a także problemu Wolnego Miasta Gdańsk. Felicja dodała, że w czasie podróży z Königsberga do Berlina na obszarze Polski w pociągu we wszystkich oknach opuszczano rolety. Zauważyła, że Zuzanna obawia się, by między matką a jej narzeczonym nie doszło do ostrej dyskusji, i że córka z wyraźną ulgą odetchnęła, kiedy do pokoju weszła Jolanta i oświadczyła, że przyszedł jakiś pan i chce rozmawiać z Felicją.

– On czeka na dole i mówi, że to bardzo pilne. Ja nie znam tego pana, pani Lavergne. Czy mam go odprawić?

– Nie, zejść na dół. – Felicja wstała. – Zaraz wracam – powiedziała przepaszającym tonem.

Na dole przy drzwiach czekał jakiś mężczyzna. Drobna, mizerna postać, która nie ukrywała zdenerwowania i lęku i starała się, aby jego twarz pozostawała w cieniu.

– Felicja Lavergne?

– Tak. Co mogę dla pana zrobić?

Felicja podeszła bliżej, aby zobaczyć twarz nieznajomego, i zauważyła, że jest upiornie wręcz blady, a na jego skroniach pulsowały żyły. Nie odpowiedział i patrzył na stojącą obok Jolantę. Felicja się odwróciła.

– Jolanto, zostaw nas samych, proszę.

Gospodyni cofnęła się, wyraźnie urażona. I dopiero kiedy mężczyzna upewnił się, że poza Felicją nikt go nie usłyszy, powiedział przytłumionym głosem:

– Potrzebujemy pani pomocy, pani Lavergne. Jest tu parę osób, które są w niebezpieczeństwie...

– Na miłość boską, o co chodzi?

– Potrzebne nam jest schronienie na jedną noc. Dla dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Jutro wieczorem zawieziemy ich do Szwajcarii. Do tego czasu muszą się gdzieś ukryć. Proszę, pani Lavergne...

Felicja stała jak osłupiała. Gdzieś pachniał bez, a ulicą przejechało właśnie kilka samochodów. Ćma krążyła w padającym z domu świetle.

– Dlaczego przyszliście do mnie? Dlaczego akurat do mnie?

– Wymieniono pani nazwisko. I powiedziano, że pani nam pomoże.

– Kto je wymienił?

To mógł być tylko Peter Liliencron. Do cholery, teraz i ona znajdzie się w tarapatkach!

– Kto podał wam moje nazwisko?

– Maksym Marakow.

\* Akwizgran.

\*\* Ratyzbona.

## 7.

To było jak uderzenie. Poczwała, że blednie.

Nieznajomy patrzył na nią z troską.

– Zna pani Maksyma Marakowa?

– Tak...

Czy ona go zna?! On pytał, czy ona go zna! Felicja się opanowała.

– Czy on jest w Niemczech? – spytała. Zauważyła, że jej dłonie były już mokre od potu.

– Tak. Ale proszę, pani Lavergne. Czas nagli. Czy ci ludzie mogą zostać u pani na noc?

– Co to za ludzie?

– Komuniści. Mieli być dziś wieczór aresztowani, ale ostrzeżono ich w porę.

– Gdzie oni są?

– Czekają tu, w ogrodzie. – Mężczyzna był tak zdenerwowany, że drżał.

Felicja czuła się jak ogłuszona.

– Akurat przyszedł do nas ktoś z wizytą. I to jest ktoś z SS.

Nieznajomy wlepił w nią zdumione oczy i przez sekundę sądził, że wpadł w pułapkę.

Felicja potrząsnęła głową.

– To nie to, co pan myśli. Nie mam z nimi nic wspólnego. Na miłość boską! – Cofnęła się o krok. – Proszę przyprowadzić tych uchodźców!

Wiedziała, że ryzyko było ogromne. Wprawdzie pokojówka miała wolne, ale Jolanta i tak dowie się o wszystkim. A poza tym na górze w pokoju siedział Hans Velin. Ale akurat ten fakt spowodował, że Felicja poczuła coś w rodzaju triumfu. Pewny siebie oficer SS, który udaje wielce ważnego i ma ambicje wżenić się w jej rodzinę! Już ona, Felicja, mu pokaże. Cóż to będzie za przyjemność i satysfakcja przeszmyglować do domu troje komunistów tuż pod jego nosem i jeszcze ich przenocować.

Szukający schronienia ludzie wynurzyli się z ciemności. Wszyscy mieli na sobie kilka warstw ubrań, aby móc zabrać ich ze sobą jak najwięcej. Na wszystko mieli jeszcze narzucone ciepłe płaszcze, w efekcie czego wyglądali jak nieforemne kloce. Kobieta ukryła włosy pod chustką. Rysy jej twarzy były ostre i bardzo wyraźne. Najwyraźniej to ona dowodziła, a obaj mężczyźni robili, co im kazała.

– Możemy tu zostać? – spytała wprost Felicję. Miała przyjemny, czysty głos.

– Tak. Ale niestety w piwnicy. Gdzie indziej nie byłoby bezpiecznie.

– W porządku.

W piwnicy znajdował się schowek na stare, zniszczone meble, a wśród nich były także dwa łóżka. Czasami, kiedy nagle zjawiało się zbyt wielu gości, spali właśnie na nich. Felicja zaprowadziła tam uciekinierów, a potem powiedziała Jolancie, by przyniosła bieliznę pościelową dla nowych gości.

– A poza tym, Jolanto, nikomu ani słowa – dodała.

Stara gospodyni skinęła głową. Służyła tu od ponad pół wieku, była wierna, godna zaufania i wiedziała, kiedy nie należało zadawać zbędnych pytań.

Felicja poszła na górę. Przy drzwiach ciągle czekał mężczyzna, który przyprowadził uciekinierów.

– Czy są jakieś problemy? – spytał szeptem.

– Nie. Nikt niczego nie zauważył.

– Dobrze. Jutro wieczorem przyjdę tu i ich zabiorę. – Powiedziawszy to, nieznajomy



znikł w ciemnościach.

Felicja patrzyła za nim i w jej głowie pojawiło się tysiące pytań. Wiedziała, że teraz nie otrzyma na nie odpowiedzi. Musiała wracać do gościa. Najlepiej, jeśli mu powie, że chodzi o spóźnionego ochotnika zbierającego niepotrzebną odzież na pomoc zimową i że chciała wybrać więcej ubrań.

Maksym Marakow. Nie była w stanie myśleć o niczym innym, kiedy jedli z małych miseczek kompot z bitą śmietaną, a Hans Velin mówił o zapale i skuteczności, z jakimi Hitler zwalczał bezrobocie w Rzeszy. Nie docierało do niej żadne z jego słów. Maksym Marakow.

Nie widziała go ani nie słyszała o nim od jedenastu lat, nie wiedziała też, gdzie przebywa. Maksym znikł z jej życia, a ona sądziła, że rany, które jej zadał, już się zagoiły.

„To przecież całkiem normalne, że jestem skonsternowana”, powiedziała do siebie w duchu. „Czy Maksym znów pojawi się w Niemczech, on, taki zagorzały komunista, sojusznik i zwolennik Lenina, człowiek, któremu Marks zastępował Biblię?” Ten człowiek spytał: „Zna pani Maksyma Marakowa?”. Mogła odpowiedzieć inaczej: „Tak. Znam go, znamy się od dzieciństwa. Razem bawiliśmy się jako dzieci w sadach Lulinna i w ciemnych lasach Prus Wschodnich. W moich wspomnieniach zawsze wtedy było lato, nieskończenie długie i gorące, pod naszymi stopami ciepła i sucha trawa, my zrywaliśmy jagody, nasze usta nimi wysmarowane, kiedy bieглиśmy aleją do domu, mijało nas stado gęgających gęsi, a trakeny na łąkach rżały”.

– Jesteś całkiem nieobecna duchem, mamó – powiedziała Zuzanna z wyrzutem. – Zdaje mi się, że wcale nie słuchasz, co mówi Hans!

– Nieprawda, Zuzanno, słucham.

„Kochałam go. Już jako dziecko i sto razy bardziej jako młoda dziewczyna. Miał takie jasne, melancholijne oczy i do szaleństwa doprowadzało mnie, że potrafił tak stać obok mnie, a być daleko jak księżyc na niebie. Dzieliliśmy ze sobą letnie dni w Insterburgu, ja myślałam, że będzie należał do mnie, ale nagle stał się taki nieprzystępny. Nosłam piękne suknie i stroiłam się, jak mogłam, a on stale mówił, że świat trzeba zrewolucjonizować. Nie rozumieliśmy się. Nagle zrobiło się już tak, jakbyśmy pochodzili z dalekich, obcych sobie światów”.

– A więc nie miałaby pani nic przeciwko weselu we wrześniu? – spytał Obersturmführer.

– Nie – odpowiedziała mechanicznie.

Myślała o tym, jaka czuła się upokorzona, kiedy Maksym zaczął spotykać się z inną kobietą. Maria Iwanowna, komunistka, gotowa oddać życie za ideę. Razem walczyli w rewolucji rosyjskiej. Razem zdecydowali, że to Związek Radziecki będzie ich ojczyzną. Felicja, przyjaciółka z czasów dzieciństwa, była Maksymowi potrzebna tylko wtedy, kiedy coś poszło nie po jego myśli. Kiedy musiał odpocząć, kiedy czuł się zmęczony i załamany, a dość często zdarzało mu się być u kresu sił. Ona, Felicja, zawsze była gotowa mu pomóc. Zawsze.

A poza tym – i o tym Maksym nie miał pojęcia – był ojcem Belle.

Tom Wolff przeraził się, kiedy ktoś tak późno zadzwonił do drzwi. Była prawie dwudziesta trzecia trzydziści! Zastanawiał się, czy w ogóle ma otworzyć. Gdzieś w głębi ducha ciągle się obawiał, że któregoś dnia zjawi się tutaj Lulu.

Był u niej znów po południu, bo przez kilka dni dzwoniła wielokrotnie z żądaniem, by wreszcie do niej przyszedł. I kiedy tam zawitał, w którymś momencie oczywiście wylądowali w łóżku. Lulu zrobiła się łagodna i przestała mu w kółko grozić. A potem siedziała przed toaletką zupełnie naga i paliła papierosa. Na widok jej obwisłej skóry obok obrzydzenia i wstrętu Tom odczuwał także litość. Szminka na jej twarzy się rozmazała i niczego już nie tuszowała; widać było, że Lulu jest wyczerpana.

„Biedna, stara kobieta”, myślał Tom.

Kiedy wychodził, znów zaczęła płakać i krzyczeć, że się zabije, ale przedtem zrobi wszystko, aby Tom stracił cały posiadany majątek. Mężczyzna prawie uciekł z jej domu. Wiedział, że Lulu się upijała, i dlatego przez cały wieczór prześladowała go koszmarna myśl, że nagle pojawi się przed jego drzwiami.

Ktoś znów zadzwonił, tym razem niemal nieśmiało.

„To mi nie wygląda na Lulu”, pomyślał Tom.

– Czy mógłbyś otworzyć? – spytała jego żona Kat. Grała cicho na pianinie, co chwila pochylała się nad nutami i studiowała je wnikliwie.

– Tak – odpowiedział Tom. – Już idę.

Przed drzwiami stał Martin Elias.

– Słucham? – spytał Tom. Wydało mu się, że skądś zna tego człowieka.

– Jestem Martin Elias. Może pan sobie mnie przypomina. Spotykaliśmy się czasem w domu Felicji Lavergne.

– Słusznie! Potem ożenił się pan z przyjaciółką Felicji z młodości. Ona miała na imię Sara, prawda?

– Tak. Panie Wolff, wiem, że to bardzo nieodpowiednia pora, ale czy mogę wejść na chwilę?

Tom przeczuwał kłopoty. Elias był Żydem. Prawdopodobnie potrzebował pomocy.

– Proszę, niech pan wejdzie – rzekł uprzejmie, ale nie zaprosił gościa do salonu, zatrzymał się w korytarzu.

– Tak? – spytał.

Martin bez zwłoki przystąpił do rzeczy.

– Chodzi o mojego ojca. Przyszedł do nas dziś wieczór i pokazał nam pismo, w którym kazano mu przygotować się na jutrzejszy wieczór. Ma być wywieziony do Buchenwaldu.

– O, cholera – powiedział Tom.

– Jest pan jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, panie Wolff. Należy pan do partii i to może znaczyć, że... że pan ma wpływowych przyjaciół.

– No, nie przeceniałbym tak swoich wpływów. Co prawda oni są zaangażowanymi nazistami... – Tom się zawahał. – Mówiąc otwarcie, panie Elias, niczego nie mogę panu obiecać. Dam panu natomiast radę: pański ojciec powinien się ukryć. Na pewno jest jakaś możliwość, aby to zorganizować.

– Próbowaliśmy go do tego przekonać. Ale odmawia. Ma siedemdziesiąt pięć lat i uważa, że nie będzie w stanie żyć w ukryciu. A przede wszystkim jest to dla niego kwestia szacunku do samego siebie. Ukrywać się jak jakiś zbrodniarz...

– W Buchenwaldzie nie będzie mógł liczyć na przyzwoite traktowanie i dobrze pan o tym wie.

– Tak. On się nie ukryje.

Tom powoli skinął głową.

– To może być dla niego wyrok śmierci.

– Panie Wolff...

– Porozmawiam z paroma osobami. Ale proszę nie robić sobie wielkich nadziei. W takich wypadkach nagle nikt nie ma odpowiednich kompetencji i wszyscy żałują, że nie mogą pomóc. Ale spróbuję zrobić, co w mojej mocy.

– Dziękuję panu, panie Wolff. Niestety czas nagli...

– Jutro rano spotkam się z kim trzeba.

Stali naprzeciwko siebie, z jednej strony starzejący się światowiec w szlafroku z podkrążonymi oczami z powodu troski o pieniądze, a z drugiej – żydowski intelektualista

w wytartym ubraniu, z podkrążonymi oczami z powodu troski o przetrwanie.

W każdej innej sytuacji nie za bardzo wiedzieliby, o czym mają ze sobą rozmawiać.

– Jeszcze jedno, panie Elias – powiedział Tom przy drzwiach. – Na pańskim miejscu opuściłbym Niemcy. Kto wie, co tu się jeszcze wydarzy!

Martin roześmiał się gorzko.

– Chcielibyście, aby tak było, prawda? Żebyśmy my, Żydzi, zniknęli. Żebyśmy zostawili tu wszystko: naszą własność, naszą ojczyznę i nasz język. Żebyśmy wszyscy nagle rozplynęli się w powietrzu i żeby nas już nie było.

– Nie mam nic przeciwko Żydom, panie Elias.

– Paktuje pan z nazistami.

– Przez całe swoje życie paktowałem. Chciałem mieć pieniądze, wpływy, wygody i luksusy. A to nie spada z nieba. To wymaga dopasowania się.

– I uważa pan, że to w porządku? – spytał Martin, ale natychmiast zrozumiał, że zachowuje się niemądrze. – Proszę wybaczyć, oczywiście nie mam prawa...

– Ach, co tam, proszę nie przepraszać. Podoba mi się, że pan nie próbuje się dopasować ani trochę, nawet w sytuacji takiej jak ta. Podziwiam taką postawę, mimo że zaprowadzi pana donikąd. Ale ja się już nie zmienię. Widzi pan, panie Martinie Eliasie, pan jest synem bogatego bankiera i chociaż w pana życiu był okres buntu, to zawsze przysługiwały panu pewne przywileje i nie ma pan pojęcia, jak wiedzie się komuś, kto wyszedł z rynsztoka. Nawet teraz, kiedy znalazł się pan w tak paskudnej sytuacji, nie jest pan w stanie tego zrozumieć. Jako dziecko byłem biedny jak żebrak i wszyscy mną pogardzali. Przez całe życie wszyscy mną gardzą. Gardzi mną moja żona. A to, co mnie choć trochę chroni, to moje przeklęte pieniądze. I zawarłbym pakt nawet z diabłem, żeby je pomnożyć... – Urwał, dostrzegłszy, że powiedział za wiele. – Ale kogo to obchodzi – skwitował ponuro i wyciągnął rękę do Martina. – Dam panu znać, panie Elias.

– Dziękuję bardzo – odpowiedział Martin i wyszedł.

– Biedak – zamruczał Tom Wolff, zamykając drzwi.

Tego samego wieczoru w Berlinie Belle wraz z przyjaciółką z UFA udała się do teatru Metropol. Przyjaciółka otrzymała od pewnego zagorzałego wielbiciela wejściówki na przedstawienie *Sezon w Salzburgu* i namówiła Belle, aby poszła wraz z nią. Belle nie lubiła operetki, ale nie wiedziała, co zrobić z wolnym wieczorem. Andreas nie miał dla niej czasu i zdenerwował się, kiedy zażądała wyjaśnień.

– Belle, ja nie chcę ci zdawać rachunku ze wszystkiego, co robię. Kiedy ty mi mówisz, że chciałabyś spędzić wieczór beze mnie, to też o nic nie pytam.

– Ale ja ci zawsze mówię.

– Nie musisz tego robić.

Jego obojętność ją zabolęła, ale zagryzła wargi i postanowiła nie robić scen. Romans z Andreasem trwał już osiem miesięcy i całkowicie ją wyczerpał. Do poczucia winy i ciągłego lęku, że prędzej czy później wszystko się wyda, dołączyły utarczki z Andreasem, który pozostawał zagadkowy i nieuchwytny, robiąc dwa kroki w jej stronę, a potem trzy do tyłu.

Belle bardzo schudła i się zmieniała. Jej twarz nie była już tak beztroska i pełna życia, lecz spokojniejsza, czasami zmęczona i zamknięta. Śmiała się rzadziej niż kiedyś i często pogrążała się w smutnych rozmyślaniach.

W czasie przerwy między aktami kobiety spotkały pewnego producenta filmowego, który znał towarzyszkę Belle i natychmiast zaczął z nią rozmawiać. Belle, pochłonięta własnymi problemami, prawie nie słuchała, dotarło do niej jedynie, że chodziło o katastrofę z pewnym filmem dźwiękowym, który powstał w Niemczech, jednak nie został dobrze przyjęty, a po sprzedaży do Hollywood odniósł ogromny sukces i zapewnił wielkie zyski Amerykanom. Potem

była mowa o sprawie Lidy Baarovej, która ponoć miała romans z Goebbelsem i w końcu opuściła Niemcy, rzekomo za namową samej Magdy Goebbels, a także na skutek osobistej interwencji Hitlera. W efekcie tego wyjazdu aktorka musiała porzucić plany o karierze filmowej. Belle, która właściwie lubiła plotki, nie podjęła także i tego tematu. Jak zawsze, kiedy nie mogła być z Andreasem, czuła wypalenie i pustkę. Rozglądała się i patrzyła na otaczających ją ludzi – i nagle go dostrzegła. Miał na sobie ciemne ubranie, trzymał w ręku kieliszek szampana i stał w towarzystwie młodej blondynki, która wyglądała jak żywcem wyjęta z jakiegoś czasopisma o modzie. Kobieta mówiła coś do niego z wielkim ożywieniem, a on przysłuchiwał się z uśmiechem zdradzającym rozbawienie.

Belle odwróciła się, czując, że blednie.

– Jak słyszę, pani jest także aktorką? – zwrócił się do niej producent.

Belle wlepiła w niego oczy. Czuła wściekłość i ból.

Producent nie patrzył na nią przedtem, ale teraz obserwował z zafascynowaniem jej bladą jak papier twarz.

– Wie pani co, panno...

– Jestem Belle Lombard. – W kręgach filmowych używała swojego panińskiego nazwiska, bo jako Lombard rozpoczynała karierę.

– Belle Lombard... Nazywam się Sven Kronborg, jestem niezależnym producentem filmowym. – Zauważył, że dziewczyna wcześniej go nie знаła. – Chciałbym sfilmować *Romea i Julię* Szekspira, ale w nowoczesnej wersji, i szukam Julii z pani twarzą. Julii z doświadczeniem, rozumie pani, nie niewinnej.

Przyjaciółka trąciła Belle w bok.

– Belle...

– Tak, ja... – Zwróciła wzrok w stronę Andreasa, jakby coś ją magicznie ciągnęło w tamtym kierunku.

Teraz on także ją zauważył i nieznacznie skinął głową w jej stronę. I najwyraźniej nie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Sven Kronborg popatrzył w tym samym kierunku.

– Czy to nie Andreas Rathenberg? – spytał.

– Zna go pan?

– Każdy go zna. Kolorowy rajski ptak, człowiek bez skrupułów i zobowiązań. Sypia chyba we wszystkich berlińskich łóżkach!

Przyjaciółka Belle zachichotała.

– Ale dobrze wygląda. Czy on też jest aktorem? – spytała.

– Nie. Zajmuje ważne stanowisko w przemyśle stalowym i zarabia masę pieniędzy na interesach z bronią – odparł Kronborg.

„Czy ja naprawdę wierzyłam, że on jest mi wierny?”

– A więc jak, panno Lombard? – odezwał się znów Sven. – Czy miałaby pani ochotę zgłosić się do tej roli?

Wracała do rzeczywistości jak po głębokiej narkozie.

– Tak, oczywiście.

Nic nie czuła. Kronborg podał jej wizytówkę.

– Proszę zatelefonować do mnie jutro, dobrze?

– Dobrze.

Rozległ się dzwonek i wszyscy wrócili na swoje miejsca. Po przedstawieniu Belle nie spotkała już Andreasa i jego towarzyszkę.

Kiedy Belle wróciła do domu, Max jeszcze nie spał, choć tego wieczoru nie miał żadnego

przedstawienia. Siedział w salonie i czytał gazetę. Na widok żony podniósł głowę.

– A, jesteś. Czy miło spędziłaś wieczór?

Belle rzuciła kapelusz na fotel. Dlaczego, do diabła, on nigdy nie robił jej wyrzutów? Często przychodziła późno w nocy, przeważnie dlatego, że była u Andreasa, i kiedy z początku obawiała się, że Max zażąda od niej wyjaśnień, to teraz wręcz miała nadzieję, że tak będzie. Sądziła, że będzie się czuła mniej winna, kiedy mąż zrobi jej awanturę, bo to wzmocni jej przekorę. A ponieważ on zachowywał się zupełnie inaczej, czuła się jak podła bestia. Dlaczego nigdy nie musiała się usprawiedliwiać? Dlaczego on nigdy nie robił jej scen? Mężowie innych kobiet podejrzewają je i kontrolują na każdym roku. Belle miała wrażenie, że wykończy ją zarówno bezgraniczna tolerancyjność i idealizm Maxa, jak i kompletna obojętność Andreasa.

A teraz stała przed mężem w obcisłej, czarnej sukni, z wymalowanymi na czerwono ustami. Już trzeci wieczór z rzędu przychodziła tak późno do domu, a on, jak zawsze, tylko uprzejmie spytał:

– Czy miło spędziłaś wieczór?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała, zsunęła z ramion na podłogę lekki letni płaszcz, podeszła do szafki i wyciągnęła z niej butelkę koniaku. Nalała sobie pełen kieliszek i wypła wszystko jednym haustem. – Byłam z Lisą w Metropolu i spotkałyśmy tam pewnego producenta. On chce sfilmować *Romea i Julię* i może będę grała Julię.

– To wspaniale. Gratuluję. – Max obserwował ją uważnie, kiedy wypła kolejną lampkę koniaku. – Czy coś się stało? – spytał.

– A niby co miałyby się stać? – Zabrzmiało to agresywnie.

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Wydaje mi się, że pijesz trochę za dużo, to wszystko.

– Chcesz mi tego zabronić? – Belle właśnie wypła trzeci kieliszek, a ponieważ długo nie jadła, szybko poczuła, że miękną jej kolana, i zakręciło jej się w głowie.

Max wstał i wyjął jej kieliszek z ręki.

– A więc dobrze. Zabraniam ci. Przestań.

Wlepła w niego zdumione oczy i chciała wyrwać mu kieliszek z ręki, ale mocno go trzymał.

– Dość na dzisiaj, Belle. Powinnaś iść spać.

– Nie chcę spać. Chcę się upić.

Max odstawił kieliszek na stół i objął Belle.

– Co się dzieje? Dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa? – zapytał ciepło i tkliwie.

Z oczu Belle popłynęły łzy. Przytuliła się do niego ciaśniej.

– Max, muszę ci coś powiedzieć...

– Tak?

Wyznałaby prawdę o Andreasie, gdyby nie podniosła głowy i nie spojrzała mu w oczy. Pierwszy raz od wielu dni dotarło do niej, dlaczego za niego wyszła. Wiedziała, że kochała te oczy, zdradzające inteligencję usta, szczupłe policzki, dzięki którym jego twarz sprawiała wrażenie tak bardzo melancholijnej. Nie mogła zadać mu bólu. I nawet w tej chwili, kiedy czuła się jak nieporadna mała dziewczynka, pijana i płacząca, zraniona i smutna, nawet teraz zdawała sobie sprawę, że to ona jest tą silniejszą i że nie wolno jej go zranić. On nawet nie podejrzewał, że ona mogłaby go zdradzić, sam nie byłby w stanie tego zrobić. A więc nie mógł się o niczym dowiedzieć.

– Ach, nic – powiedziała. – Chodźmy spać. Jestem dziś w podłym nastroju. Pewnie przez tego producenta tracę rozum.

W łóżku mocno przytuliła się do Maxa i w końcu się kochali – już od bardzo dawna tego

nie robili. Ku swemu przerażeniu nic nie poczuła. Zdążyła się już przyzwyczaić do nieco intensywniejszych doznań, a łagodność i delikatność Maxa nie rozpały jej ciała. Znow zaczęła płakać, a kiedy mąż spytał ją, co się dzieje, ukryła twarz w poduszce. Miała wrażenie, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

## 8.

Troje komunistów uciekinierów rzeczywiście odebrano następnego wieczoru. Załatwiono im fałszywe papiery w nadziei, że jakoś przedostaną się do Szwajcarii. Felicji nie udało się ustalić, kto to zrobił. Musiała za tym stać jakaś organizacja, która pomagała ludziom prześladowanym z powodu przekonań politycznych bądź przynależności rasowej opuścić Rzeszę. I Maksym Marakow do niej należał.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie on jest – prosiła mężczyznę, który przyszedł po uciekinierów, ale on wykręcił się od odpowiedzi.

– To są informacje, których nie należy rozgłaszać. Lepiej, aby pani nie wiedziała za dużo. Maksym Marakow odezwie się do pani.

Felicji nie pozostało zatem nic innego, jak czekać, a tego nienawidziła przez całe swoje życie. Lato było gorące i suche, tęskniła więc za Lulinnem, ale nie mogła opuścić Monachium. Wieczorami chodziła na długie spacery wzdłuż Izary, patrzyła na zielonkawą wodę i próbowała sobie wmówić, że to wschodniopruskie niebo odbija się w niej jak w lustrze. Praca nie sprawiała jej przyjemności, bo w fabryce produkowano wyłącznie mundury, te przekłete mundury. Wprawdzie dzięki nim Felicja zarabiała pieniądze, ale produkcja mundurów była śmiertelnie nudna.

W latach dwudziestych sprzedawała haute couture... A teraz? Felicja kopała kamienie do wody i myślała: „Cholerni naziści!”.

Zuzanna i jej oficer SS raz jeszcze świętowali oficjalne zaręczyny. Velin, jako protegowany Heydricha, zamienił oddział SS Trupich Główek na oddział dyspozycyjny SS i wyjechał do protektoratu. Jak mówił, chodziło o „programy przesiedleńcze”, i chyba spisał się dobrze, bo po powrocie otrzymał awans na Hauptsturmführera. Felicja próbowała u niego interweniować w sprawie ojca Martina Eliasa, bo Tom Wolff niczego nie zdołał załatwić. Sara, którą Felicja zatrudniła na pół etatu jako maszynistkę w fabryce, przyszła w końcu do niej w tej sprawie. Stary Elias został przewieziony do Buchenwaldu i mimo że obiecał natychmiast napisać, dotychczas nie dał znaku życia. Hans Velin oświadczył, że nic tu nie może zrobić.

– To nie leży w moich kompetencjach.

– A ja myślałam, że pańskie kompetencje są jednak bardziej rozległe! – prychnęła w odpowiedzi Felicja i tym samym stosunki między nią a przyszłym zięciem popsuły się całkowicie.

Sven Kronborg przydzielił Belle rolę Julii i ten angaż okazał się istną harówką. Każdego dnia dziewczyna musiała zjawiać się w studiu niemal o świcie i rzadko kiedy opuszczała je przed późnym wieczorem. Kronborg okazał się perfekcjonistą i to niemal chorobliwym. Jeśli w jakiejś scenie nie podobało mu się choćby jedno zdanie, kazał je powtarzać do skutku i nie pozwalał aktorom na żadną przerwę w zdjęciach.

– Jak wykonacie swoją pracę dobrze, będziecie mogli odpocząć – mawiał. – Ale ani minuty wcześniej!

Belle często kręciło się w głowie z głodu, a język przyklejał jej się do podniebienia i któregoś razu wybuchnęła płaczem przed kamerą, bo musiała powtórzyć to samo zdanie sto pięćdziesiąty raz. Wydawało jej się przy tym, że gra nienaturalnie.

– Kto, na miłość boską, doradził pani zostać aktorką? – wrzasnął Kronberg. – Nie ma pani za grosz talentu, Belle Lombard! Byłem głupcem, angażując panią!

Dziewczyna przełknęła łzy i powtórzyła to samo zdanie po raz sto pięćdziesiąty pierwszy.

Kronborg nie tylko produkował swoje filmy, sam też je reżyserował i pisał scenariusze. Tym razem potraktował dramat Szekspira bardzo swobodnie. W jego wersji aktorzy nosili współczesne ubrania, a dialogi bardzo odbiegały od tych w oryginale i wyraźnie odnosiły się do rzeczywistości. I tak między innymi to kwestie rasowe przemawiały przeciwko związkowi Julii i Romea. Ostatecznie to organy władzy wywierające wpływ także na najbardziej intymne sfery życia ludzi udaremniły plany młodych kochanków, uznając je za niedopuszczalne. Belle opowiedziała o tym Maxowi, który stwierdził, że cenzura nie przepuści takiego filmu.

– To nie może być! – zawołała zszokowana Belle. – Zaharowujemy się przy tym filmie na śmierć!

W sierpniu upały również nie ustąpiły i wciąż było bardzo sucho. Sytuacja polityczna zmieniła się jak w kalejdoskopie, niektórzy ludzie mówili o wojnie, inni głośno temu zaprzeczali. Kwestię Polski oczywiście należało wyjaśnić, ale z tego nie mogło przecież wynikać nic poważnego.

Minister spraw zagranicznych Ribbentrop podpisał w Moskwie pakt o nieagresji między Rzeszą a Związkiem Radzieckim, a Polska w odpowiedzi na to zawarła traktat z Wielką Brytanią, zgodnie z którym oba kraje obiecały sobie wzajemne wsparcie militarne. Führer, w przeciwieństwie do wielu swoich doradców, za bardzo się tym nie zmartwił. I w końcu także Francja ogłosiła, że w razie niemieckiej agresji na Polskę będzie wspierać ten kraj, i zamknęła ruch kolejowy z Niemcami. Holandia, Belgia i Szwajcaria raz jeszcze ogłosiły swoją neutralność, jednak zarządziły częściową mobilizację na wypadek próby wciągnięcia ich w konflikt. Hitler podał do wiadomości, że gotów jest do pertraktacji z Polską, ale dzień później wszystko odwołał, twierdząc, że ze strony polskiej nie było żadnej reakcji. W Polsce rozpoczęła się mobilizacja, zawieszono również komunikację kolejową z Prusami Wschodnimi.

Był 30 sierpnia 1939 roku. Tego środowego poranka Belle musiała się udać na Dworzec Szczeciński po Wiktora, dziewięcioletniego syna Modesty. Chłopak jechał ostatnim pociągiem, który mógł przyjechać z Prus Wschodnich. Wiktora wybrano do jednej z elitarnych szkół Rzeszy – narodowo-politycznego zakładu wychowawczego Napola, który mieścił się w dawnej szkole kadetów w Poczdamie. Modesta, kandydatka do Krzyża Honorowego Niemieckiej Matki, osiągnęła poprzez to kolejne zwycięstwo w kwestii honoru i szacunku należnego jej rodzinie. Belle właściwie w ogóle nie miała czasu, ale Kronborga dopadła ciężka letnia grypa i choć przez kilka kolejnych dni przychodził do studia z wysoką gorączką, to w końcu się poddał i położył do łóżka. Belle też najchętniej zostałaby w domu, bo ostatnio często czuła się źle i miała zawroty głowy, ale obiecała Modestcie, że odbierze jej syna z dworca. Ruszyła więc w drogę z wielką niechęcią. Kiedy dostrzegła Wiktora w tłumie podróżnych, pomyślała, że to idiotyczny pomysł, aby tak ładnego chłopca o wrażliwych oczach wysyłać do szkoły, w której siła i nieustraszonność bardziej się liczyły niż wykształcenie i intelekt. Jak to powiedział Führer? „Wszystko, co słabe, musi zniszczyć uderzenie młota. Chcę młodzieży gwałtownej, władczej, nieustraszonej i okrutnej. W oczach tych kawalerów ma być widoczna wolność i wspaniałość drapieżnika...”

„Biedny Wiktor”, pomyślała ze współczuciem Belle, „biedny, mały drapieżnik!”

– Witaj! – powitała go wesoło. – Pomyślałam, że najpierw pójdziemy do Kranzlera, to jedna z najsłynniejszych kawiarni w Berlinie, a potem będę ci towarzyszyć w drodze do Poczdamu i...

Wiktor popatrzył na nią poważnie.

– Nie, Belle, lepiej nie. Wtedy pomyślą, że przyjechałem z mamą.

Dziewczyna się roześmiała.

– Chyba trochę za młodo wyglądam, żeby być twoją mamą, nie sądzisz? Ale dobrze, pojedziesz sam.



Udało im się zdobyć miejsca u Kranzlera, Wiktor nie był już taki spięty i błyskawicznie pochłonął dwa kawałki tortu ze śmietaną. Belle zamówiła ciastko z truskawkami, ale już na sam jego widok poczuła mdłości. Aby nie myśleć o dolegliwościach, opowiedziała Wiktorowi trochę o swojej pracy, o studiu UFA i filmowym mieście Babelsberg, które było większe, niż Wiktor mógł sobie wyobrazić.

– Prawie pięćset tysięcy metrów kwadratowych terenu, gdzie powstają filmy. Są tam łąki, jeziora, rzeki. Gigantyczna kostiumernia. I dziesięć atelier do robienia filmów dźwiękowych. Także samochody, ogromna liczba samochodów. Oszalałbyś na sam ich widok. Mamy też wagony kolejowe. To świat sam w sobie – niesłychanie fascynujący. Najbardziej lubię przebywać w Babelsbergu!

„To nieprawda”, powiedział jej wewnętrzny głos, „tak było kiedyś. Dziś najchętniej przebywasz w ramionach Andreasa Rathenberga, a Babelsberg z ochotą posłałabyś w diabły”.

– Dlaczego nic nie jesz? – spytał Wiktor.

– Ach, nie jestem głodna. Masz, możesz zjeść moje ciastko. – Podsunęła mu talerz i nagle się poderwała. – Przepraszam na chwilę!

Zdażyła wpaść do toalety w ostatniej chwili. Kiedy myła ręce i płukała usta, zerkając do lustra, stwierdziła, że chyba nigdy nie wyglądała tak źle. Miała przed sobą po prostu dygocącego upiora.

„Muszę iść do ginekologa”, pomyślała, wyczerpana i pełna najgorszych przypuszczeń. „O Boże, tylko tego mi brakowało!”

Lekarz potwierdził jej podejrzenia.

– Jest pani w końcu drugiego miesiąca, pani Marty. Moje gratulacje!

– To nie może być prawda – wymruczała Belle.

– Nie cieszy się pani?

– Jestem aktorką. Właśnie gram w bardzo trudnym filmie. Potrzebuję dużo sił.

Lekarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Dziecko przyjdzie na świat za siedem miesięcy. Za cztery miesiące pani ciąża zacznie być widoczna. Do tego czasu film na pewno będzie gotowy.

W jego głosie słychać było rozbawienie.

„On nie traktuje mnie poważnie”, pomyślała Belle z goryczą. „No tak, gdybym nazywała się Kristina Söderbaum albo Gitta Alpár...”

Ubrała się nerwowymi ruchami.

– Moja ogólna sytuacja życiowa, panie doktorze...

To było bezcelowe. Zdała sobie sprawę, że on jej nie zrozumie. Przynajmniej nie powiedział, że móc darować Führerowi dziecko to wielki honor. W takim wypadku skoczyłaby mu chyba do gardła. Nie była w niczym lepsza od Modesty. W ciąży! Kiedyś też będzie mieć czworo dzieci i dostanie ten głupi krzyż. Żaden mężczyzna nie będzie chciał na nią spojrzeć, a o swojej karierze może w ogóle zapomnieć.

Lekarz, który obserwował jej gniewną twarz, spytał ostrożnie:

– Pani... jest przecież mężatką?

– Tak. – Teraz przyszło jej do głowy, że nie wie, kto jest ojcem dziecka. Najprawdopodobniej Andreas. – Tak, jestem mężatką. Ale to wcale nie ułatwia sprawy.

– Chce pani porozmawiać o swoich problemach? – zapytał cierpliwie lekarz.

– Nie.

Dała mu to już przecież wyraźnie do zrozumienia, a on nie wziął tego poważnie. Podążyła mu rękę.

– Do widzenia, panie doktorze.

Na zewnątrz odetchnęła głęboko. Nie miała pojęcia, co teraz zrobić. Próbować znaleźć kogoś, kto podejmie się wykonania aborcji? Koleżanki z Babelsbergu z pewnością będą wiedziały, kto mimo rygorystycznego zakazu – w końcu macierzyństwo uchodziło teraz za najważniejszy cel życiowy każdej kobiety – będzie skłonny się tego podjąć. Właśnie teraz, akurat teraz musiało jej się coś takiego przytrafić, kiedy wszystko wskazywało na to, że wreszcie zostanie prawdziwą aktorką. Musiała przecież pięknie wyglądać, musiała wyteńczyć wszystkie siły, aby sprostać morderczym metodom reżyserskim Svena Kronborga. A zamiast tego będzie niedługo toczyć się jak gruba beczka.

Zdecydowanym ruchem zatrzymała taksówkę. Podala kierowcy adres Andreasa i osunęła się na tylne siedzenie. Musi z nim porozmawiać. On powinien znaleźć jakieś rozwiązanie.

Kiedy zadzwoniła, odpowiedziała jej kompletna cisza. Zadzwoniła drugi i trzeci raz. Nic. Cisza.

W końcu pojawiła się żona dozorca i popatrzyła na nią nieufnie.

– A panienska do kogo?

– Do pana Rathenberga. Andreasa Rathenberga. Czy nie ma go w domu?

– Wyjechał wczoraj.

– Wyjechał?

– Tak, na dwa tygodnie. Mam mu podlewać kwiatki.

– Na dwa tygodnie?

Belle czuła się jak ogłuszona. Andreas wyjeżdża na dwa tygodnie i nie wspomina jej o tym ani słowem! Czy on naprawdę uważa, że to w porządku? Czy rzeczywiście czułby się ograniczany, gdyby jej powiedział, że wyjeżdża z Berlina na dłuższy czas? Przypomniała sobie wieczór, kiedy robiła mu wyrzuty z powodu tej blondynki w Metropolu. Odparł wtedy:

– Belle, nie próbuj mnie przykuć do siebie łańcuchem! Doprowadza mnie to do szału!

W odpowiedzi wybuchnęła płaczem.

– A mnie doprowadza do szału to, że mnie oszukujesz!

– Ty przecież też sypiasz z mężem, prawda?

– To coś zupełnie innego.

– Dlaczego?

W końcu rozstali się tego wieczoru rozgniewani i rozczarowani. Wprawdzie niedługo potem się pogodzili, ale jakiś cierń pozostał.

I w tym momencie, kiedy stała przed zamkniętymi drzwiami i dowiedziała się, że Andreas bez choćby jednego słowa wyjechał, po raz pierwszy przyznała się przed samą sobą, że ten związek to dla niej udręka, a nie piękna relacja. Oszukiwała się, kiedy wmawiała sobie, że jest szczęśliwą, zakochaną kobietą, a jej jedyny problem to zdrada. W rzeczywistości po prostu nie czuła się szczęśliwa i być może tak naprawdę nikogo nie kochała. To, co łączyło ją z Andreasem, było czymś w rodzaju niezdrowego uzależnienia, a fakt, że zносиła bycie ustawicznie nieszczęśliwą, zamiast się od tego uwolnić, dowodził, jak skomplikowane było jej życie uczuciowe.

Żona dozorca przyglądała jej się z zaciekawieniem.

– No, co jest? – spytała obcesowo.

Belle nagle poczuła się znów jak mała dziewczynka zagubiona we wrogim świecie i zapragnęła znaleźć się u kogoś, kto wysłuchałby jej problemów i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Zateśniła za matką. Felicja rzadko kiedy była obecna w dzieciństwie Belle, ale stanowiła jakąś ostoję siły i bezpieczeństwa. Felicja – zawsze taka piękna, pachnąca dobrymi perfumami i elegancko ubrana. Belle czuła, że musi do niej natychmiast zadzwonić, a że w domu nie miała telefonu, postanowiła pójść do babci.

Elza Degnelly mieszkała w dzielnicy Charlottenburg, na pierwszym piętrze starej kamienicy, bogato ozdobionej sztukateriami. Ogromne mieszkanie dawniej wypełniał gwar licznej rodziny, dorastało tu troje dzieci, a doktor Degnelly miał tu gabinet, w którym przyjmował pacjentów. Teraz we wszystkich pomieszczeniach panowała wytworna cisza, w oknach wisiały śnieżnobiałe tiulowe firanki, a na parapetach stały doniczki z liliowymi fiołkami afrykańskimi.

Czasami, kiedy Elza miała odpowiedni nastrój, w salonie ze staroświeckiego gramofonu rozbrzmiewały dźwięki koncertu skrzypcowego Beethovena.

Elza Degnelly, delikatna, siwowłosa kobieta, mimo swego wieku była ciągle tak samo nieśmiała i rozmarzona jak za młodu. W czasie wojny straciła męża i brata, ale prawdziwa tragedia jej życia rozegrała się w 1916 roku, kiedy jej najmłodszy, niespełna dziewiętnastoletni syn, zginął w bitwie pod Verdun. Od tej chwili Elza po prostu przestała brać udział w życiu. Nie mogła uporać się ze śmiercią Christiana; wiedziała, że nawet w chwili śmierci jej ból nie zmniejszy się ani odrobinę.

Belle, która w domu przy Schlosstrasse spędziła wiele lat swojego dzieciństwa, czuła się bardzo związana z babcią i także teraz nieco się uspokoiła, kiedy znalazła się w salonie wśród biedermeierowskich mebli, a stara kobieta przyniosła jej filiżankę herbaty.

– Jak miło, że przyszłaś mnie odwiedzić, Belle! – cieszyła się Elza. – Ależ ty schudłaś! Chodź, usiądź.

– Zaraz, babciu. Muszę najpierw zatelefonować. Mogę?

– Oczywiście. Telefon jest w moim saloniku, wiesz gdzie. – Elza popatrzyła za wnuczką, a potem jej spojrzenie powędrowało w kierunku wiszącego na ścianie olejnego obrazu, który przedstawiał Felicję jako młodą dziewczynę. – Ona jest taka jak ty – zamruczała. – Tak samo niespokojna. I nigdy nie będzie miała szczęścia do mężczyzn.

Babcia Elza dysponowała doskonałą intuicją.

## 9.

Felicja szykowała się właśnie do kolacji u Toma Wolffa, kiedy zadzwoniła Belle. Co prawda było dopiero popołudnie, a kolacja miała być podana o osiemnastej trzydzieści, ale Felicja już teraz przebierała się i malowała. Wybrała na tę okazję letnią suknię z czarnego jedwabiu z delikatnymi białymi paskami, której góra była mocno dopasowana, a wycięcie ukazywało nasadę biustu. Wokół talii Felicja zawiązała szeroki biały pas, zaś dół sukni opadał gładko na biodra i sięgał tuż za kolana. Z całą pewnością kreacja była za krótka, a cienkie jak ołówki obcasy czarno-białych szpilek były zbyt wysokie jak na przyzwoitą kobietę, ale Felicja tak lubiła. Jej lekko kręcone włosy spływały luźno na ramiona, ale założyła je za uszy, by pokazać kolczyki z pereł. Podwójny sznur takich samych pereł ozdobił jej szyję.

I właśnie kiedy tuszowała rzęsy, zawołano ją do telefonu.

– Mamo, dzięki Bogu, że jesteś w domu! Obawiałam się, że cię nie zastanę!

– Belle! Czy coś się stało?

Belle przeknęła ślinę, po czym nastąpiło długie, bardzo chaotyczne i zagmatwane wyjaśnienie, pod koniec którego dziewczyna wybuchnęła łzami. Felicja zrozumiała, że chodziło o mężczyznę – choć nie o Maxa – który prowadził dość swobodny tryb życia, i o dziecko.

– Naprawdę jesteś w ciąży?

Teraz Belle płakała już bez przerwy.

– Wszystko jest takie okropne! Mamo, proszę, przyjedź do mnie. Potrzebuję cię. Proszę!

– A nie chciałabyś przyjechać tutaj? To byłoby...

– Nie mogę z powodu tego filmu. Sven Kronborg może szybko stanąć na nogi i wywali mnie, kiedy nie zjawię się w studiu. Proszę, mamo! Naprawdę nie miałam ci za złe, kiedy nie mogłaś przyjechać na moje wesele, ale teraz tak bardzo cię potrzebuję!

Felicja zawahała się przez sekundę, ale już sama wzmianka o weselu była skutecznym apelem do jej nieczystego sumienia.

– Dobrze, Belle. Wsiądę jutro do pierwszego pociągu i przyjadę. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Na kolacji u Toma Wolffa pojawił się niespodziewanie Hans Velin, który, jak się okazało, należał do kręgu jego bliskich znajomych. Obok Felicji siedział pewien starszy Sturmführer SA, który był nią zafascynowany i niemal się zakrztusił, kiedy po kolacji wyjęła z torebki ciemnoczerwoną szminkę do ust oraz lusterko i spokojnie umalowała wargi. Sturmführer nawiązał w rozmowie do sprawy fabryki i od niechcenia spytał, czy byłaby zainteresowana dalszymi zleceniami z ramienia partii.

Felicja dotychczas odnosiła się do niego raczej lekceważąco, jeśli nie obojętnie, ale słysząc to pytanie, odwróciła się w jego stronę i po raz pierwszy przyjrzała mu się uważnie.

– Zlecenia z ramienia partii?

– Tak. Kiedy przedsiębiorstwo należało do pół-Żyda Liliencrona, oczywiście nie było to możliwe, ale teraz pani przejęła kierownictwo...

– Pan Liliencron przepisał fabrykę na mnie. Niczego sobie tak po prostu nie wzięłam.

– No, w każdym razie obecny stan rzeczy godzien jest pochwały – zauważył ubrany w brunatną koszulę mężczyzna, uśmiechając się lodowato.

– Jeśli jednak o mnie chodzi – odpowiedziała Felicja chłodno – to bardzo brakuje mi rad pana Liliencrona.

Za stojącymi na stole kwiatami i świecami dostrzegła szeroki, ironiczny uśmiech Toma.

On znał ją jak mało kto i doskonale wiedział, jak bardzo pragnęła wejść w posiadanie fabryki, wiedział też, że teraz walczyły w niej dwa sprzeczne uczucia: niechęć do nazistów i żądza zarobienia na nich pieniędzy.

– Flagi, opaski, wystroje ścian – mówił dalej siedzący obok mężczyzna. – Potrzebujemy tych rzeczy w gigantycznych ilościach. Mógłbym załatwić przekazanie dużych zleceń dla pani.

Oczy Felicji przypominały oczy kota, który zwęszył smaczny kąsek.

– To oczywiście jest do rozważenia, panie... – Cholera, jak on się nazywa? Przedstawił się, ale ona wcale go nie słuchała.

– Becker – podpowiedział Tom, znów uśmiechając się szeroko.

Felicja uśmiechnęła się do Sturmführera.

– Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

Jej piękna twarz złagodziła niemiłe wrażenie, kiedy zorientował się, że nie zapamiętała jego nazwiska.

– Może mógłbym jutro przed południem odwiedzić panią w biurze, pani Lavergne?

– Jutro przed południem... – O tej porze Felicja chciała być już w pociągu jadącym do Berlina, ale oferta Beckera była naprawdę korzystna i jej owocem mógłby być lukratywny kontrakt. Mogła przecież pojechać popołudniowym pociągiem. Była pewna, że Belle ją zrozumie. – Dobrze – odpowiedziała. – A więc jutro przed południem.

Następnego dnia padał deszcz, i to tak intensywnie, jakby lato chciało zwrócić uwagę, że jutro zaczyna się wrzesień i że zamierza powoli zacząć się żegnać. W domu było chłodno i Felicja przyjęła Beckera w ciepłym swetrze. Sturmführer patrzył na nią z takim samym zachwytem jak wczoraj, ale Felicji wydał się jeszcze bardziej niesympatyczny. Wyjaśnił, że kierownictwo okręgu partii Monachium poszukuje fabrykantów, którzy regularnie będą dostarczać duże ilości produktów, o jakich rozmawiali wczoraj, i że przedsiębiorstwo Lavergne wydaje się odpowiednie – teraz, kiedy znikł „żydowski element”.

– A w dodatku Hauptsturmführer SS Velin niedługo wżeni się w pani rodzinę i wówczas już prawie wszyscy będziemy jedną wielką rodziną! – Becker zachichotał nerwowo.

Felicja wykrzywiła twarz w grymasie.

Uparła się przy nieco wyższych cenach i po chwili wszystko zostało uzgodnione. Becker przyniósł ze sobą umowę, raz jeszcze ustalili warunki i podpisali ją. Sturmführer odetchnął z wyraźnym zadowoleniem.

– Czy teraz wypije pani ze mną kawę? – zapytał.

Felicja się podniosła.

– Przykro mi, ale muszę się już pakować. Jeszcze dziś jadę do Berlina.

– Ach, rozumiem... – Sprawiał wrażenie rozczarowanego i nieco zirytowanego. – No, ale mam nadzieję, że będziemy się wkrótce częściej widywać.

W jego uśmiechu było coś wstrętnego. Felicja pomyślała, że w porównaniu z tym typem nawet Hans Velin wydaje się sympatyczny.

– Proszę pozdrowić stolicę Rzeszy ode mnie – powiedział Becker, po czym trzasnął obcasami i wyciągnął w górę prawą rękę. – *Heil Hitler!*

Kiedy wreszcie poszedł, Felicja zaczęła pośpiesznie zbierać rzeczy, które chciała zabrać ze sobą. Była w domu sama. Pokojówka miała wolne, a Jolanta pojechała nad jezioro Chiemsee w odwiedziny do siostry. Zuzanna zaś udała się do miasta, aby skompletować nową garderobę odpowiednią dla mężatki. Pociąg do Berlina odjeżdżał o siedemnastej, Felicja miała dotrzeć na miejsce dopiero po północy. Przestało padać i silny wiatr rozwiął chmury, zza których wyjrzało ciemnoniebieskie niebo. Słońce oświetliło mokre liście kasztanowców rosnących za domem.

Felicja otworzyła okno i do pokoju wpłynęło świeże, aromatyczne powietrze. Włączyła

radio, mówiono znowu o Polsce, w kółko tylko o Polsce. Mussolini chciał spróbować swych sił jako pośrednik, ale sytuacja najwyraźniej coraz bardziej się zaostrzała. A potem spiker wspomniał o obowiązku asygnacyjnym, który w Rzeszy wprowadzono przed czterema dniami, ale który na razie zrobił większy bałagan niż porządek. „Będą powołane urzędy do spraw gospodarczych i żywieniowych, które zajmą się problemem asygnat”, obiecał komentator, po czym zabrzmiał hymn państwowy Niemiec. Kiedy audycja się skończyła, ktoś zadzwonił do drzwi.

Dzwonek rozległ się raz jeszcze, a wtedy Felicja uświadomiła sobie, że oprócz niej nie ma w domu nikogo i to ona musi otworzyć. Szybko zbiegła po schodach, nucąc coś.

Otworzyła. W drzwiach stał Maksym.

W tamtych odległych, ale szczęśliwych dniach dzielili ze sobą swoje życie, marzenia, nadzieje i lęki. Byli dziećmi, spędzali długie godziny w ogrodach Lulinna, wśród starych drzew, wysokiej trawy i kolorowych kwiatów, i nie było niczego, co mogłoby zniszczyć ten czar. Kiedy dorośli, każde z nich miało już swój świat. I ani on, ani ona nie rozumieli, dlaczego te światy tak bardzo się różnią.

A teraz stali naprzeciwko siebie. Minęło jedenaście lat od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. Maksym z wyglądu prawie się nie zmienił, miał teraz czterdzieści siedem lat, a jego ciemne włosy nad czołem zaczynały już siwieć. Był kompletnie przemoczony, ulewny deszcz musiał go zaskoczyć, bo płaszcz, z którego kapłała woda, praktycznie na nim wisiał. Woda spływała także z jego kapelusza. Kiedy zrobił krok do przodu, w butach zabulgotało. Pierwsze słowa, które usłyszała Felicja, brzmiały:

– Czy jesteś sama?

Kobieta się cofnęła.

– Tak, jestem sama, wejdz.

W drodze do salonu zostawił mokre ślady na podłodze. Felicja szybko chwyciła kilka polan z kosza stojącego koło kominka, ułożyła je starannie i zapaliła.

– Zdejmij te mokre rzeczy – rozkazała, mówiąc do niego tak, jakby widziała go zaledwie wczoraj – zaraz przyniosę ci szlafrok. I usiądź blisko ognia, bo się przeziębisz i to mocno.

Jej serce biło jak oszalałe, kiedy wbiegła po schodach. W łazience chwyciła ręcznik oraz szlafrok swojego byłego męża. Jedenaście lat... nic się nie zmieniło i być może będzie musiała porzucić myśl, że kiedykolwiek coś się zmieni.

Maksym posłusznie się rozebrał i stał teraz przed kominkiem w samych spodenkach.

– Wytrzymaj się, a ja przygotuję ci grzane wino.

Krzętała się chaotycznie i próbowała zapomnieć o swoich mięknących co chwila kolanach i po prostu nie zwracać na to uwagi. Maksym siedział wreszcie przed ogniem zawinięty w miękki szlafrok i trzymał w dłoniach kubek z gorącym, pachnącym cynamonem winem, a ona klęczała przed nim na dywanie, zaciskając dziwnie zimne ręce na takim samym kubku z winem. Wiatr niepostrzeżenie przygnał skądś chmury i znów padał deszcz; za oknem utworzyła się szara ściana wody, a mrok pokoju rozjaśniał tylko słaby, czerwony żar kominka.

– Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że przyjdiesz od czasu, kiedy nocowali tu ci uciekinierzy... Ten człowiek, który ich przyprowadził, powołał się na ciebie – powiedziała, patrząc na niego pytająco i czekając na jakieś wyjaśnienie. Jednocześnie pomyślała: „Właściwie chciałabym go zapytać o tyle innych rzeczy”.

– Tak. Wahałem się, czy powinienem cię w to wciągać, ale nie mieliśmy wyboru. A poza tym Peter Liliencron uważał, że będziesz skłonna nam pomóc.

– Ty go znasz?

– Nawet dobrze. Pracowaliśmy razem w tej samej grupie, która pomaga przeciwnikom

reżimu w ucieczce za granicę.

– Tak, ale... – Wlepiała w niego zdumione oczy. – Jak długo jesteś już w Niemczech?

– Od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Ale większość czasu spędzałem w Berlinie.

– Dlaczego nie dałeś żadnego znaku życia?

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Bo było to zbyt niebezpieczne. Żyję pod fałszywym nazwiskiem, z fałszywym paszportem. Wiedziałem, że współpracujesz z Liliencronem, ale u nas obowiązuje żelazna zasada: osobom trzecim nie wolno zdradzić naszych prawdziwych nazwisk. Byłoby to zbyt ryzykowne dla wszystkich.

– Jeden z was został rok temu schwytany i dlatego Peter musiał opuścić Niemcy. Dlaczego ty zostałeś?

Zamiast odpowiedzieć, spytał:

– Masz dla mnie papierosa?

Felicja podała mu opakowanie. Udzielił odpowiedzi dopiero, kiedy zaciągnął się głęboko kilkakrotnie.

– Wyjechałem na kilka miesięcy do Holandii, ale wróciłem, kiedy wiadomo było, że nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo. Liliencron jest pół-Żydem, jego sytuacja i tak była krytyczna. Ale – Maksym wpatrywał się przez chwilę w dym – w tej historii i tak tkwi się ciągle jedną nogą w więzieniu.

Przez chwilę oboje milczeli, a potem Felicja powiedziała powoli:

– To, co robisz, Maksymie, to kompletne szaleństwo.

Uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy tu wszedł.

– Moja dobra dawna Felicja. Zawsze taka sama. *Tempora mutantur*, ale my niekoniecznie, prawda? Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, żeby narażać się dla innych!

– Ja zawsze...

Przerwał jej, trochę niecierpliwie.

– Wiem. Dla swojej rodziny zawsze dałabyś się poćwiartować. Nie żebyś się specjalnie o kogoś troszczyła, ale gdyby było trzeba, poruszyłabyś niebo i ziemię, aby zdobyć pieniądze i inne dobra i bronić wszystkich do upadłego.

Popatrzyła na niego surowo, zastanawiając się, czy on z niej kpi, czy też jego słowa wyrażają szacunek i uznanie. Ale nie była w stanie tego odgadnąć. Jak zawsze.

Przez chwilę słychać było tylko trzask ognia w kominku i szum deszczu, aż nagle Maksym powiedział:

– Potrzebujemy cię, Felicjo. Dlatego tu jestem.

– Kto mnie potrzebuje?

– Nasza organizacja. Potrzebujemy domu, w którym przejściowo będziemy mogli ukrywać ludzi. Chodzi o osobę, która dla nazistów nie będzie w ogóle podejrzana i na którą będziemy mogli się zdać w stu procentach.

Teraz Felicja zrobiła się czujna.

– Maksymie, czy ty wiesz, czego żądasz?

– Tak.

– To niemożliwe. Ja nie mieszkam tutaj sama. Ja...

– Twoja córka Zuzanna wychodzi za mąż za esesmana, a więc już jej tu nie będzie.

A Hauptsturmführer SS w rodzinie to dodatkowa gwarancja. Tym bardziej nikt nie będzie cię podejrzewał.

– Moje uznanie – odpowiedziała Felicja. – Jesteś znakomicie poinformowany.

– Musimy być poinformowani o wszystkim. Kto ze służby mieszka w domu?  
– Jolanta. Jest tu od niepamiętnych czasów i dałabym sobie za nią rękę uciąć. Ale pokojówka...

– Czy musi tu pracować?

– Niekoniecznie. Kiedy Zuzanna się wyprowadzi, to właściwie nie będzie mi potrzebna.

– Ogrodnik?

– Mamy jedynie mały ogród za domem. Ogrodnik przychodzi co dwa tygodnie i tylko latem.

Maksym skinął głową.

– To byłoby idealnie.

– Ależ, Maksymie, to niemożliwe! – Pomyślała, że on chyba oszalał. – Zuzanna i jej esesman będą mnie często odwiedzać. A poza tym... mam umowę na dostawę produktów dla kierownictwa okręgu partii w Monachium. Flagi i tym podobne. To znaczy...

– Masz na myśli to, że w każdy możliwy sposób kolaborujesz z nazistami!

Poczuła narastającą wściekłość.

– Nie opowiadaj bzdur! Nie cierpię nazistów, ale chcę jakoś przeżyć. Do cholery, co to komu pomoże, jeśli zacznę się im przeciwstawiać? Po prostu zwrócą się o dostawę takich produktów jak moje do kogoś innego!

Maksym nie odpowiedział, ale jego twarz wyrażała taką pogardę, która Felicji wydała się nie do zniesienia.

– Przecież ci to odpowiada i cieszysz się, że mam pieniądze! – prychnęła. – I wielki dom, uznanie wśród ludzi, nawet to, że mam w rodzinie tego przekłętągo Hauptsturmführera SS. W ten sposób mogę się wam bardziej przydać niż... – Urwała.

Maksym popatrzył na nią poważnie.

– Myślałem, że nie chcesz z nami współpracować?

„Zawsze byłeś w stanie mnie do czegoś zmusić”, pomyślała, ale głośno odparła:

– Ach, cicho bądź, pomogę wam przecież. Przecież nie pozostaje mi nic innego, prawda?

– Możesz powiedzieć „nie”.

– Tak i potem zeżrą mnie wyrzuty sumienia! – Z wściekłością wypila jednym haustem resztę wina, które zrobiło się już letnie. – Maksymie Marakowie, dlaczego ty zawsze musisz zjawiać się niespodziewanie i robić bałagan w moim życiu?

Wstał, podszedł bliżej i ukląkł obok niej.

– Felicjo – powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu – nie bądź na mnie taka zła. Potrzebuję cię.

Nieoczekiwanie delikatny ton jego głosu ją zdenerwował. Odpowiedziała ostrzej, niż chciała:

– Jeśli o to chodzi, to zawsze potrzebna ci było tylko Maria Iwanowa – twoja Masza!

– Masza nie żyje.

Po tych słowach zapadła nagle cisza. Po długiej chwili Felicja spytała schrypniętym głosem:

– Co takiego?

– W następstwie czystek Stalina... Została aresztowana pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, a wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku rozstrzelano ją w obozie na Syberii.

– Dlaczego? Dlaczego Masza? – „O Boże, a ja tak strasznie nienawidziłam tej kobiety!”

Twarz Maksyma wyglądała jak wykuta z kamienia.

– Była córką kupca, a to oznaczało burżuazyjne pochodzenie... Masza, najbardziej godna



zaufania bojowniczką, jaką wtedy mógł mieć Lenin...

Jego głos się załamał, a Felicja, kompletnie zaskoczona, powiedziała:

– To po prostu nie może być prawda!

Maksym gorączkowym ruchem przejechał palcami po włosach.

– Felicjo, tam w ostatnich latach wystarczała im tylko jedna absurdalna plotka, jeśli chcieli kogoś zlikwidować... Nawet nie mogłem jej pomóc... Przebywałem w Niemczech i kiedy się o wszystkim dowiedziałem, było już za późno...

„On teraz wygląda jak zmęczony, stary człowiek”, pomyślała Felicja z przerażeniem. Łagodnie przyciągnęła go do siebie, a on się nie bronił.

– Musisz mieć jakieś miejsce, żeby wypocząć, Maksymie. Zostań tu na noc.

Z zewnątrz dobiegał szum padającego deszczu, objęli się i żadne nie wiedziało, ile czasu upłynęło. Na parę cennych minut wróciła przeszłość, długie, beztrudne letnie dni spod Insterburga uśmiechały się do nich i przypominały, że choć dawno minęły, to ciągle pozostają w ich pamięci.

„I to one nas łączą”, uświadomiła sobie Felicja, „nawet kiedy się całkiem zestarzejemy, nadal będziemy tak siedzieć i o nich marzyć, i nigdy nie zrozumiemy, dlaczego nie udało nam się tego wszystkiego zachować”.

Kiedy zapadł zmrok, zrobiło jej się nagle gorąco. Uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała o Belle i swojej podróży do Berlina.

Felicja umieściła Maksyma w tej samej piwnicy, w której swego czasu ukryła uciekinierów, a on zasnął niemal natychmiast i spał jak zabity. Kiedy przyszła do niego późnym przedpołudniem następnego dnia, właśnie się obudził i zupełnie rozespany rozglądał się nieprzytomnie dookoła.

– Przepraszam, Felicjo. Wczoraj wieczorem byłem kompletnie wyczerpany. To zauważyła się dopiero, kiedy nagle leży się w miękkim łóżku...

Felicja postawiła tacę obok łóżka.

– Proszę, masz tu śniadanie. Kawa, bułki, dżem, ser, kiełbasa i jajko na miękko. Jedz, jesteś zbyt wychudzony. – Usiadła na brzegu łóżka i patrzyła z zadowoleniem, jak szybko pochłania wszystko, co przyniosła. – Maksymie, tak się cieszę, że cię znowu widzę! – wyznała po chwili. Potem opowiedziała mu o liście otrzymanym od Liliencrona: – I w ogóle nie rozumiałam jego aluzji. Napisał, że nikt nie może uchylić się od odpowiedzialności. Ciągle zadawałam sobie pytanie, co miał na myśli. Ale on chciał przygotować mnie na siebie... i na waszą... organizację.

– Trochę za bardzo na ciebie naciskałem, prawda? – spytał Maksym. – Jeśli czujesz się do czegoś zmuszona, to...

– Nie, naprawdę nie. Nie martw się. Pomogę wam.

Sprawiała wrażenie szczęśliwej, spokojnej i pełnej pogody ducha.

„Ona nie ma pojęcia, co ją czeka”, pomyślał Maksym.

Felicja wstała i otworzyła okno znajdujące się tuż nad ziemią. Do środka wpłynęło wilgotne, rześkie powietrze.

– Pierwszy września. Wkrótce przyjdzie jesień, Maksymie. – Odwróciła się w jego stronę. – Maksymie, ja...

Nic nie mów, poprosił bez słów.

Nie dokończyła zdania. Nagle oboje poczuli jakieś osobliwe napięcie. Aby czymś się zająć, Felicja włączyła radio stojące na półce. Ten mocno uszkodzony aparat wyniosła tu już przed laty, bo strasznie trzeszczał. Ale teraz mimo wszystko można było usłyszeć szczekliwy głos Führera.

„Moich pokojowych propozycji i nieskończonej cierpliwości nie należy traktować jako przejawu słabości czy też tchórzostwa...”

– Nie da się tego znieść – powiedziała Felicja, chcąc wyłączyć radio.

Maksym zmarszczył czoło z niepokojem.

– Zostaw, proszę – odparł.

„...dlatego zdecydowałem się użyć w stosunku do Polski tego samego języka, którym Polska od wielu miesięcy posługuje się wobec nas...”

Wyraz twarzy Maksyma wyrażał skrajne napięcie. Postawił tacę na podłodze i się wyprostował.

„...polskie regularne siły zbrojne dziś w nocy po raz pierwszy na naszym własnym terytorium zaczęły do nas strzelać”.

– Maksymie – rzekła cicho Felicja.

Ochryply, przechodzący w falset głos z radia niemal wyrzucał poszczególne słowa.

„Od godziny piątej czterdzieści rano odpowiadamy ogniem”.

— Część II —

## 1.

Około południa ostrzał artyleryjski nagle ustał i po wielu godzinach nieustającego hałasu cisza wydawała się bardziej niepokojąca niż ciągle dudnienie armat. W piwnicy było ciemno i zimno, z sufitu kapąła woda, a w kątach szeleściły myszy. Ale kiedy Filip chciał wstać i ruszyć w stronę schodów, Claire go zatrzymała.

– Jeszcze nie, Filipie. Poczekajmy trochę.

Filip ustąpił, ale kiedy upłynęła godzina i nadal panował spokój, oboje postanowili wyjść na zewnątrz. Jak tylko zaczął się ostrzał, zapędzili do stajni wszystkie zwierzęta i je zamknęli, dlatego dziedziniec w tym czerwcowym słońcu sprawiał wrażenie wymarłego. W wysokiej trawie głośno ćwierkały cykady, a w głogowym żywopłocie koło drzwi brzęczały pszczoły. I byłby to obraz spokojnego letniego dnia, gdyby kilka kilometrów dalej nieba nie przesłaniała ogromna chmura dymu i gdyby nie dotarł aż tutaj. Na bretońskim wybrzeżu płonęła wieś St. Maurin i płomienie widać było z daleka.

Nie minął nawet rok od ataku Hitlera na Polskę, po którym podzielił ją po bratersku między siebie i Stalina. Teraz dowództwo niemieckie przystąpiło do kolejnego zadania: Wehrmacht wszedł do Danii i Norwegii, a potem, 10 maja 1940 roku, bez żadnego ostrzeżenia Hitler zaatakował kraje Europy Zachodniej. Błyskawicznie zajął Holandię i Belgię, a śpieszący im z pomocą Francuzi zostali natychmiast odparci. Niemieckie oddziały pancerne przekroczyły Ardeny i dotarły do ujścia Sommy, gdzie między rzeką a nacierającymi od północy połączonymi armiami niemieckimi zamknięci byli Francuzi i Anglicy. Od 5 czerwca oddziały niemieckie maszerowały bez przeszkód w głąb Francji, 10 czerwca wojnę Francuzom wypowiedział Mussolini. Pięć dni później, 15 czerwca 1940 roku, Niemcy weszli do Paryża. Premier Reynaud ustąpił z urzędu, zaś jego następcą, wiekowy marszałek Pétain, zwycięzca spod Verdun, cieszący się ciągle wielkim uwielbieniem, zgodził się na zawieszenie broni z Niemcami. Tym samym po raz pierwszy ogłosił swą gotowość do kolaboracji z okupantem. Taką politykę prowadził w czasie swoich rządów z siedzibą w Vichy, na niezajętej przez okupanta części Francji, za co był ostro atakowany przez wielu Francuzów, a przede wszystkim przez zbiegłego do Londynu Charles'a de Gaulle'a.

Był 17 czerwca 1940 roku.

– Zaraz zaroi się tu od Niemców – powiedział Filip do Claire.

Jej twarz była biała jak papier.

– Mam nadzieję, że nie obrabują nas zupełnie.

– Zaszkożdiliby w ten sposób samym sobie – stwierdził Filip i pokuśtykał przez dziedziniec do kurnika wypuścić kury, bo wróg i tak by to zrobił.

Claire popatrzyła za nim. Jak zgrabnie i szybko potrafił się poruszać, mimo drewnianej nogi! Jako młody niemiecki oficer został ciężko ranny w okopach we Francji. Potem nie chciał już mieszkać w Niemczech. Po próbie powrotu do dawnego świata pojął, że jego nową ojczyzną stała się Francja – i Claire, córka chłopa z Bretanii, która jako pielęgniarka opiekowała się nim w lazarecie. Kiedy się pobrali, mógł przyjąć francuskie obywatelstwo. Teraz mówił już po francusku lepiej niż po niemiecku, po francusku myślał i śnił. Rzadko nachodziły go wspomnienia, a dotyczyły one czasów młodości w Berlinie, przyjaciela Johannes'a Degnelly'ego, jego pięknej siostry Felicji... a także kobiety, którą kiedyś kochał i która poślubiła innego... To wszystko było tak strasznie dawno temu. To, co się liczyło kiedyś, dziś już przestało mieć znaczenie. Filip został rolnikiem, nauczył się odczytywać z chmur, kiedy nadejdzie deszcz,

potrafił też po migotaniu morskiej wody rozpoznać, czy bierze ryba, i właśnie to wszystko miało dziś znaczenie. Dawniej marzył o wielkiej karierze, pieniądzach i eleganckim mieszkaniu w mieście, dziś ogarniało go uczucie szczęścia, kiedy patrzył na swoje rozległe pola, na których kołysało się dojrzałe żyto, albo kiedy stał na nadmorskich klifach i czuł słony zapach w powietrzu.

– Cieszę się, że Jérôme jest u Sophie – powiedziała Claire. – Zwłaszcza teraz, kiedy zbliżają się tu żołnierze.

Jérôme był ich dziesięcioletnim synem, a Sophie – kuzynką Claire. Mieszkała w Châlons-sur-Marne i zaraz po wybuchu wojny zawieziono tam Jérôme'a, ponieważ chłopak przeszedł ciężką grypę i lekarz zalecił mu zmianę klimatu. Filip powstrzymał się i nie powiedział żonie, że Niemcy dawno już weszli do Châlons i że bardzo martwi się o Jérôme'a. Wolałby, aby syn był z nimi.

Niemieccy żołnierze pojawili się wczesnym popołudniem, prowadzeni przez młodego, energicznego kapitana, który oświadczył, że natychmiast chce widzieć na dziedzińcu wszystkich mieszkających tu ludzi.

We wsi St. Maurin zabarykadowali się żołnierze armii francuskiej. Zapewne nie wiedzieli jeszcze o pertraktacjach dotyczących zawieszenia broni, bo wdali się w potyczkę z oddziałem niemieckim. I ci właśnie Niemcy, teraz mocno wyczerpani po stoczony bitwie, dotarli do domu Filipa.

Mężczyzna rozmawiał z nimi po francusku.

– Poza moją żoną i mną nie ma tu nikogo.

Widział, jak żołnierze, głośno tupiąc, biegali po stajniach i domu w poszukiwaniu domniemanego wroga. Wystraszone kury uciekały po dziedzińcu, gdacząc, a przerażone świny kwiczały. Ale poza tym wszędzie panował spokój.

– Paszporty – zażądał kapitan. Kiedy zobaczył paszport Filipa, zdziwił się. – Filip Rath, urodzony w Berlinie. Pan jest Niemcem!

– Byłem Niemcem. Dziś jestem Francuzem.

– Zdrajca ojczyzny, co?

Filip w odpowiedzi postukał ręką w drewnianą nogę.

– Czy tak wygląda zdrada ojczyzny? Nadstawiałem za was karku w latach tysiąc dziewięćset czternaście–tysiąc dziewięćset osiemnaście. Byłem majorem w służbie jego cesarskiej mości. Ale to dawno temu...

Kapitan chrząknął. „Doprawdy, dziwny typ, ten emerytowany major. Prawdopodobnie jeden z tych nieszczęśników, którzy po wojnie nie poradzi sobie ze swymi przeżyciami”. Oddał Filipowi paszporty.

– Mamy tu trzech rannych. Pańska żona ma się nimi zająć – oświadczył.

W oczach Claire zamigotały iskry gniewu.

– Ja mam się troszczyć o pańskich ludzi, którzy napadli na nasz kraj i strzelali do moich rodaków?

Kapitan popatrzył na nią chłodno.

– Madame, nie wahamy się strzelać do kogoś, kto nie wykonuje naszych rozkazów.

Powiedziawszy to, odwrócił się i krzyknął coś głośno.

Filipowi i Claire przydzielono małą izdebkę na poddaszu, a resztę domu zajęli Niemcy, którzy natychmiast splądrowali spiżarnię i piwnicę z winem. Filip musiał pomagać przy wnoszeniu do domu rannych, których ułożono na prowizorycznych łózkach. Claire opatrzyła ich rany i wlała im trochę wody do ust. Robiła to rozważnie i starannie, ale z zaciśniętymi zębami i bez śladu uśmiechu.

Zapadał już wieczór, a słońce znikło za nadmorskimi klifami, kiedy Filip dostrzegł niepokój wśród żołnierzy. Od strony płonącej wsi, gdzie odbłask płomieni szedł w zawody z czerwonym niebem, zbliżał się dziwny pochód. Była to długa procesja mężczyzn i kobiet.

– Czego oni tu chcą, do diabła? – spytał kapitan.

Nie wyglądało to na próbę ataku, ale na wszelki wypadek kazał swoim ludziom trzymać broń w pogotowiu. Po chwili zawołał Filipa.

– Proszę wyjść im naprzeciw i zapytać, czego chcą – rozkazał i wyraźnie wyczerpany wytarł pot z czoła. Przeklął Francuzi!

Filip pokuśtykał drogą. W jego pamięci na zawsze już pozostała osobliwa woń tego letniego wieczoru: zapach kwitnącego jaśminu zmieszany ze swądem dymu. Absurdalność wojny.

Na czele pochodu szedł Pierre, który należał do najbardziej szanowanych mieszkańców wsi. Niósł w ramionach ciało zabitego. Zatrzymał się przed Filipem. Obaj mężczyźni często spotykali się przy kieliszku wina i byli bliskimi przyjaciółmi.

– Filipie – powiedział Pierre – przynosimy ci twojego syna.

Filip dopiero teraz zniżył wzrok i dostrzegł, że Pierre trzymał w ramionach dziecko. Był to jego syn Jérôme.

Północ już dawno minęła, ale w dusznej izdebce pod dachem ani Claire, ani Filip nie spali. Okna były szeroko otwarte, z zewnątrz dochodziło głośnie ćwierkanie cykad.

Pogrzebali Jérôme'a w tylnej części ogrodu, zaraz obok rodziców Claire. Pierre opowiedział im, że chłopak przybył do St. Maurin we wczesnych godzinach porannych, wyczerpany i brudny. Podwiózł go jakiś woźnica.

– Mówił, że jego ciotka Sophie wysłała go do domu na krótko przed wejściem Niemców do Châlons. Chłopak podjechał kawałek pociągiem, ale potem nagle pociągi przestały kursować i zaczął przebijać się na własną rękę. Zabraliśmy go z żoną do nas do domu, ale powiedział, że musimy go zawieźć do rodziców... – Po twarzy Pierre'a płynęły łzy. – Ale moja żona oświadczyła, niech Bóg się nad nią zlituje, że nie puści chłopaka dalej, najpierw ma się wykapać i założyć w miarę porządne ubranie któregoś z naszych chłopaków... i że ma coś zjeść... Tak, i wtedy pojawili się Niemcy, i w ogóle to cud, że Jérôme dotarł tak daleko i nic mu się nie stało! Zaczął się ostrzał artyleryjski, bo Niemcy wiedzieli, że w naszej wsi są żołnierze, i zrobiło się zbyt niebezpiecznie, żeby puścić Jérôme'a w drogę. Siedzieliśmy w piwnicy, nagle usłyszeliśmy jakiś hałas, trzask, wybiegłem na górę i zobaczyłem, że nasz dom stoi w płomieniach. Musieliśmy wyjść z piwnicy i, Filipie, ja sobie tego nie daruję do końca życia, nam się udało wyjść, ale Jérôme... płonąca belka spadła z dachu... i on zginął na miejscu, przysięgam, nie cierpiał...

Claire nie płakała, ale od tamtej chwili nie pomagała już rannym Niemcom. Kapitan zostawił ją w spokoju. Siedziała nieruchomo przy oknie całymi godzinami. Powoli mijała noc, Filip próbował do niej coś mówić, ale ona nie odpowiadała. Odezwała się dopiero, kiedy po wschodniej stronie nieba pojawił się jasny pas zwiastujący kolejny dzień.

– Nie pogodzę się z tym, co zrobili Niemcy, Filipie. Będę z nimi walczyć i zabijać każdego, kogo będę w stanie zabić. W całej Francji będzie coraz więcej takich ludzi jak ja, a razem będziemy nie tylko tak silni jak oni, ale nawet silniejsi, niż oni się spodziewają. Inni ludzie liczą pod koniec życia swoje dobre uczynki albo pieniądze, a ja będę liczyła Niemców, których zabiłam. Może to pozwoli mi odzyskać choć trochę spokoju, który mi odebrali.

Filip podszedł do niej, chciał ją objąć, ale ona się cofnęła.

– Zostaw mnie – powiedziała szorstko. – Sam byłeś kiedyś Niemcem i nie jesteś w stanie ich nienawidzić tak jak ja.

– Jérôme był także moim synem, Claire. Cokolwiek zamierzasz zrobić, ja będę cię wspierać.

W milczeniu siedzieli dalej, aż w końcu wzeszło słońce.

Filip jeszcze nie rozumiał, jak bardzo tej nocy Claire się od niego oddaliła.

Był 22 czerwca 1940 roku. W lesie koło Compiègne, w tej samej salonce, w której w 1918 roku podpisano rozejm między ententą a Niemcami, delegacja francuska podpisała teraz zawieszenie broni. Hitler nie mógł sobie odmówić wybrania tego historycznego miejsca hańby Niemiec.

W wyniku układu Francja została podzielona na dwie części; północna, wraz z Paryżem, wybrzeżem Atlantyku i kanału La Manche znalazła się pod okupacją niemiecką, zaś południowa pozostała wolna. To właśnie chcieli światu zaprezentować Niemcy: błyskawiczna wojna i błyskawiczne zwycięstwo. Hitler zaś, dumny ze swojej taktyki wojennej, wprost pławił się w szczęściu i zarządził oflagowanie całych Niemiec na dziesięć dni, aby odpowiednio uczcić najwspanialsze zwycięstwo w historii kraju.

Paul Degnelly siedział na łóżku w jednym z paryskich szpitali, obok swojego bagażu, i czekał na samochód, który miał zawieźć na dworzec jego oraz kilku innych żołnierzy. Jeszcze dziś wszyscy wracali do kraju.

Postrzał w głowę skutecznie uniemożliwił mu udział w dalszej walce; rana nie była specjalnie groźna, ale Paul od tamtej chwili cierpiał na silne bóle głowy.

– Ciesz się, bo dostaniesz urlop rekonwalescencyjny – pocieszali go inni żołnierze.

Paul wolałby, aby stało się to wcześniej, a nie na sam finał kampanii francuskiej, kiedy i tak wszystko się skończyło. Widział na tyle dużo, aby w jego pamięci na zawsze zapisało się wiele przerażających obrazów. Walczył w oddziałach zmotoryzowanych armii generała Guderiana i brał udział w operacji pod kryptonimem „Cięcie sierpem”, czyli ataku przez południowe Ardeny i Luksemburg. Dowództwo Grupy Armii B zaatakowało oddziały francuskie od północy, a dowództwo Grupy Armii A od tyłu, przedzierając się od strony Ardenów i docierając półokrężeniem aż do wybrzeża. To kompletnie zaskoczyło Francuzów, bo nikt nie liczył się z głównym uderzeniem armii niemieckiej od tej strony. Nadjeżdżające oddziały pancerne stanowiły przerażający widok. Kolumny jadących czołgów wydawały się nie mieć końca. Było to coś zupełnie innego niż tak zwana dziwna wojna, niegroźne potyczki i utarczki, w które Francuzi i Niemcy wdawali się kiedyś na froncie zachodnim. Spotykano się, palono papierosy i od czasu do czasu oddawano po kilka strzałów, aby zachować pozory wojny. Te czasy minęły bezpowrotnie.

Żołnierz leżący w łóżku obok Paula coś zamruczał.

– Pomysł Guderiana, aby wszystkie kolumny czołgów jechały razem, też nie był aż tak nowy. Wsławił się tym we Francji generał de Gaulle, ale go lekceważono. Nie tylko my, Niemcy, jesteście przebiegli.

– Z pewnością nie – zgodził się z nim Paul, a w jego głosie słychać było wyraźne zmęczenie.

– A w ogóle tyle wokół tego hałasu, a nikt nie mówi o błędach. Dunkierka to dla nas prawdziwy blamaż. Mogliśmy kompletnie zniszczyć Francuzów i Anglików...

„No tak”, pomyślał Paul.

– ...a zamiast tego pozwoliliśmy, aby oni ewakuowali się przez kanał i jeszcze beczynnie się temu przyglądaliśmy. Wspaniale, doprawdy!

Paulowi było to obojętne. Czuł wstyd, kiedy wjechali czołgami do tego spokojnego i słonecznego kraju i brutalnie burzyli wszystko, co napotkali na swej drodze. Widok zielonych łąk, szemrzących strumyków i sennych wiosek, które niszczyli, sprawiał mu ból. A potem jeszcze

te ulice, pełne uciekających żołnierzy i chłopów, którzy próbowali wywieźć w bezpieczne miejsce cały swój dobytek. Chaos na drogach prowadzących na południe, wozy z połamanymi osiami, martwe i umierające konie, które jeszcze wisiały w zaprzęgach, broń i prowiant porzucane w przydrożnych rowach. Nad spustoszonym krajobrazem krążyły roje much, a wokół unosiła się straszna woń rozkładu.

Jednak Paul wiedział: „Nie widziałem jeszcze najgorszej strony tej wojny. To był jedynie szybki, dynamiczny marsz i dzięki temu zdołaliśmy tak zaskoczyć Francuzów, że nie mieli szans się obronić. Wojna może wyglądać zupełnie inaczej”.

– Jak sądzisz? – spytał kolegę leżącego w łóżku obok. – Czy to już wszystko? Czy to koniec? I czy teraz będzie pokój?

Chłopak się uśmiechnął.

– Czytałeś *Mein Kampf*?

– Nie, jeszcze nie.

– Powinieneś przeczytać. Tam wszystko jest napisane. Nie będzie żadnego pokoju. Führer... no, on najchętniej zdobyłby cały świat. – Żołnierz ostrożnie poruszył zabandażowaną nogą zranioną odłamkiem granatu i zaklął cicho. – Cholerna wojna. Wszystkich nas prędzej czy później szlag trafi!

– Przede wszystkim innych – odparł Paul. – Nam, Niemcom, najwyraźniej szczęście sprzyja.

Jego kolega popatrzył na niego przeciągle.

– Poczekaj trochę. Nie ma takiej armii, która zawsze zwycięża. Cała sztuka to wiedzieć, kiedy osiąga się punkt kulminacyjny, bo wtedy trzeba jak najszybciej zaprzestać działań. A ja obawiam się, że Führer nie będzie wiedział, kiedy ta chwila nadejdzie. Ja... – Żołnierz urwał, bo za głoszenie takich zdań można było zapłacić głową. – A, mam to wszystko głęboko gdzieś – wymamrotał.

Kilka lat później, w Rosji pod Stalingradem, w czasie lodowatej, okrutnej zimy, Paul miał przypomnieć sobie te słowa.

– Bądź co bądź mam posiadłości w Niemczech – odpowiedział spokojnie Alex Lombard. – No i przejąłem to wydawnictwo w Monachium. Muszę się tam pokazać.

Patty Lombard prychnęła pogardliwie.

– Rozkręciłeś wydawnictwo tylko po to, żeby móc pojechać do Niemiec. Do tej kobiety!

– Rozwiodłem się z Felicją ponad dwadzieścia lat temu. Między nami nic już nie ma. A jeśli chodzi o Benjaminą Rabensteina i jego wydawnictwo, to po prostu nie mogłem odrzucić jego prośby o pomoc. Oni go wywłaszczą, a Benjamin chciałby ich ubiec. Chce opuścić Niemcy, ale wcześniej przepisać wydawnictwo na mnie, by mieć pewność, że pozostanie w dobrych rękach. A poza tym ufa mi i wie, że dostanie je z powrotem, kiedy któregoś dnia pojawi się możliwość powrotu do Niemiec. Patty, robiliśmy razem mnóstwo interesów. Nie mogę go zostawić na lodzie.

Siedzieli oboje w greckiej restauracji przy 52 Ulicy nowojorskiego Manhattanu. Był gorący sierpniowy wieczór, na zewnątrz powoli cichły odgłosy ruchu samochodowego. Patty, trzydzieści lat młodsza od męża, miała na sobie drogi kostium z białego jedwabiu i potrójny łańcuch pereł na szyi. Dziewczyna ułożyła blond włosy w wielkie fale, upudrowała też mocno twarz i pomalowała wargi ciemnoczerwoną szminką. Dobiegała trzydziestki, ale jej oczy ciągle miały ten sam słodkodzielnny wyraz, jak za młodu. Jej ojciec, bardzo bogaty właściciel wydawnictwa Callaghan, zmarł przed pięcioma laty, ale przedtem przepisał i wydawnictwo, i wszystkie nieruchomości rozrzucone po różnych stanach na swojego zięcia Alexa, który pracował dla niego od 1922 roku. Ojciec doskonale znał córkę i wiedział, że roztrwonilaby cały



majątek w bardzo krótkim czasie. A tak przysługiwały jej jedynie coroczne, bardzo okazałe apanaże.

Przyjaciele doradzali wtedy Patty podważenie testamentu i zapewne by jej się to udało, ale zrezygnowała z tego pomysłu z dwóch powodów. Po pierwsze, w jednym z rzadkich przyływów zdrowego rozsądku uznała, że jej tata postąpił bardzo mądrze, bo niedobrze byłoby pozwolić jej dysponować całym majątkiem. A po drugie, testament zawierał bardzo kontrowersyjną klauzulę: gdyby Alex postanowił się rozwieść z Patty albo też żyć z nią w separacji, on straciłby cały przepisany na niego majątek. Dziewczyna uznała zatem, że będzie mieć męża na łańcuchu i czasem od niechcienia luźno mu o tym przypomni, by nie poczuł się zbyt pewnie. Teraz, kiedy Alex oznajmił jej, że chce na jakiś czas wyjechać do Europy, gratulowała sobie po raz kolejny, że dysponowała takim środkiem nacisku. Nienawidziła go tego wieczoru, bo wprawdzie los nie obdarzył jej zbyt światłym umysłem i inteligencją, ale młoda kobieta miała dobrą intuicję i doskonale wyczuwała, że Felicja Lavergne, po mężu Lombard, była jej wieczną rywalką. Gdzieś na samym dnie szuflady w biurku Alexa znalazła jej fotografię i rozwścieczona mu ją pokazała.

– Dlaczego, do cholery, przechowujesz jej zdjęcia?! – krzyknęła wtedy.

– Mój Boże, Patty, nawet nie wiedziałem, że mam gdzieś to zdjęcie. I nie wpatruję się w nie bez przerwy, jeśli o to mnie podejrzewasz.

– I nigdy więcej nie będziesz na nie patrzył. Nigdy! – Na jego oczach podarła fotografię na małe kawałeczki. – I tak ożeniłeś się ze mną tylko po to, aby dostać majątek mojego ojca! – powiedziała teraz jadowicie. – Z początku przecież wcale nie zamierzałeś zostawać w Nowym Jorku. Myślałeś nawet o Ameryce Południowej. Ale potem przyszło ci do głowy, że ożenek z małą Patty Callaghan jest prostym i opłacalnym rozwiązaniem!

Chciał sięgnąć ponad stołem i ująć jej rękę, ale się cofnęła.

– Patty, to nieprawda, i ty także wiesz o tym – odparł bardzo poważnie. – Kiedy się pobieraliśmy, nie miałem pojęcia o planach twojego ojca. A Ameryka Południowa... No, to był tylko taki pomysł... Znasz mnie przecież, miewam różne pomysły, ale koniec końców jestem solidnym facetem.

– Ty mnie nie kochasz.

– Oczywiście, że cię Kocham. – Patrzył na nią uważnie i myślał, że w tym białym kostiumie wygląda zjawiskowo pięknie.

W pewien sposób rzeczywiście ją kochał i tu nie kłamał. Czuł się za nią odpowiedzialny i lubił jej czułości. Ale każde z nich oczekiwało od życia czegoś innego. Patty chciała przede wszystkim mieć piękne suknie i określone stałe miejsce w nowojorskim towarzystwie. Alexowi za to nowojorskie towarzystwo wydawało się nudne do obrzydzenia; czuł w sobie jakiś szalony niepokój i nie miał pojęcia, dokąd to uczucie go zaprowadzi.

– Nie chcesz jeść? – spytał, wskazując na talerz z nietkniętą potrawą.

– Nie.

Patty wyciągnęła papierosa z torebki. Alex podsunął jej zapalniczkę i dostrzegł, że aż drży z wściekłości.

– Posłuchaj, Alex. Ja nie chcę, żebyś jechał do Europy. I tak podróż tam, gdzie właśnie toczy się wojna, to bardzo głupi pomysł...

Zupełnie jak gdyby na potwierdzenie jej słów w tej chwili do restauracji wszedł sprzedawca gazet i powtórzył nagłówek wydania, które sprzedawał:

– Walki powietrzne nad Wielką Brytanią! Niemiecka Luftwaffe nasila ataki na Anglię! Bombardowanie Londynu!

– No to słyszysz – powiedziała Patty.

– To niczego nie zmieni. Jadę do Niemiec.  
– Nie zrobisz tego.  
– Nie krzycz tak. Nie jesteśmy tu sami!  
– Jeśli nie chcesz kłócić się ze mną publicznie, to mnie ciągle nie prowokuj!  
– Nie prowokuję cię, Patty. Oświadczyłem ci tylko, że jadę w interesach do Europy.  
– W interesach! – zakpiła Patty. – Znajdź w sobie na tyle przyzwoitości, aby przyznać, że jedziesz do tej kobiety!

Kilkoro gości zerkało już z zainteresowaniem w ich stronę.

– Patty! – zganiał ją cicho Alex. Ale tylko dołał oliwy do ognia.

– Nie pozwolę, abys traktował mnie w ten sposób – syknęła, po czym wstała nagle i zanim jej mąż zdążył cokolwiek zrobić, ściągnęła obrus wraz ze wszystkim, co na nim stało. Na podłogę poleciały talerze, kieliszki i sztucce, a pod stołami rozlało się morze oliwy, wina i rozbitych naczyń. W kolorowej mieszaninie leżały cebule i bakłażany, a na sali po chwili ciszy rozległy się głośne szepty. Wszyscy patrzyli na Patty, której biały kostium poplamiony był czerwonym winem. Dwóch kelnerów już biegło w ich stronę. Znali Lombardów, którzy często jadal w ich restauracji, cenili też Alexa za sute napiwki i byli zdecydowani załagodzić zajście bez zwracania uwagi gości.

– Co za pech, madame. Ale nie ma powodu do zdenerwowania. Szkoda tylko pani pięknej sukni.

– Och, Boże, zostawcie mnie w spokoju! – Patty wybiegła z restauracji.

Alex zapłacił rachunek, uwzględniając też odpowiednią sumę za powstałe koszty, i wyszedł za żoną. Na zewnątrz chwycił ją za ramię.

– Całkiem zgłupiałaś, Patty, i zachowujesz się jak dziecko.

– Dziecko! Tak, rzeczywiście zachowałam się jak dziecko, kiedy za ciebie wychodziłam, bo gdybym była choć trochę dorosła, to nigdy bym tego nie zrobiła. A ty to wykorzystasteś, bo ja przecież nie wiedziałam, w co się pakuję. Jesteś podły... – Wyglądała teraz tak młodo i przekornie.

– Ja mimo to pojedę, Patty – odparł Alex.

Popatrzyła na niego, po czym błyskawicznie zdusiła swojego żarzącego się papierosa na jego rękę, którą trzymał ją za ramię. Alex z okrzykiem bólu odruchowo puścił żonę i się cofnął.

– Jedź, jedź do tej swojej Felicji! Wiesz, mogłabym cię za to zamordować, ale pociesza mnie w tym wszystkim to, że ona nigdy nie będzie twoja. – Z zadowoleniem obserwowała ranę po oparzeniu na rękę Alexa i patrzyła na jego wykrzywioną z bólu twarz. – Ona cię nie chce, ta twoja kochana Felicja, nigdy tak naprawdę cię nie chciała. Jesteś tylko biednym głupcem, skoro zamierzasz gonić za nią do końca swoich dni!

## 2.

Kochali się, nie wiedzieli już, jak długo, niecierpliwie i gwałtownie, a potem znowu powoli i tkliwie. Szeptali sobie słowa pełne miłości, wreszcie zasypiali wtuleni w siebie. W pokoju paliło się kilka świec, w srebrnym wiaderku do schładzania szampana stał ogromny bukiet ciemnoczerwonych róż, które pachniały słodko i intensywnie.

Tuż przed godziną dwudziestą trzecią wszczęto alarm powietrzny.

Andreas i Belle obudzili się natychmiast i wyskoczyli z łóżka. Belle po omacku szukała jedwabnej halki i w pośpiechu założyła ją na lewą stronę.

– Mój Boże, Andreasie, muszę natychmiast wyjść!

Mężczyzna znieruchomiał i popatrzył na nią.

– Wyjść! Zwariowałaś? Idziemy do piwnicy!

– Muszę wracać do dziecka, które jest teraz u mojej babci, czyli niedaleko stąd, a ja...

– Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci teraz biegać po ulicach?! Twoja babka wie, co ma robić, więc weź się w garść.

Andreas umyślnie mówił szorstko, bo Belle była skłonna pobiec w dół Schlosstrasse, do mieszkania babki.

Choć Belle początkowo przyjęła wiadomość o ciąży z paniczną niechęcią, to teraz kochała do szaleństwa swoją urodzoną w kwietniu córkę Sophie, a w jej szarych oczach nie widziała ani Maxa, ani Andreasa, lecz samą siebie. Andreas często jej dokuczał, że Belle mimo najszczerzych chęci i dobrej woli i tak nie jest w stanie ustalić, kto jest ojcem dziecka. Ona, jak zwykle urażona i zdenerwowana, a tak przeważnie zachowywała się w stosunku do niego – bo Andreas nie tłumaczył się ani ze swej niewierności, ani z nagłego znikania – atakowała go słowami:

– Nie próbuj sobie niczego wmawiać! To jest dziecko Maxa i ja to czuję!

Andreas zawsze się wówczas śmiał.

Teraz ubrali się szybko, Belle chwyciła torebkę, a Andreas małą walizkę z najważniejszymi rzeczami, po czym opuścili mieszkanie. Słychać już było syreny obwieszczające alarm główny. Na zewnątrz w przejściu natknęli się na pozostałych mieszkańców: jakaś kobieta w biegu upinała włosy, a któremuś z mężczyzn przypomniało się, że zostawił w mieszkaniu portfel z pieniędzmi, i mimo krzyku żony ruszył z powrotem. Wszyscy zbiegali po pięknych, szerokich, wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach, a potem po wąskich stopniach prowadzących do piwnicy. Schron przeciwlotniczy znajdował się w dawnej pralni, największym pomieszczeniu w budynku. Wzdłuż jego ścian ustawiono ławki, na których piętrzyły się poduszki i koce, obok leżały świece przygotowane na wypadek braku prądu. Poza tym leżało tu też kilka książek i jakieś czasopisma. Jeśli ktoś musiałby skorzystać z toalety, to w pomieszczeniu obok przygotowano wiadro. Ściana na końcu korytarza, tam, gdzie zaczynał się przylegający do niej sąsiedni dom, została rozebrana, a cegły ustawiono luźno jedna na drugiej. Była to droga dotarcia tu z pomocą na wypadek, gdyby mieszkańcy zostali zasypani. To oraz wielkie żółte strzałki namalowane na murach zewnętrznych domu, wskazujące okna piwniczne, przez które można się było dostać do środka, przypominały Belle aż nadto wyraźnie o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli. Dziewczyna odczuwała wprost paniczny strach przed bombami i, choć ciągle powtarzała sobie, że to nierozsądne, wolałaby zostać w mieszkaniu, zamiast schodzić do piwnicy. Tu na dole wzmagała się jej klaustrofobia i coraz bardziej dawała o sobie znać. A przecież u Andreasa wyglądało to i tak lepiej niż w jej budynku przy

Alexanderplatz, gdzie wszyscy mieszkańcy czynszowej kamienicy musieli tłoczyć się w o wiele za ciasnej piwnicy, na ścianie której widniał bardzo niepokojący napis: „W razie pęknięcia rur wodociągu nie wpadać w panikę. Poziom wody rośnie bardzo powoli!”.

Naloty bombowe na Berlin późnym latem 1940 roku były odpowiedzią Anglii na ciężkie bombardowanie Londynu, co zgodnie z zamysłem Hitlera miało stanowić przygotowanie do lądowania 6. i 9. Armii w Dover. Operacja „Lew morski” najpierw została przesunięta, a potem odwołana, ponieważ nie udało się osłabić Anglików tak, jak to zakładał plan. Zamiast tego Führer wygłosił 4 września w Pałacu Sportu płomienne przemówienie, w którym zapowiedział „starcie z powierzchni ziemi angielskich miast” i obiecał, że Anglicy „noc w noc będą otrzymywali odpowiedź na swoje ataki”. Ludność cywilna zaczęła powoli pojmować, że wojna toczy się nie tylko na odległym froncie, lecz może przynieść śmierć wszystkim bez wyjątku.

Teraz mieszkańcy domu siedzieli ściśnięci na ławkach, zawiązawszy się w koce i płaszcze, bo na dole było zimno, i nasłuchiwali z lękiem odgłosów z góry. Jakiś mężczyzna w spokoju ducha czytał książkę, w kącie spała kobieta z głową opartą o ścianę. Dwoje dzieci kłóciło się zażarcie ze sobą, trzecie płakało. Korpulentna dozorczyńni, która zawsze nieufnie przyglądała się Belle, wyciągnęła wielką kanapkę i zaczęła jeść. Zapach kiełbasy i szynki był tak intensywny, że wszystkim pociekła ślinka. Wprawdzie jeszcze nie głodowano, ale żywność była racjonowana i sprzedawana tylko na kartki, a mięso i jego wyroby należały do rarytasów.

– Skąd ta stara to ma? – wyszeptała Belle do Andreasa.

– Krewni na wsi. Oni przysyłają jej ogromne paczki – odparł cicho Andreas i się uśmiechnął. – Zazdrościsz?

– Troszkę.

– Przyjrzyj się jej talii. Zaraz ci przejdzie.

– Dobry Boże!

Przyszedł jej na myśl Max, który miał dziś wieczór przedstawienie i pewnie siedział potem z kolegami w knajpie, a kiedy zaczął się alarm, uciekł ze wszystkimi do piwnicy. I jeszcze babcia i Sophie przy Schlossstrasse... Belle usłyszała teraz spadające bomby, ten wstrętny gwizd i potem uderzenie. Jedna spadła wyjątkowo blisko i wszyscy wstrzymali oddech. Dozorczyńni nawet przestała jeść.

– Przekłęci powietrzni piraci – powiedziała.

Andreas objął Belle ramieniem.

– Nie drzyj tak, kochanie. Nic nam się nie stanie tu na dole.

Belle przestała dygotać dopiero, gdy alarm odwołano. Była już prawie północ.

Znużeni, zeszywniali od długiego siedzenia w niewygodnej pozycji i zmarznięci, weszli po schodach do góry. Belle szczękała zębami z zimna i zmęczenia. W połowie drogi do mieszkania Andreasa usłyszeli dobiegający z góry krzyk:

– Pali się! Na pomoc, szybko! Pali się!

Wszyscy ruszyli biegiem do mieszkania położonego na górnym piętrze. Wynajmował je żydowski profesor, spokojny, nieco oderwany od życia starszy pan, który w trakcie alarmu zawsze wiół ze sobą do schronu walizkę pełną książek. Teraz nad jego pokojem brakowało fragmentu dachu i widać było rozgwieżdżone nocne niebo, a w pokoju w płomieniach stanęły dywan i regały.

– Co się stało? – krzyknęła przerażona Belle.

Dowódca cywilnej obrony przeciwlotniczej chwycił właśnie pompę pożarniczą.

– Prawdopodobnie bomba spadła w pobliżu. Detonacja zerwała dach, a z powodu wysokiej temperatury doszło do pożaru. Jazda! – komenderował. – Worki z piaskiem! Koce! Szybko!

Jak we wszystkich domach, także i tutaj surowo przestrzegano zaleceń na wypadek alarmu powietrznego i ciągle sprawdzano, czy wszystkie urządzenia i środki potrzebne do gaszenia pożaru trzymano stale pod ręką. Za kilka minut sytuacja była opanowana. Belle sama stłumiła kilka małych płomieni w kącie. Mężczyźni właśnie mocowali worki z piaskiem przed dziurą, aby przynajmniej prowizorycznie uszczelnić dach. Stary profesor stał nieco zagubiony na środku pokoju i wpatrywał się z wyraźnym przygnębieniem w biurko, na którym ofiarą płomieni padł cały stos różnych akt i notatek.

– Tyle lat pracy – wyszeptał. – I wszystko zniszczone.

– Przecież niczego już pan nie potrzebuje – powiedziała dozorczyńni. – Bo jako Żyd...

Wszyscy umilkli zakłopotani.

Andreas zakaszłał.

– Myślę, że dziś w nocy będziemy już mieli spokój. Mam nadzieję, że będzie pan mógł tu spać, mimo tej woni dymu, panie profesorze. Jutro spróbujemy znaleźć dekarza.

Wszyscy wrócili do swoich mieszkań. Tylko Belle zatrzymała się na korytarzu.

– Andreasie, ja muszę iść do domu. Muszę zobaczyć, czy u babci i Sophie wszystko w porządku.

– Na pewno tak. Zostań tu dziś na noc, Belle. – Chciał ją wziąć w ramiona, ale ona się cofnęła.

– Nie. Nie miałabym ani minuty spokoju.

– Jak chcesz. – Założył z powrotem płaszcz, nieco zirytowany, jak się wydawało Belle. – Odprowadzę cię.

– Ach, nie, idź do łóżka i...

– Nie pozwolę ci chodzić samej nocami po ulicach Berlina. Masz wszystko? No to chodź, idziemy.

W drodze milczał, najwyraźniej pogrążony we własnych myślach, a ponieważ Belle cały czas miała wrażenie, że jej wymarsz go zdenerwował, powiedziała nagle:

– Powinniśmy kiedyś porozmawiać o naszej relacji, Andreasie. Nie jestem ciebie pewna. Nic o tobie nie wiem. Prawie nic nie wiem o twojej pracy, nie wiem też, co myślisz, zamierzasz i tak dalej. Zupełnie niejasne jest też dla mnie to, co do mnie czujesz, o ile w ogóle coś czujesz.

Andreas się zatrzymał. Wycie syreny samochodu strażackiego dobiegało z bliska, a czerwony odbłask pożaru rozjaśniał niebo w południowej części miasta.

– To, co widzisz, Belle, to jest dopiero początek. A będzie o wiele, wiele gorzej. Führer porwie nas ze sobą w przepaść...

– Andreasie!

„Czy on znów musi o tym samym? Przecież to samo powtarza ciągle Max. Przepaść, upadek świata...” Czy żaden mężczyzna nie potrafił mówić o niczym innym? Czy nikt nie był w stanie odpowiedzieć jej na najprostsze pytania?

– Andreasie, pytałam cię, czy...

– Wiem – przerwał jej – i ci odpowiedziałem. Chciałem powiedzieć, że nie czas teraz wikłać się w to wszystko tak bardzo. Nie powinnaś wiązać się ze mną zbyt mocno, Belle, i nie powinnaś zbyt dużo o mnie wiedzieć. Uwierz mi, że tak będzie lepiej.

Mówił zagadkami, ale ona, opanowana nagłym lękiem, spytała:

– Andreasie, co ty robisz, kiedy nagle znikasz na całe dni bez wyjaśnienia?

Nie mogła dostrzec w ciemności jego twarzy, ale wydało jej się, że rysy mu nagle stwardniały.

– Nie pytaj mnie, Belle, bo nie otrzymasz odpowiedzi.

– Czy ty jesteś... czy ty robisz... – Zniżyła głos do niemal szeptu. – Czy ty działasz

przeciwko rządowi?

Roześmiał się cicho.

– Dzięki, Belle. Masz mnie za kogoś o wiele bardziej przyzwoitego, niż w rzeczywistości jestem. Ale muszę cię rozczarować, niestety moje poglądy nie są aż tak szlachetne. W gruncie rzeczy jestem człowiekiem bez charakteru i to wszystko, co mogę ci o sobie powiedzieć.

– Andreasie, co ty robisz?

– To bezcelowe, Belle.

– Ale czy... to powiedz mi przynajmniej... czy ty mnie w ogóle kochasz?

Andreas milczał przez chwilę. Dopiero kiedy byli już pod domem Elzy – który w ogóle nie ucierpiał podczas nalotu, co z ulgą stwierdziła Belle – odpowiedział:

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

– I kochasz mnie?

– No...

Miała wrażenie, że on chce po prostu odwrócić się i odejść, ale wtedy naraz chwycił ją w ramiona i pocałował w usta, a kiedy oboje odzyskali oddech, rzekł gwałtownie:

– O Boże, Belle, kocham cię do szaleństwa, nawet nie masz pojęcia, jak ja...

Patrzyła na niego zachwycona, a potem spytała rzeczowo:

– No to dlaczego mnie oszukujesz?

Przez moment nic nie mówił, zaskoczony jej pytaniem, a potem nagle się roześmiał.

– Ach, Belle, jeśli ci teraz oświadczę, że nie chcę się z tobą wiązać, nie chcę zatracić się w miłości do kobiety, która jest mężatką i która... ach, nie zrozumiesz tego, jesteś za młoda.

– Nie, nie rozumiem tego.

Pocałował ją z tklivością, tym razem bez śladu namiętności.

– Dobranoc, Belle, przyjdź wkrótce.

Ale ona nagle poczuła strach. Obawiała się o Andreasa i o siebie. Nic w życiu nie wydawało jej się już proste i normalne.

Następnego dnia na planie filmowym UFA spotkała Svena Kronborga. Szedł w jej kierunku przez Wiener Strasse, elegancką ulicą z fasadami domów, wykonaną do filmu *Kongres tańcy*. Film *Romeo i Julia* był już gotowy w lutym, ale pojawiły się trudności z oficjalnym odbiorem i Kronborg czuł się kompletnie wyczerpany. Belle występowała akurat w filmie reklamowym, w którym wychwalała nowe rolety zaciemniające, i pocieszała się, że nawet Greta Garbo zaczynała karierę od prezentacji kapeluszy.

– Cenzura odrzuciła nasz film – powiedział Kronborg do Belle, kiedy tylko ją zobaczył. – Wczoraj otrzymałem list w tej sprawie. Sugerują w nim również, że mogą zakazać mi kręcenia filmów, a przynajmniej będą bardzo wnikliwie mnie obserwować. Belle, nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo mam tego wszystkiego dość.

Dziewczyna popatrzyła na niego, nie kryjąc przerażenia.

– To nie może być! Svenie! Odrzucili nasz film? Nie!

– Niestety tak. Przykro mi, Belle. Wiem, na planie daliście z siebie wszystko, a ja nie ułatwiałem wam życia, ale w swojej krytyce tego cholernego państwa posunąłem się jednak za daleko...

– Nie tak głośno!

– Myślałem, że te głupki z Izby Kultury Rzeszy w ogóle nie zauważą moich aluzji, ale doznali chyba jakiegoś przebłysku intelektu... A to dobry film, Belle, i zasłużył, aby grano go wszędzie. Byłaś bardzo dobra. Masz naprawdę wielki talent.

Belle chciało się płakać.

– Co mi to da? Jeden jedyny raz miałam prawdziwą szansę, dostałam główną rolę

w filmie fabularnym i ktoś nagle wszystko przekreśla. Co oni sobie myślą? O Boże, jak ja nienawidzę tego syste...

Mijała ich grupa techników; mężczyźni popatrzyli z zaciekawieniem na zrozpaczoną dziewczynę. Belle umilkła, ale w jej oczach pojawiły się łzy. Widząc to, Sven podał jej chustkę.

– Myślę – powiedział – że wyjadę z Niemiec.

– Co?!

– Nie ma tu dla mnie przyszłości. Nie mogę robić tych bzdur, których oni ode mnie żądają. Nie mogę być kreatywny, jeśli mam wyraźnie napisane, co mi wolno opowiedzieć w filmach, a czego nie. To mnie zabija. Jestem artystą i nie mogę żyć pod presją. Wyjadę do Ameryki. Do Hollywood.

– Tak, a... a co będzie ze mną?

– Właśnie chciałem to z tobą omówić. – Kronborg podszedł do niej bliżej. – Powinnaś pojechać ze mną, Belle. W tym kraju, w obecnej sytuacji, niczego nie osiągniesz. Pojedziesz do Hollywood, do reżysera, który będzie wiedział, jak cię poprowadzić. Masz znakomite warunki, ale trzeba je rozwinąć, inaczej na zawsze zostaniesz rozpuszczoną córeczką tatusia, która zadziera nosa i myśli, że jest tak wspaniałą aktorką, jakiej świat nie widział. Ale ty...

– Przestań mnie obrażać, Svenie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ach, tak. Madame jest urażona. Czy nie rozumiesz, Belle, co próbuję ci powiedzieć? Możesz zostać sławną aktorką i ja oferuję ci pomoc. Jedź ze mną do Ameryki!

Wiedziała, że ma rację, ale była na niego wściekła po tym, co usłyszała, dlatego odpowiedziała chłodno:

– Co też sobie wmawiasz?! Nie mogę tak po prostu wyjechać, mam tu męża!

Niejednokrotnie podejrzewała, że Kronborg wiedział o niej więcej, niż chciała, i to podejrzenie potwierdziło się, kiedy odparł niedbale:

– To akurat nie ma dla ciebie zbyt wielkiego znaczenia, prawda?

– Co masz na myśli?

– Wiesz przecież. Do cholery, jedziesz ze mną do Hollywood czy nie?

Kiedyś marzyła, że ktoś zada jej takie pytanie, ale teraz, kiedy to się stało, poczuła gwałtowny sprzeciw. Nie mogła przecież opuścić Maxa i Sophie! Jednak to, do czego nie przyznałyby się przed sobą, a co było jak jeszcze niewypowiedziane przeczucie, to fakt, że nie mogła opuścić Andreasa. Nie mogłaby od niego odejść.

– Nie – odpowiedziała, po czym odwróciła się i odeszła, zostawiając Kronborga.

Po chwili usłyszała jego śmiech.

– Moja oferta jest aktualna, Belle Lombard! Dziś, jutro i za dziesięć lat. Kiedyś będziesz mieć dość reklamowania rolet i wtedy przyjedziesz. Może do tego czasu nieco dojrzejesz, wówczas stworzymy niezwykły tandem.

Belle udała, że tego nie słyszy. Coś jeszcze przyszło jej do głowy. Jeśli film *Romeo i Julia* nie będzie nigdzie pokazywany, to z pewnością ona dostanie zaledwie część swojej gaży. Bo skąd Kronbrog miałby wziąć pieniądze? To oznaczało, że nie będzie jej stać na nowy kostium na jesień, a często wychodziła z Andreasem i pozostałe stroje miała już na sobie zbyt często. Nie chciała już o nic prosić matki po tym, jak odmówiła jej pomocy przy niechcianej ciąży.

Westchnęła głęboko. Musiała iść do babci Elzy.

Noc z 1 na 2 listopada 1940 roku. Drogą, głośno turkoczając, jechała rozklekotana ciężarówka. Zimna mgła otulała szczerlinie łąki i lasy wokół Paryża. Gdzieś daleko, w jakimś gospodarstwie, przeciągle i triumfująco zawył pies. Może udało mu się dopaść ofiarę, a może zaskarbił sobie względy suki. Poza tym dookoła panowała zupełna cisza.

Cieżarówka jechała opuszczonymi, pustymi leśnymi duktami. Tylko niektóre pokryto asfaltem, większość z nich wysypana była szutrem, reszta to zwykle ścieżki. Jednak ktoś wybrał je świadomie i z rozmysłem, bo istniał poważny powód, dla którego należało unikać szos: między drewnem załadowanym na samochód i przeznaczonym dla fabryki mebli w Aix siedziało siedmioro ludzi – dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie ciepłe spodnie, grube swetry i płaszcze i wyraźnie wystraszeni szeptali do siebie jedynie, choć żaden człowiek – o ile ktoś by się tam w ogóle znalazł – nie usłyszałby ich z powodu hałasu silnika. Pasażerowie ciężarówki byli Żydami z Paryża i jechali do niezajętej przez Niemców części Francji. Wśród nich znajdował się także Peter Liliencron.

Wszystko zorganizowali ludzie pomagający w ucieczce; zatrudnili kierowcę, zapłacili mu mnóstwo pieniędzy i ustalili trasę, którą miał jechać. Niebezpieczeństwo jakiejś kontroli wydawało się tu bardzo znikome.

Peter zadrzemał na kilka chwil, ale szybko się obudził, bo samochód skakał po dziurawej drodze. Mężczyzna wpatrywał się w ciemność i słyszał sapanie sąsiada. Ktoś zapalił małą świeczkę i jej nikły płomyk oświetlił blade, wystraszone twarze.

– Zgaś to! – syknął jeden z uciekinierów. – To zbyt niebezpieczne przy tej ilości drewna!

– Ale ja zwariuję w tych ciemnościach. Niech będzie tu choć trochę światła. Uważam przecież!

Umocowali świeczkę na podłodze. Jedna z kobiet zaczęła nagle cicho płakać. Jej mąż objął ją i zaczął głaskać po włosach, mówiąc coś do niej uspokajającym tonem. Kobieta dygotała całym ciałem.

Peter nie zgadzał się na tę ucieczkę i protestował ze wszystkich sił. Ale jego przyjaciele z ruchu oporu zaklinali go i prosili, aby nie odmawiał.

– Kiedy znajdziesz się w niezajętej części Francji, będziesz mógł zrobić dla nas o wiele więcej – mówili i dodawali: – Potrzebujemy ludzi takich jak ty. Musisz żyć na wolności.

W swoim małym paryskim mieszkaniu ciągle spodziewał się nocnych odwiedzin policji, ale nie czuł wtedy takich obaw jak teraz, w tej rozklekotanej ciężarówce jadącej po leśnych drogach. I właśnie to niepokoiło go najbardziej, choć Peter nie znalazł nigdzie posłuchu, gdy rozprawiał o tym głośno.

– Jeśli nas ktoś zobaczy, to natychmiast się nami zainteresuje – mówił. – I z pewnością zaraz nas zatrzymają i przeszukają auto. Żaden normalny człowiek nie jechałby wyładowaną ciężarówką przez las. To właśnie każdemu wyda się najbardziej podejrzane.

Jednak nikt mu nie wierzył.

– Nikt nas nie zobaczy... bo kto w środku nocy będzie się włóczył po tej opuszczonej przez Boga i ludzi okolicy...

Peter miał napięte nerwy i wyraźnie słyszał teraz bicie własnego serca.

– Musimy już być na wysokości Orleanu – powiedział jeden z mężczyzn. – Chyba mamy dobry czas, prawda?

– W miarę. Na normalnej drodze bylibyśmy oczywiście już znacznie dalej.

– Ale to byłoby zbyt niebezpieczne – odparła czarnowłosa kobieta o intensywnie zielonych oczach. Ona, jako jedyna, nie próbowała się schować w jakimś kącie, lecz siedziała po prostu na środku, na szerokiej belce. Sprawiała wrażenie zupełnie pozbawionej obaw, co udzielało się pozostałym, i nie pozwalała sobie na żadne nieopanowane ruchy.

Wszyscy milczeli przez chwilę, aż nagle jeden z mężczyzn spytał zachrypniętym głosem:

– Słyszycie? Słyszycie?!

– Co takiego? – zapytała zielonooka kobieta. Miała na szyi szmaragdowy wisiołek, który błyszczał w świetle płomienia świecy.



– To tylko nerwy – odpowiedział uspokajającym głosem Peter.

– To nie są nerwy. To...

Ciężarówka zatrzymała się gwałtownie. Nikomu nie udało się czegoś w porę przytrzymać i wszyscy upadli, uderzając o belki albo o ścianę samochodu. Świeczka zgasła i ogarnęła ich kompletna ciemność. Usłyszeli dobiegające z zewnątrz głośnie krzyki i otwieranie drzwi pojazdu. W ciemnościach rozbrzmiały ostre głosy, jednak ukryci w ciężarówce ludzie nie byli w stanie niczego zrozumieć.

– Mówiłem, że słyhać było hałas innego silnika – dobiegł z któregoś kąta szept.

Usłyszeli kierowcę, który usiłował coś wyjaśnić.

– Szybko! – rozkazał Peter. – Chowajcie się za skrzynie!

W tylnej części ciężarówki stało kilka wielkich drewnianych skrzyń, za którymi rozpięto plandekę sięgającą podłogi, przez co wydawało się, że tam właśnie kończy się platforma. W rzeczywistości jednak było tam około pół metra wolnego miejsca. Nie stanowiło to ani wygodnego, ani pewnego schronienia dla siedmiu osób i wszyscy przed wyruszeniem prosili, aby nie kazano im się tam chować. Teraz pośpiesznie wczołgali się do kryjówki.

– Nie ruszajcie się i ani słowa! – syknął Peter. – Spróbujcie oddychać płytko i cicho!

Niemal czuł w powietrzu lęk i nagle nabrał pewności, że ludzie na zewnątrz pojazdu znajdują ich właśnie dlatego.

Drzwi ciężarówki otworzyły się z głośnym trzaskiem. Wnętrze nagle rozjaśniło światło kilku latarek.

– A więc załadował pan tu tylko drewno? – Obok pojazdu stali Niemcy. – Obejrzymy to sobie dokładniej, jeśli pan pozwoli.

Kierowca pochodził z Alzacji i dobrze znał niemiecki. Protestował z odwagą właściwą rozpaczy.

– Nie, nie pozwalam. Nie sądzę, że ma pan prawo... – Teraz najwyraźniej wymierzono mu cios pięścią, bo głośno jęknął i umilkł.

Samochód zakołysał się pod krokami mężczyzn, którzy zaczęli wyrzucać z niego wszystko, co wpadło im w ręce. Nagle jeden z nich powiedział:

– Tu jest świeca. Przymocowana do podłogi woskiem.

Kilka sekund później znaleźli kryjówkę i oświetlili latarkami twarze przerażonych ludzi. Brutalnie wywleczono ich za nogi na zewnątrz. Całą scenerię oświetlały reflektory dwóch zaparkowanych samochodów. Dookoła stali żołnierze Wehrmachtu, z metalowymi tabliczkami żandarmerii polowej na piersiach. Wszyscy trzymali karabiny gotowe do strzału wycelowane w kierowcę, który skulony i blady jak ściana usiłował utrzymać się na nogach.

„O Boże, dlaczego musieliśmy wpaść w ręce akurat im”, pomyślał Peter.

Wszystkim kazano ustawić się w szeregu, z twarzami zwróconymi w stronę ciężarówki, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami uniesionymi w górę. Jeden z żandarmów przeszukał ich, spodziewając się broni, i odebrał im paszporty.

– Cóż za miła gromadka łobuziaków – powiedział powoli. – Odwrócić się!

Posłusznie wykonali rozkaz. Żydowski lekarz z Paryża opacznie zrozumiał ten rozkaz i opuścił ręce. Niemal natychmiast jeden z żołnierzy wymierzył mu dwa brutalne uderzenia kolbą karabinu w nerki. Lekarz osunął się na ziemię i znieruchomiał.

– Uważacie się pewnie za niesłuchanie przebiegłych, co? I niezajęta część Francji była obiektem waszych marzeń, tak? Ciężarówka pełna drewna, opustoszałe polne drogi... Ależ mądrze! Ale niestety nie jesteście mądrzejsi od nas. Cholernie dużo takich typów jak wy ostatnio usiłuje uciec tędy do armii marszałka Pétaina, a tu wszędzie krąży wiele naszych patroli.

Większość uciekinierów patrzyła, nic nie rozumiejąc, bo żandarm mówił po niemiecku.

Ale okazało się, że poza Peterem i kierowcą także zielonooka kobieta zna język okupantów. Odpowiedziała doskonałą niemczyzną i tylko po akcencie można było rozpoznać, że jest Francuzką.

– Mam na sobie kosztowną biżuterię. Możecie zabrać wszystko, jeśli pozwolicie nam odejść.

Dowódca patrolu stanął przed nią z szerokim uśmiechem.

– Ach, tak... A pani, madame, sądzi, że nie tak łatwo będzie nam dostać się do tych świecidełek?

Sięgnął palcami do jej łańcuszka. Kobieta ciągle trzymała ręce uniesione nad głową, ale odparła zimnym, ostrym głosem:

– Proszę mnie nie dotykać i nie okradać!

Żołnierz cofnął rękę.

– Jeszcze nauczą panią innego zachowania – wymamrotał.

W tym momencie wszyscy usłyszeli głośnie stękanie. Był to pobity lekarz, który ciągle leżał na ziemi i teraz odzyskał przytomność. Kiedy spróbował wstać, z jego ust i nosa trysnęła krew. Z głośnym jękiem przypominającym bulgotanie osunął się z powrotem na ziemię. Przez kilka sekund uwaga wszystkich skupiona była na nim.

Peter wykorzystał ten moment. Stał na samym końcu szeregu, tam, gdzie nie sięgały światła reflektorów. Nikt na niego nie patrzył. Zwinnym ruchem osunął się na ziemię i wturlał pod ciężarówkę, po czym wynurzył się po jej drugiej stronie i po chwili znikł w gęstwinie na skraju drogi. Usłyszał głośny krzyk i odgłos strzału. A więc żołnierze go dostrzegli.

Na otwartym polu nie miałby żadnych szans, ale tu ciągnął się przed nim gęsty, ciemny las. Gałęzie drzew uderzały go w twarz, pośliznął się na mokrych liściach i przytrzymał jakichś kolczastych krzaków. Poczul krew ciekącą mu po ręce. Za sobą słyszał wołania i strzały, ale wydało mu się, że ścigający biegli w innym kierunku. Wiedział już, że go nie dopadną, gęstwina była zbyt nieprzenikniona, a listopadowa noc zbyt czarna i mglista. Tym razem mu się udało.

Następnego ranka dotarł do obrzeży małej wioski, która wynurzyła się z mgły, jeszcze cicha i zasnana. Jej domy, zbudowane z jasnych kamieni, nie były otynkowane, na murach otaczających ogrody rósł mech, a wygięty kamienny mostek prowadził na drugą stronę potoku. W niektórych oknach świeciły się pojedyncze światła. Peter, zmęczony, głodny i przemarznięty, przycupnął na skraju lasu i nagle wyobraził sobie tę wieś w samym środku lata, zagubioną wśród pól i kołyszącego się na wietrze dojrzewającego żyta, z chałupami kryjącymi się wśród zielonych liści, rozświetlonych promieniami słońca. Ogarnęło go rozgoryczenie, bo przyszło mu do głowy, że on na tym świecie już nigdy nie zazna piękna, szczęścia i idylli. Nawet gdyby miały nadejść lepsze czasy, to dla niego będzie już za późno. Nigdy nie zobaczy zbliżającego się poranka i nieba jaśniejącego po wschodniej stronie. Nie przeżyje upalnego letniego dnia czy nocy pełnej gwiazd.

Czuł się śmiertelnie wyczerpany i miał wrażenie, że strach, który odczuwał na ciężarówce, odebrał mu wszystkie siły. Wydawało mu się, że nie będzie w stanie się podnieść i ruszyć z miejsca. Wybuchnął łzami, bo zdał sobie sprawę ze swej dotkliwej samotności i rozpaczliwej sytuacji. Myślał o swoich towarzyszach, teraz uwięzionych, których czekał straszny los, myślał o swojej niepewnej przyszłości. Drżącymi rękami wygrzebał z wewnętrznej kieszeni płaszcz małą, mocno pogniecioną i zniszczoną fotografię o karbowanych brzegach. Przedstawiała Felicję. Peter sfotografował ją w 1932 roku, pewnego zimowego dnia, kiedy oboje pojechali nad jezioro Starnberger See i spacerowali godzinami. Felicja stała na brzegu, otulona grubym płaszczem, wokół szyi owinięty miała długi szal, którego końce trzepotały na wietrze. Jej kręcone włosy także rozwiewał wiatr. Śmiała się promiennie i ten uśmiech uwiecznił na zdjęciu

Peter.

Wspomnienie tej kobiety dodało mu nieco sił. Ono jako jedyne w jego życiu pozostało piękne i dzięki niemu poczuł nagły przypływ ciepła i ufności. Pomyślał o Felicji i wstał. A potem ruszył w drogę. Z powrotem do Paryża.

### 3.

Maksym Marakow znalazł znakomitą kryjówkę – i nową egzystencję. Posiadał teraz paszport na imię i nazwisko Christoph Brandt, był zatrudniony w fabryce Lombard jako zarządzający i, jako oficjalny kochanek gospodyni, mógł bez przeszkód wchodzić do domu Felicji przy Prinzregentenstrasse i z niego wychodzić.

Oczywiście w monachijskich kręgach towarzyskich szeptano i plotkowano na jego temat. Wszyscy sądzili, że Felicja prowadzi życie zakonnicy i że dla niej istnieje tylko praca, a tu nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się jakiś obcy człowiek i najwyraźniej ją urzekł, bo nie dość, że w okamgnieniu dostał dobrą posadę w fabryce, to jeszcze ciepłe miejsce w jej łóżku. A ponieważ odwiedził Monachium tylko raz, w 1915 roku, tuż przed wyjazdem do Leningradu, nikt nie byłby w stanie rozpoznać go jako Maksyma Marakowa. Tylko Jolanta znała tajemnicę, ale ona nie pisnęła ani słowa.

Maksym nie mógłby znaleźć niczego lepszego: dzięki zamążpójściu Zuzanny za Hauptsturmführera SS, które miało miejsce ponad rok temu, pozostała część rodziny została niejako przypisana do partii i mogła cieszyć się niewielkim kredytem zaufania wśród wężących wszędzie szpicli. A w dodatku Felicja przyjaźniła się z Tomem Wolffem, który – jak sam o sobie mawiał – „włożył nazistom do dupy, żeby oni potem jedli mu z ręki”. Król zabawek znów robił wspaniałe interesy, produkując czołgi Guderiana w miniaturze oraz kolejne egzemplarze drewnianego, wiernie odtworzonego lasu koło Compiègne i wagonu kolejowego, w którym podpisano kapitulację wojsk francuskich. Felicja przyjmowała coraz więcej zleceń na produkcję flag i ozdób na ścianę i choć ciągle odmawiała witania kogokolwiek słowami *Heil Hitler*, to nikomu nawet nie przyszłoby na myśl, że mogła być potajemną przeciwniczką reżimu. Uchodziła za kobietę, która żyła tylko dla siebie i której w ogóle nie interesowała polityka. W rzeczywistości bardzo obchodziły ją dwie sprawy. Przede wszystkim fakt, że Maksym ciągle jeszcze nie powiedział jej, jaka organizacja za nim stała i dla kogo ona miała nadstawiać głowę, co wydawało jej się cholernie głupie. A po drugie – i to było już bardziej skomplikowane – Maksym nie był jej kochankiem. Nie przychodził do domu, aby iść z nią do łóżka, jak sądzili ludzie, lecz zjawiał się tu tylko i wyłącznie po to, aby spotykać się ze swoimi sojusznikami, mężczyznami i kobietami bez nazwisk, aby zostawiać i odbierać wiadomości, a czasem także po to, aby przyprowadzać tu ludzi, którzy zostawali na noc lub dwie. Jeśli Maksym także musiał tu nocować, to sypiał w pokoju dla gości. Któregoś razu na dobranoc pocałował Felicję w usta, ale natychmiast się cofnął.

– Felicjo, nie powinniśmy...

Urażona odpowiedziała:

– Kilkanaście lat temu nie byłeś taki powściągliwy!

– Przecież to wszystko teraz nie ma już żadnego znaczenia! – odrzekł.

– Nie, dla ciebie zawsze znaczenie ma tylko to, co może ci się przydać. A w tej chwili przydają ci się nie jako kochanka, tylko jako współniczka. I tu muszę ci zwrócić uwagę, że czuję się trochę przez ciebie wykorzystywana. Czy ty wiesz, ile ryzykuję? Ja...

– Robisz to dobrowolnie, Felicjo. Do niczego cię nie zmuszałem.

– Wiesz przecież, że... – Urwała. Nie musiał wiedzieć, że była gotowa oddać mu wszystko. – W każdym razie nie pozostawało mi nic innego. A teraz... mam na myśli to, że wykorzystujesz mnie, mój dom, moją fabrykę jako kamuflaż, przy czym oczywiście nie zamierzasz mi powiedzieć, kim są twoi pomocnicy, kto to wszystko organizuje, do kogo

miałabym się zwrócić, gdyby coś ci się stało! Zostawiasz mnie w kompletnej niepewności!

Maksym patrzył przez okno.

– Felicjo, inaczej być nie może. To dla twojego dobra. Nie powinnaś być w to uwikłana.

Wyczerpana i zniechęcona odparła:

– Jeśli coś się wyda, to i tak wyląduję w więzieniu. Ach, Maksymie, czasami...

– Tak?

Po raz drugi się powstrzymała i nie powiedziała tego, co chciała. Nie musiał przecież wiedzieć, że niebezpieczeństwo nic by nie znaczyło, gdyby on był z nią. On jednak wynajął sobie mieszkanie w Schwabing, w którym często pomieszkiwał, a Felicja nie wiedziała, co wtedy robił. Nigdy jej tam nie zaprosił, jakby czegoś się obawiał i za wszelką cenę chciał trzymać ją z daleka od tego wszystkiego. Raz czy dwa przyszło jej do głowy, że może w grę wchodzi jakaś inna kobieta, ale to podejrzenie wydało jej się absurdalne. Zorientowałaby się natychmiast. Dla niego nie było innej kobiety, pochłaniała go jedynie tajemnicza, niebezpieczna dla życia działalność, której oddawał się z takim zdecydowaniem.

Mroźna grudniowa noc. Wieczorem spadło już trochę śniegu. Monachium wyglądało jak posypane cienką warstwą cukru pudru, który natychmiast zamarzł, tworząc twarde kryształki.

Felicja wróciła do domu późno, śmiertelnie zmęczona. Od kiedy robiła interesy z partią i produkcja wzrosła niewiarygodnie, niemal w ogóle nie wychodziła z biura. Dziś udało jej się stamtąd wybiec, aby złożyć obowiązkową wizytę Zuzannie, która była w zaawansowanej ciąży. Dziewczyna wyglądała kwitnąco, bo mogła kupować na kartki dowolną ilość mleka i śmietany. Marzyła o synu, którego oczywiście chciała nazwać Adolf. Felicja porozmawiała z nią przez chwilę, po czym wyszła szybko, aby ustawić się w kolejce do piekarza. Stała w niej godzinę i oddała ostatnie kartki. Wcześniej mnóstwo ich wymieniła na papierosy. Była już niemożliwie chuda, a w dodatku miała podkrążone oczy i uznała, że wygląda strasznie staro.

W domu runęła do łóżka, odmówiła krótką modlitwę w nadziei, że tej nocy nie będzie alarmu powietrznego, i natychmiast zasnęła. Kiedy się obudziła, była już pierwsza w nocy i ktoś dobijał się do drzwi.

Rozespana i nieprzytomna wymacała szlafrok i kapcie. Od kiedy co prawda niezbyt chętnie udzielała się wraz z Maksymem w organizacji antyfaszystowskiej, często zdarzało się, że w środku nocy ktoś do niej przychodził, dlatego ani jej to nie zdziwiło, ani nie przeraziło. Z trudem otworzyła oczy i klnąc cicho, wyszła z pokoju. W korytarzu natknęła się na Jolantę.

– Madame... ktoś jest przed drzwiami...

– Zajmę się tym, Jolanto. Wracaj, proszę, do łóżka.

Felicja nie zapaliła światła, lecz wzięła do ręki latarkę. Dom wprawdzie był całkowicie zaciemniony, jak nakazywały przepisy, ale kiedy otwierało się drzwi wejściowe, to światło z jego wnętrza padało na ulicę i ktoś mógłby to zauważyć. Felicja spytała cicho:

– Kto tam?

Co tydzień zmieniano się hasło, które należało podać przed wejściem. Obecne brzmiało: październik siedemnaście.

– Październik siedemnaście. – Usłyszała szept.

Felicja zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Oświetliła twarze dwóch mężczyzn. Jednego z nich znała, bo był u niej już kilka razy.

– Czego chcecie? Maksym nic mi nie mówił o żadnej akcji.

– Możemy wejść?

Cofnęła się do środka i wpuściła ich. Na korytarzu stali dwaj przemarznięci, bladzi i niewyspani mężczyźni. Felicja niejako wbrew sobie samej poczuła gwałtowną niechęć. Ale tak było za każdym razem. Robiła to wszystko dla Maksyma, a także dlatego, do cholery, że tak

właśnie należało postępować, żeby potem móc bez wstydu popatrzeć w lustro. Jednak nienawidziła tego z całego serca.

Mężczyzna, który należał do ich grupy – Felicja знаła go pod imieniem Jimmy – powiedział:

– To jest nasz towarzysz. Ostrzeżono go. Dziś o świcie gestapo chce go aresztować i dlatego musi natychmiast opuścić kraj. Czy może na razie zostać tutaj?

„Teraz znów będę całymi dniami trząść się ze strachu”, pomyślała Felicja.

– Tak, oczywiście, może tu zostać. Proszę zejść ze mną do piwnicy.

– To ja już pójdę – rzekł Jimmy. Ciągłe było okropnie zdenerwowany, drżały mu ręce, czasami też drgały kąciki ust. Mężczyzna działał w ruchu oporu od 1933 roku i z powodu ciągłego napięcia nerwy nie wytrzymały. – Przyjdziemy po niego, jak tylko to będzie możliwe – dodał i bezszelestnie przemknął przez ogród.

Ubrany w szary płaszcz człowiek, który miał pozostać w domu Felicji, był drobny i wąły. Zza okularów w cienkiej metalowej oprawce patrzyły na nią uważne trochę zimne oczy. Mężczyzna bez słowa ruszył posłusznie do piwnicy i wszedł do pomieszczenia, w którym nocowali już podobni mu ludzie. Felicja wyciągnęła bieliznę pościelową z szafy i szybko powlokła kołdrę oraz poduszkę.

– Proszę, tu będzie pan spał. Umyje się pan w jednej z łazienek na górze, ale dopiero, kiedy po pana przyjdę. Gdyby miało się coś wydarzyć... to znaczy, gdyby się pan musiał ukryć... – Odsunęła komodę i zaczęła obmacywać ścianę.

Po chwili otworzyły się małe drzwi, prawie niewidoczne na tle tapety, i ukazał się prostokątny otwór. W razie konieczności mogło się tam wcisnąć nawet czworo ludzi. Ten osobliwy schowek w ścianie istniał tu od zawsze, jedynie dawniej otwierano go za pomocą dużego uchwyty. Maksym usunął uchwyt i zamontował tam sprężynę, dzięki której drzwi otwierały się po naciśnięciu. Od środka można było zasunąć rygiel i się zabarykadować, chociaż drzwi nie były trudne do odnalezienia, jeśli ktoś założyłby, że gdzieś tu istnieje pusta przestrzeń, i zaczął opukiwać ścianę.

– Gdy pan tam wejdzie, będę musiała zasunąć komodę z powrotem – powiedziała Felicja. – Czy wszystko jasne?

Mężczyzna patrzył na nią uważnie. Objął spojrzeniem całą jej postać w jedwabnym szlafroku, zatrzymał wzrok na złotej biżuterii na rękach, której nie zdejmowała nawet na noc.

– Pani nie jest komunistką, prawda? – Były to pierwsze słowa, które do niej skierował po wejściu do domu.

Milczała przez chwilę, zaskoczona, a potem się roześmiała.

– Nie, uchowaj Boże!

– A co panią łączy z Marakowem?

– Z Maksymem? Razem dorastaliśmy w Prusach Wschodnich.

– Aha. – Nie spuszczał z niej wzroku. – I to wszystko robi pani dla niego?

Felicja odrzuciła włosy do tyłu.

– Właściwie nie powinno pana obchodzić, dlaczego to robię.

Skinął głową.

– Przepraszam.

– A więc dobranoc – rzekła Felicja. – Będę... – Urwała.

Na górze ktoś zaczął głośno i natarczywie dzwonić do drzwi. Ostry, gwałtowny dźwięk brutalnie przerwał nocną ciszę.

Kobieta zrobiła się blada jak ściana.

– To nie może być nikt od nas. Jazda, szybko do kryjóWKi!

Mężczyzna zniknął za ścianą i zasunął rygiel. Felicja błyskawicznie przysunęła komodę do ściany i rozejrzała się po pokoju. Nic nie zdradzało czyjejkolwiek obecności.

Na górze znów rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka i Felicja szybko pobiegła po schodach. Zauważyła, że wnętrza jej dłoni były mokre od potu.

– Madame! – Jolanta wychyliła się zza poręczy galerii. W swojej długiej, zapiętej pod szyję koszuli nocnej i spiczastym czepku do spania przypominała postać z ilustracji Wilhelma Buscha. – Madame, to na pewno gestapo!

– Na miłość boską, panuj nad nerwami, Jolanto!

Felicja miała wrażenie, że jej ciało rozleci się na kawałki, bo tak gwałtownie biło jej serce. Zawinęła się ciasniej w szlafrok, gwałtownie otworzyła drzwi i zobaczyła przed sobą pięciu mężczyzn.

– Czy mogą mi panowie wyjaśnić, co to ma znaczyć? – spytała ostro.

Mężczyźni byli ubrani w skórzane płaszcze i kapelusze, teraz nisko nasunięte na czoła. Ten, który stał z przodu, trzymał uniesioną w górę legitymację.

– Tajna Policja Państwowa. Jesteśmy tu, aby przeszukać pani dom.

Felicja przez chwilę miała wrażenie, że miękną jej kości, i poczuła, że za moment zacznie dygotać. Mimo to zapytała spokojnie i chłodno:

– A dlaczego chcą panowie przeszukać mój dom?

– Otrzymaliśmy doniesienie. Zgodnie z nim do pani domu przychodzą ciągle jakieś podejrzanе osoby.

– Tu rzeczywiście przychodzą ciągle jakieś osoby, ale żadna z nich nie jest podejrzana – odparła Felicja.

Mężczyźni precyzyjnie przycisnęli się obok niej i weszli do środka. Kobieta musiała odsunąć się na bok. Mimo oporów postanowiła powołać się na męża swojej córki.

– Będziecie mieli kłopoty. Moja córka jest żoną Hauptsturmführera SS Hansa Velina. Poskarżę się mu.

Oczywiście oni o tym wiedzieli i słowa Felicji nie zrobiły na nich żadnego wrażenia. Choć co prawda okazywali pewne względy. Kobieta wiedziała, że zwykle w przeszukiwanych mieszkaniach zostawiali po sobie chaos i nieopisany bałagan, a nierzadko także pocięte materace i pogruchotane meble. U niej zadali sobie na tyle trudu, aby nieporządek utrzymać w pewnych granicach i niczego nie niszczyć, ale systematycznie i bardzo dokładnie przeszukali jeden pokój za drugim.

– Proszę powiedzieć – dowodzący grupą zatrzymał się przed Felicją – utrzymuje pani kontakty z pewnym panem, który nazywa się Christoph Brandt. Czy to prawda?

– Tak.

– Czy on jest pani kochankiem?

– A czy to zabronione?

– Nie. – Odwrócił się gwałtownie. – A teraz do piwnicy. Pójdzie pani z nami, pani Lavergne.

Felicja szła przodem i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu modliła się w milczeniu. „Drogi Boże, nie zostawiaj mnie teraz samej. Będę dobrym człowiekiem i nigdy już nie będę narzekać na pracę, będę za wszystko wdzięczna, cokolwiek zechcesz, ale wspieraj mnie!”

Mężczyźni zaczęli sprawdzać piwnicę ze szczególną dokładnością. Otwierali każdą szafę i komodę, odsuwali regały, wynosili liczne pudła, aby sprawdzić, czy za nimi nic się nie kryje. I tak jak na górze opukiwali ściany i nasłuchiwali, czy dźwięk nie zdradza pustej przestrzeni. Oczywiście znali wszystkie sztuczki.

– Co to jest?

– Pokój gościnny.

– Tak? W piwnicy?

– Mamy oczywiście na górze inne pokoje gościnne. Widzieli je panowie. Ten tutaj używany jest tylko, kiedy zjedzie się cała rodzina i dla kogoś zabraknie miejsca.

– Tak? A dlaczego łóżko jest świeżo pościelone?

– Zawsze jest pościelone – odparła Felicja. Serce biło jej tak szybko, że z trudnością oddychała. Czuła pulsowanie krwi w żyłach skroni i szyi. Czy ci ludzie nie widzieli, jak ciężko oddychała?

Jeden z mężczyzn odsunął na bok komodę. Rozległ się wstrętny zgrzyt mebla przesuwanego po drewnianych deskach.

– Zniszczycie mi podłogę – powiedziała Felicja. Zabrzmiało to tak, jakby miała wateę w ustach.

Nie odpowiedzieli. Zaczęli opukiwać ścianę... za kilka sekund, za chwilę natkną się na kryjówkę...

Po raz trzeci tej nocy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Była godzina druga.

Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli skonsternowani na siebie. A potem dowodzący gestapowiec spytał ostro:

– Kto to?

– Nie wiem – odparła Felicja, zgodnie z prawdą. „Oby nie był to nikt, kto nie ma o niczym pojęcia i wpadnie tu w pułapkę!”

– Pójdziemy na górę i otworzy pani drzwi. – Jeden z policjantów ujął Felicję za ramię, wypchnął ją z piwnicy na korytarz i potem wszyscy ruszyli po schodach.

– I ani słowa. Ktokolwiek dzwoni do drzwi, pani nie wolno go ostrzec!

– Nie mam powodu, aby kogokolwiek ostrzegać – zapewniła Felicja.

Usłyszeli zgrzyt klucza w zamku i ktoś wszedł do domu.

„Och, do cholery, to Maksym! Tylko on ma klucz!”

Czy jego fałszywe papiery okażą się na tyle dobre, aby nie wzbudzić podejrzeń gestapo?

Hol był teraz jasno oświetlony. Na samym środku stał mężczyzna w ciemnoszarym płaszczu i wełnianym szaliku.

– Tajna Policja Państwowa! – powiedział gestapowiec, który ciągle trzymał Felicję za ramię. – Proszę się odwrócić i okazać dowód tożsamości!

Obcy mężczyzna odwrócił się powoli.

Był to Alex Lombard.



#### 4.

Kiedy Felicja ruszyła wreszcie w stronę sypialni, Alex poszedł za nią. Zaatakowała go z wściekłością:

– Zostaw mnie w spokoju! Jestem śmiertelnie zmęczona, chcę spać i przestać się dziwić, że zjawileś się tu tak niespodzianie. Jutro... Ale do tego czasu idź, dokąd chcesz, i daj mi spokój!

Alex zamknął drzwi sypialni, ściągnął swój płaszcz i szalik, po czym rzucił jedno i drugie na fotel.

Jego pojawienie się natychmiast wypłoszyło gestapo. Przedstawił się jako były mąż Felicji, do którego należy ten dom i który przyjechał na kilka tygodni do ojczyzny. Jego dokumenty były w porządku, a znajdująca się tam pieczęć świadczyła, że po przybyciu do Niemiec zostały dokładnie sprawdzone. A ponieważ w całym domu nie znaleziono absolutnie nic podejrzanego, cała sprawa stała się dla urzędników gestapo trochę nieprzyjemna. Być może obawiali się, że Hauptsturmführer SS Hans Velin narobi wokół tego wiele hałasu. Bo rzeczywiście, jeśli mowa o podejrzanym postaciach wchodzących do domu i z niego wychodzących, których widział dozorca, to byli to po prostu różni mężczyźni – nieważne, czy kochankowie, czy też byli mężowie. I to oni zjawiali się tu o niemożliwych porach dnia i nocy.

Felicja żywiła gorącą nadzieję, że teraz w gestapo będą ją uważać za osobę o dość swobodnych obyczajach, ale nie za przeciwniczkę reżimu.

Była kompletnie wyczerpana, bo oczami wyobraźni widziała już siebie i Maksyma w więzieniu, przesłuchiwanym i torturowanym. I opanowała ją jedna przemożna myśl: „Nigdy więcej! Nigdy więcej do czegoś takiego nie dopuszczę!”.

– Wyjdź natychmiast z mojej sypialni – powtórzyła po raz kolejny, nie dlatego, że obawiała się Alexa, ale dlatego, że chciała sama uporać się ze swoim załamaniem nerwowym.

Były mąż uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie rzuć się na ciebie, Felicjo. Ale mogłabyś przywitać mnie nieco bardziej uprzejmie. Przybywam w końcu z dość daleka.

Siedziała skulona na brzegu łóżka, blada, zmęczona i nagle sprawiała wrażenie całkiem młodej.

– Czego tu chcesz?

– Och, po prostu doglądnąć wszystkiego. Jakoś Niemcy ostatnio są trochę... trochę ekspansywni. A ponieważ mam tu w końcu posiadłość, chciałem przekonać się osobiście, czy wszystko jest w porządku.

– Jeśli masz na myśli Lulinn, to mogę pokazać ci bilanse. Wszystko jest w porządku.

Powiedziała to dziwnie mechanicznie.

– O tym jestem przekonany. – Alex usiadł w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie. – Mój Boże, cóż to była za podróż! Nasz statek zawinął do Lizbony. Nie masz pojęcia, co się w tym mieście dzieje. Wszędzie roi się od emigrantów, ulice i hotele są ich pełne. Artyści, intelektualiści... Niestety, Hitler wyrzuca stąd samą śmietankę, najlepsze, co ten kraj posiada. Mieszanka rozpacz, cynizmu, przesadnej radości jest niemal namacalnie wyczuwalna w Lizbonie... Za to Niemcy ze swymi brunatnymi marszami są martwe. Absolutnie martwe.

– Alex... – Nie interesowało jej to w najmniejszym stopniu. I nie w tej chwili.

On patrzył na nią kpiąco, widział głębokie zmarszczki wokół jej oczu, pojedyncze siwe pasma włosów. Było jej z tym do twarzy.

– Słyszałem, że w ostatnich latach pilnie pracowałaś. I że fabryka jest teraz w twoich

rękach. Czyli nadal jesteś sprytną kobietą interesu.

– To nie ma nic wspólnego ze sprytem. Peter Liliencron musiał...

– Wiem, wiem. Musiał opuścić Niemcy jak wielu innych.

Felicja popatrzyła na niego nieufnie.

– Skąd o tym wiesz? – spytała.

– Mam jeszcze przyjaciół w Niemczech, z którymi od czasu do czasu koresponduję.

A poza tym moja siostra Kat co cztery tygodnie pisze do mnie list i w ten sposób dowiaduję się niemal wszystkiego.

– Jak pięknie. To przynajmniej mogę sobie darować długie wyjaśnienia.

Chociaż miała już za sobą nocną wizytę gestapo, to znowu poczuła, że miękną jej nogi. Nie była w stanie się bronić. Jej kolana zaczęły drżeć, po chwili także ręce i całe ciało. Pomyślała, że zaraz zacznie dzwonić zębami. Żeby Alex wreszcie sobie poszedł!

Ale on rozsiadł się wygodnie, popatrzył na nią i nagle jego twarz złagodniała.

– Felicjo, co się dzieje? Wyglądasz przerażająco, jesteś wychudzona i roztrzęsiona. Dlaczego w środku nocy zawitało do ciebie gestapo? Czego szukało? – Jego głos był delikatny i tkliwy. – Felicjo... Mnie możesz przecież wszystko powiedzieć. Wprawdzie wtedy nie byliśmy zbyt udanym małżeństwem, ale wiesz przecież, że ja... – Urwał. – Felicjo, proszę...

Ale ona zaczęła płakać, po policzkach popłynęły jej łzy i w ogóle nie była w stanie nic zrobić. Zwinęła się w kłębek, drżąc, objęła nogi ramionami i nie mogła utrzymać równowagi. Usłyszała, że Alex coś mówi.

– Biedactwo, kochanie...

Czy on rzeczywiście powiedział „kochanie”? Za chwilę Alex siedział koło niej na łóżku i obejmował ją mocno ramionami. Felicja nie tylko nie protestowała, ale przyłgnęła do niego tak, jakby była małą dziewczynką, która szuka schronienia i opieki. Tak dobrze było oprzeć głowę na jego ramieniu, poczuć jego zapach – wody po goleniu i papierosów – i dotyk jego rąk, które gładziły ją uspokajającym ruchem.

– Co się dzieje, Felicjo? Powiedz mi.

Nagle zaczęła chaotycznie wyrzucać z siebie wszystko, z czym od ponad roku tyle razy musiała sobie radzić sama, i było jej kompletnie obojętne, że przysięgła Maksymowi milczenie. Do diabła z Maksymem! Gdzie on jest, kiedy tak go potrzebuje? Zostawił ją samą w takiej sytuacji. Zjawił się za to Alex – jak zawsze, gdy było jej ciężko. Jeśli o to chodzi, to rzeczywiście mogła na niego liczyć.

– Aha, a więc znów pojawił się Maksym Marakow – powiedział Alex. – Stały rywal. I wieczna miłość. To dla niego wplątujesz się w niebezpieczne historie, moja droga.

Teraz nie tylko płakała bezgłośnie, lecz szlochała rozpaczliwie. Alex wygrzebał z kieszeni chustkę, którą próbował wcisnąć Felicji do ręki, ale ona ją upuściła.

– Wyplacz się. To nerwy, to tylko nerwy. Prawdopodobnie jak zwykle odgrywałaś przed tymi typami chłodną i nieubłaganą Felicję, a teraz się załamałaś.

Gładził ją dalej powoli i stopniowo zaczęła się uspokajać. W końcu nawet udało jej się wytrzeć nos i twarz.

– Pewnie masz mnie za histeryczkę – wymamrotała.

Uśmiechnął się.

– Za histeryczkę? Ależ skąd. Wręcz przeciwnie, jestem zdziwiony, widząc, że na twoim pancerzu tu i ówdzie pojawiły się rysy. Ale teraz – Alex wstał – musimy iść do piwnicy i wypuścić tego biedaka.

Mężczyzna, błąd jak kreda, rzeczywiście ciągle tkwił w kryjówce, i zwymiotował swoją kolację. Kiedy zobaczył Alexa, zbłądł jeszcze bardziej, ale Felicja uspokoiła nieszczęśnika.

– Gestapo już nie ma. To przyjaciel. – Przyniosła kilka tabletek waleriany i powiedziała mężczyźnie, że powinien się teraz położyć spać. – Dziś na pewno nikt już nie przyjdzie, może pan być spokojny. Zapanowała całkowicie nad swoimi nerwami i kiedy szła obok Alexa po schodach do góry, dodała ponuro: – Nie powinnam ci była tego wszystkiego opowiadać.

– Dlaczego nie? Myślisz, że jutro pójde i cię zadenuncjuję?

– Oczywiście, że nie. Ale nie jest dobrze, kiedy o tym wszystkim wie zbyt wielu ludzi... A poza tym... Ach, obiecałam Maksymowi, że będę trzymać buzię na kłódkę.

– I tak musiałabyś mi o tym opowiedzieć, Felicjo. A może sądzisz, że mogłabyś dalej robić to samo i utrzymywać to w tajemnicy przede mną?

Byli już niedaleko jej sypialni i Felicja zatrzymała się gwałtownie.

– Tak... Chcesz zatrzymać się na dłużej?

– To przecież mój dom!

– Masz pracę w Ameryce. Nie możesz przecież tak po prostu...

– Możliwe, że i tu mam pracę.

Zmarszczyła czoło.

– Nie mów zagadkami. Z czego, do cholery, chcesz żyć?

Alex uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Może znasz monachijskiego wydawcę Benjamina Rabensteina?

Felicja rzeczywiście go znała, nawet mieszkał niedaleko stąd.

– Dawno go już nie widziałam. To znaczy, że chyba opuścił Niemcy.

– Opuścił. Ale przedtem przepisał na mnie swoje wydawnictwo. Rozumiesz? To mniej więcej taka sama historia jak ta z Liliencronem i tobą.

– Tak... Ale tak przecież nie można – odpowiedziała Felicja nerwowo. – Nie pokazywałeś się tu całymi latami, masz swoje własne życie, ja mam swoje i nagle zjawiasz się ni stąd, ni zowąd w środku nocy i oznajmiasz mi, że chcesz tu zostać!

– I najwyraźniej jest to dla ciebie wstrząsająca wiadomość!

– Tak, bo... Mój Boże, to naprawdę absolutnie niestosowny moment.

Jego twarz była nieruchoma, ale Felicja zorientowała się, że właśnie sprawiła mu przykrość. Niemal nieśmiało dotknęła jego ramienia.

– Wybacz. Zachowuję się w stosunku do ciebie dość paskudnie, prawda?

– To akurat nic nowego – odpowiedział spokojnie.

Podeszła do niego bliżej.

– To nie był nieodpowiedni moment i ty o tym wiesz. To był... – Uśmiechnęła się blade. – Przyszedłeś w samą porę, aby wypłoszyć gestapo i pocieszyć beczącą kobietę. Naprawdę, Alex.

– Tak... Ale teraz mogę już sobie pójść, to przecież masz na myśli.

– Nie. Chciałabym, żebyś został.

Ku swemu zdziwieniu poczuła, że naprawdę tego chciała. Chciała, żeby znów wziął ją w ramiona, tak jak kiedyś. Tak bardzo za tym tęskniła. Nigdy przedtem nie przyznałaby się przed sobą, jak bardzo czuła się samotna w te długie i zimne noce, jak doskwierała jej samotność, gdy budziła się sama.

– Alex, zostań tutaj.

Jego rysy twarzy były jej tak bliskie i znane, jakby od chwili, w której widziała go po raz ostatni, upłynął jeden dzień, a nie jedenaście lat. Dobrze wyglądał z siwymi włosami, lepiej nawet niż za młodu.

– Alex, zostań tutaj. Nie mam nikogo oprócz ciebie.

– Masz Maksyma. Swoją wielką miłość.

„Maksym, moja miłość z dzieciństwa. Maksym, który nigdy nie będzie należał do mnie”.  
Wzruszyła ramionami i w tym ruchu było i zmęczenie, i zniecierpliwienie.

– Ach, on...

– Maksym, święty Maksym. – Alex tkliwym ruchem dotknął policzka Felicji. – Jest taki sam jak dawniej, nic się nie zmienił, prawda? Albo robi wielką rewolucję z Leninem, albo organizuje ruch oporu przeciwko nazistom, ale ciągle nie ma go w życiu Felicji Lavergne!

Ta trzymała nisko opuszczoną głowę, ale teraz podniosła wzrok. W jej szarych oczach można było wyczytać nieme zaproszenie i Alex wiedział, że je przyjmie.

„Do diabła”, pomyślał, pochylając się nad nią, aby pocałować jej usta, „czy do końca życia nie będę mógł uwolnić się od tej zimnej kobiety, przy której mężczyzna może tylko zamarznąć?”.

– Ożeniłeś się ponownie, Alex? – spytała.

Zsunął cienkie ramiączka jej koszuli nocnej. Położył rękę na jej sercu i poczuł, że bije zdumiewająco spokojnie. Felicja zapaliła dwie świece – jakoś wydało jej się to stosowne – i oboje widzieli swe twarze w ich świetle.

Alex skinął głową.

– Tak, jestem żonaty.

– Och...

– Nie myśl o tym. Ja też nie myślę o Maksymie Marakowie. Nie myślmy o niczym, także o tym, co było dawniej.

Ale ona myślała o minionych latach, kiedy leżała i pozwalała, aby on delikatnie gładził ją rękami. Jakby zamknęło się jakieś magiczne koło. Znowu była młodą dziewczyną, która zbyt szybko i pochopnie wyszła za mąż i po raz pierwszy leżała w ramionach mężczyzny, zdenerwowana i pełna napięcia, nagle niezdolna do patrzenia na wszystko z dystansem i odrobiną kpiny, jak zwykle. Dwadzieścia sześć lat temu jego usta, palce i ciało sprawiły, że ogarnął ją jakiś nieznaną jej czar, i dziś było tak samo. To, co ich dzieliło – gorzkie kłótnie i spory – wszystko nagle gdzieś się rozwiało. Lata, które upłynęły między „wtedy” a „teraz”, znikły w gęstej mgle. Jutro było nieważne. A przecież właśnie jutro mogli wykrzyczeć sobie w twarz wszystko to, co ich dzieliło. Albo zginąć w wyniku uderzenia bomby...

Oparł się na ramieniu, patrząc w jej szare oczy, ale za chwilę położył się na niej całym ciężarem, a jej ciało zareagowało jak zelektryzowane, wyglądzone po tych wszystkich latach, kiedy była sama. „Że też w moim wieku można tak pragnąć mężczyzny”, pomyślała zdziwiona.

Próbowała sobie wmówić, że już ma wszystko za sobą, że jej pożądanie ustąpiło, ale teraz pojęła, jak bardzo się myliła. Nie zaspokoila swojego głodu. Może nie minie do końca życia.

Alex poruszał się w jej wnętrzu tak łagodnie, że do oczu napłynęły jej łzy, czuła się jak otulona jego tkliwością. Tak przecież było w czasie ich pierwszej nocy. Później przekonała się, że on potrafi być brutalny i bezwzględny, gdy wcześniej kłócili się i ciskali sobie w twarz najgorsze, pełne nienawiści i złości słowa. Ale dziś był tym Alexem z dawnych lat, a ona była jego Felicją, chłodną, wręcz zimną dziewczyną o szarych oczach.

Mogli to przeciągać w nieskończoność, ale ich ciała się rozpoznały i zareagowały natychmiast. Później Felicja chyba wykrzykiwała jego imię i może mówiła coś jeszcze, jakieś słowa, których, miała nadzieję, on nie zrozumiał, bo stałoby się dla niego aż nadto jasne, jak bardzo pragnęła mężczyzny. Leżała, oddychając gwałtownie i dziwiąc się, jakie to było proste i piękne. A potem wtuliła się w niego, westchnęła głęboko i zasnęła jak dziecko, które wreszcie poczuło się syte i bezpieczne.

Alex trzymał ją mocno, wsłuchując się w jej oddech, który stawał się coraz bardziej spokojny i miarowy. On sam nie mógł zasnąć. Z żadną kobietą nie było mu tak dobrze

i cudownie jak z Felicją i był szczęśliwy, że minione lata tego nie zmieniły. Ale skoro w dobrym znaczeniu tych słów nic się nie zmieniło, to także i w złym. Jeśli istniało między nimi pożądanie, może nawet miłość, to nie potrafili z tym żyć. Felicja nie potrafiła. Alex rozumiał to już, kiedy poślubił ją jako osiemnastoletnią dziewczynę i nigdy nie dostrzegł w jej oczach choćby jednej ciepłej iskielki. Chciał to zmienić, ale zrezygnował ostatecznie po rozwodzie. I raz jeszcze uznał, że postąpił słusznie, tuż przed swoim wyjazdem do Ameryki i kiedy postanowił ożenić się z Patty. Teraz wszystko to przyszło mu znowu na myśl. To, co dostał, to noce takie jak ta, ale nic więcej. Musiał się tym zadowolić. Otrzymywał od niej tylko okruchy, tak jak Patty od niego, a Felicja od Maksyma.

Zakłęty krąg bez szczęśliwego rozwiązania. Zanim zdmuchnął świece, raz jeszcze popatrzył na śpiącą głęboko Felicję. Nigdy nie robiła czegoś, co nie przyniosłoby jej korzyści. Dopiero co chciała go wyrzucić, zaraz potem poszła z nim do łóżka, a w międzyczasie prawdopodobnie zastanawiała się, na ile będzie dla niej użyteczny. Tkwiła po uszy w przeróżnych problemach i jego silne ramiona spadły jej jak z nieba.

We wczesnych godzinach porannych, kiedy Alex wreszcie zasnął, rozległ się natarczywy dzwonek telefonu. To Zuzanna, której dziecko nie mogło sobie wybrać bardziej niestosownej chwili niż ten szary i mglisty poranek, by pojawić się na świecie, a która była zupełnie sama. Hans przebywał właśnie w Generalnej Guberni.

Na szczęście na świat przyszła dziewczynka, więc nie można jej było nazwać Adolf. Ta myśl jako pierwsza przemknęła przez głowę Felicji, kiedy lekarz uchylił drzwi pokoju i przekazał jej radosną wiadomość. Zuzanna rodziła w domu i matka przez cały czas trzymała ją za rękę i za wszelką cenę próbowała myśleć o czymś innym. Dopiero w ostatnich minutach porodu akuszerka wyrzuciła ją za drzwi i Felicja nader chętnie i z ulgą zastosowała się do jej polecenia.

– Zdrowa, malutka dziewczynka – powiedział lekarz z zadowoleniem. – Wprawdzie urodziła się o miesiąc za wcześnie, ale nie ma żadnych obaw.

Felicja odetchnęła.

– Mogę wejść do córki? – spytała.

– Oczywiście.

Błada i wyczerpana Zuzanna leżała na poduszkach, a akuszerka właśnie przyniosła zawinięte w pieluszki niemowlę i położyła je koło niej.

– Proszę, pani Velin. Teraz może pani zobaczyć, jaką ma pani śliczną dziewczynkę!

Niemowlę rzeczywiście było bardzo ładne. Zuzanna przytuliła małą do siebie i w zamyśleniu bawiła się jej maleńkimi paluszkami rączek i nóżek. Felicja usiadła na brzegu łóżka.

– Ona jest zachwycająca, Zuzanno. A dzięki Belle mam już za sobą szok zostania babcią. Jak ją nazwiesz?

– Nie wiem. – W głosie dziewczyny słychać było zmęczenie. – Hans był tak pewny, że będziemy mieli syna, że nigdy nie rozmawialiśmy o imieniu dla dziewczynki. Mam nadzieję, że wkrótce przyjedzie do domu, wtedy o tym pomówimy.

– Zuzanno... – Felicja się zawahała. W ogóle nie była przyzwyczajona do wypytywania córki o jej problemy. – Wydaje mi się, że coś cię martwi. Może mogłabym ci pomóc. Czy chciałabyś o tym porozmawiać?

Zuzanna uśmiechnęła się, nie kryjąc goryczy.

– Mam teraz dwadzieścia lat, mam. I po raz pierwszy w moim życiu pytasz mnie, czy zmagam się z jakimiś problemami. Po dwudziestu latach!

– Zuzanno, może rzeczywiście to i owo robiłam nie tak jak trzeba, ale...

– Nie usprawiedliwiaj się. Wiesz, nie mogę już słuchać twoich wiecznych wyjaśnień.

Praca, wielka odpowiedzialność... i że robisz to wszystko nie dla siebie, tylko dla nas... Zapomnij o tym, mamu. Jesteś kobietą, która nigdy nie powinna była mieć dzieci. Nie powinnaś też mieć mężczyzny, a to dlatego, że po prostu nie potrafisz kochać.

– Zuzanno!

– To, co ty nazywasz miłością, jest tylko potrzebą panowania nad ludźmi. Przepraszam, ale dlaczego nie miałabym ci powiedzieć tego, co czuję?

Felicja się podniosła.

– Jesteś całkiem wyczerpana, Zuzanno. Powinnaś się teraz przespać. Przyjdę znowu jutro wieczorem.

– Nie musisz. Ale dziękuję, że byłaś teraz. Mam nadzieję, że nie straciłaś zbyt wiele swojego cennego czasu.

Kiedy jej matka wyszła z pokoju i akuszerka położyła dziecko do kołyski, Zuzanna odetchnęła głęboko. „Wydaje mi się, że coś cię martwi”... Skoro dostrzegła to nawet Felicja, to rzeczywiście musiało to być widoczne. Dziewczynę ogarnęła złość. Była przygnębiona, że urodziła dziewczynkę, a Hans chciał mieć koniecznie chłopca. Jakoś czuła się winna, bo nie mogła mu dać tego, czego pragnął. On wydawał się jej absolutnie perfekcyjnym mężem, a ona tak bardzo chciała być dla niego równie perfekcyjną żoną.

Z szuflady szafki stojącej obok łóżka wyciągnęła list od Hansa. Przyszedł trzy dni temu i Zuzanna przeczytała go już wiele razy. Na znaczku widać było pieczęć warszawskiej poczty.

Jej wzrok padł na jedno miejsce pośrodku kartki. „...i to getto w samym środku Warszawy zostało teraz zagrodzone i odcięte od zewnętrznego świata, to jest w pewnym sensie takie małe miasto. Są tam przesiedlani Żydzi z całej Polski. Życie w getcie jest dla nich o wiele lepsze niż to, które wiedli wcześniej. Bo na dłuższą metę Żydzi nie powinni mieszkać wśród innych ludzi. To prowadzi do niepotrzebnych napięć. A w ten sposób oni są u siebie i poruszają się w zamkniętej żydowskiej społeczności. Moim zdaniem generalny gubernator Frank rozwiązuje problem żydowski w znakomity sposób... Droga Zuzanno, niestety, jeśli chodzi o moje zdrowie, to czuję się niezbyt dobrze, bo wróciły astmatyczne dolegliwości, których doświadczałem jako dziecko przy wszelkich emocjach. Często mam ataki duszności. Możliwe, że poproszę o ponowne przeniesienie do Monachium. Wtedy będę mógł być zawsze z tobą, kochanie... i z naszym synem...”

Zuzanna złożyła list i schowała go do szuflady. Hansowi powierzono tak ważne zadania, a ona nawet nie mogła spełnić jego życzenia i urodzić mu syna! Oczywiście wiedziała, że on nie będzie jej o nic obwiniał, ale dla niego córka właściwie wcale się nie liczyła i ta świadomość tym bardziej dręczyła wyczerpaną teraz dziewczynę.

Znów przyszły jej na myśl słowa, które właśnie przeczytała. Żydowskie getto w Warszawie... przesiedleni... Odpędziła od siebie jakieś dziwne, nieprzyjemne uczucie. Hans mówił, że getto jest najlepsze dla wszystkich, i z pewnością miał rację. I zapewne za bardzo się tym wszystkim przejmował, w przeciwnym wypadku nie dostawałby nagłych ataków astmy. Ale kiedy przeniosą go do Monachium, ona się o niego zatroszczy i wkrótce wszystko będzie dobrze. Bo to, czego potrzebował, to harmonijne, spokojne życie rodzinne. Może nawet będzie się wtedy cieszył z ich malutkiej dziewczynki.

Ale teraz na samą myśl o tym Zuzanna zaczęła płakać. Szlochała w poduszkę coraz głośniejsze, aż w końcu akuszerka, która wcześniej wyszła, przybiegła natychmiast i zaczęła ją tulić i huścić w ramionach.

– Ależ, pani Velin, ma pani taką śliczną dziewczynkę! Jak można tak rozpaczać? Choć wiele kobiet potem płacze, niech pani też trochę popłacze, kochanie, a poczuje się pani lepiej!

Akuszerka była silną, okrągłą i pulchną kobietą i Zuzanna, która przycisnęła twarz do jej

bujnych piersi, pomyślała, że chciałyby mieć taką matkę – nie piękną, elegancką i niezależną, tylko grubą i pełną ciepła, do której można się przytulić.

Gdy Felicja była jeszcze u Zuzanny, Alex zjadł śniadanie i cierpliwie zniósł wybuch radości starej Jolanty. Kiedy żyli jeszcze jego rodzice, a on i jego siostra byli dziećmi, szesnastoletnia Jolanta zaczęła pracę w ich domu.

– Że też dane mi jest pana widzieć, panie Lombard! Że też dane mi jest pana widzieć, panie Lombard! – powtarzała raz po raz.

W końcu wyszła z salonu i udała się na zakupy, a Alex chodził po domu i się rozglądał. Oczywiście nie otwierał szaf i szuflad, ale miał nadzieję, że zobaczy coś, co pozwoli mu dowiedzieć się czegoś o wewnętrznym życiu Felicji. Po chwili wahania wszedł nawet do jej biura, gdzie leżały przeróżne papiery oraz książki i panował nieporządek. Dostrzegł stojącą na biurku ślubną fotografię jej rodziców oprawioną w ramkę oraz zdjęcie jej brata Christiana, który poległ pod Verdun.

Kiedy tam stał i patrzył na wszystko, usłyszał kroki na korytarzu. Nie były to kroki Felicji, a Jolanta nie mogła jeszcze wrócić. Alex przez chwilę obawiał się, że zaraz zostanie przyłapany na czymś, czego nie wypadało mu robić, ale pomyślał, że przecież niczego nie ruszał. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Maksym Marakow.

Obaj widzieli się tylko raz, w 1915 roku, i minęło tyle lat, że z trudem rozpoznaliby się na ulicy. Ale tu, w biurze Felicji, obaj zrozumieli natychmiast, kim jest ten drugi. Patrzyli na siebie przez długą chwilę bez słowa.

„Rywale”, pomyślał Alex i wydało mu się to wręcz śmieszne. Ich siwe włosy sprawiały, że nienawiść do Maksyma wydała mu się absurdalna.

– Alex Lombard – przedstawił się.

– Maksym Marakow – odpowiedział Maksym, nie próbując ukrywać się pod swoim pseudonimem.

„Przedziwne uczucie”, uświadomił sobie Alex, „stać naprzeciw człowieka, którego się nienawidzi od ćwierć wieku”. Zdał sobie sprawę, że przecież był we własnym domu, i postanowił przezwyciężyć zakłopotanie, spełniając obowiązki gospodarza.

– Proszę usiąść, panie Marakow. Czy mogę panu zaoferować coś do picia?

– Dziękuję, śpieszę się. Ja... Felicji chyba nie ma w domu?

– Nie. I nie wiem też, kiedy wróci.

– A więc zajrzę tu później.

– Oczywiście, proszę.

Maksym się zawahał, bo najwyraźniej przyszedł w jakiejś konkretnej sprawie, a fakt, że zastał tu Alexa, skutecznie pomieszał mu szyki.

Alex, niewiele myśląc, spytał:

– Czy nie sądzi pan, że Felicja sporo dla pana ryzykuje?

Maksym zbladł.

– A co panu powiedziała?

Alex wziął jeden z kieliszków, które stały tu wszędzie, otworzył opróżnioną do połowy butelkę czerwonego wina i nalał sobie. Potrzebne mu było wzmocnienie.

– Wcale nie musiała mi zbyt wiele opowiadać. Widzi pan, kiedy tu przyjechałem w nocy, Felicję akurat odwiedziło gestapo i...

– Co takiego?!

– Tak, sytuacja była dość krytyczna, zwłaszcza że w piwnicy ukrywał się pewien człowiek. Przyszedłem w ostatniej chwili, Felicja była na skraju załamania nerwowego. Nigdy jej takiej nie widziałem.

Maksym odpowiedział powoli:

– A więc gestapo prawdopodobnie obserwuje ten dom.

Alex odstawił kieliszek.

– Więcej nie przychodzi panu do głowy?

– A czego pan się spodziewa?

– Naraża pan Felicję na śmiertelne niebezpieczeństwo, panie Marakow. W każdej godzinie, w każdej minucie. Moim zdaniem takie postępowanie świadczy o braku odpowiedzialności. To nieuczciwe z pana strony, bo Felicja nie wie, jak bardzo jest to niebezpieczne. Ale pan wie i zwykła przyzwoitość zabraniałaby wplątywania drugiego człowieka w takie historie.

– Felicja jest dorosłą kobietą i sama decyduje, co chce robić, a czego nie. Ja jej do niczego nie zmuszałem, panie Lombard.

Alex roześmiał się w odpowiedzi.

– Prawdopodobnie poddał ją pan presji moralnej, co, jeśli chodzi o Felicję, zwykle nie wystarcza, bo aż tak szlachetna to ona nie jest. Ale w tym wypadku... Wie pan doskonale, że dla pana Felicja zrobiłaby wszystko, i to właśnie wykorzystał pan bez skrępowań.

Maksym popatrzył na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– A dlaczego Felicja miałaby robić dla mnie wszystko? Co ma pan na myśli?

Alex jednym haustem opróżnił kieliszek, a potem rozsiadł się w fotelu. Nie widział już powodu, dla którego miałby zachowywać choćby pozory uprzejmości.

– Niechże pan nie udaje! – powiedział ostro.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł Maksym.

– Różne cechy można panu przypisać, panie Marakow, ale z pewnością nie naiwność. Felicja dałaby sobie za pana rękę uciąć i obawiam się, że to się nie zmieni do końca jej życia. Zachowuje się jak cyrkowy konik, który grzecznie grzebie kopytkiem i kiwa głową na rozkaz, żeby tylko dostać w nagrodę kosteczkę cukru. To jest jedyna, choć fatalna słabość tej kobiety.

Maksym nie ukrywał, że ta rozmowa była dla niego nieprzyjemna w najwyższym stopniu.

– Panie Lombard... – odezwał się.

Alex nie zamierzał mu niczego ułatwiać.

– Tak? – przerwał.

– To, o czym pan mówi, dawno już minęło. Kiedy Felicja i ja byliśmy młodzi, zrodziło się między nami jakieś uczucie, ale dziś wygląda to inaczej. I nic już nie zostało z tego, co było kiedyś.

Alex patrzył na niego uważnie, a w jego oczach czaiła się nieukrywana wrogość. „Nic”, pomyślał, „nie zostało nic oprócz Belle, twojej córki, która nosi moje nazwisko i o której ty nie masz pojęcia, a która dla Felicji stanowi wieczny dowód, że nie zawsze byłeś taki chłodny i beznamiętny, jakiego udajesz teraz”.

– Jeśli pan w to wierzy, to jest pan głupcem – powiedział ostro. – Felicja zawsze pana pragnęła i ani przez chwilę nie było inaczej i nie jest. W końcu przecież z pańskiego powodu rozleciało się nasze małżeństwo, a ona dotychczas nie związała się z żadnym mężczyzną. Ona nie potrafi się od pana uwolnić.

– Felicja nie jest kobietą, która kurczowo trzyma się przeszłości – odparł Maksym.

– Pan nie jest przeszłością. W końcu przecież co trochę pojawia się pan w jej życiu.

– Niech pan posłucha, panie Lombard, czy nie sądzi pan, że to jest sprawa wyłącznie między mną a Felicją?

Alex popatrzył na niego zimno zmrużonymi oczami.

– Ponieważ Felicja w tej chwili naraża swoje życie i wszystko, co posiada, nie mogę



siedzieć i patrzeć na to beczynnie, i muszę się wtrącić. I nie zamierzam dla pańskiego dobra dyskretnie się wycofać, mogę pana o tym zapewnić.

Maksym westchnął. Bolała go głowa i w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie bardzo wyobrażał sobie walkę z kolejnymi wynikającymi z tej sytuacji komplikacjami. Zagrożenie życia, jak powiedział ten Lombard. Dobry Boże, jak gdyby on, Maksym, o tym nie wiedział! Dlaczego od lat nie był w stanie przespać spokojnie całej nocy, dlaczego zawsze reagował nerwowym drgnięciem na czyjeś kroki albo trzaśnięcie drzwiami w samochodzie? Życie Felicji było zagrożone, ale życie jego i wielu innych także. Mogli wpaść dziś, jutro albo w przyszłym roku. Każdy z nich o tym wiedział, każdy odpowiadał za siebie. Felicja była dorosła; on, Maksym, nie wciągałby jej w to wszystko, gdyby było jakieś inne wyjście, ale stało się inaczej, a ona nie odmówiła. Nie mógł teraz o tym myśleć. Liczyła się jedynie walka z nazistami. Na cokolwiek innego nie było ani czasu, ani miejsca, wręcz nie mogło być. Także na to, o czym mówił Lombard... Felicja, przeszłość. Lulinn, wiele lat w Berlinie... To wszystko było już tak odległe, jakby wydarzyło się w innym życiu. Nie mógł już nic czuć do Felicji ani też do żadnej innej kobiety. Miał wrażenie, że jest stary i wypalony. Często wydawało mu się, że wraz ze śmiercią Maszy coś w nim zgasło. Od tamtej chwili robił tylko to, co musiał, nie myśląc ani o przeszłości, ani o przyszłości i właściwie nie żyjąc tak naprawdę. Śmierć Maszy oznaczała dla niego nie tylko stratę kochanego człowieka, ale też ukazała absurdalność walki i idei jego życia.

Czuł pustkę i zmęczenie i myślał jedynie o tym, że przynajmniej w tej walce, walce z nazistami, musi na swój sposób zwyciężyć.

– Panie Lombard – powiedział. – Co pan teraz zamierza?

Alex raz jeszcze nalał sobie wina.

– Co ja zamierzam? Ma pan na myśli, czy będę w jakiegokolwiek formie działać przeciwko panu? Nie, tu ma pan szczęście. Z jednej strony uważam nazistów za paskudztwo i na pewno nie zamierzam sobie brudzić rąk, wchodząc z nimi w jakiegokolwiek kontakty. A z drugiej strony... To, co stanie się z panem, jest mi całkowicie obojętne i zapewne pan o tym wie. Ale będę robić, co w mojej mocy, aby Felicja wyszła z tego cała. Rozumie pan? A więc nie musi się pan obawiać, nie zrobię niczego, co mogłoby panu zaszkodzić. Ale co do jednego może być pan pewien... – Przechylił się w fotelu, a na jego twarzy można było dostrzec zdecydowanie i z trudem powstrzymany wściekłość. – Może być pan pewien, Marakow, że ja tu zostanę i będę bacznie przyglądał się wszystkiemu, co tu się dzieje. I na to niech się pan przygotuje. Nie zamierzam powstrzymać Felicji przed wspólnymi akcjami z panem, ale będę na nią uważał, i ostrzegam pana, Marakow: jeśli Felicji coś się stanie, to przekona się pan, że potrafię też być bezwzględny i potwornie mściwy. Czy mnie pan zrozumiał?

– Myślę, że wyraził się pan dostatecznie jasno – odparł chłodno Maksym.

Alex popatrzył na niego, po czym nagle wstał i odstawił kieliszek.

– Wie pan co, panie Marakow? Po raz pierwszy od bardzo dawna mam przemożną chęć się upić. Ale nie tutaj. Idę do jakiejś knajpy.

Maksym spytał:

– Czy w najbliższym czasie zamierza pan też mieszkać w tym domu?

Alex powoli szedł w stronę drzwi.

– Tak jest, panie Marakow. Bo czy to się panu podoba, czy nie, jest to mianowicie mój dom. I w jakiś sposób będzie pan musiał dogadywać się ze mną.

Powiedziawszy to, wyszedł i zamknął za sobą energicznie drzwi.

Teraz Maksym sięgnął po butelkę z czerwonym winem.

## 5.

Był 15 lutego 1941 roku, godzina dwudziesta trzecia. Także ta noc w trakcie tej łagodnej zimy nie była zbyt chłodna. Od Atlantyku wiał świeży, choć męczący wiatr. Kto nie musiał wychodzić, siedział w domu.

W małej wiosce Narcisse, w pobliżu Nantes, panowała kompletna cisza. Jakby wszyscy już spali. Ale wielu mieszkańców siedziało przy radiach i potajemnie słuchało audycji nadawanej z Londynu. Przebywający na emigracji generał de Gaulle po raz kolejny wzywał do oporu przeciwko Niemcom. Na razie jeszcze niewielu Francuzów zamierzało posłuchać tego wezwania, ale de Gaulle bazował na przekonaniu, że wola walki będzie rosła wraz z represjami, których nie szczędził ludności okupant. Czteryście milionów franków dziennie musieli płacić Francuzi jako koszty okupacji. Dodatkowo każdego dnia rekwirowano żywność, benzynę i inne artykuły codziennej potrzeby. Nienawiść do Niemców rosła niemal z dnia na dzień, a de Gaulle nigdy nie wahał się podsycać nienawiści do rządu Vichy w niezajętej części Francji.

W Narcisse okupanci zażądali od wszystkich okolicznych gospodarstw wydania wieprzowiny, jaj i mleka, spustoszyli też miejscową piekarnię i zastrzelili jednego z mieszkańców, który próbował bronić się przed kradzieżami. Złupiona żywność miała być przewieziona do Nantes, ale tej nocy na razie złożono ją w pustej szopie na skraju wsi. Pilnowali jej trzech młodzi niemieccy żołnierze. Dwóch z nich na kilku pozostawionych belach siana siedziało w szopie, która stanowiła również ochronę przed dokuczliwym wiatrem, zaś trzeci stał na straży przed szopą. Co godzinę się zmieniali. W ten sposób mogli jakoś znieść to niezbyt lubiane zadanie w czasie tak wietrznej nocy.

Od godziny dwudziestej trzeciej do północy straż przed szopą musiał pełnić Gert Ullbach, dwudziestodwuletni kapral z Chiemgau. Ten wysoki, jasnowłosy chłopak, dość naiwny i mocno nieżyłowy, był właściwie jeszcze dzieckiem. Wkroczenie z armią niemiecką do Francji odebrał jako wielką przygodę, urzeczywistnienie tego, o czym czytał w powieściach. Jednak powoli zaczynał już tęsknić za domem. Tęsknił za matką, ojcem, wiejskim gospodarstwem, domem o wysuniętym szczycie dachu i licznymi skrzynkami z kwiatami na balkonie. Tęsknił za zielonymi wzgórzami, dolinami i łąkami oraz czystą, zielononiebieską wodą jeziora Chiemsee. Gert miał nadzieję, że wkrótce wróci do domu i wtedy wszystko będzie takie jak przedtem. Ta wojna, to przecież miało być tylko krótkie intermezzo. Gert potarł ręce. Kiedy dotarł do końca szopy, odwrócił się i chciał ruszyć z powrotem, bo ruch był lepszy niż stanie w miejscu, i wtedy ktoś za nim zarzucił mu na szyję drucianą pętlę, tak szybko, że nie zdążył zareagować. Nie był w stanie się bronić, a nawet krzyczeć. Pętlę zaciągnięto gwałtownym ruchem. Gert Ullbach zmarł w przeciągu kilku sekund. Upadł w ciemne, zimne błoto, nie wydawszy ani jednego dźwięku.

Claire pochyliła się nad nim, chwyciła jego pistolet i szybko przeszukała kieszenie munduru. Dwa papierosy, kilka francuskich banknotów, pół kromki chleba starannie zawiniętej w papier woskowany, fotografia przedstawiająca zapewne rodziców zmarłego i książeczka żołdu stanowiąca bardzo pożądany łup dla ruchu oporu. Claire schowała wszystko do kieszeni swojej kurtki i dała znak dwóm mężczyznom, którzy wynurzyli się z ciemności. Teraz oni musieli załatwić strażników w szopie i dopiero wówczas będzie można uznać, że nocna akcja zakończyła się sukcesem.

Była pierwsza w nocy, kiedy Claire weszła na podwórze swojego gospodarstwa. Nie musiała zachowywać specjalnej ostrożności, bo niemieccy żołnierze już u nich nie kwaterowali – głównie dlatego, że nie było co stąd zabierać. Niemcy przypominali rój szarańczy, który siada na

polu, zżera wszystko do gołej ziemi i znika.

Filip czekał na Claire z niecierpliwością i niepokojem. Nie mógł brać udziału w jej akcjach z powodu drewnianej nogi. Cholerny kikut! Filip wmawiał sobie, że może się poruszać jak zdrowy człowiek, ale szybko się przekonał, że to tylko złudzenie. I był teraz skazany na całonocne wyczekiwanie, podczas gdy Claire narażała gdzieś swoje życie. Czasami oprócz troski, niepokoju oraz wściekłości wynikającej z przymusowej bezczynności opanowywała go szalona zazdrość. Claire chyba dopiero teraz pojęła, z jakim strzępkim mężczyzny się swego czasu zadała.

Jak zawsze odetchnął z ulgą, kiedy weszła do pokoju. Wstał szybko i pokuśtykał w jej stronę.

– Claire! Dzięki Bogu, że już jesteś!

Miała osobliwie błyszczące oczy, jej policzki płonęły, a kiedy zerwała z głowy chustkę, fala jej czarnych włosów opadła na ramiona.

– Filipie! Dziś pierwszy raz zabiłam Niemca!

Zaniepokoiła go jej niemal histeryczna radość.

– Ach, tak? – odpowiedział niepewnie.

Claire wyciągnęła spod kurtki butelkę czerwonego wina i postawiła na stole.

– Szybko, Filipie! Dwa kieliszki!

Ale on się nie ruszał.

– Jak... jak to zrobiłaś? – spytał.

– Drucianą pętlą. To był ogromny mężczyzna, ale ja... Filipie, słuchaj, nagle znalazłam w sobie tyle siły. Wiedziałam, że mogę go zabić. On był o ponad dwie głowy wyższy ode mnie, ale trzasnął w moich rękach jak zapałka. I to było bardzo łatwe. Kiedy zabijałam tego Niemca, myślałam cały czas o naszym synu i ja...

– Usiądź najpierw! – Filip przyniósł dwa kieliszki i nalał wina. – Skąd masz czerwone wino?

– Było wśród tych rzeczy, które odebraliśmy Niemcom. Ja załatwiłam tego, który trzymał straż na zewnątrz, a René i Vincent – dwóch pozostałych w szopie. Ukryliśmy dobrze niemal wszystką żywność, którą oni nam zrabowali. A wino skubnęłam dla nas. – Uniosła kieliszek w górę. – Zdrowie, Filipie!

„Ona jest rozpalona jak w gorączce”, przemknęło mu przez głowę i dodał w myślach: „Nie jest dobrze nienawidzić aż tak mocno!”.

Z kieszeni wygrzebała zdobytą książeczkę zołdu.

– Patrz. To należało do niego.

Filip zbladł.

– Czy ty oszalałaś? Nie możesz przecież nosić tego ze sobą! Wiesz, co się stanie, kiedy Niemcy znajdą to przy tobie?

Claire westchnęła i w tym westchnieniu słyhać było odrobinę zniecierpliwienia.

– Chciałam ci to tylko pokazać. To oczywiście, że tego nie zatrzymam.

Filip otworzył książeczkę. „Gert Ullbach”. Z łatwością wymówił w tak dobrze znanym mu języku imię i nazwisko. „Urodzony 7 sierpnia 1920 w Übersee”.

– Claire, ten chłopak, którego zamordowałaś, był taki młody. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat!

Claire popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, a jej twarz znieruchomiła tak, że przypominała maskę.

– Mój syn miał dziesięć, kiedy oni go zamordowali.

– Tak, tylko...

– Co?

– Claire, w twojej nienawiści jest coś fanatycznego. Mogę cię zrozumieć. Ale Jérôme zginął na wojnie, w trakcie ostrzału artyleryjskiego. Nie możesz obciążać odpowiedzialnością za to pojedynczych ludzi.

– Obciążam odpowiedzialnością za to Niemców.

– Ale ten dwudziestoletni chłopak... – Filip odłożył książeczkę żołdu na stół – ...on nie mógł nic na to poradzić. On nie mógł nic poradzić na to, że wybuchła wojna. Został powołany, wysłany do Francji i nie miał żadnego wyboru.

Claire zacisnęła wargi w cienką, białą kreskę.

– Mój syn też nie miał wyboru.

– Nie miał. Ale pytanie, czy dlatego mamy prawo...

Claire nie pozwoliła mu skończyć.

– Jesteś Niemcem. Wiedziałam, że to kiedyś będzie dla ciebie problem. I dla nas.

– Claire...

Gdyby ona chciała go zrozumieć. Bo dla niego nie była to kwestia narodowości. Nie była już od czasu ostatniej wojny, na którą wyruszył jako młody chłopak zafascynowany patriotyzmem i podczas której widział potworne, bezsensowne umieranie ludzi na wszystkich frontach.

– Claire, przeraża mnie twoja żądza zemsty. Jesteś tak bezlitosna. Gdzie jest ta łagodna, tkliwa Claire, którą...

Wstała tak gwałtownie, że kieliszki stojące na stole zadźwięczały. Odrzuciła do tyłu długie włosy.

– Jej już nie ma, Filipie. Ta Claire, którą znałeś, już nie żyje. Jest martwa. We mnie nie ma już... ani łagodności, ani tkliwości, i nie chcę już taka być. Być może ty nie rozumiesz mojego bólu. Bo ja nie mogłabym go znieść, gdybym nie zmieniła go w nienawiść. – Wyciągnęła z kieszeni scyzoryk, podeszła do drzwi i wykonała głębokie nacięcie na drewnianej framudze. – Proszę. To pierwszy zabity Niemiec. I wkrótce będą tu tylko same nacięcia. Nic innego. Nie patrz na to, Filipie, jeśli nie możesz tego znieść, bo nie odwiedzisz mnie od mojego planu.

Nagle wybuchnęła łzami, ale kiedy Filip chciał ją objąć, odepchnęła go i wybiegła z pokoju. Słyszał przez resztę nocy, jak niespokojnie chodziła tam i z powrotem.

Szczyście sprzyjało Führerowi. W kwietniu oddziały niemieckie zaatakowały Grecję i Jugosławię i odniosły błyskawiczne zwycięstwa. W maju niemieccy spadochroniarze opanowali lotniska na Krecie, dotychczas zajęte przez Brytyjczyków. A 22 czerwca 1941 roku Hitler rozpoczął swoją najśmielszą kampanię: bez wypowiedzenia wojny Niemcy wkroczyli do Związku Radzieckiego. Rozpoczęła się operacja „Barbarossa”.

Atak przygotowywano od 1940 roku, ale przedstawiano jako uderzenie na Anglię. Jednak coraz bardziej stawało się jasne, że w żadnym wypadku nie chodzi tu o wyspy po drugiej stronie kanału, lecz o Wielkiego Brata na wschodzie. Oddziały Stalina pokonano bez większych trudności, nikt też nie przeszkodził Luftwaffe w zbombardowaniu przygranicznych lotnisk sowieckich, pozostały po nich tylko ruiny. W końcu miesiąca Grupa Armii Północ znalazła się już w krajach nadbałtyckich, Grupa Armii Środek dotarła nad Berezynę, a Grupa Armii Południe walczyła w Besarabii i Galicji. W okrażeniu pod Białymstokiem wzięto do niewoli ponad trzysta tysięcy rosyjskich jeńców. Następnym celem miał być Leningrad. Jednak niektórzy ludzie w ojczyźnie przyglądali się mapie świata i potrzęsali z powątpiewaniem głowami. Czy Führer zdawał sobie sprawę, jak ogromny jest ten kraj? Czy on wiedział, ile wojsk będzie mógł wystawić Stalin? Na razie Hitler wykorzystywał zalety ataku przez zaskoczenie, ale nie mógł przecież zdążyć zająć tego gigantycznego kraju, zanim Rosjanie odzyskają siły po poniesionych

klęskach. Wprawdzie Stalin w ramach czystek pozbył się najlepszych umysłów w armii i to był z pewnością kolejny plus dla Niemców, ale Rosjanie mieli swoją zimę. Straszna, rosyjską zimę. I mogła się ona zacząć już w październiku, za cztery miesiące.

Chwilowo po gazetowych doniesieniach z frontu wszyscy szaleli z radości, a Goebbels mówił o „przestrzeni życiowej”, którą wreszcie zdobędą Niemcy. Wielu ludzi zaczęło wierzyć, że Hitler rzeczywiście jest genialnym strategiem. Byli jednak i tacy, którzy widzieli w tym zbliżający się koniec Trzeciej Rzeszy i mieli pewność co do jednego: tego lata 1941 roku Führer posunął się za daleko. I zaczął kopać dla siebie grób.

Od tamtej pamiętnej grudniowej nocy, kiedy Felicję odwiedziło gestapo, Maksym na pół roku zawiesił wszelką działalność w domu przy Prinzregentenstrasse. Prawdopodobieństwo, że budynek znajdował się pod obserwacją, było bardzo duże. Ciągłą zagadką stanowiło pytanie, kto doniósł gestapo. Felicja twierdziła, że zrobił to dozorca, który jej nie znosił i szykanował na każdym kroku. I teraz należało zachować daleko idącą ostrożność.

Oznaczało to, że Felicja już niezbyt często widywała Maksyma i rzadko dowiadywała się, co zamierza. Martwiła się o niego, a jednocześnie czuła się urażona, że nie wtajemnicza jej w swoje plany. Bawiło to Alexa, który się tego domyślał i drwił z byłej żony:

– Biedna Felicja! Nie masz ty szczęścia do mężczyzn! Jeśli już nie mogłaś zostać kochanką Maksyma, to może mogłabyś zostać chociaż jego współniczką. Po to przecież nadstawiasz karku, prawda? A on odmawia ci grania nawet tej roli!

– Ach, zostaw mnie w spokoju, Alex. W ogóle nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Alex po przybyciu do domu przy Prinzregentenstrasse jeszcze raz został przesłuchany przez policję. Wprawdzie miał niemiecki paszport, ale przyjechał z Ameryki, gdzie mieszkał. Mężczyzna w bardzo przekonujący sposób wyjaśnił, że ma w tym kraju posiadłości, a mianowicie wydawnictwo w Monachium oraz majątek w Prusach Wschodnich, i ten fakt zobowiązuje go do tego, aby w ciężkich czasach przebywać właśnie tu, nigdzie indziej. I dlatego Alex uzyskał w pewnym sensie status syna marnotrawnego, który powrócił do ojczyzny, gdzie przyjęto go z otwartymi ramionami, a kiedy jeszcze napomknął o swoim szwagrze Tomie Wolffie, wiernym członku partii i przyjacielu gauleitera, to znikły resztki nieufności, którą wobec niego żywiono. Nieniekajony przez nikogo mógł zajmować się teraz swoim wydawnictwem.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że będziesz publikował tylko literaturę nazistowską – stwierdziła złośliwie Felicja, ale Alex odparł chłodno:

– Tak. Ty też produkujesz flagi ze swastyką, prawda? Jeśli wejdemy między wrony, tak jak to zrobiłaś ty, Felicjo, to musimy krakać jak i one, i dlatego też nie powinno cię oburzać, co robią inni.

Alex miał dar umiejętnego dopasowywania się do sytuacji, bez konieczności umizgiwania się. Wydawał publikacje zgodne z linią partii, w miarę ciekawe powieści, ale sprawiał przy tym wrażenie, że mógłby także sprzedawać bułki albo hodować konie wyścigowe, jeżeli tego wymagałyby czasy i okoliczności. I zorganizował sobie bardzo wygodne życie. Często wyjeżdżał, odwiedzał różnych autorów, przeprowadzał interesujące rozmowy i najwyraźniej wcale się nie przepracowywał. Radość, którą czerpał z życia, wcale nie ucierpiała z powodu wojny i tak było też w 1914 roku. Z opanowaniem podchodził do wszystkiego, co Felicję doprowadzało do szewskiej pasji, głównie dlatego, że nie potrafiła zachować spokoju. Harowała do upadłego w fabryce, musiała trwonić czas na nudnych wieczorach towarzyskich z zartującymi partyjnymi bonzami, paliła tyle papierosów, że większość kartek żywnościowych wymieniała właśnie na nie, wobec czego jadła o wiele za mało i stawiała się coraz bardziej nerwowa. Niemal chora ze strachu siedziała w piwnicy w czasie nalotów bombowych na Monachium, na szczęście jeszcze rzadkich. Panicznie reagowała na bomby

i w takich chwilach dziękowała Bogu za Alexa. I choć były mąż irytował ją nader często, to w najgorszych momentach potrafił być wobec niej delikatny i tkliwy. Kiedy naokoło spadały bomby, on brał ją w ramiona, gładził ją delikatnie po włosach i mówił do niej, próbując ją uspokoić.

– Wszystko w porządku, Felicjo, wszystko w porządku. Posłuchaj, bomby spadają gdzieś daleko i nam się nic nie stanie. Uspokój się, kochanie.

Potrafił być opiekuńczy, ale potrafił też dokuczyć tak, że Felicja wręcz wychodziła z siebie z wściekłości, sypiał z nią i wychodził przed śniadaniem, aby pojawić się dopiero późnym wieczorem. Od czasu do czasu otrzymywał telegramy od swojej żony Patty, po których często wpadał w ponury nastrój i za dużo pił. Ale poza tym zachowywał się jak lekkomyślny, nieco frywolny światowiec. I tylko kiedy pojawiał się Maksym, natychmiast znikał z pola widzenia, czasami nie było go dwa dni i dwie noce, a kiedy wracał, miał twarz tak szarą i opuchniętą, że Felicja podejrzewała go o solidne pijaństwo.

Latem, tuż przed wybuchem wojny ze Związkiem Radzieckim, przez Rzeszę przetoczyła się ogromna fala aresztowań, której ofiarą padli głównie Żydzi. Wielu z nich próbowało jeszcze szybko gdzieś się ukryć. Zasadniczy problem polegał na wyżywieniu tych ludzi. Ponieważ oficjalnie ich nie było, to oczywiście nie otrzymywali kartek żywnościowych i mogli liczyć jedynie na pomoc sprzymierzeńców. A to stawało się coraz trudniejsze z powodu coraz surowszego racjonowania żywności zwłaszcza dla zwykłych konsumentów, oznaczanych dużą literą N.

Któregoś upalnego lipcowego dnia Maksym pojawił się w biurze Felicji na terenie fabryki i oznajmił jej, że wieczorem planuje napad na placówkę rozdzielającą kartki żywnościowe. Mężczyzna wiedział, że można było się tam dostać bez większych problemów, i bez zbędnych ceregieli spytał:

– Pójdiesz ze mną?

Felicja siedziała za biurkiem nad górą rachunków i paliła papierosa, marszcząc czoło.

– Dobry Boże – odpowiedziała urażona. – Do tej pory robiłeś wszystko, abym trzymała się z daleka od takich akcji!

– Wiem. I miałem zamiar postępować tak dalej. Ale znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc, a sam nie dam rady.

– A ja myślałam, że nasza tajna organizacja ma wielu członków.

– Mimo to teraz jestem sam. – W głosie Maksyma słychać było zniecierpliwienie i irytację. – Towarzysz, który miał mi pomóc, wyjechał za granicę.

– Ach, co za lojalność!

– On nie miał wyboru. Felicjo, czasami myślę, że ty ciągle nie masz pojęcia, z kim walczyliśmy i na jak wielkie niebezpieczeństwo...

– O nieba, Maksymie Marakowie! – Felicja gwałtownym ruchem zgasła papierosa. – Czy ty uważasz mnie za aż tak naiwną? W środku nocy gestapo weszły w moim mieszkaniu, przewraca wszystko do góry nogami i niemal doprowadza mnie do załamania nerwowego, a ty sądzisz, że ja ciągle nie mam pojęcia, jak wielkie niebezpieczeństwo nam wszystkim grozi. Maksymie, ja doskonale wiem o więzieniach, torturach, obozach i możesz mi wierzyć, że czułabym się o wiele, wiele lepiej, gdybym nie tkwiła w tym po uszy.

– A więc pójdiesz dziś wieczór ze mną?

Felicja zapaliła kolejnego papierosa.

– Większą przyjemność sprawiała mi zabawa w rozbójników i żandarmów, wtedy w Lulinnie.

– Życie dawno już przestało być zabawą. A Lulinn...

– Tak, wiem, to były zupełnie inne czasy. – Przerwała mu i wstała. – A więc dobrze. Jestem z wami. Kiedy zaczynamy?

U Velinów tego wieczoru podano na kolację tylko jedno danie – gęstą zupę. Małżonkowie jedli w milczeniu, a Zuzanna co chwila odkładała łyżkę, bo znów była w ciąży i w przeciwieństwie do pierwszego razu teraz stale odczuwała mdłości. Hans naciskał, chciał koniecznie mieć drugie dziecko. Wyczerpana i słaba Zuzanna prosiła go, aby z tym jeszcze poczekać, ale w końcu ustąpiła wobec jego nalegań. A ponieważ Hans prowadził dokładny kalendarz i wiedział, kiedy przypadały jej płodne dni, kobieta szybko zaszła w ciążę. I teraz znów stale mówił o „naszym synu”, tak jak za pierwszym razem. Czy on sądził, że jeśli uzna przyjście na świat dziewczynki za niemożliwe, to urodzi się chłopiec? Jego ciągły upór i zrzęczenie doprowadzały Zuzannę do pasji, podobnie jak ignorowanie przez niego dziecka, które niedawno przyszło na świat. Nie dbał też o to, jakie otrzyma imię.

Dzisiejszego wieczoru milczał jednak. Przez cały dzień bardzo dokuczała mu astma, z powodu której w lutym przeniesiono go z Warszawy do Monachium. Ataki duszności stanowiły dla niego nie tylko cierpienie fizyczne, ale także psychiczne, bo przecież Führer chciał, aby germański mężczyzna był zdrowy jak rydz i wprost tryskał siłą i energią. A tymczasem Hans Velin nie był przykładem niezwycięzonego niemieckiego bohatera, kiedy kurczowo trzymał się biurka i walczył o każdy oddech szeroko otwartymi ustami o sinych wargach. Gdy Zuzanna go poznała, w jej oczach promieniał spokojem, ale teraz młoda kobieta zrozumiała, jak dalece odbiegało to od rzeczywistości. Ten człowiek tak naprawdę nie był w stanie znieść żadnych obciążeń i trudności. Jego humory i nastroje zmieniały się z minuty na minutę i Zuzanna zauważyła, że ona sama w stosunku do niego staje się coraz bardziej lękliwa i nerwowa.

Hans odsunął pusty talerz i oparł się plecami o poręcz krzesła. Jego wąskie, bardzo blade tego wieczoru wargi sprawiały, że cała twarz wydawała się zimna i nieprzystępna.

– Czy ty dziś wieczorem nie miałaś iść na spotkanie w swoim związku kobiet? – spytał, marszcząc czoło.

– Tak, miałam iść. Ale nie poszłam, bo źle się czuję.

Zuzanna także odłożyła łyżkę, choć nic nie zjadła, i zauważyła, że znowu cała się poci. Dlaczego w czasie tej ciąży tak źle się czuła? I dlaczego nie miała ani energii, ani siły, aby robić to wszystko, co dawniej sprawiało jej tyle radości? Wieczór w związku kobiet... Tak. I musiała jeszcze zbierać pieniądze na pomoc zimową, ale na samą myśl o tym, że będzie chodzić od domu do domu i potrząsać puszką, poczuła się jeszcze nędzniej. Wydawało jej się, że nie stać ją nawet na to, aby wysuwać raz jedną nogę, raz drugą. A teraz jeszcze w dodatku Hans był zirytowany i ona doskonale to wyczuwała.

Ni stąd, ni zowąd powiedział nagle:

– Musimy w końcu poważnie porozmawiać z twoją matką.

– Z mamą? Dlaczego?

– Dotarło do mnie parę niemiłych plotek. Wysunięto... brzydkie podejrzenia w stosunku do niej.

– Podejrzenia? Jakiego rodzaju? – spytała Zuzanna. Mdłości nadchodziły teraz falami i kobieta musiała przytrzymywać się brzegu stołu.

– Czy może być tak – spytał Hans – że Felicja... wyrażając się bardzo ostrożnie... ma kontakty z ludźmi, którzy agituja przeciwko temu państwu i jego celom?

– Tego sobie nie potrafię wyobrazić.

– No, ale czy nie rzuciło ci się w oczy, że ona w zasadzie nigdy nie wita się hitlerowskim pozdrowieniem?

– Ach, mama po prostu taka jest. To nic nie znaczy. Ona nie jest ani za Führerem, ani

przeciw niemu. Ją interesuje tylko własna kariera i nigdy nie nadstawiałaby karku dla kogoś czy czegoś. A poza tym przecież stale podpisuje kolejne kontrakty z partią. – Zuzanna wlepiała zdumione oczy w Hansa. – Powiedz, ty chyba nie podejrzewasz jej naprawdę?

Hans nie znosił Felicji i dlatego przypisywał jej kolaborację z wrogami narodowego socjalizmu. Ale ponieważ nie dało się jej tego udowodnić, sprawa stawała się dla niego nad wyraz nieprzyjemna. Bądź co bądź ta kobieta była przecież jego teściową. To, co być może robiła, rzucało cień także i na niego.

– A kim jest ten... kochanek, którego poza tym zatrudnia w swojej fabryce? – dociekał. – Skąd on jest?

Zuzanna, która rzeczywiście nigdy przedtem nie widziała Maksyma, wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Prawie go nie znam. A poza tym on nie jest jej kochankiem.

Hans popatrzył na nią chłodno.

– A kim on jest w takim razie?

Nagle, podobnie jak to ostatnio często miało miejsce, Zuzanna miała ochotę głośno się rozplakać.

– Z całą pewnością nie musisz tego nazywać tak brzydko! Kochanek... dlaczego używasz takich wstrętnych słów? A w ogóle... jak możesz wysuwać tak nieuzasadnione podejrzenia w stosunku do mojej matki?! – Jej głos się załamał.

W pokoju obok w tym momencie zaczęło płakać niemowlę.

Hans odpowiedział, nie kryjąc już irytacji:

– A ty oczywiście znów musisz robić z tego dramat! Powiedziałem jedynie, że krążą plotki na temat twojej matki, przez co może mieć kłopoty, i że ty powinnaś z nią pomówić i przekonać ją, aby jakoś im zaprzeczyła. Dobry Boże! – Hans wytarł sobie usta serwetką. – Jesteś w ostatnim czasie bardzo drażliwa!

– Przepraszam – zaszlochała Zuzanna. Poczula nagle tak silny przypływ mdłości, że poderwała się, wybiegła z pokoju i ledwo zdążyła do toalety.

Kiedy wróciła, Hans stał przy oknie i właśnie jednym haustem wypił kieliszek wódki. Włączył radio, w którym akurat mówiono o niemieckich kobietach robiących na drutach ciepłe skarpety i czapki dla żołnierzy walczących na froncie wschodnim, co stanowiło kobiece wkład w ostateczne zwycięstwo.

– Jadę do Związku Radzieckiego – powiedział niemal od niechcienia.

Zuzanna popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co takiego?

– Nasze oddziały docierają coraz dalej w głąb kraju, a na zajętych terenach występują te same problemy co w Generalnej Guberni...

– Jakie problemy?

Hans się zawahał.

– Trudno to tak w skrócie wyjaśnić...

– Żydzi?

– Tak. Także Żydzi.

– Właściwie... Czy jesteś pewien – spytała Zuzanna – że to, co robicie z tymi ludźmi, jest absolutnie słuszne?

W spojrzeniu Hansa można było dostrzec mieszanię niedowierzania i gniewu.

– I ty o to pytasz? Jako moja żona?

Spuściła oczy. Czuła się zbyt słabo i nędznie, by spierać się z nim o cokolwiek. Hans nalał sobie drugi kieliszek wódki.



– Twoja ciąża cię wykańcza, Zuzanno. Jesteś nie zrównoważona i kompletnie rozkojarzona. Ale myślę, że to minie, kiedy nasz syn pojawi się już na świecie. Oczywiście postaram się wrócić do Monachium na jego narodziny.

Spiker w radiu zamilkł nagle i zabrzmiał motyw z *Preludiów* Liszta, co zawsze poprzedzało doniesienia specjalne. W pokoju rozległa się podniosła i pełna triumfu muzyka. Najprawdopodobniej Niemcy znów odnieśli kolejne wspaniałe zwycięstwo i zaraz będzie o tym mowa. To było warte dobrego cygara! Podekscytowany Hans sięgnął po pudełko, które stało koło okna, ale w ostatniej chwili cofnął rękę. Z całą pewnością meldunkowi specjalnemu towarzyszyłby wtedy kolejny atak duszności.

## 6.

Sejf z kartkami żywnościowymi przeznaczonymi na najbliższe trzy miesiące umieszczony był na parterze pewnego biura na Königinnenstrasse, nad nim z kolei znajdowały się mieszkania przeznaczone na wynajem. Maksym otrzymał informację, że z podwórza można łatwo dostać się do piwnicy przez jedne z licznych drzwi, a potem stamtąd przez kłapę w jej suficie do biura. Jeśli chodzi o informatora, Maksym zobowiązał się do zachowania milczenia i Felicji pozostało się tylko modlić, aby to nie była pułapka.

Umówiła się z Maksymem na spotkanie w ogrodzie Angielskim i omal nie doszło do katastrofy, ponieważ przyszła z Alexem.

– A więc darujemy sobie tę sprawę – oświadczył zimno.

– Bardzo rozsądnie – odparł Alex. – I tak czuję się za stary na nocne eskapady tego rodzaju. Widzi pan, nie jestem przyzwyczajony do wchodzenia nocą do cudzych mieszkań i okradania sejfów.

– Chciałbym wobec tego wiedzieć, czego pan tu szuka.

– Tam, gdzie idzie Felicja, idę i ja. A zwłaszcza kiedy chodzi o tak szalone przedsięwzięcia jak to. Kiedyś już panu o tym mówiłem.

Maksym zbladł z wściekłości.

– Sądzi pan, że to, co robimy, to jedynie towarzyska zabawa z dreszczykiem? A może uważa pan, że robię to dla zabicia czasu? Od tych kartek zależy życie wielu ludzi, a to, co pan nazywa szaleństwem, to rozpaczliwa walka tysięcy mężczyzn i kobiet, którzy z powodu swojej wiary, narodowości, rasy czy przekonań politycznych są bezlitośnie prześladowani przez nazistów. Czy coś takiego nie przychodzi panu do głowy?

– Oczywiście, że przychodzi. Także dlatego tu jestem.

– O Boże – powiedziała Felicja, która była ubrana w czarne spodnie, czarny sweter i czuła się jak w kiepskim kryminale. – Przestańcie się kłócić! Maksymie, Alex ma mocniejsze nerwy niż my oboje i cieszę się, że jest z nami.

W końcu ruszyli, Maksym z trudem powstrzymując wściekłość, a Alex wyraźnie rozbawiony. „Co za zwariowane trio”, myślała Felicja, „mój były mąż, Maksym i ja w trakcie niebezpiecznej wyprawy po łup. A kiedy coś pójdzie źle i nas złapią, to w najlepszym razie wylądujemy w więzieniu!”

Dom był zgodnie z przepisami zaciemniony i nocą sprawiał wrażenie pustej, ciemnej bryły. Podwórze otaczał ostro zakończony płot i Felicja obawiała się, że będzie musiała się na niego wspiąć, ale zamek w bramie udało się otworzyć bez trudu. Maksym szedł z przodu, a ona z Alexem tuż za nim. Najwyraźniej doskonale znał drogę, co oznaczało, że miał też dobrego informatora.

W tylnej części podwórza leżały jakieś rupiecie.

– Uważajcie, gdzie stajecie – wyszeptał. – Jeśli ktoś nas usłyszy, zrobi się niebezpiecznie!

– Jakbyśmy sami na to nie wpadli – wymamrotała Felicja.

Zeszli po kilku stromych stopniach i stanęli przed drzwiami piwnicy. Maksym wyciągnął latarkę i podał ją Felicji.

– Trzymaj. Muszę jakoś otworzyć.

Majstrował przy zamku w nikłym świetle. Mimo ciepłej letniej nocy Felicja zaczęła dygotać. Poczowała, że na całym ciele wystąpiła jej gęsia skórka. Jakież to wszystko było zwariowane! Stała tutaj, trzymała latarkę i patrzyła na Maksyma, który próbował otworzyć drzwi.

Powyżej znajdował się cichy dom, który zdawał się mieć sto par oczu i uszu śledzących wszystko, co działo się tu na dole. Felicja miała wrażenie, że każdy dźwięk przy ich próbie włamania odbija się głośnym echem. Jej palce lekko drżały. Poczwała, że Alex delikatnie kładzie rękę na jej ramieniu.

– Spokojnie – powiedział cicho.

Natychmiast poczuła ulgę, znikło też nieznośne napięcie.

Zamek w końcu ustąpił i drzwi się otworzyły. Ostrożnie wślizgnęli się do piwnicy. Latarka nie oświetlała wszystkiego i dopiero, kiedy znaleźli się w środku i zamknęli za sobą drzwi, Maksym odważył się zapalić światło. Przez chwilę byli oślepieni, ale potem rozejrzeli się po pustym pomieszczeniu, cementowej podłodze i kamiennych ścianach. W jednym z kątów rozpięto linkę do suszenia bielizny, na której wisiała para męskich kalesonów. Poza tym stało tu tylko kilka pustych koszów, zepsuty rower i miotła ze złamanym styliskiem.

– A w ogóle zastanowiliście się, co się stanie, kiedy nagle ogłoszą alarm przeciwlotniczy i wszyscy mieszkańcy domów zaczną biec do piwnicy? – spytała Felicja.

Maksym wzruszył ramionami.

– To byłby cholerny pech. A poza tym to nie jest schron przeciwlotniczy.

– Może mimo wszystko powinniśmy się trochę pośpieszyć – powiedział Alex.

– No właśnie. Gdzie jest ta kłapa, przez którą można się dostać do biura? – chciała wiedzieć Felicja.

Dość szybko znaleźli ją na suficie, ale stwierdzili, że bardzo trudno będzie się do niej dostać.

– Może jest tu gdzieś jakaś drabina. – Felicja rozglądała się dookoła. – Albo krzesło.

– Był pan absolutnie przeciwny temu, abym poszedł z wami, panie Marakow – oświadczył Alex. – Ale może zrobić z dłoni coś w rodzaju podpórki, po której będzie pan mógł wejść do środka po otwarciu kłapy?

– Słusznie. – Maksym nie podchwycił jego tonu. – To dobry pomysł.

Kłapa otworzyła się do góry, kiedy Maksym nacisnął na nią od spodu. Z najwyższym wysiłkiem wciągnął się, opierając się na rękach Alexa. Przez chwilę widać było tylko jego nogi, a potem znikł.

– W porządku! – zawołał cicho.

– Dobrze. To proszę podawać nam wszystko na dół – odpowiedział Alex.

– Jak on zamierza otworzyć ten sejf? – spytała Felicja.

– Zakładam, że zna szyfr. Jego informator chyba mu wszystko przekazał. To pewnie pracownik biura.

Tym razem trwało to dłużej, zanim Maksym pojawił się w otworze. Miał ze sobą dwa zawiązane worki wypełnione kartkami na żywność.

– Złapicie je? – wyszeptał.

– Jasne – odparł Alex.

Dokładnie w tym momencie usłyszeli kroki. Ktoś schodził po zewnętrznych schodach. Felicja zrobiła się biała jak ściana. Nie mogła ani wydobyć z siebie głosu, ani wykonać żadnego ruchu. Stała jak sparaliżowana i patrzyła z takim przerażeniem na drzwi, jakby spodziewała się w nich ujrzeć samego diabła.

Alex na szczęście zareagował przytomnie.

– Maksymie! Niech pan zamknie kłapę i będzie cicho, na miłość boską! – Powiedziawszy to, chwycił Felicję za rękę. – Chodź!

– Nie. Nie bez Maksyma!

Brutalnie pociągnął ją w stronę znajdujących się naprzeciwko drzwi, które prowadziły do

kolejnych pomieszczeń. Miał nadzieję, że są otwarte.

Z góry dobiegł ich odgłos zamykania klapy. Potem nic już nie słyszeli. Alex wyłączył światło. Drzwi na szczęście nie były zamknięte, dostali się więc na zimny korytarz, który intensywnie woniał stęchlizną. Nie mogli się zorientować w ciemnościach. Felicja dygotała tak bardzo, że aż dzwoniła zębami.

– Alex, kto to jest?

– Ćśś! – odpowiedział niemal niedosłyszalnie. Teraz wyraźnie słyszeli głosy.

– Śmieszne, ktoś wyłamał zamek. – Do ich uszu dobiegł męski głos.

Po tym słowach zapanowało milczenie, a potem odezwała się wystraszona dziewczyna:

– Lepiej stąd idźmy. Jakoś czuję się tu nieswojo!

– Ach, bzdura! Z pewnością zrobiły to dzieci, które zawsze się tu bawią. Nie patrz teraz jak wystraszona krowa w czasie burzy. Rozluźnij się!

Ale ta dziewczyna miała wyraźne trudności, bo po chwili wyraźnie urażony mężczyzna powiedział:

– Nie chcesz usiąść? Zwariuję, kiedy będę patrzył, jak tak stoisz. Tu na kocu jest całkiem przyjemnie!

– Wolę stać.

– O Boże, co ci znowu jest?

Felicja niemal wyczuwała uśmiech Alexa w mrocznym korytarzu.

– Zakochana parka – wyszeptał. – Rzeczywiście, tylko tego nam teraz brakowało!

– Co oni tu robią? – spytała Felicja, która ciągle nie mogła opanować dygotania.

– Drogie dziecko... czy mam ci dokładnie wyjaśnić? – odparł ubawiony.

– Ach, przestań! Nie rozumiem, że to cię tak śmieszy! Siedzimy tu jak w pułapce!

„Dobrze, że przynajmniej nie przyszła policja”, pomyślała, „ani dozorca, czy też ktokolwiek, kto usłyszał hałas i chciał zobaczyć, co się tu dzieje, tylko niewinna parka, która chciała się zabawić w jakimś odosobnionym miejscu”.

Mimo to położenie było bardzo niepewne, bo tak długo, jak dwoje zakochanych blokowało piwnicę, nikt nie mógł wyjść. Alex ciągle trzymał w ręku worek z kartkami na żywność. Niemożliwe byłoby wytłumaczenie ich obecności w tym miejscu.

Przez chwilę niczego nie słyszeli – ale Felicja nie ważyła się liczyć na to, że zakochani sobie poszli, prawdopodobnie leżeli objęci – i nagle do ich uszu dobiegł zrzędlawy głos dziewczyny:

– Nie rozumiem, dlaczego ty akurat teraz musisz pić wódkę!

– Bo chce mi się pić!

– Pragnienia nie zaspokajają się wódką!

Odpowiedzią było głębokie westchnienie.

– Przyszłaś tu ze mną po to, żeby się kłócić czy...

– Co?

– No, czy... no, żeby tak naprawdę być ze mną sam na sam?!

Chłopak chyba spróbował ją pocałować, bo zaprotestowała energicznie i dość głośno:

– Przestań! Śmierdzisz wódką, a ja tego nie znoszę!

– Biedny chłopak – wymruczał Alex.

Wszystko trwało jeszcze przez chwilę, ale potem chłopak miał najwyraźniej dość, bo wstał gwałtownie i wyszedł z piwnicy. Dziewczyna, szlochając i krzycząc, wybiegła za nim. Drzwi się zatrzasnęły i Felicja wstrzymała oddech, bo była przekonana, że za chwilę wszędzie otworzą się okna i wychylą się z nich rozszłoszczeni hałasem mieszkańcy. Ale dookoła nadal panowała zupełna cisza.

– Myślę, że oni już nie przyjdą – stwierdził Alex i ostrożnie wszedł do piwnicy.

Młodzi ludzie zostawili zapalone światło, a w kącie leżała pomięta chusteczka. W powietrzu unosiła się woń papierosów.

– Okay – powiedział Alex, po czym zrobił z rąk podpórkę i zwrócił się do Felicji: – Stań na moich rękach i otwórz tę przeklętą klapę. Jeśli o mnie chodzi, to twój kochany Maksym mógłby tam zostać i spleśnieć, ale obawiam się, że podniosłabyś wielkie larum. A więc uwolnijmy go w imię Boże!

Spojrzała na niego z wściekłością, ale posłusznie podciągnęła się do góry i nacisnęła klapę, która odskoczyła.

– Maksym! – zawołała cicho.

Pojawił się po kilku sekundach i podał jej drugi worek tak spokojnie, jakby nic się nie stało.

– Teraz szybko! Straciliśmy dużo czasu! – rozkazał.

Tuż przed wpół do pierwszej wyszli z budynku. Na zewnątrz przy pełni księżyca było dość jasno i mieli nad sobą mocno rozgwieżdżone niebo. Widzieli na swoich twarzach wyczerpanie, ale i ulgę. Wszelka wrogość w tym momencie znikła. I kiedy zatrzymali się w bramie, aby nie wpaść na patrol SA, który zwykle przemierzał ulicę, Felicji wydało się, że między Alexem a Maksymem pojawiła się niska nić solidarności. Nie mogłoby to stanowić początku jakiejś przyjaźni, ale teraz obaj mężczyźni patrzyli na siebie nieco inaczej: burżuazyjny kapitalista i socjalistyczny naprawiacz świata razem znakomicie poradzili sobie w krytycznej sytuacji. Chcąc nie chcąc, nabrali wobec siebie szacunku.

Tej samej nocy, tuż przed północą, Belle wróciła do swego mieszkania przy Alexanderplatz. Poszła z Andreasem do kina, a potem na kolację, ale odmówiła zostania u niego na noc i skłamania mężowi, że udała się do swojej babki i dziecka. Zbyt rzadko bywała ostatnio w domu i męczyły ją wyrzuty sumienia.

Max już tam był, kiedy weszła. Zerknęła w lustro, które wisiało obok drzwi wejściowych. Tym razem zaczesła swoje ciemne włosy do tyłu i upięła; jej twarz, mocno upudrowana, z umalowanymi na czerwono wargami wyglądała przy tej prostej fryzurze szczególnie prowokująco. Dlatego też na ulicy zaczepiło ją dwóch członków SA, ale ona nie wahała się ostro im odpyskować. Teraz jednak szybko wyciągnęła chusteczkę, wytarła szminkę z ust i zrzuciła buty na wysokich obcasach. Dopiero wtedy weszła do kuchni.

– Dobry wieczór, Max – powiedziała.

Jej mąż siedział przy stole, na którym leżała rozłożona gazeta, ale jej nie czytał. Patrzył przed siebie i palił papierosa. Przed nim stał napełniony do połowy kieliszek wina.

– Ach, Belle! Nie liczyłem na to, że dziś przyjdiesz. Myślałem, że śpisz u babci!

Nasłuchiwała w poczuciu winy, czy w jego głosie nie było słyhać wyrzutu, ale jego słowa zabrzmiały zupełnie niewinnie.

– Pomyślałam, że Sophie nie potrzebuje mnie przecież codziennie, w końcu babcia zajmuje się nią z takim oddaniem. Ale... chciałam zobaczyć ciebie. Tak mało ze sobą przebywamy. – Podeszła do niego, pocałowała go w czoło i pogłaskała po policzku. Jak on schudł w czasie ostatnich kilku tygodni! A te bruzdy ciągnące się od nosa do ust? Czy zawsze były tak głębokie? Patrzyła na jego szczupłą, wrażliwą twarz i myślała ze skrucą: „On naprawdę zasłużył na lepszą żonę!”.

– Max, przepraszam, że przychodzę tak późno. Rabenalt zaprosił mnie na kolację. Może będzie miał dla mnie jakąś większą rolę...

„Jak ty kłamiesz, Belle Lombard!” Rabenalt nakręcił niedawno film o życiu hrabiego von Langena, niemieckiego jeźdźca biorącego udział w licznych turniejach, i zaoferował Belle rolę

statystki, ale nigdy nie było mowy o jakimś większym projekcie. Od czasu filmu Kronborga nikt już nie widział w Belle wschodzącej gwiazdy filmu.

– Mam ci zrobić coś do jedzenia, Max? Może chociaż jajecnicę? Musi być w domu jeszcze jedno jajko... Nie możesz przecież odżywiać się papierosami!

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Belle... – Popatrzył na nią tak poważnie, że się przeraziła.

Pomyślała, że on o wszystkim wie i zaraz ciśnie jej wszystko w twarz.

– Tak?

– Dostałem dziś powołanie. Mam jechać do Rosji.

Wstydziła się, bo w pierwszej chwili poczuła ulgę. Nie zapytał ją o Andreasa, dzięki Bogu! Rosja... Potrzebowała kilku sekund, aby zrozumieć tę wiadomość i jej przerażający wydźwięk.

– Do Rosji? Dlaczego? Przecież nie mogą cię powołać! Nigdy nie byłeś w wojsku! Nigdy się nie uczyłeś tego, czego tam wymagają! Przecież należysz do tych roczników, których zgodnie z traktatem wersalskim nie obejmuje służba wojskowa...

– Wiem. Dlatego nie byłem ani w Polsce, ani też we Francji. Ale najwyraźniej zaczyna im brakować ludzkiego materiału. Powołują teraz takich mężczyzn jak ja.

– Ale ty nawet nie wiesz, jak trzymać prawidłowo broń! – zawołała Belle, która dzięki kontaktom ze wschodniopruskimi towarzyszami łowieckimi miała o tym jakieś pojęcie.

Max potrząsnął głową.

– Tak, rzeczywiście tego nie wiem. Ale myślę, że szybko się nauczę. Najpierw muszę jechać na trzymiesięczne szkolenie, a potem w końcu września wyślą mnie na front.

– Ale oni nie mogą tego zrobić! Masz przecież żonę i małe dziecko!

– Podobnie jak wielu innych. Nie, Belle, przyszła kolej na mnie i nie będę się starał od tego wykręcić.

Belle osunęła się na krzesło.

– Nie jesteś patriotą, Max. Nie popierasz nazistów i nigdy nie popierałeś tej wojny. A teraz masz jechać do tej przeklętej Rosji i walczyć!

– Tak właśnie jest, kiedy wielki Führer postanawia zdobyć cały świat. Cenę za to płaci lud.

„Och, cholera, cholera! Dobry Boże, nie możesz go wysłać na tę wojnę, zanim wszystkiego nie naprawię!”

– Kiedy musisz jechać na to... szkolenie?

– Wkrótce. Z początkiem przyszłego tygodnia.

Belle czuła się jak ofiara pobicia.

– Ach, Max... – odparła bezradnie.

– Chcesz się napić wina? – spytał i kiedy skinęła głową, wstał, wyjął drugi kieliszek i nalał jej do pełna. – Pewnie będziesz w tym czasie często przebywać u babci na Schlosstrasse – dodał.

– Tak.

– Może... może wojna nie będzie już długo trwała... – powiedział niepewnie.

– Ona nie może już długo trwać! Wkrótce Niemcy pokonają Rosję i wtedy...

Max roześmiał się cynicznie.

– Tak, to są hasła pana Goebbelsa! Oraz nagłówki jego ukochanej gazety „Völkischer Beobachter”. Belle, czy ty wiesz, jak ogromny jest kraj, do którego wkraczają despotyczni i pewni siebie Niemcy? Jakie trudności będą z zaopatrzeniem, kiedy nasze wojska znajdą się w pobliżu Moskwy? A czy w ogóle wyobrażasz sobie rosyjską zimę?

– Ale przecież my ciągle zwyciężamy!  
– Tak. Jest lato, nasze oddziały są wypoczęte i silne, a Rosjanie jeszcze nie pozbiali się po klęskach, które wynikały z zaskoczenia, i nie myślą w ogóle o wykorzystaniu swoich wszystkich sił. Ale to się zmieni i obawiam się, że przebudzenie będzie straszne.

– Sam przecież powiedziałeś, że może wojna wkrótce się skończy.  
– Mówiłem o czymś innym. I nie myślałem o naszym zwycięstwie, tylko o absolutnej klęsce i całkowitym zniszczeniu Niemiec.

Belle patrzyła na niego skonsternowana. Czy on rzeczywiście wiedział, co mówił?

– Max, pomyśl o Polsce, Holandii, Francji i Danii. Grecja skapitulowała, Jugosławia także. Zwyciężamy wszędzie!

– Tak – odparł Max. – Wybacz, ale przywołam nieco wyświechtany przykład. Napoleon też wszędzie zwyciężał, zanim zabrał się za Rosję. To nie może się dobrze skończyć i tak też będzie.

– No to tym gorzej dla ciebie! Jeśli pójdziesz na wojnę z głębokim przekonaniem o tragicznym końcu, to...

W oczach Maxa nagle błysnęła wściekłość.

– Mnie nikt nie pyta o zdanie, Belle, podobnie jak wielu innych, którzy już teraz nadstawiają karku! I gdybym nawet wiedział, że Hitler, niech Pan Bóg broni, wygra tę wojnę, to dla mnie także nie oznaczałoby niczego dobrego. Ja nie umiem zabijać, Belle. Nie wiem, co zrobię, ale nie potrafię na rozkaz zastrzelić człowieka. Należę do ludzi, którzy nawet muchy nie skrzywdzą, a mam wysłać na tamten świat tylu Rosjan, ile tylko możliwe. Jeszcze nigdy w życiu nie bałem się tak jak teraz. Cały dzień zastanawiałem się, czy mam uciec i gdzieś się ukryć. Ale wtedy za to odpokutowałbyście ty i Sophie. – Z oczu Maxa znikła wściekłość i znów sprawiał wrażenie wyczerpanego. – Tak bardzo miałem nadzieję, tak na to liczyłem, że dziś przyjdiesz do domu. Nigdy jeszcze nie potrzebowałem cię tak jak dziś. Wiem, powinnaś była wyjść za kogoś innego, a nie za mnie...

Belle poderwała się, podbiegła do Maxa, ukłękła przed nim i chwyciła go za rękę.

– Nie mogłabym mieć lepszego męża niż ty, Max. Jesteś dla mnie za dobry. To ja jestem głupią egoistką, a ty...

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A ja jestem wielki, poważny i trudny Max, który tak okropnie dużo rozmyśla o ludziach i życiu i nigdy nie jest skłonny do żartów i zabawy. Może nie powinniśmy byli się pobierać, Belle. Nie mogłem ci dać tego, czego oczekiwałaś od życia, a do czego miałaś prawo. Nie potrafię się bawić, śmiać i tańczyć... i prawdopodobnie nie jestem też dobrym kochankiem.

Belle niemal zastygła z przerażenia, słysząc te słowa. O tej stronie ich małżeństwa Max nigdy nie mówił nawet w ten swój powściągliwy sposób i może zrobił to teraz, ponieważ jednak żywił jakieś podejrzenia.

– Max, to nieprawda. Dałeś mi bardzo wiele. Ja rzeczywiście byłam głupią, małą dziewczynką, zanim cię poznałam... – Zignorowała wewnętrzny głos, który spytał szyderczo: „Tak? A kim jesteś teraz?”. – Max, nigdy niczego mi nie brakowało. Było mi z tobą cudownie, z tobą... – Czowała się wobec niego osobliwie zakłopotana, jak małe dziecko, które nauczono, że o pewnych rzeczach się nie rozmawia. – Max – wyszeptwała. – Nie mów o sobie tak źle, proszę! Ze wszystkich ludzi na świecie ty najmniej na to zasłużyłeś. – Ujęła mocniej jego rękę. – Nie wiem, jak będę w stanie wytrzymać, kiedy pojedziesz do Rosji. Będę się bała dzień i noc. Będę tylko czekać i modlić się, żebyś wrócił – mówiła bezładnie.

Popatrzyła na niego, spróbowała coś odczytać z jego oczu. Zobaczyła współczucie, bo była tak zrozpaczona, ale także lęk i ogromne przybicie, bo zmuszano go do czegoś, co miało go

zniszczyć, i on o tym wiedział. Zobaczyła wściekłość pełną bezradności i rozpaczony wobec ludzi, którzy za to wszystko odpowiadali. Nie zobaczyła za to ani śladu nieufności ani powątpiewania w to, co mówiła. „Dobry Boże, on niczego nie zauważył! Wróć mi go całego i zdrowego z tej wojny!”

W tym momencie Belle powzięła decyzję, że nigdy więcej nie zobaczy się z Andreasem Rathenbergiem.



## 7.

Paul Degnelly otrzymał powołanie na front wschodni, do 23 Dywizji Pancерnej, ale na początku września pozwolono mu na tydzień pojechać do domu, ponieważ bóle głowy, na które cierpiał po odniesionych we Francji ranach, zaczęły mu ponownie doskwierać i były bardzo dokuczliwe. Nie pojechał jednak do Berlina, lecz do Lulinna i stamtąd zadzwonił do swojej narzeczonej Christine.

– Przyjedź tu, proszę, i pobierzmy się! Proszę! Nie masz pojęcia, ile to będzie dla mnie znaczyło, kiedy tam będę!

Christine zawsze optowała za odłożeniem ślubu, aż oboje skończą studia, teraz jednak się zgodziła, a poza tym nie dopatrywano się w tym niczego nadzwyczajnego; kampania na froncie wschodnim wywołała w Rzeszy kolejną już falę ślubów. Życie i bezpieczeństwo były zagrożone, nocne naloty Royal Air Force robiły swoje i ludzie pragnęli czegoś trwałego, na czym mogliby się oprzeć. W Lulinie pośpiesznie przygotowano wesele, przyjechali Christine oraz rodzice Paula, także Belle wzięła wolne w pracy w studiu i niemal uciekła do Prus Wschodnich. Od chwili wyjazdu Maxa czuła się stale niespokojna i nieszczęśliwa i marzyła o starym, przytulnym domu, gdzie zawsze rozbrzmiewało tyle głosów i gdzie zawsze tętniło życie.

Tu rzeczywiście nic się nie zmieniło, wszystko było takie jak przedtem: czarny pas jodłowego lasu na horyzoncie, rozległe, cudownie niebieskie niebo, aleja obsadzona starymi dębami, kolorowy ogród różany, stada gęsi, nawet stara Jadzia, która złościła się z powodu naniesionego do domu błota. Belle jak zawsze miała wrażenie, że jest w ciepłym, przytulnym gnieździe.

Ale jednak także w Lulinie, znajdującym się jakby w innym świecie, Belle dostrzegała znaki czasu: na wybiegach pasły się tylko źrebaki, bo dorosłe konie dawno skonfiskowało wojsko, a drugi syn Modesty, teraz mały *Pimpf*, czyli członek Jungvolku, powitał swoich krewnych hitlerowskim pozdrowieniem. Przy ostatnich żniwach na polu pomagało dwóch rosyjskich jeńców wojennych, którym z jawnym przerażeniem przyglądały się dzieci. Był to zły bolszewicki wróg ze wschodu – w szkole uczono je przecież, jak bardzo niebezpieczny.

Ale Belle nie zwracała na to uwagi. Wszędzie czuło się nadchodzącą jesień, a w Lulinie był to najlepszy czas. Na drzewach wisiały wielkie rumiane jabłka, a liście nabierały coraz więcej barw. Rankami powietrze robiło się chłodne i przejrzyste jak kryształ. Po ślubie Paula i Christine w Insterburgu odbyła się uroczystość w ogrodzie, gdzie przy długich, uginających się pod licznymi daniami stołach zasiedli wszyscy goście. Berlińczycy nie mogli się temu nadziwić, bo w mieście od dawna już nie jadano tak dobrze. Tu było w bród tego wszystkiego, co tam ściśle racjonowano.

Ku zaskoczeniu wszystkich Modesta nie spodziewała się kolejnego dziecka, ale oczywiście trzymała w ramionach niemowlę i prezentowała przypięty do piersi Krzyż Honorowy Niemieckiej Matki. Żaden generał nie mógłby być bardziej dumny ze swojego orderu. Wuj Joseph miał mnóstwo siwych włosów i ciągle wypytywał o wszystko we właściwy sobie, niedyskretny sposób.

– No i jak czuje się świeżo upieczony małżonek? – spytał Paula i poufale uderzył go w ramię. – Zdenerwowany?

– Nie – odparł mężczyzna, po czym odwrócił się i odszedł.

Jo i Linda, rodzice Paula, mieli smutne oczy i zatroskane twarze, bo dla nich ta uroczystość oznaczała przede wszystkim ponowne rozstanie z synem. Zwłaszcza Jo, żołnierz

frontowy z czasów pierwszej wojny światowej, wiedział, jak niepewny los czekał syna. Także panna młoda nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Miała na sobie jasny kostium, bo zabrakło już czasu na uszycie prawdziwej sukni ślubnej. Twarz dziewczyny była tak blada, że wuj Joseph nie odstępował jej ani na krok i natrętnie domagał się, aby powierzyła mu swoje wszystkie skrzętnie skrywane troski.

Kiedy wszyscy wieczorem siedzieli w salonie i słuchali wiadomości z radia – niemieckie oddziały szły dalej w głąb Rosji – Belle wymknęła się na zewnątrz. Ona, zwykle szukająca towarzystwa, nagle poczuła się przytłoczona obecnością tylu ludzi. Ona, zwykle tak wesoła i roześmiana, teraz nie potrafiła nawet się uśmiechnąć. Chciała być sama, chciała wpatrywać się w nocne, rozgwieżdżone niebo i myśleć o Rosji, gdzie Max być może widział teraz te same gwiazdy. Drżała w chłodnym powietrzu. Żrebaki na wybiegach poruszały się w mroku jak delikatne elfy, przypominało to grę cieni. Belle oparła się o ogrodzenie i patrzyła. Z łąk docierał tu zapach liści oraz wilgotnej ziemi i Belle myślała o grzybach i czarnych jagodach, o ścierniskach i mglistych porankach, o połyskujących od rosy pajęczych sieciach i o ziemniakach, które pieczono w ogniskach z liści. Jesień... Belle nigdy nie uważała tej pory roku za smutną i tęskną, ale dziś było jej ciężko na sercu. Dokąd odeszło lato? Gdzie podziały się jej miłość, szczęście i radość życia?

– Też już nie mogłaś wytrzymać w salonie? – spytał ktoś za nią.

Odwróciła się. Przez podwórze szedł Paul i zatrzymał się koło niej. Uśmiechnęła się.

– Zatęskniłam za widokiem nocy.

Paul skinął głową.

– Ja też. Pamiętasz, dawniej często siedzieliśmy nocami i wypatrywaliśmy robaczków świętojańskich.

– Tak. Ale teraz już ich nie ma. Lato się skończyło.

Stali w milczeniu przy ogrodzeniu i patrzyli na księżyc, który wisiał nad jodłami jak ostrze sierpu. Konie wynurzyły się z ciemności, podeszły do ogrodzenia i trącały Belle i Paula miękkimi nozdrzami. Belle przechyliła się do przodu i zanurzyła twarz w grzywie klaczki.

– Mam nadzieję, że was nie zabiorą – wymruczała. – Nie jesteście przecież winne tej wojny.

– A któż jest jej winien? – spytał Paul. – Najmniej ci, którzy muszą za to wszystko płacić. Natomiast ci, którzy do tego wszystkiego doprowadzili, nie pojedą na front. Do nich nikt nie będzie strzelał.

– Zawsze tak było.

– To prawda.

Znów zapadła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu parsaniem koni. Powiał lekki wiatr i zaszeleścił w liściach dębów rosnących wzdłuż alei. Jeszcze osiem tygodni i one też stracą liście, a podjazd będzie przypominał gruby, kolorowy i szeleszczący dywan. Belle przypomniła sobie, że jako dziecko często po nim biegała. Nieopisane uczucie lekkości, znane tylko z Lulinna... Dlaczego nie odczuwała go teraz?

– Czy ty się boisz, Paul? – spytała cicho.

– Czy ja się boję? – Paul roześmiał się kpiąco. – Belle, ja wprost szaleję z trwogi. Dla mnie ta wojna to niesłychana, potworna tragedia. Kiedy uczyłem się jeździć czołgiem, to była zwykła zabawa. Po prostu interesowała mnie technika. Nigdy, przenigdy nie sądziłem, że zrobi się tak poważnie, rozumiesz? Nigdy. Ale teraz – wojna jest czymś tak śmiertelnie poważnym... siedzisz w jednym z tych potężnych stalowych potworów, które mogą zniszczyć wszystko, co pojawi się na ich drodze, ty tam siedzisz i wiesz, że siejesz grozę, a jednocześnie trzęsiesz się jak listek, bo za każdym zakrętem może czyhać wróg, dostaniesz się pod ostrzał, a wtedy wystarczy,

że oni trafią w zbiornik z paliwem, i wszystko momentalnie stanie w płomieniach. I wtedy nie ma choćby najmniejszej szansy, żeby ująć z życiem. – Mówił szybko, gwałtownie, jakby te słowa nagromadziły się w nim i teraz mógł je wreszcie z siebie wyrzucić. – W sierpniu, w Rosji, rosyjski żołnierz wskoczył na czołg jadący tuż przed moim i wrzucił do środka przez górną klapę granat. Huk był ogłuszający, tak głośny, że nikt nie słyszał krzyków moich kolegów, których rozerwało na strzępy, kiedy ten granat eksplodował... Od tego czasu nie jestem w stanie myśleć o niczym innym i nigdy nie przestanę się bać. – Potem Paul opowiadał ciszej, mając przed oczami obrazy, które wryły się w jego pamięć na zawsze. – Belle, ja już o tym wiedziałem. Kiedy jechaliśmy przez Francję i kula musnęła mnie w głowę i potem leżałem w lazarecie, wiedziałem, że nie przeżyłem jeszcze najgorszego. I wiedziałem też, że któregoś dnia będę musiał to przeżyć... Wiesz, to jest tak, jakby ktoś mówił do mnie: „Paul, tak łatwo się nie wywiniesz, jeszcze zobaczysz, co to znaczy tak naprawdę się bać”. I, dobry Boże, rzeczywiście zobaczę!

Umilkł, a Belle położyła rękę na jego ramieniu.

– Paul...

Odpowiedział, a jego głos był pełen smutku:

– Nawet mi nie pomaga to, że jestem w Lulinnie. A dawniej zawsze pomagało. Lulinn stanowił całkowicie bezpieczne schronienie. Na świecie mogło się dziać Bóg wie co, ale tu wszystko było takie jak dawniej. Ale tym razem... mój niepokój i rozpacz nie mijają. Patrzę na aleję pod dębami, konie, ogród różany, ale o wiele wyraźniej widzę czołgi. Nie mogę znaleźć pociechy.

– Och, Paul, ja czuję się tak samo! – Belle odwróciła się w jego stronę i chwyciła go za ramię. – I dokładnie o tym samym myślałam wcześniej. Nie ma już tego spokoju, który tu zawsze odczuwałam. Od kiedy Max musiał wyjechać do Rosji, stale się boję. Ten strach jest ze mną za dnia i nocą i nawet Lulinn nie może mi pomóc. Kiedy przyjeżdżałam tu jako dziecko, to natychmiast zniknęły wszystkie troski, miałam wrażenie, że wszystko będzie dobrze. A teraz – Belle machnęła bezradnie ręką – teraz ani na chwilę nie potrafię przestać się bać.

Oboje przypominali sobie blask dawno minionych dni, myśleli o latach swojego dzieciństwa, kiedy śmiali się i bawili, kłócili i godzili, kiedy knuli coś razem przeciwko nielubianej Modeście i kładli małym kuzynkom i kuzynom robaki do łóżek. Myśleli o dojmującym uczuciu szczęścia, którego doznawali, kiedy stary dwór otwierał przed nimi swoje podwoje. To wszystko minęło bezpowrotnie i oboje wiedzieli, że nic już nie będzie takie samo.

Wspólne milczenie niosło ze sobą trochę spokoju i pociechy, ale wszystko zepsuł wuj Joseph, który udał się na ich poszukiwanie. Niósł ze sobą wielką latarnię, której używano w oborach, i zachichotał głośno, kiedy spostrzegł Belle i stojącego obok Paula.

– O, cóż widzę, pan młody lęka się własnej odwagi, co? I chowa się w ciemnościach wraz ze słodką kuzynką! A ona trzyma go za rączkę! No, no! – Żartobliwie pogroził obojgu palcem, zanim z nadzieją zapytał: – No, co jest? Mogę wam jakoś pomóc? Opowiedzcie o wszystkim dobremu Josephowi!

Czar tej nocnej chwili przyszył jak bańka mydlana.

Od 6 września 1941 roku wszystkim Żydom w Niemczech kazano nosić w miejscach publicznych żółtą gwiazdę. Musiała być duża i wyraźna i należało ją przyszyć na przodzie płaszczy i kurtek; następstwem niezastosowania się do tego przepisu miała być kara więzienia.

Ten pomysł wydał się Sarze Elias największą z szykan, których nie oszczędzono im od lat. Wyraźny żółty znak oznajmiał wszystkim, że ona i Martin zostali wykluczeni ze społeczeństwa i stali się jego pariasami. Sara płakała, przyszywając gwiazdy do ich płaszczy, a Martin nie próbował dodawać jej otuchy. Zwykle znajdował jakieś słowa pocieszenia, ale tym razem siedział w milczeniu naprzeciw niej ze spuszczoną głową i czekał, aż żona zacznie mu robić

wyrzuty. On był wszystkiemu winien, on ciągle się nie zgadzał na wyjazd z Niemiec. Wszyscy niemieccy pisarze, słynni autorzy wyjechali, ale on sądził, że tego nie zniesie. A teraz było za późno, emigrantów nie przyjmował już w zasadzie żaden kraj. Przegapili decydujący moment.

– Gotowe – powiedziała Sara cicho. – Twój płaszcz jest gotowy. Teraz jeszcze mój. – Przeszła już płakać.

Martin podniósł wzrok i popatrzył na jej zaczerwienione, smutne oczy. Zrozumiał, że ona nie będzie mu robić żadnych wyrzutów, była już zbyt znużona i przygnębiona. Ciągły strach mocno nadwerzężył jej siły. Nadal pracowała u Felicji, ale wiedziała, że dawna przyjaciółka właściwie nie potrzebowała maszynistki w swojej fabryce, więc płaciła jej za zbędne usługi. Martin potajemnie korygował odbitki w wydawnictwie, które kiedyś opublikowało jego książkę, ale nie dostawał za to zbyt wielu pieniędzy i wątpił, czy potrwa to długo. Ludzie bali się zatrudniać Żydów i nie było wątpliwości, że ten lęk się pogłębi, jeśli będą tak wyraźnie oznaczeni. Finansowo Martin i Sara jakoś sobie radzili, ale tylko dzięki wielkoduszności Felicji, i Martinowi było przykro, że jest tak od kogoś zależny.

Sara znów nawlekła nitkę. Dochodziła już dwudziesta trzecia. Za dnia dziewczyna pracowała, a potem stała w długiej kolejce po żywność. Istniały sklepy, które Żydom nic nie sprzedawały, a teraz sytuacja miała się jeszcze pogorszyć. Sara czuła śmiertelne zmęczenie i jej palce lekko drżały.

– Pozwól, ja to zrobię – poprosił Martin.

– Już dobrze, to zajmie mi jeszcze jakieś dziesięć minut. Idź spokojnie do łóżka. Zaraz przyjdę.

– Nie. Poczekam. Saro...

– Tak?

– Nic. Powinienem być zrobić tak, jak mówiłaś.

– Słuchałeś już wiadomości?

– Tak. Ale nie mówili nic nowego. Nasi żołnierze ciągle zwyciężają. Jeszcze zwyciężają.

– Oni nie mogą zwyciężać w nieskończoność, Martinie. Nie powinniśmy sobie niczego wmawiać.

– Nikt nie zwycięża ciągle. A już zwłaszcza naziści. To tylko kwestia...

W tym momencie rozległ się długi, ostry dźwięk alarmu ostrzegawczego.

– O nie – powiedziała Sara. – Dlaczego akurat dziś?

Wstała, a po jej ruchach można było poznać, jak bardzo jest zmęczona. Martin założył płaszcz i sięgnął po torbę, która zawsze stała obok drzwi przygotowana na taki wypadek. Sara wyciągnęła z koszyczka z przyborami do szycia agrafkę, aby przypiąć jeszcze nie do końca przyszytą gwiazdę. Nie wiedziała wprawdzie, czy idąc do schronu, też należy ją mieć na ubraniu, ale tak podejrzewała.

Na klatce schodowej natknęli się na pozostałych mieszkańców, którzy właśnie uciekali do piwnicy niemal z całym dobytkiem. Większość z nich głośno wyrażała swoje niezadowolenie, u niektórych można było dostrzec pierwsze oznaki paniki, chociaż nie był to jeszcze alarm główny. Mały chłopiec wrzeszczał tak, jakby go nadziewano na rożen, i bronił się przed zejściem. Jakaś dziewczynka płakała za lalką, która została w mieszkaniu. Zewsząd dobiegał tupot stóp.

Schron przeciwlotniczy był pusty i nieprzytulny, ale bardzo obszerny; dla dzieci ustawiono tu nawet łóżka do spania. Kiedy Sara i Martin weszli do środka, podbiegła do nich pulchna blondynka z włosami nawiniętymi na wałki – pani Kellner była żoną dozorcę opiekującego się tym i sąsiednim domem.

– Przykro mi – powiedziała. – Ale Żydzi nie mają tu już wstępu.

– Słucham? – spytał Martin z niedowierzaniem.

Koło niego przeciskali się pozostali mieszkańcy i szukali miejsca, gdzie mogliby rozłożyć koce i poduszki i usiąść.

Ta okoliczność najwyraźniej była nieco nieprzyjemna także i dla pani Kellner.

– Nic nie poradzę na zarządzenia. Tak po prostu jest.

– Zawsze tu schodziliśmy i nie sądzę, że komuś to przeszkadzało – powiedział oburzony Martin. – A poza tym jest tu dość miejsca i dla nas. Przecież nie może nas pani odesłać do mieszkania w czasie nalotu!

– Żydom zabrania się wstępu do schronu przeciwlotniczego – wyjaśniła pani Kellner stanowczo.

Do rozmowy wtrącił się jakiś starszy pan:

– To przecież niehumanitarne. Komu to przeszkadza, że ci biedni ludzie zajmą tu kawałek podłogi?

– Mnie to przeszkadza – oświadczyła pani Kellner. – Bo to my jesteśmy odpowiedzialni za dom.

– Gdybym była Żydówką – dodała jakaś kobieta o niechętnym wyrazie twarzy, trzymająca na kolanach małą dziewczynkę – gdybym była Żydówką, to dawno opuściłabym Niemcy. Kiedy jest się niepożądanym, to należy się wynieść!

W tym momencie zaczął się główny alarm. Sara drgnęła.

– Dokąd mamy więc iść? – spytał Martin. – Jaki kraj na świecie nas zechce?

Niektórzy patrzyli na niego z zakłopotaniem, ale większość spoglądała w innym kierunku. Pani Kellner popchnęła ich oboje w stronę drzwi.

– Proszę już wyjść. Przykro mi, ale ja też mam swoje przepisy, których muszę przestrzegać.

Gdzieś w pobliżu wybuchła bomba. Poczuli gwałtowny pęd powietrza aż w piwnicy, a pani Kellner zachwiała się lekko.

– Wynoście się! – rozkazała i zatrzasnęła drzwi.

Martin ujął Sarę za rękę.

– Chodź! Nie będziemy się narzucać.

Szli po piwnicznych schodach do góry. Znowu usłyszeli wstrętny gwizd spadającej bomby i odgłos wybuchu w pobliżu. Po twarzy Sary płynęły łzy.

– Nie chcę iść do mieszkania, Martinie! Boję się. Zostańmy tu na dole, tak bardzo się boję!

W końcu położyli na schodach przyniesione koce i usiedli na nich. Było tu chłodno i zupełnie ciemno.

Sara odmawiała cicho modlitwę, ale kiedy powiedziała do Martina, że też powinien, on odparł z gniewem:

– Nie, nie ma Boga, do którego mógłbym się modlić. Nie wierzę już w żadnego. A nawet jeśli jakiś istnieje, to jest tak okrutny, zły i bezlitosny, że nie zasługuje na modlitwy!

– Martinie! Nie bluźnij!

Mężczyzna się roześmiał.

– A dlaczego nie? Ze strachu przed zemstą Boga? A co jeszcze on mógłby nam zrobić? Odebrał nam przecież wszystko, co czyni nas ludźmi, niżej nie możemy już upaść, a więc nie musimy się go już obawiać!

Teraz to Martin płakał.

– Ta gwiazda! Ta przeklęta żółta gwiazda, która sprawia, że jesteśmy wyrzutkami społeczeństwa! Takich jak my nawet nie wpuszcza się już do schronu. Nic nie jesteśmy warci,

możemy spokojnie zdychać, im prędzej, tym lepiej...

– Martinie! – Sara obejmowała go mocno.

Naokoło spadały bomby i w domu ponad nimi wyleciały z okien wszystkie szyby.

– Martinie, wytrzymałeś tak długo, nie poddawaj się teraz! Postanowiłeś tu zostać i stawić im czoła, to nie pozwól, aby cię teraz pokonali!

Tuż po północy odwołano alarm. Martin i Sara wrócili do swojego mieszkania. Byli zmęczeni, przemarznięci i zeszywniali. Szyby w oknie sypialni i w łazience wyleciały i to były jedyne straty. Na kuchennym stole stały jeszcze przybory do szycia i Sara z rezygnacją zabrała się za przyszywanie gwiazdy przypiętej do płaszcza agrafką. Oboje byli wycieńczeni, ale jednocześnie czuli się zbyt chorzy, skrzywdzeni i upokorzeni, aby zasnąć. Spędzili noc w kuchni, wypili resztkę kawy, rozmawiali ze sobą przytłumionymi głosami, płakali i trzymali się nawzajem w ramionach.

Następnego ranka listonosz przyniósł list z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, zaadresowany do Martina. W suchych, skąpych słowach zawiadamiano go, że bankier Elias zmarł na ostry atak serca.

W fabryce zabawek Müllers Spielwaren pracowało też dziesięć młodych Rosjanek z Ukrainy. Uwięziono je w ich ojczyźnie bez podania powodu, aby zatrudnić w Rzeszy jako pracownice z zagranicy i w ten sposób uzupełnić brakujące siły robocze, co miało miejsce głównie w przemyśle. Ponieważ Tom Wolff utrzymywał znakomite stosunki z naczelnikiem okręgu w Monachium, kilka z nich skierowano do pracy w jego fabryce. On też miał za mało robotnic, a Rosjanki były oczywiście bardzo tanie. Tom podejrzewał jednak, że wkrótce będzie musiał zmienić profil produkcji, bo jeśli wojna miałaby trwać dłużej – a od chwili szaleńczego ataku na Związek Radziecki wszystko na to wskazywało – to zabawki staną się luksusem, na który nikt nie będzie mógł sobie pozwolić. Nie wspominając już o tym, że coraz trudniej było zdobyć surowiec do wyrabiania miniatur niemieckich i rosyjskich dywizji; przez surowe racjonowanie wszystkiego produkcja zabawek nie będzie się opłacała. Ale Tom nie mógł się uskarżać, zarobił już dużo na swoim pomysle i jeśli rzeczywiście będzie zmuszony wymyślić coś nowego, to też uda mu się zrobić dobry interes, tego był już pewien.

Z dziesięciu Rosjanek pracujących w fabryce trzy były wyjątkowo śliczne, a jedna, Tatjana, wprost oczarowała Toma. Faworyzował ją na każdym kroku, ale ona traktowała go z lodowatą obojętnością. Wolff co prawda nigdy nie odważyłby się romansować z Tatjaną – miał i tak dość na karku – ale lubił patrzeć na dziewczynę i mógł o niej myśleć, kiedy musiał zabawiać się z Lulu. Tak też było i dziś, i Tom się cieszył. Wyobrażając sobie Rosjankę w szarej sukience ciasno opinającej jej biodra, mógł zaoferować Lulu znacznie więcej w sztuce miłosnej. W takim stopniu nie mógł jej zadowolić nikt inny.

Lulu wstała, założyła szlafrok, po czym usiadła przed lustrem i zaczęła poprawiać włosy. Nosila ostatnio bardzo skomplikowaną fryzurę: miała włosy rozdzielone po obu stronach głowy i zwinięte na jej szczycie w coś w rodzaju rulonu, a niedające się upiąć kosmyki zwisały poniżej, były jednak tak żałośnie cienkie, że Lulu wyglądała jak oskubany kurczak albo parszywy szczur. Tom zastanawiał się, dlaczego ta kobieta czesała się akurat zgodnie z modą obowiązującą wśród młodszych uczennic! Czy nie wystarczyło jej to, że ubierała się jak trzydziestolatka, co i tak sprawiało dość groteskowe wrażenie? Czy musiała jeszcze w dodatku wyglądać infantylnie? No, ale w końcu nie była to jego sprawa, przecież nigdy nie pokazywali się razem publicznie.

Tom sączył więc powoli whisky i przyglądał się Lulu poprawiającej swoją absurdalną fryzurę, a ona nagle powiedziała:

– Mam dla ciebie niespodziankę!

W pierwszej sekundzie zeszywniał z przerażenia, ale za chwilę odetchnął. „Głupcze, ona

ma ponad sześćdziesiąt lat, nie może być w ciąży!”

– Tak? – spytał. – A co to jest?

– Tak naprawdę nie zasłużyłeś dziś na nagrodę, ale nie można też powiedzieć, że się nie starałeś! – Lulu bez wyraźnego efektu skubała przez chwilę swoje żalosne loczki, po czym wstała. Z górnej szuflady w biurku wyjęła białą kopertę i pomachała nią. – To mój testament. Kazałam go sporządzić na nowo. Tu mam kopię, oryginał jest u mojego adwokata.

Tom nie mógł przestać nerwowo mrugać i Lulu to zauważyła. Roześmiała się.

– Drażliwy temat, prawda? Moja fabryka – temat twoich rozmyślań i cel twoich dążeń. Tak, tak, wiem, dlaczego dwa razy w tygodniu tam bywasz, a potem wskakujesz do mojego łóżka! Ale twoje motywy są jak najbardziej ludzkie!

– Lulu, wiesz przecież, że...

– O nie, nie próbuj mi tłumaczyć, że szalejesz za mną albo za moim ciałem! W to ci nie uwierzę, a więc oszczędź nam obojgu krępującej sytuacji oglądania twojego występu!

Tom umilkł. Była to jedna z chwil, kiedy Lulu mimo wszystko sprawiała mu trochę przykrości. Stara, wypacykowana kobieta, która nie robiła już sobie żadnych iluzji, ale jednak za wszelką cenę i wszystkimi możliwymi środkami i sztuczkami usiłowała zatrzymać bolesny proces starzenia się. I mimo triumfującego uśmiechu wyglądała żałośnie i smutno w tej dziwnej fryzurze.

– No dobrze, Lulu – powiedział Tom. – Powiedz otwarcie: co zawiera twój testament?

Lulu wymachiwała kopertą jak flagą, po czym schowała ją z powrotem do szuflady, zamknęła ją i demonstracyjnie przekręciła kluczyk.

– Ustanowiłam cię swoim wyłącznym spadkobiercą – oświadczyła.

Tom przełknął ślinę, czując suchość w ustach.

– Słucham?

– Nie przesłyszałeś się. Jesteś moim jedynym spadkobiercą.

Tom przez chwilę wsłuchiwał się w brzmienie tych słów. „Jedyny spadkobierca...” Cel jego marzeń? O tak, ale tak długo, jak ta kobieta żyła i była w stanie wszystko unieważnić, cel ciągle pozostawał poza jego zasięgiem.

Lulu, jak gdyby czytając w jego myślach, dodała:

– Chcę, abys przychodził cztery razy w tygodniu!

– Lulu, to niemożliwe. Moja żona...

– Co powiesz swojej żonie, jest mi zupełnie obojętne. Załatw to jakoś. Mnie interesuje tylko to, żebyś był u mnie cztery razy w tygodniu!

– A więc z siedmiu nocy w tygodniu będę przesypiał cztery tu, a trzy w domu. Nie mogę tego zrobić! A nawet jeśli pójdę po pracy do domu i potem do ciebie, to i tak nie będzie mnie z żoną przez cztery wieczory.

– A więc nie chcesz przejąć mojego imperium zabawek?

Przekłeta wiedźma! Cień litości, którą poczuł, ustąpił natychmiast. Cztery razy w tygodniu! To nie uda mu się nawet z pomocą Tatjany!

– Powiedzmy to sobie bez ogródek – powiedziała Lulu. – Ja mam firmę, ty chcesz ją mieć, a za darmo jest tylko śmierć. Rozumiesz mnie?

– Aż za dobrze.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a Lulu zniemacka roześmiała się głośno.

– Może będziesz miał szczęście i zginę w czasie kolejnego nalotu. A może będziesz miał pecha i będziemy się zabawiać jeszcze przez następne dwadzieścia lat! Nigdy nie wiadomo, co się stanie. Życie jest jak rosyjska ruletka, albo kula cię trafi, albo nie! – Roześmiała się jeszcze głośniej, histerycznie, a jej głos przechodził niemal w falset. – I jest napięcie, ekscytacja, dzięki

temu jesteśmy młodzi! Młodzi, Tomie Wolffie! I czyż nie to ostatecznie naprawdę się liczy?

W domu żona Wolffa Kat przywitała go wiadomością o wizycie Martina Eliasa, który czekał godzinę, aż w końcu poszedł. Kat, pogrążona w swojej melancholii, rzadko dawała wyraz jakimkolwiek uczuciom, ale teraz powiedziała:

– Żał mi tego człowieka z całej duszy. Siedział tutaj w fotelu jak kupa nieszczęścia, z tą straszną gwiazdą na płaszczu... Sprawiał wrażenie tak zrezygnowanego... i załamanego.

– Czego on chciał?

– Chciał cię spytać, czy możesz mu pomóc. Dostał zawiadomienie, że jego ojciec zmarł w Buchenwaldzie w wyniku nagłej niedomogi serca, i chce ustalić, czy istnieje jakaś inna przyczyna. A że ty masz tyle znajomości...

– To nic nie da – odrzekł Tom. – Jeśli stary Elias nie umarł na atak serca – a moim zdaniem niestety bardzo prawdopodobne jest, że oddał ducha z zupełnie innego powodu – to nikt tego nie przyzna. W tej kwestii oni są nieugięci. Także wobec mnie.

Kat wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że może mógłbyś coś dla niego zrobić. W końcu pracujesz z nazistami ręką w rękę, a partyjni dostojnicy są regularnie naszymi gośćmi.

– Kat, wiesz, dlaczego ja z nimi...

– Wiem. Zawsze byłeś oportunistą. Dlatego też nigdy nie trzeba się o ciebie martwić.

„Oczywiście”, pomyślał, „ty nigdy byś się o mnie nie martwiła!”.

Kat stała przed oknem w salonie, a jej ciemne włosy błyszcząły w świetle promieni wrześniego słońca wpadających do pomieszczenia pomiędzy drzew w ogrodzie. Tom pomyślał, że jest tak drobna i krucha jak młoda dziewczyna, a przecież niedawno obchodziła swoje czterdzieste trzecie urodziny. Siostra Alexa Lombarda, w jego oczach najpiękniejsza dziewczyna w Monachium. On, Tom, patrzył, jak dorastała, i kochał ją, od kiedy skończyła czternaście lat. Wiedział, że nie miał u niej żadnych szans. Nuworysz wbił sobie do głowy, że ożeni się z córką jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin miasta. Wyśmiewano jego zamiary, a Kat najgłośniejsz, przez co stawał się coraz bardziej zdecydowany i nieugięty. W końcu przecież nie chodziło tylko o jego żonę, lecz o to, aby usunąć wszystkie przeszkody z drogi i pokazać tym zarozumiałym zasrańcom z Monachium, kim jest! Kiedy wielka wojna dobiegała końca, kiedy całkowicie zmieniły się stosunki społeczne, kiedy bogaci w okamgnieniu biednieli w następstwie inflacji, a tacy jak on kasowali niebotyczne sumy, Lombardowie tkwili po uszy w bagnie i to on, Tom Wolff, był na tyle wyrafinowany i intrygancki, że wykorzystał sytuację i zdobył Kat. Myślał, że okoliczności popchnęły Kat w jego ramiona i że ona przestała już być taka harda. Dopiero znacznie później zorientował się, jak bardzo się mylił. Ona kochała kogoś innego, straciła go i nie liczyło się dla niej, z kim spędzi życie. A on, Tom, był jej obojętny i tu nigdy nic się nie zmieniło.

I znów, kiedy patrzył na nią, poczuł gwałtowne pragnienie, aby wziąć ją w ramiona, zanurzyć twarz w jej włosach i powiedzieć, jak bardzo jej potrzebował, jak bardzo za nią tęsknił. Ale się nie odważył. W obecności Kat on, wiejski głupek z Lasu Bawarskiego, chełpliwy pyskacz, hałaśliwa fajtapa, jednocześnie nieustępliwy człowiek interesu, stawał się kimś innym. To ona, Kasandra Lombard, sprawiała, że Tom Wolff czuł się nikim, był cichy, nieśmiały, ustępliwy, ostrożny i okazywał melancholijnej żonie wiele względów.

Ponownie więc nie powiedział ani słowa, choć czuł ból, że jedyna kobieta, w stosunku do której potrafił zapalać miłością, nigdy nie będzie należała do niego. Dla niego przeznaczone były różne Tatjany, konieczne do rozbudzenia jego fantazji, i tak żalonna postać jak Lulu, dzięki której mógł urzeczywistnić swoje ambitne plany. Nikt inny.

– Siadę jeszcze na chwilę za biurkiem – wymamrotał.



Kat skinęła głową. Nigdy nie poprosiłaby go, aby poświęcił jej trochę czasu, nigdy nie zażądałaby od niego wyjaśnień, gdyby nie wrócił na noc do domu. Wszystko to po prostu jej nie obchodziło.

Tom schronił się w swoim biurze, aby snuć plany związane z najnowszym pomysłem: budową miniaturowej rosyjskiej wioski na drewnianej płycie. Domy ze słomianymi dachami, studnia, rosyjskie kobiety – Tatjana! – kury, kozy i owce. Dzieci mogłyby się bawić w zdobywanie rosyjskiej wsi przez niemieckich żołnierzy. Wspaniały pomysł. Oby wreszcie cały ten interes należał do niego! Oby mógł pracować tylko dla siebie, a nie dla Lulu!

— Część III —

## 1.

Rosjanie broniący wsi atakowanej przez oddziały niemieckie szybko się wycofali. Ta wieś to właściwie było tylko kilkanaście ubogich chat znajdujących się zaledwie trzydzieści kilometrów na zachód od Moskwy, ale na ich widok zmarznięci i głodujący żołnierze Wehrmachtu poczuli nieśmiałą nadzieję, że znajdą tu coś do jedzenia. Może będą mogli się schronić przed lodowatym zimmem.

Grudzień 1941 roku. Dwadzieścia pięć stopni mrozu. Śnieg i lód dookoła. I niemieckie wojska na froncie liczącym tysiąc kilometrów, dosłownie zamarzające w czasie tej bezlitosnej rosyjskiej zimy. „Zdobędziemy Moskwę, zanim spadnie pierwszy śnieg”, tak powiedział Führer. Kompletna bzdura. Nie udało się zdobyć Moskwy. Żołnierze tkwili na swoich pozycjach, w oblodzonych okopach, i jeśli w ogóle posuwali się naprzód, to najwyżej o milimetry, i musieli patrzeć, jak ich szeregi przerzedzały się w efekcie wrogiego ostrzału i potwornego zimna. Upojony poprzednimi zwycięstwami Hitler nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że zima nadejdzie jeszcze przed zajęciem Moskwy, i dlatego wojska były zupełnie nieprzygotowane na tę porę roku.

Max pomyślał z goryczą, że w ojczyźnie gazety pewnie ciągle piszą o sukcesach niemieckiej armii. Czołgał się przez śnieg w stronę jednej z pierwszych chałup we wsi, potem poderwał się, gwałtownie pchnął drzwi chaty i wpadł do środka z odbezpieczoną bronią. Nie zastał tam jednak żołnierzy. W kącie kuliły się jedynie dwie blade i przerażone kobiety. Na jego widok podniosły krzyk, zasłaniając przy tym rękami twarze. Obok leżała broń, za pomocą której zamierzały się bronić: kamień wielkości pięści i tępy nóż kuchenny.

– Nie bójcie się – powiedział Max. – Nic wam się nie stanie.

Oczywiście kobiety nie rozumiały ani słowa. Starsza odważyła się wychylić do przodu i gestykułując gwałtownie, zaczęła mówić coś szybko ostrym, przenikliwym głosem. Max nic nie rozumiał, podobnie jak przedtem ona, ale przypuszczał, co chciała mu przekazać: „Nie mamy niczego, co mogłybyśmy ci dać. Nic nie mamy!”.

Jak się okazało, była to prawda i odnosiła się do całej wsi. Max i jego towarzysze przeczesywali dom po domu. Wiele z nich obrzucono granatami, a zabici mieszkańcy leżeli w śniegu. Jakaś zrozpaczona kobieta przykucnęła obok swego dziecka, które osunęło się na skraj drogi i leżało tam teraz blade i zeszywniałe jak lalka. Kobieta splunęła na widok Maxa.

Żołnierze zrywali słomę z dachów i dawali ją do żarcia rżącym z głodu koniom. Dwa musieli zastrzelić, bo cierpiały strasznie z powodu kolki, a z bólu oczy wypadły im z oczodołów. Kilku mężczyzn zaniecono do wsi, bo przez odmrożenia nie byli w stanie zrobić ani kroku. Zresztą w następstwie groteskowej wręcz lekkomyślności, z jaką rozpoczęto tę ofensywę, praktycznie każdy miał odmrożone przynajmniej palce u nóg. Wszyscy wiedzieli, także w głównym dowództwie Wehrmachtu, że zimą rosyjscy żołnierze z zasady nosili buty przynajmniej dwa numery za duże, aby wypchać je słomą i gazetami i w ten sposób chronić się przed mrozem. Niemcy za to nie uważali tego za konieczne i mieli na nogach piękne, dobrze dopasowane, wysokie buty. Nie dało się do nich wcisnąć choćby źdźbła słomy.

W jednej z szop znaleziono stertę buraków pastewnych. Żołnierze rzucili się na nią jak stado wygłodniałych zwierząt. Wielu z nich cierpiało na ostrą biegunkę, a tego typu żywność jeszcze pogorszyła sprawę. Jednak alternatywą była tylko powolna śmierć z głodu.

– To wszystko to jedno wielkie przeklęte gówno – powiedział towarzysz Maxa, młody kapral z Hamburga o imieniu Fred. – Dlaczego nie dostarczają nam zaopatrzenia? Jedzenia!

Ciepłych ubrań! Amunicji! Co z posiłkami? Potrzebujemy wypoczętych żołnierzy! Wszystko jedno, jak mieliby to zrobić. Przecież dowództwo nie może pozwolić, abyśmy tu po prostu zdechli, bo to my dla nich nadstawiamy tu karku!

Obaj, Max i Fred, siedzieli w jednej z chat, wciśnięci między innych żołnierzy. Czuli potworne zmęczenie, ale o śnie nawet nie było mowy. Nikt nie mógł się wyciągnąć w tym ścisku, spać nie dawały też puste i burczące z głodu żołądki. Ale przynajmniej po raz pierwszy od wielu dni nie tkwili w prymitywnych schronach z drewna i śniegu, a ktoś nawet rozpałił ogień w piecu i do zeszywniałych kończyn powoli wracało życie.

– Gdyby mogli, zadbaliby o zaopatrzenie – odpowiedział Max. – Ale... – Nie dokończył zdania, wszyscy i tak zdawali sobie sprawę z tego, co się działo. Lokomotywy zamarzały na mrozie i nie mogły ruszyć z miejsca, a samoloty z zaopatrzeniem nie mogły wystartować w szalejącej zamieci. I nawet jeśli dotarłaby tu choć jedna lokomotywa czy jeden samolot, to niesiona przez nich pomoc oznaczałaby tylko kroplę w morzu potrzeb.

Max zdjął kozuch. Wstrętny, brudny, zawszony ciuch! Ściągnął go z zabitego Rosjanina i nie zdejmował od prawie dziesięciu dni. Wszyscy żołnierze mieli na sobie takie kozuchy i przestali już walczyć z wszami. Stare kozuchy stanowiły prawdziwe wylęgarnie wszelkiego rodzaju robactwa. „Gorąca kąpiel”, pomyślał Max, którego obrzydzała woń własnego potu, „łóżko z czystą pościelą, czyste ubrania...”.

– Mówią – wyszeptał Fred – że Rosjanie gromadzą niesłychane siły i tworzą gigantyczne armie. Myślisz, że to prawda?

– Możesz być tego pewien. Nigdy nie mogłem pojąć, jak ktoś mógł uwierzyć, że...

Ach, po co powtarzać to po raz setny?! Zwłaszcza że nikt go nie słuchał. Max od początku mówił, że Niemcy poniosą klęskę w Rosji.

Wygrzebał ze swojego tornistra kawałek papieru i ołówek. Kiedy tylko miał okazję, próbował pisać do Belle choćby kilka zdań. Od kiedy tkwił po uszy w tym wszystkim, Belle i Sophie miały teraz dla niego ogromne znaczenie. W poczuciu winy często myślał o tym, jak bardzo zaniedbywał żonę. Ta ciesząca się życiem kobieta nie znalazła w nim właściwego partnera.

„4 grudnia 1941 roku. Droga Belle! W gazetach zapewne piszą, że na froncie wschodnim wszystko jest w najlepszym porządku i że odnosimy same zwycięstwa. Ja jednak mogę Ci tylko powiedzieć, że to wszystko to jedna wielka katastrofa i pozostaje nam się tylko modlić, aby ta zima nie trwała długo. W przeciwnym wypadku to ona wyręczy Rosjan i sam mróz wykończy nas wszystkich...”

Niebezpiecznie było pisać takie zdania, ale Max zaryzykował, bo miał dość kłamstw, którymi propaganda próbowała usypiać czujność całego narodu.

„Nie sądzę, bym na święta przyjechał do domu, ale całym sercem będę przy Tobie i Sophie. I tak myślę o Was bez przerwy i bardzo mi Was brakuje...”

W tym momencie jego głowa osunęła się do przodu i wyczerpany zasnął.

Następnego dnia ruszyła wielka kontrofensywa rosyjska, której od dawna wszyscy się obawiali. Niemieckich żołnierzy we wsi wyrwali ze snu Rosjanie, którzy dotarli już do najbardziej wysuniętych na wschód chat. Wystawiono zbyt mało straży, bo porucznik dowodzący kompanią – kapitan dawno już zginął – był święcie przekonany, że jego oddział znajduje się na drugiej linii frontu, a przed nim są jeszcze inne jednostki niemieckie i nie trzeba zachowywać aż tak daleko posuniętej ostrożności. Pomylił się w swoich założeniach.

– Popatrz na to! – powiedział Fred.

On i Max poderwali się i chwycili za broń – po raz pierwszy od wielu dni nie zamarzły w niej zamki i można było zrobić z niej użytek – i przykucnęli koło okna. Ktoś zdrapał szron

z szyb w kilku miejscach.

– Na nartach! – dokończył Fred. – Oni naprawdę jadą na nartach!

Po wschodniej stronie wsi wznosiło się spore wzgórze, niemal góra o mocno zalesionym grzbiecie, ale poniżej nie widać było choćby jednego krzaka. Górę przykrywała gruba warstwa śniegu, po którym w dół na nartach pędzili Rosjanie, ubrani w białe futrzane stroje. Można ich było dostrzec dopiero po dłuższym wpatrywaniu się w śnieg.

– Sądzę, że to dywizje syberyjskie – stwierdził Fred, a w następnej sekundzie chata znajdująca się tuż obok stanęła w płomieniach.

Odblask ognia rozjaśnił mroczny zimowy poranek. Fred zbił kolbą karabinu szybę, po czym zastrzelił dwóch Rosjan, którzy zbliżyli się do domu. Max także strzelał, jak umiał, wypierając wszystkie myśli i wyobrażając sobie, że jest maszyną, która jakoś musi funkcjonować. Trafił prosto w serce Rosjanina stojącego niemal pod oknem, który teraz patrzył na niego zdumiony, powoli osuwając się w śnieg.

– Do cholery! – krzyczał Fred. – Ich jest za dużo!

Drzwi rozleciały się z hukiem. Rozległy się strzały. I straszne, nieludzkie krzyki. Niemiecki żołnierz turlał się po podłodze, przyciskając obie ręce do brzucha.

– Trafili Sebastiana! – zawołał Fred.

Max odwrócił się od okna.

– Wychodź! Wycofujemy się! Poddajemy chatę!

Było ich zbyt mało, aby utrzymać się dłużej niż pięć minut.

– Przez tylne drzwi! – rozkazał Fred.

On i Max poderwali na nogi krzyczącego żołnierza, choć oznaczało to dla niego jeszcze gorszą torturę, ale nie było czasu na delikatniejsze traktowanie. Przedzierali się przez gęsty dym, mijając przewrócone stoły, ławki i leżące trupy, i po chwili znaleźli się w małym pomieszczeniu z tyłu chaty. Było to coś w rodzaju sypialni, skąd drzwi prowadziły na podwórze. Dwie młode Rosjanki, które tu uciekły i tkwiły w wąskim przejściu między łóżkiem a komodą, patrzyły na Niemców z przerażeniem w swych czarnych oczach. Max wykonał ruch ręką, wskazując drzwi.

– Wynoście się! Bo się tu spalicie! Szybko, wychodź!

Dziewczyny jakoś rozumiały i ruszyły za nimi. Kaszląc i krztusząc się, dotarli do drzwi. Max zaryzykował i się obejrzał. W płomieniach stała już niemal cała chata. Gdzie byli pozostali żołnierze? Z dymu wynurzyło się trzech mężczyzn, którzy na wpół uduszeni oddychali ciężko przed chałupą.

– Gdzie są pozostali? – krzyczał Max.

– Nie mam pojęcia! – odparł jeden z mężczyzn. – Dalej! Biegnijcie dalej!

Przemknęli przez podwórze, wlokąc Sebastiana, który nie wydawał już z siebie żadnego odgłosu. Dookoła świszczały kule. Jakiś żołnierz osunął się w śnieg, a wokół niego błyskawicznie pojawiła się wielka ciemnoczerwona plama. Pozostali dotarli do domu naprzeciwko. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi od wewnątrz.

– Jazda, szybko do środka! O Boże, trafili Sebastiana!

Rosjanki wpadły za nimi i schowały się za przewróconą ławką.

Nikt nie mógł się zająć Sebastianem, który odzyskał właśnie przytomność i jęczał cicho. Wrogowie zaczęli mocno ostrzeliwać także i tę chatę. Z okien wyleciały wszystkie szyby, kule świstały w powietrzu. Obrońcy mieli do dyspozycji karabin maszynowy MG, którego krótkie serie trzymały Rosjan na dystans. Niemcy bronili się zacięcie, ale około południa musieli poddać również i ten dom. Kiedy Max chciał podnieść leżącego w kącie Sebastiana, ich towarzysz już nie żył. Miał zastygłą, wykrzywioną w przedśmiertnych męczarniach twarz i szeroko otwarte oczy. Max zawahał się przez chwilę, ale potem zerwał zmarłemu futrzaną czapkę z głowy i zdjął

z niego kozuch, który był w nieco lepszym stanie niż jego własny, a którego Sebastian już przecież nie potrzebował. A potem Max ruszył w ślad za pozostałymi żołnierzami.

Bronili się przez całe popołudnie, walcząc o każdy dom. Zaczęła się kończyć amunicja, stracili też dwa zaprzęgi konne i jeden łaźnik, bo zamarzała woda w chłodnicy, a środek odmrażający się skończył. Na podwórzach leżeli zabici niemieccy i rosyjscy żołnierze, między nimi zdychały mocno wynędzniałe konie, a z ich boków płynęła ciepła krew. Fredowi udało się zastrzelić jedno z nieszczęsnych zwierząt. Koń miał już zamglone oczy, ale podniósł głowę i cicho zarżał. Mężczyźni na ten widok stanęły łzy w oczach.

– Co za cholerne świństwo – wymamrotał. – Jedno wielkie cholerne świństwo.

Dopiero wieczorem poddali wieś. Porucznik, który dowodził kompanią, nakazał wycofać się na poprzednie pozycje. Oddział liczył pierwotnie dziewięćdziesięciu pięciu ludzi, teraz pozostało ich mniej niż czterdziestu. Wszyscy, kompletnie wyczerpani i zrozpaczeni, tkwili w oblodzonych okopach, w prowizorycznych schronach z worków z piaskiem, chrustu i śniegu, które zupełnie nie chroniły przed mrozem strasznej rosyjskiej zimy. W kuchni polowej wydawano cienki krupnik, po chochli dla każdego, a właściwie gorącą wodę, w której pływało kilka bliżej nieokreślonych okruchów. Taki wywar ani nie sycił, ani nie rozgrzewał. Wszyscy strasznie marzli. Nocą jeden z żołnierzy zmarł, inny postradał zmysły i majaczył. Nad ranem znów zaczął padać śnieg, a z północnego wschodu wiał lodowaty wiatr. W radiu rozbrzmiewała piosenka *Lili Marleen*, która wyciskała łzy z oczu żołnierzom na wszystkich frontach Europy. Max skończył pisać list do Belle w nadziei, że uda się go wysłać i wówczas żona dostanie na Gwiazdkę jakiś znak życia od niego.

Ale jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia stało się coś, co kazało wstrzymać oddech całemu światu: 7 grudnia 1941 roku amerykańską bazę marynarki wojennej na Hawajach – Pearl Harbour – zaatakowali Japończycy, wypowiadając w ten sposób wojnę Stanom Zjednoczonym. Niemcy, mający względem Japonii obowiązek sojusznicy, miały teraz kolejnego przeciwnika.

Belle otrzymała list od Maxa 23 grudnia. Rankiem pracowała w studiu i wróciła do domu bardzo wyczerpana. W Babelsbergu panowała pełna napięcia atmosfera, a partia wywierała coraz większe naciski na aktorów. Wszyscy mieli też w pamięci tragiczną śmierć Joachima Gottschalka, którego naziści prześladowali z powodu żydowskiej żony, aż odkręcił w końcu kurek od gazu i zatrzał siebie oraz swoją rodzinę. W UFA nie mówiono o niczym innym. Odkąd Max wyjechał na front wschodni, Belle stała się bardzo wrażliwa na wszystkie wydarzenia w kręgu bliskich jej osób i śmierć Gottschalka bardzo ją przygnębiła. Znała go tylko przelotnie, ale zawsze robił na niej ogromne wrażenie. Dostrzegła również, że aktorstwo przestało być dla niej aż tak ważne, a praca też nie sprawiała jej już przyjemności. Nie mogła i nie chciała już marzyć o wielkich rolach. Pragnęła jedynie, aby skończył się ten okres ciągłego strachu i przerażenia, który nagle nastąpił w jej życiu.

Pani Kramer, żona dozorczy, odebrała list i przyniosła go wieczorem, kiedy Belle stała przed lustrem i przygotowywała się do wyjścia na kolację z Andreasem. Wigilię Bożego Narodzenia chciała spędzić z babcią Elzą i Sophie na Schlosstrasse, ale na wieczór poprzedzający ten dzień zaprosił ją Andreas. Co prawda od powrotu z Lulinna na początku października nie chciała go już więcej widzieć i wytrwałaby w swoim postanowieniu, gdyby jak zwykle co rusz do niej dzwonił i ją emablował, ale on najpierw wyjechał do Szwajcarii, bo potrzebował produkowanych tam jakichś maszyn precyzyjnych dostępnych tylko w Zurychu, a potem z tego samego powodu musiał jechać do Szwecji. A poza tym był stale tak bardzo zajęty, że tylko sporadycznie się z nią kontaktował. I kiedy wreszcie zaprosił Belle na przedświąteczną kolację, dziewczyna czuła już takie znużenie jego długim milczeniem, że zgodziła się natychmiast. Potem przeplakała pół nocy, bo sama sobie wydawała się słaba i moralnie

niegodziwa, a ponieważ pojęła, że nie będzie w stanie rozstać się z Andreasem i że nie poradzi sobie z uzależnieniem od niego, wpadła w prawdziwą rozpacz.

Także teraz, kiedy stała przed lustrem i malowała tuszem rzęsy, myślała z gniewem, że wystarczyło, aby on kiwnął palcem, a ona biegła na jego zawołanie. Tak przecież nie mogło być!

Trudno było dostać jakikolwiek materiał oraz suknie i dlatego Belle nosiła model z czasów przedwojennych: sięgający do kolan, z czerwonego jedwabiu. Powinien właściwie opinać ciało, ale Belle za bardzo schudła. „Muszę założyć jakiś pasek”, pomyślała i w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

Pani Kramer, żona dozorczy. Ta kobieta do chwili przejścia władzy przez nazistów wiodła raczej nudny żywot. Nie mogła mieć dzieci i dlatego z właściwym sobie impetem zajęła się gospodarstwem i dowiadywaniem się, co dzieje się w sąsiedztwie. Pochłaniały ją wszelkiego rodzaju plotki, co wszyscy uważali za męczące, a co jednak nikomu właściwie nie szkodziło. Ale kiedy jej mąż został dozorcą i nagle oboje stali się odpowiedzialni za trzy stojące obok siebie domy przy Alexanderplatz, pani Kramer mogła dać prawdziwy upust swej namiętności, tym razem wspieranej przez państwo. Nikt nie mógł zatrzęsnać jej drzwi przed nosem, nikt nie mógł też pozostawić jej natrętnych pytań bez odpowiedzi. I dotyczyło to zwłaszcza Belle, która nawet nie próbowała zachowywać się jak porządna żona żołnierza na froncie.

Także teraz żona dozorczy patrzyła nieufnie na młodą aktorkę. Czerwona suknia, umalowane na czerwono usta – uważano, że taki wygląd nie przystoi w tych czasach, a już zwłaszcza kobiecie, której mąż walczył w Rosji.

– List do pani – powiedziała – z frontu.

Belle chwyciła kopertę.

– O Boże – wyszeptała mimowolnie. Za każdym razem czuła przerażenie, że mogło się coś stać, że będzie wpatrywała się w pełen współczucia tekst dowódcy kompanii, który w suchych, oszczędnych słowach przekaże jej wiadomość o śmierci Maxa. Ale teraz rozpoznała pismo męża, który sam napisał na kopercie adres i nazwisko nadawcy; a więc żył.

– Wychodzi pani dziś wieczór? – spytała pani Kramer z wyraźną dezaprobatą.

– Tak... ze znajomymi – wymamrotała Belle.

– Ale z pewnością nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że wejdę na chwilę i sprawdzę, czy przestrzegane są wszystkie przepisy dotyczące obrony przeciwlotniczej – powiedziała pani Kramer i weszła, nawet nie pytając o zgodę.

Dziewczyna oczywiście miała coś przeciwko temu, chciała przede wszystkim jak najszybciej przeczytać list, ale wiedziała, że nie otworzy go, zanim ta pełniąca funkcję szpiega kobieta sobie nie pójdzie. Nawet jeśli Belle właśnie tego chciała.

Pani Kramer wetknęła nos we wszystkie pomieszczenia i znalazła powód do przygany.

– Pani wanna – oznajmiła. – Wie pani przecież, że na wypadek pożaru mają być one napełnione wodą. A pani wanna jest pusta!

– Bo właśnie się kąpałam i wypuściłam brudną wodę – odparła Belle.

– Jestem zmuszona poprosić panią, aby natychmiast ją pani napełniła. Postąpiła pani lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie.

Kobieta tkwiła w łazience tak długo, aż Belle wykonała jej polecenie, a potem wreszcie opuściła mieszkanie, bo mimo swej skrupulatności nie znalazła już żadnego powodu do zganienia dziewczyny.

– Cholerna, wstrętna szpiclówka – wycodziła Belle, kiedy wreszcie zamknęły się za nią drzwi i drżącymi rękami rozerwała kopertę.

„Droga Belle! W gazetach oczywiście piszą, że na froncie wschodnim wszystko jest w najlepszym porządku i że odnosimy same zwycięstwa. Ja jednak mogę Ci tylko powiedzieć, że

to wszystko to jedna wielka katastrofa...”

– On jest kompletnie szalony – wymamrotała Belle. – Za takie słowa można zapłacić głową. Gdyby to dostało się w niepowołane ręce!

Papier musiał rozmoknąć w śniegu, bo w niektórych miejscach pismo było tak niewyraźne, że Belle z trudem mogła je odczytać.

„...i jak często myślę, że nie okazywałem Ci, jak bardzo Cię kocham! Gdy walki na chwilę ustają, natychmiast pogrążamy się w rozmyślaniach, chcąc nie chcąc, i może to jest jedyna zaleta tej sytuacji. Można dostrzec wiele spraw w zupełnie innym świetle i zrozumieć ich przemijalność i niepowtarzalność. Czy Ty wiedziałaś, Belle, jak bardzo zawsze Cię potrzebowałem, jak wiele dla mnie znaczysz, a może zachowywałem się zbyt obojętnie i traktowałem Cię jako coś oczywistego? Nigdy nie zapomnę naszej pierwszej nocy, w tym okropnym pokoju w Prenzlauer Berg, z kranu kapąła woda, a obok za ścianą sąsiedzi kłócili się i rzucali w siebie talerzami... Byłaś taka młoda, Belle, patrzyłaś nieśmiało, przez co Twoje oczy po raz pierwszy wydały się pełne ciepła. Ty, piękna, ciesząca się życiem i przez wszystkich pożądana Belle Lombard, wybrałaś właśnie mnie. Poczuję się wtedy tak szczęśliwy, ale dziś myślę, że przyjąłem ten prezent od losu zbyt lekko i zbyt beztrusko. Sądzę, że za mało dawałem Ci siebie. Żyłem dalej swoim życiem, koncentrowałem się na własnych potrzebach, a nie na Twoich, i zawsze krytykowałem Twój sposób życia. Max Marty, miara wszystkiego...”

Teraz nie tylko rozmyte pismo utrudniało Belle dalsze czytanie. Z jej oczu płynęły łzy.

„Wiesz, że ja nie wierzę w Boga i dlatego nie potrafię się modlić”, brzmiały ostatnie słowa listu, „ale z całego serca pragnę przeżyć tę wojnę i móc do Ciebie wrócić. Czy nie sądzisz, że moglibyśmy zacząć wszystko od początku?”

Belle płakała tak gwałtownie, że list wypadł jej z rąk. Dlaczego on był taki dobry? Dlaczego doszukiwał się winy w sobie, kiedy to ona go oszukiwała, okłamywała i wszystko zniszczyła? W ten sposób dotknął ją o wiele bardziej, niż gdyby ją wprost zaatakował. Cokolwiek robił, to nigdy jej nie zdradził, nie był jej niewierny, nigdy też nie brał życia zbyt lekko i nigdy o niej nie zapominał. Cóż ona mogłaby mu zarzucić? Że zachowywał się zbyt poważnie w stosunku do takiego dzieciaka jak ona? Że nigdy nie potrafił się zabawić, beztrusko śmiać, że stale rozprawiał o polityce, nie lubił ani szampana, ani tańców i wolałby głodować, niż grać w teatrze prowadzonym zgodnie z zasadami Goebbelsa? A ją to wszystko drażniło, złościł ją jego sposób życia, jego niemożnością zaspokojenia jej w kółko usprawiedliwiała noce z Andreasem... I teraz on tłumaczył się ze swoich błędów, a przecież to ona powinna prosić o przebaczenie i na kolanach dziękować mu, gdyby jej wybaczył.

Powlokła się powoli do łazienki i spojrzała w lustro. Tusz do rzęs rozmył się na całej twarzy, szminka roztała. Ze zwierciadła patrzyła na nią zapłakana mała dziewczynka z zaczerwienionymi policzkami i szeroko otwartymi oczami.

Urwała kawałek papieru toaletowego i wytarła porządnie nos. Potem opryskała twarz zimną wodą i osuszyła ją ręcznikiem. Powieki były zaczerwienione i opuchnięte, ale tego już nie mogła zmienić. Musiała zejść na dół, do budki telefonicznej, zadzwonić do Andreeasa i powiedzieć mu, że nie będzie mogła spotkać się z nim dziś wieczór. Już na samą myśl o samotnej nocy zrobiło jej się ciężko na sercu. Sophie została u Elzy, a ona nie miała nikogo, będzie więc leżeć i raz po raz czytać list Maxa, a potem płakać i rozmyślać. Ale postanowiła wytrwać w swym postanowieniu. Musiała raz na zawsze położyć kres relacji z Andreasem. Powie mu, że dziś wieczór nie przyjdzie i każdego innego także. Już kiedy opuszczała mieszkanie, wiedziała, że nie dochowa żadnej z danych sobie obietnic.



## 2.

„...pisarz zanurzył ścierkę w ciepłej wodzie z mydlinami, wykręcił ją starannie i przetarł nią kamienne kafelki, czarne i białe, ułożone w szachownicę. Otworzył też szeroko okno, aby wpuścić do wnętrza trochę słodkiego, łagodnego wiosennego powietrza. Ciepły wiatr przyniósł zapach kwitnących forsycji, trawy i wilgotnej ziemi. Należący do tej willi ogród był najpiękniejszą częścią majątku. Wszędzie rosły wysokie, stare drzewa, gęste krzewy, roiło się tu od kwiatów i nierozkwitłych jeszcze pąków. Gałęzie wierzby płaczącej dotykały powierzchni wody niewielkiego stawu. W kwietniu 1942 roku, w samym środku wojny, panował tu idealny spokój. Dziewięć lat nazistowskiej dyktatury. Pisarz zastanawiał się, jak będzie później pisał o tym okresie. Okresie, w którym intelektualiści nagle musieli sprzątać domy starych, bogatych dam tylko dlatego, że byli Żydami i poprzez to stali się wrogami numer jeden...”

Martin szorował podłogę w łazience starej willi. Tylko taką pracę mógł dostać. Jego rozpacz rosła z dnia na dzień i czasami ratowało go staranne opisywanie w myślach sytuacji, w której się znalazł.

Znieruchomiał. Poczul, że znów zaczyna opanowywać go rozpacz. Ten piękny, stary dom... Też chciałby taki mieć i mogłoby tak być, gdyby nie pojawili się mężczyźni w brunatnych mundurach, którzy zamienili jego życie w piekło.

Baronowa Kronburger, dla której pracował, stanęła właśnie w drzwiach. Miała osiemdziesiąt lat, ale zachowała idealną jasność umysłu i witalność pięćdziesięciolatki. Jej mąż nie żył już od lat, dzieci nie miała, a jeśli nawet czuła się czasem samotna, to tego nie okazywała. Była zdania, że nie ma żadnych zobowiązań wobec nikogo, także wobec nazistów. Niedawno pojawiło się u niej dwóch członków SA, którzy wypytywali ją, dlaczego zatrudnia Żyda. Usłyszeli, że może zatrudniać, kogo zechce, a poza tym nie ma ochoty na żadną rozmowę z nimi. Mężczyźni bez słowa sprzeciwu wyszli i więcej się nie pokazali. Martin czasami się zastanawiał, czy w razie ewentualnej konieczności nie mógłby zwrócić się do tej starej kobiety o pomoc, ale szybko porzucił tę myśl. Do czegoś takiego ona z pewnością by się nie posunęła, bo tak naprawdę wszystkich traktowała z taką samą obojętnością. Chciała jedynie robić to, na co ma ochotę. A narazić się na niebezpieczeństwo dla kogoś – to już nie była jej sprawa.

– Panie Elias, telefon do pana. – Miała głęboki, pozbawiony wszelkich emocji głos. Dzwoni pańska żona.

Martin natychmiast poczuł niepokój. Sara jeszcze nigdy do niego nie dzwoniła.

– Czy coś się stało? – spytał.

– Nie wiem. Nie udzieliła mi żadnych wyjaśnień.

Martin ruszył w stronę salonu, gdzie znajdował się telefon.

– Staw musi być dokładnie wyczyszczony – dodała baronowa. – Rośnie tam zbyt wiele glonów i ryby mogą się udusić.

Martin wziął do ręki słuchawkę.

– Saro? Gdzie jesteś?

W jej głosie słychać było lęk i rozpacz.

– Jestem w domu. Martinie, musisz natychmiast wracać!

– A co się stało?

– Dostaliśmy list. Jutro rano o piątej musimy się stawić w pustej hali na dworcu wschodnim. Zostaniemy przesiedleni.

– Co takiego?

– Wolno nam zabrać tylko małą walizkę i żywność na dwa dni. Martinie, co teraz będzie?

Co...

– Skąd ty dzwonicz?

– Z telefonu pani Kellner, pozwoliła mi. Nie obawiaj się, ona mnie nie słyszy. Martinie...

– Spokojnie, Saro, spokojnie. Mamy jeszcze jakieś osiemnaście godzin. Znajdziemy rozwiązanie.

Martin sam się zdziwił swoim normalnym tonem. Słowa Sary odebrał jak nagły cios w brzuch. A więc stało się, spodziewał się tego każdego dnia, choć dzień w dzień żywił nadzieję, że ten kielich goryczy będzie im oszczędzony. „Może oni o nas zapomną. Może, może...”

Ale teraz nie było czasu na żadne „może”. Musiał działać tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Saro, poczekaj spokojnie, aż przyjdę. Ja... – W tym momencie uświadomił sobie, że baronowa także znajduje się w pokoju. Siedziała przy biurku i pisała list.

– Sara, znajdziemy jakieś wyjście. Zostań tam, gdzie jesteś!

– Boję się. Stanie się coś strasznego, wiem o tym.

– Nie martw się. Wszystko będzie w porządku. – Po tych słowach odłożył słuchawkę. Jego ręce drżały. „Zachować spokój”, rozkazał samemu sobie, „nie wolno ci teraz tracić nerwów”.

– Pani baronowo – odchrząknął, bo nagle zachrypnął. – Czy może mi pani dać wolne na resztę dnia?

Podniosła wzrok. Chłodne oczy patrzyły na niego przenikliwie.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Moja żona... nie czuje się dobrze...

– Przykro mi. Tak, może pan iść.

– Wyczyszczę staw jutro – skłamał. Nie będzie już żadnego jutra.

Baronowa wstała, a fałdy jej długiej sukni zaszeleściły. Ciągle szyła sobie u krawca rzeczy zgodnie z modą z przełomu wieków.

– Proszę. – Wyjęła z szuflady plik banknotów. – To pańskie wynagrodzenie za kwiecień. Daję panu pieniądze już teraz.

Zaprotestował:

– Tak nie można. Mamy dopiero dwudziesty trzeci kwietnia, a ja...

„Ja już nie przyjdę!”

Miał osobliwe wrażenie, że ona czyta w jego myślach.

– Mimo to proszę wziąć pieniądze. W tych czasach niedobrze jest ich nie mieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

Martin z wahaniem wziął banknoty i schował je do portfela.

– To bardzo wielkodusznie z pani strony, pani baronowo. Dziękuję pani.

Jeszcze raz zastanowił się przez chwilę, czy ma ją poprosić o pomoc, ale ona powiedziała rzeczowo:

– A więc proszę już iść. Życzę panu wszystkiego dobrego.

Wiedziała, co się dzieje. I gdyby chciała pomóc, toby to zaoferowała. Martin sięgnął po kurtkę i kapelusz.

– Do widzenia, pani baronowo.

Wyszedł na ulicę. Był piękny wczesnowiosenny dzień, ale on poczuł się przytłoczony ciężarem problemów.

Dwie i pół godziny później dotarł do domu. Sara usłyszała jego kroki na schodach i czekała już w drzwiach mieszkania. Na jej widok poczuł ukłucie w sercu, w ciągu tych kilku

godzin postarzała się o całe lata. Jej cera nabrała dziwnego żółtawego odcienia, a pod oczami pojawiły się cienie. Miała na sobie letnią sukienkę w zielono-białe wzory, która wisiała na niej jak worek. Zaczeseane do tyłu i upięte włosy sprawiały, że jej wychudzona twarz wydawała się spiczasta.

– Martinie! Jak dobrze, że jesteś! Tak bardzo na ciebie czekałam! Nie wiem już, co robić. Martinie, stanie się coś strasznego, czuję to. – Uczępiła się go kurczowo i pociągnęła go do mieszkania.

Uspokajającym gestem pogłodził ją po włosach.

– Saro! Uspokój się! Naprawdę sądzisz, że pozwolę, by deportowano nas gdzieś na wschód, żebyśmy umarli tam w jakiś tajemniczy sposób jak mój ojciec?

– Ale co mamy robić?

Zamknął starannie drzwi i zaczął mówić zniżonym głosem:

– Byłem u Felicji. Ona nas przyjmie. Możemy się u niej ukryć.

– Zniknąć?

– Nie mamy wyboru.

– Ależ, Martinie, jak długo możemy się ukrywać? Rok? Dwa lata? Pięć lat? Pół życia? Jak mamy to wytrzymać, jak...

– Saro, nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość. Jesteśmy w takiej sytuacji, że możemy myśleć tylko o tu i teraz. Musimy się ukryć.

Patrzyła na niego przerażonymi oczami.

– Tak, masz rację...

– Posłuchaj, chciałbym zawieźć do Felicji parę rzeczy, ale spakowanie ich do wielkiej walizki jest niebezpieczne, bo mogliby nas aresztować zaraz za rogiem. Zapakuję coś do swojej teczki i obrócę dwa lub trzy razy.

Sara wpatrywała się dziwnym, nieruchomym wzrokiem w ścianę.

– Powinniśmy zniknąć natychmiast.

– Ale mamy się tam zgłosić dopiero jutro rano. Nie ma co się przesadnie spieszyć. Bądźmy ostrożni, Saro.

Z wysiłkiem próbowała zapanować nad ogarniającą ją rozpaczą.

– Dobrze. Kiedy tam pójdziesz, ja przygotuję wszystko, co będzie nam potrzebne. Musimy się dobrze zastanowić, co zabierzemy.

– Na pewno będzie mi potrzebna maszyna do pisania – powiedział Martin. – Wyobraź sobie, jak wykorzystam ten czas. Napiszę fantastyczną książkę, a kiedy ten koszmar się skończy, będzie to najpoczytniejsze dzieło wszech czasów.

– Tak – odpowiedziała cicho.

Jego z wysiłkiem podtrzymywany wesoły ton głosu nie dodał jej otuchy. Powolnymi, ciężkimi ruchami pomagała mu zapakować teczkę – skarpety, bieliznę, ciepłe swetry na zimę. Próby Martina, aby humorem rozładować nieco napięcie, jeszcze bardziej działały jej na nerwy. Z największym trudem starała się zapanować nad sobą i go nie zaatakować. Przecież nie mógł się zachowywać tak, jakby wyjeżdżali na wakacje! Byli wyrzutkami społeczeństwa, uciekinierami, ludźmi prześladowanymi. Sara nie wiedziała, co by się z nimi stało, gdyby ich ujęto, co by czekało ich u celu podróży na wschód, przeczuwała jednak, że mogłaby to być śmierć.

Martin znów założył płaszcz – za ciepły na ten dzień, ale w ten sposób mógł go dyskretnie przetransportować – i wziął do ręki teczkę. Pocałował Sarę na pożegnanie.

– Za godzinę będę z powrotem. Może poszukasz parę książek, które schowamy do toreb na zakupy.

– Uważaj na siebie – przykazała i ogarnięta nagłym niepokojem dodała: – Pośpiesz się!

To były ostatnie słowa, które usłyszał od niej Martin. Godzinę później na Hohenzollernstrasse pojawiło się gestapo i aresztowało Sarę.

Felicja zamierzała pojechać z Martinem autem po Sarę i pozostałe rzeczy – miała przecież wielki, piękny samochód Petera Liliencrona – ale po krótkim namyśle doszła do wniosku, że pojedzie sama, bo to najmniej będzie się rzucało w oczy. Martin oczywiście protestował:

– Felicjo, i bez tego ma pani dość kłopotów na głowie. Proszę nie przysparzać sobie dodatkowych.

– Ale ja samochodem dotrę tam o wiele szybciej niż pan tramwajem. I naprawdę bezpieczniej będzie, kiedy pan się tam już nie pojawi. To dla mnie naprawdę żaden problem.

„Jazda samochodem to rzeczywiście najmniej ważna część tej całej historii”, pomyślała, szukając kluczy do auta. Musiała zupełnie sama podjąć decyzję o przyjęciu pod swój dach Martina i Sary, kiedy mężczyzna zjawił się u niej około południa i poprosił ją o pomoc. Maksym znikł przed wieloma dniami – była to jedna z jego tajemniczych podróży, o których nic nie mówił – a Alex umówił się na śniadanie z autorem książki, którą zamierzał wydać, i od tego czasu też się nie pojawił. Felicja czuła wściekłość, ale doszła do wniosku, że on w końcu też musi kiedyś zadbać o swoją pracę. Na Maksyma była jeszcze bardziej wściekła, chociaż musiała uczciwie przyznać, że za sprawę Martina i Sary wyjątkowo nie mógł wziąć odpowiedzialności. Bez niego czy z nim – nie mogła postąpić inaczej. Z Sarą wiele lat temu chodziła do szkoły w Berlinie i teraz nie wyobrażała sobie zostawienia jej w potrzebie.

Felicja skręciła samochodem w Hohenzollernstrasse dokładnie w tym momencie, w którym Sara wraz z urzędnikami gestapo wyszła z domu i wsiadła do czarnego samochodu.

– O, cholera! – zawołała Felicja, zjechała na prawy chodnik i się zatrzymała.

Natychmiast zrozumiała całą sytuację i przez jej głowę zaczęły przelatywać tysiące myśli. Dlaczego oni tak nagle zjawili się w mieszkaniu Sary i Martina, przecież oboje mieli się stawić na dworcu dopiero jutro rano! Czyżby gestapo dowiedziało się czegoś na temat ich planowanego zniknięcia? A może oni po prostu zabierali ludzi wcześniej, niż zamierzali, aby właśnie nie dopuścić do ich ucieczki? I dlaczego, do diabła, Sara nic nie zauważyła, może udałoby się jej jakoś uciec przez tylne drzwi... W tym momencie Felicji przypomniało się, że dziewczyna od początku sprzeciwiała się wprowadzeniu się do tego mieszkania, ponieważ w domu nie było tylnego wyjścia na podwórze i to, jej zdaniem, stanowiło jakieś zagrożenie. Felicja jęknęła. Osobliwe przecucia Sary znów okazały się zasadne. Ten dom stał się jej pułapką.

Samochód, do którego wsiadła Sara, ruszył i powoli jechał ulicą. Felicja patrzyła za nim z rozpaczą, zdając sobie sprawę ze swojej bezradności. Na razie nie mogła pomóc Sarze, musiała wracać do domu i zatroszczyć się o Martina. Jak on przyjmie tę okropną wiadomość? Żona była jedynym bliskim mu człowiekiem.

W drodze powrotnej zastanawiała się, jak ma przekazać mu tę straszną wieść, gdzie go na razie umieścić – na wypadek, gdyby Sara w czasie przesłuchania zaczęła mówić – i co będzie mogła dla niej zrobić. Może uda się w tym celu zmobilizować przeklętego męża Zuzanny. „Zadzwoń do Alexa”, postanowiła, „on musi mi jakoś pomóc”.

To akurat okazało się zbędne, bo kiedy Felicja zajechała przed dom, Alex właśnie zamykał bramkę prowadzącą do ogrodu, a potem w wyraźnie dobrym nastroju ruszył w stronę domu tak, jak gdyby na całym świecie nie było żadnych trudnych problemów.

– Witaj, Felicjo! – zawołał na jej widok, po czym ściągnął kapelusz, a rozłoszczona Felicja dostrzegła, że pomachał nim niczym młody Casanova. – Cóż to za piękny wiosenny dzień! Byłem jeszcze u Kat, siedzieliśmy na tarasie i zubożyliśmy piwniczkę Toma o dwie nader ekskluzywne butelki wina. Myślę, że teraz...

– Alex! – przerwała mu niecierpliwie. – Dzięki Bogu, że jesteś!

Mężczyzna wykrzywił zabawnie twarz, udając niesłychane wzruszenie.

– Że też jest mi dane usłyszeć coś takiego z twoich ust!

– Ach, przestań, to poważna sprawa! – Podbiegła do niego, chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą do domu. – Muszę ci to opowiedzieć w środku, bo nikt nie może się o niczym dowiedzieć.

### 3.

Alex zajął się wszystkim i Felicja znów miała wrażenie, że to on, a nie Maksym zawsze stał u jej boku w najtrudniejszych chwilach jej życia. To on zdecydował, by nie wywozić Martina, bo to oznaczało konieczność wtajemniczenia we wszystko jeszcze kilku innych osób i stanowiło największe niebezpieczeństwo. Musieli więc zdać się na tajną kryjówkę w piwnicy. Alex postanowił też, czego Felicja ma nie mówić Hansowi Velinowi w trakcie rozmowy telefonicznej: nie wolno jej było nawet wspomnieć o tym, że pojechała na Hohenzollernstrasse i widziała moment aresztowania Sary. Należało mu natomiast powiedzieć, że dziewczyna zadzwoniła do Felicji i przekazała jej wiadomość o czekającej ich deportacji. I że teraz Felicja chce zrobić wszystko, aby wyciągnąć z tej sytuacji Martina i Sarę.

– I tak oni we właściwym momencie poinformują cię, że Martin znikł, i będą pytać, czy wiesz coś na ten temat – powiedział Alex. – I wtedy musisz panować nad nerwami.

– Spróbuję – wymamrotała Felicja z wahaniem.

Najgorsze było jednak to, że po usłyszeniu strasznej wieści Martin całkowicie się załamał. Stracił panowanie nad sobą i należało niemal użyć siły, bo postanowił natychmiast opuścić dom Felicji i dobrowolnie stawić się na gestapo.

– Nie mogę zostawić Sary w potrzebie! – krzyczał. – Muszę być z nią! Jestem wszystkim winien. To, co się z nią stało, to wyłącznie moja wina!

Felicji udało się go zmusić do zażycia dwóch tabletek uspokajających, ale w efekcie ich działania Martin poczuł się tylko kompletnie wykończony i oziębiały, a jego rozpacz wcale nie zmaląła.

– Zrobimy wszystko, żeby jej pomóc – zapewniła Felicja. – Martinie, proszę, niechże pan się nie poddaje! I niech pan nie próbuje pogarszać swojej sytuacji, to nic nie da!

Martin leżał w jej ramionach, płakał jak dziecko i co chwila wrzeszczał i oskarżał samego siebie.

– Ona chciała opuścić Niemcy już dawno, zaraz po przejęciu władzy przez nazistów, ja się nie zgadzałem, ona wiedziała, co się stanie, tak strasznie się bała, ale ja nie chciałem jej słuchać, wszystko przez tę moją cholerną dumę, ja chciałem wytrwać za wszelką cenę, chciałem wszystkim pokazać, że mnie naziści nie złamią, mnie nie! – Martin uniósł zalaną łzami twarz. – A teraz ona musi za mnie cierpieć. Ja jestem bezpieczny, a ona umrze. Sara, najlepszy człowiek na świecie. Ona nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy! Nigdy! Nie zasłużyła na taki los. To ja, ja na to zasłużyłem, o wiele bardziej niż ona! Pozwólcie mi do niej iść, nie mogę się przecież ukrywać i pozwolić, aby została sama w rękach tych katów!

– Martinie, spokojnie. Poczekajmy, co powie Velin. Może będzie mógł pomóc.

Hans Velin pojawił się na Prinzregentenstrasse kilka godzin po rozmowie z Felicją, która dokładnie przedstawiła mu całą sytuację. Hans przebywał w Monachium już od początku roku, po przeniesieniu z Rosji, gdzie astma omal go nie zabiła. W domu czuł się nieco lepiej, ale jeszcze nie wydobrzał. Nie mógł podjąć się wykonania wielu rzeczy, które przedtem wydawały się mu oczywiste, i przez obniżone poczucie własnej wartości był na przemian albo małomówny, albo agresywny. Na domiar złego Zuzanna urodziła w listopadzie dziewczynkę, ale szybko ponownie zaszła w ciążę i pojawiła się nadzieja, że może wreszcie podaruje Führerowi syna.

Hans wszedł do domu z nieco zaciętą miną. Alex, który się go nie spodziewał i siedział w salonie, słuchając radia BBC, zdążył w ostatniej chwili zmienić stację.

– *Heil Hitler* – przywitał go Hans.

– Do diabła – odparł Alex. – To radio znów się psuje.

Nie mógł szybko znaleźć odpowiedniej stacji nadawczej i z głośnika wydobywały się tylko piski i trzeszczenie.

Velin usiadł, ciężko dysząc. Felicja uznała, że rzeczywiście wygląda bardzo źle. Miał niezwykle blade policzki i podkrążone oczy, co było następstwem wielu nieprzespanych nocy, kiedy zamiast spać, walczył o każdy oddech.

– Brzydka historia – zaczął. – Zasięgnąłem już języka. Ta... ta Sara... jak ona się nazywa?

– Sara Elias – odpowiedziała Felicja. Niepostrzeżenie zacisnęła dłoń.

– Tak, prawda, Sara Elias. Została aresztowana dziś po południu przez gestapo w swoim mieszkaniu. Przebywała tam sama. Jej mąż...

– Martin Elias.

– Jak twierdzi Sara, Martin Elias był jeszcze wtedy w pracy, a ona sama zawodowo nie pracuje.

A więc Sara nie wspomniała o swoim zatrudnieniu na pół etatu w przedsiębiorstwie Felicji, przypuszczalnie po to, aby nie przysporzyć przyjaciółce kłopotów. Czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Sara dziś pojawiła się w fabryce? Nie było co o tym myśleć, bo dziewczyna i tak nie miała tam co robić i często zostawała w domu, aby nie siedzieć beczynnym w biurze. Felicja płaciła jej za takie dni, mimo protestów Sary. „Felicjo, ja nie mogę przyjąć tych pieniędzy!”, „Bzdura, bierz. Jesteśmy przyjaciółkami i to normalne, że sobie nawzajem pomagamy, prawda?”

– A więc Martin Elias – mówił dalej Velin – nie pojawił się dotychczas w mieszkaniu, które jest obserwowane, o czym nie mógł wiedzieć.

– Tak, ale – spytała Felicja – gdzie on w takim razie może być?

Velin popatrzył na nią surowo.

– Dobrze pytanie. Dopytywano się u jego pracodawczyni, pewnej baronowej. I on ponoć jak zawsze wyszedł stamtąd późnym popołudniem...

„Aha, kimkolwiek jest ta stara, przynajmniej go kryła!”

– I baronowa niczego podejrzanego nie zauważyła. Jej zdaniem nie zaszło nic szczególnego. Możliwe, że kłamie, choć to niezbyt prawdopodobne. Ktoś więc musiał go ostrzec.

– A Sara jest teraz na gestapo? – dopytywała się Felicja.

– Tak. Przesłuchano ją, ale ona ponoć nie ma pojęcia, gdzie przebywa jej mąż. – Velin zakaszłał. – Ale może jeszcze zaczniesz mówić.

Felicja musiała się opanować, aby nie zacząć krzyczeć. Dobrze wiedziała, jak wyglądały przesłuchania na gestapo.

– Gdziekolwiek jest Martin, to przede wszystkim musimy pomóc Sarze – powiedziała, nie kryjąc zdenerwowania. – Hans, ona jest moją przyjaciółką od wielu lat. Razem chodziłyśmy do szkoły w Berlinie. Hans, proszę, chcę, aby uwolniono Sarę, aby ona, o ile to możliwe, mogła opuścić Niemcy!

– Myślisz, że to takie proste? – odparł Hans. – A ja nie chciałbym, aby moja rodzina znalazła się w tarapatkach. Ta sprawa i tak jest bardzo nieprzyjemna...

Felicja popatrzyła na niego pytająco. Alex tymczasem wstał, wyjął z szafy kieliszek, nalał do niego koniaku i podał Hansowi.

– Proszę, panie Hauptsturmführer...

– Dziękuję. – Hans wypił łyk. – Sprawa jest nieprzyjemna dlatego, że pewne osoby sądzą, iż Felicja ma coś wspólnego ze zniknięciem Eliasa.

– Ja? – Felicja popatrzyła na niego z nieukrywaniem oburzeniem. – To kompletna bzdura!

Miałabym się narazić na takie ryzyko? Nie jestem taka głupia, żeby nadstawiać dla kogoś karku!

Dostrzegła rozbawione spojrzenie Alexa i wiedziała, że jej słowa brzmiały przekonująco, bo mówiła dokładnie to, co czuła. Nie grała, była po prostu sobą. Tą Felicją, która nie ryzykowałaby niczego dla innych, ale która jednak robiła to, przewyciężając własny opór i zgrzytając zębami, bo zmuszały ją do tego okoliczności.

Koniak podziałał na Velina uspokajająco i zięć Felicji stał się bardziej rozluźniony niż na początku rozmowy.

– Oczywiście... to przecież tylko plotki. Ale jeśli takich plotek będzie więcej, to następstwa tego mogą być nieprzyjemne. – Velin wypił duszkiem resztę koniaku.

– Widzi pan – powiedział Alex – moja była żona i ja zwróciliśmy się do pana, bo sądzimy, że rzeczywiście będzie mógł pan nam pomóc. – Znow nalał Velinowi koniaku i uśmiechnął się do niego. – Rozumiemy, że to dla pana trudna sytuacja, ale proszę też zrozumieć Felicję. Sara Elias bardzo dużo dla niej zrobiła... – Było to kłamstwo, ale z pewnością wywarło na Velinie większe wrażenie, niż gdyby Alex mówił tylko o bliskiej przyjaźni obu kobiet.

Hauptsturmführer rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Zobaczę, czy będę mógł pomóc – odparł. – Ale chciałbym pana prosić, aby nie robił sobie pan zbyt wielkich nadziei. Nie mam pojęcia, czy ktokolwiek będzie chciał pójść mi na rękę. Mówiąc uczciwie, nawet w to wątpię.

– My w każdym razie jesteśmy z góry wdzięczni za pańskie działania – odpowiedział uprzejmie Alex.

Velin najwyraźniej nie miał ochoty wracać do domu, a poza tym smakował mu koniak. Został prawie do północy i z detalami opowiadał o swoim fascynującym spotkaniu z Führerem w Berghof. Mąż Zuzanny z pewnością nie był człowiekiem głupim, a jego sposób opowiadania mógł rzeczywiście przyciągnąć uwagę słuchacza. Zięć nie mógłby wzbudzić u Felicji jakichś cieplejszych uczuć, ale zaczęła trochę rozumieć, co widziała w nim jej córka.

Kiedy Hans wreszcie poszedł, Felicja, kompletnie wyczerpana, osunęła się na fotel.

– Myślałam, że nigdy się go nie pozbędziemy! Alex, wierzysz, że on będzie mógł coś zrobić dla Sary?

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach pokoju. W świetle padającym z korytarza wyglądał jak wielki, ciemny cień.

– Nie chcę ci odbierać nadziei, Felicjo, ale nie widzę na to zbyt wielkich szans. To, co tu ma teraz miejsce, to gigantyczna ofensywa przeciwko całemu narodowi, i żelazną zasadą strategii tego przedsięwzięcia jest nierobienie żadnych wyjątków. Nie wiem, jak daleko sięgają wpływy Hansa Velina... Nie wiem też, na ile będzie zdecydowany rano, kiedy minie działanie alkoholu. I obawiam się, że nic nie wskóra.

Felicja zmęczonym ruchem odgarnęła włosy z czoła.

– Jak mogło do czegoś takiego dojść? W jaki sposób ten szaleniec mógł zdobyć władzę? I jak długo to wszystko będzie trwało? – pytała.

– Już niedługo. Pogrzebowe dzwony biją, choć na razie cicho. Moskwa była pierwszą klęską, Führer bardzo się nią przejął i teraz zaczyna wpadać w panikę. Zwolnił najlepszych generałów, a to typowy objaw. Kiedy najbardziej szaleni dyktatorzy docierają do granic swoich możliwości, to zaczynają w histerycznym pośpiechu wymieniać ludzi i nie chcą dostrzec faktu, że przyczyną klęski nie są ci ludzie, lecz to, że dyktatorzy żądają od nich czegoś niemożliwego. I zamiast ratować to, co być może dałoby się utrzymać, próbują osiągnąć swój cel za wszelką cenę. I w ten sposób tylko kopią sobie coraz głębszy grób, w który potem wpadają. – Alex umilkł na chwilę, po czym dodał: – Powinnaś od czasu do czasu posłuchać BBC. Wiedziałybyś wówczas, że sytuacja nazistów wcale nie jest tak wspaniała, jak oni sami usiłują nam to wmówić



za pośrednictwem radia i gazet.

– No tak – odpowiedziała Felicja. – Ale cokolwiek się stanie, dla Sary będzie za późno.

– Nie możesz w tej chwili nic zrobić, Felicjo. Zajrzyj raz jeszcze do Martina i idź spać.

Głos Alexa był łagodny i przypomniała sobie, że on potrafi głaskać głosem i że to jej zawsze dobrze robiło.

– Tak się cieszę, Alex, że dziś tu byłeś – powiedziała cicho. – Dziękuję.

Na chwilę znów pojawiło się między nimi dawne osobliwe napięcie, jakieś dziwne, nieprzemijające przyciąganie, które od czasu do czasu dawało o sobie znać, w przerwach między licznymi słownymi potyczkami. Felicja na moment zamknęła oczy. Wydawało jej się, że on zaraz podejdzie do niej i weźmie ją w ramiona...

I nie wierzyła własnym uszom, kiedy wyszedł z uprzejmym „dobranoc”, starannie zamykając za sobą drzwi pokoju.

O świcie Peter Liliencron wreszcie zapadł w niespokojny sen, bo nie zmrużył oka przez pół nocy, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Nigdy nie sądził, że tak źle będzie znosił emigrancki los. Od czterech lat nie mieszkał już w Niemczech i codziennie dawała mu o sobie znać tęsknota za domem. Pocieszał się, że z czasem będzie lepiej, ale zamiast tego było coraz gorzej. Myśl o tym, że być może nigdy już nie zobaczy Niemiec, Monachium, zamieniła się wręcz w obsesję. Swoje robiła też nielubiana praca, choć dzięki niej Peter był w stanie się utrzymać – przyjaciele postarali się dla niego o posadę kelnera w bistro, kiedy nie mógł wypłacić pieniędzy ze swoich szwajcarskich kont i wydał wszystko, co ze sobą przywiózł.

Teraz obudziło go gwałtowne walenie w drzwi, któremu towarzyszył krzyk:

– Otwierać!

Przerażony otworzył oczy, ale natychmiast je zamknął. Oślepiło go ostre czerwcowe słońce, którego promienie świeciły prosto w wychodzące na wschód okno sypialni. Peter podniósł się, wymacał szlafrok i buty, po czym otworzył drzwi. Przed nim stał urzędnik francuskiej policji.

– Peter Liliencron? – spytał.

Jak im się udało ustalić jego tożsamość? Wtedy, po powrocie z nieudanej ucieczki, przyjaciele załatwili mu fałszywe papiery na imię i nazwisko Vincent Latour.

– Nie jestem Peterem Liliencronem. Nazywam się Latour, Vincent Latour. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wiszącej obok drzwi, i wyciągnął dowód osobisty, po czym pokazał go policjantowi. Ale ten nawet nie spojrzął na dokument.

– My wiemy, że nazywa się pan Peter Liliencron i że jest pan Żydem z Niemiec. Wiemy też, że mieszka pan tutaj pod fałszywym nazwiskiem.

Peter miał wrażenie, że dostrzegł w oczach policjanta coś jakby cień współczucia. Wielu Francuzów nienawidziło polować na Żydów, do czego ich zmuszano, i ten, który przed nim stał, najwyraźniej do takich należał.

– Przykro mi – powiedział – muszę pana aresztować. Ma pan być przewieziony na wschód.

Peter nigdy nie czuł się bezpiecznie i zawsze liczył się z tym, że któregoś dnia znajdzie się w sytuacji takiej jak ta, ale teraz miał wrażenie, jak gdyby został uderzony obuchem. Jednocześnie rozmyślał gorączkowo: „Jak oni ustalili, kim jestem? Musieli schwytać kogoś z moich przyjaciół i przesłuchać, i on prawdopodobnie podał im nazwiska i adresy”.

Nie było sensu kłamać. Był spalony.

– Może pan zabrać ze sobą żywność na dwa dni i kilka rzeczy osobistych. – Policjant podwinął rękaw swojego munduru i zerknął na zegarek. – Powiedzmy, że za godzinę tu będę, aby mógł się pan ubrać i spakować.

Peter wstrzymał oddech, a policjant popatrzył na niego surowo.

– Za godzinę – powtórzył, po czym odwrócił się i zszedł po schodach.

Peter zamknął drzwi i w pierwszej chwili nie mógł tego pojąć. Słyszał o francuskich policjantach, którzy nie mieli litości, ale i o takich, którzy próbowali coś zrobić dla swoich ofiar i dawali im szansę ucieczki. Całą godzinę! Pozostała mu godzina, aby uciec.

Zaczął się szybko ubierać.

Claire wróciła tego ranka z jednej ze swoich niebezpiecznych wypraw i spokojnie weszła na podwórze. Słońce wzniosło się wysoko ponad okoliczne wzgórza, rosa na trawie lśniła, a w oddali cicho szumiało morze. Zaczął się piękny letni dzień i tylko około południa nad polami być może pojawi się trochę mgły, która szybko powędruje w górę i zabarwi wieczorne niebo nad morzem fioletem i czerwienią.

Filip, który leżał w łóżku i nasłuchiwał kroków Claire, znał doskonale te dni bretońskiego lata i kochał je, kochał nawet uczucie sennego zmęczenia, które pojawiało się koło południa i powodowało, że ciało wydawało się ciężkie, a krew płynąca w żyłach gęstniała niczym słodki miód. Ale kiedy nadchodził wieczór, znikało znużenie i można było wędrować przez łąki w stronę klifów, zebrawszy garść pierwszych tego roku malin powoli rozpluwających się w ustach. Tam, na górze, czuło się pierwszy powiew nadchodzącego wiatru, kiedy słońce powoli zanurzało się w morskich falach.

A teraz Filip zastanawiał się, gdzie podziała się ta radość, z którą zawsze witał pierwsze dni lata. Nie był już młodym mężczyzną, ale fakt, że się starzeje i staje się coraz słabszy, nigdy nie napawał go smutkiem. Bo zawsze wtedy myślał o jednym: „Mam Claire. Mam cudowne życie w tej nadmorskiej wsi. Mam letnie wieczory pełne kolorów i długie wieczory zimą, kiedy wszystko dookoła pokrywa śnieg. Jesienią mam szum wiatru w czasie sztormu i krople deszczu uderzające w okno. Mam też swoje wiosny, podczas których morze lśni jak szmaragd i można już wypuszczać na zewnątrz ryczące ze szczęścia zwierzęta. I jak długo mam to wszystko, nic mi się nie może stać”.

Ale jednak nie przypuszczał, nie wiedział, co się może wydarzyć. Że Niemcy zajmą Francję, że jego mały syn zginie w ostrzale artyleryjskim, że Claire któregoś dnia stanie się kimś zupełnie innym: fanatyczną, opętaną nienawiścią bojowniczką ruchu oporu.

I tego ranka Filip po raz pierwszy przyznał przed sobą samym: stracił Claire. Nie mógł się do niej zbliżyć, nie docierały do niej jego słowa. Co się z nią stało tego dnia, kiedy zmarł Jérôme? Czy dla niej nie było już odwrotu z tej drogi? Czy ta dawna Claire została pochowana wraz z Jérôme'em? Tamte dni minęły bezpowrotnie i nie wiadomo było, co przyniosą następne.

Słyszał jej kroki na górze. Wlepił oczy w sufit. Nie sypiali już razem, Claire przygotowała dla siebie małą izbę na górze. Wyjaśniła, że nie chciała mu przeszkadzać, bo często późno wracała, ale Filip wiedział, że była to tylko wymówka. W rzeczywistości chciała mu powiedzieć: „Pozwól mi wieść własne życie. Osobno”.

Chodziła jeszcze przez dłuższy czas tam i z powrotem, Filip dobrze znał ten niepokój. Zawsze, kiedy wracała po nocnej akcji do domu, najpierw nie mogła ani spokojnie usiąść, ani się położyć, bez względu na to, jak bardzo była wyczerpana. Przeważnie musiała wypić dwa kubki czerwonego wina – to był jej najskuteczniejszy środek usypiający – aby choć na krótki czas zapaść w niespokojną drzemkę.

Znów kroki. Trwało to jeszcze z pół godziny, a potem znikła wreszcie w swoim pokoju, Filip usłyszał, jak zamykała drzwi. Jak zawsze jego siła woli została wystawiona na ciężką próbę: „Nie. Nie pójde do niej. Nie zajrzę do niej. Nic mnie to nie obchodzi! Wstanę i zjem śniadanie. Nie pójde na górę”.

Wstał, ubrał się powoli, a potem długo stał w oknie, oddychając chłodnym jeszcze

powietrzem. Wreszcie wyszedł z pokoju. Miał dziś problemy z chodzeniem, kikut amputowanej nogi bolał nieznośnie, a drewniana proteza stukała głośno, kiedy szedł po schodach. Wbrew swojej woli, jakby napędzany magiczną siłą, wszedł do salonu. Jego wzrok powędrował w stronę belki obok drzwi. Natychmiast zauważył kolejne nacięcie.

Peter spakował najpotrzebniejsze rzeczy, naprawdę tylko te, bez których nie mógł się obyć, bo musiał zmieścić wszystko do małej, nierzucającej się w oczy torby. Na samym dnie leżała fotografia Felicji, którą przykrył bielizną i skarpetami. Uśmiechnął się na myśl o tym, że dawniej zawsze potrzebował kilku wielkich walizek.

Kiedy wszedł do holu wejściowego, jak spod ziemi wyrosła konsjerżka i chwyciła go za ramię.

– Stać! Dokąd się pan wybiera?

Peter miał na końcu języka jakąś szorstką odpowiedź, bo ta kobieta ani nie miała prawa chwytać go za ramię, ani zadawać mu takich pytań, ale jego krytyczna sytuacja nie pozwalała mu na jawny konflikt.

– Mam parę spraw do załatwienia – odparł uprzejmie.

Kobieta mierzyła go spojrzeniem zmrużonych oczu.

– Tak, parę spraw? Nie wygląda pan jak ktoś, kto idzie tylko do miasta! A co ma pan w torbie?

Peter starał się odpowiadać grzecznym tonem:

– Proszę wybaczyć, ale sądzę, że to naprawdę tylko moja sprawa. I czy mogłaby pani puścić moje ramię?

Kobieta rzeczywiście cofnęła rękę, ale powiedziała:

– Brama wejściowa jest zamknięta.

– A to dlaczego?

Czy on to sobie wmawiał, czy też ona rzeczywiście uśmiechała się szyderczo?

– Bo uważam, że tak jest bezpieczniej. Mam przeczucie, że policjant, który pana odwiedził, nie zgodziłby się na to, aby opuścił pan dom. Czy on nie zamierzał wrócić tu za godzinę i zabrać pana ze sobą?

Czyli ona stała na schodach na dole i podsłuchiwała. Peter przestał więc przed nią udawać.

– No to wie pani, o co tu chodzi. Proszę otworzyć drzwi.

– O, nie! – Konsjerżka potrząsnęła gwałtownie głową. – Jestem porządną obywatelką. Wspieram policję swojego kraju i nie działam przeciwko niej.

– Wie pani przecież, dlaczego on dał mi tę godzinę!

Dobry Boże, nie mogło mu się nie udać z powodu tej tłustej baby!

– Nic nie wiem. Oprócz tego, że został pan aresztowany i ma być pan stąd zabrany za godzinę. I nie pozwolę, aby pan w międzyczasie uciekł!

Stała twardo jak skała i ani myślała ustąpić, a wielki kok blond włosów sprawiał, że wydawała się jeszcze większa. Mimo kiepskiego zaopatrzenia Paryża w żywność jej ubrania ciasno opinały tłuste ciało o doskonale zachowanych proporcjach. Ona, ta porządna obywatelka, za jaką się uważała, jadła dobrze, bo od ponad roku romansowała z jednym z żołnierzy okupanta i nawet przed kilkoma tygodniami urodziła mu dziecko.

– Madame – powiedział Peter. – Wie pani przecież, że francuska policja pracuje na zlecenie Niemców. A więc w tym momencie w żadnym wypadku nie wspiera pani swojego kraju. Wspiera pani wrogów Francji, armię okupacyjną, z powodu której pani naród cierpi.

– Spełniam swój obowiązek – odpowiedziała niewzruszenie.

Peter odwrócił się i chciał znów wejść na schody. „Szaleństwo”, pomyślał, „ten człowiek

daje mi szansę na uratowanie życia i wtedy na mojej drodze staje ta wariatka i wydaje mnie katom, a zarówno ona, jak i policjant należą do tego samego narodu... Umrę, do cholery, umrę, bo ta baba mnie tu zatrzymuje...”.

Rozmyślał gorączkowo. Nie mógł wyjść przez okno swojego mieszkania z dwóch powodów. Po pierwsze, znajdowało się na pierwszym piętrze i skok z niego był niebezpieczny, a po drugie, wszystkie okna wychodziły na ulicę i mieszkańcy by go zobaczyli. Z piwnicy drzwi prowadziły na podwórze, ale one zawsze pozostawały zamknięte, tak samo było pewnie i dzisiaj. To konsjerżka na pewno już sprawdziła.

„Nie mogę przecież po prostu jej zatłuc. Jeszcze nigdy nie zaatakowałem żadnego człowieka, nie mogę...”

Przestał intensywnie się zastanawiać i zwolnił kroku. Oczywiście, Peter Liliencron, elegancki pan, esteta, mężczyzna o nienagannych manierach, który brzydził się wszystkim, co głośne, brutalne i chamskie, miał teraz iść i w jakiś sposób obezwładnić tę tłustą babę i zmusić ją do milczenia!? Poczul, że na samą myśl o tym pot wystąpił mu na całym ciele z przerażenia, ale jednocześnie przed jego oczami pojawiła się Felicja, a wspomnienie o niej było tak silne, jak owego ranka po nieudanej ucieczce z okupowanych terenów Francji. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, marszcząc czoło i nic nie rozumiejąc. „Peter, na miłość boską, przecież pójście teraz do mieszkania i czekanie grzecznie na policję to szaleństwo! Jeśli nie wykorzystasz tej szansy, drugiej już nie dostaniesz. Idź, walnij ją kamieniem w głowę albo zrób coś podobnego, a potem uciekaj! Zrób to! Zrób to!”

Odwrócił się powoli. Wydawało mu się, że ma na stopach ołowiane ciężary ważące całe tony.

– Madame?

Kobieta ciągle stała na dole przy schodach i wpatrywała się w niego. Była gotowa zapobiec wszelkiej próbie ucieczki.

– Tak? – spytała nieufnie.

– Madame, ostatnia prośba. Chciałbym jeszcze wysłać list do matki. Nie mam jednak znaczka i nie mogę go już kupić. Czy dostanę go od pani?

Nieufność na twarzy kobiety przeszła w pogardę. On chciał jeszcze napisać list! Nic więcej nie przyszło mu już do głowy! Spodziewała się, że choćby spróbuje zjechać po rynnie. Wtedy krzyczałaby tak głośno, że usłyszałaby ją cała ulica, zostałby zatrzymany, a ona miałaby swoje pięć minut... Ale nie, on od razu skapitulował, tak, to typowe, i tego się właśnie po nim spodziewała. Dziwak, koszmarne uprzejmy. Cichy i zamknięty w sobie, i jeszcze ta ascetyczna twarz! Jasne, taki ktoś nawet nie kiwnie palcem w bucie, aby się bronić!

– No, jeśli nic więcej pan nie potrzebuje – powiedziała – to znaczek mogę panu dać. Ale musi pan za niego zapłacić!

– Oczywiście – odparł Peter i zszedł po schodach.

Konsjerżka się odwróciła i weszła do swojego mieszkania. A wtedy on nagle wykręcił jej ramię do tyłu i przycisnął rękę do ust.

– Ani słowa – nakazał – bo będę musiał panią zabić.

Z gardła konsjerżki wydobywał się gulgoczący dźwięk. Kobieta zaczęła się z całej siły bronić, kopiąc napastnika w nogi i szamocząc się jak ryba na haku. Ale Peter z brutalnością, jakiej nie spodziewała się po takim bladym intelektualistcie, podciągnął do góry jej wykręcone ramię i konsjerżka poddała się z bólu. Peter wepchnął kobietę do mieszkania, cofnął rękę z jej ust i rzucił ją na sofę w kuchni; a potem mocno przycisnął jej twarz do poduszki. Konsjerżka przeraziła się, że się udusi. Mężczyzna wpółleżał na niej i grzebał po kieszeniach jej fartucha, aż w końcu znalazł to, czego szukał: klucz od bramy! Klucz, który miała tylko ona i nikt inny.

Klucz do wolności.

Kobieta znów zaczęła się szamotać, bo brakowało jej powietrza. Peter rozejrzał się, dostrzegł na stole obok sofy jakąś białą szmatkę, w którą konsjerżka zawijała robótkę na szydełku, i pochwycił ją. Wytrząsnął z niej jakiś brzydki żółtozielony szalik i błyskawicznie zawiązał go wokół głowy swojej ofiary tak, że wchodził jej do szeroko otwartych ust. Peter zaciągnął węzeł z tyłu głowy kobiety, a potem raz jeszcze wykręcił jej ramię i zmusił ją do wstania. Z kneblem wyglądała wręcz groteskowo, próbowała wysunąć go językiem i przewracała oczami.

Peter wypchnął ją na korytarz, rozglądając się gorączkowo za miejscem, w którym mógłby ją zamknąć. Cały czas miał wrażenie, że gra główną rolę w jakimś kiepskim filmie. Sceny takie jak ta znał z kina, a nie z życia, a już zwłaszcza ze swojego.

Obok łazienki dostrzegł małą spiżarnię bez okna, ciemną jak grób. Niewiele myśląc, wpędził tam dziko broniącą się konsjerżkę, po czym rozległ się hałas przewracanych przedmiotów. Kobieta stękała głośno, być może zwichnęła sobie nogę albo o coś się uderzyła, ale nie było czasu się tym zajmować. Peter zamknął drzwi spiżarni i przekręcił klucz. Na chwilę oparł się o nie i odetchnął głęboko. Był uratowany!

– Felicja chyba mi nie uwierzyła – wymamrotał.

Szybko wrócił do kuchni i podniósł klucz, który w czasie szamotaniny wypadł na podłogę. Teraz musiał jak najszybciej opuścić dom. W swojej walce o przetrwanie odniósł decydujące zwycięstwo. Dał tu o sobie znać jakiś nieznany mu, głęboko ukryty instynkt. Teraz jednak to wszystko wydawało mu się znów nieprawdopodobne.

#### 4.

Dywizja, do której należał pułk Maxa Marty'ego, została wycofana na teren Polski. Po nieudanej ofensywie na Moskwę jej szeregi przerzedziły się jeszcze bardziej, a żołnierze, którzy przeżyli, cierpieli z powodu silnego wyczerpania, chorób i trudów frontowego życia. Teraz znaleźli się spory kawałek na zachód od Warszawy, prawie na granicy Generalnej Guberni i Rzeszy i Max nie mógł się doczekać urlopu. Chciał pojechać do Berlina i w końcu dowódca kompanii dał mu pozwolenie na wyjazd.

– Ale proszę, aby pan przez cały czas był dostępny – upominał surowo – bo możliwe, że w każdej chwili może pan zostać odwołany.

– Oczywiście, panie poruczniku.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Max znów odzyskał trochę ufności. Czasami wydawało mu się, że lodowata zima, śmierć żołnierzy i beznadzieja towarzysząca każdemu z upływających dni zabiły w nim wszystko, co miało dla niego jakieś znaczenie: spokój, szczęście, tęsknotę, zapach... Ale teraz, z dala od tych okropności i zgrozy, poczuł pulsujące w sobie życie. Nagle obudziła się w nim nadzieja, że ta straszna wojna kiedyś się skończy i że on przeżyje, nagle znów uwierzył w to, że dawne życie powróci i ostrożnie okryje rany tego czasu.

„Belle...”, powtarzał to imię w myślach raz po raz. Jeśli ją teraz zobaczy, to bez względu na to, ile będzie trwał ten urlop, opowie jej to wszystko, co przychodziło mu do głowy w czasie ich rozłąki. Większość przemyśleń opisał jej w swych listach, ale to przecież co innego, kiedy się stoi naprzeciw drugiego człowieka i porozumiewa się także oczami, uśmiechem i delikatnym dotykiem. Max dotarł okropnym, starym autobusem na Dolny Śląsk i wsiadł w Breslau do pociągu jadącego do Berlina. Był 24 czerwca 1942 roku.

Belle opuściła tereny studia UFA i odetchnęła głęboko, kiedy poczuła czyste wieczorne powietrze. Właśnie po raz ostatni usłyszała uderzenie klapsa filmowego i cieszyła się, że miała już wszystko za sobą. Objawy silnego przeziębienia jeszcze nie minęły i czuła się podle. W jasnoblond peruce musiała grać w głupawym filmie propagandowym *Siła przez radość* o pewnej kobiecie emablowanej przez dwóch żołnierzy frontowych, która dopiero po bardzo długich wahaniach wybiera jednego z nich. Drugi żołnierz także znalazł sympatyczną dziewczynę, również o jasnych włosach, i na koniec wszyscy czworo radośnie patrzyli wprost do kamery i oświadczaali, że trwająca już trzy lata wojna nie odebrała Niemcom ani radości życia, ani optymizmu.

„Takie epizody muszę pominąć w swoich memuarach”, pomyślała Belle. Stała na ulicy i zastanawiała się, dokąd ma się udać: do domu, co zrobiłaby najchętniej, czy też do babki Elzy, która opiekowała się Sophie już od tygodnia i którą zgodnie z poczuciem przyzwoitości należałoby już zwolnić z tego obowiązku.

Nagle zza pleców dobiegły ją słowa:

– A czy znajdzie pani czas dla trzeciego mężczyzny?

Odwróciła się gwałtownie.

– Andreas!

Stał tam tak po prostu i uśmiechał się do niej. Po chwili zrozumiała, że ta uwaga odnosiła się do treści filmu i sprzeczki obu mężczyzn, do której doszło w filmie. Zaskoczona zapytała:

– Skąd ty wiesz, że...

– Przyglądałem się przez ostatnią godzinę kręconym scenom. Pozwoliła mi na to jakaś bardzo miła dziewczyna, która zajmuje się oświetleniem czy czymś podobnym.

– To nie w porządku z twojej strony. Wiesz, że nienawidzę, kiedy ktoś z zewnątrz przygląda się, jak pracuję.

– Tak. Ale jakoś musiałem się do ciebie dostać.

Belle umilkła i zastanawiała się, dlaczego, u diabła, tak bardzo się ucieszyła na jego widok. W końcu powiedziała cicho:

– Możesz teraz znów wygłaszać długie przemowy na temat szmiry, w której występuję.

Andreas po prostu ujął ją za ramię i pociągnął w kierunku swojego samochodu.

– Nie. W końcu ten film służy umocnieniu woli przetrwania Niemców, a to bardzo szczytny cel.

Popatrzyła na niego nieufnie, a on się roześmiał.

– Nie rób takiej poważnej miny, Belle. Od pół roku umieram z tęsknoty za tobą, a kiedy wreszcie mogę cię zobaczyć, tobie się wydaje, że się tylko czepiam.

– I to nie pierwszy raz, prawda?

– Belle, chcę zjeść z tobą kolację.

Właściwie mogłaby natychmiast się zgodzić, bo tak bardzo się stęskniła za męskim towarzystwem i męczyła ją samotność, ale wahała się, bo miała jednak skrupuły.

– Nie wiem, Andreasie. Właściwie muszę odwiedzić moje dziecko, które jest u babki, bo już o wiele za długo...

– Wszystkie babcie wariują na punkcie wnucząt – oświadczył Andreas. – A wszystkie wnuczęta wariują za babkami. Wiem to z własnego doświadczenia. A więc pozwól im obu cieszyć się sobą i chodź ze mną!

– Andreasie... – Belle czuła się rozdarta i nie potrafiła podjąć decyzji. – Wyjaśniłam ci wtedy w czasie świąt, dlaczego to jest niemożliwe!

– Jasne. Chcesz być wierną żoną. Ale ponieważ nigdy właściwie nie żyłaś według tej zasady, to nie widzę powodu, dla którego akurat teraz miałabyś to robić.

– Słuchaj... – oburzyła się, ale on roześmiał się i otworzył drzwi samochodu.

– Wsiadaj i nie przejmuj się tak bardzo. Jesteś okropnie blada i wyglądasz na strasznie zmęczoną. Wydaje mi się, że nie pozwalasz sobie nawet na odrobinę przyjemności.

Miło byłoby z nim porozmawiać, siedzieć obok niego, od czasu do czasu na niego popatrzeć i przejechać palcami po jego czarnych włosach. Andreas nie zmienił wody kolońskiej, odkąd się poznali, i Belle poczuła, że budzą się w niej wspomnienia wspólnie spędzonych nocy i szczegółów, które ukryła gdzieś głęboko w pamięci. Kiedy dotarli do domu, w którym mieszkał Andreas, zupełnie przestała się bronić.

– Tak, zjemy coś. Ale u mnie.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Belle usiadła na kanapie i słyszała, jak Andreas zamawia przez telefon w restauracji Habels Weinstuben kolację składającą się z pięciu dań.

– Za pół godziny przyniosą – powiedział, odkładając słuchawkę.

– To będzie cię kosztowało kartki z całego miesiąca! – odparła Belle zachrypniętym głosem. – Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – zapewnił cicho Andreas, usiadł obok niej na sofie i ją pocałował.

Nie tracili nawet czasu na pójście do sypialni, choć tam byłoby wygodniej. Rozbierali się niecierpliwie nawzajem; dzień był gorący, a ich skóra ciepła i słona od potu.

– Nigdy już mnie nie odprawiaj – szeptał Andreas. – Byłem w święta tak wściekły na ciebie, że mógłbym ci skrócić kark, a potem niemal oszalałem z tęsknoty za tobą.

– Ja też... Andreasie, czułam się, jakbym tak naprawdę nie żyła i jakby nic nie miało sensu...

Pragnęła mu opisać rozpacz, z jaką zareagowała na list Maxa z frontu, chciała mu wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ale nie mogła znaleźć właściwych słów. Andreas poruszał się delikatnie w jej wnętrzu, nieruchomiał co chwila, bo nie chciał, aby wszystko zbyt szybko minęło. Uniósł się, ostrożnie pogładził ją po włosach i dostrzegł, że jej szare oczy były nieco przymglone, i nagle nie wydawały mu się tak chłodne i zupełnie nieruchome jak zwykle.

– Moja piękna Belle! Żadnej kobiety nie kochałem tak jak ciebie. Być może nigdy wcześniej tak naprawdę nie kochałem. Nie będę się już przed tym bronił, Belle. Kocham cię i tak będzie zawsze.

Były to słowa, które zwykle mówi się w chwilach takich jak ta, ale Belle знаła Andreasa i wiedziała, że nie powiedziałaby ich, gdyby czuł coś innego. Miała nadzieję, że nie zauważy uczucia triumfu, które w niej narastało. Byli sobie przeznaczeni. Ona wiedziała o tym zawsze, a on wreszcie to pojął. W tym momencie uświadomiła sobie, że musi podjąć jakąś decyzję, nie bacząc na konsekwencje.

– Andreasie, zostań ze mną na całe życie – powiedziała.

Za chwilę mieli na parę sekund zapomnieć o otaczającym ich świecie.

Max przyszedł do mieszkania przy Alexanderplatz około godziny dwudziestej i z rozczarowaniem stwierdził, że nikogo nie zastał. Trochę się z tym liczył, bo Belle często przychodziła późno do domu; może jeszcze pracowała albo wyszła gdzieś z kolegami. Mogła nadejść w każdej chwili.

Poczuł głód i najpierw poszukał w kuchni czegoś do jedzenia. W końcu znalazł trochę chleba i sera oraz pół butelki czerwonego wina. Jadł i pił powoli, potem zajrzał do pokoiów i stwierdził z zadowoleniem, że nic się tu nie zmieniło. W sypialni leżało kilka par butów Belle, a na fotelu porządnie ułożone ubrania. W łazience kobieta swoimi rzeczami zajęła wszystkie możliwe miejsca, wszędzie rozrzuciła kosmetyki, zaś na brzegu wanny powiesiła bieliznę. Do lustra przyklejona była ich ślubna fotografia. Max przyjrzał się jej dokładnie: jakże poważnie wtedy wyglądał! Za to Belle, w białym kostiumie i takim samym kapelusiku na głowie, wprost promieniała. Bez wątpienia była tego dnia naprawdę szczęśliwa.

„Belle, jest tak wiele spraw, o których muszę ci opowiedzieć!”

Siedział i czekał, nasłuchując tykania zegara ściennego, i patrzył, jak za oknem zapada noc. Ponieważ nie zapalał światła, zrezygnował z zaciągania rolet zaciemniających i dzięki temu mógł obserwować rozgwieżdżone niebo. Około godziny dwudziestej drugiej przyszło mu do głowy, że Belle mogła spędzać tę noc u swojej babki. Oczywiście, że też wcześniej o tym nie pomyślał! Musiała przecież zostawiać tam na cały dzień Sophie i prawdopodobnie dlatego nocowała na Schlossstrasse tak często, jak to tylko było możliwe, aby przynajmniej rano i wieczorem móc zobaczyć dziecko. Max założył czapkę i wyszedł z mieszkania.

Elza Degnolly jeszcze nie spała i całkiem straciła panowanie nad sobą, kiedy zobaczyła Maxa. Rzuciła się na szyję mężowi wnuczki.

– Max! Dzięki Bogu. Tak długo nie mieliśmy od ciebie wiadomości! Masz urlop? Zostaniesz dłużej w Berlinie? Jak ty strasznie schudłeś!

Mężczyzna uśmiechał się, kiedy delikatne ręce starszej damy ostrożnie dotykały jego twarzy.

– Ze mną wszystko w porządku, Elzo. Naprawdę. Choć zima pod Moskwą była trochę męcząca...

„Najbardziej zuchwałe określenie wszech czasów!”

– ...ale w tej chwili zapomniałem już o wszystkich odmrożeniach i o głodzie. – Nie potrafił ukryć zniecierpliwienia, kiedy spytał: – Elzo, czy Belle tutaj jest?

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.



- Nie. Sądziłam, że jest u was, w waszym mieszkaniu.
- Nie ma jej tam. Czekałam przez dwie godziny. Gdzie ona może być?

Jego rozczarowanie nie uszło uwagi Elzy, która popatrzyła na niego bezradnie i z ubolewaniem.

– Mój Boże, ależ głupio! Wreszcie przyjeżdżasz do domu i nie możecie się spotkać! Może poszła z kolegami świętować, bo oni kręcili jakiś film propagandowy, który dziś właśnie miał być skończony. Ale za to – Elza ujęła go za rękę – jest tu Sophie. Chodź ją zobaczyć.

Dziewczynka spała smacznie i nie obudziła się, kiedy ojciec pochylił się nad jej łóżeczkiem. Jak na dwulatkę była rzeczywiście wyjątkowo śliczna – miała długie rzęsy i malutki dołeczek w podbródku. W świetle lampy jej okrągłe policzki nabrały różowego odcienia.

– Kiedy dorosnie – wyszeptał Max – będzie jeszcze piękniejsza niż Belle. – Powiedziawszy to, odwrócił się w stronę Elzy. – Chodź – rzekł. – Jeśli się nagle obudzi i zobaczy obcego, nieogolonego mężczyznę w mundurze, to przerazi się śmiertelnie.

Oboje na palcach wyszli z pokoju. W salonie Elza zaproponowała:

– Zostań tu na noc, Max. Belle na pewno przyjdzie, bo nie widziała Sophie już od trzech dni. A poza tym musiałbyś znów jechać przez pół miasta.

Max skinął głową. Czuł ogromne zmęczenie, a poza tym nie chciał ryzykować znalezienia się w ciemnym, pustym mieszkaniu. Elza zaprowadziła go do dawnego pokoju Felicji, w którym teraz sypiała Belle, kiedy tu przychodziła.

– Ona cię tu od razu znajdzie, gdy wróci do domu. Śpij dobrze, Max. Cieszę się, że jesteś.

Kiedy Elza wyszła, Max rozebrał się, starannie powiesił wszystkie rzeczy na oparciu krzesła i nagle przestał odczuwać zmęczenie. Poczytał jakieś czasopismo, które leżało na stole, a potem, tuż po północy, zgasił światło. Ale nie mógł zasnąć. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ciemność i nasłuchiwał wszystkich odgłosów domu. Ale Belle nie przyszła.

Następnego dnia lał rzęsy, ciepły letni deszcz, który w zasadzie nie przyniósł ochłodzenia. Belle spała głęboko w objęciach Andreasa. Po wspaniałej i bardzo obfitej kolacji poszli do łóżka, aby znów się kochać. Koło trzeciej oboje w jakiś tajemniczy sposób obudzili się jednocześnie i znowu wpadli sobie w ramiona. Za oknem padało.

Przy śniadaniu – Belle piła tylko czarną kawę, bardzo cenny w tych czasach napój – Andreas zdradził, że jedzie do Zurychu. Kobieta odstawiła filiżankę.

– Dzisiaj? Teraz?

– Za godzinę. To długa podróż i nie powinniśmy tracić czasu.

– My?

– Tak, pomyślałem, że właściwie mogłabyś pojechać ze mną. Zajmie to pięć dni i moglibyśmy miło spędzić czas.

– Tak, ale to przecież niemożliwe... To znaczy, ja nie mogę tak po prostu wyjechać...

– Dlaczego nie? Mówiłaś, że wczoraj był ostatni dzień zdjęciowy. A szczerze mówiąc, wyglądasz na dość wykończoną. Zmiana powietrza dobrze ci zrobi. Jesteś stanowczo zbyt blada.

– Właściwie powinnam się zatroszczyć o Sophie – odparła Belle niechętnie.

Andreas się uśmiechnął.

– A kto zatroszczy się o mnie?

– O, jeśli o to chodzi – odpowiedziała złośliwie – to obawiam się, że masz sporo chętnych kandydatek.

– Z pewnością. Ale ja chcę tylko ciebie. – Popatrzył na nią poważnie i z naciskiem. – Proszę. Myślę, że nie będziesz żałować.

I w końcu Belle ustąpiła, chociaż dręczyły ją wyrzuty sumienia. Wpadli do jej mieszkania na chwilę, aby mogła zabrać bieliznę i parę sukienek, i w pośpiechu nie zauważyła, że na stole

w kuchni stał dodatkowy talerz. A ponieważ Max położył swój niewielki bagaż w sypialni na szafie, Belle nie dostrzegła także i tego. Kiedy wychodziła z mieszkania, nie miała pojęcia o powrocie męża.

Andreas w czasie podróży miał znakomity humor, śmiał się i opowiadał historie ze swojego życia. Zakupił u Horchera różne sałatki oraz butelkę wina i w południe zrobili sobie piknik na łące w samym środku lasu. Mieli wrażenie, że wojna jest bardzo, bardzo daleko. Deszcz przestał padać, zza chmur wyjrzało słońce i mokra trawa zaczęła parować. Powietrze pachniało żywicą i mchem. Ciągłe byli siebie spragnieni i także tutaj się kochali. Belle miała potem wielkie plamy od trawy na sukience. Kiedy nocą dotarli do Frankfurtu i szli do hotelu, Andreas narzucił na jej ramiona swoją marynarkę, aby, jak to ujął, nie wyglądała zbyt nieobyčajnie.

Belle nie powiedziała o wyjeździe babce; ani przez telefon, ani osobiście nie potrafiła tak bezczelnie okłamać starej kobiety, a prawdziwego powodu swej podróży tym bardziej nie mogła zdradzić. Wysłała więc z Frankfurtu telegram, w którym oświadczyła, że przyjechała tu nagle na dodatkowe zdjęcia i że za parę dni wróci do Berlina. To kłamstwo przyszło jej z ogromnym trudem, a Andreas w czasie kolacji – ponieważ było już późno, dostali tylko półmisek serów i trochę czarnego chleba – śmiał się z niej.

– Ciągłe jeszcze mała dziewczynka, która nauczyła się, że dorosłych nie wolno okłamywać! Czasami jesteś naprawdę rozkosznie milutka, Belle. Przede wszystkim kiedy masz wyrzuty sumienia, jak teraz.

Belle popatrzyła na niego ze złością.

– Łatwo ci mówić. A ja w końcu jestem przecież mężatką. I to, że tu z tobą siedzę, wcale nie jest takie oczywiste.

– Byłaś zbyt młoda, kiedy wychodziłaś za męża. Zbyt niedoświadczona. I nigdy nie kochałaś Maxa Marty'ego.

– To nieprawda. Bardzo go kochałam. A w pewien sposób Kocham go jeszcze dziś. Tylko że...

– Tylko że nie lubisz chodzić z nim do łóżka, prawda? – dokończył cynicznie.

Belle spojrzała na niego chłodno.

– To prawda. I jeśli o to chodzi, to ja i ty możemy być czymś w rodzaju wspólnoty interesów.

Niemal niezauważalnie wkradł się do ich rozmowy jakiś inny ton: u Andreasa dało się wyczuć agresję i zazdrość, a Belle to cieszyło, bo dawniej to ona musiała grać rolę zazdrośnicy.

Andreas odsunął talerz z suchym kawałkiem camemberta i wstał.

– Chodź – powiedział. – W takim razie nie powinniśmy tracić czasu.

Tej nocy traktował ją brutalnie i bezwzględnie, a Belle czuła wstyd, bo było jej z tym dobrze. Rankiem obudzili się w znakomitych nastrojach, po wyznaniu sobie podświadomie jakichś tajemnic, których nie dało się wyrazić słowami, i jak zwykle, kiedy na siebie spoglądali, musieli dotykać swoich rąk. Znowu padał deszcz, Niemcy były w stanie wojny, ale deszcz miał przestać padać i wojna też miała się kiedyś skończyć.

Tuż przed szwajcarską granicą Belle wydało się, że Andreas stał się trochę bardziej milczący, a wręcz zdenerwowany. Jechał, koncentrując się na prowadzeniu auta, i patrzył tylko przed siebie. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

Zatrzymali się przed szlabanem na zupełnie pustym przejściu, a niemiecki pogranicznik najwyraźniej ucieszył się z odmiany na nudnej służbie.

– Dlaczego chce pan wjechać do Szwajcarii? – dopytywał się po dokładnym obejrzeniu paszportów.

– Kieruję zakładem produkującym stal szlachetną – wyjaśniał Andreas. – Współpracujemy ściśle z przemysłem zbrojeniowym, zwłaszcza z zakładami Messerschmitta w Augsburgu. Pewne maszyny precyzyjne, bardzo ważne w naszym procesie badawczym, możemy nabyć tylko w Szwajcarii i dlatego muszę się udać do Zurychu. Widział już pan moją legitymację służbową, poza tym mam talony na benzynę, które otrzymałem do wykorzystania w czasie tej podróży.

– Najlepiej będzie, jeśli pójdzie pan na chwilę ze mną do mojego biura.

Andreas, westchnąwszy cicho, wysiadł z samochodu.

– Poczekaj tu, kochanie. Zaraz wrócę.

Patrzyła za nim, jak zniknął w małym domku, i nagle znów przypomniały jej się wszystkie problemy. Co z nimi będzie? A co z Maxem? Przecież nie mogła pójść do niego i tak po prostu mu wszystkiego opowiedzieć! Nie, nie zniosłaby tego wyrazu bólu i rozczarowania na jego twarzy.

„Nie chcę teraz o tym myśleć. Nie znajdę żadnego rozwiązania!” Aby odwrócić uwagę od dręczących ją myśli i rozprostować nogi, postanowiła zrobić parę kroków tam i z powrotem. Narzuciła na siebie płaszcz Andreasa, aby ochronić się przed deszczem, wysiadła i odetchnęła głęboko świeżym powietrzem o wyraźnym zapachu lasu. Jakież to było przyjemne po tych dusznych dniach w Berlinie! Nagle przyszedł jej do głowy absurdalny pomysł, by po prostu nigdy nie wrócić, uciec z Andreasem i zacząć nowe życie. Ale przecież nie mogła porzucić Sophie.

Jakiś szelest wyrwał ją z zamyślenia. Uważnie spojrzała na płaszcz, który miała na sobie. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd pochodził dźwięk, ale pochyliła się do przodu i obmacała palcami obrębek płaszcza. Papier. Papier wszyty pod podszewkę. I to dużo papieru. Kiedy się upewniła, że nikt jej nie obserwował, zdjęła płaszcz i obejrzała wewnętrzną stronę. Rzeczywiście: ktoś odpruł podszewkę, a potem starannie zaszył ją zgrabnym, fachowym ścięciem. Prawdopodobnie Andreas. Co on, na miłość boską, szmuglował w ten sposób przez granicę? Jak to on kiedyś powiedział? „Nie pytaj mnie nigdy o to, co robię!”

Wetknęła obie ręce do kieszeni i patrzyła na padający deszcz. Co właściwie wiedziała na temat Andreasa?

– Belle! – Odwróciła się i zobaczyła, że stał koło samochodu. – Będziesz całkiem mokra! Chodź, wszystko jest w porządku, możemy jechać dalej!

Znów był w znakomitym nastroju, podobnie jak następnego dnia.

Kiedy przygotowywali się do drogi powrotnej, Belle niepostrzeżenie znów obmacała płaszcz, który leżał na tylnym siedzeniu. Nic nie szeleściło. Papiery znikły.

Po otrzymaniu telegramu od Belle z Frankfurtu Max przeniósł się do mieszkania przy Alexanderplatz, mimo nieustannych próśb Elzy, aby jednak został u niej. Ale fiołki na parapecie, poduszki na sofie i rodzinne fotografie w ramach zawsze go przytłaczały. A poza tym wyczuwał litość starej, zatroskanej kobiety, a tego już zupełnie nie mógł znieść. Dręczyły go rozczarowanie i żal, nie chciał więc udawać, że jest w dobrym nastroju tylko po to, żeby Elza przestała go pocieszać. Wolał być z tym wszystkim sam. Próbował sobie wmówić, że nie miał powodu, aby reagować w taki sposób na wyjazd Belle, bo ona przecież nie spodziewała się jego przyjazdu i nie mogła stale siedzieć w domu i czekać na niego. A poza tym to głupie wątpić w nią tylko dlatego, że rzadko bywała w domu. Nie chciał być małostkowy i zazdrosny.

„Jestem taki rozkojarzony, bo całe moje życie wywróciło się do góry nogami”, myślał, chodząc niespokojnie po mieszkaniu i co trochę wyglądając przez okno. „Jeszcze nigdy nie czułem się taki słaby. To szaleństwo tam daleko, na froncie... Belle jest teraz dla mnie jedynym oparciem. I nagle... tak strasznie się boję, że ją utracę...”

Patrzył w dół na ulicę, słońce świeciło, a ludzie mieli na sobie lekkie letnie ubrania. Zastanawiał się, czy zdają sobie sprawę, że nad ich głowami wisi miecz Damoklesa i jak będzie wyglądał koniec tego wszystkiego. Co stanie się z nim i z Belle?

Dzień później otrzymał telegram wzywający go do niezwłocznego powrotu do jednostki. Dwa dni później, wieczorem, do Berlina miała wrócić Belle, ale on nie miał o tym pojęcia – siedział już w pociągu jadącym do Warszawy. Nie wiedział, dokąd stamtąd wyruszą. W tych dniach tylko naczelne dowództwo Wehrmachtu wiedziało, że wkrótce rozpocznie się operacja Fall Blau. A to oznaczało wymarsz na Stalingrad.

## 5.

W początku września Claire oznajmiła Filipowi, że nie może już dłużej z nim być.

– Musisz to zrozumieć. Nic nas już nie łączy. Nie mogę żyć z mężczyzną, który mnie nie rozumie. Który patrzy na mnie tak, jakbym... robiła coś potwornego.

Był środek nocy, pokój oświetlało tylko kilka migoczących świec, a Claire stała przy oknie i paliła jednego papierosa za drugim. Filip siedział na krześle i trzymał drewnianą nogę wyciągniętą przed siebie. Kikut znów bardzo bolał, ale lekarz wyjaśnił mu, że nie ma na to rady.

– Nic nas nie łączy? – powtórzył jej słowa. – Znamy się od ponad dwudziestu lat. Pobraliśmy się, żyliśmy ze sobą. Mieliśmy dziecko...

– Nasze dziecko nie żyje.

– Tak. Ale czy dlatego musi także umrzeć nasza miłość?

– Ach, Filipie! – W jej głosie słychać było zniecierpliwienie. Nerwowo zapaliła kolejnego papierosa. – To jest o wiele bardziej skomplikowane!

– Ale nie musi być skomplikowane, Claire. Czy jest coś, o czym nie moglibyśmy porozmawiać?

– Filipie, popatrz na świat realnie! Milczymy, bo żadne z nas już nie rozumie tego, co robi drugie. Muszę iść własną drogą, pojmię to wreszcie!

Filip z nieukrywaną zazdrością zapytał:

– Czy jest jakiś inny mężczyzna?

– O coś takiego nie powinieneś mnie pytać!

– Do cholery, Claire, ciągle jesteśmy małżeństwem! Myślę, że mam prawo zadawać takie pytania!

Popatrzyła na przeciwległą ścianę, unikając jego wzroku.

– Nie powinnam była wychodzić za Niemca. Niemcy mają na swoim sumieniu mojego ojca i syna. Powinnam była wiedzieć, że nigdy nie przestanę ich nienawidzić i że ty nie będziesz mógł tego zaakceptować.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem... że byłem Niemcem! – dodał. – Myślę, czuję, mówię i śnię po francusku. To jest teraz także mój kraj!

Miał ochotę nią potrząsnąć, aby go zrozumiała. Odpowiedziała spokojnie:

– Nie można zmienić swojego kraju tak, jak się zmienia buty, Filipie. Nie można wykopać swoich najgłębszych korzeni i ich przesadzić.

– A więc – odparł z goryczą i rozpaczą w głosie – opuszczasz mnie dlatego, bo jestem Niemcem?

– Nie. Dlatego, że ja stałam się kimś innym.

„Jakież to absurdalne”, pomyślał zmęczony.

– Dokąd więc mam iść? – spytał.

– Możesz zostać tutaj. To ja odejdę.

– To przecież twoje gospodarstwo. Ja nie chcę...

Nieczcierpliwie zdusiła papierosa.

– Teraz ono bardziej należy do ciebie niż do mnie. Wiesz o tym doskonale. Sama nie byłabym w stanie go utrzymać. Utrzymaliśmy je dzięki twojej pracy i twoim staraniom.

– Nie chcę się dzięki temu bogacić – odrzekł, a w myślach stwierdził: „To szaleństwo, mówić o tym teraz! Przecież w tej chwili to nie jest w ogóle istotne”.

Claire trochę złagodniała.

– Zrób to dla mnie, ja nie mogę się nim zajmować. Nie pozwól, aby to wszystko przepadło. To gospodarstwo należy do mojej rodziny od ponad dwustu lat, tu pogrzebani są moi rodzice i moje dziecko. Chciałabym, żebyś został.

„Nadejdzie listopad i na Atlantyku zaczną się jesienne sztormy. Wybrzeże otuli biała mgła. Drzewa w ogrodzie stracą liście, a potem szadź pokryje wszystkie łąki. W samotności i ciszy rozlegną się krzyki mew. Będę sam”.

– A ty dokąd pójdziesz? – spytał.

– Gdzieś tam – odpowiedziała wymijająco. – Za dużo we mnie niepokoju, aby móc dłużej wytrzymać w jednym miejscu.

Znów zapaliła papierosa i powoli ruszyła w stronę wyjścia.

– Claire!

Odwróciła się.

– Chcę tylko na parę minut wyjść do ogrodu. Nie zniknę w jednej chwili.

Rzeczywiście bał się, że ona zaraz zniknie i już nigdy jej nie zobaczy. Poczul napływające do oczu łzy, które przesłoniły pokój i wszystkie znajdujące się w nim sprzęty. Swoją młodość – która wydawała mu się teraz tak odległa – Filip spędził w pruskiej szkole kadetów, a tam skutecznie wytępiono z niego nawet chęć do płaczu. I rzeczywiście, potrafił wzbraniać się przed nim, nawet w tym strasznym momencie, kiedy francuski lekarz powiedział mu o konieczności amputacji nogi. Ale teraz Filip siedział tutaj, płakał bezustannie i coraz gwałtowniej i po raz pierwszy w życiu myślał, że lepiej byłoby, gdyby w 1918 roku, w okopach frontu zachodniego, strzelono mu prosto w serce, a nie zrobiono z niego kalekę na całe życie.

Artykuły spożywcze w Niemczech coraz bardziej racjonowano i kolejki przed sklepami w miastach wydłużały się niemal z dnia na dzień. Za chlebem i mięsem ludzie stali całymi godzinami, a i tak często niewiele udawało im się dostać. Był zimny grudniowy dzień i lodowaty wiatr wiał ulicami Breslau. Odra już zamarzała i przy jej brzegach dzieci jeździły na łyżwach.

Nikola Rodrow stała dwie godziny w kolejce u piekarza, a potem kolejną godzinę u handlarza warzywami. Miała zsiniałe z zimna wargi i wrażenie, że jej stopy zamieniły się w sople lodu. Ze współczuciem patrzyła na mężczyznę, którego czekający właśnie przepuścili. Był to wracający z frontu żołnierz, który stracił nogę poniżej kolana i mozolnie poruszał się o kulach.

Nikola zasłoniła sobie twarz szalem i szybko szła w stronę mieszkania. Jak pośepnie i ponuro wyglądało teraz miasto! Nigdy nie lubiła Breslau, ale jeśli miała być szczerą, to niesłusznie. Ona jedynie nigdy nie chciała go polubić i nie znalazła tu nic, co by jej się spodobało. Była bezgranicznie zakochana w Berlinie i nie dawała szansy żadnemu innemu miastu. To Siergiej zmusił ją, aby tu zamieszkała. Bo był za głupi na to, by znaleźć pracę w Berlinie! I w Breslau też z trudem zarabiał na utrzymanie. Teraz dostał jakąś posadę w biurze Wehrmachtu, gdzie właściwie ukrywał się przed powołaniem na front, i udało mu się przekonać przełożonego, że jest tu niezbędny. Ale to też nie mogło się dobrze skończyć, bo szeregi Wehrmachtu przerzedzały się coraz bardziej i zdrowy mężczyzna w wieku czterdziestu lat nie mógł stale wymigiwać się od służby.

Nikola całym sercem tęskniła za Berlinem i za pięknymi czasami z przyjaciółmi oraz za Belle. Obie kobiety dobrze się rozumiały i życie wydawało im się miłe i lekkie. Nikola często myślała, że w stolicy nawet stanie w kolejkach nie byłoby tak nieznośne.

Siergiej był w domu, kiedy wróciła. Leżał na sofie w salonie i czytał „Stürmera”. Nie wiadomo, czemu ta gazeta znalazła się w jego rękach, bo Siergiej nie lubił Hitlera i Nikola o tym wiedziała. Winił Führera za to, że mógł zostać w każdej chwili wysłany na front.

– Nikolo, czy to ty?

– Tak – odpowiedziała mrukliwie. Odstawiła kosz z zakupami i powoli zdejmowała z siebie płaszcz, szalik, czapkę oraz rękawiczki. Kiedy tylko ściągnęła kozaki, do jej stóp błyskawicznie powróciło życie. Utykając, lekko weszła do salonu.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? – spytała.

– Nie było już nic do roboty.

Siergiejowi w jakiś sposób zawsze udawało się uchylić od wszystkich zadań. Nikola nie mogła zapanować nad ogarniającą ją goryczą. Inni ludzie walczyli na froncie i narażali się, a Siergiej w tym samym czasie leżał wyciągnięty na sofie. Pomyślała o kuzynie Paulu, który wraz ze swoim pułkiem bił się teraz na Kaukazie, i o Maxie, mężu Belle, który brał udział w zaciętych bojach pod Stalingradem. Każdego dnia mogła nadejść wiadomość o śmierci któregoś z nich.

– Jestem kompletnie wykończona – powiedziała. – Musiałam stać całe trzy godziny na tym zimnie. – Podeszła do pieca i przywarła do niego całym ciałem. – Zastanawiam się, dlaczego ty nie możesz iść na zakupy, skoro nie masz nic do roboty.

Siergiejowi nawet nie przyszłoby do głowy, aby ustawić się gdzieś w kolejce. A już zwłaszcza przy minusowych temperaturach. Zawsze dbał o swoją wygodę, uwielbiał dobrze ogrzane pomieszczenia, eleganckie stroje, drogie wina oraz smakowite cygara. Stać w śnieżnej brei, żeby kupić pół funta chleba... Już na samą myśl o tym poczuł dreszcz na plecach. Nikola uznała, że obarczanie jej wszystkimi niemiłymi obowiązkami jest oburzające, kiedy on sam wiódł przyjemne i wygodne życie. Przecież także uwielbiała zamsz, jedwab i ciepłe pokoje, ale pochodziła z Lulinna, miała chłodne, szare oczy kobiet z tej rodziny i poczucie odpowiedzialności w krytycznych momentach życia.

– Malutka, nie złość się! – odparł rozleniwiony Siergiej. – Mogłabyś się przecież ucieszyć, że zastałaś mnie w domu już wczesnym popołudniem!

Nikola doskonale wiedziała o jego romansie z jedną z sekretarek i wzruszyła ramionami w odpowiedzi.

– Ona pewnie nie miała dziś czasu – stwierdziła złośliwie.

Siergiej się uśmiechnął.

– Ja nie miałem czasu. Dla niej. Liane się starzeje. Powinna się rozejrzeć za mniej wymagającym mężczyzną.

Choć chodziło o kobietę, która od ośmiu lat chodziła z Siergiejem do łóżka i przysparzała jedynie bólu i zmartwienia, to Nikola uznała sposób, w jaki wypowiadał się o niej mąż, za odrażający. Ujawniał tym swoją postawę wobec płci żeńskiej w ogóle. I tak było zawsze, także dawniej, kiedy Nikola jako dziewiętnastoletnia abiturientka okazała się na tyle naiwna, by zakochać się w jego wyglądzie. Piękny Sierioża o czarnych włosach, szczupłej sylwetce, szerokim uśmiechu i drobnych zmarszczkach wokół ciemnoniebieskich oczu! Dziś mogła podziwiać jego urodę tylko z cynicznym zgorzknieniem, bo uszczęśliwił nią zbyt wiele kobiet.

– Może to ty musisz się rozejrzeć za mniej wymagającą kobietą – odparła.

Siergiej odłożył „Stürmera” i się podniósł.

– Ja w ogóle nie muszę rozglądać się za kobietami. Mam już jedną.

– Ach! Jakoś w ostatnich latach rzadko kiedy odnosiłam wrażenie, że jesteś świadomy tego faktu!

Wstał z kanapy i podszedł do niej. Nikola chciała się instynktownie cofnąć, ale za jej plecami znajdował się piec.

– Nie udawaj wielkiego uwodziciela – powiedziała szorstko. – Nie jestem w nastroju.

– Gdzie jest nasza córka? – spytał cicho Siergiej, zatrzymując się tuż przed nią.

Nikola przełknęła ślinę.

– Związek Dziewcząt Niemieckich. Wszystkie dziewczęta są na jakiejś pieszej wycieczce.

– To się dobrze składa. – Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z czoła Nikoli. Odwróciła głowę z niechęcią.

– Przestań!

Chciała zrobić krok do przodu i go minąć, ale Siergiej chwycił ją mocno za nadgarstek.

– Nie śpiesz się, Nikolo. Chyba mam prawo od czasu do czasu obejrzeć sobie swoją żonę dokładniej. I jej dotknąć. – Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Nikola opierała mu się z całych sił.

– Do cholery, Siergiej, w ogóle nie masz już do niczego prawa! Wszystko zepsułeś. Od lat masz romans i nagle zaczynasz pragnąć mnie. Ale ja cię nie chcę!

Szarpała się, ale jej opór najwyraźniej go podniecał, a jego oczy osobliwie znieruchomiały. „Głupi, prymitywny typ”, przemknęło jej przez głowę, „jemu sprawia przyjemność, kiedy kobieta prycha, gryzie i drapie! Jakież on jest beznadziejny!”

– Nie rób scen, Nikolo. Szalejesz za mną tak samo jak ja za tobą. I wiem, że nie musisz sobie niczego wmawiać.

Ścisnął jej rękę tak, że musiała uklęknąć. Miała wrażenie, że złamie jej ramię, jeśli będzie się dłużej bronić.

– Czego ty chcesz? – spytała, tracąc oddech.

– Jesteś piękną kobietą, Nikolo... Wyglądałaś jak rosyjska księżniczka, kiedy przed chwilą weszłaś do pokoju... Z futrzaną czapką na ciemnych włosach i zarumienionymi policzkami... – Ostrożnie puścił jej nadgarstki.

Nikola zastanawiała się, czy ma się poderwać i wybiec z pokoju, ale wiedziała, że on ją natychmiast zatrzyma i może potraktuje jeszcze bardziej brutalnie. Kuciała więc przed nim i wydało jej się, że pozwalając Siergiejowi na wszystko, czego tylko chciał, broni swojej godności.

Kątem oka dostrzegła, że na dworze zaczął padać śnieg. I nagle przysła jej do głowy zaskakująco rzeczowa myśl: „Dlaczego byłam z nim tyle lat? Czy tylko dlatego, że dawno temu z czystej głupoty za niego wyszłam?”

Siergiej leżał na niej i spał, cicho pochrapując. Po chwili obudził się i chyba opamiętał, bo wstał gwałtownie i sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Przepraszam, Nikolo. Ja... no, ja właściwie nie chciałem... – Jego widok, gdy w półmroku na środku pokoju najpierw nerwowymi ruchami zapinał spodnie, a potem szukał swetra, który leżał gdzieś ciśnieńty w kącie, nie był zbyt atrakcyjny. – A nie sprawiło ci to choćby odrobiny przyjemności? – spytał w końcu z wahaniem, tracąc pewność z powodu jej lodowatego milczenia.

Nikola się podniosła i nie zadała sobie już trudu zakładania wełnianych pończoch, jedynie starannie wygładziła spódnice.

– Wyjeżdżam do Berlina – odpowiedziała spokojnie. – Razem z Anną.

– Co? Do Berlina? Teraz?

– Teraz i na zawsze, Siergiej. Musisz sobie niestety poszukać innej kobiety, którą w razie potrzeby będziesz mógł rzucić na podłogę. Ja nie znajduję już przyjemności w odgrywaniu takiej roli.

Poszła do kuchni i włączyła radio. Jej ręce lekko drżały. „Cholerny gnojek”, pomyślała. Siergiej poszedł za nią.

– Nie rób z tego dramatu, Nikolo. Przeprosiłem cię przecież. To się już nie powtórzy. – Spróbował ująć ją za rękę, ale natychmiast ją cofnęła. – Nikolo, na miłość boską, jesteśmy



małżeństwem. Zawsze lubiliśmy chodzić do łóżka...

– Dawno temu. Byłam wtedy bardzo młoda i bardzo głupia i w ogóle nie zauważyłam, że wiele kobiet również zaznało przyjemności obcowania z tobą.

– Jak ty to nazywałeś! Tylko dlatego, że ja...

– Tylko dlatego, że ty przez osiem lat romansowałeś z tą sekretarką? Nie wspominając o innych kobietach! Co ty sobie właściwie myślisz? Wiesz, jak się czułam w ciągu tych lat? – Ostatnie zdanie głośno wykrzyczała.

W ciszę, która nastąpiła po jej słowach, wdarł się głos radiowego spikera opowiadającego o ciężkich walkach obronnych toczonych przez Niemców na wschodzie i o godnych podkreślenia sukcesach. Jednak nie powiedział nic konkretnego na temat okrążonej pod Stalingradem 6 Armii.

– Wyłącz to – powiedział Siergiej nerwowo.

Nikola wyłączyła radio. Mechanicznie zaczęła wypakowywać zakupy. Jej mąż chodził niespokojnie tam i z powrotem.

– Czy musisz ciągle odgrzewać te stare historie? Powiedziałem ci przecież, że z Lianą skończyłem. A poza tym...

– Wystarczy, że to wszystko miało miejsce. A to, co było dzisiaj, też się nie liczy? Latami lekceważyłeś moje uczucia i traktowałeś mnie jak śmiecia, a nagle dziś wydałam ci się atrakcyjna, i to na tyle, że rzuciłeś się na mnie jak dzikus. Ale ja nie lubię, jak mężczyzna traktuje mnie w taki sposób. – Popatrzyła na niego pogardliwie. – Omal nie zapomniałam, z jakiej rodziny pochodzę. My nie jesteśmy przyzwyczajone do tego, żeby nas wykorzystywano, zdradzano i lekceważono. Nic nas nie zmusza do akceptowania takiego stanu. Jutro wyjeżdżam do Berlina.

– Myślisz, że ci na to pozwolę? Zrobię wszystko, abyś przynajmniej nie zabrała Anny. Nie możesz jej wyrwać ze środowiska, ze szkoły, kręgu przyjaciół...

Nikola sprzątnęła ze stołu skromne zapasy żywności, po czym odwróciła się i spojrzała na Siergieja. W półmroku jej szare oczy sprawiały wrażenie bardzo jasnych.

– Ty zrobisz wszystko? Mój drogi, na twoim miejscu starałabym się uniknąć wszelkiego zamieszania i rozgłosu wokół siebie. A nuż ktoś zauważy, że dawno już powinienes być na froncie i że nie istnieje żaden powód, abyś utrzymywał tę posadę i migał się od służby w wojsku! Doradzam ci więc ostrożność!

Siergiej aż pobladł z wściekłości.

– A ty, Nikolo – odparł jadowicie – jesteś i pozostaniesz dziwką, nieważne, czy tu, czy w Berlinie. Wszyscy mężczyźni będą cię traktować tak jak ja przed chwilą, bo na nic innego nie zasługujesz. Twoja arogancja i wytworne gadanie są śmiesznie sztuczne. A ta twoja rodzina! Kim też oni są? Zadzieracie nosa tylko z powodu tej pruskiej posiadłości! Z trakenami, polskimi służącymi i towarzystwami łowieckimi, i jakimiś podobnymi bzdurami! Róbcie tak dalej, udawajcie, a tak naprawdę nie należy do was ani jedno źdźbło trawy! Były mąż twojej kuzynki Felicji zagarnął wszystko, a wy jesteście tylko zarządcami! A ty, z tym swoim bałtyckim ojcem i cholernym dworem w Estonii, doprawdy, fantastyczne! A może twoi rodzice kilka razy jedli kolację z carem w Pałacu Zimowym? I co z tego? I tak nic wam to nie dało. Prawda? Nie widzisz, że ty i twoja wspaniała rodzina coraz bardziej schodzą na psy? Że stopniowo, po kawałeczku wydiera wam się wszystko to, co napawało was cholerną dumą?

I kiedy Nikola nie odpowiedziała na te słowa, Siergiej wrzasnął:

– I to dotyczy także ciebie, Nikolo Rodrow, z domu Bergstrom, ty zawsze byłaś puszczalska i taka już zostaniesz. Mężczyźni będą cię kładli na podłozie, a potem wymierzali ci kopniaka, bo to właśnie ci się należy! Rozumiesz?

Nikola wciąż milczała, przez co rozjuszony Siergiej krzyknął raz jeszcze:

– Cholerna dziwka!

Popatrzyła na niego kpiąco i odparła spokojnie:

– Na twoim miejscu nie zachowywałabym się tak głośno. W końcu musisz przez pewien czas jakoś żyć z ludźmi, którzy tu mieszkają, prawda?

Siergiej miał wrażenie, że przegrał na całej linii.

## 6.

9 listopada 1942 roku w monachijskiej restauracji Löwenbräukeller podczas corocznej uroczystości upamiętniającej marsz na Portyk Marszałków Hitler zabrał głos w kwestii Stalingradu: „Żadna siła na ziemi nie skłoni mnie do wycofania się stamtąd!”.

Niektórzy sądzili, że chodzi po prostu o to, aby zatrzymać tam rosyjskie armie i umożliwić Grupie Armii Południe dotarcie na Kaukaz i do pożądaných obszarów obfitujących w ropę naftową. Inni znowu mówili, że Stalingrad ma być osobistą zemstą Hitlera za klęskę pod Moskwą. Coraz więcej ludzi powoli zaczynało rozumieć, że szczęście pierwszych lat wojny już się odwróciło, i to nie tylko na froncie wschodnim, co oznaczało, że takie zwycięstwo było Hitlerowi potrzebne w celach propagandowych.

18 listopada swoją kontrofensywę rozpoczęli Rosjanie. 23 listopada padło miasto Kałacz, leżące na zachód od Stalingradu, efektem czego było zamknięcie okrążenia. Feldmarszałek Paulus wysłał do naczelnego dowództwa Wehrmachtu radiotelegram o następującej treści: „Uważam, że przebicie się na południowy zachód jest jeszcze możliwe”. Kiedy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, przesłał wprost do Führera taką wiadomość: „Proszę o pozwolenie na swobodne działania”.

Hitler odpowiedział jednoznacznie: „Za wszelką cenę utrzymać front północny i nad Wołgą! Zaopatrzenie z powietrza”.

Wobec tego codziennie należało zrzucić na okrążone miasto sześćset ton żywności. Zarówno w czasie zimowej pogody, czyli mgły lub zadymki śnieżnej, jak i podczas ciężkiego ostrzału rosyjskich dział przeciwlotniczych.

Jednak Hermann Göring, marszałek Rzeszy i naczelną dowódca sił powietrznych Luftwaffe, gwarantował wystarczające zaopatrzenie i zwrócił uwagę, że poprzedniej zimy w kotle pod Diemiańskim dzięki temu przetrwało dziesięć tysięcy ludzi, i to w ciągu dwóch miesięcy.

Rankiem zaczął padać śnieg, a przed południem zadymka coraz bardziej przybierała na sile. Ulice i place Stalingradu znikwały pod grubą warstwą puchu. Człowiek z trudem widział rękę wyciągniętą przed siebie. Do miasta docierał lodowaty wiatr znad Wołgi.

Max siedział w kucki w piwnicy należącej do jakiegoś domu towarowego, który dzień wcześniej znalazł się w rękach niemieckich. Żołnierze zdobywali go mozolnie, jedno pomieszczenie za drugim, piętro za piętro. Mnóstwo Niemców i Rosjan oddało życie zaledwie na kilku stopniach schodów. W ciągu ostatnich tygodni tu na północy miasta wielu ludzi poległo również podczas zażartych walk o budynek przemysłowy, o fabrykę traktorów, zakład zbrojeniowy Czerwona Barykada, hutę Czerwony Październik i wytwórnię chleba. Tu najzacieklej i najokrutniej walczone o każdy występ muru i każdy milimetr terenu. Niekończący się koszmar. Jeszcze gorszy niż krwawa łaźnia pod Moskwą w ubiegłym roku. Max myślał, że nie wytrzyma za każdym razem, kiedy musiał rozwalić szpadlem czaszkę albo ramię przeciwnika, patrzeć w jego gasnące oczy i widzieć go leżącego w śniegu. Czasem martwego, ale częściej stękającego i wykrwawiającego się. W niektórych chwilach ogarniała go straszna rozpacz i wtedy zadawał sobie pytanie, dlaczego pomimo ślepego strachu właściwie walczy o swoje życie. Dlaczego nie dać się zabić? Pozwolić, aby ten drugi, z naprzeciwka, był szybszy i potem leżeć samemu w śniegu twarzą do dołu? Ta myśl go opętała i nie mógł o niej zapomnieć ani przez minutę. Jednak w decydującym momencie instynkt przetrwania okazywał się silniejszy i Max mógł jedynie rozpaczliwie się bronić.

Na parterze zdemolowanego domu towarowego wydawano zupę – cienki rosół z kilkoma żalonymi kawałkami ziemniaków. Max pozbiarał się jakoś i powlókł do kolejki. Odmrożone palce potwornie go bolały i każdy krok był istną męczarnią, ale dopiero odmrożenia trzeciego stopnia kwalifikowały do lazaretu. Gdzieś z daleka dobiegały stłumione odgłosy ostrzału artyleryjskiego. Dowódca kompanii popędzał:

– Szybciej, szybciej jeść! Musimy stąd wyjść!

Max wrócił na swoje poprzednie miejsce, przykucnął i jadł zupę. Nie czuł żadnego smaku, ale gorący płyn dobrze mu robił. Któryś z kolegów usiadł obok niego.

– Dziś na pewno samoloty nie mogą lądować – wymamrotał. – W czasie tej cholernej pogody byłoby to lądowanie na ślepo!

Max podniósł głowę i powiedział:

– A Rosjanie oszczędzają amunicję. Oni w ogóle nie potrzebują dział artylerii obronnej, wszystko załatwią za nich śnieg i mgła!

Jego kolega przytaknął z ponurą miną.

– A najgorsze jest to, że nie mają problemów nawet z amunicją. My ginimy, a oni spokojnie transportują przez Wołgę kolejne działa i nikt im w tym nie może przeszkodzić. Wprawdzie parowiec potrzebuje sporo czasu, aby przedrzeć się przez kry, ale jednak przepłynie, a to dla nich najważniejsze.

Max myślał o niekończących się stepach po drugiej stronie rzeki, widocznych czasem z zachodniego brzegu, chociaż przez większość dni z mgły wyłaniały się tylko krzaki. To właśnie była Rosja. Rozległe wody Wołgi. Lasy i stepy, jak daleko sięgał wzrok. Pociągi przybywały tu z najodleglejszych zakątków, przywoziły ludzi i amunicję. Niemordowanie. Posiłki, posiłki, posiłki, bez końca, ten gigantyczny kraj wypłukał z siebie wszystko, co miał.

Dowódca kompanii poganiał swoich ludzi, właśnie rozdawano amunicję. Wróg wdarł się do zakładów zbrojeniowych Czerwona Barykada. Niemcy szybkim krokiem szli przez ulice miasta, ciągle pod osłoną domów. Niesiony wiatrem śnieg uderzał w ich twarze, wciskał się między żebra dwóch martwych koni leżących na środku ulicy. Max biegł mechanicznie, próbował przestać myśleć, próbował przestać być człowiekiem, bo człowiek oddycha, marznie, głoduje i czuje. A on chciał być już tylko maszyną, która po prostu działa. Do jego myśli znów wkradł się strach, ten paraliżujący strach towarzyszący mu od chwili, w której wysłano go na front.

Przywitał ich gwałtowny ogień karabinów maszynowych z dolnych hal Czerwonej Barykady. Żołnierz idący obok Maxa osunął się powoli na kolana, a potem runął w śnieg. Max widział jego bezgranicznie zdumione, szeroko otwarte oczy. Drugi żołnierz krzychał głośno, bo kula trafiła go w nogę, i ostatkiem sił powlókł się przez ulicę w stronę wejścia do jakiegoś domu. Max błyskawicznie schował się za niskim murem. Nad jego głową gwizdały kule, a nadlatujący granat wpadł w śnieg za jego plecami i eksplodował z głośnym hukiem. Zadymka jeszcze się nasiliła i mężczyzna nie widział już nikogo. Ale kiedy nagle przed nim pojawiły się cienie wybiegające niemal jak z ginącego świata, rozpoznał w nich kolegów i dołączył bez wahania. Atakowali budynek fabryki. Trzymał karabin obiema rękami.

Przez krótki czas ich sprzymierzeńcem była pogoda, która pozwoliła im zbliżyć się do fabryki, czego nie mogli dostrzec strzelający bezskutecznie na ślepo Rosjanie. Ci ostatni wycofali się do jednego z bocznych budynków i szybko wzniesli barykady w korytarzach, ale Niemcy, mimo silnego ostrzału, ciągle nacierali. I kiedy na zewnątrz świat tonął w śniegu, spustoszone korytarze i hale szybko wypełnił gęsty dym. Dookoła znajdowały się połamane poręcze, przewrócone regały, jakieś biurko z trzema nogami i bez szuflad. Wszędzie leżeli zabici, ranny Rosjanin głośno wołał o pomoc.

Max przykucnął za czymś w rodzaju małej barykady z dwóch krzeseł i strzelił pierwszy raz, drugi, piąty, naładował broń, a potem znów strzelił. Poderwał się, chciał biec dalej do przodu i jakby z nicości tuż przed nim wynurzył się potężny Rosjanin. Miał twarz czarną od sadzy. Max uniósł karabin do góry – „cholera, dlaczego go nie zauważyłem” – ale tym razem o ułamek sekundy za późno. Rosjanin strzelił pierwszy. Max nic nie poczuł, ale upadł na podłogę i w jakimś dziwnie zwolnionym tempie pomyślał: „Czy upadłem tylko dlatego, że rozległ się huk wystrzału?”.

Nagle przeszył go ból, ostry ból, który niemal rozrywał mu wnętrzności. Popłynęła ciepła krew i za chwilę leżał w jej kałuży, tak jak sobie to wyobrażał.

„Ten Rosjanin, ten cholerny Rosjanin strzelił mi w brzuch!”

Trzy niemieckie dywizje pancerne podeszły tak blisko stalingradzkiego kotła, że nocą żołnierze widzieli ogień artyleryjskich wystrzałów.

„Biedaki”, pomyślał Paul. On i jego koledzy opuścili czołgi i próbowali ogrzać ręce przy małym piecu w pustej chłopskiej chacie. Był 22 grudnia 1942 roku. Nie było nawet co marzyć o spędzeniu świąt w domu.

Tak wyglądała prawdziwa wojna. Paul wiedział już wtedy we Francji, że rzeczywistość ze swą brutalnością prędzej czy później go dopadnie, i tak właśnie się stało.

W początkach kontrofensywy rosyjskiej Paul należał do 1 Dywizji Pancerniej, która jako część 4 Grupy Pancerniej podlegała Grupie Armii Północ, ale potem przeniesiono go do 23 Dywizji Pancerniej i Paul wziął udział w marszu na Kaukaz. Miał wtedy wrażenie, że znalazł się w innym świecie. W palącym słońcu jechali przez kałmuckie stepy i nikt by się nie zdziwił, gdyby z niekończącej się przestrzeni nagle wynurzyli się jeźdźcy Dżyngis-chana. W oddali widzieli ośnieżony wierzchołek Elbrusu, najwyższego szczytu Kaukazu. Termometr w czołgu pokazywał pięćdziesiąt pięć stopni, a na horyzoncie rozciągał się wieczny śnieg. Miejscowi, którzy wycierpieli już swoje pod Stalinem, przyłączali się do nich, i widzieli w Niemcach wyzwolicieli. Jechali na wielbłądach i Paul ciągle myślał, że widok długich kolumn czołgów i dwugarbnych zwierząt kłusujących obok nich musi być osobliwy.

1 listopada zajęli Ałagir, miasto leżące na północnym Kaukazie, i zamknęli starożytną Gruzińską Drogę Wojenną, ale nie udało im się dotrzeć do właściwego celu ich marszu, to znaczy miast Baku i Tbilisi oraz roponośnych pól. Przyczyną była zima, która przyszła w połowie listopada, niemal z dnia na dzień. Front zatrzymał się na całej długości.

A teraz zdziesiątkowana 23 Dywizja Pancerna, składająca się tylko z dwudziestu kilku czołgów, znalazła się pod Stalingradem. Podlegała ona 4 Armii Pancerniej generała Hotha, która 12 grudnia, nacierając od południa, próbowała przedrzeć się przez okrążenie i odbić 6 Armie.

Paul drzemał przez pół godziny – miał wrażenie, że jechał w czołgu całą wieczność i w ogóle nie spał – ale teraz koło północy poderwał się, kiedy do chaty wpadła grupa żołnierzy.

– Jazda, wstawać! Wszyscy do czołgów.

Od razu się podnieśli, nie wiedzieli jednak, że Rosjanie właśnie forsowali rzekę Czir i byli już pod lotniskiem Morozowskaja, leżącym sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Stalingradu. A stamtąd startowały samoloty dostarczające zaopatrzenie dla okrążonych wojsk niemieckich. Od tego lotniska zależało wszystko. Gdyby Rosjanie je zajęli, sytuacja zrobiłaby się bardzo trudna. Jednak jeszcze gorzej byłoby, gdyby Rosjanom udało się przerwać front niemiecki nad rzeką Czir, przebić się na południe i zająć miasto Rostów. Wówczas Grupa Armii Don dowodzona przez feldmarszałka von Mansteina i Grupa Armii A dowodzona przez generała von Kleista znajdujące się na Kaukazie zostałyby odcięte. Mogłoby to oznaczać stratę półtora miliona żołnierzy.

– Cholera – powiedział Paul.

Wpatrywał się w tańczące za oknem płatki śniegu. Christine napisała mu, że mąż Belle utknął w kotle pod Stalingradem. Paul nie kontaktował się z nim zbyt często, ale Max Marty wydał mu się sympatycznym człowiekiem. No i poza tym należał do rodziny. Członek rodziny siedział w tym przeklętym przez Boga kotle nad Wołgą, a on, Paul, zapewne nie będzie mógł nic zrobić, aby mu pomóc. Przez chwilę zastanawiał się, co w tym czasie przeżywała w Berlinie Belle.

Do chaty wpadł kolejny żołnierz i wpuścił do środka zimne powietrze oraz zapach śniegu.

– No, co jest? Wszyscy do czołgów. Czekać na dalsze rozkazy! – zawołał.

Następnego dnia, 23 grudnia, Hoth wycofał 6 Dywizję Pancerną, by wysłać ją nad rzekę Czir i zapobiec totalnej katastrofie. Pozostałe dywizje kontynuowały atak na Stalingrad, ale były tak zredukowane i wyczerpane, że niemal nie istniały szanse na zwycięstwo. Manstein wysłał telefonogram do głównej kwatery Führera, w którym zawiadamiał, że w tych okolicznościach nie ma możliwości przyjscia z pomocą atakowanej 6 Armii, że nie zapewniono im odpowiedniego zaopatrzenia z powietrza i że generałowi Paulusowi nie pozostaje nic innego, jak mimo ogromnego ryzyka próbować się przedrzeć na południe do Hotha. Hitler jednak na to nie zezwolił. W uzasadnieniu podał, że Paulus nie ma wystarczającej ilości paliwa, aby dotrzeć do Hotha.

24 grudnia. Belle spędzała wigilijny wieczór u Elzy. Ciche, przytulne mieszkanie zawsze działało na nią uspokajająco, a teraz, ponieważ zatrzymały się tam także Nikola i Anna, miała wrażenie, że to najlepsze miejsce, aby o wszystkim zapomnieć. Andreas oczywiście był wściekły.

– Ty to nazywasz miłością? Jeśli spędzamy święta Bożego Narodzenia osobno? Chodź, Belle. Znow poświęcę wszystkie swoje kartki i pójdziemy na królewską kolację.

– Andreasie, zrozum, proszę. Nie mogę. Max jest pod Stalingradem, w okrążeniu. Głoduje i marznie, jest zrozpaczony i się boi. Ja nie mogę... kiedy on tam...

– O Boże, Belle, najgorsza w tobie jest ta okropna podwójna moralność. To znaczy, ty w gruncie rzeczy nie masz żadnej moralności. Lubisz ze mną być i wtedy o nic się nie martwisz. Ale jesteś jednak małą dziewczynką, prawdziwą małą dziewczynką, która boi się kary, bo robi coś złego. I to uczucie pojawia się u ciebie w dość regularnych odstępach. Wtedy przez kilka tygodni zachowujesz coś na kształt wstrzemięźliwości i ja się w ogóle nie liczę. Dobry Boże, czy ty nie rozumiesz, że to wszystko jedno? Oszukujesz męża i nie ma żadnego znaczenia, czy on jest pod Stalingradem, czy na Księżycu. Rozbawiasz mnie, Belle. Zastanawiam się, czy w wieku pięćdziesięciu lat też taka będziesz.

Próbowała się bronić i zdołała powiedzieć kilka pełnych gniewu słów, ale on skwitował to śmiechem i z wściekłością odłożył słuchawkę. Dziesięć minut później zadzwonił znowu, już w bardziej pojednawczym nastroju.

– W porządku, Belle. Akceptuję twoje powody. A co z sylwestrem? Mogłabyś się przemóc i wypić ze mną szampana?

Nie do końca się zgodziła, niczego też nie ustaliła, a po rozmowie zalała się łzami, bo czuła się nieszczęśliwa i rzeczywiście obawiała się, że kiedyś spotka ją kara za liczne grzeszne noce z Andreasem. Kiedy wróciła z Zurychu i dowiedziała się od Elzy, że Max w międzyczasie był w Berlinie, przestała jeść. Noc w noc płakała w poduszkę i napisała z tuzin listów do męża, choć nie miała pojęcia, czy którykolwiek do niego dotrze. Wkrótce jednak dostała wiadomość od Maxa – pisał, że maszerują na Stalingrad – a za jakiś czas kolejną z informacją, że wpadli w pułapkę i zostali zamknięci w kotle. Potem otrzymała jeszcze jeden list. Mąż w bardzo ostrożnych słowach opisywał krytyczną sytuację na froncie. Od początku grudnia jednak nie dawał już żadnego znaku życia i Belle śniło się po nocach, że Max nie żyje.

W mieszkaniu na Alexanderplatz zostawiła list, przyczepiony do ściany naprzeciwko drzwi wejściowych tak, że nie można go było nie zauważyć. Zawiadamiała w nim Maxa, że przebywa u Elzy. Gdzieś w głębi jej duszy ciągle kołatała się nedorzeczna nadzieja, że on nagle się tu zjawi. Może został ranny i znalazł się wśród żołnierzy, którym udało się wydostać i którzy będą mogli wrócić do ojczyzny.

W tym roku nie mieli choinki, ale Elza wstawiła do wazonu kilka jodłowych gałęzi i ozdobiła je bombkami, świeczkami i lametą. W gramofonie kręciła się płyta z kolędami. Nikola ubrała się bardzo elegancko – miała na sobie czarną wąską zamszową spódnicę i białą koronkową bluzkę. Ciemne włosy upięła z tyłu głowy w bardzo skomplikowaną fryzurę. Elza zapaliła świecę, którą ustawiła przed fotografią swojego syna, poległego w czasie ostatniej wojny.

W kuchni gospodyni Nelli zajmowała się już mięsem na pieczeń, które zdobyła gdzieś z wielkim trudem. Belle poczuła się bezpieczna. Cokolwiek działałoby się na tym świecie, ona miała swoją rodzinę. Bez względu na to, jak często się sprzeczali, kłócili i obgadywali jedno drugie, to w razie trudności zawsze się wspierali. Elza przyjęła pod swój dach Nikolę, która uciekła od męża wraz z Anną, i troskliwie zajmowała się Sophie, żeby jej matka mogła występować w swoich śmiesznych filmach. „I ostatecznie”, myślała Belle, „można było się zdać nawet na tę okropną Modestę”.

Nagle poczuła potrzebę, aby zadzwonić do swojej matki do Monachium. Na szczęście Felicja zgłosiła się od razu.

– Felicja Lavergne.

– Mama? Mówi Belle!

– Belle? Jak miło, że dzwonisz! – W głosie kobiety słycać było ulgę. Cieszyła się, że Belle o niej pomyślała, choć tak często rozczarowywała ją swoją postawą jako matka.

– Chcę ci życzyć wesołych świąt, mammo.

– Dziękuję, Belle. Jesteś u Elzy?

– Tak. Z Sophie. Nikola i Anna też są tutaj. Ale to nie jest...

– ...to nie jest Lulinn – dokończyła Felicja.

Obie umilkły na chwilę, a potem Belle zapytała:

– A ty? Świątujesz z Alexem?

– Jesteśmy zaproszeni do jego siostry Kat i Toma Wolffa. Właśnie się przebieram. Co prawda nie mam zbyt wielkiej ochoty, ale jeśli miałabym siedzieć sama... Masz jakąś wiadomość od Maxa?

– Nie. – Znow pojawiło się to osobliwe uczucie, jakiś ucisk w gardle. Była nie mówić o Maxie, szybko spytała: – A masz jakąś wiadomość od Sary?

Felicja opowiedziała jej o aresztowaniu dziewczyny, ale oczywiście nie wspomniała o tym, że Martin mieszka u niej w piwnicy.

– Nie. Nie mamy pojęcia, dokąd ją deportowali. Nikt nie mógł nam pomóc. Czy też nie chciał. A już zwłaszcza ten nieporadny mąż twojej siostry. A, prawda, Zuzanna znow urodziła dziewczynkę. Już trzecią.

– O, Boże – powiedziała Belle.

Felicja się roześmiała, ale w jej głosie było słycać zmęczenie.

– Mam same córki i teraz jeszcze same wnuczki. No, ale ich przynajmniej nie będzie można któregoś dnia wysłać na front. Belle, jak miło cię słycać! Pozdrów wszystkich ode mnie. I nie zamartwiaj się tak o Maxa... Pozostaje ci tylko mieć nadzieję.

„Mieć nadzieję”, pomyślała Belle po skończeniu rozmowy, „och, gdyby mama wiedziała, co okropnego zrobiłam!”. Zerknęła do lustra wiszącego w korytarzu i zaczęła się zastanawiać,

czy ma się przebrać, ale wydało jej się to bezsensowne.

– Wszystko jest takie inne – powiedziała, kiedy znów weszła do salonu. – Dawniej cała rodzina była razem, a teraz... trzy kobiety i dwoje dzieci. To jest...

– Ja nie jestem dzieckiem – zaprzeczyła z oburzeniem Anna. Wyżebrała od matki czarny zamszowy kostium, w którym rzeczywiście wyglądała dość dorosłe. Oczywiście miała też umalowane usta i pachniała jakimś ciężkimi perfumami.

Belle z rozbawieniem stwierdziła w myślach, że nie był to prototyp dziewczyny Związku Niemieckich Dziewcząt. Anna robiła się coraz bardziej podobna do matki.

– Chcę papierosa – zażądała. – Mamo, ty masz ich zawsze tak dużo. Daj mi jednego.

Nikola westchnęła.

– Wymieniłam już tyle kartek żywnościowych na papierosy, Anno, a ty mi wszystkie zabierasz!

Dziewczynka sarknęła coś, ale oczywiście dopięła swego i po chwili z lubością zaciągnęła się papierosem. Widać było, że ma w tym sporą wprawę.

– Nikolo, jestem trochę zdziwiona – wtrąciła się Elza. – Nie sądzisz, że trzynastoletnia dziewczynka nie powinna jeszcze palić?

– Jestem bardzo dojrzała jak na swój wiek – upierała się Anna.

Na twarzy Nikoli pojawił się wyraz z troskaniem.

– Pewnie, Elzo, masz rację. Ale Anna jest okropnie rozpuszczona.

Belle usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach. Wydawało jej się, że zaraz zwariuje. Ten ciepły pokój wypełniony zapachem jodły, obecność bliskich jej ludzi, wszystko to dopiero co dodało jej otuchy i dawało poczucie bezpieczeństwa, ale nagle poczuła, że brakuje jej powietrza. Myślała o Maxie, który walczył w tym piekle pod Stalingradem, i w zestawieniu z tym łagodny głos Elzy mówiącej o niebezpiecznych skutkach palenia wydał jej się wręcz nie do zniesienia. Podobnie jak lamenty Nikoli z powodu ciągłej niewierności Siergieja. Belle chciała krzyknąć, aby uspokoić skołataną nerwy. W ciągu wieczoru piła jeden kieliszek wina za drugim i w końcu poczuła takie zmęczenie, że zasnęła, jak tylko znalazła się w łóżku.



## 7.

24 grudnia na rozległych, spustoszonych przez wojnę polach pod Stalingradem. Piękny, słoneczny dzień i trzaskający mróz. Śnieg mieniący się tysiącami gwiazdek. Bezkresny, nieruchomy step po drugiej stronie Wołgi. I białe krzewy, jak obsypane cukrem pudrem.

„Mogłoby być tak pięknie”, pomyślał Paul. Od wczesnego ranka kolumny czołgów jechały w stronę Stalingradu, zbliżały się coraz bardziej, a żołnierze czuli coraz większy strach. I smutek. Wigilijny wieczór na obczyźnie i marsz w stronę piekła.

Paul miał przed oczami Christine i swoich rodziców. Przebywali w Berlinie, a może w Lulinnie? Zapewne w Berlinie, w nadziei, że on będzie im gwiazdkowym prezentem i zjawi się przed drzwiami.

W czołgu myślał jedynie o minionych wigilijnych wieczorach. Prawie zawsze wszyscy spotykali się w Lulinnie, gdzie w salonie stała ogromna, kolorowa choinka, przyniesiona z prywatnego lasu, a w kuchni pieczono, gotowano i smażyono tyle potraw, że można by było nakarmić połowę mieszkańców Prus Wschodnich. Pachniały wosk i jodłowe igły, w kominku trzaskał ogień. Śnieg wyczarował grube białe poduchy na wierzbowych płotach i zamienił łyse dęby przy podjeździe w białe postacie jak z zimowej bajki. Paul miał teraz przed oczami wszystkich. Modestę w jednej ze swoich obszernych sukni, ciągle podjadającą pralinki i ciastka. Jak zawsze natrętnego i pogodnego Josepha w ciemnym garniturze z za długimi nogawkami, sprawiającego wrażenie jeszcze bardziej wątłego niż zwykle. Prababcię Letycję na wózku inwalidzkim koło okna obserwującą życie przenikliwymi oczami, których uwadze nic nie mogło ująć. Felicję, która przyjechała prosto z Monachium, teraz w najelegantszej sukni wieczoru. Jej córkę Belle, która nie ustępowała matce ani urodą, ani niczym innym, siedzącą wraz z Nikołą w kącie. Nikołą, przesadnie umalowaną i obwieszoną biżuterią. I znudzonego Siergieja, pijącego wino. Ktoś łupał orzechy, z głośnika gramofonu dobiegała *Cicha noc*. A później wszyscy wznosili toast szampanem i wychodzili na taras, żeby zobaczyć rozgwieżdżone niebo, zaś dzieci Modesty wrzeszczały głośno, bo już zdążyły popsuć zabawki, które dostały pod choinkę.

„Czy ja kiedyś zobaczę Lulinn?”, myślał Paul. „I Christine?”

Wczesnym popołudniem, kiedy cienie na śniegu stawały się coraz dłuższe, a słońce przechyliło się na drugą stronę nieba, czołgi niespodziewanie wpadły w zasadzkę Rosjan i przywitane zostały silnym ostrzałem artyleryjskim. Komendant czołgu sierżant Kolkow, który siedział tuż obok Paula, krzyknął:

– Cholera jasna! – I zaraz potem: – Ognia!

Ładować, strzelać. Ładować, strzelać. Stanowili znakomicie zgrany zespół. Słyszeli huk strzałów, swoich i wrogich, a kilka razy trafiony pociskiem czołg zakołysał się silnie. Niemcy walczyli zaciekle i po godzinie odparli Rosjan, przede wszystkim właśnie dzięki czołgom. Niemieckie wojska ruszyły dalej w kierunku Stalingradu. Zapadła już ciemność. Po trzech kilometrach otrzymali rozkaz odwrotu za rzekę Aksaj, którą przed paroma dniami przekroczyli.

– A co z tymi, którzy są tam w kotle? – wrzeszczał Paul, tracąc panowanie nad sobą. – Oni na nas czekają! Jesteśmy ich jedyną nadzieją.

Sierżant Kolkow patrzył na to bardziej realistycznie.

– Zapewne mamy przed sobą bardzo silną obronę rosyjską. To nie ma sensu, Degnelly. Rozbiją nas.

Rozczarowani i wyczerpani zawrócili. Wysoko na niebie świecił księżyc, dalekie, obsypane śniegiem pola błyszczały w jego świetle.

– Wesołych świąt – wymamrotał Kolkow.

Ładowniczy Karl Friedberg uśmiechnął się szeroko.

– Tylko nie zacznij śpiewać *O Tannenbaum*.

– Ja zupełnie nie mam takiego nastroju – odparł Paul. – Mąż mojej kuzynki siedzi tam pod Stalingradem. O ile jeszcze w ogóle żyje. To wszystko... to jest kompletne szaleństwo!

– Szaleństwo... – powtórzył Kolkow.

Umilkli, każdy pogrążony we własnych myślach. Nagle celowniczy Franz Beniti stwierdził:

– Silnik jakoś dziwnie pracuje. Nie sądzisz, Paul?

Paul zagryzł wargi. To on jako kierowca powinien był usłyszeć to pierwsze, ale rozmarzył się zupełnie. Friedberg trzymał latarkę, a Paul sprawdzał silnik. Tym razem jego umiejętności okazały się niewystarczające.

– Przykro mi – powiedział. – Nie mam pojęcia, co to jest. Nigdy jeszcze nie byłem tak bezradny. Nie wiem!

Mieli przed oczami rozświetloną światłem księżycą rosyjską zimową noc, rozbity czołg i czuli się zdani na łaskę i niełaskę losu.

– Cholera! Cholera! – wrzasnął Beniti. Wyglądał tak, jakby chciał jeszcze tupnąć nogą. – I co teraz zrobimy? Jesteśmy sami, tych przed nami dawno już straciłem z oczu!

– Jedziemy dalej – postanowił Kolkow. – Tak długo, jak długo to pudło da radę.

Ujechali jeszcze z kilometr. Hałas silnika niepokoił coraz bardziej, aż wreszcie usłyszeli prychanie i czołg się zatrzymał. Zapadła cisza.

– No i co teraz? – spytał Friedberg. – Czekamy czy idziemy pieszo?

– Możemy powiesić jakieś ozdoby na jednej z tych jodeł i coś zaśpiewać – zaproponował Franz, ale nikt nie miał nastroju do takich żartów. Kolkow, który tkwił przy radiu i jak opętany bez przerwy próbował coś nadać, popatrzył na niego ze złością.

– Maszerujemy – rozkazał. – Nie rozumiem, dlaczego nikt nie odbiera moich sygnałów! Czy jesteście sami na świecie?

– Lepiej, że sami, niż... – Karl nie dokończył.

Kolkow zrozumiał.

– Tak, nie wiemy, czy tu gdzieś nie włączą się Rosjanie. Powinniśmy jak najszybciej stąd zniknąć! Nie możemy podpalić czołgu, bo natychmiast ściągniemy na siebie uwagę wroga!

Powoli przedzierali się przez śnieg, niosąc woreczki z chlebem, wełniane koce i pistolety. Śnieg skrzypiał pod ich butami. Miejscami jego warstwa była tak gruba, że zapadali się po cholewy. Paul obejrzał się tylko raz. Ciemny kształt opuszczonego czołgu odbijał się na tle nocnego nieba jak relikwiarz rozbitej armii. Mieli świadomość niesłychanego osamotnienia i beznadziei.

„Nie jesteście jeszcze pokonani!”, pomyślał Paul. A może jednak? Aż nadto dobrze słyszał dobiegający gdzieś z tyłu głowy szyderczy głos: „Jesteście skończeni! W Stalingradzie kona 6 Armia. A wy nocą wleciecie się na piechotę w głębokim śniegu. Nad rzeką Czir wasze oddziały toczą rozpaczliwe walki. Jesteście skończeni! Wesołych świąt!”

Szli coraz wolniej, ciężko dysząc. Po wielu godzinach spędzonych w czołgu zeszywniały im stawy i bolały nieznośnie, a zmęczenie dawało się we znaki. Byli głodni i coraz bardziej zdeprymowani. Niewysoki Beniti zatrzymał się w końcu.

– Możemy chwilę odpocząć? – spytał, oddychając gwałtownie.

Kolkow skinął głową.

– Ale tylko kwadrans. Nie możemy zasnąć, bo zamarzniemy.

Mordercze zimno kłuło w gardła jak tysiące igieł, o stopach nie wspominając. Już po

chwili zaczęli tupać, aby się choć trochę rozgrzać. Kolkow, który stał oparty o drzewo, ponaglał do marszu.

– Nie ma sensu tu stać. Musimy iść dalej.

– Tak, powinniśmy więc... – zaczął Paul, ale nie dokończył, bo wszystko stało się bardzo szybko.

Otoczający ich las drgnął, a to, co przed chwilą było nieme i nieruchome, nagle miało ręce, nogi i głowy. Z gęstwiny wyskoczyli rosyjscy żołnierze w grubych kożuchach. Paul i jego towarzysze mieli przed sobą kilka tuzinów luf i ponure twarze. Usłyszeli wykrzykiwane po rosyjsku rozkazy.

– Macie rzucić broń w śnieg – przetłumaczył Kolkow, który znał trochę rosyjski. W świetle skierowanej na niego latarki dostrzegli, że śmiertelnie pobladł. – Róbcie, co oni mówią. Nie mamy żadnych szans – dodał.

Niewysoki Mongoł podszedł do Paula, trącił go brutalnie karabinem w krzyż i coś wrzasnął. Pozostali Rosjanie poszli w jego ślady. Wśród krzyków i uderzeń zmuszono Niemców do ustawienia się w szeregu, a Paul pomyślał: „Teraz nas rozstrzelają. Jednego po drugim. Wszyscy padniemy martwi w śnieg tej strasznej zimnej nocy i nikt nas nie odnajdzie”.

Ku jego zdziwieniu nie padł ani jeden strzał. Zamiast tego pojawił się rosyjski kapitan i powiedział coś szorstkim, beznamytnym głosem.

– Jesteśmy jeńcami – przetłumaczył Kolkow. – Zabiorą nas stąd do obozu. Kto będzie próbował uciekać, zostanie zastrzelony.

– Do obozu? – Na czoło Karla wystąpiły krople potu, mimo trzydziestostopniowego mrozu. – To znaczy przecież...

– ...Syberia – powiedział Paul. – Tak, to całkiem prawdopodobne.

Niewielka grupka jeńców otoczona przez żołnierzy ruszyła w drogę. Na jasnym, pełnym gwiazd niebie ciągle świecił księżyc. Święta noc...

„Zaginiony, tak napiszą Christine”, pomyślał Paul. „Od 24 grudnia 1942 roku zaginiony. A ona będzie sądzić, że nie żyję. Czy ja kiedyś jeszcze zobaczę Lulinn?”

W sylwestrowy wieczór Belle nie wytrzymała. Nocą znów śnił jej się Max, obudziła się mokra od potu i przez dwie godziny płakała w poduszkę. Następnego dnia rano wiedziała już, że przełom roku spędzi z Andreasem, nawet jeśli uzna się z tego powodu za pozbawioną charakteru. Oświadczyła rodzinie, że idzie na przyjęcie UFA w studiu Babelsberg, i późnym popołudniem wyszła z domu.

Przez cały dzień padał drobny śnieg i miasto wyglądało jak przypudrowane. Wielu mieszkańców opuściło już rolety zaciemniające, ale tu i ówdzie Belle mogła zajrzeć przez okna do oświetlonych wnętrz, gdzie stały przystrojone choinki. Mimowolnie zadygotała i zawinęła się ciasniej w płaszcz.

Andreas otworzył, kiedy tylko zadzwoniła, i przynajmniej rozwiął w ten sposób jej strach, że go nie zastanie. Miał na sobie smoking i pachniał bardzo drogą wodą kolońską. Na jego prawej ręce błyszczał wielki złoty sygnet, który odziedziczył po swoim ojcu.

Belle była zaskoczona i zdumiona. Wprawdzie miała cichą nadzieję, że Andreas jednak będzie czekał na jej wizytę, ale zdziwił ją jego strój. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Witaj, Andreasie. Ja... czy mogę wejść?

– Tak... oczywiście... – Cofnął się o krok, ale ona wyczuła jego wahanie.

Zatrzymała się.

– Co się dzieje?

– Nic. Możesz spokojnie wejść. Tylko ja mniej więcej za dziesięć minut muszę wyjść.

– Co? A dokąd?

– Belle – pociągnął ją za rękę do środka i zamknął drzwi – Belle, ja nie mogę stale czekać i zastanawiać się, w jakim będziesz nastroju i jaką podejmiesz decyzję. Przykro mi, ale całe święta byłem sam i nie miałem ochoty siedzieć w domu jeszcze w sylwestra. Dlatego się umówiłem.

Dziewczyna potrzebowała sekundy, aby ta wiadomość do niej dotarła, po czym spytała ostro:

– Z kim?

Andreas się roześmiał.

– Teraz popatrzyłaś na mnie tak, jakbyś chciała mnie pożreć! Belle, ja nie jestem zabawką, którą ty odstawiasz do kąta i w razie potrzeby stamtąd wyciągasz. Ja...

– Z kim?

– Nie znasz jej.

– Jej?

– To znajoma z dawnych lat.

Przełknęła ślinę i czekała, aż on coś jeszcze powie, choćby jakieś słowo przeprosin, ale Andreas patrzył na nią spokojnie. Mocno rozdrażniona czuła napływające do oczu łzy i starała się za wszelką cenę nie wybuchnąć płaczem.

– A więc to kara za święta! Mogłam się spodziewać, że coś takiego przyjdzie ci do głowy. Mój Boże, jakże mogłam się odważyć...

Ku jej zdziwieniu nie zareagował jakąś cyniczną uwagą. Był zaskakująco poważny.

– To nie jest kara, Belle. Te czasy już minęły. Powiedziałem ci kiedyś, ile dla mnie znaczysz. I tu nic się nie zmieniło, ale dlatego też nie zamierzam znosić twojego niezdecydowania. Musisz w końcu postanowić, czego chcesz. I może do tego czasu nie powinniśmy się zbyt często spotykać.

– Andreasie! – Teraz rzeczywiście wybuchnęła płaczem. – Andreasie, próbowałam ci wyjaśnić, że ja...

– ...że twoja sytuacja jest bardzo skomplikowana? Tak, oczywiście. Ale mimo to mogłabyś też pomyśleć o mojej sytuacji, nie sądzisz?

– Tak, ale...

– Nie miej mi tego za złe, Belle, ale ja muszę już iść.

Podreptała za nim po schodach na dół.

– Chcesz iść do domu? – spytał Andreas. – Mógłbym cię kawałek odprowadzić.

– Nie. Ja... ja nie wiem jeszcze, dokąd pójdę. – Dostrzegła cień współczucia w jego oczach, co pozwoliło jej się opanować. – Idź więc. I nie martw się o mnie. Z twojego powodu na pewno się nie powieszę!

Uśmiechnął się szeroko, po raz pierwszy tego wieczoru.

– O nie. Belle Lombard się nie wiesza. Ona idzie i bierze życie za rogi. Szczęśliwego nowego roku, Belle. Zadzwoń do ciebie.

Belle stała w śnieżnej zadymce i patrzyła za Andreasem. „Teraz powinien się znaleźć koło mnie ktoś, kto weźmie mnie za rękę i powie mi, że wszystko będzie dobrze. Mama, babcia Elza czy też ktokolwiek inny”, myślała.

Ale nie było nikogo, jak zawsze. W tej historii z Andreasem była sama. I sama musiała się z nią uporać.

Postanowiła pójść do mieszkania swojego i Maxa, bo na Schlosstrasse nie mogła już wrócić, skoro powiedziała, że idzie na przyjęcie w studiu UFA. Wsiadła do tramwaju i dotarła tam głodna i zmarznięta. W mieszkaniu nie działało ogrzewanie. Wygrzebała z szafy stary wełniany sweter Maxa i założyła go na suknię, a potem przyniosła z piwnicy butelkę wina. Jak

dobrze, że swego czasu zrobiła spory zapas. I wreszcie usmażyła sobie omlet z jednego jajka. Miała nadzieję, że wino pomoże jej przetrwać tę noc, ale kiedy o północy rozdzwoniły się wszystkie dzwony na wieżach kościelnych Berlina, zaczęła płakać. Nie potrafiła się uspokoić i kiedy koło drugiej na chwiejnych nogach poszła do łóżka, miała czerwone, piekące oczy i bolała ją głowa.

Tak dla Belle zaczął się rok 1943.

Max leżał cztery tygodnie w lazarecie, który urządzono w piwnicy dawnej fabryki samochodów. Przemęczony lekarz, któremu z głodu i wyczerpania stale drżały ręce, wyciągnął mu kulę i, co zadziwiające, Max przeżył. Miał już wracać do ojczyzny, gdy dostał zapalenia otrzewnej i całymi dniami walczył z wysoką gorączką, często nieprzytomny.

– Niezdolny do transportu – stwierdzał lekarz każdego ranka, kiedy podchodził do chorego i słyszał jego głośny, rozgorączkowany oddech. – Zostawcie go.

Doktor nie chciał ryzykować, ale jego troska wydawała się wręcz śmieszna, gdy wokół leżało tak wielu umierających mężczyzn. Czuł jakąś sympatię do Maxa Marty'ego, choć nawet nie znał jego nazwiska. Niewielu ludzi przeżywało postrzał w brzuch, a zwłaszcza przy tak nędznym zaopatrzeniu medycznym. Ale mimo wielokrotnie zbliżającej się śmierci Maxa najwyraźniej opętała wola przeżycia za wszelką cenę i to chyba dawało mu siłę. Leżał cicho, z zamkniętymi oczami, oddychając płytko i nieregularnie, ale coś w jego organizmie nadal walczyło, każdego dnia od nowa i kiedyś w końcu lekarz zdecydował, że nie pozwoli śmierci porwać tego człowieka. Może dlatego, że on także potrzebował odrobiny nadziei w tym piekle.

Rankiem 8 stycznia Max wybudził się ze snu, który po raz pierwszy od długiego czasu był wolny od gorączkowych majaczeń, i dostrzegł, że otoczenia nie przesłaniała już mgła. Marzył strasznie pod cienkim wełnianym kocem, ale to już nie były te dreszcze, które przesładowały go dzień i noc. Jak długo tu leżał? Spróbował się podnieść, ale opadł bez sił na łóżko. Ku swemu przerażeniu prawie nie mógł podnieść ramienia. Gdyby był w stanie się zobaczyć, przeraziłby się jeszcze bardziej: miał wychudłe policzki, zaczerwienione oczy, niemyte, zmierzwiłone włosy i potarganą czterotygodniową brodę. Z jego ramion wystawały spiczaste kości, a skóra na sterczących żebrach przypominała sztywny, pożółkły pergamin. Obrączka na jego serdecznym palcu prawej ręki zsuwała się tak, że dawno już powinien był ją zgubić.

– Który dzisiaj jest? – spytał z trudem.

– Ósmy stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – odpowiedział towarzysz leżący obok niego. – Leżysz tutaj już dość długo.

– Gdzie?

– No, jak to gdzie? Ciągle jeszcze w Stalingradzie. Nie ma już żadnych szans. Głód nas wszystkich zabije. I te przeklęte pchły. Też masz tyle pcheł?

– Nie wiem.

Rzeczywiście nie wiedział. Był za słaby, aby cokolwiek wiedzieć.

Tego dnia, 8 stycznia, Rosjanie po raz ostatni zaproponowali 6 Armii honorową kapitulację. Na spustoszone, zniszczone miasto zrzucono setki ulotek w języku niemieckim i wezwano żołnierzy do poddania się. Gwarantowano życie i bezpieczeństwo, ale zastrzeżono, że „kto będzie stawiał opór, zostanie zastrzelony”.

Generał Paulus odrzucił propozycję.

Późnym popołudniem rosyjscy jeńcy wojenni szli w stronę lotniska Pitomnik, ciągnąc sanie, na których leżeli Max i kilku jego towarzyszy niedoli. Tam w dwóch wielkich namiotach ranni żołnierze czekali na transport do Smoleńska. Tamtejszy lazaret dysponował odpowiednią liczbą lekarzy i medykamentów. Kiedy tylko lądował samolot z żywnością, środkami opatrunkowymi i amunicją, tragarze nieśli nosze z rannymi, których należało jak najszybciej

załadować na pokład. I tu dochodziło do strasznych scen: lżej ranni czołgali się przez śnieg i za wszelką cenę próbowali dostać się do samolotu, wręcz chwytając się maszyn, kiedy te startowały. Piloci musieli odpychać tych ludzi, czasami nawet strzelali w powietrze, aby ich wystraszyć, uderzali kolbami karabinów po rękach albo kopali. Ile lotów do Stalingradu miało się jeszcze zakończyć pomyślnie? Wiele samolotów zestrzelono przed ich wylądowaniem, wiele musiało zawrócić z powodu zamieci, zanim zdążyły dotrzeć do miasta.

10 stycznia rozpoczęła się ostatnia wielka ofensywa rosyjska skierowana przeciwko zamkniętej w kotle 6 Armii niemieckiej. Szansę na kapitulację zaprzepaszczono. Na wpół zagłodzeni i na wpół zamarznięci żołnierze Rzeszy wypełzali z piwnic zniszczonych domów i strzelali ostatnimi nabojami w atakujących. Cierpieli z powodu biegunki, pcheł i odmrożeń kończyn, a ich wnętrznościami targał głód. Zabijali szczury i zjadali ich mięso na surowo, z rozpaczą wygrzebywali ze śniegu padłe konie i je zjadali. Panował iście syberyjski mróz: minus trzydzieści pięć stopni, a lodowaty wiatr wciskał śnieg w każdy możliwy kąt. Mężczyźni od wielu dni czekali na śmierć i bez wahania strzelali sobie w głowy. Wiedzieli od dawna coś, czemu Hitler w kwaterze głównej tak uparcie zaprzeczał: wszystko było już stracone.

W namiotach, w których znajdowali się ranni, panowało straszne zimno, mimo że wszyscy leżeli ciasno obok siebie. Max skulił się pod swoim kocem i chuchał w zgrabiąle ręce. Kiedy się odwracał i trącał przy tym swego sąsiada, ten wrzeszczał z bólu. Trochę dalej jakiś żołnierz z amputowanym ramieniem głośno krzyczał w gorączce. Smród ludzkich ekskrementów, krwi i ropy był wręcz nieznośny i co chwila rozlegało się wołanie:

– Sanitariusz! Tu znowu ktoś umarł! Sanitariusz!

Max próbował uciec od tego przynajmniej w myślach: miał przed oczami Belle, ich berlińskie mieszkanie, teatr, ulubione knajpki, Sophie... Wszystko wydawało się tak dalekie i jakby przesłonięte mgłą... Trudno mu było się na tym skoncentrować, bo z marzeń wyrwały go głośne stękania, straszliwe zimno i głód. Rozumiał, jak bardzo był osłabiony, i usiłował bronić się przed snem, który mógłby go stąd zabrać na zawsze. Wieczorem dostał maleńką porcję chleba i chochlę zupy. Jadł bardzo powoli, ale po dwóch minutach jego blaszany talerz był już pusty. Z zewnątrz docierały odgłosy ostrzału artyleryjskiego.

– Rosjanie przełamują naszą obronę – wymamrotał mężczyzna, który leżał obok Maxa. – Wkrótce będzie z nami koniec. Paulus powinien być skapitulować.

Młody porucznik, który odpowiadał za transport rannych, podszedł do nich. Trzymał w ręku listę chorych.

– Marty, Maximilian? – Musiał mówić bardzo głośno, aby zagłuszyć hałas strzałów.

– Tak – odpowiedział cicho Max.

– Jutro jest pan przewidziany do transportu.

– Tak... dziękuję.

„Jutro polecę do domu”. Max zastanawiał się, dlaczego ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Żadnego uczucia szczęścia. Czuł tylko ogromne osłabienie i zimno.

Dzień później lotnisko Pitomnik wpadło w ręce Rosjan.

Po rozpoczęciu wielkiej ofensywy zimowej walczone o nie szczególnie zażarcie, bo Rosjanie oczywiście wiedzieli, że tu bije ostatni, słaby puls miasta i że tu przebiega ważna linia obrony, którą muszą przeciąć. Jeśli Pitomnik padnie, to 6 Armia będzie mogła zacząć śpiewać pieśń pogrzebową.

Dla rannych, leżących w namiotach i w większości niezdolnych do poruszania się, zdobycie Pitomnika oznaczało śmierć. Ostrzał artyleryjski wydawał się bliski, walczone tuż przed wejściami do namiotów, a w róg jednego z nich trafiły granaty, które wyrwały wielką dziurę w dachu. W efekcie doszło do strasznej, krwawej łaźni wśród żołnierzy leżących

bezpośrednio pod nim. Mężczyzna obok Maxa niemal postradał zmysły: wrzeszczał, aby go tu nie zostawiano. Kilku rannych rzeczywiście wyniesiono na noszach, ale jasne było, że większość musiała pozostać w środku. I znów w zewnętrzny róg namiotu, w którym leżał Max, trafił granat.

– Cofać się, cofać! – rozległ się krzyk. – Wychodzimy!

Przebiegający obok żołnierz rzucił jęczącemu sąsiadowi Maxa pistolet.

– Masz! Jest jeszcze jeden nabój! Może tobie będzie bardziej potrzebny niż mnie!

Ten jednak odrzucił broń i czołgając się, próbował dotrzeć do przejścia pośrodku, ale po chwili załamał się i po kilku metrach znieruchomiał. Pistolet wylądował tuż obok Maxa, a on wpatrzył się w niego jak urzeczony. Ostatni nabój... Wielu żołnierzy oszczędzało ostatni nabój na wszelki wypadek, żeby... Max drżącymi rękoma sięgnął po broń. Na kilka sekund wróciła świadomość otaczającego go piekła, które za chwilę znikło za mgłą, kiedy przyciskał lufę do skroni.

Dobrze było na koniec móc samemu zdecydować o wszystkim.

## 8.

Mężczyzna stojący na scenie berlińskiego Pałacu Sportu miał wychudzoną, ascetyczną twarz, teraz wykrzywioną w grymasie. Jego głos załamywał się w krzyku.

– Czy chcecie wojny totalnej? – wrzeszczał Joseph Goebbels.

Sala była wypełniona ludźmi do ostatniego miejsca. I teraz wszyscy poderwali się, wyrzucili w górę prawe ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, po czym rozległ się głośny okrzyk:

– Taaaak!

Belle przeciskała się przez tłum w stronę drzwi.

– Proszę... Proszę mnie przepuścić...

Przy wyjściu stało kilku członków SA, którzy nie rozumieli, dlaczego ta młoda kobieta chce koniecznie opuścić Pałac.

– Nie może pani teraz wyjść. Minister jeszcze przemawia.

– Jest mi niedobrze. Moje krążenie... Proszę, ja muszę wyjść na świeże powietrze...

Cofnęli się niechętnie. Belle biegła przez korytarze i zatrzymała się dopiero na zewnątrz budynku. Wiał zimny lutowy wiatr, ale to jej dobrze zrobiło. Z własnej woli nigdy nie przyszłaby tutaj po to, aby wysłuchać mowy Goebbelsa, ale dużej grupie aktorów UFA nakazano, aby podgrzewali i tak już pozytywną atmosferę. Belle się skrzywiła. Nie krzyczała „tak” wraz ze wszystkimi.

31 stycznia w Stalingradzie skapitulowała większa część 6 Armii. Kto przeżył, dostał się do niewoli. W gazecie „Völkischer Beobachter” napisano o poległych, że: „Umarli, aby żyły Niemcy”.

W żałobie pogrążyły się tysiące ludzi, ale jeszcze więcej czekało w dręczącej niepewności i niewiedzy. W ostatnich tygodniach z kotła prawie nie przedostawała się poczta, wielu poległych żołnierzy w panującym tam chaosie bez wątpienia nie zostało zarejestrowanych. Kto zginął, kto był ranny, a kto poszedł do niewoli? Brak meldunku o poległych w ogóle nic nie znaczył. Belle także nie miała wiadomości o Maxie. I dopiero teraz rozumiała, dlaczego kiedyś tak się wściekał, kiedy ona nie dzieliła jego niepokoju związanego z nazistami. Jakże była głupia, jak obojętna na wszystko i jak płytka! Max już wtedy znał prawdę, a ona ciągle oddawała się swoim dziewczynskim marzeniom. Teraz wreszcie przejrzała na oczy. Nienawidziła Hitlera z całej duszy. Bo zaczął tę straszną wojnę, bo codziennie wysyłał na śmierć tysiące mężczyzn, bo dzięki gromadzie szpicli kontrolował, omamiał i uciskał cały naród. Bo doprowadził do takiej tragedii jak ta pod Stalingradem, bo do ostatniej chwili zabraniał marszałkowi Paulusowi kapitulacji, przez co przeciągał w nieskończoność cierpienie zamkniętych tam w kotle mężczyzn. Belle nienawidziła go za to wszystko i jeszcze za sto innych rzeczy i tego dnia, kiedy musiała słuchać śliniącego się Goebbelsa, jej nienawiść rosła.

Postanowiła pójść do domu, aby nie wybuchnąć łzami na ulicy. Miała nadzieję, że uda jej się przemknąć niepostrzeżenie do swojego pokoju, żeby nie musiała z nikim rozmawiać. Ale kiedy otworzyła drzwi mieszkania Elzy, niemal zderzyła się z Nikolą, która stała przed lustrem w korytarzu i patrzyła na własną zalaną łzami twarz.

– Nikolo! Co się stało?

– Ten cholerny podły głupek! – wyrzuciła z siebie dziewczyna. Takim tonem mówiła tylko o jednym mężczyźnie.

– Siergiej? – spytała Belle.

– Oczywiście, że Siergiej. Któż by inny? Kto mógłby mi zrobić coś takiego?



– A co on zrobił?

Nikoła znów zalała się łzami.

– Jestem w ciąży, Belle. Już prawie w trzecim miesiącu.

– To pewne?

– Byłam u lekarza. Nie ma żadnych wątpliwości.

– Och, cholera – powiedziała Belle. Pamiętała dobrze swoje przerażenie, kiedy stwierdziła, że spodziewa się dziecka.

– Nigdy już nie chciałam mieć dziecka! – Nikoła obiema rękami przejechała po swoim brzuchu i biodrach. – I właśnie teraz muszę być w ciąży, kiedy kobiecie potrzebne jest silne ciało, a nie gruby brzuch!

Gdy Belle weszła do pokoju, znalazła na biurku list. Zawiadamiano ją, że 20 lutego ma się zameldować w Miejskim Towarzystwie Komunikacyjnym, ponieważ przydzielono jej na czas nieokreślony pracę kontrolerki biletów w tramwajach. Dalej stwierdzano, że jej zatrudnienia w filmie nie można już potraktować jako niezbędnego w czasach, kiedy każda kobieta powinna wszystkie swoje siły poświęcić dla dobra narodu i godnie zastąpić mężczyzn, którzy walczą na polu bitwy za ojczyznę.

Belle po raz pierwszy w życiu dostała silnego ataku migreny, który ustąpił nieco dopiero, kiedy kilka razy zwymiotowała. Nie zdołała się jeszcze po wszystkim otrząsnąć, gdy zadzwonił telefon. Christine oświadczyła, że otrzymała list z Rosji, w którym zawiadamiano ją, że Paul Degnelly od świąt Bożego Narodzenia uważany jest za zaginionego, bo znikł bez śladu.

W 1943 roku alianci zaatakowali ludność cywilną Niemiec. Bombardowali miasta, domy i ulice.

10 marca zaatakowano Monachium. Alarm ogłoszono późnym wieczorem, kiedy Felicja właśnie zamierzała iść do łóżka. Słyszając wycie syren, znieruchomiała, po czym szybko założyła sweter, który niedawno z siebie zdjęła. Była bardzo zmęczona. Nienawidziła samej myśli o nocy w piwnicy.

Wszyscy czworo – Felicja, Alex, Jolanta i Martin – przykucnęli w małym pomieszczeniu, które służyło za kryjówkę temu ostatniemu. On sam, blady i wychudzony, wyglądał na wynędzniałego.

– To kompletne szaleństwo – powiedział, kiedy rozległ się hałas wybuchających bomb. – W taką noc boję się najmniej. Bo teraz gestapo na pewno nie odważy się pojawić na ulicy.

– Nie, ale nie sądzę też, że bomby są mniej groźne – wymamrotała Felicja. Wcisnęła się w tylny kąt pokoju i zawinęła szczelnie w płaszcz. Za każdym razem, kiedy słyhać wybuch, kuliła się ze strachu. W końcu wyszeptała z rozpaczą: – Kiedy to się skończy? Kiedy to się skończy?

Alex usiadł obok niej i objął ją ramionami.

– Zaraz – zapewnił uspokajająco. – Zaraz to wszystko się skończy.

Jedna z bomb detonowała bardzo blisko, a fala uderzeniowa była tak silna, że wszystkich rzuciło o ścianę. Przez kilka sekund czuli, że mają ściśnięte płuca.

– O święta Mario! – wystękała w końcu Jolanta. Miała pobladłe wargi i zęgnęła się raz po raz. – Ja nie chcę umierać!

– A ja chciałbym umrzeć – powiedział Martin.

– A ja nie! – ofuknęła go Felicja. – Nie chcę, żeby bomba spadła mi na głowę!

Znów rozległ się ogłuszający huk, a po chwili kolejny. I jeszcze jeden. Felicja zatkała sobie uszy i ukryła twarz w ramionach Alexa. Jolanta ścisnęła swój różaniec. Kiedy wreszcie odwołano alarm, żadne z nich z początku nie chciało w to uwierzyć. W końcu Felicja podniosła się z trudem. Po długim siedzeniu w kucki na podłodze bolały ją wszystkie kości.

– Myślę – odezwała się słabym głosem – że nasz dom jeszcze stoi.

– Czy dziś w nocy jeszcze raz nas zbombardują? – spytała Jolanta.

Alex potrząsnął głową.

– Z pewnością nie. Powinniśmy iść spać. Jest już późno.

Po kolei wychodzili z piwnicy na schody – wszyscy, oprócz Martina. Z zewnątrz dobiegało wycie syren samochodów pożarniczych, a kiedy Felicja odsunęła na bok jedną z rolet zaciemniających, dostrzegła czerwony odblask pożarów nad miastem. Zadygotała. Jak łatwo mogli podzielić los ludzi, których domy właśnie płonęły! Jolanta poszła do kuchni, aby zaparzyć herbatę z melisy i uspokoić nerwy.

– Ja wolałabym raczej kieliszek wódki – powiedziała Felicja. – Chcesz też się napić, Alex?

Alex skinął głową i poszedł za nią do jej biura, gdzie Felicja trzymała zapas alkoholu. Patrzył na nią uważnie, kiedy jednym haustem wypijała wódkę. Wydawała mu się bardzo zdenerwowana.

– Zapewne – rzekł ni stąd, ni zowąd – przez cały czas zastanawiasz się, czy twojemu kochanemu Maksymowi też nic się nie stało!

Natychmiast dostrzegł urazę w jej oczach.

– A skąd wiesz, o czym ja myślę? I co to cię w ogóle obchodzi? – odparła.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– Nie wszczynaj od razu wojny! Ja tylko zadałem sobie pytanie, dlaczego jesteś tak niespokojna. A że cię dobrze znam...

– W ogóle mnie nie znasz! Gdyby tak było, to wiedziałbyś, że... – Urwała i naląła sobie drugi kieliszek.

– Wiedziałbym i wiem, że przede wszystkim teraz jesteś w stanie kompletnego rozkojarzenia i napięcia nerwowego – dokończył Alex. – A to dlatego, że prawie w ogóle nie widzisz swojego ukochanego Maksyma, a jeśli nawet to się zdarza, to on po prostu mija cię niewzruszenie i idzie dalej swoją drogą. A ze mną mieszkasz od dwóch lat pod tym samym dachem, jednak od jakiegoś czasu nie wchodzę do twojej sypialni – i to właśnie cię niepokoi!

– Ach, cóż z ciebie za wnikliwy psycholog! Nie przeceniaj się, Alex!

Patrzyli na siebie i znów pojawiło się tysiąc niewypowiedzianych spraw, które ich dzieliły. Felicja poczuła nagle ogromne zmęczenie i pomyślała: „Gdyby on teraz wziął mnie w ramiona! On albo ktoś inny! Życie jest przecież takie podłe i puste!”.

Alex, zupełnie jak gdyby czytał w jej myślach, powiedział:

– Nigdy więcej nie chcę być kaprysem twojej chwili zapomnienia, Felicjo. Mocnym ramieniem w czasie twoich złych i trudnych godzin, ale poza tym czymś w rodzaju wycieraczki. Tę rolę grałem zdecydowanie za często i za długo, ale teraz jestem już na to za stary. Potrzebuję w życiu odrobiny trwałości.

Jestem już na to za stary... Te słowa ją uderzyły. Popatrzyła na niego uważnie i dopiero teraz uświadamiała sobie tak wyraźnie, że on miał już mocno posiwiałe włosy, lekko pochylone do przodu ramiona. I dopiero zdała sobie sprawę, że patrzy w lustro. To były także jej siwe włosy, jej pochylone ramiona. Jej młodość minęła tak samo jak jego. To Belle i Zuzanna były młode – ale ona już nie. Odpowiedziała gwałtownie:

– Ja odczuwam to tak samo jak ty, Alex. Też szukam czegoś... może także czegoś trwałego. Czuję ogromną pustkę. Pracuję szesnaście godzin dziennie i nie mam pojęcia po co. Dawniej to wszystko miało jakiś sens. Zawsze miałam przed sobą jakiś cel. Za czymś... tęskniłam. Nawet jeśli miałyby to być coś nieokreślonego, tak że nie wiedziałam, co to będzie, a jednak sądziłam, że to osiągnę i że to wypełni moje życie. I ta tęsknota, jakieś pragnienie, które

mi dawało tyle siły i ufności... Gdzie to wszystko znikło? I kiedy?

Alex się uśmiechnął. I był to uśmiech pełen tkliwości.

– Ty odczuwałaś kiedyś jakąś palącą tęsknotę, ty, moja zimna Felicja? Za każdym razem miałem dreszcze, kiedy patrzyłem ci w oczy... Felicjo, ty piękny, błędny ogniku, ty też nie jesteś w stanie prowadzić takiego życia, jakie wiodłaś dawniej. Zawsze za czymś goniłaś, dokądś pędziłaś, ale musisz pamiętać, że kobieta, która wkrótce skończy czterdzieści siedem lat, traci oddech szybciej niż dwudziestoletnia dziewczyna. Znajdź w sobie trochę spokoju, Felicjo, odpocznij.

– Ale ja... – Zaczęła, ale on przerwał jej szorstko, tym razem już bez śladu ciepła w głosie:

– Ale ty nie przestaniesz pragnąć Maksyma Marakowa, wiem o tym. I to jest właśnie ta twoja tęsknota! A może ona już nieco wywietrzała przez te wszystkie lata? Zostawmy to. Niedobrze mi się robi, kiedy znów muszę rozmawiać z tobą na ten temat.

Felicja, powodowana nagłym impulsem, odparła:

– Myślę, że pojedę na jakiś czas do Lulinna. Jest mi to potrzebne.

– Tak, bo ty przez całe życie zawsze myślałaś o tym, co jest potrzebne tobie. Nigdy cię nie...

– Czy koniecznie musisz się teraz ze mną kłócić?

– Ja... – zaczął Alex, ale w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kto to może znowu być? – spytała Felicja. – Jakoś mam wrażenie, że ten dom przyciąga gości nocami!

– Pomogę Martinowi wejść do jego kryjówki – powiedział Alex. – A ty otworzysz drzwi. Jeśli to gestapo, to zatrzymaj ich tak długo, jak się da.

Tym razem nie było to gestapo. Przed drzwiami stali Zuzanna, Hans i ich trzy córki, z rozczochranymi włosami, twarzami pobrudzonymi sadzą i dwiema wielkimi walizkami. Zuzanna na widok matki wybuchnęła łzami.

– Nasz dom – szlochała – spalił się. Straciliśmy wszystko. Mamo, wszystko spłonęło!

Hans, który tak się zdenerwował, że dostał ataku astmy, wyjaśnił, dysząc gwałtownie:

– Trafienie wrogiej bomby! Ledwo udało nam się uciec do ogrodu przez tylne wyjście w piwnicy. Wzięli nas do siebie sąsiedzi i zostaliśmy tam do końca nalotu.

– O Boże – jęknęła Felicja, dostrzegając kątem oka, że Alex właśnie wrócił z piwnicy i niepostrzeżenie znikł w drzwiach salonu.

– Mamo, możemy u ciebie zostać? – spytała Zuzanna.

Trzy dziewczynki zaczęły głośno beczeć. Felicja, która przez całe swoje życie nie lubiła za bardzo małych dzieci, powiedziała tylko:

– Proszę, Zuzanno, uspokój je. Oczywiście, że możecie tutaj zostać. Pewnie wasz dom niedługo będzie się nadawał do zamieszkania? – dodała z nadzieją w głosie.

Zuzanna potrząsnęła głową.

– Nie zrozumiałaś mnie. Wszystko jest zniszczone. Nigdy już nie będziemy mogli tam zamieszkać.

Prawie świtało, kiedy Jolanta przygotowała wszystkie łóżka i pięcioosobowa rodzina znikła w pokojach. Felicja pozwoliła sobie na trzeci kieliszek wódki tej nocy i zastanawiała się, czym zasłużyła sobie na takie kłopoty.

– Dlaczego moja córka musiała wyjść za tego człowieka? Dlaczego musieli spłodzić troje tak nieznośnych dzieci? I dlaczego, do diabła, mam ich teraz wszystkich na głowie?

Alex się roześmiał.

– To twoja rola w tym życiu. Zawsze będziesz się poświęcać dla rodziny. Ale mam

wrażenie, że nie dostrzegasz zasadniczego problemu.

– Jakiego znowu? To znaczy oprócz tego, że od tej chwili prawdopodobnie nie przełknę ani kęsa, kiedy przy każdym posiłku będę musiała patrzeć w arogancką twarz Hansa Velina.

– Mam na myśli problem Martina Eliasa.

Felicja opuściła rękę, w której trzymała kieliszek.

– Och – odparła cicho.

Alex skinął głową.

– Tak. Martin Elias i Hans Velin pod żadnym pozorem nie mogą mieszkać pod jednym dachem.

– Jak zawsze – powiedział z uśmiechem Tom Wolff – podziwiam cię za odwagę, Felicjo. Zaraz po urodzie to twoja najsilniejsza broń.

– Daruj sobie takie sentencje, Tom. Sprawa jest zbyt poważna. Pomożesz mi czy nie?

Siedzieli w bibliotece w domu Wolffów, Tom w jedwabnym szlafroku, z twarzą mocno błyszczącą od kremu, którym miał zwyczaj smarować się każdego dnia zaraz po wstaniu z łóżka. Felicja założyła szary wełniany kostium z czasów przedwojennych, w którym wyglądała niezwykle poważnie, co bardzo bawiło Toma, znającego ją aż za dobrze.

– A więc od roku ukrywasz u siebie tego poczciwego Eliasa – rzekł powoli. – A skąd wiesz, że ja teraz nie pójdę gdzie trzeba i cię nie zadenuncjuję?

– Nie pójdziesz, bo w gruncie rzeczy mnie lubisz. Wprawdzie wpędzasz mnie też we wszystkie możliwe kłopoty, ale nie te zagrażające życiu.

– Zapewne masz rację – przyznał Tom.

– Tom! – Felicja przechyliła się do przodu i popatrzyła na niego przenikliwie. – Tom, musisz mi pomóc. To za duże ryzyko, żeby ukrywać Martina Eliasa w domu, w którym mieszka Hauptsturmführer SS. No i jeszcze te dzieci...

– Twoje wnuczęta – wtrącił szyderczo Tom, uśmiechając się szeroko.

– Tak. Moje... moje wnuczęta, skoro musisz to tak wprost określać. Jeśli one się na niego gdzieś natkną, to będą drzeć się wniebogłosy. Nikomu z tej rodziny nie mogę zaufać. Proszę, Tom. Weź Martina do siebie!

– Hmm – wymruczał Tom. – Nie jest to pozbawione pewnego uroku i dreszczyku emocji, biorąc pod uwagę, że przychodzi tu i wychodzi stąd mnóstwo nazistowskich bonzów i oni nie będą mieli o niczym pojęcia... A propos: jak tam z twoją wiernością partii? Bo łaskawa pani też robi interesy z nazistami. I zapewnia schronienie wrogowi państwa!

Felicja zapaliła papierosa.

– Martin Elias nie jest żadnym wrogiem państwa, podobnie jak większość Żydów. A ja nie jestem wierna partii, podobnie jak ty. Oboje jesteśmy na to zbyt mądrzy, Tom, aby wiwatować na cześć jakiegoś typa, który ogłosił się naszym Führerem. Ale jesteśmy też zbyt mądrzy na to, aby stracić okazję do ubicia dobrego interesu. Obławiamy się na nazistach, ale gdyby oni któregoś dnia musieli się wynieść, to jeszcze dostaną od nas kopniaka. Proste, prawda?

Tom chrząknął. Był dokładnie tego samego zdania co ona.

– W porządku, Felicjo. Jeśli Kat nie będzie miała nic przeciwko temu – a nie będzie miała – to możesz przyprowadzić Eliasa do mnie. A między nami mówiąc: jeśli Führerowi i jego powiernikom któregoś dnia miałyby się powinąć noga i nastaną inne czasy, to mnie, jako członkowi partii, nie zaszkodzi, jeśli ktoś tak prześladowany jak Elias będzie zeznawać na moją korzyść. Tak na to też trzeba spojrzeć.

– Właśnie.

Tom popatrzył na nią uważnie.

– Dlaczego ty to robisz? – spytał.

– Co takiego?

– Dlaczego wzięłaś do siebie Eliasa? I może jeszcze innych, bo ja...

– Bzdura! – Felicja powiedziała to zbyt gwałtownie. – Nikogo innego u mnie nie ma!

Tom machnął ręką.

– Przede mną i tak nie musisz składać zeznań. Tylko że to do ciebie niepodobne: nadstawiać karku dla kogoś, kto nie należy do twojej świętej rodziny. No więc, dlaczego to robisz? Kalkulujesz, tak jak ja? A może masz jednak jakieś sumienie moralne, bardziej wyraziste, niż sądziłem? A może kryje się za tym coś jeszcze?

– Tylko kalkulacja – wyjaśniła Felicja. – A także to, że... Ach, do diabła, nie mogłam przecież zostawić Martina w potrzebie! Jest mężem Sary, a z nią przyjaźnię się od małego!

Zaciągnęła się gwałtownie papierosem. To, co mówiła, było prawdą, choć nie jedyną. Czy ryzykowałaby cokolwiek dla tych wszystkich ludzi, którzy się u niej ukrywali, gdyby nie Maksym? Czy więc robiła to powodowana ślepą miłością? Nie, to byłoby zbyt proste. Tę prawdę uświadomiła sobie w jednej chwili: po tych wszystkich tak długich latach ciągle jeszcze chciała w głębi ducha udowodnić Maksymowi, że nie tylko pieniądze, sukces i władza nadawały kierunek jej życiu. Felicja nadal starała się o jego uznanie, którego być może pragnęła bardziej niż jego miłości. Uznanie na polu, które dla niego było ważne, a nie tylko podziwu dla jej inteligencji, obrotności i niezachwianej ambicji.

Tom uważnie obserwował jej mimikę, ale nie mógł się niczego domyślić. Zapytał wprost:

– Czy jest coś między tobą a twoim byłym mężem?

– A czy jest coś między tobą a ową sławną–niesławną Lulu? – odparowała natychmiast.

Tom westchnął w odpowiedzi.

– Ponury rozdział mego życia. Ale jeśli mowa o tobie, nie bądź głupia. Alex Lombard to odpowiedni mężczyzna dla ciebie. Jeden diabeł wie, dlaczego nie możesz tego pojąć.

– Tom, zbyt mało wiesz o przeszłości mojej i Alexa, aby móc to ocenić.

– Wiem więcej, niż myślisz! – zachichotał. – Wiem na przykład, że milutka Belle nie jest córką Alexa Lombarda. Nie może nią być!

– Ach, jaki ty jesteś mądry!

– Tak, pamiętam wszystko doskonale, jakby to było wczoraj... Tuż przed końcem wojny w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku Lombard walczył od wielu miesięcy na froncie zachodnim, ciebie też nie było, bo wyjechałaś do Berlina, potem do Petersburga, i nagle pojawiłaś się tutaj z dość dużym brzuchem. Pomyślałem, no, ona to ma tupet! I kim może być mężczyzna, z którym się puściła? – Popatrzył na nią wyczekująco, ale ona nie odpowiedziała. – Ciągle jeszcze zastanawiam się, kto to mógł być, Felicjo. I czy to jest przyczyna ciągłego smutku w twoich oczach, który dostrzega tylko ktoś, kto dobrze cię zna? A kim jest ten śmieszny świętoszek, którego zatrudniłaś w swojej firmie i którego prawie nikt nie widuje?

Felicja wstała.

– Muszę już iść, Tom.

Tom również się podniósł.

– Powinnaś wreszcie znaleźć w sobie trochę spokoju. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– O Boże, nie zaczynaj z tym jeszcze i ty! Alex ostatnio wyjaśnił mi to niezwykle dokładnie. Jeśli dalej będziecie gadać w tym tonie, to wkrótce poczuję się jak bardzo, bardzo stara kobieta!

– A co miałem powiedzieć? Nie, nie, Felicjo, ty wciąż wyglądasz ślicznie i młodo, tak jak dawniej, tyle że twoja dusza nie jest już tak młoda, jak była kiedyś. I ona nie nadaje się już do żeglowania po wzburzonym morzu. Kiedyś, prędzej czy później, będzie potrzebowała bezpiecznego portu. – Tom wykrzywił twarz w śmiesznym grymasie, ale mimo to sprawiał

wrażenie raczej smutnego. – Wiem, o czym mówię. Każdy pragnie spokoju, ciepłych letnich wieczorów i bliskiego człowieka, który siedzi obok i z którym można się porozumieć bez słów... No, ale nie chcę za długo przynudzać. Możesz przyprowadzić wieczorem Martina Eliasa do mnie. Zaufanie, którym mnie obdarzasz, to dla mnie zaszczyt, droga Felicjo. Jeśli oboje nie mamy człowieka, którego kochalibyśmy z całego serca i który równie gorąco odwzajemniałby naszą miłość, to przynajmniej jesteście dla siebie nawzajem dobrymi przyjaciółmi. To też ma swoją wartość.

– Nie rób się sentymentalny, Tom. Dawniej toczyliśmy ze sobą straszne boje!

– Jesteśmy sobie równi. A ty nigdy się nie wywyższałaś i nie zadzierałaś nosa, Felicjo. Córka szanowanej berlińskiej rodziny ze swoją wschodniopruską posiadłością w tle i ubogi chłopski syn z Lasu Bawarskiego... Nie byłaś taka jak inni, szanowałaś mnie, bo miałem nosa do dobrych interesów i pieniędzy i byłem o wiele lepszym handlarzem niż wszyscy twoi eleganccy przyjaciele z pięknymi manierami... – Tom raz jeszcze westchnął ciężko i uśmiechnął się do Felicji.

A ona odpowiedziała takim samym ciepłym uśmiechem.

– Ostatnia dobra rada – rzekł, odprowadzając ją do drzwi. – Powinnaś wziąć urlop. Gdzieś wyjechać.

– Chciałabym pojechać do Lulinna. Ale nie mogę, skoro mam teraz tak strasznych lokatorów na głowie. Zanim wrócę, rozniosą mi dom.

W duchu dodała: „A poza tym Maksym może pojawić się w każdej chwili i kto wie, jakich ludzi przyprowadzi ze sobą. A oni w żadnym wypadku nie mogą się natknąć na Hansa Velina”.

Fakt, że w rodzinie miała esesmana, zaczynał jej się powoli wydawać nie do zniesienia.

## 9.

28 i 30 marca 1943 roku Berlin stał się celem ciężkich ataków z powietrza. Na miasto zrzucono prawie półtora tysiąca ton bomb. Syreny wyły niemal bez przerwy, a niebo poczerwieniało od odbłasku pożarów. Domy zapadały się jeden po drugim tak, jak gdyby zbudowano je z piasku: na ulicach ziały po nich głębokie dziury. W wielkich halach dworcowych roilo się od ludzi, których domy zostały zbombardowane i którzy albo szukali tu dachu nad głową, albo próbowali uciec ze stolicy Rzeszy. Uciec gdzieś na wieś, gdzie można było nocami spokojnie spać i nie trzeba było drżeć o swoje życie.

W czasie tej pierwszej nocy zginęli Johannes i Linda Degnelly. Christine, która u nich mieszkała, akurat tego wieczoru zagadała się u koleżanki ze studiów i tam zeszła do piwnicy w czasie nalotu. Po powrocie zastała dymiącą kupę gruzów, bo tyle tylko pozostało z domu teściów. Kilkunastu kompletnie wyczerpanych strażaków wyjaśniło jej, że wszyscy zginęli. Większość ciał wydobyto z zasypanej piwnicy. Christine zidentyfikowała zwłoki Johanna i Lindy, a potem z osobliwym spokojem i kamienną twarzą wsiadła do tramwaju, pojechała do Charlottenburga i zadzwoniła do mieszkania Elzy na Schlossstrasse. I dopiero kiedy Nikola otworzyła drzwi, Christine wybuchnęła płaczem i załamała się zupełnie.

Belle była akurat w pracy i Elza oraz Nikola same musiały zająć się zrozpaczoną Christine. Trwało dość długo, zanim się dowiedziały, co się właściwie stało. Kiedy Elza zrozumiała, że zginął jej najstarszy syn, wstała, bez słowa udała się do swojego salonu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Nikola z rozpacz i troski straciła panowanie nad sobą i błagała ją, aby otworzyła drzwi, ale odpowiedzią było milczenie. W międzyczasie zrobiła też herbatę dla Christine i wygoniła ciągle naburmuszoną Annę z kartkami do sklepu po żywność.

– Żeby ta Belle wreszcie przyszła! – zawołała z rozpaczą.

Belle pojawiła się późno, kompletnie wyczerpana i z obolałymi stopami, ale od razu opanowała sytuację. Wsadziła do łóżka ciągle zapłakaną i dygoczącą Christine, dała jej termofor, po czym skłoniła swoją babkę, aby ta otworzyła drzwi i wpuściła ją do salonu. Belle wyszła stamtąd po upływie pół godziny bardzo zgnębiona.

– Elza jest starą, chorą kobietą – powiedziała do Nikoli. – Śmierć wujka Johanna raz jeszcze rozdarła jej dawne rany, bo przecież nie uporała się ze śmiercią swojego najmłodszego syna. Nikolo, chciałabym, aby ona wyjechała z Berlina. Potrzebuje spokoju, a nie nocy spędzanych w piwnicach. Wyślę ją do Lulinna. I niech zabierze ze sobą moją Sophie, bo będzie tam bezpieczniejsza niż tutaj.

Jak się okazało, nie było żadnego problemu z przekonaniem Elzy do podróży. To znaczy, ona nie powiedziała „nie”, ale nie powiedziała też „tak”. W ogóle nic nie mówiła i apatycznie przyglądała się, jak Belle pakowała jej walizki.

– Babciu, nie wyjeżdżasz na długo. Tylko do czasu, aż skończy się wojna.

Elza nie odpowiedziała, lecz patrzyła nieruchomym wzrokiem na fotografię Christiana w ramce, którą trzymała w rękach. Sophie sprawiała o wiele więcej trudności. Jak tylko Belle zaczynała jej opowiadać o krowach i koniach w Lulinie, dziewczynka podnosiła krzyk. Po jej buzi płynęły łzy, a szare oczy płonęły z gniewu.

– Nie, nie, nie! – wrzeszczała.

Najgwałtowniej i najbardziej stanowczo sprzeciwiła się jednak Anna, którą Nikola chętnie odesłałaby w jakieś bezpieczne miejsce. Dziewczyna stała na środku kuchni w eleganckiej wełnianej sukni swojej matki i w butach na wysokim obcasie. Podparła się pod

boki i oświadczyła z oburzeniem i bez ogródek:

– Chyba zgłupiałyście! Nie możecie mnie zesłać na prowincję. Teraz, kiedy wreszcie jestem w Berlinie. Myślicie, że naprawdę stąd wyjadę?

– Niczego nie tracisz. A tam jest o wiele więcej jedzenia i nie ma alarmów w nocy!

– Nie. Nawet o tym nie myślę.

I ostatecznie wszystko skończyło się tak, że rankiem następnego dnia w pociągu siedziały tylko Elza z kamienną twarzą oraz becząca Sophie. Anna zaś z trzema pozostałymi kobietami stały na peronie i machały im na pożegnanie.

– Zawsze robię to, co chcę – stwierdziła zadowolona dziewczyna.

– Gdybyś była moją córką – odparła Belle – tobyś pojechała, możesz być pewna.

Następnego dnia, z 30 na 31 marca 1943 roku, dom przy Schlosstrasse stanął w płomieniach. Belle, Nikola i Anna siedziały wraz z pozostałymi mieszkańcami w piwnicy i kuliły się z przerażenia za każdym razem, kiedy słyszały świst nadlatującej bomby. W pewnym momencie impet kolejnej detonacji niemal zwałił je z ławek, a ze ścian zaczął odpadać tynk.

– To u nas, u nas! Trafili nas! – krzyczała Nikola.

Dowódca cywilnej obrony przeciwlotniczej, starając się mówić możliwie spokojnie, rozkazał:

– Siedzieć! Zobaczę, czy drzwi da się otworzyć. Przygotować wiadra z wodą. I proszę trzymać dzieci za ręce. Ostrożnie, otwieram drzwi.

– Musimy wyjść! – powiedziała wystraszona Christine i chciała precyzyjnie się obok mężczyzny.

Belle ją powstrzymała.

– Nie! On musi najpierw sprawdzić, co się dzieje.

Dowódca całym ciałem napał na drzwi, które w końcu ustąpiły. Do piwnicy natychmiast wdarła się fala gęstego dymu.

– Ogień! – wrzeszczała histerycznie jedna z kobiet. – Pali się! Szybko, ja chcę wyjść!

– Po kolei! – zawołał dowódca. – Wszyscy wyjdą! Ale powoli! Nie pchać się! Zabłokujecie drzwi, kiedy wszyscy zaczniecie się pchać!

Kaszłąc i dysząc, szli powoli po schodach na parter. Dym był tak gęsty, że prawie nie widzieli wyciągniętej przed siebie ręki. Na zewnątrz ciągle jeszcze spadały bomby i mieli wrażenie, że ziemia drży, a cały świat staje w płomieniach. Nikola kurczowo ścisnęła Belle za ramię.

– Nie możemy przecież wyjść na ulicę, Belle, to szaleństwo! Umrzemy!

– Tu w środku też umrzecie! – krzyknął dowódca.

Szedł powoli na czele grupy i gwałtownie otworzył bramę. Nocne powietrze, które uderzyło w ich twarze, także było pełne dymu, ale jednak bardziej znośne niż w środku i dało się nieco swobodniej oddychać. Potykając się, wyszli na ulicę, odwrócili się i popatrzyli za siebie. Ze wszystkich okien ich domu wydobywały się płomienie. Sąsiedni budynek już nie istniał, a na jego miejscu wznosiła się góra płonących gruzów.

Pierwsza myśl Belle brzmiała: „Dzięki Bogu, że babcia tego nie widzi! Mieszkanie, w którym mieszkała blisko pięćdziesiąt lat, gdzie była szczęśliwa z mężem i gdzie dorastały jej dzieci... A teraz nie pozostało z tego nic”.

Jedna z kobiet, krzyząc coś o jakichś listach, które nie mogły się spalić, próbowała wdrzeć się do wnętrza domu. Powstrzymało ją dwóch mężczyzn, choć ona szarpała się ze wszystkich sił. Anna całkowicie straciła głowę.

– Ja chcę stąd uciekać! Mamo, pomóż mi, mamo!

– Chciałaś przecież koniecznie zostać w Berlinie, to teraz nie wariuj! – ofuknęła ją Belle,



rozmyślając gorączkowo. Musiały stąd odejść, nie należało nawet myśleć o próbie ratowania czegokolwiek. Za daleko było na Alexanderplatz, gdzie znajdowało się jej małe mieszkanie. Pozostawało tylko mieszkanie Andreasa.

– Chodźcie ze mną. Pójdziemy do mojego przyjaciela.

Ruszyły za nią, o nic już nie pytając. Szły, niosąc w rękach torby, które zawsze stały w piwnicy, przygotowane na taki właśnie wypadek. Na jednej z ulic musiały wspiąć się na górę gruzów, gdzieś indziej w ziemi ziała ogromna dziura i były zmuszone szukać drogi przez podwórka ogrodzone murami. Widziały ludzi, którzy w panice biegali chaotycznie i ciągnęli za sobą wózki z nielicznymi uratowanymi z pożaru rzeczami. Byli też tacy, którzy szukali schronienia w ocalałych wejściach do domów. Rodzice nawoływali swoje dzieci, dzieci płakały, bo nie mogły znaleźć rodziców. Ranni krzyczeli i wzywali pomocy, strażacy i sanitariusze próbowali nie dopuścić do paniki, wykrzykując głośno rozkazy. Kiedy Belle wraz z pozostałymi kobietami dotarła do mieszkania Andreasa, alarm odwołano.

Andreas był w domu i nie robił sensacji z nieoczekiwanej inwazji. Wkrótce po przybyciu goście siedzieli w jego salonie, rozgrzewali się gorącą herbatą, którą przygotowała Belle, i pokrzepiali się wódką, serwowaną przez gospodarza. Christine, która drugi raz w ciągu kilku dni patrzyła na ruiny swoich domów, ciągle siedziała nieruchomo z oczami rozszerzonymi lękiem, zatopiona w myślach. Nikola i Anna odzyskały już siły i rozglądały się ciekawie dookoła. Kim był ów Andreas? Skąd Belle go znała? Z właściwą sobie intuicją wyczuły bliskość i napięcie między nimi. Ten mężczyzna był nie tylko „przyjacielem”. Grał o wiele ważniejszą rolę w życiu Belle i Nikola chciały dowiedzieć się czegoś więcej. Jednak jak na złość chwilowo nie nadarzała się żadna okazja do rozmowy z Belle w cztery oczy. Była już prawie trzecia, kiedy wszyscy poszli spać. Christine dostała mały pokój gościnny koło łazienki, Nikola i Anna spały na dwóch sofach stojących w salonie po przekątnej. Belle skuliła się na rozkładanej leżance. Pół godziny po zgaszeniu światła Nikolę, która miała bardzo lekki sen, obudziło ciche, prawie niedosłyszalne skrzypienie podłogi. Zobaczyła, że Belle przekrada się przez pokój jak cień i znika za drzwiami sypialni Andreasa. Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem. Czyli jej podejrzenia okazały się słuszne.

Andreas jeszcze nie spał. Czekał na Belle, która szybko wślizgnęła się pod jego kołdrę i ciasno do niego przylgnęła. Objął ją mocno ramionami. Czuł jej plecy na swojej piersi, a ona słyszała jego równy oddech i bicie serca. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, a potem Belle zaczęła cicho płakać i w końcu wyrzucała z siebie bezładnie wszystko, co jej leżało na sercu: obawę o niepewny los Maxa, niechęć do pracy jako konduktorka, lęk przed każdym nowym dniem, śmierć wuja Johannes'a i straty w pożarze domu na Schlosstrasse, a ona tak ten dom kochała, zaraz po Lulinnie...

– Jak dobrze, że babcia o niczym nie wie – szlochała. – I jak dobrze, że Sophie już nic nie może się stać, prawda? Gdybym tylko wiedziała, co z Maxem... – Płakała coraz gwałtowniej.

Andreas głaskał ją cierpliwie po włosach i uspokajał:

– Już dobrze, dobrze. Tak, wypłacz się. Wszystko będzie w porządku.

W końcu Belle usiadła, poszukała chusteczki i wytarła nos.

– Przepraszam, Andreasie. To tylko nerwy. Zwykle nie jestem taką okropną beksą. Naprawdę, wybacz.

Sądziła, że on powie teraz coś uszczypliwego, ale ku jej zdumieniu Andreas wyszeptał łagodnie:

– Rozumiem cię. To rzeczywiście nie jest łatwe.

Nie widziała jego twarzy w ciemności i nie była pewna, czy się uśmiechał, mówiąc te słowa.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Nie. Tym razem nie.

Łagodnie głaskał ręką jej plecy, z wahaniem, jak gdyby nie był pewny, czy ona tego rzeczywiście pragnie. W pierwszej chwili chciała się bronić, bo akurat tej nocy takie zachowanie nie wydawało się słuszne, ale za chwilę zauważyła, że jej ciało już się obudziło. Zapomniała o wstydzie i poczuciu winy. Może te uczucia miały zniknąć tylko tej nocy, a jutro uzna swoje postępowanie za szokujące, ale teraz to się nie liczyło. Pod jego rękami przeżyła się, za chwilę leżała na plecach, potem przewróciła się na brzuch, chciała, aby on dotykał jej wszędzie jednocześnie, choć jeszcze nie pragnęła spełnienia. To miało trwać tak długo, jak jeszcze nigdy. Do świtu, albo jeszcze dłużej. Było jej też obojętne, czy ktoś coś zauważy i co pomyśli. Chciała, aby wszyscy na świecie wiedzieli, że Andreas jest jej ukochanym.

– Kocham cię, Andreasie – powiedziała bez tchu. – Kocham cię ponad życie.

Belle mówiła teraz poważnie, nawet gdyby któregoś dnia miała przestać tak czuć. „Może raz w życiu trzeba to zrobić”, pomyślał Andreas, „przysięgać wieczną miłość wbrew wszelkiemu doświadczeniu”. Sięgnął ręką po zapalniczkę, zapalił świecę i w jej świetle zobaczył inną Belle, łagodną, delikatną młodą kobietę. W półmroku widział jej lekko rozchylone usta i równe białe zęby. W jej oczach, zwykle tak zimnych i szarych, dostrzegł ciepło. Zaczął ją kochać powoli i tkliwie, tak jak chciała, godzina po godzinie. Przez cały czas myślał, że zatracił się w miłości do niej na zawsze i ostatecznie i że przestaje się przed nią bronić. Może ona kiedyś zapomni o Maxie i o Stalingradzie, i o swoim dotychczasowym życiu. Musi o tym zapomnieć. Dla nich obojga nie było już odwrotu.

Następnego ranka wszyscy siedzieli przy stole nieco zakłopotani. Anna miała oczy wielkie jak spodki i niemal pękała z ciekawości. Nikola wręcz pożerała Andreasa wzrokiem i kilka razy próbowała z nim flirtować, ale on nie reagował. Christine sprawiała wrażenie zszokowanej i urażonej. Widziała w Belle sojuszniczkę w jej trosce i niepokoju, łączył je przecież ten sam los: Paul i Max zaginęli w Rosji. W dręczącej niepewności dla Christine pewną pociechę stanowiła myśl o tym, że przyjaciółka przeżywała to podobnie do niej. Teraz czuła się zdradzona, bo Belle w jakiś niesłychanie tani i brzydki sposób wyłamała się ze wspólnych trosk i niepokojów. Obie kobiety zawsze dobrze się rozumiały, ale tego dnia na ich przyjaźni powstała głęboka rysa, która miała już nigdy nie zniknąć.

– Możecie wszystkie zamieszkać w moim mieszkaniu przy Alexanderplatz – powiedziała Belle. – Ja go w tej chwili nie potrzebuję.

– To gdzie będziesz mieszkać? – spytała Anna.

– Tutaj – odparła Belle, nie spuszczać wzroku.

Nikola chrząknęła i od tej chwili wszyscy jedli w zupełnym milczeniu.

A potem Belle poszła sama na Schlossstrasse, aby zobaczyć, czy uda jej się coś wydobyć z ruin. W pracy dostała wolne, kiedy wyjaśniła, że jej dom w nocy został zbombardowany. I teraz stała przed dymiącymi jeszcze ruinami, patrzyła w puste otwory po oknach i łyse ściany, sterczące jak szkielet na tle deszczowego wiosennego nieba. We wnętrzu ruin znalazła jeszcze w miarę dobrze zachowany fotel, ale poza nim wszystko spłonęło.

Następne tygodnie okazały się najszczęśliwszym okresem w całym życiu Belle. Ciągłe przychodziła jej na myśl bajka o księciu zamienionym w żabę, którą opowiadała jej Elza, i o trzech żelaznych obręczach, od których uwolniło się serce dorożkarza, dzięki czemu mógł znów coś odczuwać. Nigdy nie czuła się tak wolna jak teraz. Nigdy bardziej nie pragnęła śpiewać, kiedy szła ulicami miasta. Nigdy w środku dnia nie czuła tak nagłej i ogromnej radości. I wtedy wydawało jej się, że wręcz eksploduje. Jakby teraz wreszcie naprawdę zaczęła żyć. Wiedziała już, jak to jest być znowu młodą i wolną. Tak wiele rzeczy chciała jeszcze zrobić:

objechać cały świat, zobaczyć największe miasta, najsłynniejsze hotele, najlepsze teatry, poznać najciekawszych ludzi. Rosła w niej siła, która wyzwalała ją z letargu i trosk ostatnich lat. W sierpniu przypadały jej dwudzieste piąte urodziny i Belle była przekonana, że wraz z tym dniem zacznie się zupełnie nowy rozdział w jej życiu. Choć oczywiście pojawiały się też trudne chwile, w czasie których dziewczyna pogrążała się w ponurych rozmyślaniach. Ciągłe jeszcze nie miała żadnych wiadomości na temat Maxa, czy to zawiadomienia o śmierci, czy o uznaniu go za zaginionego, i ciągle czepiała się nadziei, że on żyje. Wiedziała, że po jego powrocie będzie musiała powiedzieć mu, że kocha innego mężczyznę, i że wobec tego będzie też zmuszona poprosić go o rozwód. Jednocześnie zdawała sobie sprawę i obawiała się, że jeśli on zginie, to całe życie będzie prześladować ją poczucie winy. „Ona nie jest w niczym lepsza od swojej matki!”, stwierdzi z oburzeniem ciotka Modesta. Od czasu do czasu przerażał ją egoizm, który w sobie odkryła, ale w gruncie rzeczy jej myśli krążyły stale wokół własnych uczuć, a nie wokół tego, co musiał czuć Max. Mniej myślała o bólu, który mu sprawi, a bardziej o swojej skrusze i żalu.

– Ty podła bestio – powiedziała do siebie, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

Zauważyła, jak niezasłużenie dobrze wygląda: twarz zupełnie pozbawiona dziecięcej niewinności, różowe policzki zamiast ciągle bladej cery, oczy sprawiące wrażenie bardziej kocich niż zwykle. Noce z Andreasem pozostawiały wyraźne ślady. Kiedy szła ulicą, mężczyźni odwracali się i patrzyli na nią poządliwie, a ona pragnęła tylko jednego: „Dobry Boże, niech ta wojna wkrótce się skończy! Chcę być znowu aktorką, chcę nosić piękne suknie, a nie ciągle stać w kolejkach za jedzeniem! Nie chcę już ani bomb, ani wiadomości z frontu, nie chcę słyszeć w radiu *Lili Marleen* i wiadomości o strzelających do siebie mężczyznach”. Belle miała tego dość i było jej wszystko jedno, jak to się skończy – byleby ten koniec nadszedł szybko.

Andreas niewiele bywał w domu, większość czasu spędzał w firmie. Kiedyś zabrał tam Belle i oprowadził ją po całym kompleksie budynków. Fabryka znajdowała się na obrzeżach Brandenburgii, którą na razie oszczędziły bomby, na szczęście, jak powiedział Andreas, bo stała bardzo ważna w trakcie wojny.

– Czy nie masz czasem głupiego uczucia, że przyczyniasz się do jej trwania? – spytała Belle któregoś wieczoru.

Miała wrażenie, że Andreas długo się zastanawiał nad odpowiedzią. I w końcu oświadczył:

– Jestem człowiekiem interesu i myślę, że w każdym zawodzie trzeba ustalić, o co chodzi komuś, kto w nim pracuje. A potem trzeba robić dokładnie to, co jest konieczne do osiągnięcia osobistego celu. Nikt daleko nie zajedzie, jeśli będzie przy tym oglądał się w prawo i lewo. A moim osobistym celem jest zarabianie pieniędzy. Rozumiesz?

Belle dowiedziała się, że zakład w Brandenburgii jest częścią wielkiego koncernu i że Andreas jako zarządzający przedsiębiorstwem ma niemal całkowicie wolną rękę przy podejmowaniu decyzji. Dysponował nawet sporą liczbą akcji, choć nie miał bladego pojęcia, jak długo będzie jeszcze tu pracował.

– Jest sto innych rzeczy, dzięki którym można zarabiać pieniądze. Kto wie, co będę robił za dziesięć lat!

W początku maja musiał znów wyjechać do Szwajcarii, aby przeprowadzić negocjacje w kwestii kolejnych dostaw. Belle chętnie by mu towarzyszyła, ale Andreas wyjeżdżał w środę tygodnia, a ona nie mogła zwolnić się ze znieawidzonej pracy.

– Jeśli miałabym wypłoszyć stąd nazistów, to choćby z powodu tej głupiej pracy, do której mnie zmusili! Ja jestem aktorką! I nie rozumiem, dlaczego mam całymi dniami stać w tramwaju, w dodatku w tym wstrętnym mundurze!

– To i tak lepiej, niż gdybyś wylądowała w fabryce – pocieszył ją Andreas. – A ten epizod będzie kiedyś dobrze wyglądał w twoich memuarach. Nie smuć się, kochanie. Za trzy dni wracam. I cieszę się, że znów będę z tobą!

Przez długi czas miały to być ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała. Andreas wyjechał w środę i planował wrócić w piątek. Ale nie wrócił ani w piątek, ani w sobotę, ani w niedzielę. W dwóch kolejnych dniach również.

Wydawało się, że znikł bez śladu.

## 10.

Przez pierwsze trzy dni Belle zbytnio się nie martwiła. Domyślała się, że Andreasa albo coś zatrzymało, albo miał do załatwienia więcej, niż pierwotnie planował. Połączenia telegraficzne i telefoniczne z zagranicą nie działały za dobrze, mogła więc do niej nie dotrzeć żadna wiadomość. Ale potem ta sprawa zaczęła jej się wydawać coraz dziwniejsza. W końcu zadzwoniła do jego sekretarki, ale ona także nie potrafiła jej udzielić żadnej informacji, choć postanowiła zasięgnąć języka na temat pobytu Andreasa poprzez szwajcarską firmę. A później zadzwoniła do Belle.

– Pani Marty, to jest wszystko dziwne i tajemnicze. On był w Zurychu, ale tylko do południa w piątek. Potwierdzono to w jego hotelu. Wyjechał stamtąd w piątek.

Belle zbladła.

– A dziś jest już środa! Nie ma go prawie tydzień! Coś musiało mu się stać.

Sekretarka próbowała ją uspokoić:

– W tych czasach może być tak, że zatrzymano go na granicy. Może ma jakieś kłopoty z wjazdem do Niemiec.

– Ale dlaczego miałyby je mieć? Czy wie pani, czym teraz zajmuje się jego firma? Czy może być tak, że zatrzymano go w Szwajcarii, bo on wie... bo on wie o czymś, co interesuje zagranicę?

Sekretarka wahała się wyraźnie i Belle miała wrażenie, że kobieta nie była pewna, na ile wolno jej wtajemniczyć w to wszystko obcą osobę. W końcu powiedziała:

– W tej chwili chodzi o bardzo ważny projekt. Podejmujemy próby wyprodukowania stali odpornej na znacznie wyższe temperatury niż zwykła stal. Mówiąc krótko i bardzo ogólnie: niemieckie myśliwce byłyby o wiele skuteczniejsze, gdyby mogły dłużej przebywać w powietrzu i szybciej się poruszać, ale wówczas w ich mechanizmach napędowych powstaje tak wysoka temperatura, że nie wytrzymała stal, z której są zbudowane. Można jednak wyprodukować taką stal szlachetną, która jest mniej wrażliwa na wysoką temperaturę, i tu mamy już spore sukcesy. Ale mimo wszystko nie sądzę, by pan Rathenberg mógł mieć z tego powodu jakieś kłopoty! Bo kto o tym wszystkim wie?

Belle zastanawiała się nad tym przez cały dzień i jej niepokój rósł. Kiedy wieczorem śmiertelnie zmęczona wróciła do domu, nadal nie zastała tam Andreasa. Zamiast niego przed drzwiami czekała Nikola. Była już w piątym miesiącu ciąży i miała wyraźnie zaokrąglony brzuch oraz opuchniętą twarz.

– Belle, jak dobrze, że wreszcie jesteś! Otrzymałam list od Siergieja, a ponieważ napisał na kopercie wszystkie możliwe adresy, to list w końcu wylądował u mnie. Dostał powołanie do wojska. Pojedzie do Rosji!

Belle otworzyła drzwi, zdjęła kapelusz i poprawiła włosy przed lustrem.

– Do Rosji? Naprawdę? Przykro mi, Nikolo.

– W gruncie rzeczy można się było tego spodziewać i nie wiem, czy mnie to martwi. Jak myślisz, to bardzo źle z mojej strony, że mnie to aż tak nie martwi?

Belle zawsze lubiła Nikolę, ale dziś jej gadanina działała jej na nerwy.

– Nie wiem. Nie, to przecież nic złego, że ty... przepraszam, Nikolo, ale jestem wykończona! – Belle osunęła się na sofę.

– Mogę dostać coś do picia? – spytała Nikola.

– Jasne. – Belle obserwowała, jak Nikola nalewa sobie koniaku i pije łączywie.

– To znaczy, ja oczywiście byłabym w żałobie, gdyby Siergiej zginął. Ale jednak nie zadręczam się dzień i noc tym, że on jedzie na front.

„Ty w ogóle rzadko kiedy się zadręczasz”, pomyślała Belle zjadliwie. Zaraz potem zrobiło jej się przykro i spróbowała powiedzieć coś miłego:

– Jestem pewna, że Siergiej...

Ale Nikola zdążyła już zmienić temat i weszła jej w słowo:

– A gdzie jest ten... ten Andreas? Od kiedy go znasz? On wygląda o wiele lepiej niż Siergiej. Ach, mówię ci, ta poczciwa Christine jest całkiem zszokowana tą historią. Sądzę, że ona nigdy by się tego po tobie nie spodziewała.

– Andreeasa nie ma od tygodnia. Znikł – oświadczyła Belle.

Nikola opuściła rękę, w której trzymała kieliszek.

– Co takiego?

– Musiał wyjechać do Szwajcarii i zakupić jakieś części do maszyn w swojej fabryce. I nie ma go od tygodnia.

– Jakaś inna kobieta? – Te słowa były typowe dla Nikoli.

– Nie sądzę. – Belle wygrzebała papierosa i był to jej ostatni, a nie miała już kartek. – Tak czy owak, chyba nie zostawiłby mnie w niepewności.

– Hm... – Nikola podeszła do okna, otworzyła je i wachlowała się przez chwilę, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem. – Od kiedy jestem w ciąży, stale jest mi gorąco. Wybacz, Belle, ale ten Andreas wygląda na trochę lekkomyślnego. Zbyt przystojny... ale może...

„Rozboli mnie przez nią głowa”, pomyślała Belle.

– Tych dwóch typów w samochodzie na pewno siedzi tam już od ponad godziny – powiedziała nagle Nikola.

Belle spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jakich dwóch typów?

– W czarnym samochodzie po drugiej stronie ulicy. Kiedy przyszedłam tu mniej więcej godzinę temu, to też tam stali i gapili się na wejście do domu. Dziwni ludzie!

Belle podeszła do niej i popatrzyła. Dziwne, że to auto wcześniej nie rzuciło jej się w oczy, ale przecież ciągle była pogrążona w myślach.

– Jakoś wygląda mi to na gestapo – odparła powoli.

Natychmiast pomyślała o Andreasie, a potem o żydowskim profesorze, który ciągle jeszcze mieszkał w małym mieszkaniu pod dachem. Czy oni stali tu z jego powodu? Ale przecież Belle widziała go przedtem na klatce schodowej, kiedy nieśmiało wszedł obok niej do budynku. Był więc w domu i oni mogli go bez trudu aresztować.

– Jak tu jest ładnie – stwierdziła Nikola, która znów była myślami przy czymś zupełnie innym. – To naprawdę eleganckie mieszkanie! – dodała tęsknie.

– Tak – przyznała Belle. – Mieszkanie Maxa i moje nie jest tak eleganckie. Czujesz się tam w miarę dobrze? – spytała.

– Tak, oczywiście, tylko ta... ta okolica, wiesz... Mam na myśli, że dziś nie powinno się wybrzydzać, ale tu mi się naprawdę podoba! Jak myślisz, czy powinnam napisać do Siergieja i...

Nikola przez jakiś czas znów mówiła o mężu, po czym pozwoliła sobie na jeszcze jeden koniak i w końcu w miarę pogodnym nastroju wyruszyła do domu. Zaledwie wyszła, Belle pobiegła do okna. Mężczyźni ciągle stali na dole.

Bardzo źle spała tej nocy. Jak tylko udawało jej się zadrzemać, dręczyły ją jakieś przerażające sny, które natychmiast ją budziły. Była coraz bardziej pewna, że szpicle na dole mają coś wspólnego ze zniknięciem Andreeasa. Przypomniała sobie, co jej kiedyś powiedział na ulicy... Nocą... Kiedy to było?

„Nie pytaj mnie, co robię, Belle... Lepiej dla ciebie, że wiesz o mnie niewiele... W gruncie rzeczy jestem całkowicie pozbawiony charakteru...”

Czy on robił coś zakazanego? Te papiery zaszyte w płaszczu... Czują na przemian gorąco i zimno, kiedy o tym rozmyślała. W co on się wplątał? Jego firma współpracowała ściśle z przemysłem zbrojeniowym, sekretarka powiedziała, że Andreas był w posiadaniu cennych informacji. „Nie myśl o tym”, przykazała sobie, „Andreas nie jest głupi. Nie będzie ryzykował własnego życia!”

„Moim osobistym celem jest zarabianie pieniędzy”. Co on byłby skłonny zrobić dla pieniędzy?

Wstała wcześniej i najpierw spojrzała przez okno na dół. Samochód jeszcze tam stał. A może już? Zrobiła sobie cienką kawę i włączyła radio. O ostatecznym zwycięstwie mówiono ciągle z niezrażonym optymizmem, choć dopiero co niemieckie oddziały musiały skapitulować w Tunezji, a wojna morska na Atlantyku, w której brały udział łodzie podwodne, została przerwana, ponieważ radary przeciwników skutecznie wykrywały niemieckie okręty. O tym akurat nie wspomiano, a jeśli już, to tak pokrętnie, że klęski Niemców wydawały się zwycięstwami. Belle pomyślała, że kiedy któregoś dnia przez Berlin będą przejeżdżały rosyjskie czołgi, to w radiu i tak powiedzą, że to Niemcy wygrały wojnę.

Ranek był pogodny, przejrzysty i zanosilo się na ciepły letni dzień. Na szczęście Belle miała w swoim mieszkaniu wszystkie ubrania przeznaczone na tę porę roku, dlatego nic nie spłonęło. Włożyła szarą, wąską spódnicę i białą bluzkę – później miała na to założyć wstrętą kurtkę od munduru – i starannie uczesała włosy. Kiedy wyszła z domu, niemal poczuła na plecach spojrzenia obu mężczyzn siedzących w samochodzie. Rozmyślała o tym przez cały dzień i w końcu doszła do wniosku, że z całą pewnością byli to funkcjonariusze gestapo i że to z powodu Andreeasa stali przed domem całą dobę. Czekali tu, aby go aresztować. Ktoś jednak musiał go ostrzec i dlatego on nie dał jej znaku życia. W żadnym wypadku nie chciał, aby i ona wplątała się w tę historię i aby miała z tego powodu kłopoty.

„Oni będą mnie przesłuchiwać”, pomyślała. „Kiedy on się nie zjawi, będą próbowali dowiedzieć się czegoś o nim ode mnie. Jedyna możliwość to udawać, że o niczym nie mam pojęcia”.

Gestapo przystąpiło do akcji szybciej, niż się spodziewała. Gdy wieczorem przyszła do domu, mężczyźni już czekali przed drzwiami. Pokazali legitymacje, jak tylko podeszła bliżej.

– Tajna Policja Państwowa. Pani Belle Marty?

– Tak.

– Pójdzie pani z nami.

– Czy jestem aresztowana?

– Nie. Ale chcemy z panią porozmawiać.

Belle doskonale wiedziała, że obserwowano ją ze wszystkich stron, kiedy wsiadała do samochodu. Tu i ówdzie w oknach odsuwano na bok firanki, a jakaś kobieta, która właśnie wracała z zakupów, gapiła się bezceremonialnie. Ale to akurat uspokoiło Belle. Jeśli gestapo zatrzyma ją na dłużej, to Nikoli z pewnością jej nieobecność wyda się dziwna i wtedy sąsiedzi powiedzą jej, że zabrało ją gestapo. Przynajmniej nie zniknie tak całkiem bez śladu.

– Dokąd jedziemy? – spytała ostrożnie.

– Prinz-Albrecht-Strasse.

Główna kwatera gestapo! Coraz bardziej traciła odwagę. Wśród mieszkańców miasta krążyły opowieści o sadystycznych torturach, które towarzyszyły przesłuchaniom, i o hermetycznie zamykanych pomieszczeniach piwnicznych, których nikt nie opuścił żywy.

Samochód zatrzymał się przed szarym budynkiem, Belle szła po schodach w stronę

bramy, a z lewej i prawej strony towarzyszyło jej dwóch gestapowców, którzy ją tu przywieźli. Za chwilę zamknęły się za nią drzwi.

Długie, niekończące się korytarze, schody, znów korytarze, drzwi, schody. Ale przynajmniej szli do góry, a nie do piwnicy. Przed którymiś drzwiami się zatrzymali, jeden z gestapowców otworzył je i wepchnął Belle do pomieszczenia znajdującego się za nimi. Zatrzymała się, oślepiąca światłem lampy skierowanej prosto w jej twarz.

– Proszę usiąść. – Usłyszała.

Usiadła na krześle stojącym przed biurkiem. Ostre światło padało teraz w innym kierunku i dostrzegła mężczyznę, który siedział po drugiej stronie. Miał na sobie mundur, a na nosie okulary w cienkich złotych oprawkach. Sprawiał wrażenie drobnego i niepozornego, ale Belle dostrzegła jego zimną i zupełnie nieruchomą twarz.

I wiedział wszystko na jej temat.

– Belle Marty, urodzona w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w Berlinie. Jest pani od maja tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku żoną aktora Maxa Marty'ego, który do dziś nie wrócił spod Stalingradu.

„A niby jak miał wrócić?”, pomyślała Belle, czując rosnącą agresję.

– Ma pani córkę, Sophie, która teraz ma trzy lata. Pani sama była statystką w studiu UFA, ale też grała pani drobne role w kilku filmach. Między innymi rolę Julii w filmie *Romeo i Julia*, wyprodukowanym przez Svena Kronborga. Film został zakazany przez cenzurę. Od lutego tego roku jest pani zobowiązana do odbywania służby wojennej i pracuje pani w Berlinie jako konduktorka tramwajowa. Czy to się zgadza?

– Tak.

– Od kiedy zna pani Andreasa Rathenberga?

– Od października tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

– Gdzie go pani poznała?

– W restauracji. To znaczy... przed restauracją, dokładnie mówiąc. On mnie tam zagadnął.

– Od kiedy ma pani z nim romans?

– Od... od listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

„O Boże, jak to zabrzmiało!” Belle zauważyła, że jej twarz zrobiła się bardzo gorąca. Jakiś mężczyzna zaczął ją przed restauracją i wkrótce została jego kochanką. Na szczęście jej rozmówcy nie interesował moralny aspekt sprawy.

– Pani Marty, nas interesuje przede wszystkim jedno: gdzie teraz znajduje się Andreas Rathenberg?

– Nie wiem. Sama bardzo się o niego martwię. W ubiegłą środę pojechał do Zurychu, aby tam zakupić jakieś maszyny do swojej fabryki. Miał wrócić po trzech dniach, ale do dziś nie mam żadnego znaku życia od niego.

– Dziwne, prawda? Że on zostawił panią w takiej niepewności?

– To nie w jego stylu, tak. Ale jego szwajcarscy partnerzy w interesach też nie mają pojęcia, gdzie on jest, a w hotelu powiedziano nam tylko, że wyjechał.

– Nam?

– Jego sekretarce i mnie. Obie jesteśmy kompletnie bezradne.

Zimne oczy obserwowały ją uważnie.

– Z pewnością zauważyła pani w ostatnich dniach, że jest pani obserwowana, pani Marty.

– Zauważyłam to wczoraj wieczorem. Przedtem nie.

– I od razu uznała pani, że chodzi o nią?

Belle postanowiła być ostrożna. Czy jeśli odpowie na jego pytanie twierdząco, to on uzna



to za poczucie winy? Ale jej przeczucie mówiło jej, że lepiej będzie zrezygnować z taktyki pierwotnie planowanej całkowitej nieświadomości. Czuła, że tego człowieka nie uda jej się wyprowadzić w pole i że może będzie miała lepsze karty w ręku, jeśli okaże całkowitą szczerłość.

– Nie, oczywiście nie uznałam natychmiast, że chodzi o mnie. Zastanawiałam się, o kogo w domu może tu chodzić. Ale w końcu jakoś domyśliłam się, że to może mieć związek z Andreasem. Bądź co bądź on przecież zniknął przed tygodniem.

– Ale to jeszcze nie powód, aby poszukiwała go tajna policja państwowa, prawda? – To pytanie zadano bardzo ostrym głosem. – Chyba że on jakoś występuje przeciwko państwu. I ta myśl też musiała pani przyjść do głowy.

Belle postanowiła wyłożyć wszystkie karty na stół.

– Tak, ta myśl też przyszła mi do głowy – odparła spokojnie. – Ale zapewniam pana, że o niczym nie wiem. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

Dostrzegła, że jej wierzy, ale był niezadowolony.

– Wydaje się, że dość mało wie pani o mężczyźnie, z którym romansuje pani od czterech i pół roku.

– Nie spędzaliśmy ze sobą zbyt wiele czasu.

– Czy towarzyszyła mu pani kiedyś w podróży do Zurychu?

„On nie może o tym wiedzieć”, pomyślała Belle. „Pyta w ciemno”.

– Nie – odpowiedziała.

Mężczyzna patrzył na nią przenikliwie, a Belle dodała:

– Jestem mężatką. Mój mąż nic nie wie o... o moim romansie.

– Pani mąż jest od dwóch lat w Rosji.

– Mimo wszystko. Mam tu wielu przyjaciół i krewnych i wolałabym, aby oni nie dowiedzieli się o tej historii. A musiałabym im wyjaśniać, dlaczego tak nagle wyjeżdżam i to tak daleko. Dlatego mu nie towarzyszyłam.

Uznała, że to brzmiało strasznie, jak jakiś kiepski skok w bok, żalony romans, ograniczający się do dwóch wieczorów w tygodniu i pokoju w hotelu trzeciej klasy. Ale było jej obojętne, czy ten mężczyzna za biurkiem miał ją za dziwkę, czy nie. Liczyło się tylko to, że miał ją za kogoś, kto nie ma pojęcia o istocie tej sprawy i jest niewinny.

– Pani Marty, muszę panią poinformować, że Andreas Rathenberg robił takie rzeczy, których skutki mogą się okazać dla niego bardzo nieprzyjemne, kiedy zostanie schwytany.

Belle starała się nie drgnąć z przerażenia, ale czuła, że pobladła.

– A co zrobił?

– Zdrada kraju. Niewybaczalna zbrodnia, jeśli pomyśleć o heroicznej walce, którą obecnie Rzesza toczy na wszystkich frontach. – Umilkł na chwilę, aby Belle pojęła wagę tych słów.

– Andreas Rathenberg miał dostęp do ważnych tajemnic państwowych. Dzięki swej pozycji miał też dostęp do najnowszych wyników badań dotyczących stali szlachetnej i ich zastosowania w przemyśle zbrojeniowym. I wiemy, że od lat sprzedawał te wyniki za granicę poprzez łącznika w Zurychu. Głównie Anglikom. Kasował za to olbrzymie pieniądze, które w tej chwili znajdują się na kontach bankowych w Szwajcarii. Prawdopodobnie nie muszę pani tłumaczyć, jak ogromne szkody wyrządził w ten sposób swojej ojczyźnie.

Belle siedziała jak ogłuszona. Myślała o czymś podobnym, ale co innego było to usłyszeć wprost. Mogła się tego spodziewać po Andreasie. Zastanawiała się, dlaczego poczuła rozczarowanie. Jak brzmiało pytanie, które mu kiedyś zadała? „Czy ty działasz w ruchu oporu?” A on się wtedy roześmiał. „Masz mnie za kogoś o wiele bardziej przyzwoitego, niż w rzeczywistości jestem, Belle!”

Nie wiedziała, co począć ze swoimi sprzecznymi odczuciami. Czy wolałaby, żeby on robił coś „przyzwoitego”, na przykład żeby działał w ruchu oporu? Belle nienawidziła Hitlera i jego zwolenników, ale zawsze była zdania, że przeciwstawianie się im graniczy z szaleństwem, i ceniła to, że Andreas w tej kwestii miał podobne, bardzo realistyczne poglądy. Ale to, czego się właśnie dowiedziała, także jej nie pasowało i dowodziło, jak bardzo był bezwzględny w kwestii pieniędzy i własnego dobra. Czerpał wszelkie możliwe korzyści z tej okropnej wojny, która była przyczyną cierpienia i nieszczęść tylu ludzi. Prawdopodobnie był bogatszy, niż Belle w ogóle przypuszczała, i bardziej pozbawiony skrupułów, niż się obawiała. „A teraz siedzę przez ciebie na gestapo! Piękne dzięki, Andreasie!”, pomyślała.

Opanowała się.

– Jak pan to ustalił?

Jasnoniebieskie oczy za okularami stały się jeszcze zimniejsze.

– To jest nasza sprawa i nie powinna się pani tym interesować. Ciekawsze jest, skąd Andreas Rathenberg wiedział, że go śledzimy. Na wszystkich przejściach granicznych znajduje się jego fotografia, znane jest także jego nazwisko. Skądkolwiek wjeżdżałby do Niemiec, zostałby natychmiast aresztowany. Ale ponieważ nie pojawił się nigdzie, to oczywiste, że został ostrzeżony.

Belle spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie.

– Dziś po raz pierwszy dowiaduję się o tej sprawie. Ja go nie ostrzegłam. Bardzo się o niego niepokoiłam i nie wiem, czy czuję się teraz spokojniejsza. Proszę zrozumieć, muszę się najpierw jakoś uporać z tym, co właśnie mi pan powiedział.

Powoli skinął głową, ale jego twarz pozostawała osobliwie nieruchoma.

– Wie pani, pani Marty, że dysponujemy tu dostateczną liczbą środków i możliwości, aby szybko zmusić panią do mówienia, gdybyśmy uznali, że wie pani coś więcej. Jednak w tej chwili uważam, że mówi pani prawdę. Gdyby się później okazało, że kryła pani Rathenberga, wiedziała pani coś na temat jego miejsca pobytu albo nawet była pani z nim w kontakcie, to jako jego współniczka odpowie pani przed sądem i możliwe, że pani los nie będzie lepszy od jego losu. Czy pani zrozumiała?

– Tak – odpowiedziała Belle.

Mężczyzna się podniósł.

– Może pani odejść. Pani dom oczywiście nadal będzie obserwowany. Poza tym nie wolno pani opuszczać miasta.

– Dlaczego?

– Nie pani zadaje tu pytania – upomniał ją. – Ma pani być w Berlinie. – Wykonał ręką niecierpliwy ruch w stronę drzwi. Za nimi czekał kolejny mężczyzna, który bez słów zaprowadził Belle przez liczne korytarze i schody do wyjścia.

Stała na ulicy, otaczał ją ciepły i jasny majowy wieczór. Nagle jej spreczne uczucia przestały być tak ważne. Czuliła jedynie głęboką ulgę, że Andreas nie wpadł w pułapkę. Oni czyhali na niego jak hieny, ale ich przechytrzył. Czy rzeczywiście otrzymał jakąś wskazówkę? A może ostrzegł go jego szósty zmysł? Tak czy owak, oni mogli sobie stać przed jego domem do woli, bo Andreas się tam na pewno nie zjawi, jest na to zbyt przebiegły.

„Mądry, cwany lis”, pomyślała. A potem się roześmiała, ale w tym śmiechu słychać było histerię, bo wiedziała, że sytuacja zrobiła się niesłychanie niebezpieczna i jeden mały błąd mógł kosztować Andreama życie. Zadygotała na samą myśl o tym, jak wykańczający nerwowo będzie najbliższy okres jej życia. Potem przypomniała sobie wczorajsze odwiedziny Nikoli i odetchnęła z ulgą. Kuzynka dała jej wyraźnie do zrozumienia, że nader chętnie zamieszkałaby w eleganckim mieszkaniu Andreama przy Berliner Strasse, i zapewne także dla Belle byłoby to najlepsze

rozwiązanie. A przynajmniej zaoszczędzi to jej samotnych wieczorów, ponurych rozmyślań i obaw. Christine i Anna też mogłyby się spokojnie tu przenieść.

Belle postanowiła od razu do nich pojechać i je zaprosić. A jeśli chodzi o Andreeasa, to może im przecież powiedzieć, że wpłatał się za granicą w jakieś kłopoty związane z interesami. Zapewne nikt nie będzie drążył tematu.

## 11.

Długość pomieszczenia wynosiła dokładnie siedem kroków, a szerokość cztery. Bielone wapnem ściany, kamienna podłoga, na której leżały dwa pachtworkowe chodniki, w kącie wąskie łóżko, stół i dwa krzesła, konsola z odbiornikiem radiowym. Nie było tu okna, wobec tego nie widział ani skrawka nieba, tylko sztuczne światło, pochodzące z małej lampy na suficie.

W tej piwnicznej dziurze Martin Elias zaczął tęsknić nawet za jeszcze mniejszym pokoikiem gościnnym w piwnicy Felicji, gdzie przez małe okienko mógł chociaż patrzeć na trawę i kilka stokrotek. Ale czy on w ogóle jeszcze za czymkolwiek tęsknił, czegoś pragnął? Ukrywał się już od roku. Rok w więzieniu. Czasami nocą mógł na chwilę wyjść, zwłaszcza w czasie alarmu przeciwlotniczego, bo wtedy chowali się wszyscy i nikt nie zwracał na niego uwagi. Ale przeważnie był skazany na kompletny bezruch i czasami miał wrażenie, że jego kości i mięśnie już zardzewiały. Wprawdzie wcześniej często przesiadywał przy biurku, ale lubił też chodzić pieszo. Jak bardzo mu tego teraz brakowało! Lekkiego szumu liści na wietrze, ich szelestu pod stopami, ciepłego wiosennego wiatru przynoszącego zapach kwiatów czy też przejrzystego, chłodnego powietrza jesieni. Jakże często wyjeżdżał latem nad jeziora Starnberger See albo Ammersee! Woda była jedwabista w dotyku, obok jego ręki przemykały małe srebrne rybki, kamienie leżące na dnie połyskiwały zielono, a kiedy wiał wiatr fenowy, widział ciągnące się daleko na południu ośnieżone szczyty Alp. A teraz miał przed oczami nagie ściany i czasami płakał godzinami z rozpaczą z powodu życia w koszmarnej ciasnej piwnicy i z powodu Sary, która musiała sama stawić czoła losowi.

Wspomnienie o Sarze stanowiło jego wyrzut sumienia i wieczny koszmar, z którego nie miał się nigdy obudzić. Co rusz bezlitośnie rekonstruował wszystkie ich rozmowy na temat potencjalnego wyjazdu. I oczywiście za każdym razem dochodził do wniosku, że dalszy przebieg wydarzeń był tylko i wyłącznie jego winą. Karał siebie za to, nie pozwalając sobie i swoim pełnym udręki myślom na choćby chwilę spokoju ani na jakąkolwiek inną formę odwrócenia uwagi. Nawet kiedy słuchał radia albo czytał gazetę i akurat nie myślał o Sarze, to przecież ona ciągle istniała w jego świadomości. Martin przysięgał sobie, że nigdy, choćby na chwilę, nie zapomni o jej losie. Wydawało mu się, że dozgonne cierpienie niemal łagodzi jego ból.

Znów pisał książkę, oczywiście o Sarze i o sobie, i jej nieznanie jeszcze zakończenie bardzo mu ciążyło. Wymyślił już mnóstwo przeróżnych wariantów, ale porzucał je jeden po drugim. Przez wiele dni pisał jak szalony, ale wieczorami gniótł każdą zapisaną kartkę i zaczynał niespokojnie chodzić tam i z powrotem. Dobrze chociaż, że Kat, żona Toma Wolffa, robiła wszystko, aby dostarczać mu papier. W jego sytuacji bez wyjścia ta kobieta stanowiła jedyną pociechę. Zaopatrywała go też w książki i gazety, przyniosła mu radio i często przychodziła, aby wypić z nim filiżankę herbaty i porozmawiać. Na swój sposób była także bardzo samotna i Martinowi dobrze robiła jej obecność. Wiedział, że poślubiła Toma Wolffa, bo nie mogła wyjść za mężczyznę, którego kochała w młodości, i od tego czasu tkwiła w apatii pozbawionej odrobiny radości. Wprawdzie się nie skarżyła, ale też bardzo rzadko się śmiała i kiedy on któregoś razu w czasie jednej z bardzo poufnych rozmów zapytał o jej małżeństwo, odpowiedziała:

– Tom mnie potrzebuje. I, widzi pan, to daje mi dużo siły.

Podszedł teraz do radia i je włączył.

– Mówi radio Londyn.

Czy w głosie spikera słyhać było triumf?

„Benito Mussolini został dziś, 25 lipca 1943 roku, aresztowany w Rzymie. Król Włoch przejął dowództwo nad armią, zaś marszałek Badoglio otrzymał polecenie utworzenia nowego gabinetu. Mussolini...”

Martin słuchał z rosnącą ciekawością. Jego serce biło szybciej i po raz pierwszy od wielu dni nie czuł przy tym coraz mocniejszego ucisku w krtani i ciężaru w piersi. Bo teraz wreszcie pojawił się nikły cień nadziei na to, że zło nie będzie wiecznie zwyciężać. Upadek powstania w getcie warszawskim, zniszczenie sowieckiej siatki szpiegowskiej zwanej Czerwoną Orkiestrą, wykrycie spisku antynazistowskiej grupy Biała Róża – Martin za każdym razem miał wrażenie, że krwawi mu serce.

Ale dziś na horyzoncie pojawiło się blade światełko nadziei. Alianci we Włoszech, Mussolini aresztowany. Faszyci nie mogli stale utrzymywać się przy władzy.

Wiadomości się skończyły i Martin wyłączył radio. Nad sobą słyszał głosy i jeden z nich wydał mu się szczególnie ostry i przenikliwy. To znaczyło, że znów pojawiła się tu Lulu. Martin, chcąc nie chcąc, był dość dobrze poinformowany o wszystkim, co działo się w tym domu; wiedział zatem, że Lulu miała romans z Tomem. Czasami, kiedy Kat nie było, kobieta przychodziła do jego domu, ale wszystko wskazywało na to, że nie cieszyły ich wspólne chwile, bo Martin przeważnie słyszał głośne kłótnie. Kat pojechała dziś do jednej ze swoich dawnych przyjaciółek i miała wrócić dopiero jutro, Lulu mogła więc zachowywać się swobodnie. Martin z początku obawiał się, że Kat cierpiała, skoro jej mąż ją oszukiwał, ale wyjaśniła mu w czasie jednej z rozmów, że ona o tym wie i że jest jej to obojętne.

Czy teraz miał znów pisać swoją książkę? Nasłuchiwał przez chwilę, bo parę strzępów zdań stanowiłoby jakąś rozrywkę, ale na górze zapadła cisza. Kochankowie przeszli zapewne do przyjemniejszej części wieczoru. Z niechęcią pomyślał o tym, że miałby wziąć do ręki ołówek i zasiąść do pisania. Przez cały dzień siedział, czytał, pisał, czytał, pisał. Coraz bardziej tęsknił za świeżym powietrzem, chciał się ruszać, oddychać, zobaczyć niebo, drzewa, ludzi. Wolność... Najwspanialsze, najdoskonalsze i najbardziej pożądane ze wszystkich ziemskich dóbr. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

Od lutego 1943 roku coraz więcej Francuzów wysyłano do Niemiec, do przymusowej pracy w rolnictwie, w zakładach zbrojeniowych i przemyśle, a kto próbował się uchylać, musiał liczyć się z poważnymi represjami ze strony okupantów. W efekcie naród ogarnęła fala gniewu i nawet ci, którzy dotychczas próbowali trzymać się z dala od polityki, zamienili się w żarliwych patriotów. Wprawdzie wszyscy nauczyli się znosić w pokorze niejedno, w jakiś sposób godzić się z sytuacją, ale teraz ludzie mieli wrażenie, że władze posunęły się za daleko. Prawie każdy solidaryzował się z mężczyznami, którzy wbrew swojej woli zostali wywiezieni do wrogiego kraju po drugiej stronie Renu.

Niedaleko miasta Nantes leżała mała wioska Chatville, składająca się z zaledwie kilkudziesięciu domów wzniesionych wokół starego kamiennego kościółka. Mieszkali tu prawie wyłącznie chłopci, twardzi, mrukliwi mężczyźni, którzy od wszelkiego towarzystwa woleli samotność przy pracy w polu.

We wsi znajdowała się gospoda o nazwie Pont Vieux, w której chłopci lubili przesiadywać wieczorami po ciężkim dniu pracy. Jedli tam chleb z serem i pili czystą wódkę. Byli to przeważnie starsi mężczyźni, ale od czasu do czasu pojawiała się tam kilkoro młodych ludzi, którzy przejęli gospodarstwa po swoich ojcach i nie chcieli opuszczać Chatville.

Wieczorem 20 sierpnia do gospody wpadło SS. Nikt nie miał szansy na ucieczkę i w ciągu kilku minut aresztowano wszystkich przebywających tam ludzi. Dzień później mieli zostać przewiezieni na dworzec w Nantes, a stamtąd przetransportowani do Niemiec na przymusowe roboty. Wśród tych mężczyzn znalazł się także Jean Lavelle, członek ruchu oporu

i przyjaciel Claire.

Jean i Claire ukrywali się przez jakiś czas w Chatville, przede wszystkim po to, by Jean mógł dojść do siebie po ranie postrzałowej, której ceną omal nie było jego życie. Zatrzymali transport broni z Niemiec i obrabowali wagony, doszło przy tym do strzelaniny i Jean został ciężko ranny. Ledwo udało im się uciec. Przyjęli ich do siebie dalecy krewni w Chatville.

Claire dowiedziała się od ciotki Josephine, co się stało. Ciotka Josephine, kobieta gruba i już bardzo stara, której nie dało się wyprowadzić z równowagi, była właściwie kuzynką czwartego stopnia Jeana. Kiedy tego wieczoru wpadła do kuchni swego kamiennego domu – w którym nie było ani prądu, ani bieżącej wody – po jej flegmatycznym spokoju nie pozostało ani śladu.

– Oni aresztowali Jeana! – krzyknęła. – I ma być przetransportowany do Niemiec!

Claire, która akurat łuskała fasolę, pobladła.

– Na miłość boską! Gdzie on jest? Dokąd go zabrali?

Ciotka Josephine, sapiąc głośno, osunęła się na krzesło.

– Do kościoła. Przewieźli w nocy jedenastu mężczyzn i zamknęli wszystkich w kościele.

Oczywiście postawili strażę.

– Jean nie jest już taki młody, to dlaczego...

– Ma czterdzieści pięć lat i jest silnym mężczyzną. Taki ktoś przyda się Niemcom.

Ach... – Ciotka Josephine co rusz potrząsała głową. – Co za czasy, co za czasy!

Claire odłożyła nóż i odsunęła miskę z fasolą.

– Zobaczę, czy da się coś zrobić.

Ciotka Josephine przeraziła się i chwyciła ją za ramię.

– Nie możesz nic zrobić! Nie narażaj się!

– Będę uważać. Ale nie mogę zostawić Jeana na łasce losu.

Wokół kościoła rozstawiono strażę. Claire zagadnęła jednego z mężczyzn, ale on nie rozumiał ani słowa po francusku i Claire musiała mówić po niemiecku.

– Mój przyjaciel jest w kościele. Jean Lavelle.

– Możliwe.

– Nie możecie go zabrać. On musi zająć się swoją rodziną.

– Proszę iść do domu. To, co pani próbuje zrobić, nie ma sensu.

– Ale pan...

– Powiedziałem, proszę iść do domu. Chce pani mieć kłopoty?

Claire zrozumiała, że to rzeczywiście nie miało sensu. Ale nie poszła do domu, jak polecił jej strażnik. W lasach wokół Chatville ukrywało się dostatecznie dużo mężczyzn z Résistance i Claire wiedziała, gdzie ich szukać. Z Niemcami należało walczyć, posługując się tylko jedną bronią: przemocą. Innego języka nie znali. A uwolnienie Jeana było ważne dla ruchu oporu. Jean należał do najważniejszych przywódców, jego waleczność była niepodważalna, zaś jego nienawiść do Niemców – bezgraniczna. I ta właśnie nienawiść łączyła Claire i Jeana. Nie musieli ukrywać przed sobą swojego rozgoryczenia i niepokoju.

Piętnastu mężczyzn miało broń – niemiecką broń! Wykorzystali osłonę ciemności i zalety ataku z zaskoczenia, wiedzieli też, że cała wieś solidaryzuje się z ruchem oporu. Ich celem było zaatakowanie strażników nocą, przedarcie się do bramy kościoła i uwolnienie wszystkich uwięzionych mężczyzn. I nie chodziło tu tylko o aresztowanych, lecz także o to, aby pokazać okupantom, że Francuzi umieją się bronić.

Zjawili się około pierwszej po północy. Była to ciepła sierpniowa noc, a panującą dookoła ciszę przerywały tylko dobiegające z lasu krzyki puszczyków. Strażnicy najwyraźniej w ogóle nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy z ciemności wynurzyli się Francuzi

i w przeciągu jednej sekundy otworzyli ogień, Niemcy nawet nie mieli pod ręką swoich karabinów. Ale w kościele obok uwięzionych Francuzów znajdował się także oddział żołnierzy – prawie pięćdziesięciu Niemców, którzy nagle wybiegli z budynku, uzbrojeni w karabiny, bagnety i granaty ręczne. Ktoś im doniósł o planowanym ataku. Atak ruchu oporu nie stanowił dla nich żadnego zaskoczenia.

Strzelanina zakończyła się tuż przed drugą. Trzech niemieckich żołnierzy leżało martwych, czwarty był ranny. Z piętnastu członków Résistance zginęło dziewięciu, sześciu wzięto do niewoli, a spośród więźniów w kościele, którzy także próbowali wziąć udział w walce, dwóch odniosło ciężkie rany. Potem zaczęło się polowanie na współników we wsi. Walono do drzwi wszystkich domów, czasami nawet od razu wybijano okna. SS przeszukiwało każde pomieszczenie, każdą, nawet najmniejszą izbę. Wyciągano szuflady z szaf, ich zawartość wysypywano na podłogę, rozcinano materace, zrywano zasłony i firanki. Esesmani opukiwali podłogi i ściany, szukając pustych przestrzeni, i w razie choćby cienia podejrzeń zrywali deski. Oszołomionych snem mieszkańców spędzano do jednego pomieszczenia, gdzie kazano im stać nieruchomo i zabroniono siadać.

Około trzeciej esesmani wdarli się do domu ciotki Josephine, która wraz z Claire siedziała w kuchni i wystraszona czekała na wiadomość. Obie kobiety były pewne, że akcja się nie udała. Nie wiedziały jednak, że jednym z ciężko rannych w kościele był Jean, który teraz walczył ze śmiercią. Esesmani zaczęli z całą bezwzględnością przeszukiwać dom i tu ich wysiłki zostały ukoronowane zaskakującym sukcesem: w jednej z izb całkiem przypadkowo znaleźli w stosie czasopism dobrze ukrytą książeczkę żołdu niemieckiego żołnierza Wehrmachtu, wystawioną na Gerta Ullbacha.

– Interesujące – stwierdził Obersturmführer SS, który dowodził całą akcją. – Odkryliśmy tu małe gniazdko partyzantów!

Claire, która za żadną cenę nie chciała narazić ciotki Josephine i jej rodziny, od razu przyznała się, że książeczka należy do niej.

– Oprócz mnie nikt o niej nie wiedział – dodała.

Claire natychmiast aresztowano.

„Dobrze”, pomyślała, „a więc to koniec. Rozstrzelają mnie. Nie będę już wycinać karbów na drzwiach, ale i tak jest ich już mnóstwo, zapłacili wysoką cenę”.

Okazało się jednak, że nie doceniła swoich przeciwników. Nie rozstrzelano jej. Została przewieziona do więzienia w Nantes i tam ją torturowano.

Claire oczywiście myślała czasami, że coś takiego może jej się przytrafić, ale zawsze próbowała odepchnąć od siebie tę myśl. Mogłaby przecież łatwo stracić całą odwagę, a była jej ona potrzebna w życiu, które prowadziła. Teraz miała tylko nadzieję, że nie zdradzi nic i nikogo, bez względu na to, co jej zrobią. A słyszała niejedną przerażającą opowieść o torturach, mimo że były osoby, którzy je wytrzymały. Z drugiej strony prawie każda z nich już nie żyła.

Powiesili Claire za przeguby rąk przy suficie tak, że jej stopy znajdowały się tuż nad podłogą. Żelazne kajdanki werżnęły jej się głęboko w mięśnie. Wisiała tak prawie godzinę. Od czasu do czasu odważała się zerknąć na ręce i zauważyła, że zaczęły przybierać niebieską barwę. Walczyła z narastającą paniką i wmawiała sobie, że jej życie jest nic niewarte i że nie ma sensu denerwować się z powodu stanu rąk. Ból był coraz gorszy i coraz trudniej przychodziło jej oddychać. Dwa razy omal nie zemdląła – czego sobie bardzo życzyła, ale jakoś ciągle siły wracały, zanim zrobiło jej się czarno przed oczami. Próbowwała odwrócić uwagę, powtarzała wiersze, których uczyła się w szkole dawno temu, i myślała o Jeanie. Nie wolno jej było go rozczarować i osłabnąć, płakać, krzyczeć czy też błagać swoich prześladowców o łaskę. Zagryzła zęby. Musiała wytrzymać.

Po godzinie w piwnicy zjawili się dwóch mężczyzn. Pierwszy był niski, gruby, o okrutnym wyrazie twarzy, drugi zaś – wyższy, sprawiający wrażenie bardzo inteligentnego i jeszcze bardziej brutalnego. Ten drugi palił papierosa i popatrzył na Claire chłodno.

– Mam nadzieję, że jest pani gotowa udzielić nam paru informacji – powiedział doskonałym francuskim. – To znaczy, pani powinna żywić tę nadzieję.

– To zależy, co chce pan wiedzieć – odparła Claire. Ponieważ oddychała z trudem, mówiła urywanym i szorstkim głosem. Miała spuchnięty język, a od przegubów przez całe ciało co rusz przebiegały fale bólu, zupełnie jak rażenie prądem.

– Chcemy wiedzieć wszystko. Należy pani do ruchu oporu, zarzuca się pani morderstwo kaprała Gerta Ullbacha w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. I zapewne ma pani na sumieniu jeszcze więcej morderstw. Chcemy, aby przyznała się pani do winy. Chcemy też, aby wymieniła pani nazwiska oraz miejsca pobytu innych członków Résistance. Przy czym muszę dodać, że będzie pani gorzko żałować, jeśli poda nam pani fałszywe dane.

„O Jezu, bądź ze mną! Tak strasznie się boję, ale żaden z nich nie może tego zauważyć!”

– Sądzę – wyrzuciła z siebie – że nie mam panom nic do powiedzenia.

Esesman wyjął z ust papierosa i powoli zdusił go na stole.

– To wielka szkoda – powiedział. – Niepotrzebnie utrudnia pani sprawę. Bo prędzej czy później zacznie pani mówić, ale niestety nie będzie już wyglądać tak ślicznie jak teraz.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzyła Claire i próbowała przypomnieć sobie modlitwy, których jako dziecko nauczyła się od swojej matki.

„Zawsze jesteś w ręku Boga, Claire. Zawsze. Także w najczarniejszej godzinie swego życia”.

„Gdybym teraz potrafiła w to wierzyć!”

Szczupły mężczyzna z papierosem wydawał tylko rozkazy, mały grubas pełnił funkcję oprawcy. Nagle w jego ręku pojawił się skórzany pejcz, którym zaczął bić Claire po plecach. Kobieta myślała, że popękają jej łopatki. Potem zaczął uderzać w nerki i pod kolanami. Przy każdym uderzeniu Claire huśtała się bezradnie, obciążając swoje nadgarstki, zaczepione przy suficie w żelaznych kajdankach. Najpierw zagryzała wargi do krwi, aby nie wydać z siebie żadnego dźwięku, ale potem krzyczała przy każdym uderzeniu, a w tym krzyku wyrzucała z siebie ból, co przynosiło odrobinę ulgi. Wykrzykiwała imię Jeana:

– Jean! Jean! Jean!

Kiedy jej prześladowca uderzył ją w podbrzusze, straciła przytomność, ale on przywrócił ją do rzeczywistości, wylewając jej na twarz wiadro zimnej wody.

Claire zauważyła, że z jej ubrań zostały tylko strzępy i uderzenia trafiały na gołą skórę. Była już niemal bliska powiedzenia tego, co oni chcieli usłyszeć, zdradzenia nawet własnej matki, Jeana i Filipa oraz wszystkiego, co było jej drogie, ale wtedy kat zabrał się za jej piersi. Ten ból był już ponad jej siły. Znowu straciła przytomność i tym razem na dłużej.

Kiedy się ocknęła, leżała w jakimś ciemnym lochu na kamiennej podłodze, a w kącie migotała słabo olejowa lampa. Miała wrażenie, że otacza ją lodowate zimno.

– Jean – wyszeptała Claire.

Obok niej coś się poruszyło i dostrzegła, że nie była tu sama.

– Claire! Już myślałem, że się w ogóle nie obudzisz!

Znała ten głos, ale nie był to głos Jeana, tylko jednego z mężczyzn, których sprowadziła na pomoc, aby uwolnić tych uwięzionych w kościele... Jak on się nazywał? Jakieś imię zaświtało w jej mocno oszołomionej głowie... Luc... Tak, on nazywał się Luc.

– Wody – wyjęczała.

Poczuła czyjąś rękę na swoim czole.



– Biedna Claire, jak oni cię strasznie urządzili. I nie mam dla ciebie wody, ani kropli. Bardzo cię boli?

Czy bardzo boli? Ona sama składała się wyłącznie z bólu, była przecież kawałkiem surowego, krwawiącego mięsa, który rzucono w ką.

– Gdzie jest Jean?

– Nie mów teraz, Claire. Musisz spać. Potrzebujesz sił.

Powoli obrazy przed jej oczami się rozjaśniały, przyzwyczajając się też do mdłego światła olejowej lampy. Wydała z siebie cichy okrzyk przerażenia – co oni zrobili z Lukiem? Jego potwornie spuchnięta twarz ledwo przypominała ludzką, a prawe ramię odstawało od ciała pod osobliwym kątem. Miał nogi skrępowane w kostkach żelaznym łańcuchem, spod którego płynęła krew.

– Luc! Wyglądasz przerażająco!

Skinął głową i przemilczał, że ona sama wyglądała jeszcze gorzej. Ale wówczas spojrzenie Claire padło na jej własne ręce – niebieskoczarne, niekształtne bryły, z wielkimi ranami w okolicy stawów.

– Luc... moje ręce... widziałeś moje ręce? Ja nie mogę poruszać palcami... Nie mam czucia w palcach...

– To minie, Claire. Będziesz mogła nimi poruszać.

„Jeśli przeżyjesz”, dodał w myślach.

– Czy oni ciebie też torturowali, Luc?

– Tak. Ale nic im nie powiedziałem.

„Czy ja coś powiedziałam?”, zastanawiała się Claire. Nie pamiętała niczego poza bólem. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość składały się wyłącznie z bólu. Jęknęła, próbując się poruszyć, ale natychmiast tego pożałowała. Tylko leżąc spokojnie i nieruchomo, można było to wszystko jakoś znieść.

– Czy jest tu jeszcze ktoś od nas?

– Wszyscy ci, którzy przeżyli akcję. W tej chwili zajęli się Pierre'em i Napoléonem.

– O Boże... A Jean? Gdzie jest Jean?

W głosie Luca słychać było łagodność i smutek.

– Jean został postrzelony w czasie ataku na kościół i wkrótce potem zmarł. Claire, ja...

– Nie! – To miał być okrzyk, ale Claire zdołała jedynie wychrypieć to krótkie słowo.

W czasie tortur krzyczała tak głośno, że niemal straciła głos. – Nie, o, nie – szeptała – nie Jean...

– Claire, wiem, że to żadna pociecha, ale... – Luc urwał, ale po chwili dokończył zdanie: – ...jego śmierć była lżejsza niż ta, która czeka nas. Chętnie bym się z nim zamienił.

– Jean... to moja wina! To ja to wszystko wymyśliłam. Gdyby zabrali go do Niemiec, toby żył i kiedyś wróciłby do Francji. Ale tak... Co ja zrobiłam?

Claire w końcu zaczęła cicho płakać, a Luc gładził ją po włosach i szeptał jakieś uspokajające słowa. Kiedy już mogła mówić – minęło prawie pół godziny – spytała:

– Luc, czy oni nas jeszcze będą torturować?

– Obawiam się, że tak. Jak tylko trochę odpoczniemy i odzyskamy siły.

– Ja tego nie wytrzymam kolejny raz.

– Owszem, wytrzymasz. Jesteś bardzo silna i dzielna. I wytrzymałaś do tej pory.

– Tylko dlatego, że myślałam o Jeanie. Zniosłam to wszystko dla niego. Moja siła pochodziła od niego. Ale teraz wiem, że on nie żyje, i nie znajdę już w sobie tyle sił.

– Claire! – Luc chciał ująć ją za ręce, ale cofnął się w ostatniej chwili. Krzyknęłaby z bólu. – Claire, ty żyłaś i walczyłaś nie tylko dla Jeana. Coś jeszcze było w tobie, zanim go poznałaś, przypomnij sobie!

– Tak, moja nienawiść – wymamrotała.

– Tak. Opowiadałaś mi o tym. Niemcy w tamtej wojnie zabili twojego ojca, a w tej – twoje dziecko. Nienawidzisz ich z całej duszy. Myśl o tej nienawiści, Claire. Ona jest w tobie, silna i nieprzejednana. Oni zamordowali Jeana! Wszystko, co kochałaś, straciłaś przez Niemców. Nie zrobisz im tej przyjemności i nie załamiesz się teraz. Nie będziesz mówić. Pozwól, aby te diabły dotarły do granic swoich możliwości. Oni są czystym złem i jedyne, co możemy zrobić, to nie dopuścić do tego, aby to zło stale zwyciężało.

Claire była zbyt wyczerpana, aby zrozumieć wszystko, co mówił, ale pomyślała, że może rzeczywiście znajdzie w sobie siłę, aby to przetrwać, może ta siła rzeczywiście drzemie gdzieś w niej samej. Nie mogła teraz o tym myśleć. Musiała spać i nie zastanawiać się nad tym, co jeszcze ją czekało.

## 12.

Belle spała dopiero od dziesięciu minut, kiedy znów zawyły syreny obwieszczające alarm przeciwlotniczy, i potrzebowała kilku sekund, aby zrozumieć, co się dzieje. Potem drzwi do jej sypialni otworzyły się gwałtownie i na progu stanęła Anna.

– Belle! Alarm! Musimy zejść do piwnicy!

Dziewczyna wyskoczyła z łóżka, szybko założyła na siebie bieliznę i ubrania, które leżały przygotowane we właściwej kolejności, po czym chwyciła torbę. W chwilach takich jak ta cieszyła się, że towarzyszyły jej kobiety z rodziny. Dzięki ich obecności łatwiej było znieść nocę ze spadającymi bombami.

Alarm główny ogłoszono zaraz po ostrzegawczym i z daleka dochodziły już odgłosy wybuchów. Christine, blada i wystraszona, otworzyła drzwi mieszkania.

– Pośpieszcie się! – ponaglała.

Usłyszała płaczliwy głos dobiegający z salonu.

– Pomóżcie mi! Nie mogę zawiązać butów! – wołała Nikola.

W tej ciąży bardzo przytyła, zajmowała cały fotel i nie była w stanie się pochylić. Dziecko miało przyjść na świat za niecały tydzień, ale Nikola, która człapała jak kaczką i przy najmniejszym wysiłku zaczynała głośno sapać, już odliczała minuty. Często płakała i wyładowywała swój gniew w nienawistnych tyradach przeciwko Siergiejowi, który wpędził ją w ten stan.

Belle uklękła przy niej i błyskawicznie zawiązała jej buty, po czym pomogła jej wstać.

– Szybko, Nikolo, musimy iść do piwnicy!

Uderzenia słychać było coraz bliżej. Silna fala uderzeniowa spowodowała, że we wszystkich pomieszczeniach z okien wyleciały szyby. Nikola oddychała astmatycznie.

– Mój Boże, jakie to okropne. Tak strasznie się boję. Jestem teraz tak gruba, że nie mogłabym uciekać! Ten przeklęty Sier...

– Uciekanie i tak by nic nie dało – oświadczyła Belle. – Możemy tylko razem ze wszystkimi siedzieć jak krety w piwnicy i mieć nadzieję, że bomba nie spadnie na nasz dom.

Anna i Christine zbiegły po schodach w chwili, w której z okien wyleciały szyby. Zewsząd dobiegał piekielny hałas kolejnych detonacji i walących się murów.

– To dziecko przyjdzie na świat z wadą słuchu! – zawołała Nikola, obejmując brzuch.

Nikt w piwnicy nawet nie próbował spać. Wszyscy siedzieli wyprostowani na swoich krzesłach czy fotelach, trzymając na kolanach torby i walizki, dwoje dzieci płakało, a dygocący ze strachu mały pies tulił się do nóg swojej właścicielki. Stary żydowski profesor, który ciągle jeszcze mieszkał na samej górze, rozglądał się dookoła wielkimi, smutnymi oczami; lęk przed bombami był dla niego tylko kolejnym lękiem pośród tych, które dawno opanowały jego życie.

Po godzinie alarm odwołano i wszyscy, wyczerpani, powoli ruszyli po schodach do góry.

– Miejmy nadzieję, że będziemy mogły spać przez resztę nocy – powiedziała Belle, kiedy weszły do mieszkania.

W tym samym momencie Nikola zbladła jak ściana i zgięła się wpół, chwytając powietrze otwartymi ustami.

– Belle! Zdaje się, że dziecko się rodzi!

– Ale dziś mamy pierwszy wrześniea, a ono miało się urodzić dopiero po piątym! – odparła.

– Cholera, ale ono nie trzyma się tych wyliczeń! – ofuknęła ją Nikola i się zachwiała.

Christine podparła ją i zaprowadziła na fotel. Anna podbiegła z buteleczką wody kolońskiej i podsunęła ją matce pod nos.

– Mamo! Nie martw się, zawieziemy cię do szpitala!

Nikola jęknęła cicho, a Belle zastanawiała się gorączkowo, czy zdołają jakoś zdobyć samochód i czy ulice są przejezdne po bombardowaniach. Prawdopodobnie wszędzie było mnóstwo ludzi, którzy stracili domy i teraz z dobytkiem, który zdołali uratować, krążyli w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Kto będzie skłonny po takim ataku zawieźć ciężarną kobietę do szpitala?

– Musicie coś zrobić! – zawołała Anna.

Nikola wyglądała bardzo żałośnie. W ciągu jednej sekundy jej twarz zalała się potem. Siedziała na fotelu nieruchomo z zamkniętymi oczami.

– Myślę, że lepiej będzie sprowadzić tu akuszerkę – powiedziała Belle. – To był bardzo ciężki nalot i być może nie uda nam się dotrzeć do szpitala.

Jeszcze nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy ponownie rozległo się wycie syren.

– Do piwnicy! – zakomenderowała Belle.

Ona i Anna chwyciły pod ramiona jęczącą Nikolę i zaczęły prowadzić ją po schodach w dół. Christine niosła koce i poduszki. Belle postanowiła, że położą ją w piwnicznej pralni, bo przecież nie mogła rodzić na oczach wszystkich.

Zrobiły z koców i poduszek legowisko w kącie i zaprowadziły tam przyszlą matkę.

– Połóż się, Nikolo, i spróbuj się odprężyć. To może potrwać jeszcze parę godzin i do tego czasu nalot się skończy. Wtedy będziemy mogły sprowadzić akuszerkę.

– Ale to nie potrwa tak długo – lamentowała Nikola. Leżała jak kupka nieszczęścia w wielkiej, zimnej pralni w piwnicy, co chwila przewracała się z boku na plecy i stękała głośno. – „To będzie ciężki poród”, tak powiedział lekarz. Belle, musisz mi pomóc!

– Jasne. Nie martw się.

„Dlaczego, do diabła, Nikola musiała zacząć rodzić akurat teraz? I dlaczego ona tak uparcie trzymała się tego cholernego Sergieja?” Belle próbowała przypomnieć sobie narodziny Sophie, ale ona oczywiście leżała wtedy w szpitalu, dostała lekką narkozę i wszystko, co się działo wokół niej, odbierała jak przez mgłę. „Gorąca woda, tak, w książkach zawsze było napisane, że potrzebna jest gorąca woda”.

– Christine, idź na górę i przynieś kilka wiader i misek gorącej wody. I ręczniki. Pośpiesz się, proszę.

Christine nawet nie drgnęła.

– Przecież nie mogę iść teraz na górę! Dookoła spadają bomby!

Belle zaklęła.

– To siedź tutaj i trzymaj Nikolę za rękę. Ja pójdę.

Pobiegła po schodach na górę. Miała wrażenie, że wokół niej świat się kończy. „Gdybym była w Lulinie! Dlaczego muszę być tutaj i w kółko obawiać się śmierci?”

Przekreśliła włącznik w mieszkaniu Andreasa, ale dookoła nadal panowała ciemność. Brak prądu. W ciemnościach wymacała szafę, wygrzebała świecę i zapalki, po czym dotarła do łazienki i stwierdziła, że z kranu leciała tylko zimna woda. W tym momencie pobliska eksplozja zatrzęsła całym domem tak mocno, że z regałów pospadały książki, a ze ścian zaczął się osypywać tynk. Fala uderzeniowa cisnęła Belle o ścianę. Poczowała pył na wargach, a kiedy odzyskała oddech, pozbierała się, napełniła kociołek wodą, ponownie zapaliła świecę i poszła do kuchni. Dzięki Bogu było tam dość drewna i węgla, mogła więc przynajmniej rozpałić pod płytą. Kiedy drżącymi rękami próbowała to zrobić, kolejna detonacja znów zatrzęsła domem tak, że rzuciło ją o ścianę. Belle leżała przez chwilę, chwytając powietrze, po czym porwała kociołek

z podłogi, zebrała fajerki z płyty nad ogniem i pobiegła w stronę drzwi. Bez względu na to, czy woda będzie gorąca, czy nie, Belle postanowiła nie siedzieć tu ani sekundy dłużej.

Kiedy była na górnym stopniu schodów prowadzących do piwnicy, rozległa się trzecia detonacja. Belle spadła ze schodów, a cenna, z takim trudem zdobyta woda się wylała. Za sobą słyszała huk i potworny hałas walących się murów. Po chwili osypała się na nią fala gęstego pyłu. Leżała na podłodze, kaszlała i się krztusiła. Czuła pieczenie w oczach, w gardle i w nosie, a z jej rozbitych podczas upadku kolan płynęła krew.

Ktoś chwycił ją za ramię i pomógł jej wstać. W chmurze kurzu dostrzegła wystraszone twarze.

– Szybko! Dom się zawalił, ale piwnica jest jeszcze cała. Wychodzimy! Jazda, niech pani wstaje!

Podniosła się chwiejnie.

– Nikola! Muszę zobaczyć, co z Nikolą!

Przepchnęła się między ludźmi zmierzającymi do pralni w piwnicy. Naprzeciw niej wyszły Anna i Christine – obie wyglądały jak dwa małe, drżące białe upiory pokryte opadającym tynkiem.

– Belle! – krzyknęła Anna. – Oni mówią, że piwnica może się w każdej chwili zawalić! Musimy stąd wyjść!

Belle po prostu przebiegła obok nich w stronę Nikoli i pochyliła się nad nią.

– Możesz wstać, Nikolo? – spytała.

Twarz Nikoli była wykrzywiona grymasem bólu.

– Nie, Belle, to niemożliwe. Przepraszam. Zostaw mnie tutaj i idź, poszukaj sobie jakiegoś bezpiecznego miejsca.

– Nie gadaj głupstw! To oczywiste, że nie zostawię cię w potrzebie! – Belle odwróciła się w stronę Anny i Christine. – Uciekajcie stąd. Ja zostanę przy Nikoli.

Anna niemal wpadła w histerię.

– Ale ta piwnica może zawalić się w każdej chwili! Nie możecie tu zostać! Proszę, chodźcie z nami, musimy wyjść!

Belle podeszła do Anny i powiedziała do niej cichym, ostrzegawczym głosem:

– Anno, choć raz w życiu zapanuj nad sobą. Widzisz, co się dzieje z twoją matką i że ona nie może wstać. To będzie morderstwo, jeśli ją do tego zmusimy. Wy obie pójdzicie na górę, macie być bezpieczne, a ja zostanę tu z Nikolą. Ta przeklęta piwnica się nie zawali. A teraz wynoście się stąd!

Znikły obie błyskawicznie. Pięć minut później odwołano alarm. Tej nocy alianci rzucili na Berlin prawie półtora tysiąca ton bomb.

W stolicy Rzeszy płonęło tyle domów, że na ulicach zrobiło się prawie tak jasno jak w dzień. Dookoła wyły syreny wozów strażackich, a w poprzek ulic leżały ogromne kupy gruzu. Noc była chłodna i padał deszcz, ale oczywiście za słaby, aby ugasić liczne pożary. Wielu ludzi ciągnęło za sobą małe drabiniaste wózki, na których ułożono skromne pozostałości dobytku uratowanego z pożaru: fotele, łóżeczka dziecięce, książki, walizki czy odbiorniki radiowe. Jakaś kobieta siedziała na sofie w ogrodzie jej na wpół zawalonego domu i kiwała bezustannie głową. Inna grzebała jak oszalała w ruinach i krzyczała tak, jak gdyby już umierała. Pomocnicy szukali zasypanych. Anna i Christine ku swojemu przerażeniu dostrzegły dwóch mężczyzn, którzy wyciągali ze schronu martwe dziecko, po czym zaczęły szukać dalej i znaleźli czyjaś urwaną nogę. Anna się odwróciła.

– O Boże, Christine, widziałas? Tam kogoś rozerwało na kawałki!

– Nie patrz tam! Idziemy dalej.

Szły ulicami, przedzierając się przez tłum.

– A dokąd my w ogóle idziemy? – wydyszała Anna.

– Na dworzec. Mam nadzieję, że mieszkanie Belle i Maxa przy Alexanderplatz jeszcze stoi i możemy się tam przeprowadzić.

Christine ostatkiem sił wlokła za sobą swoją walizę. Miała przemożną ochotę ją po prostu zostawić, ale jej zawartość była dosłownie wszystkim, co jeszcze posiadały. Kiedy dotarły do hali dworca, po raz trzeci tej nocy ogłoszono alarm przeciwlotniczy.

Na wszystkich peronach roilo się od ludzi, którzy siedzieli na kocach albo po prostu na walizkach, zawijali się w swoje płaszcze i trwożliwie zerkali na resztki przyniesionego ze sobą dobytku. Wszędzie płakały dzieci, dwa psy obszczekiwały się nawzajem z wściekłością. Kolejny alarm przywitano okrzykami rozpacz. Christine przykucnęła na swojej walizce i przycisnęła obie ręce do uszu.

– Ja tego już nie wytrzymam, Anno. Nie zniosę tych bomb. Jak tutaj któraś spadnie, to koniec z nami.

– Wszędzie może nas to spotkać – odpowiedziała Anna. Piekącymi oczami wpatrywała się w tłum ludzi i kuliła się za każdym razem, kiedy w pobliżu spadała bomba. – Moja biedna mama! Sama w tej piwnicy... bez lekarza...

Christine usłyszała ją mimo hałasu.

– Ona nie jest sama. Belle jest z nią.

– Dzięki Bogu. Belle jest cudowna. Ma więcej odwagi niż my obie razem.

Christine nie odpowiedziała, a Anna popatrzyła na nią agresywnie.

– Nie widzisz w niej niczego dobrego, prawda?

– Nie. Nie mogę zrozumieć, jak ona może zadawać się z jakimś... salonowcem, gdy jej mąż znalazł się w kotle pod Stalingradem i nikt nie wie, co się z nim stało. Uważam, że jest pozbawiona wszelkich uczuć! – Christine umilkła na chwilę. – Zabawne, zawsze miałam z nią jakiś kłopot. Te jej zimne oczy...

– To tylko kolor – odparła Anna. – Wszystkie kobiety z Lulinna mają takie oczy.

– Wy i wasz Lulinn! – Christine się roześmiała i zabrzmiało to gorzko. – Dzięki tej posiadłości jesteście niesłychanie pewne siebie! I wydaje wam się też, że dzięki temu wszystko wam wolno. Jesteśmy z Lulinna! Od tych kilku mórg ziemi gdzieś w Prusach Wschodnich i od imponującego drzewa genealogicznego uzależniacie wszystko, to nieomal podstawa waszej egzystencji. A poza tym ten majątek już do was nie należy! Paul kiedyś mi o tym opowiedział. Przecież Felicja Lavergne straciła go na rzecz swojego byłego męża, prawda?

Anna potrząsnęła głową z dezaprobatą.

– Ile nienawiści jest w twoich słowach. Przecież sama wyszłaś za jednego z nas!

– Tak... Mężczyźni w waszej rodzinie są inni. Przy nich się nie zamarza.

– Ale bądź co bądź to właśnie Belle została przy mojej matce i zaryzykowała własne życie. W tym jest taka sama jak Felicja. Żyje swoim życiem, w sposób, jaki jej odpowiada, ale jeśli trzeba, to jest na miejscu. I nigdy nie zostawiłaby kogoś z rodziny w potrzebie.

– Zostawiła w potrzebie swojego męża.

– Gdyby było trzeba, to zrobiłaby dla niego wszystko.

– On jest w potrzebie. O ile w ogóle jeszcze żyje, to dostał się do rosyjskiej niewoli i jeśli przetrwa, to tylko ufając, że Belle na niego czeka.

Anna wykrzywiła twarz.

– To brzmi jak propagandowe haselka dla matek i kobiet naszych dzielnych żołnierzy walczących na froncie. I jest bardzo sentymentalne. Jeśli on przeżyje rosyjską niewolę, to poradzi sobie też z faktem, że jego żona znalazła innego mężczyznę.

– Ja nie mogłabym tak postąpić. Nie mogłabym być niewierna Paulowi. Nigdy.

– Przecież nie musisz.

– Anno, jak ty obojętnie, bez śladu uczucia o tym wszystkim mówisz! A pomijając wszystko, uważam, że ten Andreas Rathenberg jest wyjątkowo niesympatyczny. Zimny, beznamiętny człowiek interesu i uwodziciel pozbawiony wszelkich skrupułów!

– Raczej nie musisz się obawiać, że będzie próbował uwieść ciebie – odpowiedziała złośliwie Anna, po czym dodała: – On pasuje do Belle. Jestem pewna, że ją kocha, i być może ona jest pierwszą kobietą, do której naprawdę coś czuje. Kiedy pojawił się w jej życiu, Max Marty nie miał żadnych szans. I cokolwiek się jeszcze stanie, ci dwoje nigdy się nie rozstaną.

– No to Belle dokonała wyjątkowo kiepskiej zamiany.

– Mówisz jak zazdrosna stara panna!

– Nonsens! Zazdrosna o Belle? Ja...

Samoloty – na szczęście tylko niewielka straż tylna całej eskadry – dawno już odleciały, a one wciąż się kłóciły.

### 13.

Dziecko urodziło się o czwartej nad ranem. Nikola męczyła się godzinami, dwa razy zapadła w krótki sen, z którego obudziła się niemal natychmiast, i od razu zaczęła krzyczeć ze strachu przed kolejną falą skurczów.

– Belle, weź mnie za rękę! Trzymaj mnie mocno! Och, Belle, jakie to straszne! To jest takie straszne!

– Trzymaj mnie mocno, Nikolo. Zaraz będzie po wszystkim, na pewno! – Ale Belle nie była tego taka pewna. – Wszystko będzie dobrze, Nikolo! Przy Annie też nic ci się nie stało.

– Przy Annie nie było żadnych trudności. Ale... – Nikola stęknęła głośno i podniosła się trochę. Niemal nie można było rozpoznać jej słodkiej, ślicznej twarzy, teraz całej w czerwonych plamach i opuchniętej. Miała popękane wargi, a mokre od potu włosy lepiły się do czoła. – Nigdy ci tego nie zapomnę, Belle – sapała. – Tego, że tu ze mną jesteś... Myślisz, że to się wszystko zawali? Ja nie chcę, żeby... – Wyczerpana osunęła się z powrotem na poduszkę.

Belle, którą mocno bolały plecy, bo nachylała się nad Nikole, spróbowała się uśmiechnąć.

– Ależ skąd, tu nic się nie zawali. Takie piwnice to solidne konstrukcje.

„Dobry Boże, spraw, aby to była prawda!”

Przyniosła trochę zimnej wody – okazało się, że w piwnicy był kran – i zanurzyła w niej chusteczkę. Ostrożnie przetarła czoło Nikoli.

– Odpocznij przez chwilę. A potem spróbujesz przeć jeszcze raz, dobrze?

Godziny wlokły się niesłychanie powoli. Zaczął się trzeci nalot i po jakimś czasie i on dobiegł końca. Tym razem bomby oszczędziły całą ulicę. Tylko raz po detonacji z sufitu i ścian osypała się chmura pyłu i Belle z przerażeniem wstrzymała oddech. Ale nic się nie stało. Piwnica wytrzymała. Nikola była już półżywa ze zmęczenia, kiedy dziecko wydało swój pierwszy krzyk.

– Nikolo, znów masz dziewczynkę. I dzięki Bogu wydaje się, że wszystko w porządku. Popatrz, jaka jest śliczna! Dobry Boże, ale twojego Sergieja przepędzimy, gdzie pieprz rośnie, ja już nie chcę przeżyć czegoś podobnego!

– Życzę Sergiejowi pięknych, bolesnych ran na froncie wschodnim – powiedziała Nikola ponuro. – Nie musi umierać, ale ma trochę pocierpieć, przynajmniej w połowie tak jak ja. Belle, jak ona wygląda? Czy jest podobna do mnie?

Belle zawinęła malutką dziewczynkę w wełniany sweter, który miała w swojej torbie.

– Nie wiem... jest całkiem czerwona i pomarszczona. Ale jest bardzo słodka. Jak ją nazwiesz?

– Gdyby to był chłopiec, nazwałabym go Juliusz. Mój ojciec się tak nazywał. Ale wobec tego nazwę ją chyba Julia.

– To piękne imię. – Rozległ się jakiś głos od strony drzwi.

Belle odwróciła się gwałtownie. Stał tam stary żydowski profesor. Na jego twarzy, na której ciągły lęk i niedostatek pozostawiły wyraźne ślady, pojawił się teraz cień uśmiechu.

– Naprawdę piękne imię – powtórzył.

– Co pan tu robi? – spytała Belle, nie kryjąc konsternacji. – Dlaczego nie wyszedł pan razem ze wszystkimi?

Profesor wzruszył ramionami.

– A dokąd miałem iść? Ta żółta gwiazda zrobiła ze mnie zwierzynę łowną. Tu czuję się bezpiecznie.

– Ale piwnica może się zawalić!



– Nie mam nic do stracenia.

Belle podała mu niemowlę.

– Proszę potrzymać małą. Muszę się zająć Nikolą. – Uklękła koło kobiety, wytarła jej twarz i ostrożnie odgarnęła jej włosy z czoła. – Widzisz, poradziłaś sobie znakomicie. Jak się teraz czujesz?

– Lepiej. Ale jestem bardzo zmęczona. – Nikola ujęła Belle za rękę i powiedziała: – Nigdy ci tego nie zapomnę. Wszyscy uciekli, zostałaś tylko ty jedna. Naprawdę, zawsze będę ci za to wdzięczna.

– Już dobrze. Nie ma za co.

Belle się podniosła. Miała miękkie kolana ze zmęczenia, a włosy zwisały potargane. Kiedy podeszła do profesora, aby wziąć od niego dziecko, ten uśmiechnął się do niej.

– Jest pani bardzo odważną kobietą – powiedział. – To, co pani zrobiła dziś w nocy, zasługuje na najwyższe uznanie. Powinna pani wiedzieć, że bardzo panią podziwiam.

Uśmiechnęła się do niego. Nie miała wrażenia, że była jakoś specjalnie odważna, ale ta pochwała nappełniła ją dumą. Zwłaszcza że wygłosił ją człowiek, który miał wszelkie powody, by nienawidzić każdego Niemca.

Claire zawsze wierzyła w to, że wszystko w życiu jest z góry ustalone. Narodziny, śmierć i każde zrządzenie losu następowały od samego początku zgodnie z ustaloną zasadą. Nikt nie mógł ujść przeznaczeniu, nikt nie mógł zatrzymać koła czy też zacząć kręcić nim w przeciwnym kierunku.

I dlatego żywiła przekonanie, że gdyby miała umrzeć w katowni SS, to umarłaby, a fakt, że jeszcze żyła – co graniczyło z cudem – dowodził, że w tej chwili jeszcze nie było jej to przeznaczone. Czworo z nich już umarło, także Luc, a jeden z mężczyzn postradał zmysły. Kobieta nie miała już nadziei, że kiedykolwiek będzie mogła użyć swoich rąk, i zastanawiała się, jak wyglądała od środka, bo jej mocz miał ciemnoczerwony kolor i nie mogła zatrzymać w sobie ani odrobiny pożywienia. Ale jakimś tajemniczym sposobem ciągle żyła.

Ci, którzy przeżyli tortury, mieli być rozstrzelani na dziedzińcu więzienia. Ale aby uprościć sprawę – SS miało coraz więcej trudności z pozbywaniem się licznych zwłok – postanowiono zawieźć więźniów na pola za miasto, tam kazać im wykopać grób i na miejscu rozstrzelać. Jednak w drodze wydarzyło się coś niewiarygodnego: ciężarówka Wehrmachtu z więźniami skręciła właśnie w jedną z polnych dróg, kiedy wypatrzył ją pilot bombowca Royal Air Force i rzucił bombę, która detonowała kawałek dalej. Kierowca przeraził się śmiertelnie, wyskoczył z szoferki i rzucił się obok na ziemię. Trzech esesmanów, którzy konwojowali transport, także próbowało znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Z więźniów tylko dwoje ludzi, Claire i młody mężczyzna imieniem Alain, nie mieli skrępowanych nóg. Zeskoczyli z ciężarówki i zaczęli uciekać tak szybko, jak tylko mogli. I to było ich szczęście. Bo samolot zawrócił i ponownie wziął kurs na samochód.

– Do cholery! – krzyczał oficer SS. – On wraca!

Tym razem pilot trafił dokładnie w cel. Samochód stanął w płomieniach i wszyscy w pobliżu, także leżący obok kierowca i strażnicy, zginęli natychmiast. Oprócz Claire i Alaina, którzy stali dziesięć metrów dalej na zakurzonej drodze i patrzyli z przerażeniem na rozgrywające się na ich oczach piekło, nie przeżył nikt.

– Alain! – wrzeszczała Claire. – Musimy uciekać!

Samolot zawrócił i po chwili zamienił się w malejący punkt na niebie. Samochód ciągle płonął. W tej chwili Claire i Alainowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale ona wiedziała już, że w okupowanej Francji nie było całkiem bezpiecznej sytuacji, i zaczęła biec przez łąki, zataczając się i potykając, bo ciągle miała ręce związane na plecach i z trudnością utrzymywała

równowagę. Za sobą słyszała zdyszany oddech Alaina.

– Nie damy rady – wyrzucił z siebie. Był drobnym, niepozornym mężczyzną, ale dzielnym za dziesięciu i gorliwym patriotą. Oprawcy niemal go zamęczyli i złamali mu dwa żebra. Odczuwał silny ból.

– Nie gadaj bzdur, Alain – wysapała Claire.

Dotarli do małego lasu i zatrzymali się dopiero tutaj, pod osłoną drzew i krzewów. Z daleka widzieli czarny, gęsty dym, unoszący się nad płonąca ciężarówką.

– Musimy się uwolnić z więzów – powiedziała Claire.

Lepiej niż Alain panowała nad swoimi zmysłami i wiedziona jakimś instynktem wiedziała, co należy zrobić.

Usiedli plecami do siebie i mężczyzna, któremu łatwiej było poruszać rękoma, jako pierwszy zabrał się za rozwiązywanie skrzepowanych rąk Claire. A ponieważ nie mógł przy tym uważać na jej rany, Claire była bliska utraty przytomności z bólu. Żeby nie krzyczeć, zagryzała wargi do krwi. Trwało to godzinę, a potem położyli się w trawie, aby trochę odpocząć. Claire popatrzyła na swoje ręce z przerażeniem, ale po chwili zaczęła rozwiązywać ręce Alaina. Znow trwało to blisko godzinę.

– I co teraz? – spytał Alain.

Claire знаła tylko jedną odpowiedź na to pytanie.

– Do Filipa, mojego męża.

– Czy to bardzo daleko?

– Nie bardzo.

Alain potrząsnął głową.

– Ja nie dam rady, Claire, mnie potrzebny jest lekarz. Te bóle mnie wykończą. Padnę ze zmęczenia i nie wytrzymam nawet godziny.

Miał żółtoszarą twarz i niemal całkowicie białe wargi. Claire pojęła, że on daleko nie ujdzie.

– Dobrze. Spróbujemy dotrzeć do najbliższej wsi. Znajdziemy ci lekarza, Alain.

– A ty?

– Ja chcę do domu. Tylko tyle.

Zaprowadziła Alaina do lekarza i sama ruszyła w drogę do St. Maurin. Za wszelką cenę chciała dotrzeć do domu, do Filipa. Czuła się jak małe, zranione dziecko, które pragnie znaleźć się w silnych ramionach i usłyszeć słowa pociechy. Jean nie żył, ją torturowano i musiała w dodatku patrzeć, jak umierają albo tracą zmysły jej najlepsi przyjaciele. Chciała się schować, oprzeć głowę o czyjeś ramię. Chciała długo spać, a potem, by po obudzeniu Filip znalazł się koło niej i położył rękę na jej czole.

Był ciepły letni wieczór, kiedy dotarła do swojego rodzinnego gospodarstwa. Od morza wiał świeży wiatr, za niecałą godzinę miało się ściemnić, a nad łąkami unosiła się mgła. Claire już z daleka widziała, że drzewa w ogrodzie uginały się pod ciężarem owoców i że kwiaty przybrały intensywne barwy, jak zwykle pod koniec lata. Czuła zmęczenie, śmiertelne zmęczenie po długiej drodze, ale tak dobrze było znow widzieć własny dom. Opanował ją nagły strach, bo na podwórzu panowała dziwna cisza, i pomyślała, że Filip wyjechał stąd na zawsze. Ale wtedy usłyszała szczekanie psa Babou, a po chwili także głos męża.

– Cicho, Babou. To pewnie ktoś ze wsi. Cicho bądź.

Stukanie drewnianej nogi na wybrukowanym podwórku, jakże znajomy dźwięk. I głos...

– Filipie! – zawołała Claire. Jej głos był cichy i drżący. – Filipie, to ja, Claire. – Dlaczego, do diabła, właśnie teraz opuściły ją wszystkie siły? Dlaczego była w stanie wydobyć z siebie tylko ten śmieszny cichy pisk, dlaczego ledwo mogła postawić jedną stopę przed drugą?

Zachwiała się i uchwyciła sztachety płotu. – Filipie!

Babou, jazgocząc głośno, przybiegł do niej i machając radośnie ogonem, zaczął ją obskakiwać. A potem wreszcie nadszedł Filip. I zatrzymał się jak osłupiały na jej widok.

– Claire! To nie może być!

Zrobiło jej się czarno przed oczami. Teraz, kiedy już dotarła do domu i stała przed Filipem, świat wokół niej zaczął się kołysać. „Biedny Filip, jak on ma mnie zanieść do domu”, pomyślała, zanim upadła w trawę.

Jakoś udało mu się wziąć ją na ręce i zanieść do domu, bo kiedy się ocknęła, leżała na sofie w izbie. Paliła ją krtań i musiało upłynąć kilka sekund, zanim zrozumiała, że Filip wlał jej do ust spory łyk wódki. Podniosła się, kaszłąc. Mężczyzna siedział obok niej, a na jego twarzy malował się ból. Claire się przeraziła.

– Filipie, co się dzieje? Co ci jest?

– Co oni z tobą zrobili, Claire? – spytał cicho. – Twoje ręce... O Boże, jak coś takiego mogło się stać?

Spojrzała na swoje dłonie. Leżały na kocu, spuchnięte i zdeformowane, pokryte zaskorupiałą krwią i ropą.

– Claire, co oni ci jeszcze zrobili? Zdejmij ubrania, chcę zobaczyć twoje ciało. Chcę wiedzieć wszystko, ja...

– Nie! – Skuliła się jak embrion, podciągając kolana do twarzy. – Nie powinieneś tego widzieć. Ale wszystko się zagoi. Wszystko.

– To byli Niemcy, tak?

– Tak. I zabili Jeana.

Filip nie wiedział wprawdzie, kim był Jean, ale domyślił się, że zapewne z jego powodu ją stracił. Ona nie miała już zatem nikogo, pozostał tylko on, Filip. Przynajmniej na razie. Bo kiedy Claire wyzdrowieje i wróci jej siły, to wróci też jej nienawiść i niepokój. Filip stłumił westchnienie. Claire musiała tyle wycierpieć, nie należało więc myśleć o sobie.

Ale ona, jak gdyby czytając w jego myślach, powiedziała nagle:

– Ja już nie wrócę do Résistance. Z tym koniec.

Filip zmusił się do pobłażliwego uśmiechu.

– Ty jesteś teraz małą, wyczerpaną i mocno pobitą dziewczynką. Kiedy wyzdrowiejesz, zmienisz zdanie.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie chodzi o moje zdrowie. Coś się we mnie załamało, Filipie. Kiedy dowiedziałam się o śmierci Jeana, kiedy mnie torturowali, straciłam całą swoją siłę. Tę odrobinę, która pozostała, wykorzystałam tylko po to, aby tu dotrzeć. – Jej spojrzenie powędrowało w stronę drzwi, obok których na ścianie wycinała karby. – Dwudziestu dwóch zabitych Niemców. Wtedy. Teraz jest ich więcej. I myślę, że to wystarczy, Filipie. Zrobiłam to, co musiałam, i teraz pragnę spokoju. Nie jest dobrze przez całe życie nienawidzić.

– I to mówisz ty? Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Twój ojciec, nasz syn i... i Jean? Nie mówiąc już o tym, co tobie zrobili! Claire, nie mogę uwierzyć, że...

W jej oczach nagle pojawiły się łzy.

– Uwierz w to po prostu, Filipie. Może jednak da się uwierzyć w coś zupełnie niewiarygodnego.

Odczuwała ogromne zmęczenie i dobrze jej tutaj było, i mogła spać. Nie chciała już dalej mówić. Filip nie powinien dowiedzieć się o wszystkim, także o tym, jak nędznie się teraz czuła i ile było w niej rozpacz. Miał uwierzyć tylko w to, że naprawdę do niego wróciła i że zrobiła to nie dlatego, że nigdzie na świecie nie było już dla niej miejsca. Ale kiedy o tym myślała, dotarło

też do niej, że osoba Filipa stanowiła dla niej coś więcej niż tylko ostatnią deskę ratunku. To z niego właśnie czerpała swoją siłę i kiedy teraz leżała i patrzyła w jego zatroskane, mądre oczy, nie mogła pojąć, że nie dostrzegała tego wcześniej. To nie Jean dawał jej siłę ani też nienawiść. Tym tajemniczym źródłem był on, Filip. Ona walczyła, zabijała, zniosła potworne tortury, a wszystko tylko dlatego, że on stał za nią murem i bez względu na to, co się stało, zawsze mogła do niego wrócić. Nie łączyły jej już z nim ani namiętne zakochanie, ani romantyczna tęsknota. Łączyła natomiast niezachwiana ufność do niego i to właśnie przetrwało ich rozłąkę. Kiedy od niego odeszła, wiedziała, że będzie na nią czekał. Wiedziała o tym przez cały czas.

– Weź mnie w ramiona, Filipie – poprosiła cicho i po raz pierwszy nie próbowała odepchnąć od siebie myśli, że on był Niemcem, a ona Francuzką. To już nie miało żadnego znaczenia. Świat, z całym swoim okrucieństwem, szaleństwem i niebezpieczeństwami został gdzieś daleko, a tu byli tylko oni, uwolnieni od wszystkiego, co się stało. Czują, że on jej nie wierzył, ale wiedziała, że już go nigdy nie opuści. Może ta świadomość była też jakimś rodzajem miłości.

— Część IV —

## 1.

W 1944 roku mieszkańcom Niemiec codziennie towarzyszyły niemal bezustanne wycie syren, ciągle dudnienie dział przeciwlotniczych, deszcz iskier na nocnym niebie i świst spadających bomb. Także spakowane walizki, maski gazowe i wanny pełne wody. Im bardziej jednoznaczna stawała się sytuacja na wszystkich frontach i im bardziej pogarszała się sytuacja w ojczyźnie, tym głośniej minister propagandy wykrzykiwał swoje hasła. Ostateczne zwycięstwo miało być tylko kwestią silnej woli, a narodowi niemieckiemu pod żadnym pozorem nie wolno było się poddać.

6 czerwca alianci wylądowali w Normandii. Rozpoczęła się operacja Overlord. Na ląd zeszło ponad pół miliona amerykańskich, kanadyjskich i angielskich żołnierzy. Grupa Pancerna Zachód została pokonana i 26 czerwca Amerykanie zajęli Cherbourg. Francuski ruch oporu co rusz niszczył kolejny transport zaopatrzenia dla armii niemieckiej. Jednocześnie na froncie wschodnim Grupa Armii Środek po gwałtownej ofensywie Armii Czerwonej znalazła się w rozsypce. I jak zwykle Führer nie zezwolił na wycofanie się. Im bardziej dramatyczny wydawał się koniec, tym bardziej był gotów wysłać na rzeź bez cienia litości choćby ostatniego ze swoich żołnierzy.

Hauptsturmführer SS Velin w lipcu 1944 roku ciągle jeszcze mieszkał w domu swojej teściowej przy Prinzregentenstrasse. Niełatwo było w zniszczonym Monachium znaleźć jakieś mieszkanie, choć Hans nie podjął w tym celu żadnego wysiłku. I rzeczywiście czuł się na to zbyt zmęczony. Z powodu astmy praktycznie nie sypiał. Dysponował wprawdzie lekarstwem, które łagodziło nieco ataki, ale ich nie leczyło. Hans nie był w stanie zasnąć, prawie nie jadł i przerażająco schudł.

Któregoś upalnego lipcowego dnia czuł jakiś szczególny niepokój i bez celu chodził po domu. Wykańczała go cisza we wszystkich pomieszczeniach; zabawne wręcz, jak źle znosił spokój. Najlepiej czuł się wśród ludzi, a jeśli zostawał sam, jego nerwowość stawała się nie do zniesienia. Felicja i Zuzanna wyszły, aby zdobyć gdzieś lód, bo w upale żywność szybko się psuła. Obie kobiety zabrały ze sobą dzieci. Alex Lombard także wyszedł zaraz po śniadaniu i oświadczył, że ze względów zawodowych nie będzie go przez kilka dni. Wokół ust miał głębokie bruzdy, które zawsze się pojawiały, kiedy zamierzał zniknąć. Zapewne przez jakiś czas nie chciał widzieć Felicji. Hans, który obserwował ich codziennie, ze zdumieniem dostrzegał, jak wiele ich łączyło. I mimo że od dawna byli rozwiedzeni, to jednak tak naprawdę ze sobą nie skończyli. Na pewno dotyczyło to Lombarda, a jeśli działało także w drugą stronę, to Felicja nie przyznawała się do tego przed sobą.

Hans zszedł do salonu, zatrzymał się przed odbiornikiem radiowym i stwierdził, że Alex popełnił bardzo poważny błąd: zapomniał przestawić stację nadawczą. Hans od dawna podejrzewał, że Alex słucha Radia Londyn.

Odwrócił się gwałtownie, bo poczuł znów ten ucisk w piersi i coraz trudniej było mu oddychać. Przerażony stęknął głośno. Tylko nie to! Oby to nie był kolejny atak! Hans sięgnął do krawata, żeby go poluzować, ale zauważył, że wcale nie miał go na sobie. Przerażający ucisk w krtani pochodził z wnętrza jego ciała. Zaczął gwałtownie grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu buteleczki z lekarstwem w sprayu, którą zawsze nosił ze sobą. Jeśli zażywał lekarstwo natychmiast, mógł uniknąć najgorszego. Ale nie znalazł go i przypomniał sobie, że zostawił je koło łóżka. Piętro wyżej. Do cholery, wiedział, że nie da rady wejść po schodach, czuł się już zbyt źle.

Charcząc, osunął się na fotel. Oddychał ciężko, nierówno i brzmiało to strasznie. Spomiędzy sinych warg wyrzucił rozpaczliwe wołanie:

– Jolanto! Jolanto!

Nie wiedział przy tym, czy gospodyni w ogóle jest w domu.

I w tak żalonym stanie zastał go Maksym Marakow, który po dwóch latach po raz pierwszy zjawił się w domu przy Prinzregentenstrasse i kiedy nikt nie zareagował na jego dzwonek, wyjął klucz i sam otworzył drzwi. Zamierzał od razu udać się do biura Felicji, ale usłyszał osobliwe odgłosy dobiegające z salonu. Tam Hans siedział skulony w fotelu i walczył o oddech.

– Pomocy! – wyszeptał. – Pomocy!

Obaj mężczyźni znali się tylko przelotnie, przy czym Hans miał oczywiście Maksyma za podejrzanego współnika i kochanka Felicji.

Teraz wyciągnął w jego kierunku rękę.

– Moje... lekarstwo... w pokoju gościnnym... na górze...

Maksym wahał się przez sekundę, czy ma ratować przed uduszeniem się esesmana, ale jednak poszedł na górę, znalazł buteleczkę i ją przyniósł.

Hans ostatkiem sił spryskał krtań i uspokoił nieco oddech.

W tym samym momencie do domu weszła Felicja wraz z Zuzanną i obie z bezgranicznym zdumieniem wpatrzyły się w rozgrywającą się na ich oczach scenę. Zuzanna wydała z siebie cichy okrzyk przerażenia.

– Mój Boże, znów miałeś atak?

Jednocześnie Felicja zawołała:

– Maksym!

Na szczęście w ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na to, jak się do niego zwróciła. Hans leżał w fotelu i najwyraźniej zaczynało docierać do niego, że udało mu się ująć z życiem. Zuzanna pobięła do telefonu.

– Wezwę lekarza. Tak dalej być nie może. On się któregoś dnia udusi!

– Możemy porozmawiać? – zwrócił się Maksym do Felicji.

– Oczywiście – odparła chłodno. Zdołała już ochłonąć i jej oczy stały się jasne i zimne.

W biurze zamknęła drzwi za sobą i Maksymem. – Napijesz się wódki? – spytała.

Skinął głową.

– O tak, przydałaby się.

Obserwował ją, jak nalewała alkohol do kieliszków i zapalała papierosa. Była tak wychudzona, jak gdyby od wielu tygodni nie zjadła ani jednego porządnego posiłku. Nad jej czołem pojawiło się jeszcze więcej siwych włosów. Felicja miała teraz czterdzieści osiem lat i w niczym nie przypominała tej małej dziewczynki, która przed laty ścigała się z nim po letnich łąkach w Lulinnie. Tego dnia bardziej niż kiedykolwiek dostrzegł, ile w tej kobiecie było siły woli.

„Jako stary człowiek też będę do niej przychodził po pomoc”, przemknęło mu przez głowę, „ale jednak nigdy jej nie pokocham. I nigdy też jej nie kochałem. Ona jest tylko... Tylko ona jest w moim życiu czymś trwałym. Felicja... Może wcale nie mógłbym istnieć bez świadomości, że ona jest”.

Ale teraz w jej głosie słychać było nieskrywaną wściekłość.

– Gdzie ty byłeś, Maksymie? Dwa lata! Nie pokazywałeś się przez całe dwa lata! Nie przysłałeś mi żadnej wiadomości! Mogłeś zginąć i ja nawet bym się o tym nie dowiedziała. Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile wymagasz od drugiego człowieka?

Maksym trzymał w ręku kieliszek z wódką i unikał jej wzroku.

– Nie mogłem nawiązać z tobą kontaktu. To byłoby zbyt niebezpieczne.  
– O tak, wiem. Już to raz przerabialiśmy. Maksym, wielki bohater! Jakie to szlachetne z twojej strony, że nie chcesz narażać mnie na niebezpieczeństwo! Zawsze to słyszałam, kiedy zostawiałeś mnie w niepewności na długie lata!

– Musiałem się ukrywać. Byłem w Szwecji.

– Aha.

Wypił wódkę jednym haustem.

– Nie możesz wiedzieć o wszystkim. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że musiałem szybko zniknąć.

Oczy Felicji się zwęziły.

– Nie mów tylko, że cała twoja grupa wpadła?

– Tak właśnie. Mnie udało się uciec w ostatniej chwili, dosłownie przez dachy i podwórka. Byłem u przyjaciela, w którego mieszkaniu zainstalowaliśmy aparat radiowy z wbudowanym nadajnikiem. A po ulicach akurat jeździło gestapo z radionamiernikiem. I wpadli do nas do mieszkania. Jak mówiłem, uciekałem na łeb na szyję, ale udało mi się.

– Masz coś wspólnego ze szpiegostwem?

– Można to tak nazwać.

– A to wszystko, twoja działalność tutaj, ci uciekinierzy, którzy najpierw ukrywali się u mnie, a których potem przewożono przez granicę, to wszystko było jedynie drobnym zajęciem dodatkowym, tak? Główna działalność to szpiegostwo. I szpiegowałeś dla Rosjan, tak? Dla Stalina. I to akurat ty. A sam przecież powiedziałeś, że on zdradził rewolucję, na jego rozkaz stracono najwierniejszych towarzyszy, także twoją... twoją Maszę. Stalin nie jest w niczym lepszy od Hitlera.

– Nie szpiegowałem dla Stalina, tylko dla komunizmu. Przeciwno nazistom. I...

– Dobry Boże, Marakow, ty nigdy nie zmądrzejesz, przez całe swoje życie. Komunizm, najświętsza ze wszystkich krów. Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że masz myśleć o ludziach, a nie o ideach? Bo decydujące jest to, co dana idea robi z człowieka, a nie to, ile ona znaczy dla ciebie. Ale ty masz teraz już ponad pięćdziesiąt lat i myślę, że ciągle jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. To się nie zmienia, nawet w chwili śmierci.

– Zostaw moje życie mnie – odparł niecierpliwie. – Pozwól mi iść własną drogą.

– Proszę bardzo. Szpieguj dalej dla Rosji, ja nie będę ci w tym przeszkadzać!

– Ty, ty zarzucasz mi szpiegostwo? A ja zawsze myślałem, że co jak co, ale patriotką to na pewno nie można cię nazwać!

– To prawda. Ale mimo wszystko nie podoba mi się to, co robiłeś. Może dlatego, że mój ojciec i mój młodszy brat polegli za ten kraj w poprzedniej wojnie. A mój starszy brat zginął niedawno pod bombami. Jego syn natomiast zaginął w Rosji. A od męża mojej córki od czasu bitwy pod Stalingradem nie mieliśmy żadnej wiadomości. I kiedy myślę o tych wszystkich ludziach, którzy zginęli, to nie widzę w tym niczego heroicznego, może jedynie czuję coś w rodzaju... lojalności. Oni narażali swoje życie dla tej sprawy, którą ty usiłujesz zniszczyć. I nie oceniam tego, co zrobiłeś, jako złe czy dobre. To mnie nie porusza. Pierwszy raz w życiu, Maksymie, twoja osoba mnie nie porusza.

Maksym nie miał pojęcia, dlaczego poczuł gwałtowne ukłucie zazdrości – bo zazdrościć jej nie miał czego, a może to był jakiś rodzaj bólu i żalu, że ona się od niego oddała, i nagle, zupełnie jak dziecko, zapragnął ją zranić. Cynicznie, tak jak to czasem robił za młodu, odpowiedział:

– Ależ dobrze. Ty wykazałaś zrozumienie dla moich działań tylko wtedy, gdybym kazał sobie za to płacić. Nie rozumiesz czysto idealistycznych pobudek. Gdybym kasował za to



majątek, to byłabyś pełna uznania i padła przede mną na kolana z podziwu!

Tym razem mu się udało – dotknął jej starej rany, co robił, od kiedy się znali. Felicja nie odpowiedziała i zapanowało między nimi gorzkie, nienawistne milczenie, bez choćby odrobiny ufności, którą zawsze odczuwali wobec siebie w krytycznych momentach.

Stary lekarz rodziny Lombardów dał Hansowi zastrzyk „na nerwy”, jak to ujął, i właśnie się zbierał do odejścia. Zuzanna odprowadziła go do drzwi.

– Bardzo się martwię o mojego męża – rzekła. – Te ataki występują coraz częściej. Zupełnie nie wiem, co może być ich przyczyną.

Lekarz potrząsnął głową w zamyśleniu.

– Widzi pani, zgodnie z moim doświadczeniem często problemy psychiczne są powodem chorób tego rodzaju. Dolegliwości astmatyczne to właśnie niejako wyraz rozterek duchowych, które w ten sposób stwarzają sobie coś w rodzaju wentyla. Powinna pani ustalić, co tak bardzo gnębi pani męża. Gdyby o tym opowiedział, być może by mu to pomogło. Do widzenia!

Skinął głową i wyszedł z domu. Zuzanna zamyśliła się i wróciła do pokoju, w którym leżał jej mąż. Hans spojrzał na nią uważnie.

– Co on ci powiedział? Że umrę?

– Nonsens. Wcale nie umrzesz. – Zuzanna usiadła na skraju łóżka.

Hans podniósł rękę i pogładził ją po włosach, jak zwykle splecionych nad uszami w ślimaki.

– Co powiedział lekarz? – spytał cicho.

– On uważa, że masz jakieś bardzo poważne problemy psychiczne i to właśnie może być przyczyna tych ataków.

Unikał jej spojrzenia.

– Szarlataneria – wymamrotał.

– Jesteś pewien? Próbuję sobie przypomnieć, kiedy zacząłeś mieć te ataki. I myślę, że po wizycie w protektoracie. Później bardzo źle czułeś się w Polsce, a potem w Rosji. Nigdy mi nie opowiadałeś, co tam naprawdę robiłeś. To miało coś wspólnego z przesiedleniami mieszkających tam Żydów, prawda?

– Przestań, Zuzanno. Nie wygrzebuj tych starych historii!

Patrzyła na niego chłodno, nieprzejednanie, i trochę przypominała teraz swoją matkę.

– Lepiej, abyśmy je wygrzebali, niż żebyś się miał udusić, prawda? Hans, co ty naprawdę robiłeś w tych krajach? Co ty widziałeś? Co cię dziś przesładuje? I sprawia, że jesteś tak ciężko chory?

Nie odpowiedział. Zuzanna powtórzyła z naciskiem:

– Musisz mi o tym powiedzieć! Co tam się stało?

Milczał przez chwilę, a potem nagle krzyknął:

– Zamknij wreszcie gębę! Nie chcę o tym mówić! I przestań mnie o to wypytywać, do cholery! – Dygocząc i znów walcząc o każdy haust powietrza, dodał: – Nikt nie będzie o tym mówił, słyszysz?

Zuzanna wzięła w dłonie jego ręce.

– Będziesz musiał o tym powiedzieć, Hans, albo samo wspomnienie cię zabije. Nie masz wyboru.

Felicja paliła już trzeciego papierosa, kiedy Maksym oświadczył jej, że musi jechać na kilka dni do Berlina. Oboje milczeli przez dłuższą chwilę i próbowali uporządkować swoje sprzeczne uczucia, i zauważyli w końcu, że wrogość, która pojawiła się między nimi, gdzieś znikła. Zostały jakaś nieokreślona pustka i smutek.

– Do Berlina? – spytała Felicja. – A co znowu zamierzasz?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Znowu coś, o czym nie mogę mówić.

– A już zwłaszcza mnie. Jasne, wiem...

– Felicjo... Mimo wszystko to tobie ufam najbardziej. Nie ma nikogo, kto... – Urwał, zanim zdążył powiedzieć to, co przyszło mu na myśl. – Jeśli nie powiedzie mi się w Berlinie, czy będę mógł wrócić do ciebie? I jestem tu właściwie tylko po to, aby cię o to zapytać.

– A więc znów zamierzasz robić coś, za co możesz pójść do więzienia!

– Dziś za wszystko można iść do więzienia. Każdy z nas tańczy na skraju przepaści.

– Wiesz o tym, że zawsze możesz do mnie wrócić. Jedyne ryzyko stanowi ten mój cholerny zięć. Chyba nigdy się go nie pozbędę. Ale pomijając to, masz przed sobą sprawdzoną bojowniczkę ruchu oporu!

Maksym się uśmiechnął.

– Jeśli zważyć, że zapewne nigdy nawet nie przyszło ci do głowy, że będziesz bojowniczką ruchu oporu, to rzeczywiście zachowałeś się fantastycznie. Jesteś najodważniejszą i najbardziej lojalną kapitalistką, jaką znam.

– Dziękuję. – Twarz Felicji nawet nie drgnęła, ale ona sama pomyślała: „Najgorsze jest to, że on zawsze będzie potrafił za pomocą jednego krótkiego zdania i jednego uśmiechu zagoić wszystkie rany sprzed lat. I przypuszczalnie właśnie dlatego nigdy nie przestanę na niego czekać”.

– We wsi mieszkało wielu Żydów – powiedział Hans. Mówił tak cicho, że z trudem można było go zrozumieć. Nie patrzył na Zuzannę, lecz w okno, jak gdyby widział za nim coś więcej niż tylko skrawek błękitnego letniego nieba. – Wyciągnęliśmy ich z domów i zmusiliśmy, aby wsiedli do wielkich ciężarówek. Stali ściśnięci tam do niemożliwości, ale ciągle przyprowadzaliśmy kolejnych. W końcu dzieci wrzucaliśmy ponad głowami tych, którzy tam już stali. Mieliśmy tylko dwa samochody, a nie mogliśmy nikogo zostawić.

– Opowiadaj dalej – odezwała się Zuzanna, kiedy on umilkł na dłużej, jakby z wyczerpania.

– Był gorący letni dzień, taki jak dziś. Pojechaliśmy na pola. Ćwierkały świerszcze, wiał lekki wiatr, wiesz, taki, który sprawia, że szeleszczą liście drzew. Świat wyglądał... tak pięknie. Zatrzymaliśmy samochody i spędziliśmy ludzi... z naczep. Jakieś małe dziecko uduśiło się w tłumie i wisiało martwe w ramionach matki. Dwie młode dziewczyny dygotały ze strachu i tuliły się do siebie, a jakiś stary człowiek, który miał pewnie ponad dziewięćdziesiąt lat, zatoczył się i upadł. Nie reagował na kopniaki moich ludzi...

Urwał znowu, ale tym razem Zuzanna milczała. Siedziała nieruchomo i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których czuła suchość i pieczenie.

Hans odezwał się ponownie po dłuższej chwili:

– Młodszym i silniejszym mężczyznom wcisnęliśmy do rąk łopaty, a oni, popędzani przez moich ludzi, musieli wykopać rów o długości dziesięciu metrów. To okropna praca przy takim upale i suchej jak pieprz ziemi. Kiedy skończyli, kazaliśmy wszystkim się rozebrać i złożyć ubrania na stos. Oni chyba rozumieli, że nie było sensu stawiać oporu. Pierwszych piętnastu albo dwudziestu – już nie pamiętam dokładnie ilu – musiało się ustawić na skraju rowu. Moi ludzie wzięli karabiny do rąk i...

– Nie – powiedziała Zuzanna. Jej twarz zrobiła się biała jak ściana. – Nie mów dalej. Nie chcę tego słuchać.

Ale Hans poczuł już, że dzielenie się tą straszną opowieścią zaczęło sprawiać mu ulgę i uwalniało od cierpienia.

– Zabrzmiały salwy i ludzie spadli do rowu. I potem podeszli następni. Oni spadli na

zwłoki tych poprzednich. I znowu kolejni... wszystko szło bez zakłóceń. Nikt się nie bronił.

– Proszę – szeptała Zuzanna – przestań, proszę.

– Może rozumieli, że nie mieli żadnych szans. – Hans odwrócił się teraz w stronę Zuzanny i na nią popatrzył. Na jego skroniach pulsowały nabrzmiące żyły. – Ja nie strzelałem – powiedział. – Uwierz mi, ja nie strzelałem! Ja tylko stałem obok, ale nie strzeliłem ani razu!

– Nie krzycz tak głośno – powiedziała Zuzanna, ale te słowa zabrzmiały jak wypowiedziane mechanicznie. Siedziała nieruchomo, odrętwiała.

– Wieczorem tego dnia – mówił dalej Hans – miałem straszny atak astmy. Nie mogłem pozbyć się sprzed oczu tych obrazów, tego, co widziałem, mimo że próbowałem. I nagle poczułem się tak, jak gdyby ktoś powoli zasznurowywał mi krtań, i zacząłem walczyć o każdy haust powietrza. Znałem dolegliwości astmatyczne z dzieciństwa, ale tak silnego ataku nigdy nie miałem.

– A ty... – Zuzannie z trudem przychodziło składanie słów – ty nie pomyślałeś, że to miało związek z tą... tą masakrą?

Jeszcze przed kilkoma godzinami za słowo „masakra” skoczyłby jej do twarzy, teraz jednak zniósł je bez protestu.

– Może po prostu wypierałem to ze świadomości. Bo wówczas sens wszystkiego byłby podważony... Cały mój świat zacząłby się chwiać... Wszystko, co zamierzałem, kim chciałem być dla Führera. Wmawiałem sobie, że potrzebuję tylko kilku dni odpoczynku i potem będzie dobrze, ale...

– To się stało w Polsce. A potem pojechałeś do Rosji. I tam dalej robiliście to samo, prawda? Te rowy, rozstrzeliwania ludzi, tam było to samo. Znow i znow.

– Tak.

Umilkli oboje. Zuzanna chciała wstać i wyjść, ale wtedy Hans przerwał milczenie:

– Jestem słaby. Jestem tchórzem. Inni widzieli to samo co ja, ale się potem nie dusili. Tak bardzo chciałem być takim mężczyzną, jakich pragnął mieć Führer. Zawiodłem, Zuzanno. Nie patrz na mnie teraz, kiedy tu tak leżę! Gdyby ten przyjaciel twojej matki mnie nie znalazł, tobym zdechł tam w salonie. – W jego głosie pojawił się ton litości nad samym sobą. – A poza tym – dodał i widać było, że starał się zepchnąć przerażające obrazy gdzieś w głąb umysłu i odwrócić od nich uwagę – zauważyłem, że Alex Lombard słucha Radia Londyn. Będę musiał z nim poważnie porozmawiać i na niego wpłynąć.

Zuzanna była przekonana, że Alex skwituje takie próby co najwyżej pobłażliwym uśmiechem. Lombarda nie można było wystraszyć i nie mógłby tego dokonać nawet Hauptsturmführer SS Hans Velin.

– Te masowe egzekucje – spytała – ciągle jeszcze mają miejsce?

– Niewiele. Praktycznie wcale. Oni to teraz robią za pomocą cyklonu B.

– Co to jest?

– Gaz.

– Gaz?

– No tak, gaz. Ale o tym już nie musisz wiedzieć.

– Żydów morduje się za pomocą gazu?

– Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale to prawda? Oni są w taki sposób mordowani?

– Mordowani! Jak to brzmi! Nie myśl o tym za wiele, Zuzanno. Kiedyś lepiej będzie nic o tym nie wiedzieć. Będą nas tylko oczerniać i wszystko przekręcać i w każdym wypadku lepiej będzie nie mieć o niczym pojęcia. Naprawdę – pogładził ją uspokajającym gestem po rękę – zapomnij o tym wszystkim!

## 2.

19 lipca w czasie jednego z nalotów fabryka Lombarda została obrócona w perzynę. Felicja tego dnia spała dłużej niż zwykle, bo akurat z powodu kolejnych nalotów nie zmrzyła nocą oka, i to właśnie Alex, który wszedł do jej pokoju około dziewiątej, w możliwie najbardziej ostrożny sposób zawiadomił ją, że z fabryki wraz z należącymi do niej budynkami zostało tylko kilka zwęglonych murów.

– Trafili w sam środek. Mówią, że ze wszystkich okien buchały metrowe płomienie. W ogóle nie było co ratować.

– To nie może być, nie! Alex, powiedz, że to nieprawda! Cała fabryka? Nic nie zostało? – Felicja wyglądała jak przerażone dziecko, które nie może zrozumieć koszmarnego snu. – Ta fabryka była wszystkim, co posiadałam!

Alex miał już na końcu języka kpiącą uwagę, że Felicja otrzymała ją w spadku od Petera Liliencrona z powodów związanych z ustrojem, który niejako odpowiadał za te bombardowania. Zmilczał jednak, bo Felicja była tak przerażona, że zrobiło mu się jej żal.

– Masz jeszcze ten dom i...

– Ach, dom należy przecież do ciebie! A Lulinn także! Ja już w ogóle nic nie mam! Zostałam z niczym! Och, cholera, cholera, cholera! – W gniewie była tak niepohamowana jak młoda dziewczyna. – Z czego mam teraz żyć?

– Mogłabyś wyjść za mnie.

– Ach, nie opowiadaj bzdur. A poza tym jesteś żonaty!

– Dla ciebie mogę się zaraz rozwieść. Ale – Alex spoważniał – powinnaś dowiedzieć się także o czymś, co być może jest jeszcze gorsze niż strata twoich dóbr ziemskich. Spośród francuskich robotników, którzy byli zakwaterowani w barakach zaraz obok hal, zginęło dziesięciu, a trzech jest ciężko rannych. Uderzenie bomby spowodowało, że także ten budynek się zawalił, częściowo.

– Och... To okropne...

To jednak nawet w niewielkiej części nie wydało jej się tak okropne jak fakt, że straciła podstawę swojej egzystencji – i co do tego Alex się nie łudził. Przypomniał sobie, jak to było w 1929 roku, kiedy straciła wszystko z powodu krachu giełdowego, który zapoczątkował kryzys całej gospodarki światowej. Felicja wyglądała wtedy dokładnie tak samo jak teraz: była bardzo blada, nagle bardzo zmęczona, a on odczuwał takie samo wzruszenie... Na myśl przyszedł mu kot, zmęczony kot, który nie ma nikogo na świecie i który może znieść kolejne ciosy tylko dzięki nieustannej odwadze i wytrwałości.

– Miałam tyle zleceń od partii! Naprawdę, teraz mogłam zrobić najlepszy interes w swoim życiu. I akurat teraz musiało się stać coś takiego! Ach, co ja mówię: teraz! To zawsze byłoby straszne. W tej chwili mogę tylko iść sprzątać, żeby zarobić pieniądze!

– Felicjo, aż tak źle nie jest, uwierz mi, że nie jesteś jedyną osobą, która została z niczym. Ta wojna wkrótce się skończy, a wtedy cały naród niemiecki przepadnie w blasku i chwale. Zapanuje tu kompletny chaos i wszyscy znajdą się w punkcie zero. Będą musieli zacząć życie od początku, a jedną z wielu kobiet tego ludu będziesz ty. Ty tymczasem wszystko przekreślasz, Felicjo, a przecież nigdy się nie bałaś!

– Przekłęta bomba! Przekłęta wojna! Niczemu nie jestem winna, a muszę nadstawiać karku! Nawet nie wybierałam Hitlera!

– Wielu nie wybierało i musieli oddać w tej wojnie życie. Wszyscy za to płacimy.

– Ty nie. Ty się odpowiednio wcześniej ulotniłeś. Twoje miliony w Nowym Jorku są bezpieczne.

Alex roześmiał się w odpowiedzi.

– Kochanie, nie bądź zawistna. Wystarczająco często cię pytałem, czy chcesz jechać ze mną do Ameryki. Ale dla ciebie ważniejsze było, żeby tu zostać i odzyskać to, co ci odebrano. To zmierz się z tym teraz.

– Ta fabryka, o której teraz tak lekko i beztrąsko mówisz, należała kiedyś do ciebie.

– Ach, wiesz – Alex lekceważąco wzruszył ramionami – dawno już dałem sobie spokój ze wszystkim, co jest tutaj. Nie interesuje mnie już to, co kiedyś tu istniało czy miało miejsce. Jeśli nie...

Nie dokończył tego zdania. Właściwie w ogóle nie wiedział, co chciał powiedzieć.

Dzień później, 20 lipca, przeprowadzono nieudany zamach na Hitlera.

– Ci konspiratorzy to nędzna klika pozbawionych sumienia, głupich i zbrodniczych oficerów! – ryczał do mikrofonu Führer, co poprzez radio docierało do wszystkich zakątków Rzeszy. – I owa sitwa podłych elementów będzie bezlitośnie wytrzebiona!

Belle słuchała tego w małym, nędznym mieszkaniu, które należało do niej i Maxa. W pokoju obok płakała córeczka Nikoli, która teraz miała już prawie rok. Dziecko marudziło całymi nocami, bo właśnie ząbkowało, ale ponieważ z powodu nocnych nalotów i tak nie można było spać, nie miało to aż takiego znaczenia. Nikola była zobowiązana do służby w fabryce zbrojeniowej i udawała się tam każdego ranka z takim wyrazem twarzy, jak gdyby szła na ścieżkę. Anna musiała w południe odbierać siostrzyczkę ze żłobka i zajmować się nią przez pozostałą część dnia. Wykonywała to zadanie, nie kryjąc swojej wściekłości. Także teraz weszła do pokoju, klnąc.

– Cholera, chciałabym wiedzieć, dlaczego...

– Ćśś! – Belle machnęła ręką. – Führer mówi właśnie o nieudanym zamachu.

Anny to nie interesowało. Jej życie kręciło się teraz wokół „zasranych pieluszek głupiej siostry”, jak miała zwyczaj mawiać, i rzeczywiście zamach nie mógł stanowić treści życia młodej, prawie piętnastoletniej dziewczyny.

Belle puściła mimo uszu nazwiska: Stauffenberg, Beck, Olbricht i Haeffen. Od roku nie miała żadnej wiadomości od Andreeasa, a od czasu bitwy pod Stalingradem Max nie dawał znaku życia. I jeszcze ta nielubiana praca konduktorki tramwajowej. Ponadto funkcjonowanie w pięć osób w tym okropnym mieszkaniu było istnym koszmarem. I to Hitler właśnie wpędził cały naród w ten koszmar. Gdyby to jego bomba rozerwała na tysiąc kawałków! Belle, której nigdy nie poruszało żadne wydarzenie polityczne, nagle zaczęła płakać, bo uświadomiła sobie rozmiar znaczenia tej zaprzepaszczonej szansy.

Martin Elias nawet nie był w stanie płakać, kiedy siedział na dole w swoim mrocznym lochu przed odbiornikiem radiowym. Spiker podawał właśnie wyraźnie zrozpaczonym głosem wszystkie szczegóły „obrzydliwej zbrodni zdrajców z 20 lipca. To opatrność uratowała Führera. Gdyby torby z materiałem wybuchowym nie postawiono przypadkowo w innym miejscu, ceną byłoby życie Adolfa Hitlera”.

Opatrność... Martin popatrzył na małą fotografię w srebrnej ramce, z której ciemne oczy Sary obserwowały go w milczeniu. A jaką drogą poszła ona, Sara? Czy zakończenie tego terroru latem uratowałyby jej życie? Jęknął i ukrył twarz w dłoniach. On żył. Ten diabeł ciągle żył.

Martin drgnął wystraszony, kiedy czyjeś palce ostrożnie pogładziły jego włosy. Kasandra Wolff zeszła do niego do piwnicy. Domyślała się, co musiało się z nim dziać w takiej chwili.

– On jest śmiertelny jak my wszyscy – powiedziała cicho. – I to nie będzie trwało wiecznie.

– Nie będzie trwało wiecznie... Ale co to da? To, co najlepsze, zostało mi już odebrane... I nikt nie pociąga go do odpowiedzialności, nawet Bóg!

Kasandra Wolff dawno już przestała wierzyć w Boga, ale teraz milczała. Przed wszystkim jednak przestała wierzyć w sprawiedliwość, lecz tym bardziej nie chciała tego mówić. Martin Elias był teraz niemal u kresu sił i ona musiała dodać mu otuchy, powiedziała więc:

– Adolf Hitler i jego sprzymierzeńcy będą musieli odpowiedzieć za swoje czyny, Martinie. Staną kiedyś przed jakąś władzą, choć nie musi to nastąpić za naszego życia. Rozumie pan? Ktokolwiek wspiera ten świat i jego prawa, nie jest na tyle łaskawy i nie pozwala nam zaznać jego sprawiedliwości. Ale ten ktoś zmusza nas mimo wszystko, abysmy w to wierzyli, choć co rusz musimy patrzeć na takie rzeczy, które zaprzeczają istnieniu sprawiedliwości. Martinie, proszę, niechże pan w to wierzy na przekór wszystkiemu, bo inaczej nie będzie pan w stanie przetrwać. – Ją samą zaskoczyło przekonanie, z jakim o tym mówiła. Przez chwilę zastanawiała się, czy chciała przekonać jego, czy też tak naprawdę siebie samą.

Tom Wolff miał właśnie za sobą kolejną niemiłą awanturę, których nie szczędziła mu jego kochanka, kiedy usłyszał wiadomość w radiu. Lulu zrobiła mu w południe scenę zazdrości, której nie mógł zapomnieć. Jeszcze w domu miał w uszach jej przenikliwe wrzaski.

– Wykończę cię, Tomie Wolffie! Zobacysz, wykończę cię! Zrujnuję cię i będziesz żałował, że mnie tak traktowałeś!

„Mnie zrujnować?“, pomyślał Tom. „Czy ona jest w stanie to zrobić? Ogarnęła ją nienawiść...“ Spróbował o tym nie myśleć i wsłuchał się w to, co mówił spiker w radiu.

Jutrzejszego wieczoru chciał wydać małe przyjęcie dla kilku ludzi z partii. Ciągłe jeszcze dobrze było utrzymywać z nimi dobre kontakty, tylko należało pamiętać, by odpowiednio wcześniej to zakończyć! Właściwie mógł zaprosić także Felicję i Alexa Lombarda. Z jakiegoś powodu czuł się bardziej pewny siebie, kiedy widział tę kobietę. Już jakiś czas temu rozeszły się wieści o tym, że jej fabryka padła ofiarą nalotu. Interesujące byłoby zobaczyć, jak ona zniosła ten cios. A ponieważ Felicja zawsze fascynowała Toma, ta myśl teraz bardzo go ożywiła. Uznał, że przyjęcie z okazji „uczczenia opatrności, która uratowała Führera” to znakomity pomysł.

Rodzina Felicji mieszkająca w Lulinie także usłyszała wiadomość o zamachu, ale nikt nie wiedział za bardzo, jak na nią zareagować. Ciotka Modesta wierzyła w Führera i wkrótce miała mu podarować szóstego potomka, ale też panicznie obawiała się Rosjan. A ponieważ Wehrmacht na wschodzie cofał się krok za krokiem – a za nim tak samo posuwała się do przodu armia rosyjska – Modesta coraz wyraźniej uświadamiała sobie eksponowane położenie Prus Wschodnich. Czy śmierć Hitlera oznaczałaby koniec wojny i odwróciła niebezpieczeństwo grożące im ze strony Związku Radzieckiego? Tego Modesta nie wiedziała, nie ważyła się też głośno o tym rozmawiać, zwłaszcza z Josephem. Ale tego dnia i tak musiała zająć się czymś innym: Elza Degnelly czuła się coraz gorzej. Nie wyzdrowiała do końca po zapaleniu płuc, które złapała wiosną, i teraz, w czasie tych upalnych letnich dni, wróciła jej gorączka, a z nią postępujące osłabienie. Lekarz, którego wzywano codziennie, potrząsał w zamyśleniu głową. I tego dnia, 20 lipca, Modesta i Joseph zdecydowali się wysłać telegram do Felicji i zawiadomić ją o złym stanie zdrowia jej matki.

– Przynajmniej spełnimy nasz obowiązek – powiedziała Modesta.

10 lipca, Lozanna. Małe mieszkanie w starej części miasta, dwa pokoje, z okien widok na kręte uliczki. Andreas stał przy oknie i upił łyk szampana z wysokiego kieliszka. Cały rok na wygnaniu... Jakże często dziękował instynktowi, że zdeponował swoje pieniądze w Szwajcarii, a nie gdzieś indziej za granicą. Dzięki temu mógł przynajmniej żyć bez trosk i nawet starczało na szampana, ale Szwajcaria mu nie odpowiadała i Andreas czasami kłął jak woźnica, kiedy ogarniała go przemożna tęsknota za Berlinem. Dlaczego, do diabła, Hitler musiał przeżyć

zamach? Z jakimi złymi duchami sprzymierzył się ten człowiek?

Andreas wypił szampana do końca, przez chwilę nasłuchiwał cichnących odgłosów wieczornego życia ulicy, a potem odwrócił się w stronę młodej kobiety, która siedziała w kącie kanapy i z pewnym znudzeniem przeglądała jakieś czasopismo.

– Dokąd pójdziemy dziś wieczór? – spytała.

Miała na sobie elegancką białą suknię oraz sandały na wysokich obcasach, w których potem znów skręci sobie nogę. Andreasowi jej lekko zrzędlawy ton głosu z początku wydawał się bardzo seksowny, ale teraz już działał mu na nerwy. Spotykał się z Jaqueline z St. Gallen tylko z powodu jej rzucającej się w oczy atrakcyjności, ale teraz doszedł do wniosku, że jej nadałane różowe usta, gładkie blond włosy i niemożliwie długie paznokcie są właściwie nieciekawe. A poza tym jego skłonność do powierzchownej zabawy z najgłupszymi kobietami minęła, od kiedy poznał Belle. Ta berlińska dziewczyna ze wschodniopruskimi wspomnieniami i melancholią w oczach sprawiła, że nawet nabrał upodobania do monogamii. W gruncie rzeczy był jej wierny. Nawet wtedy, kiedy sypiał z Jaqueline, robił to niechętnie i bez przyjemności. Była jedynie czymś w rodzaju środka zaradczego przeciwko samotności. Wypatrywał z utęsknieniem końca swojego przymusowego wygnania i nie mógł darować opatrności, że najwyraźniej wyposażyła Führera w dziewięć żywotów.

– Chodź – powiedział do Jaqueline. – Pójdziemy gdzieś, gdzie można się upić. Dziś wieczór chciałbym zapomnieć o wszystkim. Życie jest takie parszywe.

Dziewczyna wstała posłusznie i podreptała za nim.

Tej samej nocy Marakow wracał z Berlina do Monachium. Pociąg pędził po szynach, stukając rytmicznie. Oświetlony przedział, w którym Maksym siedział sam, odbijał się w okiennej szybie jak w lustrze i mężczyzna widział w niej też swoją skupioną twarz. Jej rysy były tak wyostrome i wynędzniałe, że w jego odczuciu choćby z tego powodu można było nabrać podejrzeń i go aresztować. Maksym nie mógł przewyciężyć przerażenia i konsternacji po nieudanym zamachu, mimo że bardzo starał się ukryć przynajmniej szok. Co się stało z pozostałymi zamachowcami? Gdzie teraz był Stauffenberg, a gdzie generał Beck? Maksym nie słyszał już kolejnych wiadomości, poza tą przekazaną telefonicznie przez jednego z towarzyszy tuż przed szóstą:

– Hitler żyje.

– Co takiego!?

– To pewne. Hitler nie zginął. Generał Fromm zarządził, aby aresztowano wszystkich uczestników zamachu.

Maksym miał wtedy wrażenie, że nogi powinny się pod nim ugiąć. Cichy głos w słuchawce telefonicznej mówił dalej:

– Uciekaj! Opuść Berlin jeszcze dziś wieczór! Rozumiesz?

Po tych słowach połączenie zostało przerwane. Maksym mechanicznymi ruchami spakował parę swoich drobiazgów i opuścił nędzny hotel w północnej części Berlina, w którym zamieszkał przed dwoma dniami. Wprawdzie Marakow był jedynie trybikiem w maszynie ruchu oporu, ale mimo to nie lekcewał niebezpieczeństwa, w którym się znalazł. Teraz gigantyczna maszyna policyjna miała ruszyć z całą energią, aby wytropić i ująć każdego, kto miał coś wspólnego z tą historią. I pojawi się też mnóstwo doniesień i zeznań wymuszonych torturami! Towarzysz przy telefonie miał rację. Berliński grunt w tej chwili palił się Maksymowi pod nogami i to o wiele bardziej niż w Monachium.

A w Monachium była Felicja. Marakow nigdy nie przyznałby się do tego przed sobą samym, ale tęsknił za nią, i to właśnie w takim momencie jak ten. W miarę upływu lat coraz trudniej przychodziło mu uporać się z takimi ciosami i tym bliższa i ważniejsza stawała się

dawna przyjaciółka z młodości. Ale też myśl, że ona mogłaby być kimś więcej niż powierniczką, blokował odpowiednio wcześnie, zanim zdążyła przybrać wyraźne kształty.



### 3.

Głównym tematem rozmów podczas przyjęcia z okazji „uczczenia opatrności, która uratowała Führera” była sprawa zbombardowania fabryki Felicji i związanego z tym dramatu. Towarzysz partyjny Becker znów zatopił wzrok w dekolcie kobiety i głośno wyrażał swój żal, że stracił tak wspaniałą, kompetentną i atrakcyjną partnerkę w interesach.

– Doprawdy, droga pani Lavergne, to wielka ofiara, którą musieliśmy ponieść dla Rzeszy i Führera!

– My? – spytała agresywnie Felicja. – Tę ofiarę poniosłam przede wszystkim ja. I z całą pewnością nie zrobiłam tego z chęcią.

Przy stole na chwilę zapanowało pełne konsternacji milczenie. Przyjęcie zaszczycił swą obecnością sam gauleiter, a obok niego siedziało kilka równie ważnych osobistości. Tom Wolff tronował u szczytu stołu i napawał się widokiem licznych prominentów w swoim domu. Obok niego siedziała jego żona Kat ubrana w czarną suknię, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, jak zwykle piękna, blada i nieprzystępna. Jakoś udało jej się przygotować obfity poczęstunek, splądrowała też krzaki róż w ogrodzie i w efekcie na stole stały kolorowe, piękne bukiety, a między nimi palące się świece.

„Straszna rozrzutność i marnotrawstwo”, pomyślała Felicja i stwierdziła też, choć co prawda z pewną dozą zawiści, że Kasandra z czasem przyswoiła sobie jakąś niewzruszoność czy też obojętność, co pozwalało jej być ponad tym wszystkim, co działo się w życiu. Dla niej wojna nie istniała, mimo że dookoła padały bomby, a żołnierze wykrwawiali się na polach bitew. I nawet jeśli Rzesza Niemiecka rozleci się na kawałki, to Kat nadal będzie siedzieć przy stole wyprostowana i milcząca i nie będzie mieć dla niej znaczenia, czy zje jakąś wodnistą zupę ubrana w starą szmatę.

– I właśnie teraz, ponieważ ojczyzna wymaga jeszcze większych ofiar, mamy ogromne trudności z uporaniem się z tą sytuacją – stwierdził z pewnym zakłopotaniem gauleiter. – Ale ostatecznie w naszych sercach pojawi się radość. Nic nie dostaje się za darmo.

– Właśnie – dodała Felicja. – Nic nie dostaje się za darmo. Dokładnie o tym nie mogę przestać myśleć, kiedy zastanawiam się, z czego mam teraz żyć!

– Ależ, moja droga! – powiedział Becker, robiąc przy tym obrażoną minę.

Alex uśmiechał się od ucha do ucha, ale Felicja nie szukała jego wzroku. Przez gąszcz kwiatów i świec starała się dostrzec Maksyma, który siedział naprzeciw niej i wyglądał tak, jak gdyby ktoś ciężkim przedmiotem uderzył go w głowę. Sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego.

„Jaki ty jesteś blady, Maksymie”, przemknęło jej przez głowę, „i jak zamglone są twoje oczy. Rozboli cię głowa, jeśli się nie rozluźnisz. Twoje zaciśnięte usta to cienka, biała linia. Uśmiechnij się albo powiedz coś!”.

Ale jej wypowiedziane w myślach słowa oczywiście do niego nie dotarły. Maksym wpatrywał się w swój talerz i od pół godziny zabierał się do tego, aby wreszcie wsunąć do ust kawałek ziemniaka i wypić kilka łyków wina.

Felicja skłoniła go, aby poszedł z nią na to przyjęcie, choć teraz dopadły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła. Kiedy przyjechał z Berlina, blady jak ściana i kompletnie skonsternowany, domyśliła się, że musiał być wplątany w zamach Stauffenberga.

– Felicjo, ja w czasie ostatnich dni byłem tutaj, w Monachium, rozumiesz? – powiedział z naciskiem. – Dlatego możesz przysiąc, że wczoraj byłem u ciebie w fabryce!

– Od przedostatniej nocy nie ma już fabryki. Mieliśmy wyjątkowo ciężki nalot. Nie pozostał kamień na kamieniu.

– Co takiego?!

Śmieszne, jak bardzo bolało ją samo mówienie o tym. W wyrazie jego twarzy dostrzegła swoje własne przerażenie.

– Tak! – odparła gwałtownie. – Wszystko zniszczone. Nie mogliśmy więc być tam widziani. Ale jestem gotowa przysiąc, że byłam u ciebie w mieszkaniu. Przecież oficjalnie uchodzimy za parę kochanków.

– Felicjo... to straszne, co stało się z twoją fabryką...

Och, Boże, oby on teraz nie próbował jej pocieszać! Nie chciała tego, a już zwłaszcza z jego strony. Jeśli powie jeszcze, jak bardzo jest mu jej żal, to rzeczywiście się rozplacze i nieprędko przestanie.

– Jakoś sobie poradzę, Maksymie, nie martw się. Ale powinieneś iść ze mną i Alexem do Toma Wolffa. On wydaje małe przyjęcie dla kilku osób z partii i to może ci tylko wyjść na korzyść, jeśli się tam pokażesz. Zastanów się.

Oczywiście Maksym odrzucił tę propozycję, bo ostatnie, czego pragnął, to spędzić wieczór z jakimiś ważnymi partyjniakami, ale Felicja naciskała tak bardzo, że w końcu poszedł.

„Teraz zachowuje się wręcz zdradziecko”, pomyślała.

Maksym z nieobecną miną grzebał widelcem w jedzeniu na talerzu i patrzył ponuro w obrus, jak gdyby tam można było się czegoś dopatrzeć. Sprawiał wrażenie kogoś, kto jest niesłuchanie daleko i bije się z myślami. Felicja miała nadzieję, że wszyscy złożą to na karb wstrząsu po utracie źródła dochodu, skoro Maksym był jej partnerem w interesach.

Po jej niezręcznej odpowiedzi na uwagę gauleitera przy stole zapanowało kłopotliwe milczenie. Wszyscy skoncentrowali się na jedzeniu i tylko Becker co rusz przesunął krzesło, na którym siedział. Próbował pod stołem dotknąć nogi Felicji, nie mógł jej jednak wymacać. Miał nadzieję, że teraz, kiedy znalazła się w tak trudnej sytuacji, jego szanse wzrosły. Chciał jej powiedzieć, co do niej czuł, i chciał też dać jej do zrozumienia, że widzi ich już w urzędzie stanu cywilnego. Przecież to on, jako mężczyzna, musiał zrobić pierwszy krok.

Lulu wypila pół butelki czerwonego wina oraz kilka kieliszków wódki i najpierw zaczęła popłakiwać i rozczulać się nad sobą, ale w miarę upływu czasu wzbierała w niej agresja. Swoje robił też widok w lustrze, który miała przed oczami: patrzyła na nią stamtąd stara kobieta i temu nie dawało się w żaden sposób zaprzeczyć. Stara kobieta... Alkohol, który zwykle łagodził otaczającą ją rzeczywistość, tym razem zadziałał odwrotnie, co miało okazać się fatalne w skutkach. Bo Lulu widziała teraz świat wyjątkowo ostro i wyraźnie. Czy jej włosy rzeczywiście były takie rzadkie i wystrzępione? Faktycznie miała tak głębokie zmarszczki i tak wyraźne cienie pod oczami? Te obwisłe policzki i podbródek, pomarszczona szyja – czy to wszystko należało do niej? Lulu zdjęła suknię i bezlitośnie przyjrzała się fałdom tłuszczu na brzuchu. Nawet ciemne, mocno kręcone włosy między udami teraz wydały jej się raczej siwe i dziwnie wysuszone. Poczula bezsilną wściekłość i w nagłym odruchu chwyciła stojącą na stole opróżnioną do połowy butelkę wódki i cisnęła ją w lustro. Lustro pokryło się siatką pęknięć. Obraz starej kobiety znikł.

Tom Wolff. Chcąc nie chcąc, musiała o nim myśleć. Nagle to jego osoba wydała jej się punktem wyjścia wszystkich kłopotów. Bo to on właśnie dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że jej nie pragnął, i co rusz uzmysławiał jej, że jest nieatrakcyjna i stara. Kazał prosić się o odrobinę czułości, a kiedy w końcu raczył ją wziąć w ramiona, to w zasadzie nie ukrywał swojej niechęci. Jedyne, czego pragnął, to zobaczyć swoje nazwisko na pierwszym miejscu w jej testamencie. Lulu fuknęła gniewnie. Nie powinien się łudzić. W tej chwili rzeczywiście był jedynym

spadkobiercą firmy Müllers Spielzeug, ale ona postanowiła jutro udać się do notariusza i kazać zmienić swoją ostatnią wolę. Dzieło życia jej zmarłego męża powinna raczej otrzymać jakaś dobroczynna fundacja. Tom Wolff nie dostanie ani pół akcji.

Lulu poczuła się nieco lepiej, wymyśliwszy ten plan. Włożyła z powrotem suknię, gładko zaczesła włosy i nałożyła jasnoblonde perukę z mnóstwem loczków, co wyglądało nieco groteskowo w zestawieniu z jej pomarszczoną twarzą. Drżącymi rękoma – alkohol działał coraz silniej – wytuszczyła grubo swoje cienkie rzęsy i pomalowała usta ciemnoczerwoną szminką. A ponieważ w popękanej lustrze nie widziała dobrze swojego odbicia, rozmazała szminkę poza kontury warg. Teraz jeszcze tylko biżuteria... Lulu chciała się chwalić, olśniewać. Perły, brylanty, szmaragdy, wszystko to, co dostała z okazji ślubu, złote łańcuszki, wysadzana diamentami broszka jej babki... Kobieta miała na sobie połowę swojego majątku. I była w osobliwym nastroju: jej humor się poprawił, kiedy obwiesiła się wszystkimi dostępnymi błyskotkami, ale ciągle pulsowała w niej wściekłość na Toma. Nie zamierzała teraz siedzieć w domu sama, kiedy on bawił się na przyjęciu. Postanowiła tam teraz pójść, pijana i odstawiona. Tom miał się przekonać, że nie uda mu się tak łatwo przepędzić jej z jego życia. Nie była przecież marionetką, która tańczyła zgodnie z czyjąś wolą.

Kiedy Lulu zjawiała się w domu Toma, goście skończyli już jeść i wstali od stołu. Podawano kawę i likier, a Wolff częstował mężczyzn cygarami. Wszyscy rozproszyli się między jadalnię a salonem, od czasu do czasu ktoś wychodził na taras, aby odetchnąć ciepłym letnim powietrzem. Powoli zapadał zmrok. Kat poleciła zapalić świece osadzone na świecznikach, po czym usiadła za fortepianem i zagrała kilka melancholijnych utworów. Jej brat Alex oparł się o instrument i popatrzył na nią.

– Zagraj coś wesołego, Kat – poprosił. – Życie nie jest aż tak ponure.

Kat nie odpowiedziała. Z ogrodu aż tutaj docierał gromki śmiech gauleitera.

– Alianci wiedzą, że Tom Wolff wydaje dziś dla nas przyjęcie. I wobec tego nie ważą się zrobić nalotu na Monachium! – Usłyszeli wypowiedziane przez niego słowa.

– Prostak – zamruczał Alex.

Obok fortepianu powoli przeszedł zatopiony w myślach Maksym, trzymając w ręku kieliszek koniaku.

– Gdzie jest Felicja, monsieur Marakow? – spytał Alex.

Maksym drgnął, jak wystraszony.

– Ona wyszła gdzieś z tym Beckerem, czy jak on się nazywa.

– Ach! – powiedział Alex złośliwie i wziął do ręki kieliszek z koniakiem. – A więc na zdrowie, Maksymie! Za Felicję!

Marakow bez słowa poszedł dalej. Kat ciągle grała coś smutnego. Alex wypił koniak jednym haustem. Doprawdy, świetne przyjęcie! Powoli zaczynał mieć ochotę się upić.

Felicja rzeczywiście siedziała z Beckerem w bibliotece Toma i złościła się na siebie, że była na tyle głupia, aby tu z nim przyjść. On twierdził, że chciał omówić z nią „coś związanego z interesami”, ale okazało się, że chodziło o bardzo prywatne kwestie.

– Z pewnością pani zauważyła, że nie jest mi pani obojętna, droga Felicjo – zaczął Becker. – Od czasu naszego pierwszego spotkania bardzo panią cenię. I nie mógł tego zmienić nawet fakt, że... że pani sposób życia jest dość niekonwencjonalny... – Becker odkasznął.

Wyraźnie nawiązywał do tego, że mieszkała pod jednym dachem ze swoim byłym mężem i jeszcze w dodatku pozwoliła sobie na kochanka. I zapewne sam sobie wydawał się wielkoduszny i nowoczesny, bo nie robił z tego dramatu. Felicja popatrzyła na jego tłustą twarz, zaczerwioną od gorąca i wina, i zastanawiała się, dlaczego często najmniej atrakcyjni mężczyźni wierzą, że zniewalają kobiety.

Podniosła się.

– Panie Becker...

– Wiem – przerwał jej gwałtownie. – Jest pani teraz skonsternowana. To musi być dla pani zaskakujące. Chociaż... czuła pani przecież czasami, że między nami jest coś więcej niż tylko czysto zawodowa relacja, prawda?

– Ja... teraz... – Felicja gorączkowo myślała, jak mu odmówić i za bardzo go przy tym nie zirytować. W swojej sytuacji nie mogła sobie pozwolić na wrogów.

On chciał ująć ją za ręce, ale ona natychmiast je cofnęła. Stali tak przez chwilę naprzeciwko siebie, on zakłopotany, a ona wykończona nerwowo. I w tym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi.

– Ktoś dzwoni – rzekła Felicja i odwróciła się, żeby wyjść.

Becker zastąpił jej drogę.

– Nie, teraz pani nie puszcę – powiedział zachrypniętym głosem i sam sobie wydał się bardzo męski.

Do drzwi dzwoniła Lulu i kiedy pokojówka otworzyła, usiłowała przemknąć obok niej, mimo że ta próbowała ją zatrzymać.

– Nie może przecież pani wejść tak po prostu! Pan Wolff ma gości. Proszę posłuchać...

Lulu odwróciła się gwałtownie, a jej biżuteria zabrzęczała. Płynąca od niej woń alkoholu była aż nadto wyraźna.

– Moje drogie dziecko, jeśli nie chce pani stracić swojego miejsca pracy, to radzę, aby odnosiła się pani do mnie uprzejmie. Jestem szefową Toma Wolffa i mogę go odwiedzać, kiedy tylko zechcę. Rozumie pani?

Powiedziawszy to, otworzyła gwałtownie drzwi do salonu i stanęła w progu. Gościom nagle ukazała się przesadnie wymalowana kobieta w blond peruce, obwieszona przeróżną biżuterią. Wszyscy umilkli zaskoczeni. Kat także przestała grać, a Tom zrobił się błąd jak ściana.

– Lulu! A co ty tu robisz?

W odpowiedzi kobieta rozciągnęła usta z groteskowo rozmazaną szminką w szerokim uśmiechu.

– Drogi Tomie, całkiem zapomniałeś przysłać mi zaproszenie na dzisiejszy wieczór. A ponieważ uważam to jedynie za jakieś głupie niedopatrzenie, postanowiłam, że po prostu tu wpadnę! – Mówiła z trudem, bełkotliwie, co przeraziło Toma. Kiedy Lulu była pijana, to nie miała żadnych zahamowań i nie zważała na nic. – Czy nie zechcesz mnie przedstawić? – spytała.

– Przecież i tak wszyscy cię znają – odparł udręczony mężczyzna. – Jesteś słynną Lulu z firmy Müllers Spielzeug!

Rzeczywiście nie była osobą nieznaną obecnym tu gościom, widziano ją nieraz na przeróżnych przyjęciach i imprezach. A poza tym w całym mieście wiadano, że romansowała z Tomem, i trudno było o bardziej kłopotliwą i nieprzyjemną scenę niż ta, która właśnie miała miejsce. Jedynie Kat jeszcze nigdy nie zetknęła się osobiście z Lulu. Wstała i wyszła zza fortepianu. Zestawienie jej samej w eleganckiej czarnej sukni z kiczowato odstawioną Lulu było wyjątkowo jaskrawe i szokujące. Tomowi nie pozostało nic innego, jak przedstawić sobie obie kobiety.

– Lulu Müller. Moja żona, Kasandra Wolff.

Lulu przyjrzała się Kat zmrużonymi oczami.

– Ach, to jest piękna Kasandra! Masz rację, Tom, ona jest rzeczywiście bardzo wytworną kobietą. Szlachetną i nieprzystępną. Ale czy to jest ktoś właściwy dla mężczyzny takiego jak ty? Jesteś przyzwyczajony do nieco mniej wyrafinowanych uciech, jak mi się wydaje!

Gauleiter zachichotał histerycznie. Alex podszedł do Kat i chciał jej podać ramię, ale ona stała wyprostowana i powiedziała wyraźnie:

– Czy mogę pani zaoferować coś do picia, pani Müller?

Lulu nienawidziła, kiedy ktoś zwracał się do niej per „pani Müller”, i nie do końca zdawała sobie sprawę, że w zestawieniu z Kat nie wygląda zbyt korzystnie. Jej ucieczką było więc wyjątkowo agresywne zachowanie.

– Jakaż ona jest elegancka, prawda, Tom? Czy mogę pani zaoferować coś do picia? Perfekcyjna gospodyni! No jasne, w końcu przecież jest pani wysoko urodzoną córką rodziny Lombardów, moje dziecko! Dobre wychowanie opłaca się w życiu!

– Niestety, jeśli chodzi o ciebie, Lulu, to raczej trudno jest mówić o dobrym wychowaniu – oświadczył Tom, z trudem panując nad sobą.

– Och! Czyż nie jestem wystarczająco subtelna? Może to, że nie zostałam tu zaproszona, wcale nie wynikało z niedopatrzenia? Jesteś zdania, że ze mną nie można się nigdzie pokazywać?

– Lulu, porozmawiamy o tym innym razem, ale proszę... – Jego uspokajający ton głosu jeszcze bardziej ją rozgniewał i nagle wrzasnęła:

– Jesteś wstrętną, brudną świnią, Tomie Wolffie! Przekłętą, brudną świnią! Ja jestem dla ciebie dobra, kiedy szukasz dziwki, którą można pieprzyć, ale poza tym nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia! Zawsze mnie tylko wykorzystywałś! Ty...

– Lulu, natychmiast zamknij buzię! – powiedział Tom drżącym głosem.

– Alex – odezwała się Kat – czy mógłbyś mnie odprowadzić do mojego pokoju?

Jej brat skinął głową, ujął ją za rękę i wyszli z salonu.

Głos Lulu przechodził niemal w falset:

– Widzieliście to? Widzieliście tę zasną, pyszałkową damulkę? Zgrywa się, udaje subtelną damę, a jej mąż zdradza ją od lat! Tak, on jest u mnie cztery razy w tygodniu! Cztery noce z rzędu wślizguje się do mojego łóżka! Ha! – Po jej policzkach płynęły teraz łzy, ale Lulu nie przestawała skrzeczeć: – Przyjrzyjcie mu się! Wielki Tom Wolff! Wiecie, czego on chce? On chce mieć fabrykę Lulu! Tak, coś takiego mu właśnie pachnie, i to od samego początku! Za to byłby skłonny oddać wszystko! I nawet usiłuje być wspaniałym kochankiem, chociaż go to niemal przerasta. Możecie go sobie wyobrazić u mnie w łóżku? Takiego tłustego, słabego i starego chłopca? Bez wigoru! Przy najmniejszym wysiłku sapie jak lokomotywa! Mógłbyś dostać ataku serca, Tom. To, w co się wdajesz, to cholernie niebezpieczna zabawa! Ale czego się nie robi, żeby coś odziedziczyć! Wtedy każdy woli udawać jurnego byka, niż pozwolić, by mu się coś wymknęło z rąk, prawda, Tom? – Lulu zaśmiała się przenikliwie.

Maksym odstawił z brzękiem swój kieliszek i wyszedł z pokoju. Sceny takie jak ta były dla niego zbyt niesmaczne. Wolał na kilka minut zamknąć się w toalecie i poczekać, aż sytuacja się uspokoi. Pozostali goście jednak zamienili się niemal w przysłowiowe słupy soli. Tom, który przez wysokie ciśnienie krwi był zawsze czerwony na twarzy, teraz przerażająco zbladł.

Lulu, uśmiechając się z zadowoleniem, rzuciła swoją torebkę na stół i osunęła się w wygodny fotel.

– Teraz – powiedziała – rzeczywiście czegoś bym się napiła.

Jej bezczelność zaskoczyła wszystkich. Wszystkich, oprócz Toma. Bo w tym momencie obudziło się w nim życie. Jednym skokiem znalazł się przy Lulu i goście pomyśleli, że chce jej wymierzyć mocny cios, ale on chwycił ją za ramię, poderwał z fotela i zawlókł do drzwi.

– Wynoś się! Wynoś się stąd i nigdy się tu nie pokazuj! Rozumiesz? Nie chcę cię nigdy więcej widzieć, nie pokazuj mi się na oczy! I sram na tę twoją fabrykę zabawek! To ja rozkręciłem to wszystko, bez tego dawno byś zbankrutowała, ale możesz zatrzymać całe pieniądze, które dzięki mnie zarobiłaś. Rób z tym, co chcesz, a ja ci mówię, że jest mi całkiem

obojętne, komu przekażesz ten cały kram, możesz go nawet wywieźć na Księżyc, ale zostaw mnie w spokoju, zostaw mnie tylko w spokoju!

Lulu zaczęła głośno krzyczeć, ale nie miała szans obronić się przed rozszalałym Tomem, który błyskawicznie wypchnął ją za drzwi i zamknął je z głośnym trzaskiem, po czym oparł się o nie, jak gdyby chcąc uniemożliwić jej ponowne wejście. A potem uniósł głowę i po kolei popatrzył na każdego ze swoich gości.

– Proszę wybaczyć – powiedział, po czym osunął się na najbliższy fotel i wytarł chustką czoło. Jego twarz przybrała teraz wręcz ciemnoczerwoną barwę. Niemal dostał zawrotów głowy, przypuszczał, że ciśnienie krwi gwałtownie mu skoczyło.

W czasie rozgrywającej się w salonie sceny pokojówka starała się trzymać jak najdalej od wejścia, kiedy więc oszalała z wściekłości Lulu znalazła się za drzwiami salonu, nie było tam nikogo, kto miałby odprowadzić ją do wyjścia. Potrzebowała kilku sekund, aby się zorientować w pomieszczeniu, choć ze zdenerwowania prawie nie była w stanie przytomnie patrzeć. „Gnój! Ten cholerny gnój! Jak on śmiało potraktować mnie w ten sposób?” Znow z oburzenia do oczu napłynęły jej łzy. Jak on ją ordynarnie skrzyczał, a potem chwycił za ramię i wyrzucił na oczach wszystkich ludzi. Ale jeszcze tego pożałuje! Ona nie tylko zmieni jutro testament, ale od razu wyrzuci go z firmy. Ciekawe, czy znajdzie jakąś inną pracę! Tego luksusowego domu na pewno nie będzie mógł już utrzymać. Lulu rozejrzała się i uśmiechnęła ponuro i nienawistnie. Jej łzy powoli obsychały. Z zadowoleniem rozglądała się po wielkim holu, urządzonym nader zbyt kownie, co było typowe dla Toma. Wkrótce będzie koniec z tymi ścianami wyłożonymi dębowymi płytami, perskimi dywanami na podłodze, połączanymi świecznikami. Tak, teraz będzie musiał się nauczyć żyć skromnie, a jego żona, ta zarozumiała głupia gęś, która uważa się za lepszą od wszystkich, też będzie się musiała do tego przyzwyczaić. A może w ten dom trafi bomba. To oczywiście byłoby szczególnie święto. Tom Wolff zbombardowany, wlokący się przez Monachium i ciągnący za sobą wózek drabiniasty z resztką dobytku. Na samą myśl o tym Lulu się wyprostowała.

Wygrzebała ze swojej torebki puderniczkę i wtedy usłyszała, że na górze otworzyły się jakieś drzwi. Był to Alex, który wyszedł z pokoju swojej siostry i właśnie zamierzał zejść, aby przyłączyć się do gości w salonie. Lulu szybko zamknęła puderniczkę. Nie chciała nikogo spotkać. Szybko otworzyła najbliższe drzwi i znikła za nimi. Postanowiła poczekać, aż ten ktoś, kto schodził po schodach, gdzieś wejdzie.

Drzwi, które otworzyła Lulu, prowadziły do piwnicy. Kobieta stała na górnym stopniu schodów prowadzących stromo w dół i macała po ścianie za wyłącznikiem, bo dookoła panowała zupełna ciemność. Kiedy wreszcie zapaliła światło i zrobiło się jasno, zauważyła, gdzie stoi, i się przeraziła. Jak łatwo można było spaść! I kiedy tam stała, zniecierpliwiona, z głową pełną najdzikszych pomysłów na zemstę, usłyszała dobiegający z piwnicy głos. W pierwszym odruchu chciała uciekać – choć co prawda nie mogła wyjść, skoro ktoś schodził po schodach – ale zmusiła się do zachowania spokoju i wsłuchała się dokładniej. Te głosy na dole to nie byli ludzie, lecz radio. Lulu zmarszczyła czoło. Ostrożnie zeszła w dół. Obcasy jej butów stukały głośno po kamiennej podłodze. Usłyszała, że ktoś wyłączył radio. Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. Zaczęła iść szybko korytarzem w stronę drzwi, zza których przedtem dobiegały głosy. Gwałtownie je otworzyła i stanęła twarzą w twarz z Martinem Eliaszem.

#### 4.

Lulu była wprawdzie pijana i zdenerwowana, ale, co zadziwiające, w ciągu kilku sekund zrozumiała sytuację, w której się znalazła. Małe pomieszczenie bez okna. Łóżko, stół. Resztki kolacji na tacy. Fotografia Sary w srebrnej ramce. Radio na regale. Blady, ciemnowłosy mężczyzna, tak wychudzony, że ubranie wręcz na nim wisiało. Martin Elias. Lulu go знаła. Jego ojciec był przecież w końcu najbardziej prominentnym bankierem w Monachium.

Oboje nie powiedzieli ani słowa, ale w ciągu tych kilku minut ciszy Lulu skonstatowała, że miała w rękę wszystko, dzięki czemu mogła zrealizować swoje zamiary: wydziedziczyć Toma i wyrzucić go z pracy. Nic innego nie okazałoby się skuteczniejsze. Tom Wolff był skończony. Absolutnie i na zawsze. Tego już nie przetrwa. A jej się to udało. On praktycznie już teraz siedział w więzieniu. Lulu roześmiała się głośno i wrzaskliwie. Martin otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Lulu odwróciła się i pobiegła przez korytarz z powrotem. Popędziła po schodach do góry, ciągle wrzeszcząc i śmiejąc się, i znalazła się znów w holu. Zdyszana, zaczerpnęła powietrza.

– Żyd! – wrzasnęła. – Jak mi Bóg miły, Tom, koniec z tobą! Przeklęty Żyd w twojej piwnicy!

Alex wypalił na górnej galerii papierosa i w tym momencie zaczął schodzić po schodach. Na parterze otworzyły się drzwi toalety dla gości i wyszedł z niej Maksym. Też zapalił papierosa, aby odwlec moment powrotu do salonu. Podobnie jak Alex nie odczuwał najmniejszej ochoty, aby być świadkiem tak niemiłej sceny. I obaj mężczyźni zastali w holu szalejącą Lulu.

– No, spisz teraz swój testament, Tomie Wolfie! – krzyczała. – Jesteś skończony! Właściwie martwy! Żyd tam na dole w twojej piwnicy cię wykończy!

W salonie ktoś właśnie nastawił płytę i rozległa się głośna muzyka, a więc nikt chyba nie usłyszał wrzasków Lulu. Ale nietrudno było się domyślić, że ona zamierza tam wtargnąć i wykrzyczeć, kogo zobaczyła w piwnicy. Alex wiedział, gdzie jest Martin Elias, Maksym nie miał o niczym pojęcia, ale natychmiast wszystkiego się domyślił. Obaj mężczyźni pomyśleli o tym samym: Martin Elias – obcy człowiek w piwnicy – wylądował w obozie koncentracyjnym, a Tom i Kat przynajmniej w więzieniu. Gestapo będzie tak długo węszyć i tropić, aż wpadną Felicja, Alex i Maksym, i Bóg wie, ile jeszcze osób znajdzie się w kręgu podejrzanych.

– Proszę się uspokoić – powiedział Alex błagalnie.

Lulu wlepiła w niego rozszerzone z wściekłości, wręcz dzikie oczy.

– Wsadzę go do więzienia! Ten cholerny gnój znajdzie się w więzieniu!

To, co się potem stało, trwało zaledwie kilka sekund. Maksym jednym susem znalazł się przy Lulu. Nie zawahał się i postąpił w sposób, którego nauczyło go wieloletnie doświadczenie, i mając gdzieś z tyłu głowy zdanie wpajane mu przez Maszę, jego ukochaną i nauczycielkę, a zarazem niedościgniony ideał: „Nigdy nie zostawiaj przy życiu wroga i nie wahaj się ani sekundy, bo to może oznaczać twoją zgubę”.

Maksym uderzył Lulu kantem dłoni w szyję, zabijając ją na miejscu. Kobieta zachwiała się, po czym runęła na ziemię i znieruchomiała. W nagłej ciszy dźwięki gramofonu wydały się szczególnie głośne i natrętne. Alex zeskoczył z ostatnich dwóch schodów, ukląkł obok Lulu i sprawdził jej puls.

– Do pioruna, monsieur Marakow – powiedział – ona nie żyje!

Maksym nie zastanawiał się nad tym, co się stało, i odparł:

– Szybko, proszę ją chwycić za nogi. Na razie zaniesiemy ją do piwnicy.

Alex wziął Lulu za nogi, a Maksym za ramiona. I była to dokładnie ta chwila, w której Felicja wyszła z biblioteki Toma, a tuż za nią zgnębiony Becker, który nie osiągnął swojego celu. Gdy Felicja dostrzegła, że Alex i Maksym nieśli Lulu do piwnicy, natychmiast odwróciła się do Beckera i wepchnęła go z powrotem do biblioteki.

– Nie powinniśmy rozstawać się w gniewie – powiedziała szybko.

Becker popatrzył na nią rozpromieniony.

– Moja droga... ciągle mam nadzieję... – Popatrzył na nią uważnie. Jak ona zbladła! Łagodnie popchnął ją w stronę krzesła. – Droga Felicjo...

Do Maksyma i Alexa niosących zwłoki szedł już Martin, śmiertelnie przerażony po spotkaniu z obcą kobietą, która z wrzaskiem wybiegła z jego pokoju. To, co zobaczył teraz, wcale go nie uspokoiło.

– Co się stało? – spytał, nie kryjąc lęku.

– Ona właśnie zamierzała wsypać nas wszystkich – wyjaśnił Alex. – Na szczęście monsieur Marakow nie wahał się ani sekundy.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie nad ciałem martwej kobiety. Coś pojawiło się między nimi... jakiś nikły cień wzajemnego uznania i koleżeństwa, które odczuwali już w trakcie włamania do domu, gdy mieli ukraść kartki żywnościowe. Choć co prawda Alexa zaskoczyło to, jak ten komunista, którego w głębi ducha miał za śmiesznego i dziwaczego idealistę bez odrobiny odwagi, z zimną krwią zabił kobietę, która pół minuty później wsadziłaby wszystkich za kratki. I zdawał sobie sprawę, że on sam, cyniczny intelektualista i przebiegły człowiek interesu z wyraźnym wyczuciem rzeczywistości, nie byłby w stanie tego dokonać. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, żeby zrobić coś takiego. Doszedł do wniosku, że musi zrewidować parę swoich poglądów na temat Marakowa.

– Ona... nie może tu zostać – powiedział w końcu Maksym.

– Nie – odparł Alex. – Ale musimy dobrze się zastanowić, co robić. Marakow, proszę iść i uwolnić Felicję z łap tego Beckera, który od początku wieczoru wręcz pożerał ją wzrokiem. Ona widziała nas w holu i, co godne podkreślenia, zareagowała nadzwyczaj przytomnie, ale teraz zapewne siedzi jak na rozżarzonych węglach. Najlepiej będzie, jeśli zaprowadzi ją pan do domu.

– W porządku – odpowiedział Maksym.

– A ja wrócę do gości i spróbuję wziąć na stronę Toma Wolffa. Wyjaśnię mu wszystko i będziemy musieli się zastanowić, dokąd wywieziemy... zwłoki. Na razie zostaną tu u pana, Martinie.

– Tak – wymamrotał, ciągle zszokowany i skonsternowany po ostatnim zajściu.

Ostrożnie opuścili zwłoki Lulu na ziemię. Po śmierci jej groteskowo wymalowana twarz powoli nabierała łagodnego wyrazu.

Felicja zostawiła mocno roztrzęsionego Beckera i poszła z Maksymem do domu. W drodze powiedział jej szeptem o wszystkim, co się stało.

– Alex spróbuje z Wolffem usunąć zwłoki. Jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba, to jesteśmy wszyscy załatwieni.

Felicja, która nie widziała „występów” Lulu i dlatego nie miała o niczym pojęcia, potrzebowała w domu sporo czasu, aby to do niej dotarło i aby ochłonąć.

– Na miłość boską, Maksymie, nigdy bym nie przypuszczała, że ty...

Maksym miał upiornie poszarzałą twarz.

– Co? Że jestem zdolny do tego, aby zabić człowieka?

Skinęła głową, a Maksym patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

– Alex też nie mógł w to uwierzyć, było to po nim widać. A myśleliście, że jak wygląda ruch oporu?



– Nie zgrywaj się. Widzę, że jesteś kompletnie wykończony, a więc nie próbuj udawać, że takie rzeczy to dla ciebie bułka z masłem! Ale pomijając to, uważam, że postąpiłeś słusznie. – Felicja zsunęła buty i zostawiła je na środku pokoju. Stopniowo wracała do siebie. – Co za wieczór. Pocziwy Sturmführer Becker jest kompletnie skonsternowany. Maksymie, on jest całkiem przekonany, że ja za niego wyjdę. Możesz sobie wyobrazić, że ktoś...

Maksym nie odpowiedział, a Felicja, starając się rozładować napięcie, paplała dalej:

– Wiesz, ten Becker...

– Ach, przestań już! – przerwał jej szorstko Maksym. – Myślisz, że mnie to teraz interesuje?

– Chciałam odwrócić twoją uwagę od tego wszystkiego. A poza tym nie krzycz na mnie.

Oboje oddychali gwałtownie, skrajnie zdenerwowani. Co jeszcze wydarzy się tej nocy? Czy Alex i Tom sobie poradzą i uda im bez śladu usunąć ciało Lulu? Maksym w końcu odetchnął głęboko.

– Przepraszam. To tylko... po prostu zbyt nędznie się czuję, żeby móc swobodnie trzepać językiem. Nieudany zamach w Berlinie unicestwił plany i nadzieje związane z wielomiesięczną pracą. Ludzie, którzy bardzo wiele dla mnie znaczyli, są już straceni albo czekają na proces, który zakończy się albo szubienicą, albo gilotyną. Nie wiem, czy ty to rozumiesz... Ale jestem w tej chwili potwornie zdeprymowany i u kresu sił. Pierwszy raz nie mam odwagi, aby działać dalej... Nie, już raz czułem się podobnie. Wiele, wiele lat temu w Piotrogradzie, kiedy zobaczyłem, że to, o co walczyłem, stało się źródłem nędzy i nieszczęść wielu ludzi. Czułem się wypalony, chory i dziś jest tak samo...

Patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś przed siebie, ale Felicja miała wrażenie, że spoglądał raczej w głąb siebie i jego samego przeraża ten zrezygnowany i stary człowiek, którym się sam sobie wydał. „Ale ja czuję się tak samo podle”, chciała powiedzieć, „straciłam wszystko, co posiadałam. Nie wiem, z czego mam żyć. Boję się przyszłości i też czuję się tak, jak gdyby wyczerpały się moje siły...”.

Milczała jednak, bo rozumiała, że jest zasadnicza różnica między nieszczęściem jej a jego i że jego tragedia jest o wiele dotkliwsza – już choćby dlatego, że on zawsze przeżywał wszystko intensywniej i z nich dwojga był po prostu słabszy. I walczył o ideały, a nie tak jak ona o zwykłe, ziemskie dobra. Gdyby mówiła dalej, nabrałby pewności, że jej poglądy są banalne, nie pozostało jej więc innego, niż próbować go pocieszyć, dodać mu otuchy i zrobić wszystko, aby odzyskał siły.

– Maksym... – Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie.

Poczula woń alkoholu i papierosów, co tak u niego lubiła. A to ciało, które teraz tuliła, było jej najbliższe na całym świecie. Nagle pomyślała, że on w czasie tych wszystkich minionych lat w ogóle się nie zmienił. Nie było różnicy między wątłym, chudym, chłopięcym ciałem, które obejmowała jako mała dziewczynka, żylastą, nieco kościstą postacią młodego mężczyzny z czasów ostatniej wojny i tym pięćdziesięcioletkiem, którego ramiona już nieco pochyliły się do przodu. Ale o tym wszystkim wiedziała tylko ona, nikt więcej. I jakoś nie zmieniło się też to, że traktowała jego ciało niemal jak swoją własność, nawet w czasie, kiedy żyła Masza Iwanowna. To był jej oddech, jej uderzenia serca, jej lekki lęk przed zbyt wielką bliskością. Jego ręce należały do niej, a także wargi, oczy i włosy. Nawet jego myśli, na które reagowała przeważnie pobłażliwym potrząśnięciem głowy, były jej bardzo bliskie i nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłyby przestać do niej należeć. I właśnie dlatego, że nigdy tak naprawdę się nie rozumieli, pojawiała się między nimi to osobliwe napięcie, owa nigdy niekończąca się siła przyciągania. „On mnie potrzebuje, on będzie mnie potrzebował zawsze”, myślała Felicja, ale jednocześnie wiedziała, że on przypomni sobie o niej tylko w chwilach rozpacz i nieszczęścia. Tak było

w czasie rewolucji Lenina, która przebiegała bardziej krwawo, niż sobie w swojej naiwności wyobrażał, tak było też wtedy, kiedy Masza po raz pierwszy została deportowana na Syberię, i teraz, gdy jego wszystkie nadzieje legły w gruzach, było podobnie.

Siedziała na jednej z wielkich poduszek ułożonych przed kominkiem, a głowa Maksyma spoczywała na jej kolanach. On leżał na plecach i patrzył na nią, obserwował jej twarz i oczy z taką przenikliwością, jak gdyby chciał wypić z nich całą siłę. Podniósł rękę i łagodnie pogładził palcem jej brwi, dotknął policzka, zatrzymał się przez chwilę na ustach, po czym ostrożnie dotknął szyi. Jego ruchy były pełne takiej tkliwości, która dotykała najskrytszych i najbardziej podatnych na zranienie zakątków jej umysłu. Zupełnie jak przed pięcioma laty, kiedy wyłonił się z deszczu któregoś sierpniowego popołudnia i też siedział z nią tu, przed tym kominkiem. Wtedy, podobnie jak dziś, widziała w jego oczach, że jego nie obchodziło to, czy jest stara czy młoda, o ile była sobą właśnie – Felicją. Tylko to się liczyło. Dotykał dziewczyny, którą znał całe życie, a ona wiedziała, że bez względu na to, jak będzie bogata, silna i niezależna, to gdzieś w głębi duszy nigdy nie opuści jej tęsknota za tym, aby znów być małą Felicją, jego przyjaciółką z ogrodów i lasów Lulinna.

Maksym, głęboko wyczerpany po ciężkich przeżyciach ostatnich dni, w końcu zasnął, a Felicja nasłuchiwała jego oddechu i czuwała nad jego snem. Czekwała, aż się obudzi, a jego spojrzenie będzie trochę nieprzytomne. Wtedy należał do niej. I dopiero kiedy oprzytomnieje, stanie się znów dawnym Maksymem.

Obudził się, podzielili między siebie ostatniego papierosa Felicji. Maksym podszedł do okna i popatrzył na rozgwieżdżone niebo.

– Pójdę lepiej do swojego mieszkania – powiedział.

– Nie chcesz zaczekać, aż wróci Alex? Musimy się przecież dowiedzieć, co zrobili ze zwłokami.

„Co za okropna rozmowa”, pomyślała, „jak gdybyśmy oboje byli gangsterami”.

– Masz rację. Powinienem zaczekać.

Upłynęła jeszcze godzina, zanim wrócił Alex. Zegar wybił już drugą i Felicja zaczęła się obawiać, że coś poszło nie tak i Alex siedzi w więzieniu. Tkwiła na krześle z podkurczonymi nogami, blada i drżąca.

Maksym, który ciągle stał przy oknie, drgnął wystraszony, kiedy do pokoju wszedł Lombard. Między mężczyznami zapanowało osobliwe napięcie; obaj razem popełnili morderstwo, co ich łączyło bez względu na to, czy tego chcieli, czy nie, ale teraz Alex najwyraźniej przypominał sobie, że na świecie nie miał większego rywala niż Maksym. W jego oczach pojawiła się wściekłość, kiedy zobaczył ich oboje razem.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Jedno trzeba przyznać Tomowi Wolffowi: ma żelazne nerwy. Powiedziałem mu, co się stało, a on zareagował szybko i bez lamentowania.

– Dokąd ją zanieśliście? – spytała Felicja.

– Do ogrodu przed jej domem. Wolff ściągnął z niej wszystką biżuterię i mamy nadzieję, że będzie to uznane za morderstwo na tle rabunkowym. Bo tak, jak ona była obwieszona złotem... To może wydać się całkiem prawdopodobne. – Alex przejechał palcami po włosach. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

– A Tom dobrze ukrył tę biżuterię? – spytała Felicja.

– Zakopał ją gdzieś nad Izarą. Prawdopodobnie nikt jej nigdy nie znajdzie – odparł Alex, po czym dodał po chwili: – Lekarz prawdopodobnie będzie mógł ustalić dość dokładną godzinę zgonu Lulu. Na szczęście my mamy alibi na ten czas. Tom Wolff znajdował się w salonie wśród gości, a Felicja miała w bibliotece swoje tête-à-tête ze Sturmführerem Beckerem, zaś...

– To nie było żadne...

– Przecież to nieistotne. Ten człowiek w każdym razie będzie mógł przysiąc, że byłś razem z nim, i tylko to się liczy. A jeśli chodzi o mnie i monsieur Marakowa... – w spojrzeniu Alexa widać było wrogość i agresję – to jesteśmy świadkami dla siebie nawzajem. Razem byliśmy w holu, zniesmaczeni niemiłą sceną w salonie, która miała miejsce na naszych oczach. I widzieliśmy, jak Lulu wyszła z domu, ciągle złościąc się i pomstując. Więcej nie wiemy. Marakow towarzyszył Felicji, która chciała uciec przed Beckerem, i odprowadził ją do domu. Ja dołączyłem do gości w salonie. Nie sądzę, że ktoś będzie prowadził bardziej szczegółowe dochodzenie.

– Miejmy nadzieję – powiedział Maksym, po czym w pokoju zapanowała kłopotliwa cisza.

– Czy możemy otworzyć okno? – spytała Felicja i to nieco rozładowało atmosferę.

Maksym spojrzał na nią, powiedział kilka słów bardzo oficjalnego pożegnania, które sprawiły jej przykrość, po czym wyszedł.

– Co za noc! – odezwała się po chwili Felicja. – Maksym jak gdyby nigdy nic zabija Lulu. Spodziewałaś się tego po nim?

– Nie – odparł Alex, patrząc na nią dziwnie podejrzliwym wzrokiem.

To ją zdenerwowało.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? Coś się stało?

Kiedy nie odpowiedział, powtórzyła z naciskiem:

– O co chodzi?

– O nic. Chciałem tylko wiedzieć, jak wygląda kobieta, która właśnie odniosła fenomenalny triumf. Bo wreszcie udało się jej mieć u swego boku mężczyznę jej życia.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Ach, Felicjo, znam cię zbyt długo, a więc nie udawaj! Nie wmawiaj mi niczego, proszę! Nie musisz grać nic nierozumiejącej, niewinnej panienki, to naprawdę nie robi na mnie wrażenia. Wiem, kim jesteś i jaka jesteś. Kiedy Maksym jest w pobliżu, masz w sobie coś ze słynnej żmii, która wpatruje się w królika.

– Powinniśmy oszczędzić sobie tej rozmowy – odparła zimno Felicja. – W gruncie rzeczy w ogóle nie powinno cię obchodzić, co robię.

Alex nie odpowiedział, Felicja mówiła więc dalej, z rosnącą pewnością siebie:

– Jesteśmy rozwiedzeni już blisko trzydzieści lat. Może mógłbyś wreszcie przestać próbować mi zalecać, z kim i jak mam spędzać czas. Ponieważ ten dom należy do ciebie, nie mogę mieć nic przeciwko temu, że tu mieszkasz, ale bardzo cię proszę, przestań zachowywać się jak małżonek, który ogarnięty zazdrością pilnuje swojej żony. Do tego nie masz prawa.

Alex wiedział, że miała rację. Jeśli chodziło o nią, nie miał wobec niej żadnych praw – oprócz wyrzucenia jej na ulicę i wypędzenia jej rodziny z Lulinna, a ona zbyt dobrze go знаła, aby się tego obawiać. Patrzył na nią uważnie – siedziała w fotelu, obejmując kolana, z rozpuszczonymi włosami i suknią zsuniętą tak, że widać było całe nogi. Alex z przerażeniem stwierdził, że w jej obecności mógł stracić panowanie nad sobą, co się często zdarzało, kiedy byli razem. Ile musiał mieć lat, aby ta kobieta wreszcie nie była w stanie wyprowadzić go z równowagi?

– Jaka ty jesteś zimna, Felicjo – powiedział cicho. – Nie ma w tobie ani odrobiny ciepła i dlatego też nigdy nie będziesz szczęśliwa.

Ale jeszcze kiedy to mówił, zdał sobie sprawę, że nie była to prawda i że to właśnie go dręczyło: ona miała w sobie trochę ciepła, tylko że nie dla niego. Przeznaczała to ciepło dla Maksyma Marakowa – tak uparcie jak dziecko, które z żelazną, choć naiwną konsekwencją strzeże swego irracjonalnego marzenia. To, co pozostawało dla niego, to jej namiętność od czasu

do czasu i możliwość użyczenia jej silnego ramienia w nielicznych trudnych momentach życia. I może to właśnie stanowiło przyczynę jego rozgoryczenia: tych parę nędznych okruchów powinien był odrzucić, ale on zamiast tego gorliwie je zgarniał, bo wolał dostać od niej mało niż nic.

„Ty biedny, stary niedołęgo”, pomyślał i wraz z tą dozą samoironii wróciły mu też pewność siebie i opanowanie.

– Tak czy owak, Felicjo – powiedział spokojnie – to oczywiście prawda, możesz robić, co chcesz, ale proszę, pozwól mi być od czasu do czasu widzem twoich poczynań i dobrze się przy tym bawić.

„On znów całkowicie nad sobą panuje”, pomyślała Felicja, „choć dopiero co miał przemożną ochotę zamordować mnie z zazdrości, ten tak dobrze bawiący się widz moich poczynań!”.

O wpół do trzeciej w nocy liczyła się ze wszystkim, choćby z nalotem, ale na pewno nie z tym, że nagle, bez pukania, wejdzie do jej pokoju Jolanta.

– Jolanto, ty jeszcze nie śpisz? – spytała Felicja ze zdumieniem.

– Ach, madame, chciałam poczekać, aż pani wróci od pana Wolffa, usiadłam więc na krześle w swoim pokoju, bo myślałam, że na siedząco nie zasnę, ale tak się jednak nie stało i dopiero co się obudziłam. Kiedy wystawiłam głowę ze swojego pokoju, usłyszałam głosy, no to pomyślałam, że pani jeszcze nie śpi albo że w ogóle dopiero co pani wróciła...

– Ale co się stało?

– Przyszedł telegram – odpowiedziała Jolanta. – Telegram z Prus Wschodnich. Poślaniec przyniósł go, kiedy pani już nie było.

– Daj go szybko!

Felicja gwałtownie chwyciła poskładany kawałek papieru, który teraz zauważyła w ręku Jolanty. Słusznie zinterpretowała zgnębiłą minę gospodyni: telegram nie zawierał dobrych wiadomości.

Felicja jęknęła cicho, nie kryjąc przerażenia, a potem gwałtownie wstała.

– Muszę jechać do Lulinna – oznajmiła. – Moja matka jest ciężko chora. Obawiają się najgorszego.

Alex natychmiast stanął koło niej.

– Przykro mi bardzo, Felicjo, ale powinnaś ustalić, czy może da się matkę przewieźć do Berlina. Teraz nikt nie powinien już dobrowolnie jechać do Prus Wschodnich.

– Dlaczego?

– Bo zbliżają się Rosjanie. A tam dotrą najpierw. I możesz mi wierzyć, Felicjo, że to nie będzie zbyt przyjemne spotkanie.

– Ach, Alex! Mam wrażenie, że nasłuchałeś się za dużo różnych zagranicznych stacji! Nasi żołnierze zatrzymają Rosjan...

– Twoja dziecinna wiara to honor, ale Grupa Armii Środek właśnie została rozbita i rozpędzono ją w cztery strony świata. Nie sądzę, że zdołają się szybko sformować. Rosjanie mają wolną drogę do Niemiec.

– Ale na granicach stoją żołnierze. A poza tym...

– Słusznie! – Alex uśmiechnął się szeroko, ale nie sprawiał wrażenia rozbawionego. – A poza tym słynny gauleiter Erich Koch polecił zbudować szereg fortyfikacji wzdłuż granicy Prus Wschodnich. Czyż nie nazywa się to Wschodniopruska Pozycja Obronna? No to rzeczywiście możemy być spokojni. Te śmieszne kretowiska z pewnością zatrzymają Armię Czerwoną.

– Führer zatroszczy się o to, aby żaden Rosjanin nie stanął na ziemi niemieckiej –

powiedziała nieśmiało Jolanta. Nie była zwolenniczką nazistów, ale mowy Hitlera robiły na niej coraz większe wrażenie. Felicja wprawdzie nie podzielała jej zdania, ale w tej chwili Rosjanie byli jej obojętni.

– Alex, jeśli moja kuzynka Modesta zdołała się pozbierać na tyle, żeby mi wysłać telegram, to z moją matką musi być naprawdę źle. I na pewno zbyt źle, aby móc ją transportować do Berlina. Pojadę do niej i zrobiłabym to także wtedy, gdybym musiała przejechać przez front Armii Czerwonej. Nie zostawię mojej matki w potrzebie.

Alex zrozumiał, że jej nie przekona, i skinął głową.

– Rozumiem cię. Ale nie powinnaś podróżować sama. Pojadę z tobą.

– Nie możesz. Musisz zająć się swoim wydawnictwem.

– W ogóle nie muszę. W zasadzie jestem tylko reprezentantem tej firmy i wszystko przebiega tak jak trzeba bez mnie. Powiem tylko, że na jakiś czas muszę pilnie wyjechać.

– Ale... Ty wcale nie pytasz, czy ja tego chcę?

– Ponieważ Lulinn należy do mnie, to moim zdaniem jest to zbyteczne – odparł Alex chłodno.

Temu trudno było zaprzeczyć. Felicja spojrzała na niego równie zimno, jak on na nią.

– Masz oczywiście rację. A ponieważ znoszę cię tu już od czterech lat, to obojętne mi, czy także w Lulinnie będę cię oglądać każdego dnia, czy też nie.

Jeśli nawet zraniła go tymi słowami, to Alex i tak nie dał nic po sobie poznać. Przytrzymał przed nią drzwi, kiedy wychodziła z pokoju, a ona nie spojrzała na niego, kiedy go mijała. Ale gdzieś w głębi ducha poczuła coś w rodzaju odrobiny wdzięczności wobec jego zamiarów. Obawiała się o Elżę; dobrze zatem było mieć koło siebie kogoś, na kogo można się zdać w trudnej sytuacji.

## 5.

Elza Degnelly urodziła się w Lulinie, ale nie zamierzała tam umierać, nawet jeśli taki zamiar oznaczał jeszcze większe zdystansowanie się wobec wszystkich członków rodziny, których stara posiadłość należąca od wielu pokoleń do Dombergów napawała taką dumą, że najchętniej nie opuszczaliby jej ani na jeden dzień.

– Jesteśmy zrośnięci z tą ziemią – powtarzał ciągle jej ojciec. – Będziemy zawsze tęsknić za tymi ciemnymi lasami, rzekami i jeziorami, rozległymi łąkami zboża, potężnymi bukami i za dzikimi łubinami. Prawdziwy Domberg czuje się dobrze tylko tu i nigdzie indziej na świecie. Kto tutaj wzrastał, uczył się jeździć na trakenach, widywał łosie w lasach, jeździł ze swoją klasą na plaże mierzei nad zalewem, ten tak naprawdę nie potrafi się rozstać z tą krainą. Oszalejemy, jeśli nie będzie nam dane słyszeć odlatujących dzikich gęsi ani patrzeć w to pełne gwiazd niebo, które jest jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej. Bez względu na to, gdzie nas zanieś los, zawsze tu wrócimy.

Elza całe życie miała poczucie winy, bo ona tego tak nie odbierała. Wręcz przeciwnie, jej się wydawało, że mogłaby mieszkać w każdym innym miejscu, ale nie tutaj. Nigdy nie pasowała do tej rodziny, nigdy nie kochała tego majątku. Delikatne, blade dziecko zawsze było zbyt wrażliwe i nieprzystosowane do życia na wsi. Elza z rozpaczą zatykała uszy i krzyczała, kiedy zabijano świnię, chowała też młode kotki, kiedy Jadzia zaczynała na nie polować, aby je utopić. Kryła się również w najciemniejszym kącie domu, kiedy jej ojciec raz w roku wyprawiał wielkie święto dla robotników pracujących w majątku, w czasie którego wódka lała się strumieniami, a wrzaski pijanych niosły się daleko przez całą noc i trudno było nie słyszeć ich ordynarnych przekleństw i obscenicznych żartów. Nie, to nie był jej świat i gdyby Belle nie naciskała, to nigdy by tu nie przyjechała. W czasie podróży już od Königsberga płakała tak gwałtownie, że jej mała prawnuczka Sophie co rusz pytała z przerażeniem, dlaczego babcia płacze. I Elzy nie dziwiło ani trochę, że zdrowotnie czuła się coraz gorzej. Nie miała też siły, aby bronić się przed fizycznym wyniszczeniem organizmu. Coraz częściej wydawało jej się, że umierała powoli już od chwili, w której jej najmłodszy syn Christian poległ pod Verdun w 1916 roku, że wykrwawiała się z powodu jego ran, a teraz nadszedł ten ostatni etap. I złościwością losu było to, że musiał się on zakończyć właśnie tutaj.

Ale bądź co bądź przyjechała Felicja... A może to był tylko sen, pełen gorączkowych majaków? Nie, nie, Elza czuła przecież chłodną rękę na swoim rozpalonym czole i rozpoznała głos Felicji.

– Mamo, jestem tutaj, to ja, Felicja. Modesta napisała mi, że się źle czujesz, więc pomyślałam, że tu zajrzę. Czy lekarz przepisał ci coś na gorączkę?

Felicja udawała spokój i pogodę, ale Elza się nie łudziła; wprawdzie z powodu choroby widziała wszystko jak przez mgłę, miała też nieco przytępione zmysły, ale jednocześnie bliskość śmierci zaostriżyła jej wrażliwość. Elza wiedziała, że Felicja przyjechała dlatego, że jej matka była umierająca.

Pomyślała, że mogła jej podziękować, ale to nie było konieczne. „Co mi to teraz da?”

Nigdy nie miała bliskich stosunków z córką, zawsze wołała, żeby jej drugie dziecko także było chłopcem. Ale może wtedy on też już by nie żył? W tym pokoleniu mężczyźni marli jak muchy.

Elza jęknęła i przewróciła się na bok. Bolały ją kości jej wychudzonego ciała. Przez otwarte okno gorący letni wiatr niósł zapach róż, które rosły przy domu. Przygnębiał ją jaskrawy

rozdźwięk między odrobiną życia w niej a wspaniałym latem za oknem, ale jednocześnie nie chciała już się bronić. Dawno już skapitulowała.

Na dole w jadalni zmartwiona Felicja powiedziała:

– Ona rzeczywiście bardzo źle wygląda. Mogłaś mnie zawiadomić wcześniej, Modesto!

Modesta była znowu w ciąży, choć powoli robiła się już za stara na takie przygody i bardzo dokuczał jej upał. Joseph ciągle ją wachlował, starał się złagodzić jej zły humor, siląc się co rusz na jakieś grzeczności, ale żona odwdzięczała się tylko złośliwościami.

– Jak Elzie coś dolega, to nigdy o tym nie mówi – warknęła Modesta w odpowiedzi. – I kiedy się ją pyta, czy się dobrze czuje, to zawsze odpowiada, że tak, i powtórzy to nawet na łożu śmierci. Ciągle trzeba się domyślać, co ona ma na myśli i co jej jest.

– Moim zdaniem – wtrącił się Joseph – przyczyną wszystkiego są jej problemy psychiczne. Straciłem dużo czasu na wypytywanie jej, ale ona zawsze wykręcała się od odpowiedzi.

– Biedna mama – wymamrotała Felicja, a potem nagle zwróciła się do Alexa: – Chodź, pokażę ci Lulinn.

Na dziedzińcu odetchnęła głęboko.

– Uff, kiedy choćby tylko widzę Modestę, to czuję, że zaraz dostanę ataku klaustrofobii. Jak kobieta może być tak gruba?

Alex zrobił zabawnie bezradną minę, a Felicja się roześmiała.

– No tak, powinniśmy porozmawiać o czymś weselszym. Albo zrobić coś, co sprawia przyjemność. Czy naprawdę mam ci pokazać Lulinn?

– Tak, bardzo chętnie. – Alex popatrzył na nią w zamyśleniu.

Jakże ona się zmieniła, kiedy tu przyjechali! Choć blada i wyraźnie zgnębiona stanem zdrowia matki, to jednak sprawiała wrażenie bardziej żywotnej, młodszej i zrównoważonej niż tam na południu nad Izarą. Tu po prostu było jej miejsce, między tymi łąkami zbóż i pod tym rozległym niebem. Alex jeszcze nigdy nie widział jej w Lulinnie, dlatego też nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo była związana z tym majątkiem. Jednocześnie zrozumiał tajemnicę jej związku z Maksymem Marakowem. Dzieciństwo w Lulinnie rzuciło na całe jej życie czarodziejski blask i ten właśnie czar dzieliła z Maksymem. Ów czar miał nigdy nie zniknąć i to on dawał Maksymowi przewagę nieosiągalną dla żadnego innego mężczyzny. Alex pomyślał: „Od początku moja walka była daremna, znajdowałem się na straconej pozycji, bo Marakow to nie tylko mój przeciwnik, ale uosobienie wszystkiego, co jest tutaj, a co także działa na moją niekorzyść. Podobnie jak ta cholernie romantyczna dusza Felicji, o której istnieniu nie ma się pojęcia, jeśli patrzy się w jej oczy. I ta dusza będzie łączyła ją z Marakowem nawet na łożu śmierci. Ja... ja tylko przypadkiem jestem mężczyzną jej życia, mężczyzną, którego ona kocha w taki sposób, że nie dotyka to jądra jej istoty”.

Felicja szła przed nim w stronę stajen i szop i stwierdziła z przerażeniem, że w Lulinnie prawie nie było koni.

– Ale gdzie one wszystkie są? Dziwiłam się już, kiedy nie zobaczyłam ich na wybiegu! Gdzie one są?

Młody Francuz, jeniec wojenny, który pracował w majątku, odpowiedział:

– Musiały iść na wojnę. Zostały tylko cztery, na żniwa. Innych nie ma.

– Wszystkie? Nasze trakeny? Oni zabrali nasze trakeny na wojnę?

– Tak jest wszędzie, Felicjo – odparł Alex. – Wszystko, co potrafi choćby pełzać, przyda się w tej wielkiej wojnie.

– Ach, do diabła! – powiedziała Felicja gwałtownie i odwróciła się w stronę młodego Francuza. – Jak pan się nazywa?

– Yves.

– Yves... A skąd pan jest?

– Z Angers. – Mówił z silnym francuskim akcentem, co w uszach Felicji zabrzmiało przyjemnie. Jego ciemne oczy były bardzo smutne, zapewne tęsknił za domem i ojczyzną.

– Wojna wkrótce się skończy – zapewniła Felicja – i wtedy wróci pan do Francji, a my znowu będziemy mieli konie i życie wróci do normy.

Jego twarz nadal była poważna.

– Tak. Wojna się skończy. Ale kto wie, co stanie się z nami? Nadchodzą Rosjanie...

– Tutaj nie przyjdą – odpowiedziała Felicja tonem najgłębszego przekonania. Wpatrywała się w puste boksy, nad którymi ciągle wisiały tabliczki z imionami koni. – Nie – powtórzyła – tutaj nie przyjdą!

Rosjanie przybyli 4 sierpnia 1944 roku, choć co prawda był to tylko krótki, błyskawiczny atak na Memelland, północno-wschodni kraniec Prus Wschodnich. Mimo zakazu kilku właścicieli ziemskich i chłopów w panice opuściło swoje domy i uciekło w kierunku zachodnim, ale po kilku dniach wrócili do ojczyzny.

To oczywiście potraktowano jako dowód na to, że partia miała rację i Rosjanie nie mieli żadnych szans na przekroczenie granic Prus Wschodnich.

– No widzicie – powiedziała Felicja – w ogóle nie musimy się o nic martwić.

Alex się powstrzymał i nie zareagował. Chciałby spróbować jej wyjaśnić, jak naprawdę wyglądał stan rzeczy, ale czy to zrobiłoby na niej jakieś wrażenie? Czy miał mówić, że to była jedynie śmieszna straż przednia Armii Czerwonej, która dokonała czegoś w rodzaju zwiadowczego wypadu na tę część Prus? Że liczba rosyjskich żołnierzy z ich działami i czołgami znacznie przewyższała liczbę obrońców niemieckich? I że Rosjanie spluną tylko na wzniesione przez Niemców fortyfikacje, o ile je w ogóle zauważą... Felicja by mu nie uwierzyła, bo nie chciała w to wierzyć. Znał ją jako kobietę o dużym poczuciu rzeczywistości, ale to, co zbliżało się ze wschodu, najwyraźniej przerastało jej wyobraźnię. Z utęsknieniem wypatrywała końca wojny, bo wydawało jej się, że wtedy wreszcie będzie mogła zacząć budować swoje życie na nowo, bez obawy przed spadającymi bombami i powołaniem do pełnienia służby wojennej. Z dala od tych wszystkich szaleństw, z którymi co rusz konfrontował ją Maksym, a których efektem było ciągle zagrożenie ze strony gestapo. Felicji zupełnie nie przychodziło do głowy, że koniec wojny może być straszny także dla ludności cywilnej i że może ona stracić swoją ojczyznę na zawsze.

– W tysiąc dziewięćset czternastym roku, kiedy akurat skończyłam osiemnaście lat, też tu wpadli Rosjanie – powiedziała. – Byłam w Lulinnie sama z babcią Letycją i moim dziadkiem, który leżał na łożu śmierci. I oni co prawda splądrowali nasze spiżarnie i narobili trochę bałaganu, ale dla nas nie stanowili zagrożenia. Absolutnie nic się nie stało.

– Nie możesz tego porównywać, Felicjo, bo tym razem mamy zupełnie inne podłoże historyczne. Od chwili ataku Niemców na ich kraj zetknęli się jedynie z terrorem, uciskiem, wyzyskiem i często samowolnym zabijaniem. Nie tyle przez żołnierzy Wehrmachtu, ile przez postępujących za nimi esesmanów i im podobnych. Wasz gauleiter do niedawna był komisarzem Rzeszy na Ukrainie i nikt nie traktował tamtejszej ludności gorzej i bardziej okrutnie niż on. Ta armia, która w tej chwili podąża w kierunku Niemiec, maszeruje przez spustoszony kraj, gdzie przy drogach leżą trupy pomordowanych Rosjan. A już nie mówiąc o tym, że po drodze mogą natknąć się na kilka obozów koncentracyjnych, a to, co tam zastaną, jednoznacznie przekona ich, że Niemcy to sprzymierzeńcy samego diabła. I dlatego obawiam się, że Rosjanie nie będą już zbyt długo zastanawiać się, kto z napotkanych Niemców jest winien, a kto nie.

Alex widział po minie Felicji, że próbowała nie przyjąć do wiadomości tego, co usłyszała,



i że odepchnęła to wszystko gdzieś w głąb swojej pamięci. Nawet go to nie dziwiło, bo co miała robić? Nie mogła przecież zostawić swojej matki, a każdy lekarz uznałby zamiar narażenia Elzy Degnelly na trudy podróży w tym stanie za niesłuchanie lekkomyślny. Alex w końcu nabrał przeświadczenia, że ośmieszy się, jeśli będzie w kółko prawił kazania i napominał, że bardziej lekkomyślne będzie właśnie zostawienie jej tutaj. W tej chwili jego poglądy stały się nader niepopularne.

25 sierpnia alianci uwolnili Paryż. Oddziały generała Leclerca, sprzyjające de Gaulle'owi, szły przez miasto wśród wiwatującej ludności. Był upalny dzień, tak jak całe lato 1944 roku, i wszędzie we Francji ludzie świętowali zwycięstwo i pokonanie znieprawdzonych Niemców. Francuzi nie zamierzali darować im kilkuletniego okresu ciągłych upokorzeń, represji, szybko wygranej kampanii w 1940 roku, krwawych ekscesów SS, a także masakr, takich jak te w Tulle i Oradour. Żądza zemsty była ogromna, a gniew lud wyładowywał przede wszystkim na kolaborantach różnego rodzaju i często jego ofiarą padali także niewinni ludzie – nierzadko pociągano ich do odpowiedzialności za czyny, których w ogóle nie popełnili, bez szans na obronę.

W początku września oddziały brytyjskie zajęły Brukselę i Antwerpię. Dwa tygodnie później naczelny dowódca brytyjskich sił inwazyjnych, marszałek Montgomery, spróbował zająć przyczółek mostowy koło Arnhem i w tym celu piloci zrzucili tam dziesięć tysięcy żołnierzy na spadochronach. Ale Niemcy raz jeszcze zmobilizowali wszystkie siły i nieoczekiwanie stawili silny opór. Most pozostał w ich rękach, a w dodatku do niewoli dostało się wielu Anglików i Amerykanów. Alianci jednak potrafili ocenić i wykorzystać tę porażkę, która ich zirytowała, ale nie stanowiła katastrofy. I jedynie odwlekła zwycięstwo nad Niemcami. Wszyscy wiedzieli już, że koniec Tysiącletniej Rzeszy jest bliski.

## 6.

Stan Elzy pogarszał się niemal z dnia na dzień i nikt już nie wierzył w jej wyzdrowienie. Także lekarz nie potrafił jej pomóc.

– Nie wiem już... – powiedział do Felicji – nie wiem, jak można zatrzymać to postępujące osłabienie. Nie znam żadnego środka, który byłby skuteczny przy tej ciągłej gorączce!

Felicja odparła w zamyśleniu:

– Ona się wcale nie broni. Leży apatycznie w łóżku i mam wrażenie, że nie ma już ochoty żyć.

Lekarz skinął głową.

– Tak długo, jak będzie bronić się przed wyzdrowieniem, tak długo nie pomoże jej żadne lekarstwo na świecie. Jakoś wydaje mi się... no, dawniej nazywano to złamane serce. To określenie jest dziś może często wyśmiewane, ale ten fenomen naprawdę istnieje i jestem pewien, że to jest coś, na co cierpi pani matka.

– Czy Elza wyzdrowieje? – spytała Sophie.

Miała teraz cztery lata i bardzo przypominała Belle, jedynie jej oczy nie były całkowicie szare, pojawiał się w nich jakiś odcień zieleni. Dzięki temu sprawiały wrażenie bardziej ciepłych i osobliwie połyskliwych, a ich kolor zmieniał się wraz z kątem padania światła. Felicja była bardzo dumna z wnuczki, ale z drugiej strony miała problemy z postrzeganiem siebie jako babci, dlatego też wszystkim wnuczkom kazała mówić do siebie po imieniu.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Elza jest bardzo chora. I nikt nie wie, co będzie.

Schodziła po schodach, trzymając dziecko za rączkę i spoglądając na jesienny krajobraz za oknem. Lasy w Lulinnie płonęły wszystkimi kolorami, po niebie co rusz przelatowały klucze dzikich gęsi zmierzających na południe. Wyjątkowa uroda tego października aż olśniewała i Felicja pomyślała, że teraz właściwie mogłaby tu zostać na zawsze, skoro w Monachium zniszczono wszystko to, co z takim trudem zbudowała. „I tak nigdzie nie jestem szczęśliwsza”, pomyślała.

– List do pani, madame. – Jadzia znów zjawiała się znikąd jak duch. – Przyszedł właśnie z pocztą.

– Dziękuję, Jadziu.

List z Monachium od Toma Wolffa. Felicja niecierpliwie rozerwała kopertę i zaczęła czytać. I po chwili krzyknęła cicho:

– To niesłychane! Ten człowiek ma więcej szczęścia niż rozumu!

– A co? – spytała Sophie.

– Ach, nie zrozumiesz. – Felicja potrząsnęła głową. Cały Tom. Znów mu się udało.

Wolff pisał, że jest wyłącznym spadkobiercą zabawkowego imperium Lulu. „Ku mojemu zdziwieniu zostałem zaproszony na otwarcie testamentu. Myślałem, że Lulu zapisała mi jakąś małą pamiątkę, swoją fotografię w srebrnych ramkach czy coś podobnego, ale nie. Jestem wyłącznym spadkobiercą jej wszystkich ziemskich posiadłości – oprócz jedynie paru sztuk mebli i obrazów, które podzieliła między dalszych krewnych. Nie mogę w to uwierzyć... Jestem bogatym człowiekiem...”

A na dole znajdował się dopisek – zapewne na wypadek gdyby list dostał się w niepowołane ręce: „Ale ciągle jeszcze przeraża mnie ten okropny wypadek Lulu. Jak można mordować z chciwości?”

– Ty faryzeuszu – zamruczała Felicja. – Ty z chciwości zrobiłbyś o wiele więcej.

Mimo że dopiero co myślała o tym, że właściwie mogłaby zostać w Lulinie na zawsze, to teraz zaczęła rozważać inne możliwości. Tom miał przedsiębiorstwo, a ona nie. Współpracowali już kiedyś i stanowili bardzo zgodny tandem. Stale próbowali wyszarpać sobie nawzajem większościowy pakiet akcji i Felicja była niemal chora, kiedy Tom przeważnie minimalnie ją wyprzedzał.

– Trzeba by... – wymamrotała w zamyśleniu, ale nie zdążyła dokończyć. Do domu z niezwykłym jak na niego pośpiechem wpadł Joseph.

– Felicjo! – wykrzyknął, oddychając ciężko. – Felicjo, Rosjanie są w Prusach Wschodnich! Gumbinnen\* stanęło w płomieniach! I oni ciągle posuwają się do przodu!

– Co takiego?!

– Wszyscy o tym mówią. Ponoć formują się już kolumny uciekinierów, choć naczelnik okręgu zabronił wszelkich wyjazdów. Ale krążą plotki o niesłychanych ekscesach Rosjan, którzy rozstrzelują każdego napotkanego Niemca albo po prostu zatłukują na śmierć. A najgorszy jest los kobiet, bo one są w bestialski sposób gwałcone i...

Potok jego słów przerwał gwałtowny krzyk. Nikt nie zauważył Modesty, która chroniąc swój brzuch rękami, weszła do pokoju.

– Musimy uciekać! – zawołała. – Josephie, jak możesz tu jeszcze stać i gadać? Musimy jechać do Königsberga, a stamtąd do Berlina i...

– Nie możemy przecież wszystkiego tak porzucić – odpowiedziała Felicja. – A poza tym moja matka nie nadaje się do podróży. Babcia Letycja też. Chcesz je tu zostawić?

– Nie wiem... nie, ale... – Modesta sprawiała wrażenie kompletnie skonsternowanej. Sophie, która czuła panikę ogarniającą dorosłych, wybuchnęła łzami.

Joseph próbował się opanować i zaczął snuć nierealne plany. I w trakcie tego rozgardiaszu do pokoju wszedł Alex, który – ku skrytemu oburzeniu Felicji – był na spacerze z młodą kobietą z jednego z sąsiednich dworów. Teraz wrócił w doskonałym nastroju i miał zdrową, niemal prowokująco opaloną twarz.

– Cóż to, konferencja kryzysowa? – spytał ironicznie.

Wszyscy odpowiedzieli jednocześnie:

– Rosjanie!

– Podpalili Gumbinnen! – dodała Modesta drżącym głosem.

– Wiem – odparł Alex. – Nikt nie mówi tu o niczym innym.

Felicja wlepiła w niego zdumione oczy.

– Ty o tym wiesz? I wracasz sobie ze spaceru jak gdyby nigdy nic?

– Moja droga, ja już nawet nie odważyłbym się o tym w ogóle mówić. Ostatnio, kiedy tylko zaczynałem choćby robić aluzje na temat niebezpieczeństwa grożącego ze wschodu, to wszyscy napadaliście na mnie, bo nie chcieliście słuchać takich kasandrycznych przepowiedni. Teraz więc powstrzymam się od wszelkich komentarzy.

– Nie bądź taki wyniosły, tylko dlatego, że wyjątkowo raz miałeś rację! – ofuknęła go Felicja. – A poza tym w ogóle nie wierzę, że Rosjanie dotrą aż tutaj. Muszą przecież przejść przez Angerapp\*\*, a tam na pewno zatrzymają ich nasi ludzie.

– Och, generał Felicja! – Alex uśmiechnął się szeroko. – Ty bardzo dokładnie wiesz, jak to będzie przebiegało, prawda?

– Czy wam się zdaje, że mamy czas, aby tu stać i dyskutować? – spytała ostro Modesta. – Za minutę może być za późno!

– Powinniśmy... – zaczął Joseph.

Nikom nie udało się sklecić jakiejś konstruktywnej propozycji. Aż do wieczora nie

mogli zdobyć się na decyzję opuszczenia Lulinna, a w radiu w międzyczasie podano, że w razie próby ucieczki należy liczyć się z surowymi karami.

Rosjanie posuwali się dalej naprzód, a mieszkańcy Lulinna oraz okolicznych majątków łudzili się ciągle, że są bezpieczni. Październik tego roku był wyjątkowo piękny, słońce zalewało kolorowe lasy złotymi promieniami i widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że trzeba będzie opuścić ten raj.

– Rosjanie nie zajdą daleko – pocieszali się nawzajem. – Oni w ogóle nie mogą dotrzeć tak daleko!

20 października Joseph otrzymał list z zarządu okręgu. Zawierał on powołanie do Volkssturmu i rozkaz stawienia się tego samego dnia w ratuszu w Insterburgu. Oczywiście oburzony Joseph nie mógł tego pojąć.

– Przecież oni nie mogą tego zrobić! – wykrzykiwał raz po raz. – Mam zajmować się gospodarką na potrzeby wojny, zgodnie z zarządzeniem! To niesłychane!

Volkssturm był grupą ochotniczą, utworzoną teraz ostatkiem sił Rzeszy. I powoływano do niego mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu pięciu lat, gotowych do obrony kraju, ale niezdolnych do służby w regularnym wojsku. Wszyscy, którzy przedtem byli albo za młodzi, albo za starzy, mieli teraz bronić kraju ze zdobyczną bronią, a nawet pancerfaustem. Oczywiście musieli uprzednio wziąć udział w przyśpieszonym przeszkoleniu. W Prusach Wschodnich mężczyzn potrzebowano szczególnie.

Joseph sprawiał wrażenie tak nieszczęśliwego i zgnębianego, że Felicji serce się kroilo. Nigdy go szczególnie nie lubiła, ale w gruncie rzeczy był to pocziwiec, który nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Pojadę z tobą, Josephie – powiedziała – i porozmawiam z nimi. Potrzebujemy cię tutaj, w majątku, i oni nie mogą cię tak po prostu powołać do tego idiotycznego Volkssturmu!

– Obawiam się, że mogą – stwierdził Alex. – Im teraz grunt pali się pod stopami i chwytają się wszystkiego. A Joseph jest mężczyzną w najlepszych latach.

– Ale jest potrzebny tutaj i muszą to zrozumieć – przerwała mu gwałtownie Felicja. – Nie bój się, Josephie. Pojadę z tobą do Insterburga.

Oczywiście nic nie wskórała, a wręcz przeciwnie, musiała wracać do domu sama, bo Josepha od razu zatrzymano. Miał już następnego dnia wziąć udział w szkoleniu w koszarach.

Felicja jechała z powrotem małym samochodem Modesty, bo duży dawno został zarekwirowany, i całą drogę głośno klęła. Zapadł już wczesny jesienny zmrok, a łąki ciągnące się po obu stronach pustej wiejskiej drogi przykrywała gęsta mgła. I nagle Felicję ogarnął dziwny lęk, absurdalny i gwałtowny. O wiele większy niż ten, który pojawiał się w czasie bombowych nalotów na Monachium, a także ten, który czuła tamtej nocy, kiedy Maksym zabił Lulu. Bała się nawet bardziej niż wtedy, kiedy gestapo przeszukiwało jej dom. Gdzieś w głębi jej samej tkwiła pewność, że zawsze przetrwa, w każdej sytuacji, tak czy owak, bez względu na to, jaki cios na nią spadnie. A tym razem ta odwaga i pewność ją opuściły. Stale machała lekceważąco ręką, kiedy Alex wygłaszał swoje obawy, ale teraz ów dziwny lęk był wręcz paralizujący i nie chciał ustąpić. Nie była w stanie stawić mu czoła. Patrzyła na błądy, wąski sierp księżycy wiszący nieruchomo nad ciemnymi lasami, którego srebrne, zimne światło kazało myśleć o zimowych nocach, i stwierdzała z przerażeniem, że teraz nadchodzi koniec. „Spodziewamy się tego od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i teraz ten czas już nadszedł i to będzie bardziej przerażające, niż możemy to sobie wyobrazić”.

I ta niejasna obawa towarzyszyła jej, kiedy jechała do dworu drogą obsadzoną dębami. Jakiś liść opadał powoli i zatrzymał się na przedniej szybie. „Nie wyjadę stąd”, pomyślała, „nie opuszczę Lulinna. Nieważne, co się stanie, ale Lulinna nie oddam”. I z daleka już widziała, że

coś się działo, bo wszędzie w domu paliły się światła. Felicja dostrzegła w ich poświacie kilka wozów i koni, także krowę, która wyraźnie wystraszona ryczała głośno, kiedy jeden z parobków chciał zaprowadzić ją do obory. Na wozach piętrzyły się wszelkie domowe sprzęty.

– Co się stało? – spytała Felicja, kiedy wysiadła z samochodu.

Yves, francuski robotnik, który trzymał latarnię i sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, odpowiedział:

– Uchodźcy. Przyjechali z... z Goldapu\*\*\*. Rosjanie tam są.

– O, dobry Boże! – krzyknęła Felicja i pobiegła do domu, gdzie już szła do niej Modesta, kołysząc się jak kaczka.

– Felicjo! Jak dobrze, że już jesteś! A gdzie jest Joseph? – Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – Mamy tu uchodźców. Pięć kobiet, staruszek i siedmioro dzieci. Przeżyli coś strasznego.

Uchodźcy siedzieli w jadalni przy stole, bladzi i wymęczeni, a na ich twarzach malował się strach. Jadzia zносиła chleb, masło, ser i wielkie dzbanki mleka. Dzieci zaczęły jeść, ale dorośli sprawiali wrażenie ludzi, którzy nie będą w stanie przełknąć ani kęsa. Pili tylko mleko. Po twarzy jednej z młodych kobiet płynęły łzy.

– Przyjeżdżacie z Goldapu? – spytała Felicja. – I tam już są Rosjanie?

Przerażająca perspektywa, Goldap znajdował się przecież tak blisko.

Uchodźcy zaczęli opowiadać, że do ostatniej chwili zabraniano im opuszczać miasto.

– Słyszeliśmy już ogłuszające odgłosy ostrzału artyleryjskiego – powiedziała jedna z kobiet – a czołgi były coraz bliżej. Na dach naszego domu spadły granaty i myślałam, że wszystko zawali mi się na głowę. Nie mogłam pojąć, dlaczego nie pozwalano nam uciekać. Zaprzęgam konie i wrzuciłam na wóz parę rzeczy, ale nie odważyłam się wyruszyć. Siedziałam z moimi dziećmi w piwnicy i się modliłam. A potem do domu wpadły inne kobiety, półprzytomne z przerażenia, i zaczęły krzyczeć, że Rosjanie już są i że musimy natychmiast uciekać, bo oni gwałcą wszystkie kobiety albo zabijają.

Młoda dziewczyna, która nie była w stanie przestać płakać, skinęła głową.

– Ja to przeżyłam. Rosjanie zrobili polowanie dosłownie na wszystko, co się rusza. Oni byli jak... jak pijani szaleńcy. Wdzierali się do domów i rzucali na kobiety, także na całkiem stare babcie i małe dziewczynki, które miały może z dziesięć lat. Niektórzy z nich tylko strzelali na oślep. Widziałam jedną rodzinę leżącą we krwi – szlochała coraz gwałtowniej.

Jedno z dzieci podeszło do niej i bezradnie pogłaskało ją po policzkach.

– Ja zdążyłam skryć się ze swoją córką w spiżarni, gdzie mnie nie znaleźli, a potem uciekłam po dachach. To cud, że jeszcze żyję.

– Przerażające – powiedziała Felicja cicho.

– Oni sami doznali czegoś, co jest nieludzkie, i teraz tak się zachowują. – Alex niepostrzeżenie pojawił się w pokoju. – A najgorsze, że zawsze dotyka to tych, którzy są najmniej winni. Jestem absolutnie pewien, że wasz wielce szanowny pan gauleiter, który teraz jeszcze dzień w dzień sili się na hasła o trwaniu na posterunku za wszelką cenę, będzie wiedział, kiedy należy się błyskawicznie ulotnić, a my zginiemy w katastrofie.

Miał przed sobą przerażone, wyczerpane oczy, w których nie widać już było ani cienia nadziei.

– Czy możemy tu zostać na noc? – spytał stary człowiek. – Jesteśmy u kresu sił. Nie damy rady jechać dalej.

– Oczywiście. Możecie zostać, jak długo chcecie – odparła Felicja.

Jedna z kobiet potrząsnęła przecząco głową.

– Tylko do jutra. Potem jedziemy dalej, na zachód, jak tylko choć trochę wypoczniemy.

I powinniście wszyscy jechać z nami. Też by to pani zrobiła, gdyby widziała to, co my.

Felicja zadygotała i kurczowo objęła się ramionami. W pomieszczeniu było ciepło, w kominku płonął ogień, ale jej nagle zrobiło się zimno. Rozejrzała się za Alexem, który właśnie zamierzał wyjść.

– Dokąd idziesz?

– Jestem umówiony.

Zazdrość, którą nagle poczuła, była jak ostre, bolesne uderzenie.

– Z kim? Z tą dziewczyną, z którą się tu często spotykasz?

Alex skinął głową.

– Tak. Ona nazywa się Clarissa – ta dziewczyna.

W tym momencie Felicji było obojętne, że jej słowa usłyszą obcy ludzie.

– Jesteś żonatym mężczyzną, Alex!

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem odpowiedział:

– Tak. Ale na szczęście nie z tobą.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

W kotle pod Witebskiem zakończyło się życie Siergieja, mimo że przeżył. Jego serce biło, widział wszystko i słyszał, także czuł, ale to było gorsze, niż gdyby sztywny i zimny leżał głęboko w ziemi. Amputowano mu nogę na wysokości uda i na razie był w stanie się poruszać tylko na wózku, ale wyjaśniono mu, że będzie mógł chodzić o kulach. A poza tym lekarz jak najdelikatniej powiedział mu, że jego męska siła przestała istnieć na zawsze.

– Ten granat, który strzaskał panu nogę do tego stopnia, że musieliśmy ją amputować... Jego odłamki dostały się też do pańskiego podbrzusza i uszkodziły nerwy. Ale proszę nie popadać w rozpacz! Inni żołnierze są równie ciężko ranni albo nawet gorzej. To jest ofiara, którą musieliśmy ponieść dla ojczyzny.

„Nie popadać w rozpacz!” Siergiej odebrał te słowa niemal jak kpinę. Czy ten typ miał pojęcie, jak on się teraz czuł? Czy nie był w stanie sobie wyobrazić, że Siergiej wołałby umrzeć, niż żyć tylko w połowie? Że niczego teraz bardziej nie pragnął, niż żeby to cholerne serce przestało bić, jego oddech po prostu ustał, aby co ranka nie musiał zadawać sobie pytania, dlaczego nie umarł we śnie. A w ogóle dlaczego, do cholery, musiał przeżyć kocioł pod Witebskiem? Większość jego towarzyszy zginęła. I tylko on, tylko jego ciało akurat musiało okazać się bardziej uparte niż każde inne. Rozerwana noga, a mimo to się nie wykrwawił. Lekarze byli zdumieni, że przeżył. „Twardziel z pana”, usłyszał od jednego z nich przed amputacją.

Siergiej, który nie mógł się pogodzić z impotencją i niemożnością poruszania się w normalny sposób, odbierał swoją cielesną powłokę jako wyjątkowo męczącą i wstrętną, co było gorsze niż przeszywające bóle, które dręczyły jego nieistniejącą nogę. Podły, ale typowy żart jego nerwów. Bo najważniejsze, absolutnie najważniejsze w jego życiu było zawsze piękne ciało. To jemu poświęcał większość czasu, a codzienny priorytet stanowiła staranna pielęgnacja. Poczucie własnej wartości, pewności siebie i snobizm wynikały z nienagannego wyglądu zewnętrznego, bo w gruncie rzeczy – i to stało się dla niego jasne właśnie teraz – nie miał nic więcej do zaoferowania. Prawdopodobnie Nikola miała rację, kiedy raz w czasie jednej z kłótni krzyknęła do niego:

– Jesteś pusty jak bęben!

Nikola. Siergiej stanowczo postanowił nie mówić jej o swoim stanie. I tak ją już stracił, bo nie zniósłby, gdyby z poczucia obowiązku wróciła do niego i codziennie musiałby widzieć w jej oczach obrzydzenie i wstręt. W chwilach najgłębszej rozpaczki był jednak bliski napisania do niej, a jego pragnienie, aby się tu zjawiała, trzymała go za rękę i gładziła po czole, walczyło

z ciągłym lękiem, że będzie przerażona, kiedy się o wszystkim dowie. Czterdziestodwuletni mężczyzna, impotent, o kulach, bez pieniędzy i bez przyszłości.

– Pojutrze wychodzę ze szpitala – powiedział sąsiad Siergieja, młody Niemiec z Pragi, któremu amputowano stopę i rękę i który w dodatku widział tylko na jedno oko, ponieważ w drugie trafił odłamek granatu. – Jestem pół porcji. – Tak Karl ze śmiechem nazywał samego siebie, ponieważ miał wszystkiego po jednym egzemplarzu.

Siergiej nie potrafił zrozumieć, jak będąc w takim położeniu, można zdobyć się choćby na odrobinę poczucia humoru.

– Ciesz się – mawiał Karl – bo nas, takich biednych kreatur, nie wyśle na front nawet ten oficer, który zbiera resztki oddziału i usiłuje z nich coś sklecić.

– Jedziesz do domu? – spytał Siergiej.

Karl skinął głową.

– Doktor mówi, że już prawie wyzdrowiałem. Prawdopodobnie potrzebne jest im łóżko, i to pilnie. Ale cieszę się. Moja żona też się ucieszy, musi przecież teraz robić wszystko w sklepie sama.

Karl miał w Pradze mały sklep warzywny.

– Twoja żona... – powiedział głucho Siergiej.

Karl popatrzył na niego z uśmiechem, chcąc dodać mu otuchy.

– Może jeszcze nie jest za późno. Napisz do swojej, na pewno jakoś się dogadacie!

– Tak? Popatrz na mnie! Nikola nie musi się zadawać z kimś takim jak ja. Ona jest piękną kobietą. Może mieć każdego.

– Ale może kocha tylko ciebie.

Siergiej roześmiał się gorzko.

– Dlaczego miałyby mnie kochać? Nie dałem jej po temu zbyt wielu powodów, Karl. Oszukiwałem ją całymi latami. Wiesz, czasami myślę, że to, co mnie spotkało, to kara niebios. Zawsze ją zdradzałem i teraz jestem... to znaczy, ja już nigdy nie będę... nie będę prawdziwym mężczyzną.

– Tak, ale to przecież nie jest najważniejsze. Kobiety, a na pewno wiele z nich, nie są tak spragnione seksu jak mężczyźni – stwierdził Karl, ale zauważył, że dla Siergieja te słowa nie były żadną pociechą.

– Ja chciałbym umrzeć – powiedział Siergiej cicho. – Niczego tak nie pragnę. Kiedy stąd wyjdę, zrobię wszystko, aby zakończyć to zasrane życie.

Karl potrząsnął głową.

– Zanim zrobisz jakieś głupstwo, przyjedź najpierw do mnie. Naprawdę, to całkiem dobry pomysł. Moja żona i ja cieszylibyśmy się, gdybyś u nas był. Mógłbyś pomagać nam w sklepie...

– Ja? Sam sobie ledwo mogę poradzić z podstawowymi czynnościami.

– Ale bądź co bądź masz jedną rękę więcej niż ja. Siergiej, człowieku, zastanów się! Nie musisz u nas zostawać na stałe. Ale przynajmniej do tego czasu, aż się jakoś pozbierasz. Nie możesz teraz siedzieć sam w mieszkaniu i snuć ponurych myśli, bo zwariujesz!

– Nie potrzebuję i nie chcę litości.

– Nie lituję się nad tobą. Po prostu cię lubię.

Siergiej popatrzył na niego. Błada, zwyczajna, ale sympatyczna twarz. Wiedział, że w innej sytuacji nie poświęciłby ani minuty uwagi takiemu człowiekowi jak Karl. Uważałby go za nieciekawego prostaka... Handlarz warzywami z Pragi! Ale teraz z zaskoczeniem stwierdził, że ciepło i sympatia tego człowieka były autentyczne i że sprawiały mu przyjemność. I zaczęło do niego docierać, że w przyszłości będzie musiał podchodzić do życia inaczej i wobec braku wyboru zaczną się liczyć inne wartości niż te, które wyznawał dotychczas. Czasy beztroskiej

zabawy minęły bezpowrotnie, znikną także eleganccy i weseli przyjaciele, na których mógł liczyć wtedy, kiedy jemu powodziło się dobrze, ale o których można było zapomnieć w złych chwilach. Będzie musiał być mniej wymagający – a może właśnie bardziej? Ale tak czy owak, nie miał już luksusu wybierania. W tej chwili pozostał mu tylko ten blady, miły Karl z Pragi. Poza nim nie miał nikogo.

– Tak. Pojadę z tobą. Nie mam dokąd jechać. Pojadę z tobą.

Łzy ciekły mu po twarzy, kiedy to mówił.

\* Gąbin.

\*\* Węgorapa.

\*\*\* Gołdap.



## 7.

Niemieckim żołnierzom rzeczywiście udało się raz jeszcze wyprzeć Rosjan z Prus Wschodnich i to tak, jak prorokowało wielu ludzi: jeszcze zanim Rosjanie zdążyli przekroczyć rzekę Angerapp. Dotarli jedynie do Nemmersdorfu i potraktowali tę wieś z niebywałym okrucieństwem. Jedna ze służących z Lulinna, której rodzice tam mieszkali, pojechała zidentyfikować zwłoki swoich najbliższych. Wróciła przerażona i nie była w stanie mówić o tym, co widziała. Nikt nie spodziewał się takiego szału zabijania, także dlatego, że mało kto wiedział o ekscesach SS w Rosji, a poza tym nikt nie miał pojęcia, co zastali sowieccy żołnierze przy wyzwalaniu terenów zajętych przez Niemców.

„Rozszarcie faszystowskie zwierzę w jego jamie!”, tak brzmiało hasło wygłoszone przez Stalina, a Prusy Wschodnie miały już przedsmak tego, jak miało to wyglądać. Raz jeszcze umocniono linie obronne, ale ufność ludności w walcząco Wehrmachtu została już podkopana. „Żaden Rosjanin nie stanie na ziemi niemieckiej”, mawiano, a mimo to teraz stało się inaczej.

„Drugi raz im się nie uda!”, ogłosiły władze okręgu, zabraniając opuszczania kraju, za co groziły ostre kary. W tym samym czasie wzdłuż granicy Prus Wschodnich formowały się oddziały armii rosyjskich i były to potężne siły, gotowe do ataku przy pierwszej nadarżającej się okazji. Na pięćdziesięciu żołnierzy niemieckich przypadało pięciuset rosyjskich. I już w tym momencie los ziem między Morzem Bałtyckim a Mierzeją Kurońską był przypieczętowany.

Po wydarzeniach w Nemmersdorfie Felicja zaczęła przygotowywać ucieczkę. Jej największe zmartwienie w tych tygodniach stanowiła Elza, bo ktokolwiek widział, jak bardzo była osłabiona, od razu zdawał sobie sprawę, że nie będzie w stanie opuścić łóżka. Drugą zgrzyotą Felicji były cenne przedmioty, które znajdowały się w domu. Porcelana miśnieńska. Srebrna zastawa do herbaty. Stare świeczniki pochodzące jeszcze z czasów napoleońskich. W razie konieczności ucieczki nie będzie można tych rzeczy zabrać, ale wizja, że mogłyby one wpaść w ręce jakiegoś Rosjanina, wydała się Felicji wstrętne. W ostatnich dniach października zabrała się za pakowanie wszystkiego do dużych skrzyń, owiniawszy każdy przedmiot w gazety i nawoskowane szmaty. Oczywiście zaskoczyła ją przy tym Modesta.

– A co ty takiego robisz? – spytała zaciekawiona.

– To będzie zakopane – oświadczyła Felicja. – Wtedy nie wpadnie w ręce Rosjan.

Modesta zrobiła wielkie, przerażone oczy.

– Myślisz, że musimy uciekać? Ja nie mogę, jestem w ciąży, ja...

– Modesta, ja nie wiem! – przerwała jej szorstko Felicja. – Ale powinniśmy być przygotowani na wszystko, rozumiesz?

– A gdzie chcesz zakopać te skrzynie?

– W sadzie. Ale zrobię to nocą. Ani rosyjscy więźniowie wojenni, ani polscy służący nie powinni wiedzieć, gdzie to się znajdzie.

Przystąpiła do pracy od razu kolejnej nocy. W sadzie rosły ogromne krzewy, których gałęzie przykrywały ziemię wokół pni, i pod nimi Felicja postanowiła zacząć kopać. Nie będzie widać, że grunt był tu ruszany, a nawet gdyby Rosjanie szukali właśnie tutaj, to istniała szansa, że nie znajdą wszystkiego.

Noc była ciemna i zimna. Felicja przyniosła ze stajni latarnię, aby móc w ogóle cokolwiek zobaczyć. Ubrała się ciepło, owinięła szyję ciepłym szalem, założyła też rękawiczki i po namyśle podbitą futrem kurtkę Alexa. Mimo to marzła. Padał drobny deszcz, a gałęzie krzewów uderzały ją w szyję i ramiona. Przez cały czas myślała, jak miło byłoby po prostu to

wszystko zostawić i znów zagrzebać się w ciepłym łóżku, ale potem przypomnieli jej się Rosjanie i widziała oczami wyobraźni, jak rabują w domu wszystko, co nie było przymocowane na stałe do podłóg i ścian. Z wściekłością spulchniała twardą ziemię, a potem chwyciła za szpadel i kopała coraz głębiej. Przynajmniej robiło jej się ciepło, a z powodu intensywnego wysiłku serce waliło jak oszalałe.

Ustawiła skrzynki na tylnej werandzie domu i teraz zaczęła nosić jedną po drugiej do ogrodu. Sapała zmęczona i co rusz musiała odstawiać kolejną skrzynię na ziemię, bo brakowało jej sił. Kiedy po raz trzeci wróciła na werandę, z kąta obok drzwi oderwał się jakiś cień. Był to Alex.

Włączył latarkę i Felicja dostrzegła jego twarz.

– O Boże, Alex! – powiedziała. – Przeraziłeś mnie śmiertelnie!

– Przepraszam. Usłyszałem jakiś szelest i pomyślałem, że zobaczę, co to jest.

Felicja zachowywała się bardzo cicho i gdyby spał, raczej nie mógłby niczego usłyszeć.

A poza tym był kompletnie ubrany.

– Czy ty w ogóle byłeś już w łóżku? – spytała.

Potrząsnął głową w odpowiedzi.

– Nie. Czytałem jeszcze.

– Przecież jest środek nocy. Dlaczego nie śpisz o tej porze?

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie śpiam długo. Co to za skrzynie?

Felicja wyjaśniła wszystko pokrótce.

– Możesz mi pomóc zanieść je do sadu. Wszystko już tam przygotowałam. – Wyczerpana odgarnęła z czoła mokre włosy. – Muszę okropnie wyglądać. Nie patrz na mnie!

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym tkliwości.

– Nie darowałbym sobie patrzenia na ciebie nawet wtedy, gdybyś miała ospę. Chodź, pokaż mi, gdzie mam zanieść te skrzynie!

Nie pozwolił, aby ona coś jeszcze nosiła, po czym zasypał skrzynie i starannie udeptał ziemię. Był tak samo przemoczony jak Felicja, miał też zdrętwiałe i obolałe ręce.

– Bądź co bądź – powiedział i przejechał ręką po bolącym krzyżu, tłumiąc stęknienie – ten nocny pokaz siły pozwala mi nabrać nieco nadziei. Bo najwyraźniej zaczynasz powoli myśleć o tym, że Rosjanie jednak mogą nadejść.

– Nigdy nie wiadomo. W każdym razie nie chcę, aby mnie splądrowali. – Felicja zadygotała z zimna. – Chodź szybko, idziemy do domu, bo się pochorujemy.

Alex przytrzymał przed nią drzwi werandy i zamykając je starannie, zapytał:

– Wypijesz coś ze mną?

Felicja pierwotnie miała zamiar jak najszybciej zagrzebać się w łóżku, ale teraz stwierdziła z zaskoczeniem, że wcale nie czuła zmęczenia i że nie chciała być sama. Poszła za Alexem do salonu. Mężczyzna zapalił lampkę przy oknie, która tylko częściowo rozpraszała mrok, dzięki czemu na ścianie pojawiały się osobliwe cienie. W kominku tlił się jeszcze żar, Felicja uklękła więc na podłodze i zaczęła mocno dmuchać, aż pojawił się płomień. Dołożyła dwa polana i z przyjemnością patrzyła, jak obejmował je ogień. Dygocąc z zimna, ściągnęła mokre ubrania. Z jej włosów kapłała woda. Zdjęła wysokie buty, spodnie, kurtkę i sweter, po czym zasiadła przed kominkiem tylko w bawełnianej koszulce.

Alex tymczasem przyniósł szklanki i nalał do nich portwajnu; robił to tak spokojnie, jak gdyby był u siebie w domu. Felicja pomyślała z lekką irytacją, że to faktycznie jest jego dom.

– Masz. Rozgrzejesz się od środka. – Podał jej szklankę, po czym usiadł koło niej. – Mam ci przynieść ręcznik, żebyś zawinęła włosy?

– Nie, nie trzeba. One teraz szybko wyschną.

Felicja piła wino małymi łykami i patrzyła na Alexa, który także się rozebrał. Został tylko w swoim golfie i Felicja nagle zachichotała. „Z mężczyznami mojego życia prędzej czy później ląduję przed kominkiem”, pomyślała.

– Czemu się śmiejesz? – spytał.

– Ach, tak tylko... że tu siedzimy, w takiej romantycznej scenerii i... i jakoś jesteśmy sobie tak bliscy, że bez skrępowania się robieramy w swojej obecności, ale jednocześnie zachowujemy wobec siebie taki dystans, jakbyśmy nigdy nie byli małżeństwem i nigdy nie...

– Co?

– I nigdy nie dzielili ze sobą nocy.

Alex odstawił szklankę.

– My dzieliliśmy ze sobą połowę życia, Felicjo, mimo że tyle lat nie byliśmy razem. Wiem, że nic i nikt na świecie nie jest mi tak bliski jak ty. I sądzę, że to działa w dwie strony, tyle że ty nie chcesz i nie możesz tego dostrzec.

Wyciągnął ramiona, a ona wtuliła się w niego i jak zwykle w jego obecności poczuła się znowu bezpiecznie, czego nie doceniała i co uważała za niepotrzebne. Szorstka wełna jego golfu drapała ją w policzek. Siedzieli przytuleni, wpatrując się w milczeniu w ogień, i w którymś momencie Felicja zasnęła. Śniło jej się, że wykopywała wielkie dziury, aby móc się w nich ukryć przed wrogiem, ale mimo że pracowała jak szalona, to ziemia ciągle się zsuwała i wszystko zasypywała. Z ciemności nocy wynurzył się Alex i coś do niej wołał, ale ona nic nie rozumiała, a kiedy chciała pójść w jego kierunku, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W końcu się obudziła i potrzebowała dobrych kilku sekund, aby wrócić do rzeczywistości. Ciągle leżała w ramionach Alexa, który ściągnął skądś wełniany koc i okrył nim ich oboje, bo ogień w kominku zgasł i w pokoju zrobiło się chłodno. Mężczyzna siedział oparty o fotel z głową na miękkim siedzeniu. Oddychał głęboko i regularnie. Felicja wpatrywała się w szary świt. Za oknem szumiał deszcz i silny wiatr szarpał gałęziami drzew, zrzucając z nich ostatnie liście. Odetchnęła głęboko. Wysiłki ostatniej nocy się opłaciły. Roszanie się tu nie obłowią.

„Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty będzie decydujący”. To zdanie powtarzali już wszyscy. Niemiecka ofensywa w Ardenach się nie powiodła, Amerykanie zajęli już Aachen i ich marszu nie dało się powstrzymać. Mieszkańcy Niemiec cierpieli, nękani silnymi bombardowaniami, ale ciągle jeszcze SS i gestapo urządzało polowania na członków ruchu oporu i „elementy dywersyjne”, nadal miały miejsce egzekucje i tortury.

Mieszkańcy Lulinna spędzili wigilijny wieczór w ciszy i świadomości grożącego im niebezpieczeństwa. Joseph miał służbę na granicy i nie mógł przyjechać do domu, Modesta lamentowała więc godzinami i zachowywała się tak, jakby już była wdową. Zbliżał się termin narodzin jej dziecka i zdenerwowała się niesłychanie, kiedy dzień przed Wigilią wojsko zarekwirowało jej małe auto, ostatnie, które zostało w Lulinie. Teraz w razie potrzeby nawet nie będzie można zawieźć jej do szpitala.

Alex i Yves ścięli w lesie jodłę i ustawili ją w salonie. Felicja ozdobiła drzewko starymi rodzinnymi dekoracjami i powiesiła na czubku tradycyjnego połączanego aniołka. Na dworze padał lekki śnieg, w domu w kominku trzaskał ogień. Udało im się zaoszczędzić na tyle mąki i tłuszczu, aby Jadzia mogła upiec kilka placków i nawet małą struclę bożonarodzeniową. Felicja zaprosiła Yves'a, aby świętował z jej rodziną. Oczywiście było to zabronione, ale kto miałby się o tym dowiedzieć? Modesta uznała ten pomysł za niestosowny i odsuwała się jak najdalej od młodego Francuza. Siedziała nadąsana, bo Felicja kupiła w Insterburgu prezenty tylko dla Sophie i nawet przez myśl jej nie przeszło przywieźć coś dla dzieci kuzynki. Oburzona Modesta zażądała wyjaśnień, ale Felicja odpowiedziała, że dla tylu dzieci już nie mogła zdobyć

prezentów. W efekcie skłócone kobiety starannie schodziły sobie z drogi.

Alex i Yves znieśli na dół prababcię Letycję, ale szybko okazało się, że to dla niej za dużo. Błądą i wyczerpaną staruszkę trzeba było zanieść z powrotem na górę. Elza została w łóżku; znów miała gorączkę, ale Jadzi udało się skłonić ją do wypicia filiżanki rosółu z kury.

„Dom pełen starych, chorych albo ciężarnych kobiet”, pomyślała Felicja, „a tam, niedaleko, w śniegu stoją rosyjscy żołnierze. Jak dobrze, że jest tu przynajmniej Alex...”.

Obserwowała go w świetle płonących świec. Posadził właśnie Sophie na nowego konika na biegunach i próbował podregulować wysokość strzemion. Od samego początku ostrzegał przed rosyjską inwazją, ale mimo to został w Lulinnie. A przecież mógł bez przeszkód wyjechać. Jego ojczyzną był Nowy Jork. Jednak on został tu, w Prusach Wschodnich, w czasie, kiedy wrogowie gotowi byli zatłuc na śmierć albo rozstrzelać każdego mężczyznę, którego napotkali.

„Nie robi tego z powodu owej Clarissy, czy jak ona się tam nazywa, tylko właśnie ze względu na mnie!”, stwierdziła w myślach Felicja.

Alex poczuł, że jest obserwowany, bo nagle się odwrócił i uśmiechnął do niej. Felicja odwróciła się gwałtownie, bo uświadomiła sobie, że wpatrywała się w niego jak głodny kot. Kiedy do niej podszedł, drgnęła.

– O czym myślałaś, Felicjo?

Zarumieniła się lekko.

– O... o Paulu. I o Maxie, mężu Belle. Zastanawiałam się, czy jeszcze żyją. I co robią dziś wieczór.

Uśmiechnął się szelmowsko w odpowiedzi.

– Zabawne, bo mógłbym przysiąc, że myślałaś o mnie. Miałaś ów bezwzględny wyraz twarzy, który pojawia się zawsze, kiedy o mnie myślisz. Ale widać nie znam cię tak dobrze, jak mi się wydaje.

– Z pewnością nie. W tym względzie zawsze się przeceniałeś.

Alex się roześmiał, a Felicja wstała i wyszła z pokoju. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem.

Następnego dnia, w pierwszy dzień świąt, zmarła Elza. A mówiąc dokładnie, zmarła nocą, bo Jadzia zastała ją rankiem martwą w łóżku. Była już zupełnie zimna i sztywna, a na kołdrze leżała fotografia w ramce, przedstawiająca jej syna Christiana. Stara Polka zareagowała na śmierć z takim samym spokojem, z jakim przyjmowała wszystko, co niesło ze sobą życie.

– Łaskawa pani Degnelly zasnęła na zawsze – obwieściła siedzącej przy śniadaniu rodzinie.

Wszyscy wlepili w nią przerażone oczy.

– O Boże – rzekła cicho Felicja.

Jedno z dzieci zaczęło płakać. W słabym świetle świecy ustawionej na stole Felicja widziała blade, zgnębione twarze. Sophie przestała jeść.

– Czy Elza nie żyje? – spytała.

– Tak, malutka. Ona nie żyje.

Felicja sama zbladła. Liczyła się z tą śmiercią, ale teraz czuła jakiś ucisk w krtani. Jej matka nie żyła. Po ojcu i obu braciach ona także odeszła.

„Do cholery, mam dość lat, aby nie płakać!”

Znów pojawiło się to uczucie bezgranicznego osamotnienia. Siedziała tu sama z Modestą i Yves'em oraz gromadą dzieci i nic nie zostało z tej radości, która zawsze towarzyszyła tu wszystkim w czasie świąt. Alex poszedł z szampanem do Clarissy na śniadanie. Felicja nie chciała, aby ktokolwiek zobaczył napływające do jej oczu łzy, i wstała.

– Wybaczcie mi – powiedziała gwałtownie.

Dziesięć minut później u Modesty pojawiły się pierwsze skurcze porodowe.

– Lekarza, szybko, sprowadźcie lekarza! – sapała i usiadła pośrodku schodów, tam, gdzie poczuła pierwsze bóle.

Jadzia i Felicja wspólnymi siłami zawlokły ją na górę do jej łóżka, po czym zdjęły z niej ubrania i próbowały ją uspokoić. Potem Felicja pobiegła do telefonu i zadzwoniła do lekarza w Insterburgu, który obiecał natychmiast wyruszyć w drogę, choć nie mógł zagwarantować, czy uda mu się szybko dotrzeć na miejsce przy tej pogodzie. I rzeczywiście utknął w pierwszej zaspie i zdołał się z niej wykopać dopiero po godzinie. Kiedy wreszcie przyjechał, Felicja i Jadzia były wykończone nerwowo, a Modesta gryzła z bólu koldrę.

– Nie powinna pani już rodzić dzieci, Modesto – powiedział lekarz. – Nie jest już pani na tyle młoda. A poza tym sześcioro chyba wystarczy, nie sądzi pani?

Modesta nie mogła odpowiedzieć, bo właśnie pojawiła się kolejna fala skurczów. W końcu jednak zdołała wysapać:

– Czy ja muszę umrzeć?

– Ależ skąd! Tyle że nie będzie to już takie łatwe i to wszystko. Proszę się rozluźnić i panować nad nerwami!

Trwało to do południa, aż wreszcie dziecko przyszło na świat – malutki chłopczyk. Modesta, całkowicie wyczerpana, natychmiast usnęła, a dzieckiem zajęła się Jadzia. Felicja zatrzymała lekarza przy drzwiach.

– Panie doktorze, musi pan jeszcze wystawić świadectwo zgonu. Moja matka...

Lekarz spojrzał na nią z przerażeniem.

– Elza zmarła? – spytał.

– Tak, ostatniej nocy. Mam tylko nadzieję, że nie cierpiała. Była sama.

Usłyszeli płacz dziecka.

– Dziś – rzekł lekarz – życie i śmierć rzeczywiście podały sobie tutaj ręce.

Felicja skinęła głową, ale lekarz obawiał się chyba, że powiedział coś zbyt banalnego, i dodał:

– Wie pani, to z pewnością nie jest dla pani żadna pociecha, ale w takich wielkich, starych rodzinach jak ta zawsze szczególnie piękny wydawał mi się ów niekończący się cykl. Śmierć, narodziny, śmierć, narodziny, i znowu... Ciągłe pojawia się nowe życie. A jeśli rodzina trzyma się razem tak jak wasza i kiedy jej jądrem jest miejsce takie jak Lulinn, wokół którego wszyscy się gromadzą, to owo życie nigdy nie przeminie. I w takiej rodzinie z Lulinnem w tle jest pani bezpieczna. Niech się pani nie czuje samotna.

Felicja myślała o jego słowach, kiedy już wyszedł, a ona stała przez chwilę w drzwiach i patrzyła na ciągle padający śnieg. Tak, lekarz powiedział prawdę. Lulinn był jądrem wszystkiego. I składał się na to także czar wielkiego, starego dworu. Jego dach osłaniał życie i śmierć ich wszystkich, bez względu na to, gdzie się znajdowali. I nawet kiedy czasami jedno z nich chciało wydrapać drugiemu oczy, to jednak tu wracali, związani niewidzialnym przymierzem.

„Jak długo istnieje Lulinn, to nie przeminiecie i nic nie rozerwie łączących was więzów”.

Ale teraz na granicy stali już Rosjanie i być może Elza będzie ostatnią osobą pogrzebaną na rodzinnym cmentarzu Dombergów.

Na myśl o tym Felicji chciało się płakać, a że płacz dobrze jej robił, przestała powstrzymywać łzy. Stała w drzwiach, szlochała i nie zwracała uwagi na dojmujące zimno.

Alex wprawdzie uważał Clarissę von Schonau za bardzo atrakcyjną, ale tak naprawdę nie znajdował w niej niczego, co by go poruszyło. Przypominała mu Patty, miała jasne włosy, niebieskie oczy i była słodką egoistką. Jednak sprawiała wrażenie bardziej inteligentnej niż

obecna Mrs. Lombard. Skończyła właśnie dwadzieścia lat.

Jej ojciec hodował trakeny w swoim majątku Schonau, którego tereny przylegały do Lulinna. Uchodził za jednego z najbogatszych ludzi w okolicy, ale mimo tak wielkich pieniędzy nigdy nie udało mu się tak naprawdę należeć do towarzystwa. Nie umiał utrafić we właściwy ton, cenił rzeczy, które inni lekceważyli, i ignorował to, co dla innych było ważne. Na przykład nikt w okolicy nie dałby przyzwolenia, aby jego niespełna dwudziestoletnia córka regularnie spotykała się z pięćdziesięcioletnim mężczyzną, który w dodatku miał żonę w Nowym Jorku. Ale baron Schonau zupełnie nie rozumiał, dlaczego miałyby się z tego powodu gorszyć czy oburzać. Alex Lombard był przystojnym, eleganckim mężczyzną i baron nie miał nic przeciwko temu, że towarzyszył jego pięknej córce.

Śniadanie z szampanem się zakończyło i większość gości wyruszyła już w drogę do domów. Clarissa i Alex zostali w salonie i zasiedli przed kominkiem z kolejną butelką i dwoma kieliszkami. Dziewczyna miała na sobie suknię z czerwonego aksamitu, która znakomicie pasowała do jej jasnych włosów. Nie można było po niej poznać niedostatków wojny, nie miała też nic wspólnego z kobietami, z którymi Alex zetknął się w miastach. W ich oczach i na zmęczonych twarzach ciągle niedostatek oraz pełne strachu noce spędzane w schronach w czasie nalotów odcisnęły niezatarte piętno. Tu, w Prusach, nie odczuwano jeszcze skutków wojny, a Clarissa nie należała do ludzi, którzy obawiają się o coś, co ich bezpośrednio nie dotyczy.

– O czym myślisz? – spytała.

– O niczym.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

– Nie wierzę ci. Wyglądasz na kogoś, kto właśnie przebywa w jakimś odległym świecie.

Znów u tej Felicji?

Alex popatrzył na nią ostro. Jak wiele kobiet tego rodzaju miała zaskakująco dobrą intuicję w niektórych kwestiach. Mimo że nigdy o tym nie mówili, dla Clarissy dawno już stało się jasne, że Alexa nic nie łączyło z nowojorską żoną i że przyczepił się do Felicji Lavergne jak przysłowiowy rzep.

– Nie, nie u Felicji – odpowiedział Alex. – Mówię tylko, że o niczym nie myślę.

Clarissa zachichotała, po czym naląła sobie pełen kieliszek.

– Gdybyśmy się pobrali – powiedziała wprost – mielibyśmy największy majątek w okolicy. Lulinn i Schonau razem. Moglibyśmy zająć się głównie hodowlą trakenów. Już choćby te rozległe łąki...

– Clarisso, ja jestem żonaty!

W odpowiedzi machnęła lekceważąco ręką.

– Wiem. To się rozwiedź. Rozwiodłeś się przed laty z Felicją, to masz już wprawę.

– Jesteś bardzo przemądrzała, Clarisso. I pewna siebie.

– Tak, jestem – odparła bez ogródek, po czym pochyliła się i pocałowała Alexa w policzek. – Ty za to jesteś niesłychanie skomplikowany.

– Wcale nie jestem skomplikowany. Tylko miałem w życiu o kilka kobiet za dużo.

Roześmiała się.

– Wybacz, ale to też brzmi zarozumiale. To jak, idziemy na spacer?

– Chętnie.

– Dobrze. Pójdę się szybko przebrać.

Patrzył za nią, kiedy wychodziła z pokoju. Była młoda i całkowicie beztraska. Kobieta, która w ogóle nie brała pod uwagę tego, że jej świat może zacząć się chwiać w posadach. Nie wierzyłyby w nadejście Rosjan nawet wtedy, gdyby stanęli teraz pośrodku jej pokoju.

Po dwudziestu minutach wróciła ubrana w długie spodnie, wysokie buty i grubą,

czerwoną kurtkę. Na głowie miała futrzaną czapkę, a szyję zawiniętą w czarny kaszmirowy szal. I jak zawsze tryskała energią i radością życia.

– Wiesz, Alex – powiedziała, naciągając starannie rękawiczki – najgorsze, że nie chcesz pojąć tego, że nigdy już nie odzyskasz Felicji. Jeśli nie udało ci się tego dokonać w ciągu tylu lat, to dlaczego miałyby się udać właśnie teraz? Marzenie, które się nie spełnia, powinno się kiedyś pogrzebać, bo traci się na nie zbyt wiele czasu. Trzeba umieć wyrzucić jedno za burtę, żeby móc zacząć coś innego od nowa.

– Taka młoda i taka rozsądna – odparł Alex, uśmiechając się. – Ale jeśli chodzi o Felicję, to się zagalopowałaś. To było całe lata temu. Ona już nic dla mnie nie znaczy.

Clarissa wzruszyła ramionami.

– Ach, to i tak nieważne – odrzekła pojednawczo. – Chodźmy!

Dziś na pewno nie miała zamiaru wracać do tego tematu. W końcu nie chciała też zirytować Alexa.

9 stycznia 1945 roku nadszedł mróz. Śnieg padał już od wielu dni i drzewa, domy oraz pola pokrywała gruba warstwa lekkiego białego puchu. Teraz wszystko zaczęło zamarzać – rzeki, jeziora, rozległe, zasypane śniegiem łąki. Temperatura spadła do minus dwudziestu stopni.

12 stycznia zaatakowali Rosjanie. Ich armie podzieliły się na trzy wielkie ugrupowania: na północy Rosjanie weszli do Prus Wschodnich, część znajdująca się na południu szła w kierunku Śląska, a ta pomiędzy ruszyła na Berlin. I była to największa armia wszystkich czasów; jednak Hitler nazwał ją „największym blefem od czasów Dżyngis-chana”.

Owemu „największemu blefowi od czasów Dżyngis-chana” wystarczył dokładnie jeden dzień, aby przebić się przez tak wychwalany Wał Wschodni i błyskawicznie zdobyć pozycje niemieckie. Potem rosyjskie czołgi jechały już po oblodzonych drogach miast i wsi Prus Wschodnich. Rozpoczął się prawdziwy dramat i od początku było wiadomo, że żołnierze niemieccy nie będą w stanie stawić skutecznego oporu. Wiedzieli jednak, co czeka cywilów, którzy wpadną w ręce Rosjan, dlatego wdawali się w rozpaczliwe potyczki, których celem było nie tyle wypędzenie wroga z kraju, ile próba opóźnienia jego marszu po to, aby kobiety i dzieci miały szansę ucieczki na zachód. Największe kolumny uchodźców już ruszyły, przeważnie wbrew wyraźnemu zakazowi naczelnika okręgu. Ciągłe podtrzymywano absolutny zakaz ewakuacji i pewnie pozwolono by mieszkańcom uciekać dopiero wtedy, kiedy Rosjanie pojawiliby się w przydomowych ogródkach. Uciekinierzy wlekli się drogami miast i wsi w długich szpalerach, często narażeni na bombardowanie i ogień artylerii rosyjskiej. W śniegu błądziły stada bydła; krowy z nabrzmiętymi wymionami, ryczące z głodu i bólu, konie ogarnięte paniką. Do idących uchodźców przyłączali się ranni żołnierze i próbowali bronić cywilów ostatkami sił i amunicji. Wkrótce wszystkie drogi zapchane były ludźmi, zwierzętami i wozami, dlatego kolumny poruszały się bardzo powoli i często stawały.

Prusy Wschodnie ogarnął kompletny chaos.

— Część V —



## 1.

W dniu, w którym w Prusach pojawili się Rosjanie, Modesta wstała po raz pierwszy od chwili porodu, ale czuła się bardzo źle. Wyglądała tak, że tym razem potraktowano jej narzekania poważnie. Była słaba i skarżyła się na zawroty głowy, jeśli tylko musiała wejść po schodach albo choćby wstać z krzesła. Narodziny dziecka pozbawiły ją wszystkich sił.

W końcu położyła się na sofie w salonie i dygotała z zimna, chociaż tuż obok w kominku płonął ogień i w pomieszczeniu robiło się za gorąco.

Felicja nabawiła się ciężkiego przeziębienia, którego nie mogła się pozbyć, mimo inhalacji z rumianku, płukania gardła i picia gorzkiego naparu z szaławii w dużych ilościach. Miała stale lekką gorączkę i chodziła z zaczerwienionymi, piekącymi oczami. Kiedy usłyszała, że Rosjanie pojawili się już w Prusach Wschodnich, pomyślała: „O Boże, teraz znów zaczną się te okropne dyskusje, czy uciekać, czy nie!”

Alex oczywiście upierał się przy wyjeździe. Felicja jednak wspomniała o osłabionej Modeście, chorowitym niemowlęciu i o sparaliżowanej babci Letycji, choć pominęła już swoje przeziębienie. Dodała, że niedozwolona ucieczka grozi sądem doraźnym, który mógł wydać nawet wyrok śmierci.

Alex machnął tylko ręką.

– Felicjo, wyruszmy nocą, kiedy wszystko okryje gęsta mgła, i przysięgam ci, że zadbam o to, aby nikt nie pociągnął nas z tego powodu do odpowiedzialności. Poradzimy sobie. Ale jeśli zostaniemy, to któregoś dnia nie będziemy mieli żadnych szans. Uwierz mi w końcu, Felicjo, że kiedy zjawią się tu Rosjanie, to z nami koniec. Jest bardzo mało prawdopodobne, że uda nam się wtedy ująć z życiem.

– Ostatni raz Rosjan odparto nad rzeką Angerapp. Dlaczego miałoby tym razem...

– Tym razem – przerwał jej Alex z bładą, pełną niesłychanego napięcia twarzą – tym razem, i mogę się o to założyć, Rosjanie dotrą aż do Berlina. Ich siły są teraz pięciokrotnie większe. Nic i nikt nie jest w stanie ich zatrzymać. Ale ich drogę będzie znaczył krwawy ślad i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy znaleźć się w kupie zwłok!

– Ach, nonsens! – Próbowała udawać dzielną, ale jego słowa obudziły w niej lęk.

Alexowi nagle zrobiło się jej żal, kiedy tak stała z zarumienionymi od gorączki policzkami i czerwonymi, piekącymi oczami. Ostrożnie wziął ją za rękę.

– Felicjo...

– Alex, jeśli stąd odejdziemy, to oni być może spalą Lulinn i zrównają go z ziemią. Stracimy tę posiadłość. Gdy wrócimy, nie zastaniemy już tego domu. Nie możemy tego ryzykować, to jest za...

– Felicjo, ty nie masz pojęcia, o czym mówisz. Jeśli oni zechcą, to i tak spalą Lulinn, bez względu na to, czy tu będziemy, czy nie. Ale na pewno nas przedtem zamordują i nie będziemy musieli na to patrzeć.

– Nie podpalą przecież domu, w którym przebywają stara, sparaliżowana kobieta, dopiero co narodzone niemowlę i mnóstwo małych dzieci!

– Akcje tego rodzaju były szczególną specjalnością SS w ich kraju – odparł Alex. – Mówię ci, Felicjo, raz jeszcze: nie mamy podstaw, aby liczyć na ich łągodność!

Ale ona nie chciała, nie chciała, po prostu nie chciała i już! Mimo przeziębienia ubrała się ciepło tego popołudnia i poszła na spacer. Słońce było już nisko nad horyzontem, a niebo po zachodniej części nieba miało osobliwą czerwono-fioletową barwę. Pokryte śniegiem pola

ciągnęły się aż po horyzont. Felicja szła przez łąki w skrzypiącym śniegu, który tu i ówdzie sięgał po kolana. Czowała, że jej policzki aż palą się z zimna. Podniosła kołnierz futra i wsunęła ręce głęboko do kieszeni, aby jakoś ochronić je przed mrozem. W końcu owinęła twarz antracytowym szalikiem, który należał do Alexa, poczuła więc zapach jego wody po goleniu i cygar. Nawet w takich czasach potrafił gdzieś zdobyć cygara.

– Alex... – wymamrotała w zamyśleniu jego imię.

Alex chciał, aby stąd uciekali, ale jemu łatwo było tak mówić. Lulinn nic dla niego nie znaczył. Felicja przez cały czas miała wrażenie, że jego z tym miejscem nic nie wiązało. Lulinn i wszystko, co się z nim łączyło, należało do Maksyma, to był jego dom, jego łąki i lasy, jego niebo z zachodzącym słońcem i wspaniałymi kolorami, w których teraz zanurzał się zimowy dzień. Alex nigdy by nie zrozumiał, co znaczy kochać ten kraj z jego wyjątkowym czarem. Rozumiał to Maksym i z nim mogła o tym mówić. Jego jednak tu nie było.

„Niech Alex jedzie sam, ja zostaję”.

W ciągu następnych dwóch dni do Lulinna przybywały tłumy uciekinierów, którzy zostawali na noc albo zaledwie na parę godzin i w gorączkowym pośpiechu ruszali dalej. Na zachód, nie oglądając się za siebie, byle dalej od Rosjan. Większość z nich chciała dotrzeć do Königsberga, którego port Pillau\* leżał nad Frischer Haff\*\*. Liczyli, że wsiądą tam na statek płynący do Gdańska albo nawet do Kiel\*\*\*. Lulinn coraz bardziej zaczynał przypominać obóz uchodźców. Ludzie koczowali na kanapach, łózkach, fotelach, a także na podłogach i stołach. Zewsząd dobiegały krzyki dzieci, a wśród nich często szlochanie matek. Ranni żołnierze Wehrmachtu błagali o pomoc, wielu miało odmrożone stopy, a ich mundury przeważnie wisiały na nich w strzępach. Felicja, ciągle kaszląca i kichająca, miała pełne ręce roboty i chciała zatroszczyć się o wszystkich. Biegała dookoła ze środkami opatrunkowymi, przynosiła lekarstwa, wlewała ciężej rannym wodę do ust albo nawet kilka łyków wódki. Poleciała też Jadzi ugotować wielki gar gęstej zupy i cały czas ją podgrzewać, choć stara Polka oburzała się i mamrotała niewyraźnie:

– Będzie głodować, jak wszystko dać obcym!

Uciekinierzy zaklinali Felicję, aby się do nich przyłączyła, ale ona ciągle odpowiadała:

– To grozi karą śmierci! – Próbowwała unikać gniewnego wzroku Alexa i raz nawet zaatakowała go gwałtownie: – Jedź przecież! Nikt cię tu nie zatrzymuje!

– O nie! – Tym razem Alex ani nie kpił, ani nie żartował i w jego głosie słychać było nieukrywany gniew. – O nie, albo wyjedziemy wszyscy, albo nikt. Na ciebie spadnie wina, że przez twój upór wszyscy tu zginiemy. Szkoda tylko, że nie będziesz miała ani odrobiny czasu na to, aby pożałować swojej głupoty i nieodpowiedzialności!

Nie bardzo mogła klócić się dalej, bo znów przybyli kolejni uciekinierzy, tym razem z Osterode. Jedna z kobiet oszalała, bo musiała patrzeć, jak Rosjanie kijami zatłukli jej męża i piętnastoletniego syna, który nosił odznakę przynależności do Hitlerjugend. Ona sama zdołała uciec w ostatniej chwili.

Joseph dorastał w Insterburgu i kochał Prusy Wschodnie, ale jeszcze bardziej kochał swoje życie i spokój duszy. A to oznaczało jedno: nie chciał się dać zastrzelić, ale też nie chciał nikogo zastrzelić. Jedno i drugie przerażało go tak samo. Niczego tak nie pragnął, jak się poddać.

Nigdy nie miał wojowniczej natury, zawsze szedł po linii najmniejszego oporu i przeważnie dobrze na tym wychodził. Oczywiście miewał czasem wrażenie, że ludzie go przekrzykują, ale wołał zamilczeć, niż pokazać pazury czy też przeforsować swoje zdanie. Był nastawiony przyjaźnie do całego świata i dzięki wrodzonej naiwności nie dostrzegał, jak bardzo większość ludzi nim pogardzała – na czele z własną żoną. Uważał, że jest lubiany, i często po cichu gratulował sobie własnego sposobu bycia, czyli płynięcia przez życie i unikania wszelkich

przeszkód.

Była niedziela 14 stycznia 1945 roku i Rosjanie w Prusach Wschodnich nacierali ze wszystkich stron. Co trochę urządzali też przerażające krwawe łaźnie, Joseph postanowił więc zdezerterować i przebić się do domu. Wraz ze swoją jednostką znajdował się koło Gross Nappern i słyszał zbliżającą się rosyjską artylerię. Mieszkańcy miasteczka postanowili zignorować zakaz ewakuacji wydany przez władze okręgu i sformować kolumnę. Sądząc po zbliżającym się hałasie, także czołgi miały pojawić się tu najpóźniej za pół godziny. W ogólnym chaosie spowodowanym ustawianiem się mieszkańców w kolumnę nikt nie zauważył, jak Joseph znikł w bocznej uliczce i przez kilka opustoszałych ogrodów pobiegł do pobliskiego lasu. Było to tak proste, że z początku nie mógł uwierzyć w swoją ucieczkę. Nikt go nie gonił, nikt nie krzychał: „Stój, bo strzelam!”.

Joseph był teraz zupełnie sam, a spokój zagłuszało tylko odległe dudnienie rosyjskiej artylerii. Oczywiście miał i wyrzuty sumienia, i skrupuły, ale cały czas powtarzał sobie, że postępuje słusznie: „Teraz Modesta i dzieci mnie potrzebują. Jako żołnierz nie mogę nic zrobić, ale jeśli oni będą musieli uciekać z Lulinna, konieczne jest każde wsparcie. Mam przecież zobowiązania wobec rodziny”. I gdzieś w głębi duszy był usatysfakcjonowany, bo po raz pierwszy w życiu zrobił to, co chciał. I czuł się co najmniej osobliwie: w ten zimny styczniowy dzień stał w samym środku zaśnieżonego lasu, bo właśnie zdezerterował i mógł być nawet zgodnie z prawem rozstrzelany przez własnych rodaków, o ile zostałby przez nich schwytany. Nie mówiąc już o Rosjanach, którzy mogli być za nim, przed nim, obok niego i którzy nie wahaliby się zbyt długo. Joseph musiał przedrzeć się do domu i wiedział, że będzie to długa i niebezpieczna droga. I nawet jeśli uda mu się tam dotrzeć, to także nie będzie bezpieczny – znajdował się teraz w najgroźniejszej sytuacji w życiu. I mimo to miał wrażenie, że po raz pierwszy w życiu może oddychać swobodnie.

Jednak Joseph nigdy też nie był dzieckiem szczęścia i jego triumf nie trwał długo. Maszerował przez las w kierunku Insterburga, jak przypuszczał, i miał nadzieję, że w ten sposób dotrze do Lulinna. Nie wiedział, że kierunek był zły. Nagle poczuł tak straszny ból w okolicy prawej kostki, że wrzasnął głośno. Ból narastał, a spod spodni Josepha wyciekło coś ciepłego i lepkiego; była to krew, co zrozumiał dopiero później. Na razie osunął się w śnieg, a ból wycisnął mu łzy z oczu. Co to było, do diabła? Spojrzał w dół, zobaczył zardzewiałe żelazo i zrozumiał: pułapka. Wszedł w pułapkę zastawioną przez kłusownika. Ogromną, z zębami wielkimi jak zęby rekina, w którą mógłby się złapać nawet niedźwiedź. Co za szalenie mógł tu polować na niedźwiedzia?

Ból z okolic kostki ogarnął już całe jego ciało, a na jego czoło wystąpił zimny pot. Spróbował rozsunąć zęby pułapki, ale bezskutecznie. Przyciągnął więc jakąś gałąź, która mogłaby posłużyć za coś w rodzaju dźwigni, ale zardzewiałe żelazo nie ustępowało, a szarpanie tylko wzmagало potworny ból. Wyczerpany odrzucił gałąź i zorientował się, że przez cały czas szłochał. Dlaczego musiało mu się przytrafić coś takiego, dlaczego los musiał zakpić z niego w taki sposób? Jeśli teraz znajdą go Rosjanie, to zatłuką go jak parszywego lisa, a jeśli go nie znajdą, to i tak wszystko jedno, bo zamarznie jeszcze tej nocy. Lodowate zimno było wręcz przejmujące, Joseph miał wrażenie, że zamarza nawet wydechane przez niego powietrze. Pomyślał, że nie ma nic do stracenia, i zaczął przeraźliwie wrzeszczeć: szansa, że znajdzie go jakiś niemiecki cywil, wynosiła mniej więcej sto do jednego. Wrzeszczał, aż ochrypl, ale nikt się nie pokazał, oprócz zaciekawionej wiewiórki i kilku czarnych kruków. Miał jeszcze dwa naboje w swoim rewolwerze, ale już teraz wiedział, że nigdy nie odważy się ich użyć.

– Jestem zbyt tchórzliwy, zbyt tchórzliwy – płakał cicho, siedząc w śniegu.

Wraz z zapadającym zmrokiem robiło się coraz zimniej. Modesta będzie musiała sama

wychowywać dzieci, gdy jej mąż umrze. Nie w walce, nie jako więzień Rosjan, nie w postępowaniu sądowym Wehrmachtu, nie, on zamarnie jak nędznik, gdzieś w tym ponurym lesie, gdzie wpadł zapewne w jedyną zastawioną tu przez jakiegoś kłusownika pułapkę.

Felicja i Yves przynieśli do domu całą górę drewna do palenia i ułożyli je obok kominków. Służące, które zwykle tym się zajmowały, znikły w nocy. Nie zostawiły żadnej wiadomości, ale prawdopodobnie przedostały się do swoich rodzin i wraz z nimi znajdowały się w drodze na zachód. Wśród polskich robotników też już kilku brakowało. Jedynie Yves cały czas był gotów do wszelkiej pomocy, także rosyjscy jeńcy wojenni wykonywali swoją pracę. Nie było im źle w Lulinnie i Felicja zastanawiała się, czy nie można byłoby oczekiwać ich wstawiennictwa w razie zajęcia domu przez Rosjan. Ale szybko zrozumiała, że Rosjanie bali się tak samo jak Niemcy, bo ich rodacy mogliby potraktować ich jak zdrajców i wówczas o jakiegokolwiek pomocy nie będzie mowy.

Wytarła pot z czoła.

– Dziękuję, Yves. Myślę, że wystarczy nam drewna na najbliższe dni. – Spojrzała w okno i zadygotała. – Znów zamieć. Jeśli ktoś teraz ucieka, to szybko gdzieś utknie.

– *Oui* – odparł Yves i popatrzył na nią swoimi ciemnymi oczami.

Felicja westchnęła.

– Yves, jeśli pan chce, to...

Przerwała jej Sophie, która wpadła do pokoju, kręcąc się jak bąk.

– Masz iść do Letycji! – zawołała. – Natychmiast!

Dziewczynka miała zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Felicja położyła jej rękę na czole.

– Dziecko, wyglądasz, jakbyś miała gorączkę! Dobrze się czujesz?

– Mnie jest tylko gorąco – odpowiedziała Sophie – i troszkę boli mnie gardło. Ale ja nie chcę iść do łóżka!

– Nie, nie musisz. Ale obawiam się, że zaraziłaś się ode mnie przeziębieniem. Akurat teraz!

Weszła po schodach do pokoju swojej babki. Jadzia napaliła tam w kominku, płonące drewno trzeszczało cicho, a pokój w świetle nocnej lampki sprawiał wyjątkowo przytulne wrażenie. Stara kobieta popatrzyła na Felicję surowo.

– Felicjo – rzekła bez żadnych wstępów – przemyślałam wszystko. Postanowiłam, że musicie uciekać, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie wolno ci narażać rodziny na pewną śmierć!

– Dlaczego ja? Modesta też nie chce...

– Ach, Modesta! – Letycja machnęła lekceważąco ręką. – Między nami mówiąc, wiemy obie, że jeśli o nią chodzi, to ona nie potrafi podjąć żadnej decyzji i jedynie powtarza to, co wmówią jej inni. Ale ty, Felicjo, ty jesteś głową rodziny i...

– Ty jesteś głową rodziny! – zaprzeczyła Felicja.

Letycja wykrzywiła twarz w grymasie.

– Ja jestem starą kobietą, która bez pomocy z trudem może sama obrócić się w łóżku na drugi bok. Nie próbuj zrzucić na mnie swojej odpowiedzialności.

– Babciu, powiedziałam Alexowi, że może wyjechać, ale...

– Alex nie wyjedzie bez ciebie, wiesz o tym bardzo dobrze. Nie zasługujesz na to, ale ten mężczyzna będzie cię kochał i wspierał do końca życia. Ale ty musisz teraz myśleć przede wszystkim o dzieciach. Pomyśl o Sophie! Masz zobowiązanie wobec Belle i musisz się troszczyć o jej jedyną córkę.

– Mam też zobowiązania wobec Lulinna.

– Bzdura! – odpowiedziała Letycja tak gwałtownie, że Felicja drgnęła. – Lulinn to tylko dom. Trochę ziemi, stajnie, szopy i płoty. Wobec tego nie masz żadnych zobowiązań. Ale twoim przeklętym obowiązkiem jest ratować życie swoje i swojej rodziny!

– My nigdy przed niczym nie uciekaliśmy, babciu.

– Jeśli masz na myśli te utarczki z Rosjanami w tysiąc dziewięćset czternastym roku... Porównywanie ich z dzisiejszymi okolicznościami jest doprawdy śmieszne. Wtedy trwanie tutaj miało sens, dziś jest śmiertelnie niebezpieczne. W życiu trzeba umieć wszystko rozsądnie rozważyć, Felicjo, i to, co kiedyś było słuszne i uzasadnione, w innej sytuacji może być niewłaściwe. Nigdy nie byłaś sentymentalna, nie bądź więc i teraz, proszę.

Felicja milczała przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

– Ale że też ty mnie nie rozumiesz! Lulinn... Jak możesz mówić, że to tylko dom i parę szop! Wiesz przecież, że Lulinn żyje! To tyle wspomnień... o tylu pokoleniach naszej rodziny. To miejsce zawsze było dla nas czymś szczególnym i wyjątkowym. Kochaliśmy je!

– Tak, tylko że niestety teraz, gdyby się tu pojawili Rosjanie, to mogłabyś je kochać tylko z zaświatów – oświadczyła Letycja. – Felicjo, musisz teraz patrzeć w przód. Myśl o tym wszystkim, co jest przed tobą. – Potem stara kobieta z przebiegłym uśmiechem dodała: – Z pewnością chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć Maksyma Marakowa!

– Maksyma? Tak, ale to on przecież jest... – Felicja ugryzła się w język.

Ale Letycja ją przejrzała.

– Wiem. Spędziliście tu swoją młodość i tylko Lulinn cię z nim wiąże. Trzymasz się go tak kurczowo, bo to jest wasz Lulinn.

I tak. I nie. Lulinn znaczył jednak o wiele więcej.

– To też, ale nie tylko – wymamrotała Felicja.

Letycja prychnęła.

– Jakież to wszystko jest wzruszające! Wspomnienia z lat dziecięcych... Ciebie łączy z nim o wiele więcej i o tym powinnaś pamiętać!

Felicja spojrzała na nią ostro.

– Masz na myśli...

Stara kobieta się uśmiechnęła.

– Byłam wtedy pierwszą osobą, którą w to wtajemniczyłaś... Że ojcem Belle jest Maksym Marakow!

Umilkły obie, myśląc o pięknej Belle i o tym, jak piękne, ale i wredne może być życie. A potem Letycja nagle chwyciła Felicję za ramię i przyciągnęła wnuczkę do siebie.

– Sophie jest wnuczką Maksyma. I twoją. Sophie jest przyszłością, Felicjo. A nie Lulinn. I choćby tylko z powodu Sophie uciekajcie stąd. Błagam cię, nie czekaj, aż będzie za późno! Masz wszelkie szanse i jest z tobą Alex. Jeśli ktokolwiek może zatroszczyć się o wasze bezpieczeństwo – to tylko on. Proszę, Felicjo. Uciekajcie tak szybko, jak tylko możecie. Alex ma rację, będziecie zgubieni, jeśli tu zostanieie!

– Dlaczego, babciu, mówisz ciągle „wy”? Zupełnie jak gdyby to wszystko cię nie dotyczyło!

Letycja westchnęła ciężko.

– Dziecko, ja jestem bardzo, bardzo starą kobietą. Mam prawie sto lat. Nigdzie już nie będę mogła zapuścić korzeni.

– Babciu, ty...

– Nie mogłabyś wykopać ani jednego z tych starych dębów przy alei i przesadzić gdzie indziej. Ja jestem takim starym dębem. Zostawcie mnie tutaj. Jadzia się o mnie zatroszczy. Ona jest Polką i może Rosjanie nic jej nie zrobią.

– Ty oszalałaś. Najpierw opowiadasz mi o wszystkich możliwych okrucieństwach Rosjan, a potem mówisz, że tu zostaniesz! Jak wyjedziemy, to wszyscy!

Letycja potrząsnęła głową.

– Dwadzieścia stopni mrozu i zamieć. Nie masz pojęcia, jaka jestem słaba! Nie dam rady jechać ani przez dwa dni. A tam, na zewnątrz, to byłaby żalosna śmierć. Nie, nie, ja zostanę tutaj, w moim pięknym, ciepłym łóżku, a gdyby Rosjanie mieli okazać się niemili... – Letycja się zawahała.

– Co wtedy?

– Dobry Boże, Felicjo, zawsze ceniłam u ciebie to, że nie trzeba ci było wszystkiego długo wyjaśniać, bo potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy i nie robisz niepotrzebnego hałasu. Mam tutaj dostatecznie dużo tabletek na sen i w razie konieczności nie zawaham się po nie sięgnąć. To przywilej mojego wieku, że sama mogę ustalić, kiedy ma nastąpić koniec. I nie odbierzesz mi tego!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Wyruszać jeszcze dziś w nocy. Nikt tego nie zauważy i nikt nie będzie was zatrzymywał.

– Ale nie mamy już samochodu!

– Weźmiecie wóz i konie.

– Ale wtedy zaraz utkniemy w śniegu!

Letycja nie ustępowała.

– Weźmiecie łopaty i się wykopiecie. Setki ludzi potrafiły tego dokonać, to i wy dacie radę. I nie udawaj rozpuszczonej i delikatnej.

Felicja miała już na końcu języka: „Ale ja nie chcę, ja nie chcę opuszczać Lulinna!”.

Ale nie powiedziała tego, widząc surową minę babki. Letycja zawsze była niepodzielną panią w Lulinie i nawet jeśli kokietowała swoim biblijnym wiekiem, to ciągle miała absolutną władzę. Letycja zarządziła, że mają uciekać, i to znaczyło, że nie należało na ten temat dyskutować i tracić czasu.

\* Piława. Obecnie Bałtyjsk (od 1946 roku).

\*\* Zalew Wiślany.

\*\*\* Kilonia.

## 2.

Chcieli wyruszyć o czwartej rano. Razem było ich sześćcioro dzieci i czworo dorosłych, bo Yves też postanowił uciekać. Rosyjscy jeńcy nie mogli się zdecydować i po prostu czekali jak sparaliżowani na bliżej nieokreślone, ale pewne nieszczęście. Polscy robotnicy pracujący w majątku, o ile jeszcze jacyś zostali, chcieli się przedostać do swoich rodzin. Zostać miała tylko Jadzia.

– Powiedzieć Ruskim, żeby iść do diabła!

Felicja myślała o tym, jak bardzo wstrząśnięty byłby jej dawno zmarły nacjonalistycznie nastawiony dziadek, gdyby się dowiedział, że koniec końców posterunku w Lulinie nie opuściła tylko „jedna z tych Polacken”.

Załadowali na trzy wozy najpotrzebniejsze rzeczy, przede wszystkim mnóstwo ciepłych koców i zapasów ze spiżarni. Zaprzęgli cztery ostatnie konie, a Alex przykrył wozy plandekami i drągami, aby choć trochę osłonić ich zawartość przed padającym śniegiem i wiatrem. A wiatr wył i pędził płatki śniegu, w ciemnościach nocy drzewa trzeszczały i jęczały szarpane jego porywami. Jeśli otwierało się drzwi, trzeba było je mocno trzymać, aby nie zostały wyrwane z zawiasów.

– Nie wypędzić psa w taką noc za drzwi – rezonowała Jadzia.

Kiedy Felicja oświadczyła, że wyjeżdżają, Alex na krótką chwilę chwycił ją w ramiona.

– Kiedy to przemyślałaś? – spytał cicho.

Wyswobodziła się niechętnie z jego objęć.

– Podziękuj mojej babci. To ona się tego domagała.

Do północy wszystko było zapakowane, po czym Alex oświadczył, że każde z nich powinno spróbować się trochę przespać.

– Nieprędko znajdziemy się w ciepłych łózkach.

Felicja oczywiście nie mogła spać i nawet się nie położyła. Siedziała w swoim pokoju, patrzyła w szalejącą za oknem zamieć i robiła wszystko, aby nie zawładnął nią ból. Czuła, że to pożegnanie na zawsze. Widziała u swych stóp zasypany śniegiem sad i wydawało jej się, że drzewa opowiadały jej szeptem o dawno minionych czasach.

O wpół do czwartej rano zjawił się w jej pokoju Alex, ubrany tak grubo i zawinięty tak szczelnie, że można było dostrzec tylko jego oczy.

– Ubierz na siebie tyle rzeczy, ile tylko możliwe. Jest strasznie zimno.

Felicja z udręczeniem włożyła wełnianą bieliznę, choć nienawidziła jej śmiertelnie, dwie pary spodni i dwa swetry, na to założyła zimowy płaszcz, wysokie, podbite futrem buty, szal, czapkę i rękawice. Modesta i Jadzia w międzyczasie obudziły dzieci i przygotowały je do drogi. Po chwili wszystkie rozespane i marudzące stały w korytarzu, a dwoje płakało głośno. Sophie miała gorączkę, skarżyła się na silny ból gardła i była tak zakatarzona, że z trudem mogła oddychać. Wynędziała Modesta przyciskała do siebie czterotygodniowe niemowlę. Sprawiała wrażenie kompletnie oszołomionej tym, co się działo, i bez sprzeciwu robiła wszystko, co jej kazano.

Rosyjscy jeńcy pomogli zaprzęgnąć konie i Felicja po raz ostatni spytała, czy jednak nie chcą jechać z nimi. Potrząsnęli głowami. Doskonale wiedzieli, że gdyby czerwonoarmiści złapali ich w czasie wspólnej ucieczki z Niemcami, byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Ciągle szalała zadymka. Felicja osłoniła szalikiem usta, ale niesiony wiatrem śnieg uderzał w czoło i nos, a skóra wręcz piekła, kiedy przedzierała się przez dziedziniec z Sophie na

rękach. Pomyślała, że zamrzną w tak potwornym zimnie albo po prostu poumierają z wyczerpania. W momencie, kiedy już mieli wyruszyć, Felicję opuściła cała odwaga i jedynym, co kazało jej zacisnąć zęby i przetrwać, były słowa babci: „Myśl o Sophie. Ty i Alex, wy wywieziecie ją na zachód. To ona jest przyszłością, a nie Lulinn!”.

„Jak dobrze, że mama nie musi tego przeżywać”, pomyślała.

– Ja pojadę pierwszym wozem! – Alex musiał wrzeszczeć, aby przekrzyczeć ryk wiatru. – Yves ostatnim. Felicjo, odważysz się powozić środkowym?

– Tak, oczywiście!

Oczywiście. Już teraz chciało jej się wyć z zimna. Upchnęli Modestę wraz z dziećmi między rzeczami i każde z nich weszło na koziół swojego wozu.

– Do widzenia, Lulinnie – powiedziała cicho Felicja.

W domu wszędzie paliły się światła, które było dobrze widać w ciemnościach. Czy to Letycja kazała tak zrobić – jako ostatnie pożegnanie?

Konie ruszyły. Były to silne, wypoczęte zwierzęta, ale Felicja zastanawiała się, jak długo wytrzymają. Musiały wyteńczyć wszystkie siły, aby ciągnąć przez zasy wyładowane po brzegi wozy i mozolnie przedzierać się przez śnieg. Po chwili zjechali w dół dębową aleją. Wszyscy mieli teraz przed oczami ciemność.

Zrobiło się jasno, wreszcie przestał padać śnieg, wiatr także się uspokoił, ale potworne zimno nie ustępowało. Felicja tak mocno trzymała cugle, że prawie nie czuła rąk, miała też wrażenie, że jej nos zamienił się w sopel lodu. Za sobą pod plandeką słyszała rżący oddech Sophie. Od czasu do czasu się odwracała i zaglądała pod plandekę.

– Sophie? Sophie, wytrzymasz?

– Tak. – Słyszała żalony głosik, ale dziecko cicho płakało i jęczało z powodu silnego bólu gardła. Z trudem mogło cokolwiek przełknąć.

Ciemne, ciężkie od śniegu chmury, dookoła, jak okiem sięgnąć, tylko śnieg, na horyzoncie kilka gołych drzew. Małe strumyki, które raz po raz przekraczali, boczne dopływy rzeki Pregel, były kompletnie zamrożone. Lęk przed Rosjanami, zimno, konieczność przedzierania się za wszelką cenę – to wszystko kazało Felicji na razie zapomnieć o bólu związanym z pożegnaniem tak kochanego miejsca. Kobieta w czasie tych godzin nie myślała o Lulinnie. Chciała tylko jechać, jechać jak najdalej, na zachód, dotrzeć w jakieś bezpieczne miejsce. Gdzieś, gdzie będzie ciepło i gdzie będzie mogła rozprostować obolałe kończyny.

Zatrzymali się na skraju małego lasu, aby konie mogły trochę odsapnąć, i napili się gorącej herbaty z termosów. By całkiem nie zamrznąć, Felicja zrobiła kilka chwiejnych kroków tam i z powrotem, a potem starała się mocno tupać.

– A co właściwie stało się z twoją Clarissą? – spytała Alexa. – Zostawiłeś ją tak po prostu?

– Ona nigdy nie była moją Clarissą. A poza tym byłem u niej jeszcze wczoraj wieczorem, aby powiedzieć, że niebezpiecznie jest tu zostawać. Ale ani ona, ani jej rodzina nie chcieli jechać razem z nami.

– Byłeś u niej jeszcze wczoraj?

Popatrzył na nią dziwnie poważnie.

– Tak. Ale to właściwie nie powinno cię interesować.

– I rzeczywiście mnie nie interesuje – odparła krótko Felicja, po czym nagle zmieniła temat: – Bardzo się martwię o Sophie. Gorączka nie spada, lecz rośnie. W jej stanie jazda w takim zimnie to szaleństwo. Nie powinnam była się na to zgodzić.

– Znowu zaczynasz? – spytał Alex, wyraźnie zirytowany.

– To obejrzyj małą! Posłuchaj, jak walczy o każdy oddech, jak...



– Przecież nie o to chodzi! – Miał zmrużone, pełne gniewu oczy. – Felicjo, mówię po raz ostatni, że nie mam ochoty umierać. Ale sama myśl o tym, że będę przyglądał się, jak umiera ta gromadka dzieci, też wydała mi się niezbyt pociągająca. I nie chcę patrzeć, jak ty będziesz gwałcona po kolei przez dwudziestu Rosjan. Rozumiesz? Nie mógłbym pomóc ani tobie, ani nikomu. Nawet sobie. Może kiedyś wreszcie to do ciebie dotrze! – Odwrócił się z wściekłością i ruszył przez śnieg z powrotem do swojego wozu. – Jedziemy dalej! – rozkazał krótko.

W południe przyłączyli się do długiej kolumny uchodźców, która bardzo powoli szła w kierunku zachodnim. Co trochę któryś z wozów się zatrzymywał i wtedy nikt nie mógł jechać dalej – takie chwile, kiedy wszyscy stali, ciągnęły się jak wieczność. Uciekinierzy pochodzili z okolic Treuburga\* i Goldapu i opowiadali tak straszne rzeczy, że ludziom niemal krew zastęgała w żyłach. Kiedy trzy wozy dołączyły do kolumny, spod którejś plandeki wygrzebała się młoda kobieta i bez pytania wdrapała się na kozioł Felicji. Chciała wyrzucić z siebie to, co przeżyła, i zaczęła opowiadać szczegółowo o swoim wyjeździe – zezwolenie wydano im w ostatniej chwili – i o tym, że jej stary ojciec miał odmrożone stopy, które bardzo go bolały. W okolicach wsi Lakellen uciekinierzy zostali ostrzelani przez Rosjan, wielu zginęło, a poza tym Rosjanie zatrzymywali co rusz któryś z wozów, wyciągali z nich mężczyzn i rozstrzeliwali. Dopiero żołnierze Wehrmachtu oswobodzili drogę i kolumna mogła ruszyć dalej.

– Trzy razy się przeżegnaj, kiedy dotrzemy do Elbinga\*\*. Mam nadzieję, że wypływa stamtąd jeszcze dość statków i że nas wszystkich zabiorą.

Kobieta spojrzała z zaciekawieniem na Felicję.

– Pani też musiała wszystko zostawić?

– Tak. Nie zabraliśmy niczego wartościowego.

– Tak, tak. Ale na pewno była pani bardzo bogata. Ten elegancki płaszcz... Ta wojna wszystkich nas zrównuje, prawda? Czy to bogaci, czy biedni, wszyscy razem uciekamy teraz przed Rosjanami! Nie ma już między nami żadnych różnic.

Felicja czuła przemożne zmęczenie i milczała w nadziei, że kobieta też przestanie mówić. Ale ona zajrzała zainteresowana pod plandekę, gdzie leżała mała Sophie, ciężko oddychając.

– Oj, to źle wygląda! To pani córka? Ależ ją dopadło choróbsko!

– Przeziębienie – odpowiedziała Felicja krótko

Czuła już bolesne skurcze w ciągle napiętych dłoniach. Wozy znów się zatrzymały i na szczęście towarzyszka Felicji wykorzystała tę przerwę i wróciła do swojego powozu. Felicja poczołgała się do tyłu, aby dodać otuchy Sophie, ale dziewczynka miała już tak wysoką gorączkę, że nie rozumiała, co się do niej mówiło. Otworzyła wprawdzie oczy, ale patrzyła na babcię nieprzytomnie.

– Sophie! Sophie! Nie poznajesz mnie?

Dziecko zapadło w niespokojny sen, przerywany jedynie kaszlem i sapaniem. Felicja znów wdrapała się na kozioł. Przekłęci Rosjanie! Przekłęci naziści!

Coraz bardziej czuła się jak w jakimś złym śnie. Nawet noce spędzane w piwnicach podczas bombardowania Monachium nie wydawały jej się tak straszne i nierzeczywiste jak ta ucieczka przez śnieg i lód. Kiedy nadszedł wieczór, z trudem mogła się utrzymać na nogach ze zmęczenia. Bolały ją wszystkie kości i bała się, że spadnie z wozu gdzieś w śnieg i już nie wstanie.

Z mroku wyłoniły się chałupy jakiejś wsi. Felicja się odwróciła, Alex jechał teraz tuż za nią.

– Alex, ja muszę się zatrzymać, zrobić przerwę, przespać się! Nie możemy gdzieś tu zostać?

Nikt nie mógł już jechać dalej, także konie. Mężczyzna ruszył do wsi w poszukiwaniu

kwatery i rzeczywiście znalazł kobietę, która zgodziła się przyjąć pod dach dwie osoby.

– Pójdziecie tam ty i Sophie, a my przenocujemy w szopie. Bo Sophie potrzebne jest porządne łóżko!

Felicja zsunęła się z wozu. Poczowała, że niemal uginają się pod nią nogi.

– Nie – odpowiedziała. – Modesta ma tam iść zamiast mnie. Modesta i Sophie. Ja w końcu jestem zdrowa.

W ciemnościach bardziej wyczuła, niż dostrzegła jego uśmiech.

– Zdrowa jak rydz. – Usłyszała. – I absolutnie niezniszczalna.

Z jakiegoś powodu te słowa dodały jej siły i otuchy.

W szopie tłoczyło się około stu osób, przede wszystkim kobiet i dzieci. Wszyscy budowali ze słomy, siana i przyniesionych koców prowizoryczne legowiska i wypakowywali prowianty. Kilka kobiet rozpałiło w kącie ogień, na którym gotowały w wielkim garnku zupę dla wszystkich. Każdy przynosił to, co miał do jedzenia, i przekazywał kobietom. Wkrótce w szopie rozszedł się przyjemny zapach i wszystkim pociekła ślinka. Zwłaszcza dzieci zaczęły marudzić. Były głodne, zmęczone, przemarzniete i nie wiedziały, co się w ogóle dzieje. Tylko te najmniejsze były tak wyczerpane, że padały jak koty gdziekolwiek i natychmiast zasypiały.

Wielką i nieocenioną pomocą okazał się Yves. Znalazł dla mieszkańców Lulinna przytulny kąt, gdzie nie ciągnęło tak, jak gdzie indziej, urządził z siana miękkie legowiska, pomógł Alexowi wyprzęgnąć i nakarmić konie i na koniec zdobył trochę zupy dla Felicji i dzieci. Robił, co mógł, pomagał wyczerpanym kobietom, które były w drodze od wielu dni, karmił ich konie albo przynosił wodę do picia. Jednak Felicja niewiele już widziała; oparła głowę na kolanach Alexa i poczuła, że obrazy i głosy wokół niej zaczynają znikać. Miała wrażenie, że wszystko ucichło. Zapadła w głęboki sen.

Następnego ranka jeszcze o szarym świcie ludzie zaczęli zbierać się do drogi. Felicja poszła po Modestę i Sophie i przeraziła się na widok dziecka. Dziewczynka była spuchnięta z gorączki i z trudem mogła oddychać. Majaczyła, a w przebłyskach świadomości mówiła o strasznym pragnieniu. Kobieta, u której Sophie spała wraz z Modestą, stwierdziła:

– To wygląda na zapalenie płuc. Biedactwo!

– Ma pani termometr? – spytała Felicja.

Kobieta przyniosła termometr i Felicja przeraziła się jeszcze bardziej: prawie czterdzieści jeden stopni gorączki.

– Nie możemy jechać dalej – powiedziała. – Porozmawiam zaraz z Alexem. Jak ją wyniesiemy na to strasne zimno i położymy na trzęsącym się wozie, to ją po prostu zamordujemy! Czy ona mogłaby zostać u pani na kilka dni?

Kobieta nie była zachwycona, ale się zgodziła. Felicja wyszła na zewnątrz, gdzie już formowała się kolumna i gdzie czekał zniecierpliwiony Alex.

– Nie możemy jechać dalej – zawyrokowała. – Sophie jest zbyt ciężko chora. Boję się, że umrze.

Alex zaklął.

– Musimy jechać i dotrzeć do zachodniej granicy Prus Wschodnich, zanim zamkną ją Rosjanie. Rozumiesz? W gruncie rzeczy nie mamy nawet godziny!

Felicja potrząsnęła głową.

– Zobacz ją sam, Alex.

Alex zaczął się wahać, kiedy tylko zerknął na rzęzącą Sophie. W końcu postanowił, że Modesta, jej dzieci oraz Yves przyłączą się do kolumny z dwoma wozami, a on sam wraz Felicją i Sophie zostanie. Modesta oczywiście zaczęła płakać i oświadczyła, że boi się zostać sama „z tym Francuzem”, co Felicja skwitowała stanowczą uwagą:

– On się o was zatroszczy, możesz być tego pewna, Modesto!

Zrezygnowana kuzynka w końcu ustąpiła. Felicja zaklinała Alexa, aby jechał z nimi, ale on oczywiście się wzbraniał.

– Postanowiłem, że wywiozę cię na zachód – oświadczył – i wiesz dobrze, że jeśli coś zamierzam, to dotrzymuję słowa. Ale może wreszcie zrozumiesz, do czego doprowadził twój upór. Gdybyśmy uciekli jesienią, nie musielibyśmy teraz przedzierać się przez śnieg i Sophie byłaby bezpieczna. Ale ty...

Felicja natychmiast zaczęła się bronić:

– Prześń mi robić wyrzuty! Mogłeś jechać wcześniej, nikt cię nie zatrzymywał, a już zwłaszcza ja! Możesz także jechać teraz. Wolę to, niż gdybym miała przez kolejne dni i tygodnie wysłuchiwać twojego zrzędzenia!

– A więc w ciągu najbliższych dni w ogóle nie będziesz mnie oglądać – odparł zimno Alex, po czym odwrócił się i wyszedł z domu.

Jak się okazało, lekarz, który mieszkał we wsi, wyjechał potajemnie wraz z innymi uciekinierami, a lekarza z sąsiedniej wioski powołano do Volkssturmu. Felicja i jej gospodyni na własną rękę troszczyły się o Sophie: robiły jej okłady na gorączkę, parzyły herbaty ziołowe i nawet zdobyły gdzieś tabletki na obolałe gardło. Ale gorączka ciągle nie ustępowała, podobnie jak bóle. Sophie w przeblyskach świadomości prosiła o śnieg, chciała jeść śnieg, i to jak najwięcej, żeby coś zimnego dostało się do jej rozpalonego gardła.

– Sophie, będziesz wtedy jeszcze bardziej chora. Musisz wytrzymać – mówiła zrozpaczona Felicja.

„Muszę ją zawieźć do Berlina”, myślała co rusz, „muszę ją zawieźć do Berlina. Nie mogę stanąć przed Belle i powiedzieć, że jej dziecko nie żyje”.

Dwa dni później wczesnym rankiem wszystkich obudził huk gwałtownego ostrzału artyleryjskiego. Sama wieś nie znalazła się na linii ognia, ale walki toczyły się w jej bezpośrednim sąsiedztwie, gdzie znalazła się jednostka armii rosyjskiej, posuwająca się na północ równoległe do ogólnego kierunku marszu w południowej części Prus Wschodnich.

Felicja wyskoczyła z łóżka i od razu się ubrała, po czym kuląc się pod uderzeniami lodowatego wiatru, pobiegła zasypaną drogą do szopy, w której obozował Alex. Oprócz niego było tam jeszcze kilka rodzin, które nie pojechały dalej, bo ciągle miały nadzieję na jakąś możliwość powrotu do swoich domów. A teraz ci ludzie właśnie jako pierwsi zaprzęgali konie do wozów.

– Alex! – Felicja precyzyjnie się do niego. Miała wychudzoną twarz i włosy związane byle jak zwykłym sznurkiem. Spod futrzanej czapki widać było tylko jej oczy, teraz jeszcze bardziej szare i zimne.

– Felicjo, musimy jechać – odparł. – Za kilka godzin będą tu Rosjanie. Co z małą?

– Tak samo źle. Ona... sprawia takie wrażenie, jakby od środka spalała ją gorączka. Ale chyba dłużej nie możemy zostać. Mój Boże, Alex – przez sekundę walczyła z narastającą rozpaczą – przecież ja za nią odpowiadam. Ona nie może mi tak po prostu umrzeć!

Alex nie odpowiedział. Felicja opanowała się po chwili.

– Ubiorę ją i przyniosę tutaj. Zaprzęgnij w tym czasie konie.

Nie wydano zezwolenia na ewakuację wsi, dlatego połowa mieszkańców postanowiła zostać, z jednej strony ze strachu przed nazistami, a z drugiej z obawy przed niepewną przyszłością, która czekała ich gdzieś daleko, za zasypanymi śniegiem polami. Ci ludzie nie mogli pogodzić się z tym, że mają pozostawić wszystko, co mieli, zabrać na wóz tylko najważniejsze rzeczy i ruszyć na zachód.

Także ta kobieta, u której znalazła schronienie Modesta wraz z Sophie, nie chciała

wyjechać, mimo że Felicja zaoferowała jej miejsce na swoim wozie.

– Całe życie mieszkałam w tej wsi – powiedziała. – A dom zbudowaliśmy wraz z mężem. Nie mogę stąd wyjechać, rozumie pani? A poza tym... Co sobie pomyśli mój mąż, kiedy wróci z wojny?

Felicja nie sądziła, że on z tej wojny wróci, a Alex, że on w ogóle przeżyje, ale kobieta nie dała się przekonać. Ziemia drżała od uderzeń granatów, a huk ognia artyleryjskiego zwielokrotniało echo, kiedy kolumna uchodźców ruszyła. Felicja i Alex mieli tylko jeden wóz. Alex powoził, a ona siedziała z tyłu i trzymała w ramionach Sophie. Powoli robiło się jasno, a nadchodzący ranek był tak piękny, jak nie z tego świata. Niebo rozświetlały pastelowe kolory, poczynając od jasnoniebieskiego, poprzez żółty, po łagodną czerwień, a wszystkie barwy odbijał śnieg. Było jednak dwadzieścia stopni poniżej zera, a daleko na wschodzie już kłębiły się ciemne, ciężkie od śniegu chmury.

\* Olecko.

\*\* Elbląg.

### 3.

Niebo nad horyzontem poczerwieniało od pożarów, a na ich tle widać było ciemne sylwetki domów i gospodarstw, których dachy stały w płomieniach. Powietrze drżało od dudnienia armat. Obok kolumny pojawiły się rosyjskie czołgi i spychały niektóre wozy z drogi. Znowu padał śnieg, a z północnego wschodu wiał lodowaty wiatr. Rosjanie, którzy przekroczyli Prusy Wschodnie łukiem ciągnącym się na południe, stali już tuż przed Elbingiem, portowym miastem nad Frischer Haff, będącym celem podróży tysięcy uchodźców.

Felicja nie wiedziała dokładnie, gdzie w kolumnie znajdował się Alex ze swoim wozem. Ona sama znalazła miejsce w wojskowej ciężarówce, gdzie wstrząsów nie odczuwało się tak jak na koźle, a poza tym wielka plandeka dawała nieco schronienia przed mrozem. Żołnierze, kiedy tylko spojrzeli na rozgorączkowane dziecko w jej ramionach, sami zaoferowali jej podwózkę. Dla Alexa nie było tu już miejsca i Felicja najpierw strasznie się zdenerwowała, ale w końcu przystała na rozdzielenie się. Ponieważ nie widziała jego i jego wozu, czuła się opuszczona. Siedziała w kucki między rannymi żołnierzami, dookoła unosiła się nieznośna woń krwi, ropy i ekskrementów, a ona próbowała uspokoić Sophie, która znowu skarżyła się na dojmujące pragnienie. Żołnierz tuż obok z głową zawiniętą w bandażę westchnął cicho i osunął się na bok.

– Nie żyje – powiedział jeden z jego towarzyszy o nieruchomych, zobojętniałych oczach. Był to młody jeszcze mężczyzna, liczący około dwudziestu pięciu lat, jak oceniła Felicja, ale miał twarz starego, zmęczonego człowieka. Patrzył przed siebie apatycznie i się nie ruszał.

– Jeśli go zrzucimy z wozu – odezwał się drugi żołnierz, wskazując na zmarłego – to znajdzie się miejsce dla kogoś innego.

– Przecież nie możemy go tak po prostu zrzucić w śnieg – zaproponował młody kapitan z niewłaściwie usztywnioną i wyraźnie bolącą nogą. Ale żołnierz w odpowiedzi zaśmiał się gorzko i drwiąco.

– Tam w Rosji w zaspach i nie tylko leży tyłu naszych, że ten jeden nie zrobi żadnej różnicy!

Tuż obok wybuchł granat, a hałas był tak ogłuszający, że przerażona Felicja krzyknęła głośno.

– Ci bandyci ostrzeliwują uchodźców! – zawołał kapitan, próbując wymacać swoją broń, co było dość bezsensowne, bo miał już tylko jeden nabój.

Rozległ się głośny pisk hamulców i ciężarówka się zatrzymała. Z zewnątrz dobiegały głośny gwar, wrzaski rozkazów i strzały. Kobiety krzyczały, płakały dzieci. Felicja przytuliła Sophie ciałem do siebie.

Ktoś rozerwał plandekę i nagle ich oczom ukazały się obce twarze pod grubymi futrzanymi czapkami: szerokie kości policzkowe, płaskie nosy i lekko skośne oczy. Rosjanie trzymali karabiny gotowe do strzału i krzyczeli coś, co Niemcy zrozumieli jako rozkaz zejścia z samochodu. Schodzili po kolei w śnieg, Felicja zeszła jako ostatnia. Kapitan ze zranioną nogą nie od razu sobie poradził, ale jeden z Rosjan pomógł mu, wymierzając mu silny cios karabinem w plecy, i oficer upadł na ziemię. Dwóch Rosjan wspięło się do samochodu. Po chwili wyciągnęli martwego żołnierza i rzucili go do rowu koło drogi. A potem Rosjanie odebrali broń żołnierzom niemieckim. Jeden z nich się bronił, próbując zatrzymać swój karabin. Zastrzelili go natychmiast.

Cała kolumna, rozciągnięta na długości około półtora kilometra, się zatrzymała. Ze wszystkich stron dobiegały krzyki i strzały.

Jeden z Rosjan, niski i krępy, z rękami jak łyżki koparki, podszedł do Felicji, chwycił za pasmo jej długich włosów i powoli przesunął je między palcami. Powiedział coś, czego Felicja nie rozumiała. Cofnęła się o krok. Jej serce zaczęło bić tak gwałtownie, że jej ciało zaczęło wyraźnie drżeć. „Chyba mnie nie przewróci tu w śnieg i na oczach wszystkich”, pomyślała.

Rosjanin powtórzył to, co właśnie powiedział, ale ona dalej nie rozumiała. Jego ogromne ręce sięgnęły po koc, którym była owinięta Sophie, i ostrożnie ściągnęły go z twarzy dziecka. Rosjanin miał przed sobą szeroko otwarte, przerażone i nienaturalnie błyszczące oczy dziecka, które z trudem oddychało. Spytał o coś. Felicja nie wiedziała, o co chodzi, ale odpowiedziała:

– Ona jest ciężko chora. Prawdopodobnie zapalenie płuc. Ale nie znaleźliśmy lekarza, który mógłby się nią zająć. Nie wiem, jak długo przeżyje z tak wysoką gorączką.

Rosjanin zaczął grzebać po kieszeniach swojego kożucha i w końcu wydobyl mały woreczek, odwiązał go i podsunął Felicji pod nos. Zajrzała do środka, zobaczyła wysuszone korzenie i liście.

– Co to jest? – spytała.

Żołnierz zaciągnął sznurek, którym był zawiązany woreczek, a potem wcisnął jej go do ręki. Jednocześnie wskazał na Sophie i zasypał Felicję gradem słów.

– Zakładam – powiedział jeden z niemieckich żołnierzy – że to jakaś herbata ziołowa, która według niego powinna pomóc tej małej.

Czerwoarmista trącił go brutalnie kolbą karabinu w plecy. Felicja mocno trzymała prezent.

– Dziękuję – odparła. – Bardzo, bardzo dziękuję!

Ku ogólnemu zdumieniu kolumna mogła ruszyć dalej, choć Rosjanie zabrali wszystkich żołnierzy, także niektórych cywilów, mężczyzn i kobiety, którzy ustawili się w długi rząd i musieli pomaszerować w przeciwnym kierunku. Zabrali też wojskowe pojazdy i rozstrzelali kilkunastu mężczyzn, których zwłoki leżały teraz po obu stronach drogi. Felicja drżała ze strachu o Alexa, którego nigdzie nie mogła dostrzec. Zastanawiała się, jak na miłość boską miałyby z Sophie dotrzeć na zachód, gdyby zabrakło Alexa. Nie mogła jednak teraz po prostu stanąć na skraju drogi i rozmyślać; musiała znaleźć jakiś transport. Nie uniosłaby Sophie nawet dziesięć metrów. Jakiś chłop, który wiozł na chwiejącym się wozie swój dobytek, pozwolił jej w końcu wsiąść. Felicja znalazła się pośród licznej rodziny, wciśnięta między pierzyny i sprzęty do gotowania. Wpatrywało się w nią wrogo sześcioro dzieci wraz z kobietą o mocno zapadniętych policzkach. Dwa razy wszyscy musieli wsiąść i wypchać wóz z kompletnie rozjeżdżonej drogi. Głęboką nocą, przy bardzo niskich temperaturach i padającym śniegu w końcu dotarli do Elbląga.

Miasto było przepełnione. Na ulicach, przystankach tramwajowych, placach i w garażach, wszędzie obozowali uchodźcy. Przy porcie i dworcu panował taki ścisk, że nie dało się przedrzeć przez tłum. Tu ludzie z rozpaczą liczyli na to, że uda im się zdobyć miejsce na statku albo w pociągu. Za ledwie przed kilkoma godzinami wypłynął stąd statek pasażerski z dwoma tysiącami ludzi na pokładzie. Był to jednak niewielki ułamek tych, którzy liczyli na możliwość ucieczki. Statki poprzedzały lodolamacze, które wytyczały szlak w lodzie aż do Pillau; Frischer Haff pokryty był grubą warstwą lodu i kolejne kolumny uchodźców pokonywały go też pieszo. Było to niebezpieczne, bo ostrzeliwały je bombowce Armii Czerwonej. Felicja, która zsiadła już z chłopskiego wozu i błądziła po ulicach miasta, dowiedziała się tego z urywków rozmów i natychmiast postanowiła przedostać się do portu. Wizja bombardowania zalewu i znalezienia się w lodowatej wodzie ją przeraziła. Postanowiła spróbować dostać się na dworzec.

Z trudem dopytała się o drogę i przy okazji ze zdumieniem stwierdziła, że życie mieszkańców Elbinga przebiegało w miarę normalnie, mimo szalejącej niedaleko wojny. W kinach miały miejsce nawet seanse, a przed hotelem na gości oczekiwali boy w liberii.

Bezpośrednie sąsiedztwo przerażającego upadku świata sprawiało, że sceneria miasta zawierała w sobie jednocześnie coś nierzeczywistego i groteskowego.

Sophie ciążyła Felicji w ramionach i kobieta musiała co trochę przystawać, aby odetchnąć i nabrać sił. Mróz szczypał w policzki, ale przy takim wysiłku i wyczerpaniu jej ciało było mokre od potu. Zataczając się nieomal, dotarła na dworzec. Od ponad dwunastu godzin była na nogach i nie miała nic w ustach, a od trzech dni zasypiała tylko na kilka minut. Piekły ją oczy, bolały kości i prawie odmrożone palce u nóg, dręczył też ucisk w żołądku, a niesłychane zmęczenie powodowało, że poruszała się na wpół mechanicznie. Gdyby w tym momencie ktoś ją zapytał, skąd brała siły, aby stawiać nogę za nogą, oświadczyłaby, że nie wie. Może odpowiedzią była Sophie. Felicja ciągle słyszała słowa Letycji: „Zawieź Sophie w bezpieczne miejsce. Zawieź ją na zachód!”.

Nawet gdyby sama miała potem tu gdzieś zdechnąć jak pies, to musiała najpierw wywieźć stąd Sophie!

Na placu przed dworcem wszędzie siedzieli ludzie – na walizkach, kocach lub przyniesionych krzesłach. Tu i ówdzie paliły się ogniska, przy których można było ogrzać ręce albo nawet ugotować herbatę. Felicja precisiwała się przez tłum.

– Czy dziś odjedzie jeszcze jakiś pociąg? Nie wie pan, czy dziś w nocy odjeżdża jakiś pociąg?

Informacje były niepewne, ale ktoś przysięgał, jakoby naczelnik dworca zapewniał, że we wczesnych godzinach porannych pojedzie pociąg z Elbinga do Gdańska. Nie było to daleko, ale zawsze coś. Felicja przypominała sobie słowa Alexa: „Musimy opuścić Prusy Wschodnie, zanim Rosjanie dotrą do granicy”. Może to będzie ostatni pociąg do Gdańska i zarazem ostatnia szansa.

Przedzierała się przez tłum z bezwzględnością, na którą zdobywała się w najtrudniejszych momentach swojego życia. Do przodu, do przodu, bliżej torów, tylko to przychodziło jej do głowy, być jak najbliżej, kiedy przyjedzie najbliższy pociąg. Byłaby teraz zdolna odepchnąć każdego nawet od stopnia wagonu, aby znaleźć się w środku.

Udało jej się dostać w pobliże torów. Ludzie warczeli, złościli się, a jakiś mężczyzna skrzyczał ją głośno, kiedy odepchnęła go na bok, ale chore dziecko w jej ramionach stanowiło coś w rodzaju immunitetu. Nikt nie próbował jej powstrzymać. Kiedy mimo wszelkich wysiłków nie była już w stanie przedzierać się dalej, przykucnęła i oparła się o kamienny słup z zegarem, aby odetchnąć. Zapewne nie byłaby już w stanie zrobić ani kroku i właściwie nawet nie chciała. Miała wrażenie, że znieśie wszystko, ale już nie zdoła się podnieść. Z letargu wyrwał ją kaszel Sophie. Przypominała sobie zioła, które wcisnął jej do ręki rosyjski żołnierz. Czy powinna ugotować z nich herbatę? Może przy jednym z ognisk, których paliło się już dość dużo. Posadziła dziecko na zimnym betonie w nadziei, że koce, w które je zawinęła, stanowią jakąś izolację. Młoda kobieta, która siedziała obok, zaofiarowała się, że popilnuje małej. Felicja ponownie zaczęła się przepychać przez tłum, przyciskając do piersi woreczek. Niedaleko jakaś rodzina grzała ręce nad ogniem i Felicja do nich podeszła.

– Czy pozwolą mi państwo ugotować tu herbatę? Mam ciężko chore dziecko, które niemal dusi się od kaszlu. Proszę mi pomóc!

Ludzie wygrzebali ze swoich rzeczy garnek, ktoś poszedł po wodę, znalazło się nawet sitko, przez które można było przecedzić wywar. Co prawda śmierdzał on strasznie, ale jeden ze stojących w pobliżu mężczyzn oświadczył, że to na pewno coś skutecznego. Dodał jeszcze, że jego babka też miała przepis na jakąś tajemniczą herbatę i ona wszystkim zawsze bardzo pomagała. Po tych słowach zapadło ciężkie milczenie; bo babcia i ziołowa herbata kojarzyły się z dawno minionym, na zawsze utraconym czasem.

Ktoś powiedział cicho:

– To tylko senny koszmar. Wrócimy któregoś dnia.

Ale Felicja wiedziała, że nie ma już żadnej nadziei. Wróciła do Sophie i z pomocą obcej kobiety napoiła wnuczkę przygotowaną herbatą. Dziewczynka próbowała się bronić, ale była już zbyt słaba, aby stawić skuteczny opór. Felicja nie ustąpiła, aż Sophie wypila cały kubek. A potem odwinęła ją z zewnętrznego koca, rozpostarła go na ziemi, usiadła na nim i wzięła w ramiona śpiące już dziecko. Sophie rzeczywiście oddychała nieco lżej i przestała kaszleć.

„Wytrzymaj, Sophie. Zawiozę cię do Berlina, obiecuję ci, ale wytrzymaj!”

Śnieg padał teraz wielkimi płatkami. O wpół do drugiej w nocy Felicja ściągnęła swój płaszcz, aby zawinąć w niego Sophie, bo ona sama tak bardzo nie marzła, czuła tylko nieprzyjemne odrętwienie w kończynach. Od czasu do czasu spoglądała w górę, gdzie spomiędzy chmur co rusz wylaniał się księżyc. Modliła się, aby wreszcie nadszedł ranek i aby przyjechał pociąg. Wiedziała, że czeka ją mordercza walka, ale to wydawało jej się lepsze niż czekanie. Była przekonana, że nie zmruży oka, ale ogromne wyczerpanie zwyciężyło. Około piątej nad ranem zadrzemała.

Szarzało, kiedy się ocknęła. Przestało padać, ale ciężkie, ciemne chmury nie wróżyły niczego dobrego. Felicja potrzebowała sekundy, aby zrozumieć, gdzie się znajduje, ale potem poderwała się i krzyknęła. W zimnie i wilgoci zeszywniała tak, że każdy ruch sprawiał jej ból. Młoda kobieta, która nocą jej pomagała, stała nad nią pochyłona i musiała nią potrząsnąć. Miała zatroskany wyraz twarzy.

– Bałam się już, że pani zamarzła, bo tak twardo pani spała!

– Czy pociąg już odjechał? – spytała Felicja z przerażeniem.

– Nie, nie. Ale...

– Co takiego?

Kobieta z dziwnym wyrazem w oczach zajrzała do zawiniątka, w którym znajdowała się Sophie.

– Obawiam się, że...

Felicja gwałtownie rozwinęła płaszcz i koc. Jej serce biło jak oszalałe, a w krtani narastał dziwny ucisk.

– Sophie! – krzyknęła, potrząsając dzieckiem. – Sophie! Sophie!

Jak głośno krzyczała jej imię? Otaczający ją ludzie odwrócili się w jej stronę.

– Sophie!

Bładożółtawa mała twarzyczka. Zaczerwieniony nosek. Delikatny puch brwi nad oczami. Nasada włosów w kształcie serduszka. Popękane od gorączki, lekko rozchylone wargi. Niewyraźne, delikatne żyłki na skroni.

– Sophie! Sophie, obudź się!

Obraz tego małego dziecka miał pozostać w pamięci Felicji na resztę życia. Pojawiał się potem przed jej oczami na jawie i w snach.

Sophie zmarła nocą we śnie.

Felicja biegła przez miasto, trzymając martwe dziecko w ramionach. Był już jasny dzień i przestało ją interesować, czy tak długo oczekiwany pociąg przyjechał. Nie wiedziała nawet, dokąd biegnie. Z chaosu myśli pozostała w jej głowie tylko jedna: „Nie mogę jej tu zostawić. Ten tłum ją rozdepcze. Muszę ją stąd wynieść”.

Nagle ta ucieczka przestała być ważna, Felicja nie myślała o tym, co miało się stać. Była jak ogłuszona, a gdzieś czaiły się przerażenie i straszny ból. Sophie zmarła, a ona nawet tego nie zauważyła. Czy mogła temu zapobiec? Czy małą dziewczynkę pokonała zbyt wysoka gorączka, a może zadusił ją kaszel albo po prostu zamarzła? Jak ona, Felicja, mogła trzymać ją w ramionach i nie zauważyć, że umiera? Te pytania wirowały w jej głowie, ale najbardziej



nurtowało ją jedno: „Gdzie, na miłość boską, mam zanieść zwłoki? Przecież nie mogę jej gdzieś tu zostawić! Co ja teraz zrobię?”.

Felicja miała wrażenie, że powoli traci zmysły, i nie zauważyła, że nagle Alex zastąpił jej drogę i chwycił ją za ramię.

– Felicjo! Mój Boże, gdzie ty byłaś? Szukałem cię jak szalony!

Miał twarz pobladłą z niepokoju i troski. Felicja patrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

Alex potrząsnął nią lekko.

– Felicjo!

– Alex... – Brzmiało to tak, jak gdyby miała w ustach kłęb waty.

Dopiero teraz spojrzął na zawiniątko w jej ramionach i zauważył osobliwie osuwającą się na bok główkę dziecka. I zrozumiał, co znaczył wyraz zimniejszych niż zwykle oczu Felicji i jej ust zaciśniętych tak, że tworzyły jedną białą linię.

– Nie, Felicjo! Kiedy...

Upuściła zawiniątko na ziemię i zaczęła płakać. Nie głośno, gwałtownie i rozpaczliwie, tylko cicho i niepowstrzymanie. Alex widział ją w takim stanie tylko raz, tej nocy, kiedy nieoczekiwanie pojawił się w Monachium, a gestapo przeszukiwało jej dom. Felicja trzymała się dzielnie przez cały czas i nie dała niczego po sobie poznać do chwili, kiedy niebezpieczeństwo minęło. I dopiero wtedy się załamała. Teraz było tak samo. Stała na środku drogi, ze zwieszonymi ramionami, twarzą o rysach wyostzonych ze zmęczenia i nie była w stanie przestać płakać. Alex chciał ją chwycić w ramiona, pogłodzić jej włosy, ale wiedział, że muszą natychmiast biec na dworzec, jeśli mają złapać ostatni pociąg. Nie było czasu na płacz czy też żałobę. Ani nawet na pogrzeb.

– To ja, ja jestem winna! – Cichy głos Felicji się załamywał. – Bo nie chciałam wyjechać z Lulinna. Bo ja...

– Nie wmawiaj sobie tego, Felicjo!

W jej oczach nagle błysnęła wściekłość.

– Sam to przecież powiedziałaś! Nie zaprzeczaj własnym słowom! Powtarzałeś to raz po raz!

Alex w myślach przeklął sam siebie, ale nie mógł nic zrobić, nie było też czasu na wyjaśnienia.

– Felicjo, musimy na dworzec, my...

– Muszę najpierw pogrzebać Sophie.

– To niemożliwe. Nie mamy czasu.

– Ja mam czas.

– Felicjo, nie ma sensu, abyśmy tu zginęli tylko dlatego, że upierasz się przy pogrzebie Sophie. Tam na polach i drogach Prus Wschodnich leżą setki zwłok i nikt się o nie nie troszczy. My... my położymy ją tu w jakimś ogrodzie...

– Nie!

Pojął, że przekonywanie jej jest bezcelowe i że trzeba będzie ją po prostu zmusić, jeśli mieli wykorzystać tę szansę. Brutalnie chwycił ją za ramię.

– Nigdy nie byłaś sentymentalna, Felicjo, nie bądź więc też w takiej chwili, kiedy nie ma to najmniejszego sensu. Nie po to opuściliśmy Lulinn i całymi dniami przedzieraliśmy się przez śniegi w morderczym zimnie aż tutaj, aby teraz spokojnie czekać na Rosjan. Pójdiesz ze mną na dworzec, nawet gdybym miał zawlec cię tam za włosy!

– W ogóle o tym nie myślę. Nie zostawię Sophie gdzieś tutaj!

– Tyle że niestety może być tak, że za dwadzieścia cztery godziny będziesz leżała obok

niej, i chciałbym wiedzieć, co ona z tego będzie miała! – powiedział i zaraz zdał sobie sprawę, jak okrutnie to zabrzmiało.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, ale widział po jej oczach, że powoli ustępował szok i zaczęło do niej docierać, że miał rację. W końcu położyli martwą Sophie na skraju parku i przykryli ją gałęziami. Kiedy wrócili na dworzec, znów padał śnieg. Po twarzy Felicji już nie płynęły łzy. Osłabiona i bezsilna z troski i zmęczenia dreptała posłusznie za Alexem, który opowiadał, że sprzedał wóz jakimś ludziom na skraju drogi. Nie słuchała. Nie interesowało jej to. Myślała tylko o tym, że Sophie nie żyła, że ona musi dotrzeć do Berlina i oznajmić tę wiadomość Belle. Tym razem opuściła ją zdolność odsuwania na dalszy plan nieprzyjemnych i trudnych spraw i wracania do nich wtedy, kiedy traciły na ostrości. Teraz Felicja nie była w stanie tego zrobić. Cały czas z okrutną wyrazistością pojawiał się przed jej oczami obraz martwej Sophie i nie potrafiła o nim zapomnieć.

Pociąg ciągle jeszcze nie było, choć dochodziło południe, a zgodnie z zapowiedzią miał przyjechać wczesnym rankiem. Ludzie byli podekscytowani, bo ktoś powiedział, że się zbliża i że w mieście widziano już rosyjskie czołgi. Zewsząd dobiegał huk ostrzału artyleryjskiego, a po wschodniej stronie nieba wisiał gęsty dym. Wreszcie nadjechał tak bardzo wyczekiwany pociąg i wśród ludzi na peronie wybuchła niebezpieczna histeria. Od samego początku wiadomo było, że tylko nikła część czekających zdobędzie miejsca. Wszyscy szturmowali wagony – wyłącznie towarowe, w większości otwarte, bez żadnej osłony przed lodowatymi powiewami powietrza w czasie jazdy. Dzieci wrzeszczały, matki z rozpaczą obejmowały niemowlęta i próbowały drugą ręką uchwycić walizkę. Mężczyźni robili, co mogli, aby rodziny trzymały się razem. W potwornym tłoku Felicja i Alex zostali natychmiast rozdzieleni i tłum poniósł ich w przeciwnych kierunkach. Jakaś kobieta, której w ścisku zginęło dziecko, z krzykiem przedzierała się z powrotem i omal nie została zdeptana na śmierć. Wszyscy ci ludzie mieszkali do niedawna w pięknych domach w idyllicznym zakątku Europy, byli wobec siebie życzliwi, pomocni i dobroduszni, ale teraz uciekali przed nieznaną łaską wrogiem i dotychczasowe wartości przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ważne było tylko jedno: zdobyć miejsce w tym cholernym pociągu.

Felicja miała szczęście. Tłum ludzi niemal ją uniósł. Chwyciła uchwyt przy drzwiach, poczuła pod nogami stopień i wciągnęła się do góry, popychana z tyłu przez napierającą ciżbę. Znalazła się w węglarce, gdzie ludzie byli ściśnięci jak sardynki w puszcze. Zmieściłyby się tam co najwyżej dwie osoby. Udało jej się w ostatnim momencie. Jak zawsze.

Odwróciła się i zobaczyła Alexa, który znajdował się dość daleko za nią. „Oczywiście”, pomyślała ze złością. „On nie potrafi zdobyć się na odrobinę bezwzględności, tak jak ja!” Jasne było, że on nie zdoła się wepchnąć do pociągu. Ludzie wisieli przy wagonach jak winogrona, a od strony lokomotywy dobiegł głośny gwizd. Za niecałą minutę pociąg miał ruszyć. Felicja myślała o Maksymie. O Belle. O Zuzannie, o Tomie Wolffie i o jego fabryce zabawek. O życiu. I widziała Alexa. Nie było podstaw, aby nadstawić dla niego karku, ale odwróciła się i wyskoczyła z wagonu, ściślej rzecz ujmując, po prostu osunęła się w tłum ludzi. Upadek był zadziwiająco miękki i nawet nie poczuła, że skaleczyła się o jakiś wystający gwóźdź tak, że ciepła krew pociekła jej po przedramieniu. Mimo krzyku ludzi usłyszała słowa Alexa:

– Czy ty oszalałaś!? Co robisz, do cholery?

Pociąg ruszył, powoli nabierał rozpędu i wkrótce opuścił dworzec. Na peronach wciąż tłoczyli się ludzie. Nawet dwadzieścia takich pociągów nie wystarczyłoby na ich transport. Alex przedarł się do Felicji. Był błąd z przerażenia.

– Dlaczego to zrobiłaś? Do diabła, byłaś przecież na górze!

– Tak, a teraz jestem na dole, do diabła! – przedrzeźniła go szorstko.

Nienawidziła, gdy ktoś wytykał jej nierozsądne decyzje, bo rzeczywiście nierozsądnie było wysiąść z pociągu z powodu Alexa. Teraz znowu stała na tym okropnym peronie, w mieście, które właśnie okrążali Rosjanie, a dookoła echo powtarzało odgłosy wystrzałów. Zastanawiała się, po co to zrobiła, i z zaskoczeniem stwierdziła, co przyszło jej do głowy wiele lat temu, że w jakiś niepojęty sposób kochała Alexa. Nie mogła uciec i skazać go na niepewny los, a może nawet na śmierć. Przez całe życie kochała idealistycznie tylko jednego człowieka: Maksyma Marakowa. I w gruncie rzeczy nie mogła sobie pozwolić na coś równie zwariowanego, jeśli chodziło o Alexa, a jednak bez wątpienia właśnie to zrobiła.

#### 4.

16 stycznia 1945 roku niemiecka armia w Prusach Wschodnich została odcięta od pozostałych. 29 stycznia Armia Czerwona wkroczyła na Pomorze. Königsberg był okrążony, ale miasto broniło się zacięcie. 3 lutego znów dokonano ciężkich nalotów na Berlin, który i tak już przypominał pustynię gruzów. 12 lutego niemiecki minister sprawiedliwości wydał zarządzenie, na mocy którego utworzono sądy doraźne, mające się zajmować „przestępstwami godzącymi w niemiecką wolę walki i determinację bojową”. Rodziny dezertorów bądź kapitulujących oficerów miały ponieść za nich odpowiedzialność, niektóre nawet deportowano do obozów koncentracyjnych. Były to ostatnie podrygi państwa niemieckiego, ale ciągle jeszcze władze postępowały tak, jak gdyby obrona miała jakiś sens. „Führer potrzebuje twojej ofiary dla Wehrmachtu i Volkssturmu” – takie hasło widniało na wielkich transparentach wywieszonych w miastach.

Nocą z 13 na 14 lutego alianci obrócili w perzynę Drezno, przepelnione w tym czasie uchodźcami ze wschodu. Ogromne pożary objęły ulice, zginęło tysiące ludzi. Z miasta nie pozostał kamień na kamieniu.

8 kwietnia Rosjanie weszli do Königsberga. 9 kwietnia skapitulował generał Lasch, który aż do tej pory bronił miasta twierdzy i został skazany przez Hitlera na śmierć.

16 kwietnia rozpoczęła się wielka rosyjska ofensywa na Berlin.

Belle zdobyła dla małej córeczki Nikoli dodatkowe kartki na mleko, którego i tak nie było w żadnym sklepie. Sprzedawczynie jedynie wzruszały ramionami.

– Przykro nam. Nigdzie nie można dostać mleka. Nawet w proszku. Może zapyta pani gdzie indziej.

Belle czuła się wykończona i coraz częściej bolał ją żołądek, zapewne dlatego, że nie dojadała. Ciepłe powietrze wiosennego dnia działało na nią usypiająco, a obraz otaczających ją zniszczeń przynębiał. Wszędzie tylko gruzy i ruiny. Puste otwory po oknach. Wynędzniali ludzie w obszarpanych ubraniach. Bezdomni, uchodźcy, którzy obozowali pod gołym niebem, z walizkami albo małymi wózkami ręcznymi na podorędziu. Ulicami ciągnęły długie szeregi chłopców z Hitlerjugend o jeszcze dzieciennych twarzach, a mimo to powołanych do Volkssturmu. Kobiety, w chustkach na głowach, pokryte wapiennym pyłem, pomagały przy odgruzowywaniu, co było beznadziejnym zajęciem wobec ogromnego morza zniszczeń. A mimo to w tych ruinach życie biegło dalej: jak zawsze wiosną na rogach ulic stare kobiety oferowały przechodniom bukietki pierwiosnków i krokusów. Na jakimś kompletnie zbombardowanym podwórku spod gruzów wyrastał triumfująco samotny żółty krzak janowca.

Belle, im bliżej była domu, tym wolniej szła. Nienawidziła tam wracać. Trzy pokoje były kompletnie przepelnione; oprócz niej mieszkały tam Nikola z małą, Christine i Anna. Już samo to wystarczyło, ale w lutym dołączyła do nich także Modesta z pięciorgiem dzieci – najstarszy syn, Wiktor, przebywał jeszcze w zakładzie wychowawczym Napola. Czworo dzieci spało na małym strychu przynależnym do mieszkania, ale one oczywiście stale schodziły na dół, krzyczały i hałasowały. Na szczęście przynajmniej ten młody Francuz, który towarzyszył rodzinie, nie zatrzymał się dłużej niż jeden dzień, po czym wyruszył w drogę, chcąc przedostać się do swojej ojczyzny.

Modesta była zdumiewająco szczupła, a jej okrągłe krowie oczy straciły wyraz gnuśności. Zamiast tego pojawiło się nerwowe mruganie, które budziło współczucie u każdego, kto ją widział. Opowiedziała Belle o swojej ucieczce – musiało to być straszne. Jechali wozem przez

zamarznięty Frischer Haff pod ostrzałem rosyjskich samolotów. W którymś momencie konie upadły i dalej wszyscy szli pieszo. A potem Modesta wraz z dziećmi i Yves'em różnymi okazjami dotarła do zniszczonej stolicy Rzeszy. Co rusz zabierał ją jakiś pojazd, ale spore odcinki musieli przejść pieszo. Kiedy wyczerpana dotarła do Berlina, musiała najpierw ustalić, gdzie mieszka Belle, i to znów zajęło jej kilka dni. Modesta nie mówiła teraz o nikim innym, tylko o swoim Josephie, i zastanawiała się, jak można dowiedzieć się, co się z nim stało. Oczywiście w tej chwili nie było takiej możliwości, bo wszelka łączność ze wschodem była zerwana, a Armia Czerwona zaczęła okrążać Berlin.

Modesta w chaotycznych słowach opowiedziała o chorobie Sophie i o tym, że Felicja postanowiła przestać uciekać do chwili, w której dziecko będzie zdrowe.

– To było w jakiejś małej wsi między Insterburgiem a Elbingiem. Ale nie martw się tak bardzo, Belle. Alex Lombard z nią jest.

Ale to nie uspokoiło Belle, wręcz przeciwnie, co rusz ogarniał ją jakiś dziwny, nieznany jej lęk. Alex i Felicja przeciwko Armii Czerwonej... Jak bardzo chora była Sophie, że Felicja wolała zaryzykować i zostać w Prusach Wschodnich, mimo że Rosjanie niemal wyciągali po nich ręce? Czy oni wszyscy jeszcze żyli, a może dawno już ich zamordowano albo uprowadzono? Co stało się z prababcią Letycją, kiedy wszyscy opuścili Lulinn? A Max? O nim Belle też nie miała żadnych wieści od czasu okrążenia Stalingradu. Podobnie jak o Paulu, od 1942 roku... Los wszystkich bliskich jej ludzi, których kochała, był niepewny, a ona nie mogła nikomu pomóc. Tęskniła za Andreasem, po prostu za tym, żeby wziął ją na chwilę w ramiona. Tak bardzo chciała położyć głowę na jego ramieniu i odetchnąć, zapomnieć o wszystkich troskach choćby na parę sekund. Ale Andreas utknął w Szwajcarii, bo koniecznie musiał w nielegalny sposób zarabiać pieniądze.

Belle się wyprostowała i ruszyła szybciej w stronę domu, ignorując napotkaną uciekinierkę ze Śląska, która trzymała w rękach szyld z prośbą o dach nad głową i coś do jedzenia.

– Proszę, nie mam mieszkania, nic już nie mam, proszę mi pomóc...

„Dobry Boże”, pomyślała Belle ze zniecierpliwieniem, „tak jakbyśmy my nie deptali sobie po piętach w tej ciasnocie!”.

Otworzyła drzwi domu i usłyszała wołanie Modesty z górnej klatki schodowej.

– Belle! Belle, chodź szybko!

„Pewnie któreś z tych jej przeklętych dzieci zacięło się w palec albo znów nie ma prądu”, stwierdziła w myślach Belle. Zawsze, kiedy coś się działo, wołano właśnie ją. Ona miała znaleźć na wszystko radę, wszystko naprawić i każdemu pomóc. Czasami czuła się tak zmęczona, że najchętniej położyłaby się i spała całymi tygodniami.

Modesta przechyliła się przez poręcz.

– Mój Boże, Belle, wreszcie! Gdzie ty byłeś cały czas? Czekamy już na ciebie! Pośpiesz się!

Belle dotarła wreszcie na górę.

– Co się stało?

Modesta chwyciła ją za ramię.

– Nie uwierzysz, kto przyjechał! Nie uwierzysz, że to możliwe! Po tak długim czasie... twoja matka przyjechała, Belle. Felicja. Z Alexem Lombardem. Chodź szybko!

Felicja i Alex siedzieli w kuchni. Już na pierwszy rzut oka Belle dostrzegła, że mieli za sobą niesłychane przejścia. Oboje mieli zapadnięte policzki i ciemne cienie pod oczami. Felicja w dodatku bardzo schudła. A jej włosy! Czy jej włosy nad czołem i na skroniach były ostatnio takie siwe? Między nią a Alexem panowała wyraźnie wyczuwalna bliskość. Felicja zawsze miała

problem z okazywaniem spontanicznych uczuć swoim dzieciom i teraz też coś powstrzymało ją przed chwyceniem córki w ramiona. I ta jej nieśmiałość, czy też dziwne skrępowanie, udzieliła się Belle, która stanęła przed matką w milczeniu.

– Mamo – powiedziała w końcu – gdzie ty byłaś tak długo?

– Z pewnością jechaliśmy tutaj najtrudniejszą i najdłuższą drogą, jaka istnieje między Berlinem a Lulinnem – odpowiedziała Felicja, po czym odwróciła się i zaczęła gwałtownie kaszleć. Od wielu tygodni męczył ją bronchit, a nocami po prostu walczyła o każdy oddech. Kiedy znów mogła mówić, zwróciła się do Belle: – Nie przywitasz się z Alexem?

Felicja zawsze wychowywała Belle w przeświadczeniu, że to Alex jest jej ojcem, ale on tak naprawdę nie odgrywał żadnej roli w jej życiu. Belle jako małe dziecko widziała go jedynie raz czy dwa razy. Nie była w stanie dostrzec ojca w tym obcym mężczyźnie, który podniósł się i podał jej rękę, i nawet nie bardzo wiedziała, czy ma się do niego zwracać przez „pan” czy „ty”.

– Dzień dobry, Alex – powiedziała w końcu.

– Dzień dobry, Belle.

Alex był zaskoczony jej nadzwyczajną urodą. Córka Maksyma Marakowa. Była bardzo podobna do Felicji, ale miała nieco szersze kości policzkowe i lekko skośne oczy. Wydawała się bardziej uwodzicielska niż Felicja, którą zawsze cechował nieco szorstki sposób bycia, ale za to rysy Belle nie były tak wyraziste, a w jej oczach można było dopatrzeć się pewnej skłonności do lekkomyślności, czego Alex u Felicji nie znał.

„Zapewne mężczyźni uganiają się za nią stadami”, pomyślał Alex, „i zapewne zawsze wybiera nie tego, co trzeba”.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jechaliście tu najdłuższą drogą? – Belle nawiązała do słów matki.

– Niewiele brakowało, a nie wydostalibyśmy się z Elbinga. Udało nam się zdobyć miejsca na dosłownie ostatnim statku, który wypłynął z portu. Na otwartym morzu zostaliśmy zbombardowani i dwa dni dryfowaliśmy w łodzi ratunkowej...

– O Boże, mamo!

– Wyłowił nas szwedzki frachtowiec i zawiózł do Sztokholmu. Ale tam nie chcieli nas wpuścić na ląd. A ponieważ nie można nas było tak po prostu wrzucić do morza, zabrali nas do czegoś w rodzaju obozu dla internowanych. Tam przeżyliśmy dramat z naszymi papierami, aż w końcu nas wypuścili, ale kazali nam w ciągu dwunastu godzin opuścić kraj. Zanim zdobyliśmy miejsce na statku do Danii... gdzie nas potem przewożono z jednego miejsca na drugie... Belle, nie możesz sobie wyobrazić, jak to wszystko było trudne!

Mówiła gwałtownie, co było zrozumiałe po takich przeżyciach – ale jednak było w jej słowach coś niepokojącego, jak gdyby za żadną cenę nie chciała dopuścić kogokolwiek do słowa. Belle ogarnął osobliwy niepokój, jakiegoś przeczucie nieszczęścia. Ogarnęła wzrokiem całe pomieszczenie, zanim na pozór spokojnie spytała:

– A gdzie jest właściwie Sophie?

Felicja odwróciła wzrok. Modesta westchnęła ciężko, z lękiem. Belle powtórzyła pytanie ostro:

– Gdzie jest Sophie?

Alex Lombard wytrzymał jej spojrzenie.

– Belle... Zrobiliśmy dla niej wszystko, ale warunki okazały się zbyt trudne. Sophie była ciężko chora, miała zapalenie płuc, a my przy dwudziestu stopniach mrozu musieliśmy uciekać z Prus. Nawet zdrowe dzieci ledwo mogły to przetrwać. Sophie zmarła w Elbingu. We śnie. Nawet tego nie poczuła.

– Co?!

Belle nagle ogarnęła gwałtowna fala mdłości. Poczula woń własnego potu i zrobiło jej się niedobrze. Przechyliła się do przodu i wpadła w ramiona Alexa Lombarda, a osobliwy stan między pograniczem świadomości a jej całkowitą utratą wydał jej się niemożliwie długi, choć trwał tylko kilka sekund. Ale nie straciła przytomności. Mdłości ustąpiły i uwolniła się z ramion Alexa.

– Przepraszam pana – powiedziała i jednocześnie pomyślała: „Jakie to głupie, przecież to mój ojciec”.

Belle owinęła się ciasno szlafrokiem, ale mimo to marzła i z trudem mogła zapanować nad dygotaniem. Była prawie trzecia w nocy. Z rezygnacją pogodziła się z tym, że tej nocy już nie zaśnie, po czym wstała i poszła do kuchni. Rolety zaciemniające były opuszczone, zapaliła więc światło i wyciągnęła butelkę czerwonego wina, którą ukryła przed Modestą głęboko w szafie. Bez tego nie można było przetrwać tej nocy. Może zrobi jej się cieplej po alkoholu, może przestanie myśleć. Gdyby zbladły i znikły te obrazy, które co rusz pojawiały się w jej głowie, wszystkie wspomnienia, myśli, przeżycia, których ani nie potrafiła uporządkować, ani uspokoić. Nie czuła nic innego oprócz bólu i nie potrafiła tak jak przedtem podejść do tego racjonalnie i poprzez to go złagodzić. Jej dziecko nie żyło, umarło gdzieś tam w czasie tej strasznej wschodniopruskiej zimy, w czasie ucieczki przed Rosjanami, a jej oprócz paru fotografii i sukieneczek nie pozostało nic. Tak samo jak po Maxie. Zdjęcia, kilka par spodni i koszul w szafie. Nagle była niemal pewna, że on też nie żyje, i nigdy jeszcze samotność nie przedstawiała się jej tak gorzka i pełna rozpacz. Tym gorsze wydało jej się uczucie, że nie ma już niczego, czego mogłaby się trzymać. Nie mogła powiedzieć: „Spędziłam z Maxem cudowny czas. Spędziłam z Sophie cudowny czas. A potem przyszła wojna i odebrała mi wszystko. I została głęboka rana, która ciągle krwawi, ale kiedyś, kiedy minie odpowiednio dużo lat, wszystko się zagoi”. Nie, ona tak powiedzieć nie mogła.

Bo jakie cudowne chwile mogła wspominać? Uciekała przed Maxem, wykorzystywała każdą okazję, aby chodzić własnymi drogami, niedługo po weselu zaczęła spotykać się z Andreasem i nie mogła sobie poradzić z chaosem własnych uczuć. A Sophie... Ona więcej czasu spędzała z Elzą niż z nią, widywała matkę tylko raz na parę godzin. Życie Belle i jej dziecka przez ostatnie trzy lata biegło osobno. Za smutkiem, bólem i chaosem uczuć czaiła się straszna pustka, która ją przerażała. To zimno w jej ciele, taka osobliwa sprzeczność wobec jej gorączkowych myśli... Wszystko to sprawiało wrażenie jakiegoś bezsensownego cyklu. Belle czuła pustkę i nie spodziewała się niczego dobrego w przyszłości.

Ponieważ prawie nic nie jadła poprzedniego dnia, wino zadziało szybko. Poczula znane odurzenie w głowie i ciężkie, opadające powieki. W ponurym nastroju wpatrywała się w drewnianą płytę kuchennego stołu. Mimowolnie przypomniało jej się coś, co Andreas powiedział jej kilka lat temu: „Czy ty kiedyś w swoim życiu byłaś zrozpaczona, Belle? Samotna? Czy czułaś w sobie tę straszną pustkę albo czy piłaś przez całą noc, aby zapomnieć, ile bólu może sprawić życie?”. Kiedy, z jakiej okazji on o to zapytał? Ach, prawda, chciał jej udowodnić, że nie była na tyle dojrzała, aby być dobrą aktorką. Rzeczywiście nie знаła takiego bólu. Ani zimna i bezsensowności. Życie wydawało jej się łatwe i wesołe i korzystała z niego, za bardzo się niczym nie przejmując. Nagle poczuła gwałtowną tęsknotę za Maxem, za pierwszymi dniami ich miłości i tym dyskretnym, romantycznym spotkaniem w jego pokoju w Prenzlauer Berg. Wtedy była szczęśliwa i nie wiedziała, jaki ból towarzyszy stracie bliskiego człowieka. Czas przed tym bólem... Gdyby dało się go przywrócić, to Belle spróbowałaby tym razem zatrzymać ten czas mocniej i na dłużej.

Nalała sobie trzeci kieliszek i drgnęła, kiedy drzwi kuchni się otworzyły. Felicja z szyją i piersią owiniętymi grubym szalem z powodu dokuczliwego kaszlu weszła do kuchni.

– Ach, to ty, Belle. Zobaczyłam światło. Też nie mogłaś zasnąć?  
– Nie.  
– Przeszkadzam ci? Wolisz być sama?  
– Nie, nie. Usiądź, proszę. Chcesz się napić wina?  
– Tak, proszę. Wprawdzie nie powinno się w ten sposób rozwiązywać swoich problemów, ale zawsze tak robiłam i dzięki temu zawsze udawało mi się jakoś przejść przez życie.

Belle wstała i wyjęła z szafy drugi kieliszek. Felicja patrzyła na nią uważnie.  
– Ciągłe nie ma żadnej wiadomości od Maxa?  
– Nie. Od Stalingradu już nic.  
– A czy jest... – Felicja przypomniała sobie, co Letycja dawno temu powiedziała na temat małżeństwa Belle i jej „zdradzieckiego błysku w oczach”. – A czy w twoim życiu jest inny mężczyzna?

– Dlaczego chcesz się tego dowiedzieć?  
– Po prostu, chciałabym wiedzieć.  
Belle uśmiechnęła się gorzko. Bóle żołądka nadchodziły łagodnymi falami.  
– Kiedy pojedziesz do Monachium, chciałabyś wiedzieć, że ktoś się o mnie troszczy, prawda? Boisz się, że to ty miałabyś mi pomóc się uporać z bólem po stracie dziecka. Mogę cię uspokoić, mam, w moim życiu jest inny mężczyzna. Nie jestem sama.

Felicja wiedziała, że dotknęła drażliwego tematu, ale mimo to spytała:  
– Kiedy spodziewałaś się Sophie i zadzwoniłaś do mnie, bo... bo właściwie nie chciałaś mieć dziecka... wtedy wspomniałaś o jakimś mężczyźnie i ja zrozumiałam, że to on jest ojcem Sophie, a nie Max. Powiedz mi, czy ten mężczyzna jest z tobą? Nigdy mi o nim nie opowiadałaś.

Belle usiadła, nalała matce wina i popatrzyła na nią chłodno.  
– Mam, ty nigdy nie interesowałaś się moim życiem. Proszę więc, abyś nie była zdziwiona, kiedy ci wyjaśnię parę spraw.

Felicja milczała. Belle wypita duży łyk wina.  
– Mam z tym mężczyzną romans od prawie siedmiu lat – powiedziała. – Nie wiem dokładnie, czy to on jest ojcem Sophie, ale przypuszczam, że tak. Spędzałam z nim o wiele więcej czasu niż z Maxem. On jest zupełnie inny. Max był dla mnie zawsze dobry. Przyzwoity, uczciwy, bezkompromisowy. Wolałby raczej głodować, niż grać w teatrach Josepha Goebbelsa. – Zmarszczyła czoło. – A ja się z tym nie zgadzałam. Zawsze robiłabym coś, co byłoby dla mnie korzystne.

– Wiem, Belle. Ja jestem taka sama.  
– Andreas – tak ma na imię ten mężczyzna – jest taki jak ja. Jesteśmy po prostu tacy sami. Z nim można żyć. Z Maxem zawsze mi czegoś brakowało. Coś w nim zawsze było dla mnie obce.

– Doskonale wiem, co czujesz, Belle.  
– Nie, nie sądzę. Nie możesz tego wiedzieć. Ty w ogóle nie zakochałabyś się w takim mężczyźnie jak Max, nie wyszłabyś za niego i nie uczyniłabyś go nieszczęśliwym. Wprawdzie rozwiodłaś się z Alexem Lombardem, ale w zasadzie postąpiłaś rozsądniej niż ja. Choć pasujecie do siebie.

– Tak, ale... – Felicja się zawahała. To nie była właściwa chwila, aby opowiedzieć Belle o Maksymie Marakowie, powiedziała więc ostrożnie: – Całe życie marzyłam o pewnym mężczyźnie, dla którego określone idee i zasady były jeszcze ważniejsze niż dla Maxa i który nigdy nie wyjawiał mi swoich najgłębszych tajemnic. Prawdopodobnie też uczyniłabym go nieszczęśliwym, gdybym za niego wyszła, ale nigdy nie miałam go dla siebie. Jednak zawsze go



kochałam.

Oczy Belle, nieco zamglone z powodu żaloby i alkoholu, teraz stały się czujne.

– Ty kochałaś kogoś w swoim życiu, mamó? Naprawdę kochałaś?

– Tak.

Felicja nie zdradziła już nic więcej na ten temat i sprawiała wrażenie, że przez chwilę patrzyła na minione lata i pytała samą siebie, gdzie podział się tamten czas. Potem dodała:

– Ale to już teraz jest nieważne.

Belle wyglądała na niesłuchanie zmęczoną.

– Nie dociera do mnie to, że Sophie nie żyje. Tak mało czasu z nią spędzałam... Podobnie jak ty, mamó, ze swoimi dziećmi. Ale jednak byłam z nią bardzo związana, ona była po prostu częścią mnie. Max także był częścią mnie. Stale go oszukiwałam, ale jednocześnie tak bardzo go kochałam. – W jej oczach pojawiły się łzy i po chwili już płynęły po policzkach. – Zastanawiam się, po co ja dotychczas żyłam. Nic mi już nie pozostało. Wiesz, jak ja się czuję tej nocy? Jak ktoś, kto leży na brzuchu i chce złapać haust powietrza. Nie czuję w sobie żadnej siły, która pomoże mi stanąć na nogi. To jest tak, jak gdybym miała przed sobą długi, czarny korytarz, przez który muszę przejść, nie wiedząc, kiedy się skończy.

– Kochanie, ja w swoim życiu przesiedziałam ze sto nocy na twardym kuchennym krześle, przede mną stała butelka wina, głośno tykał ścienny zegar, a ja czekałam na szare światło świtu i nie wierzyłam, że to przyniesie jakąś ulgę. Piłam, płakałam i czułam się podle. Ale potem przychodził ranek i jakoś wstawałam, zagryzałam zęby i żyłam dalej. Z tobą będzie podobnie.

– Ja ich wszystkich zdradziłam. – Belle mówiła już niewyraźnie. – Sophie... Max... Żyłam tylko tak, jak chciałam, ulegałam każdemu kaprynowi. Jest wojna, wszystko jest takie okropne, ludzie od lat cierpią i umierają, ale ja miałam w głowie tylko przyjemności i pragnęłam spełnienia chwilowych życzeń, bez względu na to, kto miałby ponieść tego koszty. Ja...

Felicja ponad stołem chwyciła ją za rękę.

– Moja babka Letycja – powiedziała – która, jak wiesz, była bardzo mądrą kobietą, zwykła w takich sytuacjach zadawać sobie i innym proste pytanie: „Teraz, kiedy już wiesz, jak to wszystko przebiegło, a miałabyś możliwość zacząć wszystko raz jeszcze, to czy postąpiłabyś inaczej? Jeśli uczciwa odpowiedź jest przecząca, to nie rób sobie wyrzutów i zamiast tego zrób coś pożytecznego”.

Belle uniosła zalaną łzami twarz.

– To jest takie... takie aroganckie... I zimne.

– Babcia nie była arogancka. Była tylko racjonalna...

Felicja urwała. Uświadomiła sobie, że mówiła o Letycji w czasie przeszłym. Belle także to zauważyła.

– Czy ona jeszcze żyje? I co stało się z Lulinem? Myślisz, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczymy?

– Nie wiem... Może to jest tylko takie głupie przeczucie, ale kiedy wyjeżdżaliśmy tej nocy w śnieżnej zamieci, byłam pewna, że zegnamy się na zawsze...

Na chwilę obie pogrzyżyły się w smutnych rozmyśleniach i rzeczywiście było tak, jak gdyby kuchenny zegar zaczął tykać głośnie. Belle nieco niepewną ręką dołała sobie wina i pomyślała: „Jak ona powiedziała? Pić, płakać i czuć się podle... O Boże, ale ja nie postąpiłabym inaczej, niczego bym nie zmieniła!”.

Felicja w końcu oderwała się od swoich myśli.

– Alex i ja będziemy jutro próbowali przedostać się do Monachium. Może chciałabyś pojechać z nami? Myślę, że w Berlinie będzie nieprzyjemnie w najbliższym czasie.

Belle potrząsnęła głową w odpowiedzi.

– Z Monachium nic mnie nie wiąże. Ja jestem z Berlina. A poza tym chcę być tutaj, bo...  
ach, bo może Max wróci i wtedy powinien mnie tu zastać.

„I wtedy dopiero zaczniesz mieć problemy”, stwierdziła w myślach Felicja i powiedziała głośno:

– Kiedy myśmy siedziały tak razem i rozmawiały ze sobą, Belle? Myślę, że na dobrą sprawę nigdy. Czy to nie szaleństwo, że tak wiele musiało się wydarzyć, aby do tego doszło? Wojna i wypędzenie, śmierć i czekający nas upadek. – Powiedziawszy to, wstała. – Myślę, że teraz...

– Nie! – Belle gwałtownie chwyciła ją za rękę. Jej blada, zapłakana twarz sprawiała teraz wrażenie dziecinnej. – Zostań tej nocy ze mną. Proszę. Powiedziałaś, że przesiedziałaś w ten sposób wiele nocy, czekając, że w końcu nadejdzie ranek, i że znajdowałaś siłę, aby wstać i żyć dalej. Nigdy nie miałaś dla mnie zbyt wiele czasu, ale dziś w nocy potrzebuję cię tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu. Zostań ze mną do rana, proszę. Potem wstanę i jakoś wszystko przezwyciężę, ale do tego czasu bądź ze mną!

Felicja usiadła w milczeniu. Na zewnątrz wiał ciepły wiatr. Wielkie armie rosyjskie szykowały się do okrążenia leżącej w gruzach stolicy Rzeszy. Panowała złudna cisza, wyjątkowo nieprzerywana wyciem syren ogłaszających alarm przeciwlotniczy. Wschodnia strona nieba powoli zaczynała jaśnieć.

## 5.

Wiktor, najstarszy syn Modesty, który w 1939 roku przyjechał do zakładu wychowawczego Napola w Poczdamie, w ciągu tych wszystkich lat niczego nie pragnął bardziej, niż wziąć udział w walce za ojczyznę i Führera. Ogarnięty narodowosocjalistycznymi ideami chłopiec palił się do tego, aby wszystkimi siłami przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa. Szalał z rozpaczy, kiedy dowiedział się, że jest za młody na powołanie. Nie przyjęto go nawet do wojsk obrony przeciwlotniczej. Sprawdzał na mapie posunięcia i manewry armii, widział siebie w roli któregoś z generałów, w myślach jechał do Führera, aby odebrać najwyższe odznaczenie za dzielność na polu walki. Porywały go hasła nazistowskiej propagandy, a zarysowujący się już koniec wszystkiego nie zachwiał jego wiarą w Führera, wręcz przeciwnie, jeszcze wzmocnił jego fanatyczną chęć całkowitego oddania.

W kwietniu 1945 roku, kiedy wielka Rzesza rozlatywała się na kawałki, Wiktor miał jeszcze czternaście lat – w lipcu miał skończyć piętnaście, a do Volkssturmu przyjmowano dopiero od szesnastego roku życia. Ale teraz nikt nie pytał o jego wiek. Ktoś tylko zerknął na jego datę urodzenia w paszporcie, a Wiktor był wysoki i silny. I tego dnia, 25 kwietnia, kiedy na północny zachód od Poczdamu spotkały się dwie rosyjskie armie pancerne i Berlin znalazł się w okrążeniu, pilnie potrzebowano każdego ochotnika. Sowieccy żołnierze godzina po godzinie posuwali się coraz bardziej w głąb miasta, walczyli o każdą ulicę i o każdy dom. W wypalonych ruinach, wśród gruzów, w piwnicach i na podwórkach toczono zacięte walki. Niemieckie oddziały pod naczelnym dowództwem generała Weidlinga stawiały gwałtowny opór, zdopingowane dodatkowo wieścią o tym, że jedna z niemieckich armii zbliża się do miasta z pomocą, ale też świadome bezwzględnych działaniach sądów doraźnych SS, które rozstrzeliwały albo wieszały każdego, kto chciał się poddać.

W marzeniach Wiktora o wojnie nie było miejsca na strach. Ten, kto ruszał do boju dla Führera, i tak nie znał tego uczucia. Wiktor w ogóle nie myślał o żadnych okropnościach i pamiętał tylko o heroizmie. Ale teraz, w samym środku walk, lęk nabrał niesłychanego znaczenia. Sława, honor, dzielność, gotowość do ponoszenia ofiar, przepadły gdzieś te wspaniałe pojęcia, którymi karmiono go codziennie i które wydawały mu się tak oczywiste. Ich miejsce zajęły śmierć, rozpacz, zawstydzająca obawa i przerażenie. Cała Wilhelmstrasse znalazła się pod ostrzałem artyleryjskim, dym całkowicie przesłonił niebo, a huk wystrzałów z broni maszynowej dodatkowo odbijał się echem od ścian nie całkiem zniszczonych domów. Oddziały sowieckie szykowały się właśnie do ataku na Reichstag. I po raz pierwszy Wiktor pomyślał: „Dlaczego właściwie nie skapitulujemy? To już nie ma sensu. Umrzemy wszyscy”.

Leżał w piwnicy jakiegoś domu, którego górne piętra były całkowicie spalone, i trzymał w obu rękach granat. Dygotał tak bardzo, że prawdopodobnie nie byłby w stanie rzucić go nawet dwa kroki dalej. Z rozpaczą próbował zapanować nad nerwami, ale bezskutecznie. Chciał już tylko uciec, uciec jak najdalej od tego piekła. Ale dokąd? Wszędzie dookoła stali Rosjanie, wszędzie strzelano, ulicami jechały czołgi i słychać było zwycięskie okrzyki czerwonoarmistów.

Blisko niego z ogłuszającym hukiem wybuchł granat i Wiktor miał wrażenie, że stracił pół głowy. Kaszłąc i plując, z oczami piekącymi od dymu stwierdził ze zdumieniem, że nic mu się nie stało. Centymetr za centymetrem, z pancerfaustem na ramieniu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął powoli się cofać. Kiedy dotknął stopami czegoś za sobą, zaczął głośno krzyżeć, ale jego krzyk ginął w jazgocie toczących się walk. Zmusił się więc do odwrócenia głowy i dostrzegł, że było to łóżko – jeden z nielicznych mebli, które ocalały w tym spalonym

domu.

Piętrzyły się na nim poduszki i kołdry i to podsunęło Wiktorowi pewien pomysł. Pomysł niegodny, haniebny, ale tak dalece opanował on jego myśli, że chłopak już nie próbował wybić go sobie z głowy. Nawet jeśli miał być zdrajcą, tchórzem, kimś, kto przeszedł na stronę wroga – to jednak nie chciał umierać. Nie chciał, aby rozerwał go na strzępy granat, aby go trafił grad kul, w wyniku czego wykrwawi się w tej piwnicy. Chciał teraz – o Boże, prawie nie ważył się przyznać do takiej słabości – chciał do swojej matki. Wtulić się w jej ramiona i zapomnieć o przerażających obrazach. A potem chciał – kiedy wojna się skończy i Rosjanie wycofają się z Niemiec – pojechać do Lulinna. W samym środku bitewnego hałasu i zamętu niosącego śmierć poczuł nagle palącą tęsknotę za starym domem z prowadzącą do niego drogą obsadzoną potężnymi dębami, za ciszą wschodniopruskiego lata.

Odłożył granat i płacząc, ściągnął z łóżka białe prześcieradło, a następnie przedarł się przez gruzy do wyjścia. Wierzył, że kiedy będzie trzymał w ręku białą szmatę, to nikt go nie zastrzeli. Może Rosjanie wezmą go do niewoli, może znajdzie się w obozie na Syberii, ale kiedyś przecież wróci. Trzymał prześcieradło w wyciągniętej ręce, kiedy wyszedł z ruin domu prosto w szalejące na ulicy piekło.

Prawdopodobnie miałby szansę, gdyby rzeczywiście wpadł w ręce sowieckich żołnierzy. Ci wprawdzie byli brutalni wobec wroga, ale w większości przypadków zostawiali przy życiu tych, którzy się poddawali. Wiktor wyglądał jak mężczyzna, ale miał twarz i ruchy dziecka i kiedy szedł teraz ulicą, z białą szmatą w ręku, w brudnym od sadzy mundurze i z zapłakanymi oczami, nikt nie potraktowałby go jako niebezpiecznego przeciwnika. Ale na nieszczęście to nie Rosjanie go pochycili, tylko SS.

Wiktor uciekł właśnie przed ostrzałem artyleryjskim na jakieś podwórko i próbował wspiąć się na mur, aby przedostać się na kolejne, kiedy go schwytano. Nie widział ich, musieli się ukrywać gdzieś między ruinami. Nagle poczuł, że ktoś złapał go za nogi i gwałtownie szarpnął w dół. Zachwiał się, kiedy otrzymał silne uderzenie w głowę. Gdy zdołał się pozbierać i odwrócić, miał przed sobą kamienne twarze trzech esesmanów.

– Kogóż my tu mamy? – Mężczyzna, który się do niego zwrócił, miał wyraźną bliznę na czole. – Małego miglanca! Próbuje uciec i wlecze jeszcze ze sobą białą flagę! Zdążyłeś już porobić się w portki, co?

Wiktor nie potrafił nawet zaprzeczyć. Był tak przerażony, że dzwonił zębami. Drugi z mężczyzn, dość niski i krępy, wymierzył mu kopniaka w brzuch. Wiktor skulił się i osunął na ziemię.

– Wstać! – krzyknął ten z blizną.

Wiktor się podniósł. Gdzieś blisko zabrzmiało kilka salw z karabinu i poczuł, że zrobił się błąd jak kreda.

– Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy zdradzają Führera? – zapytał ten gruby. Wyciągnął pistolet, a Wiktor zadygotał, pojawił się szaleństwo i grozę tej sceny.

– Ja... ja mam czternaście lat – wy dobył z siebie. – Proszę, pozwólcie mi odejść!

– Czternaście lat! Mogę ci powiedzieć, że nas to gównem obchodzi! Bo jesteś tchórzem i zdrajcą! – Ten z blizną także wyciągnął pistolet. – Jazda, na kolana! Jesteś najgorszym elementem, który w chwilach najgorszej opresji próbuje zająć Führera od tyłu. I dlatego jesteś skazany na śmierć!

Strzelili obaj jednocześnie w jego skronie. Wiktor zginął na miejscu. Leżał skulony między gruzami, a obok niego tkwiło zgniecione i zabrudzone krwią białe prześcieradło.

W tym samym czasie Belle, Nikola, Christine, Anna oraz Modesta wraz z dziećmi siedziały bez ruchu w małej komórcie na strychu przynależnym do mieszkania Belle

i wstrzymywały oddech. Belle i Nikola już dwa dni wcześniej zamaskowały pomieszczenie deskami w taki sposób, że przynajmniej na pierwszy rzut oka kryjówka była niewidoczna. Kiedy Rosjanie w południe wpadli do budynku i systematycznie przeczesywali każde mieszkanie, kobiety błyskawicznie uciekły na strych i tam się schroniły. Belle modliła się przez cały czas, aby wszystkie dzieci siedziały cicho. Nieobliczalne było przede wszystkim niemowlę Modesty. Jeśli zaczęłoby krzyczeć, byłiby straceni natychmiast, ale teraz na szczęście spało. W ścisłości Belle poczuła, że chwytają ją skurcz w nodze, ale mimo najlepszej woli nie była w stanie się posunąć ani o milimetr. W panującej tu całkowitej ciemności nie mogli się nawzajem rozpoznać, ale ich lęk można było niemal wyczuć. Nagle jedno z dzieci zaczęło głośno dyszeć, zupełnie jak pies, i wydało im się to wyjątkowo donośne. Na szczęście uspokoiło się po pięciu minutach.

Rosjanie mijali jedno pomieszczenie za drugim i robili przy tym wiele hałasu, a sądząc po ich głosach, byli dość pijani i odpowiednio bezwzględni. Kobiety słyszały trzask rozbijanego szkła i przewracanych szaf oraz regałów, a także przeraźliwe okrzyki triumfu.

– Jeśli nas znajdą... ja tego nie przeżyję... – wyszeptwała Modesta. – Ja umrę. Ja...

– Zamknij buzię! – syknęła Belle.

Modesta umilkła. Stukot ciężkich butów dobiegał teraz ze schodów. Rosjanie wchodzili na strych. Belle nie mogła już wytrzymać i ostrożnie poruszyła nogą. Bolało tak, że musiała przycisnąć pięść do ust, aby nie stęknąć. Podłoga zatrzeszczała, Belle znieruchomiała więc natychmiast.

Kobiety prawie nie oddychały i słyszały szum własnej krwi oraz dzikie bicie serc. Żołnierze zrywali listwy z drzwi komórek, rzucali je na dół albo zdeptywali. Kopali w ściany i jeśli trafiali na sklejkę maskującą kryjówkę, to natychmiast ją zdzierali. Ale tu najwyraźniej dygocące kobiety i dzieci miały swojego anioła stróża. Rosjanie przeoczyli komórkę w końcu korytarza i stwierdzili, że stąd już niczego nie można było zabrać. Opuścili strych i po chwili także dom. Kilka razy trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

Wszyscy z zeszytowanymi kończynami wypęzli z kryjówki. Belle czuła tak silny ból w nodze, że schodziła po schodach, opierając się na ramionach Christine i Nikoli.

Krzyknęły głośno, dotarłszy do mieszkania: zobaczyły poprzewracane meble, pocięte materace, wyrzucone zawartości szuflad i zerwane obrazy ze ścian. Belle miała przy sobie całą biżuterię, a kilka zabranych z mieszkania cenniejszych przedmiotów dawno już umieściła w kryjówce. Mimo to Rosjanie nie wyszli z pustymi rękoma. Zabrali parę fotografii w srebrnych ramkach i jedwabny klosz z lampy, a poza tym wszystkie zapasy z kuchni. Drzwi do mieszkania były wyważone.

– Przybiję w to miejsce kawałek papy – powiedziała Belle.

Osunęła się na krzesło i wyprostowała bolącą nogę, przyciskając rękę do żołądka, który również zaczynał ją boleć. Z ulicy dobiegały salwy karabinowe. Czy w stolicy Rzeszy pozostanie choćby kamień na kamieniu, kiedy walka wreszcie się skończy?

W tych godzinach w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy Adolf Hitler wraz z Evą Braun, którą poślubił przed kilkoma dniami, żegnał się ze swoimi towarzyszami. Następnie Führer udał się do swoich prywatnych pomieszczeń. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny miała tu wkroczyć Armia Czerwona. Kiedy nocą z 29 na 30 kwietnia Hitlerowi przekazano wiadomość otrzymaną drogą radiową od naczelnego dowództwa Wehrmachtu o tym, że do Berlina nie dotrze z odsieczą żadna armia, sporządził on swój testament. Admirał Dönitz mianowany został prezydentem Rzeszy i naczelnym dowódcą Wehrmachtu, a Joseph Goebbels kanclerzem Rzeszy. 30 kwietnia o piętnastej trzydziści Adolf Hitler wpakował sobie kulę w głowę. Pokłosie jego rządów to sześćdziesiąt milionów ludzi, którzy stracili swoje życie w czasie wojny i wielkich akcji likwidacyjnych, tysiące zbombardowanych miast, utrata niemieckich terenów wschodnich,

tysiące uchodźców i bezdomnych, nieznana liczba osieroconych dzieci i owdowiałych kobiet.

Kanclerz Rzeszy Goebbels przeżył swojego Führera tylko o jeden dzień, a potem odebrał życie sobie, swojej żonie i sześciorgu dzieciom.

2 maja padł Berlin. Dönitz zrobił wszystko, aby jak najszybciej zakończyć wojnę. 7 maja generał pułkownik Jodl na zlecenie prezydenta Rzeszy podpisał w Reims bezwarunkową kapitulację Niemiec. W nocy z 8 na 9 maja 1945 roku umilkły strzały na wszystkich frontach Europy.

## 6.

W czasie ostatnich dni wojny w początku maja Czesi zbroili się do walki przeciwko znieprawionym okupantom niemieckim. Podczas dyktatury Hitlera w Protektoracie Czech i Moraw Niemcy wykazali się wyjątkowym okrucieństwem. Czesi dobrze pamiętali o działaniach odwetowych po zamachu na protektora Reinharda Heydricha, w wyniku którego został on ciężko ranny i zmarł. Wiele wsi spustoszone albo zrównano z ziemią, setki ludzi rozstrzelano albo deportowano do obozów koncentracyjnych. Teraz, kiedy na zachodzie Pragi stali już Amerykanie, a na wschodzie Rosjanie, nadeszła godzina zemsty. Czescy powstańcy zajęli siedzibę praskiego radia i wezwali przez nie do walki z okupantem. „Śmierć Niemcom! Zniszczyć Niemcy!”

Siergiej przebywał w sklepie warzywnym swojego przyjaciela, kiedy wybuchło powstanie. Karl pojechał akurat na wieś, aby kupić warzywa, a Siergiej zajął się sprzedażą. Sklep znajdował się w suterenie jednego z domów praskiej starówki, sześć stopni poniżej poziomu ulicy. Siergiej miał już własny wózek inwalidzki, w którym nauczył się zręcznie poruszać; jeździł między półkami ze szczypiorem, pomidorami, ziemniakami i kalafiorami tak sprawnie, jak gdyby przez całe życie nie robił nic innego. A ponieważ Karl i jego żona przyjęli go do siebie i odnosili się do niego przyjaźnie i z wielką troską, mężczyzna starał się być człowiekiem nieskomplikowanym i pogodnym. Ale kiedy myślał o Siergieju z lat dwudziestych, do którego lgnęły wszystkie kobiety, to obecne życie w ciemnym, ciasnym sklepie warzywnym wydawało mu się brutalnym i wyjątkowo okrutnym zrzędzeniem losu. Nienawidził warzyw! Nienawidził gospodyń domowych, które tu przychodziły na zakupy. Z piwnicznego okna widział tylko buty przechodzących ulicą ludzi i nienawidził tego. Wojenne buty. Znoszone, stare, z poplamionej skóry, mozolnie pozszywane. Siergiej zawsze przywiązywał dużą wagę do eleganckiego ubrania i miał słabość do pięknych butów. A brzydkie obuwie raniło jego poczucie estetyki, sprawiało, że wręcz bolały go oczy. Choć czasem szyderczo przywoływał siebie do porządku, kiedy zdawał sobie sprawę, że on, z jedną nogą, już w ogóle nie ma co myśleć o estetyce. Setki razy postanawiał jechać do Berlina, do Nikoli. I setki razy porzucał ten zamiar. Kiedy ona widziała go po raz ostatni, był silnym, pięknym mężczyzną. Ale teraz... Nikola z pewnością czułaby się zobowiązana przyjąć go do siebie, ale on, z amputowaną nogą i bez czucia w podbrzuszu, nie miał żadnych szans na to, aby odzyskać jej miłość czy choćby namiętność. Musiałby patrzeć, jak ona wieczorem szykuje się i wychodzi z domu, piękna i elegancka, po czym wraca rankiem, błada i zmęczona, ale z blaskiem w oczach, który pamiętał z pierwszych lat ich małżeństwa. Kochali się wtedy nocami z jakąś wymuszoną dzikością, bez miłości. Życiowa maksyma Siergieja brzmiała wówczas: „niczego nie przegapić!”. Teraz zaczynało do niego docierać, że być może przegapił to, co w życiu najistotniejsze.

Kiedy wybuchło powstanie praskie, Siergiej właśnie ważył cebulę i owijał w brązowy papier. W sklepie była tylko jedna klientka, wynędziała młoda Czeszka. Ulicą nagle przejechały dwie ciężarówki i usłyszeli krzyki, a potem stukot butów na chodniku. Za chwilę rozbrzmiały krzyki przerażonej kobiety i padły dwa strzały.

– Śmierć Niemcom! – wrzasnął ktoś. – Śmierć Niemcom!

Siergiej nie od razu pojął, co właściwie się działo, ale młoda Czeszka, którą obsłużył, nagle zrobiła się czujna.

– Teraz Niemcy muszą za wszystko zapłacić! – zawołała. – Ile jeszcze będziemy przelewać krew?

Znów padły strzały i słyhać było krzyki. Siergiej zbladł.

– Na miłość boską, oni rozstrzelują Niemców! Muszę uciekać!

Sklep z warzywami był niemieckim sklepem i nie stanowiło to tajemnicy, w końcu nazwisko Karla widniało nad drzwiami. Siergiej nie miał pewności, czy w razie wątpliwości uda mu się wyjaśnić powstańcom, że on był rodowitym Rosjaninem, mimo że miał niemiecki paszport. Nie sądził też, że będzie mógł liczyć na jakieś względy z powodu swego inwalidztwa.

Młoda Czeszka, nie namyślając się wiele, otworzyła tylne drzwi, które prowadziły na podwórze.

– Spróbuję pana ukryć – powiedziała szybko i wypchnęła wózek ze sklepu.

Na podwórze wybiegła im naprzeciw Elli, żona Karla, zwykle energiczna, praktyczna i pełna życia kobieta, która teraz sprawiała wrażenie kompletnie bezradnej.

– Szybko, Siergiej, oni nas wszystkich zabiją!

Czeszka pomogła jej wepchnąć wózek do pralni domu stojącego naprzeciw.

– Może was tu nie znajdą – wyszeptwała. – Bądźcie cicho! – Potem momentalnie znikła.

Siergiej widział przez chwilę jej powiewające na wietrze brązowe włosy. Zaryzykowała własne życie dla Niemca na wózku inwalidzkim. Podobnie zachowało się w tych dniach wielu Czechów.

Siergiej i Elli ukrywali się w ciemnej pralni przez dwa dni, zastanawiając się, co stało się z Karlem, i nasłuchując ze wstrzymanym oddechem każdego dźwięku. A potem znalazła ich jedna z mieszkających tu kobiet i zadenuncjowała. Aresztowano ich i zawieziono do obozu, gdzie w ciasnych barakach upchnięto setki Niemców. Codziennie angażowano ich do pracy w mieście. Głód, choroby, samowolnie przeprowadzane egzekucje oraz bezlitosna zaciekłość, z którą pędzono ich do ciężkich robót, stanowiły dla wszystkich gwarancję krótkiego życia.

Siergieja przydzielono do obierania ziemniaków, co było względnie lekkim zajęciem, przy którym w dodatku dało się skubnąć coś do jedzenia. Jednak siódmego dnia po aresztowaniu w drodze do kuchennych baraków wpadł w ręce dwóm pijanym czeskim partyzantom.

Przewrócili jego wózek tak, że Siergiej wyleciał z niego na brudną obozową uliczkę. A potem partyzanci przynieśli dwie kule i zmusili go, aby zaczął się poruszać przy ich pomocy.

– Jak upadniesz, to jesteś martwą świnia! – powiedział jeden z nich.

Siergiej, przyzwyczajony tylko do wózka, a poza tym głodny i osłabiony, zdołał utrzymać się prosto tylko przez dwie minuty. Potem stracił równowagę i upadł. Zalany potem i zdyszany leżał bezradnie z nosem w odpadkach. I tego właśnie rodzaju śmierci najbardziej się obawiał: że będzie tkwił w brudzie i błocie, z twarzą w śmieciach. Przez głowę przemknęła mu myśl o przeznaczeniu i zastanawiał się, czy taki koniec od początku był mu pisany i czy nie było od tego ucieczki. Słyszał odbezpieczanie pistoletu. W panice zaczął się modlić i ogarnął go śmiertelny strach. Wtedy przypomniały mu się słowa słyszane w najwcześniejszym dzieciństwie, słowa w języku rosyjskim, modlitwy, których uczyła go matka. Zaraz miał paść strzał, zaraz, zaraz, zaraz...

Czubek buta brutalnie uderzył go w głowę. Popatrzył w górę. Obaj Czesi gapili się na niego ze zdumieniem.

– Kim ty jesteś? Skąd jesteś?

Siergiej z trudem mógł tylko wystękać:

– Rosjanin. Jestem Rosjaninem.

– To dlaczego tu jesteś?

– Bo ja... mówię też po niemiecku... – Zaczął dygotać i za chwilę miał się rozplakać.

Obaj partyzanci popatrzyli na siebie niepewnie. Musiał być jakiś powód, dla którego ten człowiek został aresztowany i umieszczony tutaj, ale przecież mówił płynnie po rosyjsku



i faktycznie mógł być Rosjaninem. Nie miał już paszportu, bo mu go odebrano w trakcie aresztowania, a więc w tej chwili nie można było nic stwierdzić. Partyzanci nie chcieli narobić sobie kłopotów. Lepiej było zostawić tego człowieka tutaj, leżącego w błocie biedaka, bo przecież i tak miał już niewiele życia przed sobą. Wymierzyli mu jednak solidnego kopniaka, po czym schowali swoje pistolety i odeszli.

Siergiej przeżył kolejny dzień.

Któregoś majowego poranka 1945 roku członkowie amerykańskiej żandarmerii wojskowej zapukali do drzwi domu przy Prinzregentenstrasse i zażądali widzenia z panem Hansem Velinem, byłym Hauptsturmführerem SS.

Jolanta, która otworzyła drzwi, zawołała Felicję, a ona z kolei swoją córkę. Zuzanna zeszła po schodach, ubrana jeszcze w szlafrok. Dawno już nie wyglądała jak jędrna niemiecka dziewczyna o różowych policzkach, której ucieleśnieniem była w czasie pierwszych szczęśliwych lat z Hansem. Od pewnego czasu żyła samotnie, zamknięta w sobie, niewiele mówiła i poruszała się wręcz mechanicznie. Teraz sprawiała wrażenie, że prześladuje ją jedna dręcząca myśl i nie jest w stanie nic odczuwać. I tak też było. Rozmyślała tylko o grobach, zabitych i Hansie, który stał obok, kiedy tamtych rozstrzelivano. O Hansie, który kochał swoje dzieci, a jednak patrzył na to, jak mordowane były inne. Wiedziała, że prędzej czy później będzie pociągnięty do odpowiedzialności i że będzie musiał zapłacić za to straszną cenę.

– Mój mąż choruje na zaawansowaną astmę i leży w łóżku – wyjaśniła. – Nie mogą panowie go zobaczyć.

– Przykro mi. – Młody oficer, kapitan amerykańskiej armii, potrząsnął z żalem głową. Mówił płynnie po niemiecku z lekkim akcentem. – Mamy rozkaz aresztowania pana Velina.

– Z jakiego powodu? – spytała Zuzanna.

– Jest oskarżony o przeprowadzanie masowych rozstrzeliwań ludności cywilnej. Musi za to odpowiedzieć przed sądem.

Zuzanna zachowała całkowity spokój i po raz pierwszy Felicja poczuła pewien podziw dla córki, która ostatnio nie miała łatwego życia. Wielu ludzi nie witało się z nią na ulicy, niektórzy nawet demonstracyjnie przechodzili na drugą stronę.

Hans Velin był teraz kompletnie załamany, prawie stale leżał w łóżku, ciężko oddychając, i potrzebował ciągłej pomocy. Dzieci, głodne i znudzone, marudziły przez cały dzień. Zuzanna znosiła wszystko z obojętnością, ale i z opanowaniem.

– Proszę poczekać – powiedziała. – Porozmawiam z mężem.

Odwróciła się i weszła na schody, Felicja zaś zaprosiła Amerykanów do salonu. Jeden z młodych żołnierzy został na zewnątrz, by w ten sposób pozbawić Velina możliwości ucieczki.

Hans leżał w łóżku z trzema poduszkami pod głową, aby łatwiej mu się oddychało. Miał za sobą ciężką noc, ale teraz poczuł się trochę lepiej. Spróbował nawet uśmiechnąć się do swojej żony, kiedy stanęła w drzwiach.

– Żandarmeria wojskowa jest w domu – oświadczyła Zuzanna. – I chce cię zabrać.

Hans wlepił w nią zdumione oczy.

– Co takiego?!

– Dziwi cię to? Musiałeś się przecież z tym liczyć. A może myślałeś, że oni nigdy się nie dowiedzą, co robiłeś na wschodzie?

– Ale... to przecież były zupełnie inne czasy! Robiliśmy tylko to, co nam kazano. Powiedziałeś im, że jestem ciężko chorym człowiekiem?

– Oczywiście, że im to powiedziałam. Ale oni mimo to upierają się, byś poszedł z nimi.

Hans się wyprostował. W jego oddechu znów było słycać rżenie, co zwiastowało atak. Zuzanna niemal mechanicznie sięgnęła po buteleczkę ze sprayem. Wiedziała, że jej mąż nie

symulował, astma, na którą cierpiał, była autentyczna i Hans nader często musiał mierzyć się ze śmiertelnym strachem. Podała mu lekarstwo, trzymała jego rękę, powiedziała parę słów otuchy, ale sama sobie wydawała się jedynie świadomą swoich zadań pielęgniarką, która robi to, co powinna, nie angażując się emocjonalnie. Nic już nie czuła do Hansa, ani miłości, ani nienawiści. „On jest masowym mordercą”, rzekła do siebie głośno, kiedy Hans wyznał jej, co na nim ciążyło. Zuzanna ani nie płakała, ani nie krzyczała, czekała tylko jak oszołomiona na jakieś uczucie, które będzie odpowiedzią na jego słowa. Ale coś się w niej załamało. Przestała wierzyć w Hansa – bohatera i w idee narodowych socjalistów, które przez lata były też jej ideami. A także w nowy, piękny świat. Pozostała jedynie pustka bez żadnych doznań, w której teraz poruszała się jak w letargu.

Hans się podniósł, podszedł do szafy i poszukał jakiegoś ubrania. Oczywiście nie wybrał swojego czarnego munduru, tylko spodnie, koszulę i szarą marynarkę. Wszystkie rzeczy wisiały na nim jak na wieszaku, bo bardzo schudł. Jego plecy unosiły się w nieregularnym oddechu. Odwrócił się do żony.

– Zuzanno...

– Ubierz się – powiedziała.

„Kiedyś go kochałam. Był pięknym mężczyzną. Jest ojcem moich dzieci. Kazał rozstrzelać setki ludzi. Mam wrażenie, że to nie może być prawdą. Ale to jest prawda. To jest prawda!”

– Zuzanno – odparł cicho. – Boję się.

Nie odpowiedziała. Hans ubrał się i stał nieruchomo na środku pokoju. Miał sine wargi i pochylone do przodu ramiona.

– Czy nie sądzisz, że Felicja mogłaby coś dla mnie zrobić? – spytał. – Jej wszystko uszło na sucho. Pracowała wprawdzie dla partii, ale ukrywała tego Żyda i...

– Ona nie może nic dla ciebie zrobić, Hans. Wiesz o tym bardzo dobrze. Na tobie... za dużo ciąży. Musisz teraz za to odpowiedzieć.

– Nie jestem zdolny do odbycia kary więzienia.

– Tego nie musisz mówić mnie. Powiedz to im. – Ruchem głowy wskazała korytarz.

Hans westchnął. Sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał ująć Zuzannę za rękę, ale nieśmiało się cofnął.

– Zuzanno... uwierz mi, ja nie chciałem zrobić niczego, co... Ja chciałem być tylko dobrym sługą Führera, dostałem rozkazy, wykonywałem je, a teraz...

– Teraz – weszła mu w słowo Zuzanna – pójdziesz na dół i oddasz się w ręce tych, którzy wygrali wojnę z naszymi ideami.

Powiedziawszy to, wyszła, nawet się nie oglądając.

Wojna się skończyła, Francja była wolna. Filip i Claire przeżyli. Żywiło ich gospodarstwo, nie głodowali tak jak większość Francuzów. W morzu znów odbijał się błękit nieba, a strome skały bretońskiego wybrzeża, oświetlone promieniami słońca, były szorstkie i ciepłe. Wiatr niósł zapach kwitnącego janowca, a przelatujące mewy jak zawsze skrzeczały piskliwie.

„Mam bardzo wiele, jak na człowieka, który myślał, że wszystko stracił”, pomyślał Filip. Stał przy murze okalającym ogród, głaskał palcami miękkiego mech rosnący między kamieniami i patrzył na klify i morze oświetlone promieniami zachodzącego słońca. Czar tej wieczornej gry kolorów działał zawsze; kiedy Filip zbyt wiele czasu poświęcał na rozpamiętywanie wszystkich rozczarowań, których przecież nie szczydziło mu życie, często myślał, że choćby same bretońskie zachody słońca rekompensowały mu doznane nieszczęścia.

Dostrzegł Claire wychodzącą z tylnej części ogrodu, gdzie znajdował się grób jej syna.

Szła tam każdego wieczoru i zwykle stała przed nim blisko godzinę. Któregoś razu Filip chciał iść z nią, ale zaprotestowała.

– Nie, Filipie, ja chcę być z nim sama.

– Claire! – Pomachał do niej teraz, a ona się uśmiechnęła.

Ponieważ zdarzało się to rzadko, Filip poczuł się szczęśliwy. W chwilach takich jak ta dostrzegał, jak bardzo był z nią związany. Jednak zadawał sobie ciągle jedno pytanie: „Czy ona wróciła do mężczyzny, którego kochała, czy tylko do miejsca, które było jej drogim?”. Zauważył, że nocami często dręczyły ją koszmary, w czasie których raz po raz musiała mierzyć się z piekłem tortur. Nigdy jednak nie uciekała przed tym do niego, lecz wstawiała, chodziła po pokoju tam i z powrotem, godzina za godziną, aż nadchodził poranek. Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy działała w Résistance. Czy ona nigdy nie zazna spokoju? Filip nie raz i nie dwa chciał iść do niej, po prostu wziąć ją w ramiona i dodać jej otuchy. Powstrzymywał się instynktownie. Zdawał sobie sprawę, że to ona musi przyjść do niego.

– Idziesz do domu? – zapytał, choć było to zbędne, bo ona i tak zmierzała w tym kierunku. Dostrzegł osobliwe napięcie na jej twarzy i chciał powiedzieć cokolwiek tylko po to, aby zobaczyć, czy i co ona mu odpowie.

– Tak – odparła i dodała: – Idziesz ze mną?

Ruszył za nią nieco zdziwiony. Weszła od razu do salonu i wzięła do rąk oparty o sofę obraz w ramach. Filip go znał, dotychczas obraz zawsze wisiał w pokoju gościnnym. Przedstawiał on widoczne z ogrodu skały namalowane przed laty przez nieznanego bretońskiego malarza.

– Pomożesz mi go zawiesić? – spytała.

– Tu, w salonie?

– Tak. Tam, w tym miejscu. – Wskazała na ścianę obok drzwi. To były te drzwi, na których framudze wydrapała liczne karby.

Filip zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem...

– Chciałabym, abys go zawiesił tam, gdzie są karby. Tak blisko przy drzwiach, żeby ich nie było widać.

– Ależ, Claire, przez te wszystkie lata...

– Wiem, wiem – odparła niecierpliwie. – Zawsze chciałam je mieć przed oczami. Ale teraz już nie. To skończone.

– Co jest skończone?

Claire potrząsnęła głową.

– Ja już nie chcę się mścić czy cieszyć się zemstą. I nie pragnę trzymać się przeszłości. Zawsze będę w żałobie po swoim dziecku, ale nie mogę też przestać żyć. A nie żyłam od tego okropnego dnia, kiedy Niemcy tu przyszli, Filipie. Od tamtej chwili próbowałam samą siebie ogłuszać. Muszę z tym skończyć... i tu jesteś mi potrzebny ty.

Ujął ją za rękę.

– Claire, ty wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko, wszystko. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem szczęśliwy, kiedy mówisz, że mnie potrzebujesz.

– Powieśmy ten obraz. Przyniosę młotek i gwoździe.

Ruszyła w stronę drzwi, ale się zatrzymała.

– Filipie, ja chciałabym... chciałam cię zapytać... to znaczy, zrozumiem, jeśli tego nie będziesz chciał, ale...

– Co takiego? Możesz mi przecież wszystko powiedzieć.

Claire zaczerwieniła się jak mała dziewczynka.

– Mimo tego wszystkiego, co było... to znaczy, z innym mężczyzną... Czy mógłbyś wyobrazić sobie, że my... że ja mogłabym spać w twoim pokoju?

Filip odetchnął głęboko.

– Claire! Jak możesz pytać? Znasz przecież odpowiedź. Wiesz, że niczego bardziej nie pragnę!

– Mam takie straszne sny – mówiła Claire. – Każdej, dosłownie każdej nocy jestem w tej piwnicy SS, budzę się i drzę, a noc jest taka cicha i ciemna. Chcę wtedy czuć twoje ciało przy mnie, być blisko ciebie, słyszeć, jak oddychasz. Może to przepędzi te demony. Filipie, wiem, zasłużyłam na to, żebyś...

– Cicho, Claire, cicho bądź. – Pokuśtykał do niej. – Nie musisz mnie o to prosić, bo na nic nie czekam tak bardzo, jak na to, abyś znów była ze mną.

Patrzyli na siebie i ta chwila była tak uroczysta, że Claire poczuła niepokój.

– Jeszcze jedno – dodała. – Nie chcę, abyś musiał wyrzekać się tego wszystkiego, co kiedyś należało do ciebie – swojej ojczyzny, języka, dawnych przyjaciół – bo mi to przypomina, że byłeś rodowitym Niemcem. To nie jest słuszne. Pewnie czuleś się jak drzewo pozbawione korzeni, ja byłam twoim jedynym oparciem i potem cię jeszcze opuściłam. Jesteśmy razem, Filipie, ale nie powinienesz za to płacić, wyrzekając się wszystkiego, co kiedyś było dla ciebie ważne. Jeśli będziesz chciał... kiedyś, kiedy czasy staną się normalne... to zaproś do nas swoich przyjaciół z Berlina. Ja... ja cieszyłabym się, mogąc ich poznać.

– Claire... moich przyjaciół, Johannes a i Felicję, i wszystkich, daj Bóg, żeby żyli... Rzeczywiście możesz sobie wyobrazić, że...

– Tak – odparła krótko Claire, a potem dodała: – Powieśmy wreszcie ten obraz.

Filip zrozumiał, że nie chciała już o tym mówić i że nigdy nie powie mu, dlaczego się tak zmieniła i to właśnie teraz. Być może nie istniała żadna odpowiedź. Morze zmienia swoje kolory, chmury swoje kształty, los ma nagle inną twarz. Życie jest na tyle niedoskonałe, że nie należy próbować zgłębiać, kto pisze jego wątki.

Filip na razie postanowił być po prostu za wszystko wdzięczny.

## 7.

Lipcowe słońce paliło Berlin i jego ulice, które teraz były tylko morzem ruin, a gdzie mimo wszystko budziło się życie. Nikt nie ukrywał się w piwnicy i nie siedział z założonymi rękoma. Miasto padło, wojna się skończyła i nadeszło lato. Ten, kto przeżył, za wszelką cenę usiłował sprostać wymaganiom tego czasu: usuwać gruz, budować, zdobywać jedzenie. Nie miało sensu wybiegać w przyszłość dalej niż o jeden dzień. Ważne były dach nad głową, kawałek chleba i kilka ziemniaków.

Berlińczycy, podobnie jak pozostali mieszkańcy Niemiec, sprząтали gruz z ulic, zaczynali prowizorycznie odbudowywać swoje domy, stali godzinami w długich kolejkach przed sklepami spożywczymi, których półki przeważnie świeciły pustkami, i przed pompami wodnymi, gdzie otrzymywali swoje niewielkie, ściśle odmierzone racje. Jeździli chomikować na wieś, znosili szykany chłopów, którzy ich często przepędzali, a bardzo rzadko czymś obdarowywali. Przeważnie należało im oddać ostatnie cenne przedmioty, biżuterię czy antyki, żeby dostać śmiesznie małe porcje żywności. Wieczorami mieszkańcy miasta siedzieli przy świecach, bo w wielu dzielnicach nie było prądu. I ciągle jeszcze znajdowano trupy w ruinach. Ze wschodu ciągnęły rzesze uchodźców, którzy zebrali o mieszkanie albo o kawałek chleba. Całymi tygodniami w różnych zakątkach Rzeszy widywano długie kolumny prowadzonych do obozów jeńców wojennych, często naznaczonych trudami ostatnich dni wojny; brodatych, głodnych i wyniszczonych. Kobiety rzucały im ostatnie kawałki chleba, bo tylko tak mogły im ulżyć w marszu do niewoli. A teraz, tego lata, widywano już pierwszych powracających żołnierzy: wychudzonych, o zapadniętych policzkach, w za dużych mundurach. Niektórzy stracili wzrok, niektórym brakowało nogi albo ręki, inni poruszali się o kulach albo w skrzynkach, które przesuwali po chodniku rękami. Ale kto tylko mógł, brał się do pracy.

Zaczął się okres głodu i wielkiego wysiłku, którego celem była odbudowa kompletnie zniszczonego kraju. Kraju, który leżał w gruzach. Ale w mieszkańcach budziły się też nowe siły, których początek stanowiło triumfujące uczucie: przeżyliśmy!

Annę wysłano po wodę i było to zadanie, którego nienawidziła, choć wołała je od usuwania kamieni i gruzów. Młodej dziewczynie powojenny czas wydawał się jeszcze gorszy niż sama wojna. Anna miała teraz prawie szesnaście lat, chciała żyć i z tego życia korzystać. Chciała się bawić. Nosić piękne suknie, tańczyć, flirtować. Miała dość pokutowania i ciągłej harówki.

Pełne wiadro wody było ciężkie, zwłaszcza w tym upale. Anna właśnie chciała przejść na drugą stronę ulicy, żeby odetchnąć trochę w cieniu nielicznych drzew, ale dostrzegła, że dwóch rosyjskich żołnierzy zagroziło drogę jakiejś kobiecie jadącej na rowerze tak, że musiała z niego zsiąść. Rosjanie nie powiedzieli ani słowa, ale wykonali rękami jednoznaczny ruch: kobieta miała oddać im rower. I ona rzeczywiście nie wahała się ani chwili, zostawiła im go i zaczęła uciekać. Obaj żołnierze śmiali się głośno. Wyglądali przez chwilę, a potem znów skierowali swą uwagę na ulicę; najwyraźniej mieli ochotę znowu się zabawić. I oczywiście nie mogli nie dostrzec ślicznej Anny pod drzewami. Trącili się nawzajem, gestykulowali, mówili głośno i szybko. Dziewczyna ujęła wiadro mocniej i cofnęła się o krok. Nie miała zamiaru pozwolić im odebrać sobie wody. Tyle czasu spędziła w kolejce w palącym słońcu i tak daleko zdołała ją zanieść. Bolały ją ramiona, kark i czuła wściekłość na myśl o tym, że to wszystko poszłoby na marne.

Obaj Rosjanie stali teraz tuż przed nią. Anna uznała, że właściwie wcale nie wyglądali źle, sprawiali wrażenie młodych i raczej beztroskich. Najwyraźniej rozkoszowali się tym, że

należeli do zwycięskiej armii, i chcieli chyba sprawdzić, jak daleko mogą się posunąć. Powiedzieli coś, a Anna w odpowiedzi zrobiła zarozumiałą minę i cofnęła się o krok. Jeden z żołnierzy sięgnął po wiadro z wodą.

– Nie! – Anna potrząsnęła głową. – To jest moja woda! Bardzo długo stałam po nią w kolejce. Nie dostaniecie jej.

Przechodnie zerkali na nią ukradkiem i pośpiesznie się oddalali. Nikt nie ważył się zadzierać z Rosjanami.

Obu mężczyzn niesłychanie zdziwiła stanowcza reakcja Anny. Z czymś takim nie zetknęli się w ostatnim tygodniu i oczywiście jeszcze bardziej ich to rozdrażniło. Młodszy z nich, który pchał dopiero co zdobyty rower, podniósł nogę i z całej siły kopnął wiadro. Przynajmniej połowa wody się wylała. Anna wlepiła oczy w kałużę u swoich stóp.

– Wstrętni bandyci! – ofuknęła ich ostro i mogła być wdzięczna losowi, że nie znali niemieckiego.

Ale raczej usłyszeli agresywny ton. Roześmiali się głośno i podeszli jeszcze bliżej. Z podziwem dotykali długich, ciemnych włosów Anny i próbowali chwycić ją za rękę. Dziewczyna zeszywniała z przerażenia. Widziała w ich oczach żądzę, zauważyła, jak patrzyli na to, co było widać pod jej zbyt ciasną i krótką letnią sukienką z cienkiego materiału. I nagle woda i wszystkie związane z jej zdobyciem trudy przestały mieć znaczenie. Anna upuściła wiadro, odwróciła się i wbiegła do najbliższego wejścia do domu. Słyszała za sobą tupot nóg i głosy żołnierzy i wiedziała, że za nią biegną. Na szczęście była szybsza i zwinniejsza. Bez trudu przeskakiwała przez piętzące się gruzy i przeciskała się między ruinami. Ale powoli przestawała też mieć pojęcie, gdzie się znajduje, choć nie wątpiła, że znajdzie drogę powrotną. Decydujące było to, że zdołała uniknąć niebezpieczeństwa.

Dysząc gwałtownie, zatrzymała się w końcu i odgarnęła włosy z mokrego od potu czoła. Dzień był wyjątkowo upalny. Gdzie się znajdowała? Dookoła widziała tylko kamienną pustynię, zbombardowane domy, zniszczone podwórka. Ale przynajmniej nic nie wskazywało na to, że ktoś ją gonił.

Usiadła na jakimś kamieniu. Musiała odetchnąć przez chwilę. Słyszała w uszach pulsowanie krwi, zamknęła na chwilę oczy przed rażącym słońcem. Bardziej poczuła, niż zauważyła, że padł na nią jakiś cień. Poderwała się z okrzykiem przerażenia. Przed nią stał żołnierz. Anna chciała się odwrócić i uciec, ale się potknęła i w ostatniej chwili chwyciła się jakiegoś wystającego muru. Żołnierz złapał ją za rękę, ale ona cofnęła się gwałtownie.

– Czego pan chce? – zaatakowała go.

Był wysoki, miał długie nogi, szerokie ramiona i opaloną na brązowo twarz o jasnych oczach. Oraz ciemne, kręcone włosy, co dało się zauważyć, mimo że były niemożliwie krótkie. Żołnierz popatrzył na dziewczynę wyraźnie zakłopotany.

– Sorry... nie strach, proszę...

Mówił z trudem okropnie łamanym niemieckim. Dopiero po dłuższej chwili Anna zrozumiała, że nie ma przed sobą Rosjanina. Ten mężczyzna był Amerykaninem! Jej oddech nieco się uspokoił. Słyszała, że Amerykanie lubili niemieckie kobiety, darowywali im mydło, pończochy i papierosy, prawili komplementy. Dopiero co przyjechali do Berlina, gdzie za kilka dni miało się odbyć spotkanie między prezydentem Trumanem, premierem Churchillem i dyktatorem Stalinem.

– Nie strach! – poprosił żołnierz raz jeszcze i wyciągnął z kieszeni munduru pudełko papierosów, po czym podsunął je Annie.

– Chcesz?

Papierosy były bardzo pożądanym towarem. Anna wyciągnęła jednego i pozwoliła, aby

żołnierz podał jej ogień.

– Ja nazywam się James – powiedział. – James Muntre.

– Ja nazywam się Anastasia – odparła Anna.

– Anas... Aenes...

James niemal się zakrztusił.

– Mów do mnie Anna. *Say Anna to me!*

– Anna! – Rozpromienił się. – *You live here in Berlin?\** – dopytywał się.

– *Yes.* – Anna nie знаła za dobrze angielskiego. Jąkając się, szukała słów. – *Where... where do you... come from?\*\*\**

James, uradowany, że rozumiała jego język, zalał ją potokiem angielskich słów, z których ona rozumiała tylko „Kentucky”. Potrząsnęła gwałtownie głową.

– *No, no! I... do not... understand...\*\*\**

James urwał.

– *Sorry, Anna!*

– Nie szkodzi. Jesteś z Kentucky?

Skinął głową.

– Tak. Kentucky.

Anna uśmiechnęła się w odpowiedzi i dodała:

– *Nice* – choć nie miała pojęcia, czy tam rzeczywiście jest miło.

James się rozpromienił, po czym spytał, czy może ją odprowadzić do domu, i Anna oczywiście się zgodziła. Sporo czasu zajęło im znalezienie właściwej drogi.

Dziewczyna wróciła do domu w znakomitym humorze. Pierwszą osobą, na którą się natknęła, była kompletnie wyczerpana Belle, z chustką na rozpuszczonych włosach. Leżała w fotelu, miała twarz pokrytą pyłem, a stwardniałe od pracy i podrapane ręce zwisały bezwładnie z poręczy.

– O Boże – powiedziała zmęczona – cały dzień usuwałam gruz, bez przerwy. – Nie masz wody?

– Zabrali mi ją dwaj rosyjscy żołnierze.

– Gnoje! – skomentowała Belle ze złością.

Do pokoju weszły Modesta i Nikola, obie tak samo umęczone i ubrudzone. Modesta z każdym dniem wyglądała coraz żałośniej. Ciągłe nie wiedziała, co stało się z jej mężem i najstarszym synem. Belle była dość pewna, że Wiktor nie żył, a Joseph w najlepszym wypadku dostał się do niewoli rosyjskiej, ale o tym nie można było z Modestą rozmawiać. Ona z rozpaczą czepiała się swojej nadziei, która z dnia na dzień wydawała się coraz bardziej nieprawdopodobna. Belle też jakoś nie mogła się zdobyć na to, aby powiedzieć jej, że musi zacząć szukać sobie mieszkania, nawet gdyby to miała być piwnica, bo niepodobna żyć w takiej ciasnocie na dłuższą metę. Ale Modesta stale powtarzała, że to tylko przejściowe rozwiązanie, że to nie będzie trwało długo i że ona wróci z dziećmi do Lulinna. Nikt oprócz niej już w to nie wierzył.

Zarówno Nikola, jak i Modesta osunęły się teraz na krzesła i z westchnieniem wyciągnęły przed siebie nogi.

– Co za upał! – jęknęła Nikola i dopiero teraz dostrzegła swoją córkę, która stała na środku pokoju i miała podejrzenie roziskrzonych oczu. – Ach, Anno. Bawiłaś się z Julią? – spytała.

– Poszłam po wodę. Ale dwóch Rosjan przewróciło mi wiadro.

– Czego to my nie musimy znosić! – zajęczała Modesta.

Nikola spojrzała surowo na swoją córkę.

– A co się z tobą dzieje? – spytała.

Anna unikała jej wzroku.

– A co ma się dziać? – odparła, po czym przemogła się i spytała: – Mamo, czy masz coś przeciwko temu, że dziś wieczorem gdzieś wyjdę?

– Wyjdiesz? A z kim? Dokąd?

– Ja poznałam jednego... Poznałam kogoś.

Nikola natychmiast zrobiła się czujna.

– Kogo?

– On się nazywa James. I jest z Kentucky.

– Amerykanin?

– Tak. Żołnierz.

– Dobry Boże – powiedziała Nikola, wachlując się kawałkiem papieru. – Moja córka i amerykański żołnierz! Anno, ostrzegam cię, niech ci nie przychodzi do głowy wychodzić za niego i wyjeżdżać do Kentucky! Czytałam o tym miejscu. Jest gorące, bezładne i beznadziejnie nudne. A mężczyźni rozmawiają tam tylko o bydle i konnych wyścigach. A poza tym – dodała, ignorując oburzone spojrzenie Modesty – a poza tym nie sądzę, by Amerykanie byli dobrymi kochankami!

W tym ostatnim punkcie Nikola się myliła, a przynajmniej jeśli chodziło o Jamesa.

„Mama nie ma pojęcia o niektórych sprawach”, myślała sennie Anna. Leżała w ramionach Jamesa i nikt nie zakłócał otaczającej ich ciszy i spokoju. Zaprosiła go do mieszkania, wiedząc, że nikogo tam nie będzie. Wszyscy, także dzieci Modesty, pojechali na wieś „chomikować” w nadziei, że uda im się zdobyć u chłopów kilka ziemniaków albo nawet mały kawałek szynki.

James był bardzo delikatnym kochankiem, co zdumiało Annę, bo miał ogromne, szorstkie ręce i potężne ciało. Co prawda nie poczuła wielkiej namiętności i szaleństwa zmysłów, o czym czytała w tak wielu książkach, ale powiedziała sobie, że to kiedyś z pewnością nadejdzie.

– *I love you, baby* – wymamrotał James. Jego wielka jak łopata ręka łagodnie gładziła ramię Anny.

– Opowiedz mi o Kentucky – poprosiła.

– Kentucky. – Dla Jamesa, którego zdrobniale nazywano Jimmym i który tęsknił za domem, było to czarodziejskie słowo.

Usiadł więc, posadził Annę tak, że opierała się o jego pierś, i zapalił dla niej i dla siebie papierosa. A potem zaczął z entuzjazmem opowiadać, po angielsku oczywiście, i Anna rozumiała tylko ułamek. Ale zrozumiała, że mówił o koniach i bydle. Tu przynajmniej przepowiednie jej matki okazały się słuszne. Konie i bydło. Gdyby zatem miała wyjść za Jimmy’ego – co prawda tego jeszcze wcale nie była pewna, ale brała to pod uwagę – to zamierzała mu pokazać, że są jeszcze inne rzeczy, którymi może interesować się mężczyzna. A ona była bardzo młoda, bardzo ładna, a jej niezachwianej wiary w siebie nic jeszcze nie zdążyło naruszyć. I z pewnością miała na niego przemożny wpływ.

Dzięki przyjaźni Anny z amerykańskim żołnierzem natychmiast poprawiły się warunki życia jej rodziny. Jimmy bez problemu zdobywał żywność i przedmioty codziennego użytku, o których istnieniu wszyscy zdążyli już prawie zapomnieć. I przynosił zawsze a to kawałek pachnącego mydła, a to parę nylonowych pończoch, buty dla dzieci Modesty albo materiał na sukienkę. Cała rodzina czekała na jego skarby, kiedy odwiedzał Annę albo przychodził, by zaprosić ją na spacer. Belle i Nikola wypatrywały papierosów, a Modesta niemal wyszła z siebie z zachwyty, kiedy któregoś dnia dostała pół kilograma masła. I wreszcie pewnego razu James pojawił się z ogromnym kawałkiem szynki.

– *Isn't it great?\*\*\*\** – pytał zadowolony z siebie.

Belle w głębi ducha podejrzewała, że zdobywał to wszystko w niezbyt honorowy sposób



i że wykorzystywał swój mundur, aby skłonić tego czy owego przerażonego chłopca do naruszenia swych zapasów. Ale było jej już wszystko jedno. Najważniejsze, że mogli od czasu do czasu uspokoić burczące z głodu żołądki i niekiedy otrzymywali rzeczy, które czyniły życie przyjemniejszym.

Po konferencji w Poczdamie Niemcy podzielono na cztery strefy okupacyjne. W Berlinie rządy sprawowały cztery zwycięskie mocarstwa. Północno-wschodnia część Prusów Wschodnich oraz Königsberg przypadły Związkowi Radzieckiemu, zaś pozostała część Prus oraz Śląsk aż do granicy utworzonej na Odrze i Nysie, a także Pomorze Gdańskie i Nowa Marchia – Polsce. Lulinn przynajmniej na razie był stracony, ale ufności Modesty nic nie mogło zachwiać.

– Kiedy już będę w Lulinie... – Tak zaczynało się prawie każde wypowiedziane przez nią zdanie.

Jimmy naciskał, aby cała rodzina przeniosła się do zachodniego sektora Berlina. Alexanderplatz znajdował się w części miasta okupowanej przez Rosjan i mężczyzna miał coraz więcej trudności, kiedy chciał tam odwiedzić Annę. A poza tym amerykańscy żołnierze nie ufali Rosjanom.

– Przenieście się do zachodniego Berlina – mawiał. – Tak będzie dla was lepiej.

– Nigdy nie znajdziemy tam mieszkania – protestowały kobiety i tu miały rację, bo w Berlinie było już bardzo wielu bezdomnych, a codzienna ciężka walka o przetrwanie nie pozwalała na szukanie mieszkania.

„Później”, myślała Belle, „zobaczymy później”. Już od dłuższego czasu źle się czuła. Stan ciągłego zmęczenia nie mijał, trwał właściwie od rana do nocy. Tak było od dnia, w którym dowiedziała się o śmierci Sophie. A może nawet przedtem? Niejasno pamiętała, że dawniej także niesłychaną trudność sprawiało jej wchodzenie na schody i często miała wrażenie, że nie będzie w stanie postawić jednej stopy przed drugą. A teraz snuła się tylko po domu, ciągle było jej niedobrze, a gdzieś w głębi ciała tkwił nieokreślony gryzący ból, zupełnie jak mały szczur. Może za ciężko pracowała przy odgruzowywaniu, a może były to skutki głodu albo ciągłego strachu przed Rosjanami?

Kiedy patrzyła na siebie w lustrze, wydawała się sobie tak brzydka jak nigdy. Jej cera miała niezdrowy szary odcień, a pod oczami stale pojawiały się brązowe cienie. Belle sprawiała wrażenie starszej o dobre dziesięć lat.

Późnym popołudniem 20 lipca była akurat sama w mieszkaniu wraz z dwójką najmłodszych dzieci. Stała w kuchni i kroїła pory na kolację – to warzywo oczywiście zdobył Jimmy – i poczuła nagłą falę mdłości, tak silną, że musiała się przytrzymać stołu, aby nie upaść. Na całym ciele wystąpił jej pot, a przed oczami zrobiło się czarno.

– Do cholery, co się ze mną dzieje? – spytała głośno.

W tym samym momencie gdzieś z prawej strony poniżej żeber pojawił się kłujący ból, o wiele gorszy niż dotychczas. Ustąpił, ale za chwilę wrócił, kiedy Belle sądziła już, że sobie wszystko wmawia. Tym razem ból trwał dłużej, ogarniał wnętrzności i nadchodził falami, sięgając żołądka i pleców. Belle stała spokojnie i czekała, aż wszystko minie. Jednak ból nie ustępował. Zrobiło jej się niedobrze i z trudem dotarła do zlewu, po czym zwymiotowała jasny śluz. Wyprostowała się, jęcząc cicho. Ból stawał się już wręcz nieznośny.

– O Boże, o Boże – stękała.

Musiała jakoś dotrzeć do łóżka i się położyć. To prawdopodobnie jakiś wrzód, niebezpieczny wrzód, i nikt nie mógł jej teraz pomóc.

A co robiły dzieci? Choć teraz marzyła tylko o tym, aby się położyć, otworzyła drzwi do salonu i zajrzała do środka. Julia siedziała na środku pokoju na dywanie i płakała, bo złamała główkę swojej drewnianej kaczce, a niemowlę Modesty leżało w swoim koszyczku i gaworzyło

wesoło.

– Julio, co ci jest? – spytała Belle. – Przestań płakać, dobrze? Muszę się położyć, na chwilę, mogłabyś w tym czasie nie nabroić?

Julia zamknęła buzię i wlepiła w nią przerażone oczy. Belle odwróciła się i jęcząc, powlokła się przez korytarz. Ból nadchodził teraz falami. Kiedy ustawał, Belle mogła zaczerpnąć powietrza, ale kiedy znowu się pojawiał, kuliła się, bo zauważyła, że wtedy łatwiej było to znieść.

„Gdyby ktoś teraz przyszedł! Potrzebny mi jest lekarz”.

Leżenie na łóżku nie przyniosło ulgi, a nawet pogarszało jej stan. Postanowiła wziąć się w garść i zadzwonić do drzwi sąsiadki, a ona może sprowadziłaby lekarza. W lustrze przeraziła ją własna szarżółta twarz. Miała nadzieję, że ta stara z sąsiedztwa była w domu! W przeciwnym wypadku będzie musiała zejść po schodach i prosić o pomoc ludzi. Już na samą myśl oblał ją pot.

Jeszcze raz zajrzała do salonu: niemowlę usnęło, a Julia przestała płakać i zajęła się odłamywaniem kaczce kółek. Powinno jej to zająć sporo czasu.

Belle dotarła do prowizorycznych drzwi z papy, wyszła, znów skuliła się z bólu, a po chwili odetchnęła. Zadzwoniła do drzwi obok, ale dzwonek był zepsuty. Otwartą dłońią zaczęła walić w pomalowane na biało drzwi. Kiedyś kopnął w nie rosyjski żołnierz i w ich dolnej połowie ziało wielkie pęknięcie.

– Halo, jest pani w domu? Proszę otworzyć! Proszę otworzyć!

Usłyszała kroki na schodach i odwróciła się z trudem. Może to sąsiadka wchodziła do góry, bo któż inny miałby tu iść? Belle poczuła nadzieję i przechyliła się przez poręcz.

Ale to nie była sąsiadka, lecz Andreas.

\* (ang.) Mieszkasz tu, w Berlinie?

\*\* (ang.) Skąd... Skąd ty... jesteś?

\*\*\* (ang.) Nie, nie! Ja... nie... rozumiem.

\*\*\*\* (ang.) Czy to nie wspaniale?

## 8.

Zajął się wszystkim energicznie, o nic nie pytając. Dzieci oddał pod opiekę młodej dziewczynie z parteru, a Belle zniósł po schodach i posadził w swoim aucie – jeździł teraz amerykańskim jeepem, miał zapewne znakomite stosunki z okupantami. Dodawał jej otuchy w drodze, kiedy jęczała z bólu. Belle nawet nie spytała, skąd on się tak nagle wziął, powiedziała tylko:

– Zdaje mi się, że umieram, Andreasie.

On położył jej chłodną rękę na rozpalonym czole i powiedział uspokajającym głosem:

– Ależ skąd, Belle, wcale nie umierasz. Ale to nie wygląda na zwykłą niedyspozycję żołądkową. Co ty wyprawiasz, kiedy mnie nie ma?

W szpitalu Charité zbadano ją, po czym podano środek uspokajający w zastrzyku i założono maskę z eterem na usta i nos. Belle, już na wpół przytomna, dostrzegła tylko, że Andreas pochylił się nad nią. Usłyszała jego głos, dobiegający jak z wielkiej dali.

– Kochanie, oni muszą natychmiast wyciąć ci zaropiały wyrostek robaczkowy. Czy ty wcześniej nic nie czułaś?

Owszem, chciała odpowiedzieć, ale czy miała czas, aby zwrócić na to uwagę? Lecz w tym momencie już zasypiała i język odmawiał jej posłuszeństwa, choć ktoś stale kazał jej liczyć do dziesięciu, a ona nawet nie mogła już ruszyć małym palcem... I ogarnęła ją ciemność, w której znikł ból.

Kiedy się ocknęła, było jej potwornie niedobrze i musiała zwymiotować. Czuła się nędznie i bardzo chciało jej się pić, ale siostra powiedziała, że teraz nie wolno. Zasnęła znowu, a kiedy ponownie obudziła się kilka godzin później, było już o wiele lepiej i tylko rana na brzuchu trochę bolała. Andreas siedział przy jej łóżku i patrzył na nią, wyraźnie zatroskany.

– Ależ napędziłaś mi strachu, Belle! Kiedy wisiłaś tam nad poręczą, jęcząca i blada... Lekarz mówi, że jeszcze kilka godzin i musieliby ci wypompować ropę z całej jamy brzusznej, a to już jest poważna sprawa. Jak długo ten ból dawał o sobie znać?

– Nie wiem... Już jakiś czas. I czułam się tak nędznie i słabo. Nie wiedziałam, co to mogło być... Ale w mieście byli już Rosjanie, a potem... Ale skąd ty się tu wziąłeś, Andreasie? I dlaczego dopiero teraz? – Oczy Belle zamigotały. – Jesteś mi winien parę wyjaśnień, Andreasie. Wiesz, że przesłuchiwało mnie gestapo?

– Domyślam się. Nie denerwuj się, kochanie, jesteś jeszcze osłabiona. Ale bądź co bądź zjawiłem się w bardzo odpowiednim momencie, prawda? Pewnie wydałem ci się aniołem, który śpieszy z pomocą!

Belle uśmiechnęła się, właściwie wbrew swojej woli, ale czuła się przecież tak cudownie, bo nic już tak naprawdę jej nie bolało i on był blisko. Andreas przyglądał się jej wychudzonej twarzy na poduszce.

– Bardzo się zmieniłaś. Wyglądasz na dużo starszą i ten wyraz twoich oczu... Sprawiasz wrażenie dojrzałej, także trochę smutnej. Doznałaś wiele bólu, prawda? Nie mam teraz na myśli ślepej kiszki.

Skinęła głową. Nie opowiedziała mu jeszcze o śmierci Sophie, bo w tej chwili brakowało jej na to sił. Powie mu o tym potem, jutro. Była zmęczona, ciągle tak bardzo zmęczona.

„Belle Lombard, dorosłaś”, pomyślał Andreas. Ciągle jeszcze na nią patrzył, ale ona już tego nie dostrzegła. Jej powieki stały się ciężkie i opadły. Andreas pomyślał nagle o Maxie i ogarnęło go przerażenie. Czy on już wrócił? Czy wróci?

Zaklął cicho, opuszczając pokój, aby zobaczyć, czy dostanie gdzieś mocnej kawy. Albo wódki.

Martin Elias szedł przez Prinzregentenstrasse. Monachium bardzo przypominało Berlin: naokoło, jak okiem sięgnąć, widać było gruzy i kamienie, na wpół spalone albo zawalone domy. Między ruinami stały głównie kobiety i walczyły z otaczającym je chaosem. Martin w ogóle na nie nie patrzył. Nie widział też wielkich stert gruzu, letniego nieba ani nie słyszał śmiejących się dzieci, które bawiły się niedaleko. Szedł powoli pogrążony w myślach. W kronice filmowej zobaczył fotografie, które żołnierze porobili w Dachau, Treblince, Majdanku i Auschwitz. Góry zwłok. Wychudzone twarze tych, którzy przeżyli, przypominające trupie czaszki, nieruchome oczy pełne grozy i przerażenia, patrzące apatycznie w obiektyw. Płoty z drutów kolczastych pod napięciem elektrycznym, wieże strażnicze, baraki z twardymi drewnianymi pryzkami, na których więźniowie sypiali niemożliwie stłoczeni. Narzędzia tortur, bunkry, w których można było tylko stać, szubienice. I najgorsze ze wszystkiego: komory gazowe. Krematoria. Popioły ilu ludzi pokrywały pola wokół Auschwitz?

Przez te lata, kiedy siedział całymi dniami i nocami zamknięty w piwnicy, ciągle nie tracił nadziei, że zobaczy Sarę. Wprawdzie jakiś bezlitosny cichy głos w jego głowie mówił mu, że stracił Sarę tego kwietniowego wieczoru 1942 roku, ale Martin starał się nie słuchać. Dowiedział się wielu okropnych rzeczy o obozach koncentracyjnych, ale ciągle nie miał pojęcia o perfekcyjnie zorganizowanej machinie zagłady. Słyszał o osławionej rampie w Auschwitz i o selekcjach i zdawał sobie sprawę, jak mała była szansa na to, że Sara przeżyła. Z pomocą Felicji ustalili już, że rzeczywiście deportowano ją do obozu w Auschwitz, ale tam jej ślad ginął. Martin odwiedzał więc tych, którzy przeżyli, i pokazywał im fotografię Sary.

– Czy znacie tę kobietę? Może wiecie, co się z nią stało?

Jedna z tych osób odparła:

– Mówi pan, że kiedy ona została przywieziona? Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku? Widzi pan, przewidywana długość życia tam wynosiła od trzech do czterech miesięcy, o ile od razu nie wysyłali kogoś do komory gazowej. Trudno mi uwierzyć, że przeżył ktoś, kto trafił do obozu przed latem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Nadzieja Martina malała z każdym dniem i w końcu śmierć Sary stała się niemal pewna, a mężczyzna powoli zaczął to akceptować. Felicja któregoś dnia powiedziała:

– Martinie, przestań myśleć o tych fotografiach. Tylko się nimi zadręczasz. Musisz spróbować zapomnieć o wszystkim.

– Nie mogę tego zapomnieć. Nigdy. Musiałbym umrzeć, żeby to przeboleć i wymazać z pamięci. I nawet wtedy prawdopodobnie to wszystko nadal by mnie prześladowało.

Ale tego sierpniowego dnia, kiedy szedł przez miasto, poczuł, że budzi się w nim nieśmiała chęć do życia. Zaprzagnął przestać oddawać się swojemu cierpieniu. Musiał się bronić, bo wiedział już, że ten ciągły ból zaprowadzi go do miejsca, skąd już nie będzie powrotu. Ale czy uda mu się tutaj, w tym kraju, stanąć na nogi?

Tuż przed domem Felicji otrząsnął się ze swych myśli. Musiał zadać sobie sporo trudu, aby popatrzeć na ludzi, którzy naokoło próbowali porządkować morze ruin. Niemcy. Czy on będzie mógł spędzić życie wśród Niemców?

Zastanawiał się, czy to, co odczuwał, było nienawiścią, ale przecież nie mógł powiedzieć: „Wszyscy Niemcy to świnie!”, bo ciągle jeszcze czuł się jednym z nich. Nie udało mu się zdystansować wobec tego narodu, z którym był zżyty od urodzenia. Zanim zaczęła się nazistowska dyktatura, on nigdy nie czuł się Żydem, nawet nie niemieckim Żydem, czuł się po prostu Niemcem. I te niekończące się lata rozpacz, śmiertelnego strachu i udręczenia też tego nie zmieniły. Może dlatego, że to przecież Niemcy go ratowali i ryzykowali dla niego własnym

życiem.

Wszedł do domu i mimowolnie odetchnął z ulgą, kiedy zamknęły się za nim drzwi. Na ulicy ciągle jeszcze musiał walczyć z lękiem. Felicja zaproponowała mu, aby zamieszkał u niej i Alexa, bo nie chciała już nadużywać wielkoduszności Wolffa. A poza tym Martin odegrał też rolę zbawczego anioła, jeśli chodziło o Toma, którego członkostwo w partii i ciągłe kontakty z jej najważniejszymi osobami mogłyby doprowadzić do szybkiego upadku firmy Müllers Spielwaren. Jednak dzięki temu, że Tom kilka lat ukrywał w swojej piwnicy Żyda, wyszedł z kłopotów obronną ręką. Martin wiedział, że Wolffem kierowała właśnie ta chłodna kalkulacja, kiedy się zdecydował przyjąć go do siebie, ale jednak ten człowiek ryzykował swoim życiem. I Martin uznał za słuszne zeznawanie na jego korzyść.

Jolanta wybiegła mu naprzeciw w holu wejściowym. Była wyraźnie podekscytowana.

– Panie Elias – wyszeptała. – Panie Elias, pani Lavergne ma gościa! Proszę zgadnąć, kto to!

Martin poczuł nagle gwałtowne bicie serca i zbladł, a Jolanta, która zrozumiała, że, chcąc nie chcąc, obudziła w nim szaloną nadzieję, z przerażeniem zasłoniła sobie usta ręką.

– O Boże, ale to głupio z mojej strony, pan pewnie myślał, że... nie, to nie... to nie pana żona, panie Elias. To Peter Liliencron. Proszę sobie wyobrazić, ni stąd, ni zowąd pojawił się przed drzwiami... I wygląda imponująco, bo nosi amerykański mundur!

Felicja miała na sobie zniszczoną niebieską sukienkę, teraz brudną i pogniecioną, a włosy okryła poszarzałą chustką, która kiedyś była biała. Kobieta siedziała na kamieniu w małym ogrodzie za domem i paliła papierosa, nie zważając na upał. Obok niej siedział Peter.

Krótko przed kapitulacją, w czasie jednego z ostatnich dni wojny, bomba uderzyła w sąsiedni dom, graniczący z działką Felicji, i teraz także w jej ogrodzie leżały gruzy. Akurat próbowała zrobić między nimi jakąś ścieżkę, kiedy przybiegła zdyszana Jolanta i zapowiedziała, że przyszedł Liliencron.

– On jest kapitanem, pani Lavergne! Kapitanem w amerykańskiej armii!

Teraz oboje siedzieli w ogrodzie, palili przyniesione przez niego papierosy, a Felicja uświadamiała sobie, że miała podrapane i brudne ręce, połamane paznokcie, okropną sukienkę i jeszcze gorszą chustkę na głowie. Czuła, że wygląda brzydko, była kompletnie wyczerpana wynoszeniem kamieni i kręciło jej się w głowie z głodu. Dlatego nie mogła chwycić Petera w ramiona, kiedy go zobaczyła, i w efekcie ten brak serdeczności spowodował, że między obojgiem zapanował dziwny dystans. Przywitali się, podając sobie ręce.

– A więc fabryki już nie ma? – spytał Peter.

Felicja potrząsnęła głową.

– Kompletnie zniszczona. Nie wiem, czy opłacałoby się ją odbudowywać.

– Moja matka za to zdołała utrzymać dom przez całą wojnę, wynajmowała go i teraz mogę się tam znowu wprowadzić. Brakuje części dachu, ale na razie to nie jest jakiś wielki problem.

– Czemu przyłączyłeś się do Amerykanów?

– Weszli do Paryża i wtedy już wiedziałem, że przeżyłem. Przedtem każdy dzień mógł być ostatni. Pomyślałem, że kiedy wkroczą do Niemiec, to będą potrzebować kogoś, kto mówi po niemiecku i na kim nic nie ciąży. Czyli takich ludzi jak ja. Nie przyłączyłem się do ich armii po to, aby wkroczyć jako zwycięzca tu, skąd kiedyś musiałem uciekać nocą. Nie chodziło mi o jakiś triumf. Ale alianci przynieśli nam pokój i uwolnili nas od dyktatury nazistów, i samemu też trzeba coś zrobić, żeby tu nad wszystkim zapanować, żeby wszystko znów zaczęło szybko i dobrze funkcjonować i żeby ludzie z partii nie zajęli najważniejszych stanowisk. I to był zasadniczy powód.

– Mówisz, że jesteś oficerem do spraw kultury?

Skinął głową.

– Udzielamy licencji na wydawanie nowych gazet, na zakładanie nowych teatrów, nowych stacji radiowych... i to właściwie sprawia mi przyjemność. Myślę, że wolne i niezależne gazety są tak samo ważne dla tego narodu jak usuwanie gruzów i zaspokajanie głodu. Bo ten naród całymi latami był mamiony i oszukiwany przemówieniami pana Goebbelsa i nagłówkami w gazecie „Völkischer Beobachter”.

Felicja nie odpowiedziała. Trzymała rękę nad oczami, bo musiała patrzeć pod słońce, kiedy spoglądała na Petera.

– Prawie wcale się nie zmieniłeś, Peter. Choć bardzo zeszczuplałeś. Ale poza tym – nie sprawiasz wrażenia starszego.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Mam o wiele więcej siwych włosów. Ale ty też prawie się nie zmieniłaś. Jesteś ciągle tak piękna, jak w moich wspomnieniach.

– Nie jestem piękna! Wyglądam okropnie. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, włożyłabym inną sukienkę i wyszczotkowała włosy!

– Jakby to miało znaczenie w relacji między nami! – powiedział niemal gwałtownie Peter. Jego ręka, w której trzymał papierosa, lekko drżała.

– Co przeżyłeś? – spytała Felicja cicho.

Wzruszył ramionami.

– Nic nadzwyczajnego. W Szwajcarii czułem się dość dobrze, ale potem zostałem wydalony i wyjechałem do Francji. Stamtąd do ciebie napisałem...

– Tak. Otrzymałam ten list.

– No, a potem Francję zajęli Niemcy. Nie mogłem się dostać do swoich pieniędzy. Z kilkoma innymi Żydami próbowałem przedostać się do Francji, do Vichy, ale to się nie udało. Znałem kilku członków ruchu oporu... I oni postarali się dla mnie o nową tożsamość. Pracowałem jako kelner. Kiedy Niemcy wchodzili do lokalu, oblewałem się potem. Ciągle myślałem, że usłyszą mój akcent świadczący o tym, że nie jestem Francuzem. Ale nikt nic nie zauważył.

– I do końca wojny ukrywałeś się jako kelner?

– O nie. Wpadłem. Do dziś nie wiem dlaczego. To był tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi rok, zakładałem, że ktoś z ruchu oporu zaczął sypać na torturach. I podał nazwiska i adresy. Mimo to miałem niesłychane szczęście i... – Umilkł nagle.

– Co takiego? – spytała Felicja z zaciekawieniem.

– Policjant, który miał mnie aresztować, francuski policjant, dał mi godzinę, abym się spakował. I potem miał po mnie przyjść. Dał mi szansę i ją wykorzystałem. To znaczy, mogłem ją wykorzystać tylko dlatego, że w pewnym istotnym momencie bardzo intensywnie o tobie myślałem.

– O mnie?

– Konsjerżka chciała mi przeszkodzić w opuszczeniu domu. Zastanawiałem się, co zrobiłaby w takiej sytuacji Felicja i... – Peter umyślnie sformułował to tak lapidarnie – poszedłem za nią do kuchni, związałem ją i zakneblowałem, po czym zamknąłem w spizarcie. A potem uciekłem.

Felicja milczała przez chwilę, kompletnie zaskoczona, a potem się roześmiała.

– Tego się po tobie nie spodziewałam! Drzemią w tobie nieznanne zdolności, Peter.

– Tak, ale mimo wszystko wolałbym nie musieć z nich korzystać. Potem się ukrywałem, mieszkałem u różnych ludzi, którzy sympatyzowali z Résistance i nie mieli nic przeciwko

Żydom. Czasami myślałem, że nigdy już nie będę mógł wieść normalnego życia. I byłem tak bliski rozpacz, że... – Urwał, machnąwszy ręką. – Ale to już minęło. I tylko to jest ważne. To już minęło.

– Tak – powiedziała Felicja i popatrzyła na otaczające ich ruiny i gruzy. – I teraz możemy już patrzeć w przód. Organizować życie, mając to, co zostało.

Peter spojrzął na nią z boku.

– Felicjo, jeśli masz kłopoty... To znaczy, jeśli wplątałaś się w jakieś interesy z nazistami i teraz potrzebujesz kogoś, kto zeznawałby na twoją korzyść... Wiesz, że nigdy nie zapomnę ci tego, że wywiozłaś mnie wtedy do Szwajcarii!

Uśmiechnęła się.

– Słusznie mnie oceniasz. Oczywiście, zarabiałam na nazistach. Ale poza tym razem z Maksymem Marakowem nadstawiałam karku dla różnych ludzi prześladowanych ze względów politycznych i myślę, że wobec tego nikt nie będzie szykował dla mnie stryczka.

– A więc Marakow zwrócił się do ciebie? Podąłem mu twoje nazwisko na wypadek jakiejś nagłej konieczności. Często mam wyrzuty sumienia z tego powodu.

– Nie musisz – odparła Felicja i dodała w myślach: „On przyszedłby do mnie zawsze wtedy, kiedy nie miałby innego wyjścia, i niewiele rzeczy jest tak pewnych jak ta właśnie!”.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i Felicję trochę to zdziwiło. Bo przecież nie widzieli się siedem lat i między tamtym czasem a dzisiejszym upłynęła połowa życia.

– No tak – powiedział w końcu Peter i wstał. – Muszę już iść. Ale wiesz, że wróciłem. I gdzie mnie możesz znaleźć.

Felicja także się podniosła.

– Tak. Musimy któregoś dnia dłużej porozmawiać. Fabryki wprawdzie nie ma, ale jest działka, na której się znajdowała. Przepisałeś mi wtedy wszystko i bardzo dobrze zrobiłeś, bo inaczej wpadłoby to w ręce nazistów, ale ja nie mogę przecież tego ot tak sobie zatrzymać. Nie wiadomo też, jaką wartość będzie miał któregoś dnia tak olbrzymi teren w Monachium.

– To należy do ciebie, Felicjo, i tu się nic nie zmieniło. Ja i tak muszę się zastanowić, co będę robił. – Zgasił papierosa na kamieniu. – Chciałbym cię wkrótce znów zobaczyć, Felicjo. Mam nadzieję, że... że będzie choć trochę tak jak dawniej.

– Na pewno będzie – odparła kobieta, ale poczuła, że on doskonale wiedział, że nic już nie będzie takie jak dawniej.

Odprowadziła go do drzwi. W holu spotkali Martina Eliasa. Obaj mężczyźni, dawny fabrykant i pisarz, którzy znali się dobrze w tamtym dawno minionym czasie, uścisnęli sobie ręce.

– Martin Elias – powiedział ze zdziwieniem Peter. – Był pan cały czas w Niemczech?

– Tak. Ukrywałem się. A pan?

– Byłem za granicą. I w końcu także się ukrywałem.

Felicja domyśliła się, że Peter miał na końcu języka pytanie o Sarę i pośpiesznie wtrąciła się do rozmowy z kilkoma nic nieznaczącymi grzecznościami. Kiedy Peter wyszedł, odwróciła się w stronę Martina, który stał blady i tak wychudzony, że w przytłumionym świetle holu przypominał jakiś cień o głęboko zapadniętych oczach.

– On przeżył – powiedział głucho. – I ja przeżyłem. Ale Sara... Sara musiała umrzeć.

– Tak – odpowiedziała Felicja.

Nagle pomyślała o Sophie, która zmarła, o Maxie i Paulu, o których ciągle nic nie było wiadomo, o swoim bracie Johannesie, o Elzie i Letycji i w tym momencie czuła serdeczną więź z Martinem z powodu łączącego ich bólu. Oboje byli bliscy płaczu. Patrzyli wstecz, kiedy wydarzyło się zbyt wiele zła, by można było o nim zapomnieć. Martin poczuł, że jego oczy

zwilgotniały, i Felicja to dostrzegła. Szybko się opanowała.

– Martinie, musimy żyć dalej. Też mam trochę smutnych doświadczeń i dlatego wiem, że w życiu często ma się wrażenie wpadania w czarną dziurę bez dna. Ale po chwili ciszy, kiedy czujemy się jak sparaliżowani i przytłoczeni nieszczęściem, w którymś momencie podnosimy się, zaczynamy się krzątać wokół codziennych spraw, z czystej rozpacz i bez wiary w to, że będzie lepiej. Ale potem zaczynamy jednak dostrzegać jakieś światełko, które z dnia na dzień staje się jaśniejsze. Zawsze tak jest, Martinie, uwierz mi. Życie nie kończy się wtedy, kiedy dochodzimy do wniosku, że po prostu dalej już nie damy rady.

– Ale ja nigdy nie... – zaczął Martin i urwał, bo gdyby mówił, to musiałby się rozplakać. Czuł ścisk w krtani i chciałby wykrzyczeć swój ból, swoje ciągle przerażenie. Ale wyraz oczu Felicji kazał mu się powstrzymać i nie pozwolić, aby to go opanowało. – Pomyślałem – powiedział w końcu – pomyślałem, że stąd wyjadę. Może do Ameryki.

I w tej sekundzie właśnie o tym postanowił. Jak to powiedziała Felicja: „W którymś momencie podnosimy się, zaczynamy się krzątać wokół codziennych spraw, z czystej rozpacz...”

Prawdopodobnie właśnie zaczął to robić.

Felicja postanowiła, że dziś już nie będzie sprzątać gruzów. Czuła się dość słabo. Ten głód, ten przeklęty głód! Zupełnie jakby żołądek był jedną wielką, pustą dziurą.

Usiadła w swoim biurze, musiała pomyśleć, a to zawsze udawało jej się właśnie tu. Peter wrócił. Podtrzymał swoją decyzję i to, co jej w swoim czasie przepisał, miało nadal należeć do niej. Ale ponieważ teraz fabryki nie było, niewiele to w tej chwili dawało.

„Z czego mamy w przyszłości żyć? Ja i moja rodzina? O nieba, co mamy wszyscy...” Myśli wirowały w głowie Felicji.

Odwróciła się, słysząc odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju powoli wszedł Maksym.

– Jesteś sama? – spytał.

„Zawsze o to pyta, kiedy się spotykamy”, pomyślała z rozbawieniem.

– Dziś mam mnóstwo gości. Ale masz szczęście. Ostatni właśnie wyszedł.

– Liliencron?

– Skąd wiesz?

– Spotkałem go przed domem. Już prawie nie wierzyłem, że mu się udało przetrwać.

– Ja też nie. Ale wejdź, Maksymie.

Zamknął starannie drzwi. Felicja patrzyła na niego z tkliwością. Niedożywienie spowodowało, że wyglądał jeszcze bardziej ascetycznie. Miał na sobie stary szary garnitur, który na nim wręcz wisiał, a jego żylaste ręce wysuwające się z wytartych rękawów przypominały łopaty. Tego właśnie dnia widać było wyraźnie, że nie jest już młody, ale dla Felicji pozostał tym samym mężczyzną, którego знаła z czasów młodości w Lulinnie. Nie zmienił się w jej oczach od tamtych chwil, kiedy odwiedzał ją latem i znienacka pojawiał się w ogrodzie między jabłonią a żywopłotem z kapryfolium. Ona znów miała siedemnaście lat i nie znała żadnych trosk czy bólu. Życie wydawało jej się piękne, a świat bezpieczny.

Maksym od chwili zakończenia wojny rzadko pojawiał się w domu przy Prinzregentenstrasse, a Felicja nigdy nie ważyła się go pytać, co robił i jak żył. Próbowwała okazać mu swą radość z jego odwiedzin, za każdym razem dzieląc się z nim swoimi ostatnimi zapasami żywności, mimo że odmawiał.

– Nie, Felicjo, sama nie masz nic do jedzenia, widzę przecież, że jesteś chuda i wiotka jak źdźbło trawy...

Tym razem jednak Maksym przyniósł coś cennego: papierosy. Ostrożnie wyciągnął tę cenną zdobycz z wewnętrznej kieszeni marynarki.



– Dostałem je od emigrantów, którym w swoim czasie pomogłem w ucieczce. Zapalisz? Skinęła głową, a on podał jej ogień.

– Usiądź, proszę – powiedziała Felicja, ale Maksym stał oparty o regał z książkami i palił, zaciągając się głęboko.

A potem nagle, bez żadnych wstępów, oświadczył:

– Przyszedłem tu, aby się z tobą pożegnać, Felicjo. Opuszczam Monachium. Wyjeżdżam do Berlina.

Jak długo go znała, co rusz przychodził się z nią żegnać, sto i więcej razy, i dobrze wiedziała już, jak to będzie teraz wyglądać. Znany był jej bezpośredni sposób, w jaki to mówił, i wyraz jego oczu, które stale obiecywały: „Tym razem wyjeżdżam na zawsze!”.

Ale zawsze wracał, czy to po tygodniach, czy po latach, bo katapultując się z jednych sytuacji, wpadał zaraz w takie, w których potrzebował Felicji. Dlatego nie przstraszyła jej jego zapowiedź, choć poczuła falę nagłego rozczarowania, której nie mogły złagodzić minione lata i przebyte doświadczenia. I w tym momencie zrozumiała i zaakceptowała to, że nie będzie mogła zatrzymać Maksyma Marakowa, podobnie jak nie będzie w stanie przestać go kochać. Była z nim związana w jakiś podstępny, beznadziejny i niepojęty sposób i do końca życia on miał stać między nią a każdym innym mężczyzną.

– A co chcesz robić w Berlinie? – spytała, chociaż było jej obojętne, co on dokładnie zamierzał, skoro i tak miał stąd wyjechać.

– Znam kilku ludzi, którzy teraz wrócili z emigracji do Związku Radzieckiego. Nawiązałem z nimi kontakt. Chcę z nimi współpracować. To jest... wielkie wyzwanie dla mnie. Ten kraj trzeba zorganizować od podstaw i może będę mógł mieć w tym swój niewielki wkład.

Pierwszy raz od bardzo długiego czasu w oczach Maksyma rozbłysło życie. Działalność w ruchu oporu była dla niego nużąca i kosztowała go wiele sił, ale teraz wyglądał tak jak w młodości, kiedy opowiadał Felicji o idei komunizmu. Nic i nikt nie powstrzymałoby go przed wyjazdem do Berlina.

„I to po tych wszystkich niebezpieczeństwach, na które się wspólnie narazili w ostatnich latach”, pomyślała Felicja. „Nawet to nie wiąże go ze mną”.

Odepchnęła jednak tę sentymentalną myśl i spytała:

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Z początkiem przyszłego tygodnia.

– A więc już za cztery dni.

– Tak.

Felicja nagłym agresywnym ruchem zdusiła papierosa.

– Jedno trzeba ci przyznać, jeśli się na coś zdecydujesz, to działasz szybko – powiedziała z uśmiechem, ale jednocześnie bez słów prosiła go, aby rzekł coś, na czym będzie mogła się oprzeć, choćby tylko to, że niełatwo jest mu od niej odejść.

Ale on milczał i patrzył przez okno tak, jak gdyby myślami był już bardzo daleko. W końcu jednak przypomniał sobie o niej.

– Co będziesz robić? – spytał.

– Ja? – Felicja się opanowała. Nie miała zamiaru teraz się rozplakać tylko dlatego, że po raz któryś w ciągu tych trzydziestu lat nie dostała od niego tego, czego chciała. – Nie wiem jeszcze. Fabryki już nie ma. Lulinna także nie. Nie mam za bardzo pomysłu.

– Wiesz już, co stało się z twoją babką? Została przecież w Lulinie.

– Nie żyje. Jadzia mi o tym napisała. Ponoć zmarła jeszcze przed wejściem Rosjan. Zakładam, że połknęła tabletki nasenne.

– Dzięki temu oszczędziła sobie znacznie gorszego końca – powiedział Maksym. –

A Lulinn? Dom jeszcze stoi?

– Tak, stoi. Ale nie łudzę się, Maksymie. Lulinn jest stracony. Nigdy tam nie wrócimy. – Jeszcze kiedy to mówiła, pojawiły się przed jej oczami obrazy z tamtych czasów. Lulinn latem, kiedy otwarte były wszystkie okna i ze wszystkich pomieszczeń dobiegały głosy i śmiechy, a w ogrodzie gęgały gęsi. – Maksymie, my tam już nigdy nie wrócimy – powtórzyła cicho. – Czy ty myślisz czasami o...

Przerwał jej.

– Nie powinno się za dużo myśleć o tym, co już dawno minęło. To jest... no, życie płynie dalej!

W jego głosie słyhać było lekkie rozdrażnienie i Felicja postanowiła nie mówić już o przeszłości. Zamiast tego spytała spokojnie:

– Możesz mi dać jeszcze jednego papierosa?

Podał jej pudełko. Kiedy pochyliła się w jego stronę, aby dosięgnąć płomienia zapalki, znów znaleźli się na kilka sekund blisko siebie. Spojrzała mu prosto w oczy i dostrzegła w nich nieklamany podziw dla jej dzielności i wdzięczność za to, co dla niego zrobiła. A także prośbę, aby nie dotykać tego, co miało miejsce przed wieloma laty, bo on musiał iść własną drogą. Felicja zauważyła jednak jeszcze coś, o czym on sam w tej chwili nie wiedział: był z nią związany i tak miało być zawsze. Nigdy nie zniknie z jej życia.

Wyprostowała się, a uczucie triumfu pozwoliło jej zapomnieć o bólu. Maksym to dostrzegł i się uśmiechnął.

– Silna kobieta – powiedział.

Felicja oparła się o biurko. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez okno za nią do pokoju i wyraźnie oświetlały liczne srebrne pasma w jej włosach.

– To, co trzymało moją rodzinę razem, Maksymie, to właśnie Lulinn. I było to nie tylko miejsce, do którego wszyscy uciekaliśmy, kiedy działo się coś złego, czy też miejsce, do którego wszyscy przyjeżdżaliśmy, aby się upewnić, że w życiu zawsze jest coś trwałego. Bo bez względu na to, gdzie się znaleźliśmy, ono stanowiło coś w rodzaju liny ratunkowej, której mogliśmy się przytrzymać, kiedy znaleźliśmy się na krawędzi. I jeśli wszyscy byliśmy silni, to dlatego, że mieliśmy w pamięci Lulinn. Lulinn zawsze się do nas uśmiechał i dodawał nam otuchy. Myśleliśmy o nim i braliśmy się w garść. Przychodziły nam na myśl ten wyjątkowy i jedyny zapach wiatru, niedające się z niczym porównać światło na horyzoncie, kiedy nadchodził świt... Maksymie, ja chciałabym zbudować nowy Lulinn. Wiem, czasy są niedobre, ale chcę spróbować. Chcę mieć wielki, stary dom na wsi, konie, koty, wysokie drzewa i barwne róże. Ta wojna wszystkim nam tak wiele odebrała, nasze szeregi się przerzedziły, wiatr rozwiął nas jak stertę jesiennych liści. Znowu potrzebny jest nam twardy grunt pod nogami i chciałabym zrobić wszystko, abyśmy to znaleźli.

Maksym chciał zaprzeczyć, powiedzieć, że w planie Felicji jest coś niemożliwego, kiedy mówiła o jedynym niepowtarzalnym zapachu w wietrze i o niedającym się z niczym porównać świetle na horyzoncie...

Lulinn był niepowtarzalny. Nie można go było odtworzyć. Maksym powstrzymał się i nie powiedział tego, bo zarówno ona, jak i on mieli prawo do swoich marzeń. Oboje musieli stanąć na nogi, odnaleźć się w nowym świecie, a do tego potrzebowali celu. Poprosił ją, aby pozwoliła mu podążać za swoim. Sam sobie wydałby się podły, gdyby podważył sens jej celu.

Andreas uznał, że Belle nie może mieszkać w takich warunkach, i oczywiście postanowił coś temu zaradzić. Nikomu oprócz niego nie udało się znaleźć pustego mieszkania w Berlinie, które w dodatku znajdowało się na pierwszym piętrze całkiem dobrze zachowanego domu i składało się z aż dwóch pokoi. Andreas miał znakomite kontakty. Współpracował ściśle

z amerykańskimi okupantami, którym bardzo zależało na jego znajomościach z wiodącymi naukowcami niemieckiego przemysłu stalowego i zbrojeniowego. Ci ludzie byli bardzo potrzebni za oceanem. Andreas organizował spotkania, towarzyszył amerykańskim oficerom na rozmowach i tłumaczył je. I dlatego mógł się cieszyć wieloma różnymi przywilejami – udało mu się nawet zdobyć mieszkanie.

– Niestety balkon jest zerwany – powiedział, pokazując je Belle. Znajdowało się ono nad jednym z kanałów przy Lützowstrasse. – A w kuchni brakuje szyby w oknie. Szkło jest teraz mimo najlepszej woli nie do zdobycia, dlatego będziemy musieli przybić tam papę. Ale nadejdą wkrótce lepsze czasy.

Do Belle to wszystko nie docierało.

– Dwa pokoje, kuchnia i łazienka, tylko dla nas! To aż nie do wiary!

Wydało jej się trochę niemoralne mieć tyle miejsca wobec panującej dookoła nędzy. Ale z drugiej strony to było tak cudowne po tylu miesiącach mieszkania w ścisku! Belle wiedziała, że powinna przynajmniej Nikoli i jej dwojgu dzieciom zaoferować przeprowadzkę tutaj, bo w mieszkaniu przy Alexanderplatz mieszkała przecież jeszcze Christine i Modesta z pięciorgiem dzieci. Jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Tak miło było być sam na sam z Andreasem, mimo że od czasu do czasu gwałtownie się kłócili. Andreas naciskał, aby się wreszcie pobrali, bo nie miał już ochoty dłużej czekać.

– Ale ja jestem mężatką – odpowiadała wtedy Belle, co na Andreasie nie robiło żadnego wrażenia.

– Ty najprawdopodobniej jesteś wdową – odparł raz szorstko, a Belle popatrzyła na niego gniewnie.

– Chciałbyś, aby tak było, prawda?

– Nie opowiadaj głupstw. Ja chciałbym mieć tylko jasną sytuację. Musimy przecież jakoś zaplanować nasze życie.

– Dobry Boże, to co mam wobec tego robić? – spytała bezradnie Belle.

Na berlińskie dworce codziennie przyjeżdżały pociągi z żołnierzami powracającymi z niewoli. Na peronach czekały setki kobiet w nadziei, że wśród przybywających zobaczą swojego męża, syna czy brata. Wiele z nich trzymało uniesione w górę fotografie i pytały każdego, kto pojawił się na ich drodze:

– Czy znacie tego człowieka? Czy wiecie coś na temat tego mężczyzny?

Belle zaczęła więc także chodzić na dworce, przeważnie w towarzystwie Christine, która z rozpaczą, ale i nadzieją wyczekiwała na jakiś znak życia od Paula. Któregoś dnia Christine oświadczyła, że Modesta poprzez służbę poszukiwawczą Czerwonego Krzyża dowiedziała się, że jej najstarszy syn poległ w czasie ostatnich walk o Berlin.

– Znalazł go jeden z jego towarzyszy i przekazał wiadomość o jego śmierci – powiedziała. – Chłopak na sam koniec zgłosił się do Volkssturmu, a im właściwie nie wolno go było przyjąć. Jednak to zrobili i biedna Modesta płacze teraz po całych dniach.

Belle myślała o tym sierpniowym dniu, tuż przed napaścią Niemiec na Polskę, kiedy odebrała Wiktora z dworca, aby umilić mu jakoś początek jego pobytu w Napola. Poważny, cichy chłopiec, który znał tylko spokój panujący w Lulinie... Belle liczyła się z tym, że mógł zginąć, ale ta wiadomość bardzo ją dotknęła i przygnębiła. Kolejna osoba z jej rodziny, której będzie w przyszłości brakować. Mimo to odparła:

– No to Modesta przynajmniej ma pewność. Najgorzej jest nie mieć pojęcia, co się z kimś stało.

Christine spojrzała na nią z boku.

– Ty chciałabyś mieć taką pewność, prawda? – spytała z nieukrywaną wrogością. –

Pewność, że Max nie żyje?

Belle zmrużyła oczy.

– Co masz na myśli?

– No, że już zaplanowałam swoją przyszłość i wszystko wskazuje na to, że nie ma w niej miejsca dla Maxa. Od lat masz romans z innym mężczyzną. Naprawdę zastanawiam się, co byś zrobiła, gdyby teraz z jednego z tych pociągów wysiadł Max. Zabierzesz go do swojego mieszkania i przedstawiś mu kochanka? Jak będą wyglądały pierwsze godziny waszego spotkania? Ja na twoim miejscu niczego bym się tak nie obawiała jak jego nagłego powrotu!

Belle odwróciła się i odeszła bez słowa. Ale od tej chwili obie kobiety unikały się i wymieniały tylko najkonieczniejsze uwagi. Lecz słowa Christine zapadły Belle w pamięć i ją niepokoiły. Belle myślała oczywiście o tym, jak miałyby wyjaśnić Maxowi to, co się stało, ale bardziej pochłaniało ją inne, bardzo praktyczne pytanie: „Dokąd miałyby go najpierw zabrać?”. Do mieszkania przy Alexanderplatz? Gdzie tylu ludzi słuchałoby każdego ich słowa? Na Lützowstrasse? Ale przecież nie można go było tak od razu konfrontować z nowymi okolicznościami! Czy więc Christine ostatecznie nie miała jednak racji, mówiąc, że Belle nie pragnęła powrotu Maxa? Łatwiej było wiedzieć, że zginął, niż zadać mu tyle nieuniknionego bólu, gdyby przeżył?

I wówczas wrócił Paul Degnelly.

Był chłodny dzień w końcu września. Belle i Christine czekały na peronie dworca Anhalter Bahnhof, bo dowiedziały się, że ze wschodu miał przybyć pociąg z jeńcami. Spotkały się przypadkowo i przywitały bardzo chłodno. A teraz stały obok siebie, zdystansowane, a wręcz sobie obce. Nagle Belle drgnęła wystraszona, bo Christine chwyciła ją z całej siły za ramię i wbiła jej palce w skórę.

– Co się dzieje? Przecież to mnie boli!

Christine zrobiła się blada jak śnieg.

– O Boże, Belle, tam jest Paul! Tam jest Paul!

– Gdzie?

Ale Christine już biegła po peronie i Belle zobaczyła, że rzuciła się na szyję jednemu z żołnierzy... chudemu i w tak zniszczonych łachach, że przypominał stracha na wróble. Nieogolonemu, z zapadniętymi oczami i nienaturalnie sterczącymi kośćmi policzkowymi. Belle musiała przyjrzeć mu się dwa razy, aby w tej wynędzniałej postaci rozpoznać swojego kuzyna Paula.

Kiedy on ją objął, wyjąkała tylko:

– Paul, Paul.

I nagle wszyscy troje zaczęli płakać, Paul, Christine i ona sama.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, bo na peronie płakało bardzo wielu ludzi. Paul ukrył twarz we włosach Christine.

– Już prawie straciłem nadzieję... Każdy dzień to wieczność, a było ich tak wiele...

Christine głaskała go po włosach, wręcz nieporadna w swojej tkliwości, a Belle szlochała coraz głośniej. Miała wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu, zanim znów mogła coś powiedzieć.

– Paul, czy wiesz coś o Maxie?

Paul potrząsnął głową.

– Belle, przykro mi, chciałbym móc przekazać ci dobrą wiadomość, ale nic o nim nie słyszałem. Ostatnie, co wiem, to że znalazł się w kotle pod Stalingradem. Od tamtej pory...

Znów nie ma pewności. Belle poczuła, że zbladła. Paul objął ją ramieniem.

– Nie rozpaczaj, Belle. W rosyjskich obozach są jeszcze tysiące jeńców. My jesteśmy pierwszymi, którym pozwolono wrócić. Max może być wśród tych, którzy wrócą o wiele później.

– Chodź – powiedziała Christine. – Idziemy do domu.

Wyszli z peronu, Christine i Paul objęci, Belle o pół kroku za nimi. Miała fotografię Maxa w ręku, ale już nie trzymała jej wysoko, nagle wydało jej się to bezsensowne. W kieszeni płaszcza znalazła chusteczkę, którą wytarła zalaną łzami twarz. Nie było też sensu płakać, narzekać i skarżyć się na los, który wpędził ją w tak skomplikowaną sytuację. Mama miała rację: jeśli się coś robiło z pełną świadomością, a potem miało pewność, że jeszcze raz zrobiłoby się to samo, wówczas nie należało się skarżyć. Wiele lat temu Belle ruszyła w drogę z Andreasem, to ona go wybrała i teraz już musiała iść dalej. Musiała wybierać między lojalnością wobec mężczyzny, którego kiedyś poślubiła, a życiem, na które teraz liczyła. Belle właściwie zawsze powinna być świadoma jednego: że była córką swojej matki. I że to jej, Belle, potrzeby zawsze będą miały priorytet w życiu.

## 9.

Felicja odbyła dłuższą rozmowę z Tomem Wolffem i właśnie wracała do domu. Był jasny październikowy dzień, a błękitne niebo nad ruinami Monachium aż lśniło. Około południa znów zrobiło się bardzo ciepło, ale teraz, późnym popołudniem, się ochłodziło. Jednak Felicja prawie nie zauważyła tego, że z zimna drżą jej ramiona. W myślach ciągle jeszcze pochłaniała ją rozmowa z Tomem.

W domu w holu natknęła się na Zuzannę, która właśnie wychodziła z kuchni z filiżanką erzac kawy. Felicja popatrzyła na brunatny płyn i westchnęła.

– Ach, oddałabym majątek za prawdziwą kawę! Wiesz już coś na temat Hansa?

– Siedzi ciągle w areszcie śledczym. Adwokat wniosł o zwolnienie z aresztu z powodu ataków astmy, ale wniosek oddalono.

– To nie jest dla ciebie łatwy czas, Zuzanno, wiem – powiedziała Felicja ze współczuciem.

Zuzanna wzruszyła ramionami.

– Nie każdy może sobie tak ułatwić życie i po prostu uciec.

– Belle nie ucieka. Ona w Ameryce ma większe szanse w swoim zawodzie.

Felicja sama była przerażona, kiedy Belle przed kilkoma tygodniami zawiadomiła ją, że wraz z Andreasem Rathenbergiem wyjeżdża do Ameryki. Nie próbowała odwieść córki od tego zamiaru, bo zdawała sobie sprawę, że dziewczyna podjęła tę decyzję po długich i bardzo wnikliwych rozmyśleniach. W Berlinie nie byłaby w stanie uporać się z życiem i przeszłością. Felicja jednak nie ważyła się nawet myśleć o tym, co miałyby stać się z Maxem Martym, gdyby któregoś dnia jednak wrócił z Rosji.

– Belle jest teraz zapewne gdzieś pośrodku Atlantyku – dodała Felicja – i mam nadzieję, że ta decyzja była słuszna. Musi się nauczyć, jak iść własną drogą.

Zuzanna upiła łyk płynu z filiżanki.

– Alex Lombard czeka na ciebie – oznajmiła bez związku z poprzednimi słowami. – Siedzi w twoim biurze.

– Alex? Znów się pokazał?

Felicja nie widywała go ostatnio zbyt często. Szybko poszła po schodach do góry.

Siedział w fotelu za jej biurkiem i trzymał nogi skrzyżowane niedbale na blacie. Po prostu odsunął brudnymi butami na bok papiery, segregatory i ołówki. Jego postawa oraz wyraz twarzy były jawną prowokacją. W prawej ręce trzymał szklanekę, a w pokoju intensywnie pachniała whisky.

Felicja zamknęła za sobą drzwi.

– Skąd, do diabła, masz whisky? – spytała bez żadnych wstępów.

Alex uśmiechnął się szeroko.

– Od pewnego Amerykanina, któremu udzieliłem wsparcia w kwestii sercowej. Cholernie dobra rzecz. Chcesz się też napić?

Zachęcającym gestem uniósł opróżnioną do połowy butelkę.

Felicja potrząsnęła głową.

– Dziękuję, nie. Nie upijam się w biały dzień.

– O Boże, nie! – Alex roześmiał się nieco zbyt głośno. – Jak to zacnie z twojej strony! Gdybym cię nie znał, to mógłbym uznać cię niemal za elegancką damę!

Felicja rzuciła na biurko swoją torebkę.

– Alex, obawiam się, że dziś za głęboko zagłębiałeś do kieliszka. A poza tym, czy mógłbyś zdjąć nogi z mojego biurka?

– Nie sądzę – odparł uprzejmie. – Tak jest bardzo wygodnie.

Felicja nagle poczuła się ogromnie wyczerpana. Nic nie jadła tego dnia, a rozmowa z Tomem bardzo ją zmęczyła. Nie chciała się kłócić.

– Alex, posłuchaj, jestem trochę zmęczona. Nie wiem, co się z tobą dzieje i dlaczego musisz mnie koniecznie prowokować, ale też w tej chwili nie chcę tego w ogóle wiedzieć. Mam dziś...

– Och, ależ ja wcale nie chcę cię prowokować – przerwał jej Alex. – Właściwie chciałem się z tobą napić whisky i wznieść toast za twój nowy wspólny projekt.

– Za mój... A skąd ty o tym wiesz?

– Od swojej siostry Kat. Zatelefonowałem do niej, a ponieważ uznała, że ja jestem we wszystkim wtajemniczony, opowiedziała mi w zaufaniu, że właśnie prowadzisz bardzo ważną rozmowę z Tomem. Chcesz kupić dom, wielki, piękny dom na wsi, a ponieważ potrzebujesz w tym celu mnóstwo pieniędzy, to poprosiłaś dobrego Wolffa o kredyt. A to dla niego żaden problem, prawda? Dobrze mu się powodzi, odziedziczył przecież fabrykę, a fakt, że ukrywał przez kilka lat w swojej piwnicy Martina Eliasa, pozwala mu uniknąć wszelkich kłopotów związanych z jego przynależnością do partii i bliskimi kontaktami z nazistami. W każdym razie ludzie tak mówią. Zgadza się, prawda? I co, on da ci pieniądze?

Felicja usłyszała zazdrość w jego głosie i zrozumiała, co się dzieje.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – powiedziała, ale wyraz jej twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jego opinia nie miała żadnego znaczenia.

Alex wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie. Zastanawiam się tylko...

– Co?

– Mogłaś przecież poprosić mnie o pieniądze!

– Zrobiłabym to, gdyby Tom nie zechciał mi pomóc.

– Ale dlaczego... – Alex zagryzł wargi. Chciał zapytać, dlaczego jego pierwszego o to nie poprosiła, ale pojął, że już i tak zbyt wyraźnie dał wyraz swojej zazdrości. Przy Felicji nie wolno było okazać żadnej słabości. Słabość traktowała zawsze z odrobiną litości i mnóstwem pogardy. A Alex nie pragnął zaznać ani jednego, ani drugiego.

Zdjął w końcu nogi z biurka i wstał. Przez chwilę wydawało mu się, że się zachwieje – cholerna whisky! – ale na szczęście był mniej pijany, niż sądził.

– A więc chcesz budować nowy Lulinn – powiedział. – Trudno ci się rozstać z pewnymi rzeczami, prawda?

– Ty, Alex, tego nie rozumiesz. Nic nie wiesz o Lulinnie. Mieszkałeś tam parę miesięcy, ale nie rozumiałeś, co to miejsce znaczy. Co ono znaczy dla mnie.

Alex lekko zakręcił szklanką. Odrobina złotobrazowego płynu wylała się ze szklanki.

– Alex Lombard, wielki prostak, wiem. Który niczego nie rozumie i nic nie widzi. W przeciwieństwie do Maksyma Marakowa. Z nim możesz dzielić swoje odczucia, prawda? Jednak, co godne pożałowania, nigdy nie ma go przy tobie wtedy, kiedy go potrzebujesz. Bo gdzież on był, kiedy żegnałaś się z jego i twoim Lulinem i uciekałaś z ciężko chorym dzieckiem w ramionach w czasie tej strasznej zimy? Gdzież on wtedy był?

– Przestań wreszcie podburzać mnie przeciwko Maksymowi – odparła Felicja niecierpliwie, ale jego słowa nie pozostały bez wrażenia, bo przypomniawszy sobie, co wtedy pomyślała: „Dzięki Bogu jest Alex! Co ja zrobiłabym bez niego?”

– Kupujesz więc piękny, wielki dom – mówił dalej mężczyzna – i zaczynasz urządzać

sobie życie. Jakoś prędzej czy później natrafisz na źródło pieniędzy. Lata powojenne są dla ludzi takich jak ty najlepszą okazją do zgromadzenia ładnego majątku. Zapewne nie muszę pytać, czy zastanawiałaś się nad tym, aby wyjechać ze mną do Ameryki?

Patrzył na nią wyczekująco, ale Felicji to pytanie odebrało mowę. Po chwili odrzekła:

– Poważnie o tym myślisz? – Była to oczywiście najbardziej przykra forma odpowiedzi, wobec czego dodała: – Jak to miałoby wyglądać? Jesteś przecież żonaty!

– Z tobą też byłem kiedyś żonaty. A potem błyskawicznie rozwiedziony. Taki problem da się rozwiązać.

– Chcesz się więc rozwieść?

– To zależy.

– Od czego? – Uśmiechnęła się kpiąco, przede wszystkim dlatego, żeby ukryć napięcie, które ją ogarnęło. – Chyba nie z mojego powodu, Alex?! Najwyżej z powodu tej... tej... jak nazywała się ta młoda dama, do której się zalecałeś w Lulinnie?

– Clarissa. Ona nie żyje.

– Och... przykro mi. Skąd o tym wiesz?

– Od jej krewnych, którym udało się uciec. Zamordowali ją Rosjanie i mogę tylko mieć nadzieję, że nie cierpiała za bardzo. Ona po prostu nie wierzyła w niebezpieczeństwo...

– Tak jak ja.

– Tak jak ty. Różnica polega na tym, że próbowałem przekonać Clarissę do ucieczki, ale odszedłem, kiedy się zorientowałem, że to bezcelowe. Nigdy bym od ciebie nie odszedł. W razie konieczności skrupowałbym cię i przemocą zawlókł na zachód.

– Ale ty ją lubieś, prawda? – spytała Felicja z zaciekawieniem.

Alex utkwiał wzrok w szklance z whisky.

– Wydawała mi się pociągająca, tak. Była młoda, bardzo atrakcyjna, pełna życia i przy tym miła i skłonna do przywiązania się. I niegłupia. Bardzo bystra w niektórych sprawach. Powiedziała kiedyś, że...

– Tak? Co powiedziała?

– Ach... – Machnął ręką tak, jak gdyby to było właściwie nieważne. – Powiedziała kiedyś coś o marzeniach, które się nie spełniają i których dlatego nie należy się trzymać przez całe życie... czy coś podobnego...

Felicja dopiero teraz zauważyła, że cały czas miała na sobie płaszcz. Ściągnęła go i położyła na fotelu, po czym usiadła na jego poręczu. Kilka promieni słońca, które wpadły do pokoju przez jedno z okien, jeszcze raz pozostawiło czerwony odblask na jej przetykanych siwizną włosach. Alexa ogarnęło nagle przerażenie, kiedy pomyślał: „Ja się od niej nie mogę uwolnić. Nigdy nie będę mógł”.

– Są marzenia – powiedziała Felicja – o których nie chce się zapomnieć. I kiedyś człowiek przestaje się bronić przed własnym rozsądkiem.

Alex się zdziwił, ale po chwili zrozumiał, o czym mówiła.

– Masz na myśli Maksyma Marakowa. Wiesz, że nigdy nie będzie do ciebie należał, prawda? I będzie mógł przybyć w każdej chwili, kiedy tylko będzie cię potrzebować, a potem ogarnie go znów niepokój i odejdzie. A ty czekasz i czekasz... i nie będziesz młodsza, czekając!

– Dziękuję.

– Jak długo kochasz Marakowa, Felicjo, tak długo będziesz sama. Wiesz o tym i sądzę, że to jest przyczyna tej paniki, w efekcie której ciągle próbujesz utrzymać swoją rodzinę razem. To dlatego chcesz kupić ten dom. Starasz się stworzyć sobie jakieś oparcie, bo od Marakowa tego nie dostaniesz. Wiesz, że twoja siła i witalność przeminą. Wkrótce skończysz pięćdziesiąt lat. A potem sześćdziesiąt. I siedemdziesiąt. Na starość samotność jest bolesna.



Felicja zmęczonym ruchem przejechała ręką po włosach.

– Wiem. Ale nic nie mogę na to poradzić.

W dwóch krokach znalazł się przy niej. I tak był o wiele wyższy od niej, ale teraz, kiedy ona siedziała, a on stał tuż przed nią, wydał jej się wysoki jak wieża. Mówił cicho, a w jego głosie pojawił się ów pozornie łagodny, ale stanowczy ton, przy którym wiele lat temu topniał wszelki opór Felicji.

– Ty mnie kochasz, Felicjo. Zawsze mnie kochałaś i wiesz o tym. Gdybyś tak uparcie nie obstawała przy Maksymie Marakowie, to...

– Alex, proszę, nie chcę teraz o tym mówić.

– No to dlaczego w Elbingu wyskoczyłaś z tego pociągu? Z takim trudem zdobyłaś miejsce i zrezygnowałaś z niego, aby nie zostawić mnie samego. Zaryzykowałaś wtedy swoje życie, Felicjo. Dla mężczyzny, który dla ciebie nic nie znaczy?

Ujął ją za rękę i zmusił, aby wstała. Ich ciała się teraz dotykały.

– Alex...

Widziała w jego oczach tę wściekłość, która ogarnia człowieka świadomego, że dotarł do granicy i nie będzie już mógł jej przekroczyć.

– Spytałem cię już kiedyś, Felicjo, gdzie w ciągu tych kilku ostatnich lat był ten twój drogi Maksym, kiedy go naprawdę potrzebowałaś? Gdzie on był, kiedy w środku nocy zawitało tu gestapo i przeszukiwało dom? Gdzie był w czasie nalotów? Gdzie był, kiedy wprowadziła się tu twoja córka i musieliśmy znaleźć kogoś, kto przyjąłby do siebie Martina Eliasa? Gdzie on wtedy był? – Alex nie zauważył nawet, że chwycił Felicję za ramiona i potrząsał nią z całej siły. – Gdzie, do cholery raz jeszcze, był, kiedy musiałaś jechać do swojej śmiertelnie chorej matki do Lulinna? Gdzie był, kiedy nadeszli Rosjanie? Gdzie był w czasie tego piekła ze śniegu, lodu, mrozu, nalotów bombowych i tłumy zrozpaczonych uchodźców? Dobry Boże, Felicjo, czy on cię kiedykolwiek wspierał?

Potrząsał nią tak silnie, że zachwiała się, kiedy ją wypuścił i poczuła bolesne pieczenie ramion. Wiedziała, że jego gniew był bardzo powierzchowny, bo tak naprawdę kierowała nim rozpacz. Nie chciała być złośliwa, ale jakoś musiała odzyskać równowagę i odpowiedziała chłodno:

– No, bądź co bądź to Maksym był tym mężczyzną, który... unieszkodliwił Lulu. Być może nikt z nas już by nie żył, gdyby nie on.

Alex umilkł zaskoczony, a potem się roześmiał.

– Byłabyś dobrym adwokatem, Felicjo. W odpowiednim momencie przychodzą ci na myśl właściwe słowa.

– Mówię tylko, jak jest.

Alex odwrócił się, podszedł do biurka i sięgnął po butelkę whisky. Znów nalał sobie pełną szklankę i Felicja dostrzegła, że drży mu przy tym ręka.

– Alex, to mnie wprawdzie nie obchodzi, ale pół butelki whisky... Czy nie sądzisz, że...

– Przestań mówić w tym tonie! – odparł agresywnie. – Nie graj zatroskanej przyjaciółki. Zawsze cię gównem obchodziło, czy piję, co piję i ile piję! Nie zainteresowałyby cię nawet, czy żyję, czy nie! I moją osobistą tragedią jest to, że ja... – Kolejny raz urwał.

„Do cholery, Alex Lombard, nie okazuj tej kobiecie swoich uczuć!”

– Alex... – powiedziała niespokojnie Felicja. Była tak bardzo zmęczona. I coś w tej sytuacji spowodowało, że poczuła strach. Czy był to wyraz oczu Alexa? „Nonsens”, upomniała samą siebie, „on jest po prostu pijany”.

– Najbardziej zwariowane w tym wszystkim jest to – odparł Alex – zwariowane i absurdałne, że ty sama, mimo że w którymś momencie zrozumiałaś, że całe życie podążasz za

błędnym ognikiem, nie zamierzasz przestać. Zapewne myślisz, że możesz przestać, ale oszukujesz samą siebie, bo przy pierwszej nadarzającej się okazji do tego wrócisz i tak naprawdę nigdy nie przestaniesz za nim podążać. Wiem, o czym mówię! – Wypił, ale nie jeden łyk, tylko jednym haustem wszystko, i zrobił to zbyt szybko.

„Jeszcze kilka minut”, pomyślała Felicja „i zaczniesz się zataczać”. Miała nadzieję, że przestanie. Nie chciała zobaczyć, jak przestaje panować nad swoimi zmysłami. Był jej na to zbyt drogi.

Mówił już nieco bełkotliwie:

– Jeśli chodzi o ciebie, to od początku rozumiałem, że też jesteś błędnym ognikiem. I to zaraz po naszym weselu, w czasie naszej pierwszej nocy, już wtedy wiedziałem, że tulę w swoich ramionach ułudę. Dałaś mi wtedy swoje ciało, ale sercem byłaś daleko. Ono należało do Maksyma, nawet w czasie naszych najbardziej intymnych momentów. Przyznaj, że tak było!

– Alex, na miłość boską, to było kilkadziesiąt lat temu!

Tu trafił w samo sedno i Felicja musiała mu to przyznać. Czy wiedział o tym w czasie tych wszystkich lat?

Jednym haustem opróżnił szklanę, ale kiedy chciał ją odstawić na blat stołu, nie trafił i szklanka spadła na podłogę. Alex popatrzył apatycznie na rozbite szkło.

– Z początku – mówił dalej – myślałem, że będę mógł się tym zadowolić. Byłaś piękną dziewczyną, Felicjo, i powiedziałem sobie, że nie potrzebuję twojego serca, skoro mam twoje ciało, a tylko ono jest piękne. Okłamywałem siebie, kiedy to sobie wmawiałem. Pragnąłem twojego serca, Felicjo, i to tysiąc razy bardziej niż twojego ciała. Pragnę go od ponad trzydziestu lat. Trwało to przez całe moje życie i teraz jestem już starym człowiekiem.

Felicja podeszła do szafki i wyjęła szklanę.

– Teraz też muszę się napić whisky – stwierdziła.

Alex popatrzył na nią.

– Kiedyś – powiedział cicho – pojdziesz w końcu, kim mogliśmy być dla siebie przez całe życie, jeśli... Ach, do diabła, właśnie tak nigdy nie chciałem mówić! – Dotarł do drzwi bez większych trudności. – Dziecinne, prawda? Wszyscy kiedyś zrozumiecie, kim dla was byłem! Dorosły mężczyzna nie powinien tak mówić. Jestem idiotą. W dodatku pijanym idiotą. Zapomnij o tej rozmowie, Felicjo. Zapomnij o tych wszystkich bzdurach, które tu usłyszałaś! – Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Alex!

Felicja stała przez chwilę bez ruchu, a potem pobiegła za nim. Ale klatka schodowa była pusta, a na dole trzasnęły drzwi. Wyszedł.

## 10.

W tym samym czasie Belle i Andreas byli już na Atlantyku. Andreas zabukował podróż na norweskim statku, który płynął z Oslo przez Hamburg do Nowego Jorku. Wszystko odbyło się tak szybko, że Belle ciągle czuła się oszołomiona. Wkrótce po powrocie Paula z rosyjskiej niewoli Andreas powiedział jej, że Amerykanie zaproponowali mu, aby przyjechał do Kalifornii i rozpoczął tam pracę w koncernie, który miał zatrudnić także wielu niemieckich naukowców. Belle z początku protestowała uparcie, a potem po kilku bezsennych nocach oświadczyła Andreasowi ze łzami w oczach, że jednak chce opuścić Niemcy.

– Tu już nic nie jest takie jak przedtem. Lulinn straciliśmy, Berlin legł w gruzach. Nie dam rady zacząć wszystkiego od początku. Muszę stąd wyjechać, do jakiegoś innego kraju.

Oboje wiedzieli, że nie wymieniła zasadniczego powodu swojej decyzji: w Berlinie zawsze między nimi stałby Max Marty i jego niejasny los. I w gruncie rzeczy po prostu uciekała przed Maxem.

„Ale czy w Ameryce rzeczywiście będzie lepiej?”, zastanawiała się Belle. Siedziała w kabinie przed toaletką i się czesała. Wkrótce miała iść na kolację i włożyła swoją najlepszą jak na te czasy suknię – z zielonego jedwabiu, bardzo obcisłą i dość krótką, ponieważ nie starczyło jej materiału. Zdobyć kilku metrów jedwabiu w powojennych Niemczech należało do jednej z wielu godnych podziwu umiejętności Andreasa. Belle z kolei potrafiła skłonić pewną kobietę – uciekinierkę ze Śląska – aby uszyła jej sukienkę. W ramach zapłaty kobieta otrzymała z trudem zdobyte ziemniaki i ćwierć kilograma masła. Oznaczało to kilka dni głodowania, ale Belle był skłonna do poświęceń, jeśli chodziło o jej urodę.

Zaakceptowała to, że uciekała, ale zaczęła wątpić, czy ta ucieczka kiedykolwiek się skończy. Bo czy można uciec przed wyrzutami sumienia? Z lustra patrzyła na nią blada i zmęczona kobieta, ale jednak była to kobieta atrakcyjna, uwodzicielska i bardzo zmysłowa. Bezwstydnie było tak wyglądać! Zupełnie jak gdyby miała wypisane na czole wszystkie noce z Andreasem, jak gdyby każda chwila miłości pozostawiła na jej twarzy niezatarte ślady i zabierała coraz więcej z tej dziewczyny, którą kiedyś była. Dziewczyny, która sądziła, że kocha Maxa Marty'ego.

Na samym dniu jej walizki leżała fotografia z ich wesela. Taką samą Max zabrał ze sobą, kiedy wyjeżdżał na front wschodni. Belle pamiętała, że w dniu ślubu wydawała się sobie bardzo dorosła, ale teraz wiedziała, że była dzieckiem, pełnym dzieckiem. Te miękkie, różowe policzki, beztronski uśmiech... Tak, i Max nie obudził w niej tego, co na obudzenie tak bardzo czekało. Jego łagodna tkiwość gdzieś zniknęła, a w Belle nic się nie rozżarzyło. W gruncie rzeczy była ciągle całkiem niewinna i niedoświadczona, kiedy spotkała Andreasa. I to romans z nim ją zmienił. To Andreas zażądał, aby dorosła, i może rzeczywiście była teraz dojrzała niż wtedy, kiedy go poznała. Ale czy uda jej się zrobić ten ostatni krok – rozstać się z Maxem i faktycznie od niego uwolnić?

Belle nie usłyszała otwierających się drzwi kabiny i drgnęła wystraszona, kiedy nagle w lustrze pojawił się Andreas. Stał za nią, pochylił się i pocałował ją we włosy.

– Pięknie wyglądasz w tej sukni – powiedział.

Belle roześmiała się w odpowiedzi.

– Ona jest o wiele za krótka i całkowicie niemodna. Na pewno wszyscy będą patrzeć na mnie z oburzeniem.

– Na pewno. Ale tak naprawdę mężczyźni będą cię podziwiać, a kobiety ci zazdrościć.

Nie powinienem ani na chwilę spuszczać cię z oczu.

Belle wstała i wygładziła suknię. „Jestem szczupła jak...”, pomyślała. Figura klepsydry, talia ciągle wąska. Brzuch płaski i twardy, tylko kości biodrowe trochę wystają. A nogi... Belle nie mogła sobie tego darować i musiała dać wyraz swojej próżności, okręcając się kilka razy dookoła własnej osi. Miała długie i szczupłe nogi, o pięknych okrągłych łydkach. Na szczęście w następstwie powojennego głodu nie zmizerniała.

– Kiedy w Kalifornii będę codziennie siedzieć w domu i czekać na twój powrót, na pewno szybko stanę się gruba i tłusta – stwierdziła, choć tak naprawdę wcale się tym nie martwiła.

Andreas się uśmiechnął.

– Nie uda ci się być grubą i tłustą, Belle. I nie będziesz też siedzieć w domu.

– No tak, od czasu do czasu będę musiała pójść na zakupy albo na babskie spotkanie przy kawie...

Przerwał jej.

– A nic innego nie przychodzi ci do głowy, moja ty Greto Garbo?

Dawno już jej tak nie nazywał.

– Ach, Andreasio, chyba nie myślisz poważnie, że...

Westchnął, po czym odgarnął z jej czoła pasmo włosów.

– Kochanie, kiedy była mowa o tym, że przeniosę się do Kalifornii, dokładnie o tym także myślałem. Sądzę, że najwyższy czas, abyś wróciła do aktorstwa. Wiem, że ci się to uda. Ten reżyser, z którym pracowałaś przed laty, on się chyba nazywał Kronborg, jak mówiłaś, obiecał ci, że jeśli trzeba będzie, to poczeka na ciebie dziesięć lat. W Ameryce. A ty teraz przyjedziesz i przyjmiesz jego ofertę.

– On to mówił tylko tak sobie.

– Z pewnością nie. Już wtedy dostrzegł twój talent. I mówił poważnie.

– Andreasio... – Belle nerwowo kręciła kolczykami, i to brylantowymi kolczykami, które uratowała z dwóch bombardowań. – Andreasio, to były tylko dziecinne zabawy. Ja już nie jestem tą Belle, którą byłam. Ja...

– Właśnie – powiedział Andreas łagodnie. – Dlatego sobie poradzisz.

– Ale ja nie chcę! Nie mam odwagi! – W jej oczach nagle pojawiły się łzy. – Dawniej czułam się bardziej pewna siebie. I to minęło. Popełniłam tyle błędów, a teraz jest w dodatku całkiem inaczej. Nie ma Lulinna. I Max zaginął. Sophie nie żyje, a ja... Ach, do cholery, nie chciałam przecież płakać! To, co mi kiedyś mówiłeś, Andreasio, te bzdury o przepitych i przeplakanych nocach, pełnych bólu i ciemności, to w ogóle się nie zgadza... Tylko udawałeś, że trzeba je przeżyć, aby stać się dojrzałym człowiekiem, zdolnym do głębszych odczuć... Ale te noce tak naprawdę powodują, że człowiek jest tylko słaby i pusty. A ja... Miałam wszelkie podstawy do tego, aby być dobrą aktorką, ale je gdzieś zgubiłam na tej drodze między naszym pierwszym spotkaniem a dzisiejszym dniem. Nie mogę już grać, nigdy. Ja...

Nie była w stanie mówić dalej i pozwoliła, aby Andreas przyciągnął ją do siebie i ostrożnie gładził po włosach. Nie mówił nic, nie przerywał jej szlochania, myślał tylko, jak mizerny był jej kamuflaż pięknej kobiety w zielonym jedwabiu, która dopiero co kręciła się przed lustrem, zakochana we własnym wyglądzie. Andreas był przekonany, że prędzej czy później będzie mogła grać. Właśnie z powodu Maxa. Z powodu Sophie. I Lulinna. Wiedział, że będzie grała i że pochłonie ją to bez reszty.

Niepokój Felicji rósł z każdą chwilą. Z początku potrafiła uspokoić samą siebie. Alex na pewno zaraz wróci. Pobiega trochę po okolicy, ale wróci. Bo dokąd miałyby pójść?

W końcu zapadła ciemność. Felicja spacerowała tam i z powrotem po swoim biurze

i z lękiem nasłuchiwała każdego dźwięku. Jolanta chodziła po pokojach, powłócząc nogami, i zaciągała wszędzie zasłony, gdzieś zapłakało dziecko Zuzanny. Felicja zauważyła, że miała gorące policzki, i otworzyła okno, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Październikowy wieczór nie był zimny, wiał lekki wiatr. Noc miała tyle głosów... Ile życia budziło się w ludziach! Pojawiali się nie wiadomo skąd, lizali swoje rany, ale już stali twardo na nogach. W ruinach nieśmiało rodziła się radość i chęć życia.

Felicja przycisnęła obie ręce do twarzy. Zamartwianie się Alexem było śmieszne i niedorzeczne. Prawdopodobnie siedział w jakiejś amerykańskiej knajpie i pił. Jutro zamknie się w swoim pokoju kompletnie skacowany i ze strasznym bólem głowy, w podłym humorze.

Drzwi się otworzyły, do biura weszła Jolanta i się zdziwiła.

– Ach, tu pani jest! Zaczęłam już pani szukać. Czy chce pani coś zjeść? Prawie nic nie ma, ale mogłabym...

– Nie, dziękuję, Jolanto. Nie jestem głodna. A pan Lombard przypadkiem nie wrócił?

– Nie. Ale on i tak rzadko tu bywa, prawda?

– Tak... A Zuzanna już jadła? – Felicja była tak niespokojna, że zatęskniła nawet za towarzystwem córki.

– Ona też nie jest głodna – powiedziała Jolanta niechętnie – i wkrótce zostanie z niej tylko cień. Położyła dzieci do łóżek i znikła w swoim pokoju. Prawdopodobnie znów chce być sama. Myślę, że to niedobrze, kiedy taka młoda kobieta...

– Jolanto, musisz zostawić ją z tym samą – przerwała jej gwałtownie Felicja. Zaczynała ją boleć głowa i nie chciała słuchać filozoficznych rozważań Jolanty na temat problemów poszczególnych członków rodziny.

– A Martin Elias jest w domu?

– Spaceruje sam po okolicy. To niedobrze dla niego. Nie powinien odmawiać sobie piękna po tym wszystkim, co przeżył.

„Po tym wszystkim, co przeżył, nigdy już nie będzie potrafił odnaleźć w niczym piękna”, pomyślała Felicja. Kiedy Jolanta wreszcie poszła, Felicja zerknęła na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści! Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Toma, sądząc, że Alex poszedł do Kat. Ale Tom także nic o tym nie wiedział.

– Pewnie się gdzieś nieźle bawi – stwierdził Tom. – Nie psuj mu tego!

– Masz rację. – Roześmiała się nieco wymuszenie, odłożyła słuchawkę, ale czuła się po prostu podle. Czy robiła się z niej histeryczka? Ile to nocy Alexa nie było i ona nigdy nawet nie mrugnęła.

Wzięła jakąś książkę z regału i usiadła w fotelu, ale kiedy po raz piąty przeczytała pierwszą stronę i nie zrozumiała jej treści, zrezygnowała.

„Jednak powinnam była coś zjeść”, pomyślała. „Zapewne moje nerwy są tak kiepskie, bo mam pusty żołądek”.

Tuż po dwudziestej drugiej usłyszała, że ktoś otworzył drzwi, ale był to Martin, który wracał z długiego samotnego spaceru i przeraził się, kiedy zobaczył bladą Felicję zbiegającą po schodach.

– Ach, to ty – rzekła.

– Tak. Przykro mi, jeśli czekałaś na kogoś innego...

– Nonsens, wcale nie musi ci być przykro z tego powodu! – Powiedziała to trochę zbyt ostro, bo dostrzegłszy wyraz twarzy Martina, dodała szybko: – Przepraszam. Jestem dziś trochę przewrażliwiona.

Stali naprzeciwko siebie, zakłopotani i niezdecydowani. Martin nigdy nie widział Felicji tak niespokojnej i spiętej i nie był pewien, czy ona go teraz rzeczywiście potrzebowała. Chciał

coś powiedzieć, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Teraz to Martin śmiertelnie pobałdł.

Dzwonek nocą do drzwi w jego pamięci łączył się z przerażeniem, którego nie mógł zapomnieć. Lata spędzone w piwnicy, wieczny strach przed gestapo – to wszystko było jeszcze zbyt bliskie i zbyt świeże. W jednej sekundzie na jego czole pojawiły się krople potu.

Lecz także Felicja zeszywniała. Wszędzie słyhać było o brutalnych napadach i jeśli ktoś był sam w domu, to nie powinien nikomu otwierać drzwi, ale ona przecież nie była sama.

– Mój Boże, jesteśmy wszyscy kompletnie znerwicowani – powiedziała i otworzyła.

Miała przed sobą dwóch sierżantów amerykańskiej armii okupacyjnej.

– Felicja Lavergne? – spytał jeden z nich.

Felicja zmarszczyła czoło.

– Tak. Pewnie chcą panowie widzieć się z moją córką? *You would like to see my daughter?* – Przypuszczała, że przyszli tu z powodu Hansa Velina.

Obaj nie ukrywali ulgi, słysząc, że mówiła po angielsku, i kontynuowali w swoim ojczystym języku, choć starali się mówić powoli i wyraźnie.

– Nie. Musimy porozmawiać z panią, pani Lavergne. Pan Alex Lombard podał nam pani nazwisko.

Poczuła delikatne ukłucie w skroni.

– Alex Lombard?

– Tak. Bardzo nam przykro, ale... – Na twarzach obu mężczyzn pojawiło się współczucie. Ból w skroniach Felicji stał się silniejszy.

– Co się stało? – spytała.

– Doszło do bójki w barze. Między panem Lombardem a jednym z naszych żołnierzy. Pan Lombard był bardzo pijany, nasz żołnierz także. Nie wiem nawet, jak to się mogło stać. Obaj opierali się o kontuar i docinali sobie. I, jak mówiłem, nagle doszło do brutalnej bójki.

– Czy Alex jest ranny?

Tym razem starszy z żołnierzy umilkł. Młodszy, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna zabrał głos:

– Żołnierz wyciągnął nagle nóż. Musiał go trzymać w bucie.

– Nóż? – spytała Felicja powoli.

– Bardzo nam przykro, pani Lavergne. Żołnierz oczywiście odpowie za to przed sądem. Niestety nikomu nie udało się zainterweniować w porę. I żołnierz trafił Lombarda nożem pod serce i w żołądek. Dopiero wtedy zdołano mu go wyrwać.

– Czy zawieziono Alexa do szpitala?

– Oczywiście natychmiast wezwano lekarza, który pojawił się po dziesięciu minutach. Ale już nie mógł nic zrobić. Pan Lombard zmarł jeszcze w barze.

– Co?!

Starszy powtórzył to po niemiecku:

– Pan Lombard nie żyje. Zmarł jeszcze w barze. – I chwycił gwałtownie Felicję za ramię z obawy, że kobieta, której twarz nagle przybrała barwę popiołu, zemdleje.

Ale oczywiście tak się nie stało. Felicja nie była wiktoriańską panią, która w krytycznych momentach chroniła się w miłosierdnym stanie omdlenia. I sama się zdziwiła, jak spokojnie zabrzmiał jej głos.

– Muszę go zidentyfikować, prawda? Z pewnością trzeba będzie załatwić mnóstwo formalności. Jestem teraz bardzo zmęczona. Czy możemy pomówić o tym jutro?

– Oczywiście – odpowiedzieli obaj jednocześnie.

Felicja odwróciła się powoli. Za nią stał Martin i patrzył na nią przerażonymi oczami. Na

górze stała Jolanta, przechylona przez poręcz galerii, i z pewnością zrozumiała ostatnie zdanie, wypowiedziane łamaną niemczyzną. Znała Alexa od dziecka. Felicja nigdy nie widziała tyle bólu w czyjejs twarzy, co teraz w twarzy starej gospodyni. Jolanta była bliska omdlenia.

– Martinie, szybko – powiedziała Felicja. – Krzesło dla Jolanty. I kieliszek wódki. Widzisz przecież, że zaraz upadnie.

## 11.

Boże Narodzenie 1945 roku. Pierwsza zima po zakończeniu wojny. Wyjątkowo ostra, ciężka zima. Nie było ani węgla, ani niczego do jedzenia. Niemcy głodowali i marzli, wielu siedziało w jakichś piwnicznych dziurach, chroniło się przed śniegiem i mrozem w prowizorycznych schronieniach wśród ruin. Niektórzy obozowali na dworcach kolei podziemnej, bo tam najłatwiej było schronić się przed zimnem. W czasie tej zimy wielu berlińczyków zmarło z głodu i mrozu. Kto miał w sobie dość sił, jechał na wieś „chomikować”, ciągnął do lasu wózek, aby przywieźć choć trochę drzewa. Boże Narodzenie, rodzinne święto Niemców, tym razem dla wielu z nich było tylko kolejnym smutnym, mrocznym dniem. Bo ile rodzin mogło się spotkać w komplecie? Tu poległ ojciec, tam nie wrócił z niewoli syn. Los bliskich na wschodzie był niepewny. Nie wiadomo, czy udało im się stamtąd uciec, gdzie się znaleźli i czy w ogóle rodziny ich kiedykolwiek zobaczą. A jednak wszyscy myśleli o jednym: że mimo lęku o najbliższych i wyrzeczeń dnia codziennego skończyły się noce pełne spadających bomb! Umilkło straszne wycie syren alarmu przeciwlotniczego.

Nikola spędzała Gwiazdkę wraz ze swoimi dziećmi i z Jimmym z Kentucky w mieszkaniu przy Alexanderplatz. Ona jako ostatnia pozostała właśnie tutaj i gratulowała sobie swojego uporu. Christine wraz z Paulem wprowadzili się do tego mieszkania, które pozostawili Belle i Andreas, a Modesta z dziećmi pojechała do południowych Niemiec, aby schronić się u Felicji. Nikola także otrzymała zaproszenie od Felicji, ale obawiała się zostawić mieszkanie puste na tak długi okres. W tych czasach wszystko było możliwe i po powrocie oba pokoje mogli zająć uchodźcy ze wschodu. Poza tym wiedziała, że będzie się czuła zakłopotana wobec Felicji. Wiedziała, że ze wszystkich ciosów losu śmierć Alexa Lombarda dotknęła ją najbardziej. Wojna odebrała jej wiele bliskich sercu osób, a w dodatku straciła Lulinn, ale nic nie mogło jej załamać. Teraz jednak ciągle nie była w stanie się pozbierać, a wygodnicka Nikola nie chciała na to patrzeć.

Jimmy zdobył gdzieś malutką choinkę, którą posadził w wiadrze z ziemią, ustawił na stole i ozdobił samodzielnie wykonanymi świeczkami. Na starym gramofonie należącym do zaginionego Maxa kręciła się płyta z bożonarodzeniową muzyką. Nikoli jakoś się udało przyrządzić smaczny posiłek, dzięki składnikom przyniesionym przez Jimmy'ego. Były więc zupa ziemniaczana z kielbaskami, chleb z masłem i serem i butelka francuskiego czerwonego wina. A poza tym Amerykanin przyniósł papierosy. Wszyscy palili, siedzieli przy stole i patrzyli na trzyletnią Julię, która turlała po dywanie kilka szklanych kulek, otrzymanych w prezencie od Nikoli.

Anna i Jimmy się ubóstwiali i jasne było, że dziewczyna już widzi się w białej sukni przed ołtarzem, a potem jako panią na końskim ranczo w słonecznym Kentucky. W związku wyładniała, ale też zrobiła się trochę lekkomyślna, co można było wyczytać z jej twarzy. „Ona jest niepoważna i egocentryczna”, myślała Nikola. „Dobroduszny Jimmy nie będzie miał z nią łatwego życia”.

Na koniec Anna i Jimmy postanowili pójść na godzinny spacer; ciężkie wino uderzyło im do głów, a poza tym chcieli być sami. Kiedy wyszli, Nikola sprzątnęła ze stołu i położyła Julię do łóżka. W mieszkaniu obok rodzina śpiewała *Cichą noc*. Nikola poczuła, że ogarnął ją smutek. W czasie tych miesięcy, kiedy gnieździł się tu stłoczeni do niemożliwości, najbardziej marzyła o tym, by mieć wreszcie święty spokój i jedną izbę tylko dla siebie. Ale teraz ten upragniony, a niespodziewany spokój wydał jej się wręcz przytłaczający. Po raz pierwszy pojęła, co będzie



dla niej oznaczać wyjazd Anny i Jimmy'ego do Ameryki. Pozostanie jej tylko Julia i nikt więcej. Nikola nie miała ani męża, ani rodziny. Tylko tę trzyletnią Julię, którą będzie musiała się opiekować i z powodu której raczej nie zainteresuje się nią żaden mężczyzna. Zresztą ich i tak pozostało niewielu, a który z nich zechce kobietę z dzieckiem?

Nikola westchnęła. Przyłapała się na zerkaniu w lustro w salonie, a jej odbicie w słabym świetle świec dodało jej otuchy i pewności siebie. Bądź co bądź ciągle jeszcze była atrakcyjną kobietą.

Ktoś zadzwonił do drzwi i pomyślała, że to pewnie Anna i Jimmy, choć zdziwiła się, że tak szybko wracają. Ale kiedy zerknęła przez judasza w już naprawionych drzwiach, zobaczyła obcego mężczyznę. Chudego, obdartego i wyglądającego naprawdę bardziej żałośnie niż każdy spotkany na ulicy nędzarz, a to coś znaczyło w powojennym Berlinie. Uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

– Tak? – zapytała.

Obcy człowiek ściągnął kapelusz. Jego ręce przypominały dłonie kościotrupa.

– Moje nazwisko Karl Bauer. Jestem z Pragi. Ja... – Chyba wiedział, że bardziej przypominał szkielet niż żywego człowieka, bo dodał: – Byłem kilka miesięcy w obozie dla internowanych, zanim otrzymałem nakaz opuszczenia kraju.

„Żebrak! Albo ktoś, kto szuka jakiegoś dachu nad głową”.

Nikola była zdecydowana nie ulec.

– Przykro mi, panie Bauer. Ale u nas naprawdę...

– Nie, nie. Nie przyszedłem tu z tego powodu. Czy pani Nikola Rodrow?

– Tak.

– Dzięki Bogu. My... ja nie byłem pewien, czy tu panią zastanę.

Nikola milczała skonsternowana.

Karl powiedział:

– Leżałem w lazarecie z Siergiejem Rodrowem.

– Och... Proszę, niech pan wejdzie... – Nikola otworzyła drzwi.

Mężczyzna posłuchał i stanął w salonie nieco zakłopotany, trzymając w rękach kapelusz.

– Czy mogę poczęstować pana winem? – spytała Nikola.

Jej serce biło gwałtownie. Od kiedy Siergieja powołano na front wschodni, nie miała od niego żadnej wieści i nigdy też nie mogła się zdecydować na wszczęcie poszukiwań. Może on już nie żył, może trafił do niewoli albo też był ciężko ranny. Może jej potrzebował. Wiedziała, że powinna wykazać więcej zainteresowania losem mężczyzny, którego przecież była żoną, ale też zdawała sobie sprawę, że nigdy nie wybaczy mu tych lat, kiedy których ją prześladował i upokarzał niewiernością. I wcale nie zmartwiłaby się, gdyby nic o nim już nie usłyszała. Nagle zapragnęła poprosić tego na wpół zagłodzonego mężczyznę z Pragi, który chciał jej coś powiedzieć o Siergiejju, aby sobie poszedł. Ale oczywiście nie mogła być tak nieuprzejma.

Podawała mu kieliszek wina, a on obracał go z wahaniem w palcach, co ją nieco zirytowało. Dlaczego, do diabła, nie pił? Może wtedy jego policzki nabrałyby nieco kolorów.

– No więc – spytała niecierpliwie – co takiego?

Po minucie już wiedziała. Karl nie przyjechał tu sam. Siergiej czekał na dole w wózku inwalidzkim. I prosił ją, aby go przyjęła do siebie.

Nie miała wyboru. Nie musiała się już obawiać samotności, a najpewniej będzie za nią tęskniła.

W życiu Maksyma Marakowa święta Bożego Narodzenia od dawna już nie grały żadnej szczególnej roli. Przeważnie nie zwracał uwagi na dzień 24 grudnia. Także tego wieczoru ani nie zapalił świecy, ani nie słuchał muzyki. Wyłączył nawet radio, bo ciągle dźwięczenie dzwonek

oraz bożonarodzeniowe pieśni go denerwowały. A ponieważ nie był na tyle zmęczony, aby iść do łóżka, usiadł na sofie i wziął do ręki książkę. Ale nie mógł się skoncentrować na jej treści. Odłożył książkę i wstał.

Z jakiegoś powodu dziś właśnie to małe mieszkanie go przytłaczało. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka. W najbardziej odległym krańcu Berlina, z żelaznym piecem, który przeważnie był zimny, bo prawie nigdzie nie można było dostać opału. Dziś jednak w piecu płonął ogień i w mieszkaniu nie dość, że zrobiło się ciepło, to także w miarę przytulnie. Maksym nigdy nie odbierał biedy jako czegoś uciążliwego; wręcz przeciwnie, ona stanowiła dla niego coś w rodzaju koniecznego tła jego działań i myśli. Także teraz to nie otaczająca go surowość pomieszczenia go przytłaczała. O wiele bardziej dojmujące były uczucie pustki, samotności oraz jakiś dziwny wewnętrzny chłód. Samotność! Kiedy ostatnio pozwolił sobie na luksus czucia się samotnym? Od wielu lat na pewno nie, a poza tym gardziłby sobą za to. Samotność była dobra dla dekadentkich mieszczan. On, Maksym, nawet nie powinien wiedzieć, co to w ogóle jest.

Chodził tam i z powrotem po mieszkaniu i próbował uporządkować swoje uczucia. Ich przyczyną nie mogły być święta Bożego Narodzenia, bo one nic dla niego nie znaczyły. Czy może po latach życia w ogromnym napięciu nadeszła właśnie faza gorszego samopoczucia pod względem fizycznym i psychicznym? Działalność w podziemiu kosztowała go więcej sił i nerwów, niż się z początku spodziewał. Ale nie należało pogrążyć się teraz w depresji, jeden Bóg wiedział, że nie. Budowa niemieckiego rządu komunistycznego w radzieckiej strefie okupacyjnej stanowiła dla niego ogromne wyzwanie i spełnienie dawnego marzenia. Po rewolucji październikowej w 1917 roku w Rosji, która nie przyniosła tego, za czym wszyscy tak tęsknili, pojawiła się nowa, druga szansa. A jemu, Maksymowi, wolno było wziąć w tym udział. Nie miał podstaw, aby czuć się tak nędznie.

Jednak kiedy stał przy oknie pogrążony w ponurych myślach i nienawidził się za to, uświadomił sobie, że dręczy go strach, strach przed tymi latami, które miał przed sobą. Nagle patrzył na siebie oczami jakiegoś obcego obserwatora i widział starzejącego się mężczyznę, który poświęcił się pewnej idei i nie miał już u swojego boku żadnego człowieka. Owszem, miał towarzyszy. Ale nikogo, kto dzieliłby z nim noce takie jak ta. Wyzbył się już wszelkich złudzeń. Im będzie starszy, tym bardziej będzie musiał się z takimi nocami liczyć.

Wiele przeżył, przetrwał też wiele nieszczęść i znał wszystkie możliwe odczucia, od rozpaczy po euforię, od letargu po niepohamowany zapał, ale nie znał jednego: słabości starości i wynikającego z niej lęku przed byciem samemu. A to już był wstęp do lęku przed śmiercią, który miał nadchodzić falami. Raz miał on być słaby i niemal nieodczuwalny, a raz tak przemożny, że groził wręcz unicestwieniem. Maksym wiedział, że będzie potrzebował coraz więcej siły, aby się przed tym bronić.

Odwrócił się od okna. Miał teraz przed sobą prawie całkiem pusty pokój. Przypomniał sobie o butelce wódki, którą trzymał jeszcze w kuchni. Idiotyczne sięgać w takiej chwili po alkohol. Ale niemal już poczuł ciepło rozplywające się w żołądku i wiedział, jak to będzie, kiedy jego nogi staną się przyjemnie ciężkie, a wszystko, co go otacza, oddali się w otaczającym go półmroku. Życie wtedy nabierało przyjemniejszych barw i uśmiechało się przyjaźnie.

Powoli poszedł do kuchni. Gdzieś w jego umyśle pojawił się jeszcze jeden obraz. Obraz kobiety. Pijąc pierwszy kieliszek, widział Felicję, która zawsze była dla niego ostatnią deską ratunku. Widział ją taką, jaką była w czasie tych kilku ostatnich lat w Monachium, a potem obrazy zaczęły się nakładać na siebie: wielki dom przy Prinzregentenstrasse, budowla o szarozłoty murach, kamieniste brzegi Izary, w oddali ciemnozielone lasy i owo błękitne bawarskie niebo, a między tym wszystkim ona, Felicja, z nieodłącznym papierosem w ręku. Wydała mu się niezmiennie młoda.

Czy ona też cierpiała z powodu swoich skrzętnie skrywanych lęków i zmartwień? Maksym niejasno przypomniał sobie o ich ostatniej rozmowie. Lulinn. Ona mówiła o Lulinnie i swoim smutku z powodu utraty tego majątku. Lulinn, który spajał tę rodzinę, czy czuła się samotnie? I czy przyszłość wydawała jej się tak samo groźna jak jemu?

Maksym nigdy nie rozmyślał zbyt wiele o Felicji. Ona była właśnie Felicją i po prostu była. Jako dziecko z długimi warkoczami i wiecznie obdartymi kolanami, jako młoda, kokieteryjna dziewczyna zawsze w pięknych sukniach, jako dorosła kobieta z żyłką do interesów i chłodnym podejściem do nich oraz skłonnością do przesadnego ryzyka. Maksym nagle uświadomił sobie, choć co prawda niezbyt dobitnie przez lekkie upojenie wódką, że to ona stanowiła dla niego przez całe życie źródło siły. Ona była dla niego tym, czym Lulinn dla niej: była jak miejsce na ziemi, do którego zawsze można było wrócić, jak drzewo, w którego cieniu można się schronić, jak łąka z wysoką, miękką trawą, jak cichy, spokojny letni wieczór czy radosny, mokry od rosy poranek. Jak dom o mocnych, ciepłych murach.

Wypił kolejny kieliszek. Przez prawie pół wieku ciągle wracał do tej kobiety, kiedy już nie miał innego wyjścia, a ona zawsze wiernie go wspierała, nawet gdy nie pokazywał się całymi latami. I tak miało być zawsze.

Ogarnęło go uczucie głębokiego spokoju. Ciemność za oknem nie wydała mu się już tak przerażająca.

Wigilijny wieczór w Monachium, Prinzregentenstrasse. Zuzanna położyła dzieci do łóżek i wróciła do salonu. Paliło się tam kilka świec, w kominku płonął ogień. Siedział przed nim Martin Elias i właśnie dokładał kolejne polano.

– Mam nadzieję, że teraz zasną i nie zejdą tu jeszcze trzy razy – powiedziała Zuzanna.

Wyglądała na bardzo wyczerpaną, ale Martin wiedział, że nie tylko męczące dzieci były tego przyczyną. W oczach wszystkich Zuzanna pozostawała przeklętą żoną oficera SS, ale zmuszała się, przynajmniej na pokaz, do wspierania swojego męża. W rzeczywistości jednak nie widziała przyszłości dla siebie u jego boku.

Dlatego miała stale zgnębioną, pełną goryczy twarz.

„Jakie to zwariowane”, pomyślał Martin, „że akurat my jesteśmy tu dziś wieczór razem. Żyd, który, ukrywając się przez trzy lata w piwnicy, przetrwał Holocaust, i żona zbrodniarza z SS, który teraz siedzi w więzieniu i czeka na wyrok. Powinienem jej nienawidzić. A ona powinna schodzić mi z drogi. Zamiast tego siedzimy w pierwszy świąteczny wieczór po zakończeniu wojny przed kominkiem, bo nie wiemy, co mielibyśmy robić”.

Sytuacja była dla niego tak deprymująca, że cieszyłby się, nawet gdyby towarzyszyła im Modesta, która mieszkała tutaj już od kilku tygodni. Ale ona poszła wcześniej spać, bo chciała pobyć sama i porozmyślać o Josephie. Felicja także się nie pokazała.

Martin dmuchał w żar, aż wreszcie w kominku rozbłysły płomienie, po czym wstał.

– Zaraz zrobi się w tym pokoju naprawdę ciepło. Proszę usiąść bliżej kominka – powiedział do Zuzanny.

– Nie jest mi zimno – odparła, nie ruszając się z miejsca, ale objęła się ramionami tak, jak gdyby marzła.

Oboje popatrzyli na siebie niepewnie. A potem Martin zapytał:

– Czy mogłaby pani zobaczyć, gdzie jest pani matka i zapytać ją, czy nie zechce przyjść do nas? Przecież ona nie może stale się izolować!

– Od śmierci Alexa Lombarda prawie nie wychodzi ze swego pokoju. Nie można jej pomóc. Kiedyś w końcu dojdzie do siebie – odparła Zuzanna.

– Pani jest dość obojętne, czy ona się czuje dobrze, czy źle, prawda?

– Mam własne zmartwienia.

– Tak, tak... – wymamrotał Martin, po czym dodał: – Ale Boże Narodzenie to święto rodzinne. Felicja powinna...

– Co pana obchodzą święta Bożego Narodzenia? – przerwała mu Zuzanna. – To nie jest żydowskie święto, prawda?

– Sara i ja w wigilijny wieczór zawsze zapalaliśmy kilka świec. Chcieliśmy... – jak bardzo bolało mówienie o tym – ...żyliśmy tak jak nasi przyjaciele i znajomi. My... my nie byliśmy wierzącymi Żydami.

– A ja nie jestem już wierzącą chrześcijanką. To co mam robić w takie święta? A rodzina... nie można na powrót skonstruować czegoś, czego już nie ma.

– Pani jest bardzo krytyczna wobec swojej matki, prawda?

Wyraz twarzy Zuzanny stał się jeszcze bardziej nieprzychylny.

– Moja matka nigdy nie powinna była mieć dzieci. Ona nie potrafi kochać.

– W ogóle?

– No, tak bym nie powiedziała – odparła Zuzanna szyderczo. – Z wielkim oddaniem i z całą pewnością kocha pieniądze.

– Tak, ale również... – Martin urwał. – Proszę wybaczyć. Jestem bardzo niedyskretny.

– Nie, nie. Jeśli ma pan na myśli jej postawę wobec mężczyzn, to naprawdę nie ma ona nic wspólnego z miłością. Moja matka zaspokaja w ten sposób swoją żądzę władzy.

Martin umilkł, a Zuzanna odniosła wrażenie, że powiedziała za dużo, bo nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Dlaczego pan w ogóle jeszcze ze mną rozmawia? – spytała.

– Ma pani na myśli...

– Mam na myśli fakt, że pan jest Żydem. I to, co pan przeżył. Wie pan przecież, że mój mąż...

Martin przerwał jej gwałtownie:

– Tak, wiem.

Umilkli oboje, a potem Zuzanna rzekła cicho:

– Wydałabym się sobie głupia, gdybym teraz powiedziała, że jest mi przykro i że przepraszam. To zabrzmiałoby banalnie. Wszystko w tej kwestii zabrzmiałoby banalnie.

– Naprawdę nie musi pani nic mówić.

– Ale musi pan mnie zrozumieć. Ja nie chcę mówić źle o swoim mężu. Ja właściwie wcale nie chcę o nim mówić.

– Ja też nie chcę o nim mówić – odparł Martin sztywno.

Zuzanna podeszła do kominka i przykucnęła jak najbliżej płomieni. Martin próbował dostrzec na jej twarzy oświetlonej migoczącym światłem ognia jakieś podobieństwo do matki, ale go nie widział. Ani zewnątrz, ani też wewnątrz tych kobiet nic nie łączyło.

– Co zamierza pani robić w przyszłości? – spytał.

Zuzanna nie odwróciła głowy w jego stronę, lecz wpatrywała się w płomienie.

– Nie wiem. To zależy też od tego, co stanie się z moim mężem. Nie zakładam, że do mnie wróci...

Własny ból sprawił, że Martin stwierdził nieoczekiwanie i brutalnie:

– Prawdopodobnie skazą go na śmierć.

Zuzanna nawet nie drgnęła, słysząc te słowa, prawdopodobnie oswoiła się już z tą myślą.

– Tak... chyba tak. – Między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. – Często zadaję sobie pytanie, co mam kiedyś powiedzieć dzieciom. Jeszcze są na to za małe, ale kiedyś zaczną pytać o ojca. O to, kim był i dlaczego nie ma go z nami. Jak mam im wyjaśnić, co on zrobił?

– Nie wiem.

– Nie, dlaczego miałby pan wiedzieć. Tego się nie da wyjaśnić. Poznałam kiedyś tego człowieka, poświęcił mi więcej uwagi i miłości, niż kiedykolwiek w życiu dostałam, chciałam budować z nim swoje życie. Mieć dzieci, prawdziwą rodzinę... A potem dowiedziałam się, co zrobił. Nie wiem... – jej głos stał się nagle cichy i schrypnięty – nie wiem, jak mam do tego podejść, co...

Martin odpowiedział bezradnie:

– Niech pani wyjaśni to dzieciom tak, jak wyjaśniła to pani mnie. Niech pani powie, dlaczego poślubiła pani tego człowieka i co pani w nim kochała... Niech pani wyjaśni im jego pomyłki, pani pomyłki. Niech pani spróbuje... – Urwał. – Proszę wybaczyć. Mówię jak belfer, któremu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozumy. W gruncie rzeczy nic mnie to wszystko nie obchodzi.

– To ja muszę pana przeprosić. Nie chciałam mówić o moim mężu – powiedziała Zuzanna. Jednak mimo tych słów dodała: – Wtedy tak łatwo było mnie skusić, mógł to zrobić każdy mężczyzna, który w miarę dobrze wyglądał i wiedział, jak należy zdobywać kobietę. Byłam tak wygłodzona, tak spragniona... komplementów i po prostu tego, że ktoś mnie chciał, właśnie mnie! Czy myśli pan, że jako dziecko byłam kiedykolwiek chwalona? Czy w ogóle mogło mi się choćby wydawać, że jestem naprawdę kochana? Dla mojej matki stanowiłam tylko ciężar i kłopot. Kiedy w moim życiu pojawił się Hans, ucpełam się go obiema rękami!

Znów w swoich rozmyślaniach wróciła do matki i Martin pomyślał, że może rzeczywiście Felicja jest przyczyną wszystkiego, co ją w życiu spotkało.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić tego, że mogłaby być pani ciężarem dla swojej matki – odparł niechętnie.

– Pan uważa ją za anioła z nieba, bo panu pomogła, prawda? Mogę panu powiedzieć, że ona nie ma w sobie nic z anioła. Oczywiście, troszczyła się o mnie i dbała, miałam wszystko, czego chciałam, ale w gruncie rzeczy dla niej najlepiej byłoby, gdybym stała się niewidzialna i jak najrzadziej wchodziła jej w drogę. Jeśli chodzi o Belle, to tu było nieco inaczej. I nie mówię, że bardziej się o nią troszczyła. Ale Belle... Ona jej dorównuje. Urodą, egoizmem i sposobem naginania życia do swoich potrzeb. Belle i nasza matka w głębi ducha potrafiły doskonale zrozumieć obojętność i bezczelność innych ludzi. Ale ja zawsze stałam z boku i z rozpaczą walczyłam o to, aby matka mnie choćby zauważyła, popatrzyła na mnie i posłuchała! Och, ale poza tym nie była skąpa. Ciągłe pracowała, abyśmy mogły utrzymać ten wielki dom, abyśmy mogły uczęszczać do najlepszych szkół, abyśmy mogły pozwolić sobie na wszystko, co czyni życie przyjemnym... Ale tak naprawdę harowała po to, aby zaspokoić swoją osobistą ambicję i udowodnić sobie i wszystkim, że jest najlepsza. Czy wie pan, co przez całe lata pochłaniało jej myśli? Jak odzyskać na własność Lulinn i fabrykę. Ta myśl stanowiła impuls jej działań. A dowcip polega na tym, że prawie jej się to udało. Fabryka stanowiła już jej własność i tak byłoby dalej, gdyby Amerykanie jej nie zbombardowali. A Lulinn po śmierci Lombarda też przeszedłby na jej własność. Dobrze, nie? Matka chyba nawet nie śmiała żywić takich nadziei, ale on w swoim testamencie przepisał na nią wszystkie niemieckie posiadłości, a więc ten dom i także Lulinn. No, ale niestety Prusy Wschodnie zajęli Rosjanie, a wszystkich Niemców stamtąd wypędzono. Ta wojna bardzo pokrzyżowała jej plany... Ale najważniejsi mężczyźni jej życia okazali się na tyle przyzwoici, że spełniali niewypowiedziane życzenia Felicji Lavergne i w porę emigrowali albo umierali.

Po policzkach Zuzanny płynęły łzy, a Martin, który już od dłuższego czasu miał wrażenie, że ona nie mówiła do niego, tylko do siebie, nie odpowiedział. Czuł bolesny ucisk w krtani, jak gdyby tam kryły się i czekały łzy konieczne do tego, aby wreszcie opłakać Sarę,

jego rodzinę i te wszystkie lata, które mu skradziono. Przez chwilę myślał, że powinien być wściekły na tę szlochającą kobietę, która siedziała w kucki przed kominkiem i skarżyła się na nieczułość przysparzającą jej cierpień przez całe życie. Bo cóż to takiego strasznego w porównaniu z Auschwitz, komorami gazowymi i krematoriami? Ale nie czuł wściekłości i pojął, że nie należy tego porównywać. Zastanawianie się, co było bardziej bolesne, nie miało sensu.

Zuzanna płakała, a on skoncentrował się na swoich obrazach i myślał o Sarze. I o Ameryce. Był już zupełnie pewien, że nie zostanie w Niemczech.

## 12.

Andreasowi rzeczywiście udało się odnaleźć Svena Kronborga i wysłać mu telegram z Nowego Jorku, w którym zawiadamiał go o przybyciu swoim i Belle. Jak zdołał się dowiedzieć od dziennikarzy, Kronborg był reżyserem w Metro-Goldwyn-Mayer i robił tam błyskotliwą karierę. Dzięki tej wiadomości Kronborg czekał na nich na dworcu w Los Angeles i wynajął apartament w Miramar Hotel w Santa Monica. Było to prawie pół piętra i Belle, którą nieco oszołomiły luksusowo wyposażone pokoje, pytała z lękiem:

– Czy my możemy sobie na to pozwolić, Andreasie?

– Nie martw się – odparł mężczyzna.

Wszystko wskazywało na to, że pieniądze rzeczywiście nie stanowiły dla niego żadnego problemu. Andreas miał zacząć pracę od stycznia 1946 roku, ale prawdopodobnie koncern płacił mu już w grudniu, bo co wieczór chodzili na kolację do drogiej restauracji, a Belle otrzymywała każdą suknię, która jej się spodobała. Przypuszczalnie przelał na amerykańskie konto wszystkie pieniądze, które zarobił na swojej działalności szpiegowskiej. W niczym nie zdał się na przypadek.

Podróż bardzo wyczerpała Belle, a po przyjeździe do Kalifornii wbrew nadziejom nie ogarnął jej radosny nastrój. Myślała o wiecznym lecie, palmach i połyskliwej błękitnej wodzie, a tymczasem było nieprzyjemnie chłodno i pochmurno. W górach leżał śnieg, a w dolinie wiał zimny wiatr. Rankiem miasto, plaża i morze spowijała gęsta, szara mgła, która bardzo powoli znikiała koło południa. Palmy robiły smutne wrażenie, a w morskich falach odbijało się szare niebo, zaś koloru dostarczały tylko kwitnące na czerwono kwiaty gwiazdy betlejemskiej, które rosły na skrajach dróg. Czasami zza chmur wyglądało słońce i wtedy robiło się zaskakująco ciepło, ale jak tylko znikало za chmurami, natychmiast zaczynał wiać wiatr i wszyscy drżeli z zimna.

Belle, zawinięta w ciepły płaszcz, chodziła na długie spacery, aby o wszystkim zapomnieć i odwrócić uwagę, ale dręczyła ją tęsknota za domem. Rozmyślała o tym potężnym kontynencie i o jeszcze potężniejszym Atlantyku, który oddzielał ją od domu. Stała na plaży w Santa Monica, wpatrywała się w Pacyfik i miała przed oczami gruzy Berlina i głęboki śnieg wokół Lulinna. Kronborg, który zauważył, że była w kiepskim stanie psychicznym, próbował dodawać jej otuchy:

– Będzie lepiej, kiedy nadejdzie wiosna. Zobaczysz, Belle. I tu dzieje się to bardzo szybko, niemal z dnia na dzień. Nagle wszystko wokół ciebie zakwitnie. Magnolie, jaśmin i całe pola łubinu...

Belle, słysząc to, drgnęła.

– Łubin – powtórzyła. – Całe pola łubinu... Tak, znam je z Königsberga, latem było go tam wszędzie pełno.

Kronborg westchnął i poklepał ją po ręce. Doskonale rozumiał, co czuła. Z nim było podobnie, kiedy przyjechał tutaj w 1940 roku. A dziś kochał Amerykę, nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej i był zdania, że z Belle też tak będzie. Teraz musiała tylko zaciśnąć zęby i przetrwać pierwsze trudne miesiące. Dzięki Bogu, że był z nią Andreas, bo w przeciwnym wypadku prawdopodobnie natychmiast by wyjechała.

Belle wróciła do hotelu z jednego ze swoich długich samotnych spacerów. Tego dnia było o wiele cieplej niż wczoraj. 1 lutego 1946 roku. Troszkę pachniało wiosną i Belle miała nadzieję, że sobie tego nie wmawia.

Kiedy szła przez foyer, pomyślała, że na jej złe samopoczucie mogło wpływać mieszkanie w hotelu. To, że nie mieli własnego domu, coraz bardziej ją przygnębiało. Nawet jeśli nie byłby tak komfortowy jak Miramar, to jednak byłby swój.

O tej porze – o godzinie siedemnastej – siedziało tu wielu gości, którzy pili herbatę, palili, rozmawiali ze sobą i się śmiali. Zadowoleni, syci, elegancko ubrani ludzie, którzy w niczym nie przypominali wychudzonych i obdartych mieszkańców powojennych Niemiec. Większość z nich uda się dzisiejszego wieczoru na jedno z wielu przyjęć w Hollywood albo zje kolację w którejś z koszmarnie drogich restauracji w mieście z szampanem lub francuskim winem. Widać było doskonale, że ci ludzie potrafili korzystać z życia i się nim cieszyć.

Belle pojechała windą do góry, przeszła długim korytarzem i weszła do apartamentu. Andreas siedział w fotelu i palił papierosa. Na jej widok wstał, po czym podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Pachniał tytoniem i drapał ją swoim policzkiem.

„Dobrze, że on jest”, pomyślała.

– Dzwonił ktoś do mnie ze studia? Kronborg?

Andreas westchnął cicho. Kronborg nie mógł przekonać swoich bossów z Metro-Goldwyn-Mayer, aby obejrzeni zdjęcia próbne Belle. „Żadnych Niemców”, brzmiała stereotypowa odpowiedź na wszystkie jego prośby. „Żaden Amerykanin nie będzie chciał oglądać filmu, w którym gra Niemka!”

– Tak, Kronborg dzwonił – odpowiedział Andreas. – Jutro o dziewiątej rano przyjedzie po ciebie samochód, który zawiezie cię do studia. Chce raz jeszcze zrobić próbne zdjęcia. Może wreszcie uda mu się ich przekonać.

– On ich nigdy nie przekona, Andreasie. Pomyliliśmy się. Ty się pomyliłeś. Myślałeś...

Ciągle trzymał ją w ramionach.

– Daj im trochę czasu. Pozwól, aby zapomnieli o tej wojnie... To nie może stać się tak z dnia na dzień. Twoja chwila jeszcze nadejdzie, Belle, możesz być tego pewna.

Wyswobodziła się z jego ramion, on pomógł jej zdjąć płaszcz i podał papierosa.

– A co u ciebie? – spytała z troską.

Wzruszył ramionami.

– W porządku.

Ale ona dostrzegła, że Andreas nie był szczęśliwy, i oczywiście wiedziała dlaczego. Cierpiał, bo kobieta, z którą żył, nie potrafiła raz na zawsze uwolnić się od swojej przeszłości i być tylko z nim. Wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź. Obejmij mnie jeszcze raz.

Podszedł do niej, jej włosy pachniały wiatrem, który był zapowiedzią wiosny. Belle bardzo zeszczuplała. Andreas miał wrażenie, że tuli się do niego dziecko. Co takiego, pytał sam siebie niemal z rozpaczą, tak nierozzerwalnie wiąże go z tą kobietą? Do dziś nie potrafił sobie na to pytanie odpowiedzieć. Wiedział tylko, że do żadnej kobiety nie czuł nawet odrobiny tego, co do Belle. Po raz pierwszy w swoim życiu naprawdę kochał i nie mógł już siebie nazywać sentymentalnym albo szalonym, jak wcześniej. Ale ani on, ani Belle nie będą nigdy szczęśliwi, jeśli między nimi ciągle będzie stał Max Marty.

I jak zwykle, kiedy zaczynali się dotykać, po sekundzie wydało im się, że nie są dość blisko siebie. Ale Belle nagle zadała sobie pytanie, czy uwielbiali chodzić ze sobą do łóżka dlatego, że czuli się wtedy fantastycznie, czy też tak naprawdę próbowali w ten sposób uciec na chwilę od swoich problemów.

A teraz się całowali, ale ich wargi pozostały chłodne. Dotykali się, ale ich ciała nagle już nie reagowały. Starali się kochać, usiłując rozpaczliwie osiągnąć chociaż część tego, co zawsze było oczywiste. Nie udało się. W końcu znieruchomieli i leżeli przerażeni obok siebie



w całkowitym milczeniu, aż wreszcie Andreas podniósł się, założył szlafrok i podszedł do barku. Ze skoncentrowaną twarzą mieszał koktajle, jak zawsze z tak dużą ilością rumu, że mogły powalić niedźwiedzia. Belle wpatrywała się w sufit i nasłuchiwała dźwięczenia kostek lodu w szklankach.

Usiadła, kiedy Andreas podszedł i podał jej szklankę.

– Masz. Prawdopodobnie też jest ci to teraz potrzebne.

– Andreasie, nie powinniśmy się tym przejmować. W końcu coś takiego...

Stał przed nią jak wysoki mur.

– Zwykle nie zwracałbym sobie tym głowy – odparł. – Ale to jest zaledwie czubek góry lodowej. Między nami jest gorzej, niż oboje myślimy.

Belle nie odpowiedziała.

– Myślałem, że Ameryka wszystko rozwiąże – mówił dalej Andreas. – Myślałem, że będziemy mogli zacząć nowe życie, kiedy tyle kilometrów będzie dzielić ciebie i wszystkie... wszystkie wspomnienia. Chciałem cię zmusić... abyś o wszystkim zapomniała i miała przed sobą tylko przyszłość.

Belle odparła cicho:

– Nie da się zmusić człowieka do czegoś takiego.

– Nie, zapewne nie – powiedział ze smutkiem. – Udało mi się osiągnąć efekt wręcz przeciwny. Im bardziej oddalaliśmy się od Berlina, tym bardziej dręczyły cię wyrzuty sumienia. Chwilami miałem wrażenie, że z każdą godziną jest gorzej. To szaleństwo. – Roześmiał się gorzko. – Tu, w Los Angeles, Max Marty jest bardziej żywy niż gdziekolwiek. Stoi między nami i jest coraz większy.

– Nie wiem, co mam robić. Andreasie, naprawdę próbowałam się z tym wszystkim uporać, ale musisz zrozumieć, że...

– Tak. Ja zawsze muszę zrozumieć. Od samego początku robiłaś w moją stronę trzy kroki, po czym cofałaś się o dwa i ciągle prosiłaś mnie, abym cię rozumiał. Do diabła, Belle, dlaczego nie wyłożyłaś mężowi kawy na ławę? Dlaczego nie byłaś uczciwa w stosunku do siebie samej i w stosunku do niego? Już nie mówiąc o mnie! Zamiast tego wołałaś go oszukiwać, ale wówczas konsekwentniej byłoby porzucić wszelkie skrupuły, a nie bez przerwy jęczeć i narzekać!

Belle z trzaskiem odstawiła szklankę na nocny stół.

– Kiedy miałam to zrobić? Kiedy on był na froncie wschodnim i tkwił w tym gównie po uszy? Miałam mu może napisać, że przykro mi, ale Kocham innego?

Andreas milczał.

– Nie – powiedział po chwili. – Przyznaję, że okoliczności były nad wyraz niesprzyjające. Ale musisz także zrozumieć mnie.

Co miała zrozumieć? Belle poczuła lęk. Wstała, bo nie mogła znieść, kiedy on stał przed nią i sprawiał wrażenie jeszcze wyższego, i owinęła się kołdrą.

– Co masz na myśli, Andreasie? Co zamierzasz?

– Ja nie chcę cierpieć – odparł. – Tak postanowiłem, kiedy byłem bardzo młody: nigdy nie cierpieć z powodu kobiety. Udało mi się to, dopóki nie spotkałem ciebie. Ale teraz... cierpię za dużo i za często.

Belle wykrzywiła twarz w grymasie.

– Całkiem możliwe, że nie jesteś sam.

– Jeśli ty odczuwasz podobnie, to tym gorzej.

Wiatr uparcie walczył z chmurami i udało mu wyszarpać wielką dziurę w ich szarej powłoce. Nagle rozbłysło słońce i zalało pokój ciepłymi popołudniowymi promieniami. Pieniste grzywy fal Pacyfiku załśniły. Przez otwarte okno do wnętrza wpłynął ciepły, słodkawy zapach.

– Jutro przyjdzie wiosna – powiedziała Belle.

– Tak – odparł Andreas beznamyślnie, a ona odniosła wrażenie, że jej słowa wydały mu się banalnie głupie w tej chwili.

A przecież nie powiedziała tego ot tak sobie. Naprawdę czekała na wiosnę w nieśmiałej nadziei, że dzięki niej będzie lepiej, ale teraz pomyślała z nagłą rezygnacją: „Tak naprawdę tylko to sobie wmawiam”. I nagle spytała bez tchu:

– Andreasie, chyba nie chcesz mnie opuścić?

Obrzucił ją spojrzeniem, na wpół tkliwie, na wpół badawczo.

– Opuścić? Nigdy nie mógłbym cię opuścić. Istnieje takie utarte określenie: miłość czyjśgo życia. Ty jesteś miłością mojego życia, Belle.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ale, Belle. Ponieważ jest, jak jest, nie mogę żyć z tobą tak jak dotychczas. Gdybyś nic dla mnie nie znaczyła, nie stanowiłoby to problemu. Ale teraz...

– Andreasie, mnie jest potrzebny czas, ja...

– Tak. I powinnaś go otrzymać. Ale ja nie mogę stać obok i patrzeć, jak walczysz ze sobą. Nie pomogę w ten sposób ani tobie, ani sobie. Ty będziesz w stanie podjąć jakąś decyzję tylko wtedy, kiedy zostawię cię w spokoju.

„On ma rację, on ma całkowitą rację”, Belle o tym wiedziała. Tu chodziło o jej życie i o jej przyszłość. I tylko ona musiała postanowić, jak ta przyszłość będzie wyglądać. Zrozumiała teraz, jak wielką szansę dawał jej Andreas, nie chcąc przyglądać się jej wewnętrznym rozterkom i niepokojom.

Tylko bez jego bezpośredniego wpływu była w stanie zrozumieć, czego naprawdę chciała.

Wiedziała o tym wszystkim, ale mimo to poczuła nagły strach.

– Co zamierzasz, Andreasie?

Bruzdy na jego twarzy wydały jej się teraz jeszcze głębsze.

– Rozstańmy się na jakiś czas – powiedział. – Musimy jakoś dojść do tego, jak ma wyglądać nasza przyszłość. Może dostaniesz wiadomość od Maxa. Może dowiesz się, że nie żyje. A może dowiesz się, że żyje, i wówczas się okaże, czy będziesz chciała poprosić go o rozwód, czy też ta myśl wyda ci się nie do zniesienia. A może nie dowiesz się niczego, ale w tobie samej coś się zmieni... Ach, Belle, nie wiem, co będzie, ale potrzebny nam dystans.

Skinęła głową. Na zewnątrz wiatr rozpedził już ostatnie chmury i dolinę oświetlały promienie słoneczne. „To może być prawdziwy raj”, pomyślała Belle, ale Pacyfik znów zniknął przed jej oczu i zamiast jego wód zobaczyła głodujących i marznących żołnierzy w okopach, w czasie barbarzyńskiej rosyjskiej zimy. I pociągi z jeńcami wojennymi... Paul dużo jej o tym opowiadał.

Andreas pozbierał swoje rzeczy, które leżały rozrzucone po całym pokoju, i zniknął z nimi w łazience. Kiedy wyszedł, był już ubrany i sprawiał wrażenie bardzo wyczerpanego. Belle w międzyczasie wypila swój koktajl i dzięki temu na jej policzki wróciło trochę kolorów. Ale mimo to także wyglądała na wycieńczoną.

„Ona jest tak daleko od domu”, pomyślał Andreas, „i w ogóle nie wie, co z nią będzie dalej”.

– Porozmawiam z Kronborgiem – powiedział. – Musimy znaleźć dwa przyzwoite mieszkania. Na dłuższą metę nie można mieszkać stale w hotelu.

– Ja nie mam pieniędzy na mieszkanie. A dokładnie rzecz biorąc, nie mam ich także na pokój w hotelu.

– Nie martw się tym. Na razie ja będę...

– Tak nie można.  
– Możesz mi je kiedyś zwrócić. Wkrótce będziesz zarabiać miliony jako gwiazda filmowa.

Belle uśmiechnęła się ze znużeniem. Andreas podszedł do drzwi i chwycił klamkę.

– Chcesz teraz zniknąć tak, jak stoisz? – spytała Belle.

– Oczywiście, że nie. Wychodzę tylko po gazetę. Może też pójde na mały spacer. – Wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Belle ciągle stała na środku pokoju zawinięta w kołdrę. Poczowała, że zaczynają ją piec oczy. Jeśli nie wydarzy się jakiś cud, to zaraz zacznie płakać. Spróbowała myśleć o czymś dobrym i miłym – o wiosnie, o próbnym zdjęciach jutro, o Svenie Kronborgu, który powiedział: „dasz radę, Belle...” – ale nic jej teraz nie cieszyło. Kiedy rozglądała się po pokoju, jej wzrok padł na fotografię w ramkach, stojącą na regale naprzeciwko łóżka. Wyblakłe i pożółkłe zdjęcie, wykonane w 1900 roku, przedstawiało dwór w Lulinnie. Jej matka włożyła je do listu, w którym zawiadamiała o śmierci Alexa Lombarda. Belle podeszła bliżej, z pewnym trudem, bo stopy zaplątały jej się w kołdrę. Fotografię zrobiono latem. Rozpoznawała róże, dostrzegła też gęste liście dębów rosnących wzdłuż podjazdu. W oknach dworu odbijało się światło słońca. Kiedy zamknęła oczy, poczuła woń świeżej trawy, a jej ręka dotknęła ciepłej kory drzew. Jeden z koni przyklusował do ogrodzenia i potarł miękkim nosem jej szyję.

Dzięki temu wspomnieniu zaczęły się w niej budzić pierwsze, nieśmiałe jeszcze siły. W jej rodzinie nigdy nie oddawano się zbyt długo smutkom, bo przecież wszyscy wiedzieli, że to do niczego nie prowadzi. Co czuła jej matka, kiedy opuściła Lulinn i uciekała na zachód? Co znaczyła dla niej śmierć Alexa Lombarda? Przecież mimo wszystko się pozbierała i kupiła nowy dom. Z całą pewnością znalazła jakieś źródło pieniędzy. I nie pozwoliła sobie na długi płacz i uskarżanie się. Matka Belle najwyraźniej potrafiła wyleczyć rany po ciosach od losu, a skoro ona to umiała, to Belle także.

– Jakoś się z tym wszystkim uporam – powiedziała głośno. – Uda mi się. Ale najpierw pójde na zdjęcia próbne. To jest teraz ważne. Muszę być dobra i skoncentrowana.

Bo tak naprawdę liczyło się tylko jedno: że przeżyła wojnę i bombardowania miasta. Czowała, że jest młoda i zdrowa. Była w Hollywood.

A jutro przecież miała przyjść wiosna.

## 13.

Dom był niemal niewidoczny z drogi – krył się za żywopłotem z głogu i wielkimi wierzbami płaczącymi. Z jego okien rozciągał się wspaniały widok na jezioro. Marcowy dzień był olśniewająco jasny, a niebo zaskakująco niebieskie. Nocą ciepły wiatr fenowy rozwiął wszystkie chmury i góry wydawały się tak bliskie, że prawie można było ich dotknąć ręką. Po południowej stronie horyzontu na tle błękitnego nieba odznaczały się wyraźnie białe, połyskujące w słońcu szczyty i wraz z wodami jeziora rozświetlonymi promieniami słonecznymi wręcz nakazywały zapomnieć o niedawnej strasznej wojnie, spustoszeniach, śmierci i głodzie. Bo wszystko to w takiej scenerii wydawało się tylko jakimś złym snem.

– Jezioro Ammersee – powiedział trochę patetycznie Tom Wolff. – Doprawdy, cóż za piękny widok. Oczywiście dziś w dodatku mamy czarujący dzień. Felicjo, muszę cię zapewnić, że także zakochałem się w tym skrawku ziemi!

– A jak obejrzysz sobie jeszcze ten dom! – naciskała Felicja.

Oboje znajdowali się w części ogrodu, który opada łagodnie w kierunku zachodnim w stronę jeziora. Tam na dole wzniesiono małą łaźnię i pomost, a na wodzie kołysała się łódka. Po przeciwnej stronie na wzgórzu znajdował się dom.

Oczywiście był zupełnie inny niż ten w Lulinnie. Ale Felicja powiedziała sobie, że nie może szukać dworu podobnego jak dwie krople wody do tego we wschodniopruskim majątku. A już zwłaszcza nie będzie go szukać w Górnej Bawarii. Dom, który znalazła, był duży i masywny, składał się z trzech pięter, wysuniętego dachu i długich balkonów. Jego wnętrze kryło liczne pokoje i kominki, w których można było rozpalić ogień. Felicja już teraz wyobrażała sobie, jak zimą wszystko będzie tonąć w śniegu i jak cała rodzina schroni się w tym przytulnym domu z dwuspadowym dachem.

– Co o tym sądzisz, Tom?

– Pięknie. Ta posiadłość znakomicie nadaje się dla licznej rodziny.

Do ogrodu z prawej strony przylegały stajnie i łąki, a kilka młodych haftlingerów pasło się na gliniastych, wiosennych pastwiskach. Po surowej zimie zwierzęta cieszyły się wyraźnie ciepłymi promieniami słońca na swojej sierści.

– To też należy do ciebie? – spytał Tom. – Mam na myśli te łąki.

– Tak. Wszystko należy do mnie. Cena obejmowała nawet konie.

– Pięknie – powiedział raz jeszcze Tom i popatrzył z boku na Felicję, która miała na sobie lekki wełniany płaszcz, kiedyś zapewne bardzo drogi i elegancki, teraz jednak mocno znoszony i wytłuszczony. Na szyi Felicja zawiązała kolorowy jedwabny szal, a włosy, luźno związane wstążką, opadały na jej plecy. W jej uszach błyszczały małe perły. Wychudzona twarz kobiety była bardzo blada, przez co nawet jej szare oczy wydawały się jaśniejsze niż zwykle.

Kiedy Felicja poprosiła Toma, aby pojechał z nią do Breitbrunn nad jeziorem Ammersee, on z początku się wahał. Nie widział jej od chwili pogrzebu Alexa Lombarda, a wówczas ani przez chwilę nie byli sami. Wolff obawiał się jej bólu i tak naprawdę nie wiedział, jak miał się wobec niej teraz zachować. Ona i Alex zawsze żyli ze sobą jak pies z kotem, ale Tom instynktownie pojmował, podobnie zresztą jak inni ludzie, którzy znali tę parę, że oni nigdy nie przestali trzymać się razem. Dlatego spodziewał się spotkać załamaną kobietę, ale kiedy przyjechała po niego jeepem pożyczonym od Liliencrona, usłyszał tylko:

– Miło, że ze mną jedziesz, Tom.

– Dlaczego ci ludzie chcą to wszystko sprzedać? – spytał teraz.

– Ich synowie zginęli na wojnie. Chcą zbudować sobie gdzieś indziej nowe życie, z dala od wszystkich wspomnień.

– Aha. – Umilkł na chwilę.

Dach domu w zachodzącym wiosennym słońcu zabarwił się na czerwono.

– Felicjo, ty tu chcesz mieszkać? Tak daleko od miasta?

– Zostanę w domu przy Prinzregentenstrasse. Ale w weekendy mogłabym tu przyjeżdżać. Ktoś z rodziny będzie tu musiał oczywiście mieszkać, myślałam o Nikoli albo Modeście. Ale z pewnością od czasu do czasu zjedzie się tu cała rodzina. Tak jak dawniej. W Lulinie zawsze panował niesłychany harmider i ruch.

– Jakoś wydaje mi się, że to nie jest dobry czas na tego rodzaju zakupy. Oczywiście dam ci kredyt. Ale czy nie sądzisz, że pieniądze będą ci potrzebne na inne, pilniejsze rzeczy?

– Ach... pieniądze! Do czego teraz potrzebne są pieniądze? Przecież w zasadzie nic nie można kupić. Tom, proszę, nie próbuj odwieść mnie od tego pomysłu. Dasz mi pieniądze czy nie? Bo jeśli nie, będę musiała rozejrzeć się za innym rozwiązaniem. Ale odpowiedz, proszę, krótko: tak lub nie.

Tom uspokajającym ruchem położył rękę na jej ramieniu.

– Dam ci je przecież. Rób to, co uważasz za słuszne. To piękny dom i piękny kawałek ziemi, a jedno i drugie niedrogie. Kiedyś coś takiego będzie można nabyć za horrendalną cenę, a więc na pewno robisz dobry interes.

Teraz znów przemawiał ten dawny Tom, który zawsze miał nosa do opłacalnych inwestycji.

Felicja się uśmiechnęła.

– Tak – potwierdziła. – Później pewnie bym spoliczkowała samą siebie, że nie nabyłam tego w porę.

Powoli szli wzdłuż jeziora o bardzo spokojnych i gładkich wodach i patrzyli na przeciwległy brzeg – piękny jak na obrazie. Na tle nieba odznaczały się wyraźnie wieże dwóch małych kościółków o kształcie cebuli. Tom dziwił się, że otaczający ich krajobraz sprawia wrażenie osobliwie trwałego i nietkniętego wojną w porównaniu ze zbombardowanym Monachium. Oczywiście widać było i tutaj jej skutki; pola leżały odłogiem, a nieliczne maszyny rolnicze były w bardzo złym stanie. Bo zamiast zajmować się gospodarstwami, mężczyźni w ostatnich latach narażali życie na frontach za Rzeszę i Führera. Ale tu mimo wszystko chłopcy mieli się całkiem dobrze.

Prawie godzinę Felicja i Tom spacerowali w milczeniu nad jeziorem, słuchali krzyku mew, aż wreszcie opuścili teren i weszli do niewielkiego lasu. Potem znów wspięli się na zadrzewione wzgórze. Jezioro mieli teraz u swych stóp, także rozległe tereny otaczające przyszły dom Felicji. Wkrótce wszystko miało tu zakwitnąć kolorami wiosny.

Felicja się zatrzymała.

– Tak – powiedziała – a więc to jest nasz nowy dom. Będzie kiedyś pełen ludzi i zwierząt.

– Będzie. Naprawdę tego pragniesz, prawda? Żeby to był drugi Lulinn...

– Tak. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale nie sprawiała wrażenia szczęśliwej kobiety, tylko takiej, która wprowadza w życie raz podjęty plan, a choć cel jest już w zasięgu ręki, nie odczuwa radości.

Tom pomyślał z nagłym przerażeniem: „Ona nigdy nie upora się ze śmiercią Alexa Lombarda. Nawet po wielu latach”.

Felicja znów się zatrzymała, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza. Odwróciła wzrok od domu i jeziora i popatrzyła na Toma.

– Tom, chciałabym z tobą coś omówić. Wiesz, że mojej fabryki już nie ma, a mnie

brakuje środków, aby to wszystko odbudować. Myślę, że spróbuję postawić tam domy mieszkalne. Czynsze z pewnością zaczną rosnąć. Któregoś dnia mogłabym mieć z tego niezłe dochody.

Tom, chcąc nie chcąc, musiał się uśmiechnąć. Przynajmniej ta część Felicji nie doznała uszczerbku.

– Rozsądny pomysł – przyznał.

– Tak. Ale nie jedyny. Tom, czy nie potrzebowałbyś współpracownicy przy swoich zabawkach? Takiej, która kiedyś być może zostanie współpracowniczką?

Zapytała go o to wprost, a on odpowiedział tak samo:

– Tak. Ale czy jesteś w stanie coś zainwestować?

– Na razie tylko moją siłę roboczą. Mój umysł. A z czasem z pewnością więcej.

– Pewnie. Z czasem przypuszczalnie będę musiał zacząć uważać, abyś mnie potajemnie nie wykupiła! – Uśmiechnął się znowu, ale rysy jego twarzy były pełne tklivości. – A tak poważnie, Felicjo: cieszyłbym się. Oboje stanowimy tandem nie do pobicia. Mimo że pierwszą młodość mamy już dawno za sobą. A może właśnie dlatego.

– W porządku – odparła Felicja.

Tom zauważył, że nie była zaskoczona, a wręcz spodziewała się takiej odpowiedzi z jego strony. Ruszyła dalej, a on szedł obok niej. Światło kończącego się dnia przybierało już inne barwy. Tom zastanawiał się, jak będzie wyglądał zachód słońca nad tym jeziorem. Z pewnością pięknie.

– Masz jakieś wieści od Belle? – spytał.

Oczywiście dotarło do niego, że córka Felicji wyjechała z mężczyzną do Los Angeles, mimo że los jej męża ciągle pozostawał nieznany. Niektórzy ludzie wycierali sobie tym gęby i to bardzo.

Felicja skinęła głową.

– Pisała na Boże Narodzenie, ale list dotarł dopiero w końcu stycznia. Myślę, że tęskni za domem i bardzo przez to cierpi. Odpisałam i zawiadomiłam ją o zamiarze kupna wielkiego, pięknego domu. Powinna wiedzieć, że tu jest miejsce, do którego zawsze może wrócić. Była przecież bardzo związana z Lulinnem.

– Napisałaś jej też, że... – Tom nie dokończył pytania, ale Felicja wiedziała, co chciał powiedzieć.

– Tak. Napisałam jej, że Alex Lombard nie żyje.

– Ona ciągle sądzi, że to on był jej ojcem?

– Tak. I myślę, że tak jest lepiej – odpowiedziała schrypniętym głosem i szła teraz dwa kroki przed nim.

Tom nagle pomyślał, że nie zniesie widoku jej nagle zeszywniałych ramion i wyciągniętej do przodu szyi; podobnie jak jej nagle innego głosu i pustych, beznamiętnych oczu. Znał ją jako kobietę dzielną, ale teraz owa dzielność wydała mu się zbyt wymuszona. Mówiła chłodno i rzeczowo o swoim zamiarze zostania współpracowniczką jego firmy, ale tak naprawdę stale chciało jej się płakać i to było widać. Tom czuł to doskonale i zaskoczyła go jego własna reakcja. On i Felicja toczyli ze sobą ostre prywatne wojny i jedno chciało posłać do diabła drugie, ale jednak Tom lubił ją bardziej, niż się sam spodziewał, i teraz chciałby ją po prostu wziąć w ramiona. Ale zamiast tego powiedział nieporadnie i zbyt gwałtownie:

– Felicjo, nie mówiłem o tym, bo nie wiedziałem, czy nie sprawię ci bólu, ale... no, powinnaś wiedzieć, że jest mi tak strasznie żal i przykro, że Alex... zginął, i wiem, że nie mogę cię teraz pocieszyć ani w niczym ci ulżyć, ale ja...

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. Obojętnym ruchem odgarnęła sobie włosy

z czoła.

– Felicjo – powiedział Tom cicho.

„Jak on się postarzał”, pomyślała, „a jak ja! Nie dalej jak wczoraj miałam osiemnaście lat i spotkałam go po raz pierwszy. A przecież minęło ponad trzydzieści lat...”.

– Tom, rok temu siedziałam w Berlinie w kuchni ze swoją córką, a miasto już otaczali Rosjanie. I wtedy powiedziałam jej raz jeszcze, że jej dziecko zmarło w czasie ucieczki z Prus. Ona wyglądała tak żałośnie, piła, aby zapomnieć, i mówiła mi, co zrobiła źle w swoim życiu. Widzisz, wszyscy kiedyś dochodzimy do tego właśnie punktu, kiedy wydaje nam się, że zawiedliśmy i nie zrobiliśmy niczego, przy czym moglibyśmy kiedyś obstawać... I udzieliłam Belle rady mojej babki Letycji: zapytaj siebie zawsze, czy teraz, kiedy już wiesz, jak to wszystko przebiegło, a miałabyś możliwość zacząć wszystko raz jeszcze, to czy postąpiłabyś inaczej? Jeśli uczciwa odpowiedź jest przecząca, to nie rób sobie wyrzutów. – Felicja się zająknęła i popatrzyła gdzieś w powoli nadchodzący zmrok. – Zawsze żyłam zgodnie z tą zasadą, Tom, i okazywało się to słuszne. Bo cokolwiek się działo, wiedziałam, że nie mogłam postąpić inaczej, i niczego innego nie pragnęłam. Także w najtrudniejszych i najsmutniejszych momentach mego życia było dla mnie jasne, że dostałam to, czego pragnęłam, czasami płacąc za to wysoką i bardzo bolesną cenę. Ale tego chciałam i wiedziałam, że dalej będzie tak samo. Ale teraz po raz pierwszy w swoim życiu żałuję tego, co zrobiłam. Żałuję tych długich lat, które mam już za sobą. I mam tylko jedno jedyne pragnienie: mieć raz jeszcze osiemnaście lat, jeszcze raz spotkać Alexa Lombarda i spędzić z nim życie. Postąpiłabym inaczej. Byłabym z nim i nigdy bym go nie opuściła. – Z wysiłkiem zwilżyła wyschnięte wargi.

– Tom, do cholery, dlaczego często za późno dostrzegamy to, co tak naprawdę jest rzeczywiście bliskie naszemu sercu?

– Bo... – odezwał się, przytaczając pewnie najbardziej wyświechtaną i jednocześnie najbardziej słuszną maksymę: – ...bo prawdopodobnie prawda nie istnieje. Tak myślę.

– Chyba masz rację – odparła. Szła dalej, ale teraz zwracała uwagę na to, aby iść obok Toma. – Tom – powiedziała – tu będzie kiedyś tak pięknie. Kiedy tylko nadejdzie lato... Wszędzie będą kwitły kwiaty. Założę ogród różany przed wejściem. A rano wstanę i pierwsze, co zrobię, to skoczę do wody. Kupimy wielką żaglówkę i nawet nie wyobrażasz sobie, jak będziemy mogli hucznie świętować tam na dole przy brzegu!

– Będzie fantastycznie – zgodził się z nią. Mówiła jak dziecko, które chce przekonać samo siebie: nowa zabawka jest równie piękna jak ta stara, która się zepsuła.

– Chciałabym mieć też kury i może kilka krów. Zatrudnię ludzi, którzy się tym zajmą. Myślę, że będę mogła sobie na to pozwolić, kiedy zostanę twoją partnerką.

– Na pewno będziesz mogła.

– Rodzina będzie waliła do mnie drzwiami i oknami. Wtedy będę musiała zapewnić sobie tutaj spokojne miejsce, inaczej zwariuję. Może jakiś pawilon na dole przy jeziorze.

Byli oboje już blisko domu, którego mury zdawały się ich witać.

– Będzie tak pięknie jak dawniej – powiedziała Felicja.

Szli teraz na przełaj i dotarli do wybiegu dla koni. Jeden z grubych, kudłatych haflingerów natychmiast przyklusował do ogrodzenia i wyciągnął szyję w nadziei na kawałek cukru. Bujna, jasna grzywa spadała mu na czoło. Jego rodzice padli ofiarą wojny, ale on nie znał strachu, a jego czarne, pełne życia oczy błyszczały wesoło.

Koń zarżał, a z łąki odpowiedzieli mu jego towarzysze.

– Widzisz! – roześmiała się Felicja. – Będziemy mieć nawet mnóstwo koni!

„Jak dawniej?”, pomyślał Tom. I zanim zdążył się powstrzymać, powiedział cicho:

– Ale to nie są trakeny.

Słońce malowało na wodzie szeroką złocistą wstęgę. Felicja odrzuciła powiewające na wietrze końce swojego szala.

– Masz rację – odpowiedziała. – To nie są trakeny.



Tytuł oryginału

*Sturmzeit. Wilde Lupinen*

Copyright © 1989 by Blanvalet in der Verlagsgruppe Random House GmbH,

Neumarkter Str. 28, 81673 München

Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2020

Projekt okładki

Anna Slotorsz/Art Novo

Ilustracje na okładce

Adobe

Opieka redakcyjna

Justyna Kukian

Adiustacja

Justyna Kukian

Korekta

Maria Zając

Joanna Kłos

Irena Gubernat

© Copyright for the translation by Anna Makowiecka-Siudut

ISBN 978-83-240-5661-3

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

**woblink**

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek